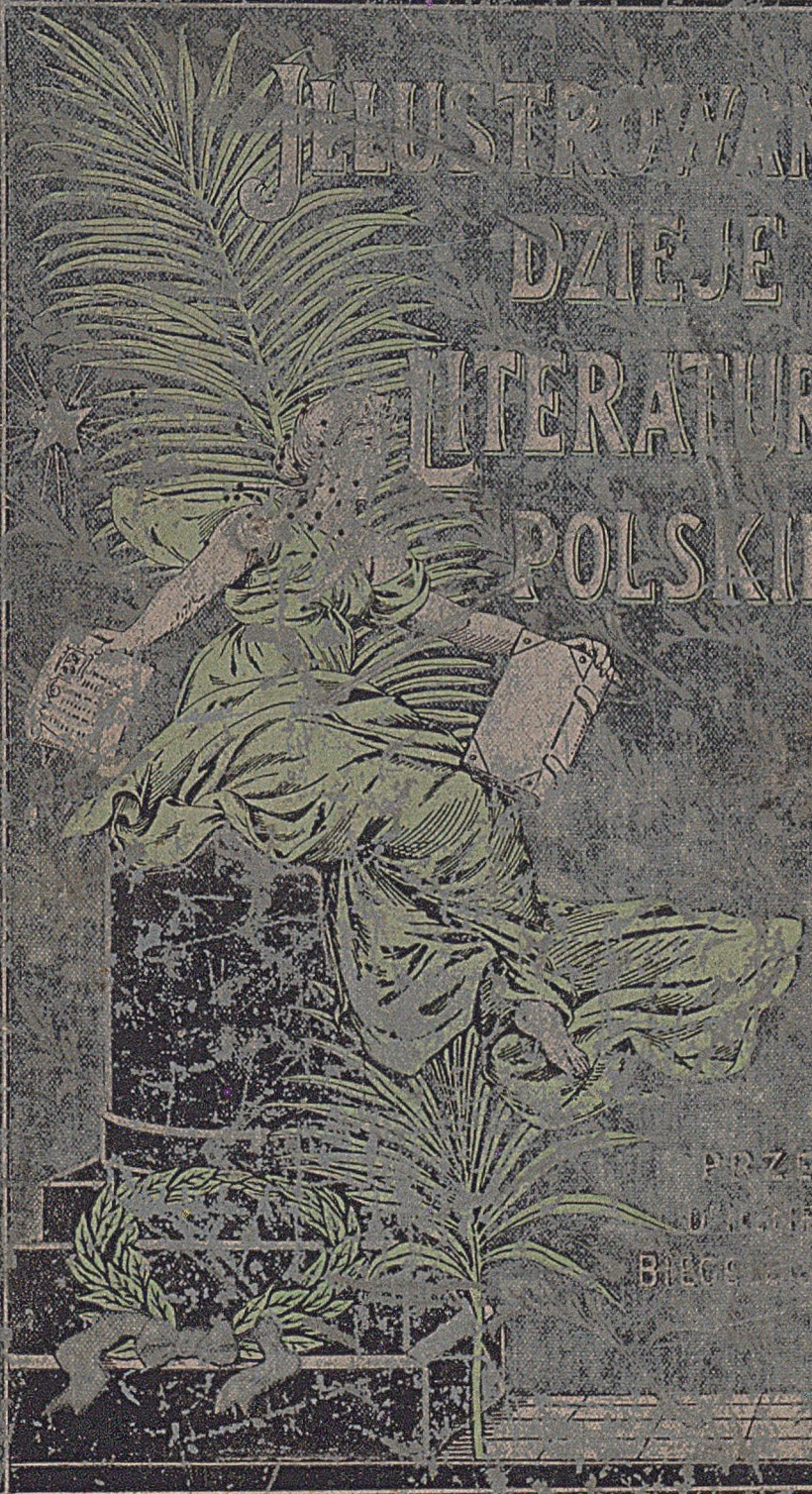


JEJUSZCZOWANE
DZIEJE
LITERATURY
POLSKIEJ



PRZEK
BIEGOSZCZOWAN
BIEGOSZCZOWAN



61

MS. 757 nov. 4

ILLUSTROWANE

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ

DRA HENRYKA BIEGELEISENA

CZASY REAKCYI

OD WAZÓW PO SASÓW

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

TOM CZWARTY

W TOMIE TYM ZNAJDUJE SIĘ PRZESZŁO 150 ILLUSTRACYJ I 23 KARTONÓW

WIEDEN

NAKŁADEM FRANCISZKA BONDEGO



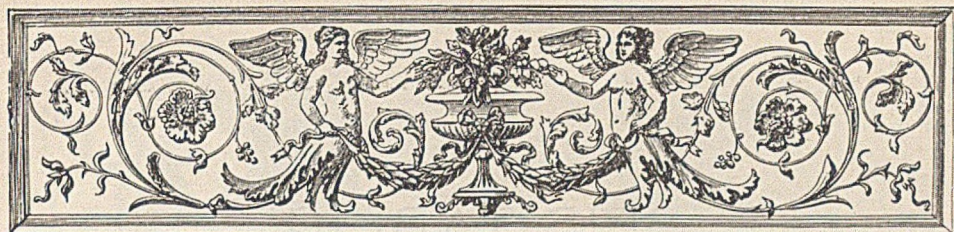
Bieg
Dzieje
~~1628~~

8(09)



SN 19806

821.162.1(091)"15/17"

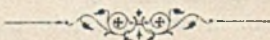


BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr.

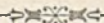
SPIS RZECZY

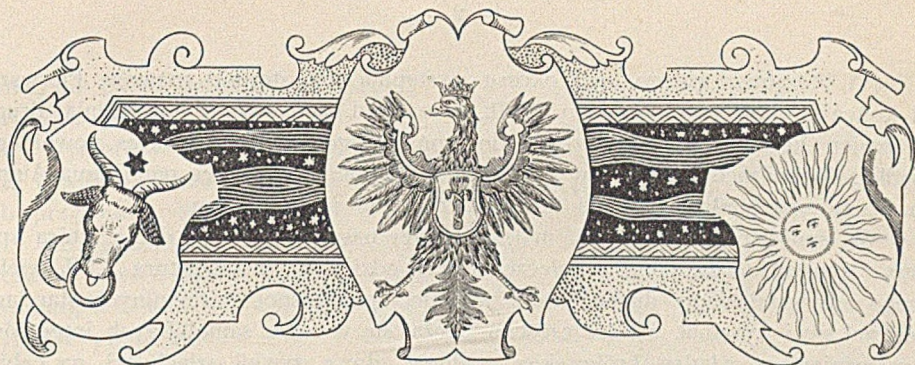
		Stronica
Rozdział	I. RZUT OKA NA LITERATURĘ TEGO OKRESU	1
»	II. POECI POLSCY	19
»	III. WYMOWA	118
»	IV. SZTUKA DRAMATYCZNA	156
»	V. DZIEJOPISARSTWO	178
»	VI. LITERATURA POLITYCZNA	250
»	VII. NAUKI PRZYRODNICZE	304
»	VIII. WYCHOWANIE	320
»	IX. NA PRZEŁOMIE WIEKU	353
»	X. ŹRÓDŁA	376



SPIS TABLIC.

	Stronica
Tryumfy wojenne Jana III., rycina Romana de Hooghe z XVII. wieku . . .	17
List Wesp. Kochowskiego do rektora uniwersytetu krakowskiego w sprawie Liryk (Z rękopisu biblioteki Jagiellońskiej)	73
Karta tytułowa Jeruzolimy Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego 1618.	89
Wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w 1633 r.	
Rycina Stefana Dellabella (z bibl. Baworowskich) A-F	121
» » » » » G-H	129 <i>brak</i>
» » » » » J-M	137
Karta tytułowa Kazań Ks. F. Birkowskiego. Kraków 1620	145
St. Starowolskiego. Wieniec niewiedniejący N. P. Maryi. Kraków 1649 . . .	153
Karta środkowa z dzieła Sam. Nakielskiego p. t. Miechovia	177
Karta tytułowa Czarownicy powołanej, Poznań 1639	185
Oswobodzenie Wiednia w 1683 r. (z biblioteki Pawlikowskich)	193
List Jana Sobieskiego do Marysienki (podobizna)	201 <i>brak</i>
Karta tytułowa Dembołęckiego Elearów (Poznań 1623)	209
Uffana Archelia, w przekładzie Ciświckiego (Leszno 1643)	225
Abr. Bzowskiego Romanus pontifex (Coloniae 1619)	249
Akt rokoszu Zebrzydowskiego z 1607 r.	257
Stany sejmujące za Zygmunta III. Rycina Ks. Tomasza Makowskiego z 1622 r.	265 <i>brak</i>
Karta wewnętrzna Stan. Solskiego p. n. Geometra polski. Część II. (Roz- mierzenie pola)	281
Autograf Heweliusza z 1663 r. w dziele jego p. t. Selenografia	305
J. Heweliusza Machina niebieska, rycina Falka	313
Ks. A. Makowskiego, Kwiat świątobliwego żywota 1655	321
T. Zawackiego, Compendium, tj. krótkie zebranie wszystkich praw. W Kra- kowie 1614	361 <i>brak</i>
Odwrotna strona karty tytułowej Księgi praw A. Kołudzkiego p. t. Prom- ptuarium legum et constitutionum Regni Pol.	369 <i>brak</i>





ROZDZIAŁ PIERWSZY.

RZUT OKA NA LITERATURĘ TEGO OKRESU.



Śnieni blaskiem i świetnością piśmiennictwa złotego wieku widzieli nasi historycy w następującej dobie same ciemności, brali za noc zapadający zmierzch, choć ten mienił się zrazu blaskami zorzy wieczornej. Wbrew prawom ewolucyi orzekli, że literatura nasza spadła odrazu ze szczytów w przepaść — uznali różnice stopnia, jakości za odmiany rodzaju, gatunku. Ale słońce odrodzenia nie nagle zgasło. Żyzna gleba piśmiennictwa XVI. wieku nie odrazu przemieniła się w martwy ugór. Wśród chwastów i kąkoli, które ją obsiadły, ukrywa się niejeden piękny kwiat natchnienia. Skarłowaciałe drzewo sztuki zdobędzie się jeszcze na okazały owoc.

Poezya polska tego okresu nie była wcale kopciuszkim w wielkiej rodzinie literatury powszechnej, wyprzedziła ona wszystkie ludy słowiańskie, dotrzymywała kroku niemieckiej i romańskiej i przejmowała się nowszymi prądami panującymi w Europie. Ale przez trzy niemal stulecia spoczywały płody literatury owego wieku w głębokim ukryciu i dopiero usiłowaniom lat ostatnich udało się odnaleźć w popiołach niepamięci zagrzebane zabytki literatury, stawiające w nowem i korzystniejszym świetle nasz umysłowy z tego czasu dorobek. Najcelniejsze utwory, najprzedniejsi pisarze, przykryci grubą warstwą najlichszych wierszy treści religijnej lub panegirycznej, wypłynęli dopiero w naszym wieku na widownię literacką. Na całą literaturę XVII. w., znaną tylko szczupłej garstce uczonych, zapadającą z każdym lat dziesiątkiem w zapomnienie, rzuciła głęboki cień epoka Augustów, w której stacza się piśmiennictwo nasze w otchłań. I tylko do tej nocy czasów saskich, zupełnego skażenia smaku i języka, a prawie zaniku poezyi, da się zastosować to, co do niedawna prawiono o wieku XVII. Ale i w tej nocy przyświecać poczyna — w drugiej ćwierci XVIII. wieku — jutrzienka dnia lepszego.

W literaturze całego tego okresu występują trzy stopnie rozwoju. Pierwszy, od końca XVI wieku do połowy XVII., to zachód czyli odkwit odrodzenia, drugi, od wojen kozackich i szwedzkich do końca tego wieku, to okres powolnego upadku, dochodzącego za Sasów do ostatnich granic. Pod koniec panowania Augusta III zaczyna społeczeństwo i literatura dźwigać się z upadku.

W spuściźnie po świetnej, majestatycznej naszego rozwoju dobie, która »pisarzy czyniła kierownikami społeczeństwa«, odziedziczyła literatura XVII. wieku owego obywatelskiego ducha, który w walce politycznej i religijnych starciach zaostrzał się i wyrabiał, ale też częściej staczał się w tonie samolubnych interesów. Z rozluźnieniem władzy królewskiej podnosi głowę żywioł szlachecki, na całym obszarze życia narodowego nieograniczonej zażywający wolności.

Na widownię piśmiennictwa, któremu w minionej dobie dawała sankcye infula lub pieczęć biskupia, występuje »prosty szlachcic« o ciasnym, ograniczonym na świat i Rzeczpospolitą poglądzie, ale pióro jego ma koloryt swojski, rodzimy, ma właściwe sobie oryginalne zacięcie.

W porównaniu z wiekiem klasycznym minionej doby, rozwija się pierwiastek narodowy. Literatura staje się wiernem odbiciem charakteru narodu, jego myśli, uczuć i dążeń zwierciadłem. Występuje w niej szlachta polska z swemi wielkimi cnotami, ale jeszcze większymi grzechami, w swej codziennej i odświętnej szacie. A nawet obce przedmioty, odległe miejscem lub czasem, odmienną przybierają postać i fizyognomię ojezystą. Jak szlachcic nie krępował się żadnymi względami, tak piśmiennictwo tego wieku nie znało miary ni hamulca. Jak w życiu, tak w poezyi występuje swoboda i »nieforemność postawy, jawność i szorstkość charakteru«, zdrożny, ale cięty dowcip. Ujawnia się na całym obszarze publicznego i prywatnego życia narodowy obyczaj, prowadzony dotychczas na pasku rzymskich wzorów, z całą swą butą i swawolą, trochę rubaszny, ale pełen rycerskich porywów w walce z półksiężycem, napełniony dewocją Jezuitów ale niepozbawiony staropolskiego humoru i animuszu.

Wobec klasycznej miary słowa, znamionującej utwory literatury złotego wieku, cechuje piśmiennictwo tej doby obok dumy wolność, a raczej samowola słowa, niejako dalszy ciąg liberum veto w poetyce. Literaturę przeniknął duch sejmikowy, bujny i gwarny, stąd owa gadatliwość, skora do zbroceń i zawiła w swych wywodach, ów szcheropolski dowcip, spadający nieraz do gminności, a przede wszystkim owo rozwielenie się rymu pod piórem szlachcica.

Znamienną bowiem cechą naszej literatury w okresie baroka jest używanie i nadużywanie związanej mowy. Kiedy w szaraczku prozy chadzali jeno z konieczności ludzie nauki i mowcy — wierszem przystrajano wszelkie objawy myśli. Powódź ta rymowanej bibuły, odziedziczona po średniowiecznem szkołarstwie, a świadcząca o pewnem niemowlęctwie ducha, zalewa wszystkie dziedziny życia umysłowego. Na to spospolitowanie daru boskiego uderzał już Zimorowicz, skarżąc się, że lada pismak, nie umiejący kozie zawiązać ogona, zawiązuje rymem u wierszyków końce. Wiersze owe, pozbawione poezyi, służyły do celów praktycznych, »wrażały się lepiej w pamięć«, dlatego używano ich do nauki, a ówczesne podręczniki astronomii, medycyny, gramatyki łacińskiej, historyi i tym podobnych przedmiotów są wierszowane. Nawet pismo św. parafrazowano w tej formie, przykładem ewanlielias W. Potockiego i Historia starego i nowego testamentu króla Stanisława. Pisze więc i ks. Wcisłowski Teologię dla szkół »krocusieńko — wierszem polskim« (1742), a Książę Jabłonowski rymuje w ojezystym języku Przygody Tele-

maka, nie licząc tuzinu wierszowanych romansów w guście sławnej Dyonei i Awantur Walewskiego.

Rymotwórstwo stało się rodzajem rzemiosła; niby z kuźni wychodziły wiersze, w które włączano najnieodpowiedniejszą treść z dziedziny nauk politycznych lub przyrodniczych. Wyuzdanie to słowa i wiersza obniżyło poziom całej literatury naszej, nieodbiegającej zresztą zbyt daleko od przeciętnego poziomu piśmiennictwa w oświeceńskich krajach; miało jednak tę dodatnią stronę, że przeprowadziło literaturę z niewoli rzymskiej na próg narodowych ideałów. Brzemienne w doniosłe wypadki panowanie Wazów i zdobycze oręża polskiego rozbudziły w narodzie poczucie godności, wzniciły w nim zapał do czynów bohaterskich. Do tego wysokiego tonu nastroja się też i nasze piśmiennictwo, unoszące się śmiało na wzbujających fluktach patriotyzmu. Wyrazem tego uczucia dumy narodowej są owe wielkie płótna historyczne. Żądza sławy, rozpierająca piersi wielkich bojowników, rozpala tysiące przesadnych chwaleców. Niemiejszy wpływ wywierał też duch rozbijającej wolności, nieznającej żadnego hamulca, »upojonej próżnością«, ale świadomej swych sił, na utwory literatury, pełne fantazyi, rozrywającej więzy formy, a jednak chodzącej w jarzmie, jak owe ciemne tłumy szlachty w swej wolności niewolnicy panów. Duma szlachecka i podniesiony duch narodu rozsadzają zacieśnione szablonami klasycznymi granice literatury i nadają jej wyraz swojski, barwę narodową. »Uwagi godnem — powiada największy tego wieku znawca — jest głębokie zamiłowanie rzeczy krajowych, które wszystko swojską powlekało barwą. Świat religijny, dziejowy i fantastyczny pojmują ówczesni pisarze według wyobrażeń i uczuć panujących w narodzie, nadają mu postać jakby miejscową i każdemu znajomą«. Pochlebiało to czytelnikom i trafiało do serca.

Duch baroka, przepychem i nadmiarem fantazyi rozpierający klasyczne formy odrodzenia, znalazł podatny grunt wśród rozpasanej i w zbytkach pogrążonej szlachty. Przejadła się jej prostota kształtów, nie działała prawda życia, bawiła ją nadzwyczajność, jaskrawość, przesada. Bujna wyobraźnia i wielkość przedmiotu prowadziły do nadętości stylu, prawdziwą siłę zastępował rozmach, na tronie myśli zasiadł bombast erudycyi. Rozwielmożniona zabobonność, narzucając i rzeczom świeckim, niejednokrotnie nawet trywialnym, znamię przesadnej pobożności, płodziła dziwolągi, od których nie były wolne i kazalnice. Wielkie wyprawy wojenne, wzruszające podstawami państwa, posłużyły Twardowskiemu i Potockiemu za przedmiot do poematów, zakrojonych na rozmiary epepei bohaterskich, ale choć je owiewa duch rycerski i zapał narodowy, spadają one wskutek przeładowania szczegółami historycznymi i epizodami do poziomu rymowanych kronik.

Gminowładztwo szlacheckie, walczące od wieku z koroną o panowanie, lubo odarło ją ze strzępów purpury królewskiej, gotowało się do nowych w literaturze zapasów z powodu usiłowań monarchów, aby na wzór zagranicznych gabinetów przywrócić berłu swemu powagę. Zwierzchnictwo możnowładcze owych królewiat, które atrybucye władzy monarszej między siebie rozdzieliły, zaczynało już cisnąć i gniesć drobną szlachtę, a upośledzenie to mańrolnych przez większą własność powoduje pierwszych do publicznych zażeń słowem i piórem, na drugą zaś wkłada obowiązek obrony swoich klasowych i egoistycznych interesów.

Za panowania Augusta II i III ustępuje z widowni historycznej, a następnie z literatury, tłum szlachecki w walce z możnowładztwem pokonany, a rządy państwa i ster literatury ujęła w swoje ręce magnateria: Jak w polityce rej wodzą

Potoccy i Czartoryscy, tak w piśmiennictwie świecą imiona książąt Jabłonowskich, hr. Załuskich, króla Stanisława.

Zależność szlachty od magnatów, wyradzająca się z czasem w poddaństwo, sprowadza na głębię piśmiennictwa rześisty deszcz panegiryków, a co zrazu było wyrazem serca lub potrzebą, staje się w końcu zdrożną manią. Szpetny ten zwyczaj sięga czasów rozkwitu literatury, kiedy to wielkie czyny narodu wywoływały w literaturze odgłosy chwały — i nie schodzi już z pola literatury.

Stanowisko narodowe zniewala pisarzy do zaniechania języka łacińskiego, z którym jeszcze w epoce odrodzenia ojczysty język dzielił swe berło. Co więcej, z mową polską przeniesiono do piśmiennictwa sposób wyrażania się żywcem brany z gwary potocznej całego narodu, język towarzyski, swobodny, rozkiełzany, płynący z pod serca, choć nastrzępiony obcymi frazesami.

Koszlawe i wypaczone kształty wolnego słowa wynagradza śmiały i oryginalny rozmach. Pomimo podniesienia poziomu i poczucia narodowości, pomimo posługiwania się w słowie i piśmie mową potoczną, towarzyską, czerpaną z życia, język polski ulega skażeniu. Dawny jego rywal, język łaciński, podnosi głowę i już od czasów Stefana Batorego wcisnąwszy się do mowy polskiej, czyni w niej spustoszenia. Mieszanie wyrazów i zwrotów, a nawet całych zdań łacińskich, stało się zwyczajem, modą ludzi uczonych i dobrze wychowanych. Niebawem rozpowszechniła się ta pstrokaczna językowa na katedrach i kazalnicach, zagnieżdżyła w cieniach murów klasztornych lub w przybytku Temidy i zapanowała na całym obszarze Rzeczypospolitej od dworku szlacheckiego aż do pałaców królewskich. Największe zaś szkody wyrządzała ówczesnej wymowie. »Większą ohydę niż ozdobę — wołał Andrzej Maksymilian Fredro — polska wymowa bierze, gdy ją gęstemi łacińskiej mowy natykają słowami, aniżeli kiedyby się swą własną udawała polskich słów wspaniałością. Weź jeno trochę namysłu przedsię Polaku — wołał ten obrońca złotej wolności — a nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nadto będzie słów polskich«. Nawoływania rozsądniejszych pisarzy nie odnosiły jednak skutku. Z ubytkiem światła w narodzie nakładła cenzura kaganiec na dzieła w języku ojczystym wychodzące z obawy, aby się na tej drodze nie rozpowszechniły zdrowsze pojęcia religijne. A nawet innowiercy, którzy w ubiegłym stuleciu przyczynili się najwięcej do wprowadzenia polszczyzny do literatury, obecnie widząc, że »lud stale do wiary ojców przywiązany« odwrócił się od nich, zaczynają w języku łacińskim wpływać na sfery uczonych. Tym sposobem próbuje łacina rugować rodzime pierwiastki z literatury — ale zanadto one urosły w siły, aby się dały wyprzeć.

Podniesienie narodowego ducha rozbudziło żywioł historyczny. Powstaje nowa gałąź piśmiennictwa: pamiętnikarstwo bujnie w tym okresie rozkrzewione, a twórczość poetów zasila się głównie wypadkami dziejowej doniosłości.

Najobfitszy u nas dział piśmiennictwa stanowią szersze historyczne kroniki i dyaryusze, transakcje i relacje, oddające rymem najbardziej prozaiczne rzeczy, opisy poselstw, miast, biografie i t. p. Zaczynają się one u schyłku złotego wieku, a ciągną się nieprzerwanie przez całe dwa stulecia. Ważniejsze zdarzenia, jak np. rokosz Zebrydowskiego i Lubomirskiego lub zdobycie Smoleńska opiewało po kilku rymopisów. Nawet historia Wołoszczyzny i Multan doczekała się opisu rymem polskim: piórem logofeta czyli kanclerza ziem mołdawskich Mirona Kostyna, który ofiarując na kilka lat przed swoim ścięciem († 1691) poemat swój bohaterowi z pod Wiednia, Janowi III, usprawiedliwia nierówność stylu rzadkiem mową polskiej używaniem.

Kiedy historycy z urzędu i powołania posługują się w pismach swych zawsze jeszcze językiem łacińskim, »zacierając pod fałdami starożytnej szaty fizyonomię czasów i ludzi«, przemawiają do nas poeci w ojczystej mowie żywo i barwnie, odbijając wiernie w najdrobniejszych rysach oblicze wieku. Czoło tej gałęzi piśmiennictwa zajmuje Wojna chocimska Potockiego i Wojna domowa Twardowskiego, u stóp ich rozsiadły się niezliczone rzesze opisywaczy elekcyj, koronacyj, ślubów i zgonów królewskich, rokoszów, zjazdów, konfederacyj, sejmów i sejmików szlacheckich, potrzeb, wojen, wypraw, rewolucyj i t. p. Żywem echem odbijają się w naszej literaturze zwycięstwa oręża polskiego odniesione w walce z Turcją. Pogrom muzułmanów pod Chocimem 1621 r. opiewało wierszem kilku poetów współczesnych: Bojanowski w Naumadyi, Napolski (Żabczyce) w Krwawym Marsie, Rudomin (Warsichtig) w Dyaryuszu. Bartłomiej Zimorowicz poświęcił mu swą Pamiątkę wojny tureckiej, Samuel Twardowski opisuje go w Władysławie IV. SARBIEWSKI w odzie łacińskiej. Opiewają to zwycięstwo, prócz poety chorwackiego Gondulicza, Wacław Potocki i jeden z ostatnich: książe biskup warmiński. Ważniejsze pod względem politycznym tryumfy, odniesione przez Jana Sobieskiego, podówczas jeszcze hetmana, pod Chocimem 1673 r., zlewają na rycerstwo polskie blaski promiennej chwały w utworach poetów, z których wymieniam liryki Wespazyana Kochowskiego, Zwycięstwo narodu polskiego nad Turczyzmem Rafała Leszczyńskiego, Classicum sławy Samuela Leszczyńskiego, Laurus prodroma Jana Kwiatkiewicza, Corona victoriae Jana Redwitza, Haracz Ślizienia, Ekspedycję Frisona, Pogrom Zbigniewa Morsztyna, nie licząc bezimiennie wydanych pieśni dziękczynnych.

Poezya polska, z więzów języka łacińskiego wyzwolona, skąpawszy się w nurtach mowy ojczystej, rozlewa się tu szeroko po rozłogach dziejowych, stawiając narodowi przed oczy znakomite czyny i obowiązki w utworach niepozobawionych połotu i natchnienia. Tryumfy i klęski oręża polskiego, waśnie i burze wieku znajdują w nich niby w zwierciadle historycznym wierne odbicie. Kiedy każdy, »bez pamięci na dobro publiczne, na oślepe gonił tylko za własną korzyścią«, podnosili poeci tego wieku do narodu »głos przestrogi i napomnienia«. W chwilach powszechnego upadku, kiedy kraj jęczał pod jarzmem niewoli tureckiej lub nawała Szwedów groziła mu potopem, odwoływali się do męstwa ziomków i budzili »uśpione sumienia« zwracając je »na drogę upamiętania«. Kiedy w tak sromotnym jak buczacki rozejm pokoju ogarnął społeczeństwo »wstyd, ból i rozpacz«, oni zagrzewali znękaną naród do pomszczenia krzywdy i uderzając w surmę wojenną, nucili gromkim głosem pieśń Tyrteuszową.

Wśród szczęku oręża i gradu kul odzywa się czasem smutnym dźwiękiem kobzy i pieśń żołnierska, malująca w ciemnych kolorach żywot kwarcianego, co zasłania piersią kresy Rzeczypospolitej od najazdu wrogów.

Poezya XVII. wieku jest nawskróś aktualna — najżywotniejsze sprawy publiczne, elekcye, walki stronnictw, intrygi dworów zagranicznych, uchwały sejmowe i sejmikowe kłótnie, współzawodnictwa o urzędy i godności, wojny i rokosze — wzbierają potężnym strumieniem wierszy okolicznościowych, nierównej miary i wartości. Najobfitsza ta gałąź literatury przybiera kameleonowe kształty: satyry, nagrobku, fraszki, trenu, opisu, paszkwilu, elegii, panegiryku. Ilustrują one najżywiej nastrój chwili, wykrywają nieraz sprężyny zakulisowych intryg lub przemawiają wymownym głosem opinii publicznej.

Obok nich poważne miejsce zajmują rymowane kroniki, olbrzymie rozmia-

rami dyaryusze, bogate w szczegóły historyczne epopeje, zaczynają się wierszami historycznymi Kochanowskiego, a wychodzą poza granice epoki saskiej. Objętością przewyższają je chyba dzieła epiki religijnej jak np. Lutnia Apolinowa Łazarza Baranowskiego lub Nowe niebo duchowne jakiegoś Bazylianina, na którego kartach przewinęło się trzykroć sto tysięcy rymów!

Z miłością ojczyzny spleciona była wiara ojców niczozerwalnymi węzły. Skojarzeniu uczuć religijnych z obywatelskimi zawdzięczamy odrodzenie Polski w połowie XVII. wieku. W chwili dla narodu decydującej »Obrona Częstochowy w miarę czasowej odległości nabierała cudownych, legendowych rysów, stawała się fundamentem wiary w opiekę niebios nad Rzeczpospolitą i wyższe posłannictwo narodu. Najszlachetniejsze serca i najpodniosłejsze umysły zostawały pod władzą tej iluzji, będącej dla całego społeczeństwa niewyczerpanem źródłem wytrwałości i pociechy«. To podniesienie ducha narodowego wpłynęło też na wzmożenie się wytwórczości literatury duchownej wszelkich gałęzi. Poza ciasnym kołem smakoszków literackich, gustujących w utworach obcego piśmiennictwa, zaspakajały szerokie masy szlachty i mieszczan swoje umysłowe pragnienia lekturą religijną, krzewiącą w dobie powszechnej ciemnoty iskierki światła w najodleglejsze zakątki Rzeczypospolitej.

Na tle szerzącego się zaćmienia religijnego, postępującego równoległe z upadkiem politycznym, odwraca literatura XVII. wieku swe oblicze od ideałów narodowych.

Fale reakcyi religijnej wzbijając się coraz wyżej groziły zatopieniem nie tylko poezyi szlachecko-narodowej, ale produkcji umysłowej w ogólności, dławionej powszechnym uciskiem epoki restauracyi.

Kościół w walce z różnowierstwem odniósłszy już w drugiej połowie XVI. wieku walne zwycięstwo, zagospodarował się na dobre w Polsce następnego stulecia, kiedy wielka zawierucha dziejowa — że tu wspomnę tylko kilkunastoletni okres wojen kozackich i szwedzkich — rozbudziła swem gwałtownem wstrząśnięciem uczucia religijne, ujawniające się w dewocyi, rozlicznych cudach i fundacyach pobożnych. Nie bez słuszności ochrzczono wiek ten mianem jezuityzmu. Skupiając w swym ręku nici polityki rósł z dniem każdym wpływ tego zakonu na dworze królewskim, tak że Zygmunta III przedstawiano w olbrzymiej peruce, z której »za każdym lokiem wyglądał Jezuita«. Dopiero król Władysław IV miał nieco »oczyścić głowę ojcowską«. Za Jana Kazimierza nie zadawali się już gronem wybranych duszyczek (biskup warmiński Kromer, jeden z filarów katolicyzmu, nazywał ich z powodu tego »mamiicielami ludzi uczonych«), ale zarzucili sieć reakcyi na całe społeczeństwo. Wychodząc z rozumnego założenia, że od młodzieży, serca narodu, zależy przyszłość Polski, starali się całe wychowanie ująć w swoje ręce. Aby celu tego dopiąć, trzeba było złamać wpływ i znaczenie najwyższej w kraju instytucyi oświecenia. Stąd owe długoletnie i karygodne walki Jezuitów z Akademią krakowską o monopol nauczania i tym podobne zdrożne przywileje, co oburzało nawet kapituły i tych, którzy podzielali wierzenia zakonu. Kiedy zaś król Władysław sprowadził świeżo założony we Włoszech zakon Pijarów, zakładający wiele szkół w Rzeczypospolitej, zaczęli Jezuiti spory z »przybyszami«, usiłując ich wpływ osłabić. Trzeba jednak przyznać, że i przewodniczka wychowania nie była wolną od grzechów ciemnoty i chęci tłumienia wszelkiego współzawodnictwa, system zaś nauki był w szkołach wszystkich kategorii wadliwy. Szerzenie fanatyzmu religijnego i zaprawianie uczniów do pisania panegiryków, oto główne zadanie ówczes-

snej nauki szkolnej. Arystoteles podszyty sumą św. Tomasza panował niepodzielnie w epoce filozofii Bakona. W naukach zaś przyrodniczych świeciła już gwiazda Newtona, kiedy u nas uważano szerzenie nauki Kopernika za herezję.

Nie sami Jezuici trzymali ster sumień polskich w swojej dłoni i nie na nich spada cała odpowiedzialność za ten opłakany stan oświecenia. Jeżeli rzucimy okiem na kartę geograficzną ziem polskich w czasie największej rozciągłości granic Rzeczypospolitej polskiej (za panowania Władysława IV), to uderzy nas przedewszystkiem ogrom dóbr ziemskich należących do duchowieństwa, a szczupła jeno garść posiadłości szlacheckich i królewskich. Sami katolicy w XVII. wieku wyrażali swe obawy, »żeby Rzeczpospolita z świeckiego państwa nie zamieniła się w duchowne«. Nie więc naturalniejszego, że wobec takiej potęgi ekonomicznej stanu duchownego musiał on decydujący wywrzeć wpływ i na stan oświecenia. Po wiekowej z rycerstwem walce świeciło duchowieństwo tryumfy, gasząc w niem słabe i ledwie tlejące światelka niezawisłości.

Na tronie liberalnych Jagiellonów zasiedli królowie z domu Wazów odznaczający się nietolerancją. Podnosi głowę hydra cenzury duchownej i rządowej (polskiej), stawiając na indeksie książek zakazanych dzieła Jana Kochanowskiego i Marcina Bielskiego, posądzonych o herezję. Jeżeli historycy XVI. stulecia skarżyli się, że nie »przespiecznic« prawdę pisać, to następcom ich knebłowano usta. Z ramienia Zygmunta III wychodzi nakaz, aby wierni poddani wiekopomne dzieło Długosza »gdziekolwiekby je znaleźli, przytrzymali i nie pozwalali publicznie pokazywać«, z przyczyny, że »ową książką wielu w Królestwie jest obrażonych«. Doszło do tego, że »na wezwanie sąsiedniego mocarstwa« za wyrokiem wydanym przez sejm wolnego narodu, spalono na stosie poemat Samuela Twardowskiego p. t. Władysław IV, opiewający wojnę tegoż króla z Rosją, a poświęcony królowi Janowi Kazimierzowi. Czyn ten, okrywający nie tylko powagę rządu niesławą, ale narażający na szwank godność całej Rzeczypospolitej, spotkał się już u współczesnych z ostrą odprawą. »Niejednemu tu — woła Wacław Potocki — pióro wyleci z ręki, kiedy miasto nagrody i podziękowania pomniki nasze skazane bywają na spalenie. Godna zaiste śmiechu głupota tych ludzi, którzy mniemają, że siłą dzisiejszą pamięć wieków przyszłych zatartą być może«.

Z przyczyn, dla których tak wiele i to najlepszych utworów XVII. stulecia butwiało w rękopisach i dopiero w nowszych czasach ukazało się w druku, nie małą rolę odgrywa owa cenzura działająca na biednych i zawistych pisarzy odstrasząco, zwłaszcza, że nie oszczędzano nawet tak niewinnych utworów jak np. Fraszki Kochanowskiego, »których się pod klątwą czytać nie godziło«. Broszury polityczne, sprzeczne z interesami tego lub owego magnata, palono na rynku. W oświetleniu tego sromotnego *autodafé* występują jaskrawo ciemności wieku, który takimi środkami dławiał wszelki swobodniejszy objaw myśli postępowej, utrzymując społeczeństwo w nieświadomości i przesądach.

Do tego celu służyły t. zw. Indeksy książek zakazanych. Od roku 1603, kiedy to pierwszy ów spis ukazał się w druku, następowały szybko po sobie coraz obszerniejsze zakazy — liczono ich w Polsce o jeden tylko mniej niż w Hiszpanii, owej klasycznej ziemi św. inkwizycji — nie szczędziły one nawet takich dzieł jak Klonowicza i Potockiego. Innym autorom wytaczano z powodu tego liczne procesy, książki ich palono na stosie, a księgarnie prześladowano.

Doszło do tego, że za swobodniejszy objaw myśli w rzeczach wiary spalono na stosie jako ateistę biednego Łyszkowskiego, a wyznawców nauki Chrystusa,

Aryan, wypędzono z ojczyzny lub pod grozą konfiskaty dóbr gwałtem na wiarę katolicką nawracano. Oplakane te stosunki panowały i za granicą, na oświecenijszym Zachodzie, ale kiedy tam wyzwały się już społeczeństwa z jarzma niewoli, u nas stan ten trwał dłużej, opóźniając i wstrzymując na okół postępowe dążenia nielicznych jednostek.

Z każdym rokiem rósł odstęp albo raczej oddalanie się naszej literatury od współczesnych zdobyczy wiedzy i sztuki za granicą, lubo i tam ginęły one w odmęcie zawrotnych fal restauracyi. Kiedy pisarze złotego wieku, wychowani na szerokim świecie, przejęci ideami odrodzenia i reformacyi, przenikającemi Europę, snuli przędzę wspólnej cywilizacyi, a dzieła Cicerona lub Erazma Roterdameczyka zarówno jak wierzenia Kalwina znajdowały posłuch i poklask w całej Polsce od stóp tronu aż do domku mieszczańskiego, zarówno w pałacu biskupim jak we dworcu szlacheckim. Zrywają się obecnie nici łączności z oświatą i nauką na Zachodzie. Wszechwładzę monarchii, sformułowaną w filozofii Hobbesa, a podniesioną przez gabinety przeciw władzy kościelnej jako najwyższe prawo, zatopiły u nas zawrotne fale katolicyzmu, podszytego szlachectwem. Kiedy Grotius rzucał pierwsze nasiona prawa narodów, a Szekspir budował swe nieśmiertelne pomniki sztuki dramatycznej, kiedy Bacon i Spinoza wskazywali myśli ludzkiej nowe tory — pisarze polscy jakby o istnieniu tych geniuszów, tych nowych dróg nie wiedzieli. Tak daleko odbiegliśmy w przeciągu kilku lat dziesiątków od ideałów odrodzenia! A właśnie kultura odrodzenia, która dała początek literaturze XVII. wieku, kopała zarazem jej grób. Zapatrzeni w niedoścignione wzory klasycznego świata, krocząc ubitym przez starożytnych gościńcem, zatracili nasi pisarze XVI. w. świeżość myśli, indywidualność uczucia. W deptaku naśladownictwa przetrawiano cudzą papkę, tulono do swej piersi płód martwy, z którego dawno uleciał duch. Z konieczności więc, kiedy zabrakło żywotnych sił i źródeł twórczości, nastąpić musiał rozkład przeżytych form. Idea humanizmu, straciwszy warunki rozwoju, stała się sztywną i martwą. Z formy klasycznej uleciał duch, który ją ożywiał. Źródła poezyi, nie zasilane nowym przyływem, wysychały powoli. Starła się »sztuczna pozłota«, spróchniała »łupina bez jądra«, wybujały ogród renesansu począł odkwitać i usychać.

Wielkie gwiazdy świata starożytnego świeciły jeszcze na niebie polskiem, ale nie wydawały ciepła. Kiedy poetom okresu Zygmuntońskiego przyświecają promienie złotej epoki Rzeczypospolitej rzymskiej, a mistrzami ich byli Liwiusz i Cycceron, lub Homer i Sofokles, poezya następnego wieku porzucając prostotę i piękno klasyków, a goniąc za »błyskotkami stylu«, za niezwykłymi obrazami, naśladuje Owidego, Lukana, Persyusza lub Juwenala, wogóle poetów srebrnego okresu, a nawet późniejszych.

Wiek ten usuwa w cień język grecki, którym tak dzielnie jeszcze władał Szymonowicz, odłogiem zalega literatura grecka. Znajomość poezyi i języków klasycznych, tak świetne wydająca owoce w epoce Zygmuntońskiej, upada w tym wieku. Nie zagłębiano się w przeszłość, nie przejmowano się jej duchem ani poczuciem piękna; dość było przyswoić sobie pewien zasób obrazów i popisać się kwiatami erudycyi, aby podbić czytelników. Miejsce klasycznego języka zajmuje skażona łacina »kuchenna« lub potworne pomieszanie łaciny z polszczyzną. Dopiero po wieku takiego nadużycia można było wyrzucić ów »stary sprzęt wyszły z mody«, służący niegdyś za wzór »wykwintności i poloru«. Na wyjąłowaną niwę piśmiennictwa powiał ożywczy wiatr z południa, owej kolebki odrodzenia i oświaty nowożytnej. Nowy kierunek, pod flagą cywilizacyi ludów romańskich płynący, nie

opuszczając gruntu literatury starożytnych, nie burząc uznanych powag świata klasycznego, »nie podnosząc jawnie i głośno sztandaru rokoszu«, obchodził obowiązujące prawo: w stare, zużyte miechy, dziedzictwo czasów pogańskich, wlewał wino kultury chrześcijańskiej. Na gruncie klasycznym wyrasta kwiat romantyki. Nowy kurs nie wywiesza czerwonego sztandaru rewolucji literackiej, ale wciska się nieznacznie, milcząco, w zatęchłą atmosferę duchową i zabarwia jej krew nowymi ciałkami. Pierwszy wyłom w starożytnej twierdzy zrobili Włochy, resztę dokonała Francja.



Nr. 2. Rubensa król Władysław IV. (Muzeum Narodowe w Krakowie).

Od czasów królowej Bony krzewiły się w Polsce zwyczaje i obyczaje, język i literatura, sztuka i oświata włoska. Były one w całej Europie XVII. wieku panujące, nadawały ton i polor cywilizacji. Na zamku warszawskim odbywały się przedstawienia włoskie z okazałością, którejby zazdrościć mogła niejedna scena europejska. Król Zygmunt III trzymał nadwornego malarza włoskiego Dolabellę, aby malował zdobycie Smoleńska i pędzlem sławił zwycięstwa oręża polskiego, a Władysław IV porучzył pisanie sztuk teatralnych poecie nadwornemu Puzytelli. Wielki ten mecenasz nauk i sztuk, odbijający mocno wykształceniem od swego ojca, mówił po włosku jak ojczystym językiem, a posiadał czarujący dar wymowy. Był wielkim znawcą muzyki i sztuki teatralnej. On »pierwszy utworzył stałą trupę operową na swoim dworze, a orkiestra jego uchodziła za jedną z najlepszych w Europie«.

Utrzymywał stosunki z pisarzami i artystami za granicą, pomagał Ciampolem do napisania dzieła o Polsce i zachęcał do pracy wielkiego rytownika Hondiusa. Kore-spondował ze sławnym Galileuszem i opiekował się uczonymi, którzy za szerzenie jego nauki doznawali prześladowania we własnej ojczyźnie jak kapucyn Magni, krzewiący u nas z całą swobodą teoryje Galileusza, wprowadzający do nas po raz pierwszy barometer, właśnie w tym czasie wynaleziony przez Toricellego, a prześladowany w innych krajach za tę »sztukę dyabelską«.

Uczeni włoscy z uwielbieniem pisali o Władysławie IV, a poeci piali na cześć monarchy hymny i ody. »Imię jego — powiada jeden z historyków — jaśniało we Włoszech większą sławą niż we własnym kraju, a pisarze włoscy unosili go na swoich piórach tak wysoko ku słońcu, iż go cała Europa widzieć musiała opromienionym«. W Rzymie i Florencyi przedstawiano, podczas urządzonych na jego przyjęcie uroczystości, umyślnie dlań napisane dramaty i opery, wznoszono pomniki na cześć mecenasa i dobroczyńcy literatów.

Jak ostatni Jagiellonowie spokrewnieni z Włochami krzewili humanizm i kulturę rzymską, tak Wazowie i ich następcy zostając w bliższych z Włochami stosunkach, przejęli się »duchem włoskiej szwaleryi, ogłady i miękkosci«. Za dworem poszła szlachta, skłonna do naśladowania nowości. Nie tylko dzieje i wypadki historyczne, nie tylko zdrowe rady obyczajowe i czyny szlachetne przewijają się na kartach literatury, także serce człowieka zaczyna upominać się o swoje prawa. Dotychczas pojmowano miłość »jako przywiązanie rodzinne«, prowadziła ona kochających na kobierzec małżeński. Jej burze i namiętności nie znalazły odgłosu w sercu poety. Jak młodsze pokolenie poetów rzymskich przenosi muzykę z hałaśliwego rynku w zacisze domowe, przesuując punkt ciężkości literatury z areny życia obywatelskiego w głąb duszy ludzkiej, tak też i nasza dziatwa Apolina »cofa się w siebie« i próbuje swych skrzydeł w złotych uczucia.

Ofiary składane na ołtarzu wojennego bóstwa i spokojne, pod zimniejszą strefą, życie ziemiańskie wypłoszyły z dziedziny poezyi kapryśną dziatwę Wenery. Przez wpływ stosunków z ludami romańskimi przestępuje progi życia i literatury polskiej królowa namiętności, rozpalając serca swych adeptów. Pierwszy ołtarz bogini miłości wystawił Andrzej Morsztyn, wygrywający na swej lutni pierwszą symfonię miłosną. Następcy jego nie wyrównali mu w tej misternej grze. Ale na usprawiedliwienie pisarzy tej doby, grzeszących raczej wybujałością aniżeli brakiem uczucia, przytoczyć można, że kiedy naród na ołtarzu uciśnionej ojczyzny składał ofiarę krwi, nie czas było na pienia miłosne. Niejeden z nich duchem narodowym ożywion »biegł w szeregi wojskowe, aby w obronie ojczyzny wyśpiewać najpiękniejszą pieśń, akordami żelaza nastrojoną, pieśń ze wszystkich najwyższą, bo pieśń czynu i poświęcenia«. Na ziemi krwią rycerską zroszonej puszcza pierwsze kielki romans polski z uwielbieniem dla płci słabej, aż dotąd w cień usuniętej, romans napojony galanterią rycerską, pefen awantur i dramatycznych przygód. Nosi on na czole piętno obcego pochodzenia. Zdobywa się w swej młodzieńczej krewkości do wyższych wzlotów, spada wszelako najczęściej w kałuże zmysłowych pożądań. Fantastyczność splata się z cynizmem, a głębokie uczucia chrześcijańskie wylewają się w inwokacyi do bóstw pogańskich. Na tle wschodniem albo pod włoskiem niebem — po tych kulisach wywieść możesz rodowód powieści — rozgrywa się dramat namiętności, której wykroczenia, lubo na końcu formalnie ukarane, znajdują nie tylko przebaczenie, ale zdobywają sobie nawet liść wawrzynu. Na kartach literatury przejawiają się błędni rycerze pod przybraną postacią ludzi z gminu,

zakłętę księżniczki cudownej urody, cały świat romantyczny Amora i Psychy, podniesiony malarstwem poczci na wyżyny ówczesnego smaku, w odpowiedniej wiekowi oprawie tercyny, sonetu lub najulubieńszej z owych form stancy, strofy rozpowszechnionej w poematach bohaterских.

Nowy ten kierunek odznacza się subtelniejszym cieniowaniem uczuć, wykwintnością formy, ale też gonitwą za efektem, szermowaniem conceptami, stylem naginającym się do esów i floresów baroka.

W zakresie uczuć widoczny jest pewien postęp w wydelikaceniach lub przynajmniej uskromieniu popędów instynktu. Cóż z tego, kiedy w wyrażeniu tych uczuć, przeważnie lubieżnej, zmysłowej natury, czujesz chłód i przymus. Poznać od razu, że piszącemu chodzi o popisanie się frazesami, o wywołanie ekscentrycznymi obrazami podziwu czytelnika, o sztuczne rozwikłanie przeciwieństw, a najmniej o szczere uczucie, o prawdę.

Wyprowadzając z Włoch skażenie stylu i języka naszej literatury tego okresu, ochrzczono ją niezupełnie słusznie mianem makaronicznej. Najważniejsze jej bowiem działy: poezya i pamiętniki wolnemi są prawie od tej skazy, cechującej głównie okazy krasomówstwa. Właściwszą byłaby dla niej nazwa barokowej, przyjęta w literaturze romańskiej, a odpowiadająca zasadniczym znamionom współczesnej sztuki. Wyróżnia się bowiem piśmiennictwo tej doby rozmachem i rozwichrzeniem, obliczonemi na olśnienie czytelnika, zarówno jak natłokiem igraszek i dziwactw, nadających utworom tego czasu charakter szkoły, zwanej w literaturze włoskiej *concettisti*, na której się głównie nasza wzorowała, a *précieus* we Francyi. Cechuje ją w liryce, która po raz pierwszy uderzyła w struny indywidualne, zalotny sentymentalizm i nieznana dotychczas romansowość.

Wpływ romantyzmu i rycerskości przedostającej się do naszej literatury drogą tłumaczeń i naśladownictwa Tassa lub Aryosta, Petrarki lub Boccaccia, nie panował tak wszechwładnie, jak w poprzednim okresie humanizm. Owszem, ten ostatni wcale nie zanikł w literaturze XVII stulecia, lecz wiódł swój wąty żywot u boku młodszych siostrzyc włoskiej i francuskiej, a tej ostatniej towarzyszy aż do początku XIX. wieku. Z rozluźnionych bowiem pęt klasycyzmu wysuwa się na widownię obok włoskiego żywiołu francuski, który w polityce polskiej głębokie już był zapuścił korzenie. I on, jak kultura włoska, wywodzi swój początek po kądzieli od królowej polskiej, Ludwicy Maryi, z którą na dwór warszawski spłynął rzęsiwym deszczem polski, moda i sztuka francuska. »Przyszedłszy na pałac — skarży się Pasek — do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jak pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to widzieli, sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie (francuskim), i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuski«. Za przykładem dworu szli panowie polscy szerząc obyczaje, galanterję, język, strój francuski.

Jak podróże i lektura, tak literatura i oświata romańska rugują ze społeczeństwa brutalne upodobanie do rubasznych żartów i do barbarzyńskich bijatyk, a wprowadzają na ich miejsce wytworniejsze gusta, iskrzący kalemburem dowcip, elegancję wystowienia i wykwentne maniery. Zasługa przemiany »twardych Sarmatów na układnych lub sentymentalnych kawalerów« należy się przedewszystkiem kobietom. Senatorskie rody i najwybitniejsze osoby jak Morsztyn, Żamojski, Sobieski, Pac, Denhof i inni mieli za żony Francuzki, które z mlekiem matczynym zaszczepiały w dzieciach gust i lekkość francuską. Nawet klasztory polskie sprrowadzonych przez Ludwikę Maryę Wizytek i przez królowę Maryę Kazimirę Sakra-

mentek kształciły młodzież w języku francuskim. Od Sasów była francuszczyzna »językiem dworu i dyplomacyi«. Nie mniejszy wpływ oświaty i literatury francuskiej szerzyły »wojaże« i akademie w Paryżu i Lunevillu; tę ostatnią założył król Stanisław Leszczyński i umieszczał w niej synów wybitniejszych rodzin polskich. Zwyczaj wysyłania młodzieży za granicę, tak zagęszczony w minionej dobie, nie ustawał nawet w wieku ciemnoty saskiej; najwięksi XVII. w. pisarze polscy, jak np. Morsztyn i Opaliński, pierwsi reformatorowie polscy XVIII. wieku jak Jabłonowski i król Leszczyński, zawdzięczają swe wykształcenie głównie Francyi, tej przodownicy cywilizacyi w Europie. Wszakże przyznać trzeba, że wpływ francuszczyzny ograniczał się zrazu więcej kategorią towarzyskich i politycznych stosunków, z których pierwsze rozciągały się do górnej jeno warstwy narodu, a drugie wywoływały opór i oburzenie szerokich kół szlacheckich. Jak w epoce odrodzenia potępiano osławione rady Kalimacha, tak umieszczają obecnie nasi domorośli politycy Mazarina i Richeuliego »pomiędzy harpiami w Tartarze«. Z trudnością przecierały się przez ciemności i przesady wieku promienie wolnej myśli, szerzonej przez filozofię Kartezjusza, nie znajdowały trwalszej gościny nawet sztuki Moliera. Dopiero pod koniec panowania elektorów saskich, na których dworze kwitł obyczaj francuski, zagościły do teatru polskiego dzieła Kornela i Rasyna. Wpływ francuszczyzny popłynął wezbrany strumieniem dopiero w połowie XVIII. wieku.

Wszystkie te kierunki: klasyczny, włoski, a po nim francuski, wreszcie rodzimy, ziemiański i religijny, rozbijały samowolnie w społeczeństwie rządzone anarchią, nadając literaturze, pozbawionej busoli, charakter eklektyzmu.

Zanim stanęły świątynie dla jednego ducha, uderza czołem literatura nasza przed różnymi bogami. A pomieszanie to nowych pojęć ze starymi, obcych ze swojskimi, klasycznych z romantycznymi, wytwarza dziwaczny zamęt, wyciskający osobliwe piętno na fizyognomii tej przejściowej doby naszego piśmiennictwa, ścielącej się pomostem pomiędzy złotym wiekiem a świtem powtórnego odrodzenia.

Literatura przechodzi okres »moralnej fermentacyi«. Tradycje wieku odrodzenia, z całą zbrojownią erudycyi starożytnych, z mitologią i formami świata klasycznego, przechodziły przez sam nadmiar i nadużycie w stan rozkładu, wyczerpania. Nowe żywioły nie od razu zajmują miejsce starych, zużytych pierwiastków. Wschodzącemu słońcu ścielą drogę cienie brzasku. Takie przesilenie, taką walkę nocy ze światłem, odbywa literatura w XVII. stuleciu. Jest to doba rozstroju, zamętu i przetwarzania tradycyj przeszłości z rodzącymi się pierwiastkami nowej epoki, okres wyzwalania się z niewolnictwa dawnych form i bujania po manowcach. Stąd w tej literaturze brak ładu i harmonii, rozdźwięk myśli i formy, jaskrawa mozaika barw i tonów, rażąca ucho i oko czytelnika. Dlatego nie bez słuszności porównywano charakter literatury tego wieku z fermentacją wina, które »kiedy trybuje, wszystko z siebie na wierzch wyrzuca« i mąci.

W porównaniu więc ze swą poprzedniczką, której przyświecało słońce humanizmu, siejąc na jej łany spokój, pogodę, harmonię, cechuje jej następczynię, opromienioną nocy księżycowej blaskiem, niespokój, burzliwość i »umysłowe rozrzucenie«. Przełamanie form skończonych i rozbicie regularnych kształtów spowodowało na razie wykoszlawienie literatury i sztuki, ale usamowalniało zarazem ducha i torowało drogę indywidualizmowi.

Porównania ze złotym wiekiem, z jego przedstawicielem i twórcą »Trenów« nie wytrzymuje ten okres dekadencji, wszelako skarbiec poezyi XVII. wieku, przewyższający tamten pod względem produkcji i wytwórczości, pomnożył zasób

antycznych motywów nowszymi tematami, zorał niwę literacką pod zasiew nowych form poetyckich.

Poezya XVII. wieku przewyższa swoją starszą siostrzycę, bardziej zrównoważoną i harmonijną, kierunkiem narodowym i do rzeczywistości zbliżonym. Dość wymienić rozwój satyry, z lekka tylko w poprzednim wieku uprawianej i wytworzenie nowego w poezji gatunku: powieści historycznej.

Wprawdzie wskutek zбочenia z bitego gościńca tradycji klasycznej daje się czuć niepewność i chwiejność kroku u pisarzy tego wieku błakających się po manowcach. Nie da się jednak zaprzeczyć, że wyobraźnia ich pełniejsza i bujniejsza, lubo rozwichrzona, że polot myśli wyższy, a widnokrąg rozleglejszy, a nawet siła języka większa, choć nie ujęta w karby. Ale zatarcili oni poczucie piękna i dobra, jak nie mieli zrozumienia dla prostoty i naturalności. Lubowali się w sztuczności, w kształtach aż do dziwactwa wypaczonych i nadzwyczajnych efektach. W myśl zasady: wolno w Polsce, jak kto chce, odpowiednio do bezrządu w rzeczach politycznych a samowoli w społecznym życiu, rozwijała się i w poezji wolność aż do anarchii posunięta.

W porównaniu z epoką saską literatury, leżącej ugiem niby step nieużyty, martwy i bezpłodny, choruje wiek XVII. na zbytnią obfitość różnorodnych pierwiastków, nieułożonych jeno do równowagi, niezharmonizowanych. Cechą jego nie brak lecz nadmiar sił, nie jałowość fantazyi lecz jej wypaczenie.

Literaturze polskiej, na klasycznych wzorach wykształconej, brakowało samodzielności, prowadzoną ona była na pasku obcej sztuki. Pisarze XVII. wieku próbują już własnych sił, a torując sobie drogę przez nieprzebyte gąszcze, zdobywają się niekiedy na śmiały, pełen brawury czyn w literaturze. Płodom tej literatury brak szlachetnej linii, cechującej poezję klasyczną, jaśnieją jednak czasem ozdobami śmiałej, potężnej budowy baroka.

Wyłamawszy się z pod wpływu zużytych pojęć i kształtów klasycznych, nie przejąwszy się smakiem panującym spólcześnie za granicą, bujała poezya XVII. w. niby łódka na wzburzonym morzu »z całą swobodą i dowolnością« ale też »wyradzała się w dzikie i potworne formy«. Bujna fantazyja pisarzy tego wieku znajdowała pokarm w gorącej wierze, działającej cuda i w zapale rycerskim, podnoszącym ducha narodu na wyżyny bohaterstwa. Z wezbranej piersi płynęły rzewne pienia liryczne a znakomite czyny wodzów służyły za kanwę do epepej bohaterkiej, napawając umysły czytelników uczuciem narodowej dumy. Przy bujności zadziwia płodność wyobraźni ówczesnych poetów, obejmujących w utworach swych olbrzymie przestrzenie czasu, wypadków, błyszczących bogactwem obrazów, obfitością treści i różnorodnością formy. Na obliczu poezyi XVII. w. wyrły nadzwyczajne przykłady odwagi wojennej »hiperboliczną śmiałość i siłę wysłowienia«, podobnie jak niekępowana żadnem wędzidłem wolność w życiu szlachty stwarzała warunki samodzielności i swobody pióra. Wzrost indywidualizmu wskutek rozluźnienia wszystkich prawnopolitycznych węzłów narodu, eklektyzm czyli pomieszanie pojęć estetycznych przez wpływ różnych żywiołów literackich prowadziły do anarchii i bezprawia w dziedzinie, którą dotychczas opanovał wyłącznie harmonijny duch klasyczności, ale nadawały obliczu naszej literatury żywsze kolory i bardziej charakterystyczny wygląd. Prowadziło to nawet w zakresie językowym do owej mieszaniny mowy polskiej z łacińską, zwanej niewłaściwie makaronizmem. Początek tej arlekinady sięga jeszcze wieku odrodzenia, ale wtedy służyła ona jeszcze celom komiki. Obecnie w zmienionej postaci gra-

sowała na wszystkich polach piśmiennictwa — stosunkowo jednak daleko mniej w poezji aniżeli w prozie. — A działał tu nietylko przykład z góry (dwór królewski obcych, nie mówiących po polsku, monarchów), ale także szkoła, urząd i nauki ścisłe, które posługiwały się już językiem ojczystym ale nie odrzucały jeszcze języka łacińskiego, każąc piękną mowę polską wtrętami francuskich i włoskich wyrazów.

Jak w języku, tak w literaturze, będącej jeno odbiciem stanu społeczeństwa, miesza się najsprzeczniesze żywioły. Naród polski przedstawiał w tym okresie dziwny wygląd. Pod tradycyjną formą równości, zespalającej naród szlachecki węzłami braterstwa, kryją się otchłanie społeczne: szlachta zubożała nie wypuszczająca z rąk pluga i oręża, potężni panowie niby udzielni książęta Rzeczypospolitej, trzymający wszystko i wszystkich na pasku. Pod osłoną surowej pobożności, czuwającej zazdrośnie nad każdym poruszeniem, nad każdą myślą człowieka, łamie się najświętsze przykazania, depce boskie i ludzkie prawa. Przestrzeganie obyczajów i tradycji przodków, staropolskich cnót rodzinnych, nie ukróca samowoli, a ta, dla postawienia »na swoim«, nie przebiera w środkach prowadzących do celu. Halaśliwe popisywanie się »złotą wolnością« i cnotami starożytnych nie wyklucza sobkostwa, kupczenia urzędami i obkradania skarbu publicznego. Dowody nieustraszonego męstwa i wylanej ofiarności, na ołtarzu ojczyzny składane, idą w parze z przykładami niezwykłego tchórzostwa i zaniku ducha rycerskiego, skromne zasoby umysłowości i zacieśnienie widnokągu do zagrody dworku szlacheckiego obok zarozumiałości pomiatającej innemi klasami i narodami jako niewolnymi. Pochopność do wybuchów miłości przy zapamiętałej nienawiści, gotowość do oręża obok skłonności do łez, rozrzutność i gościnność obok sknerstwa i chciwości, korzenie się przed tytułem i godnością obok dumy i buty, nieuczynających żadnej powagi — wszystko to skupia się w tym starszlacheckim świecie w jakąś pogmatwaną, chaotyczną całość. Taki zamęt objawia się też w piśmiennictwie w krzyżowaniu się różnorodnych i sprzecznych kierunków.

Jak społeczeństwo wieku XVII. zrywa się niekiedy na wielkie, śmiałe przedsięwzięcia, tak i pisarze tego stulecia zdobywają się na wielkie, historyczne płótna, schodzą z katedry w szeregi gminu szlacheckiego, obserwują jego życie, fizjonomię i środowisko. Zkłębione lub drzemające jeszcze uczucia zaczynają się krystalizować w liryce, nie pozbawionejrzewniejszych tonów. Od połowy XVII. wieku, od strasznej zawieruchy kozackiej i potopu szwedzkiego, zaciemnia się widnokrąg literatury, potęgują się niepomysłne warunki rozwoju umysłowego. Najlepsze siły narodu zużywała walka z nieprzyjacielem: z Turkami i Tatarami, ze Szwedem i Rakoczym, lub z niebezpieczniejszymi sąsiadami. Co gorsza, łono narodu szarpały wojny domowe, rokosze i bratobójcze walki, które »połowę ziem Rzeczypospolitej pokryły gruzami i popiołem«. Nieustanne te zapasy wojenne odciągały szczupły zastęp pracowników od zajęć umysłowych, szerząc naokół zamęt i zdziwienie, potęgując burzliwość i rozpasanie wśród niehamowanej żadnem wędzidłem braci szlacheckiej. Naród szarpany nieczgodą stronnictw i prywatą oligarchów, »wzburzony do gruntu powszechnym nierządem«, nie zdołał wydobyć ze siebie zasobu potrzebnych sił do pracy organicznej.

Oblicze literatury, przedstawiające wielkie podobieństwo do fizjonomi i narodu zaciemnia się do reszty w epoce królów Piastów. Jak tu bohaterskie czyny pod Wiedniem znikają w zgiełku codziennych burd i zajazdów, tak giną głosy świątłych mówców i poetów w tłumie znikczemniałych pismaków. Nierząd panu-

jący na sejmach i sejmikach odbija się nieładem, pstrącizną, zamętem myśli w utworach literackich. »Wszystkie wady panujące w życiu społecznym — powiada jeden z współczesnych pisarzy — zbytek, niekarność, cudzoziemczyzna wtargnęły do piśmiennictwa. Znane z owych czasów przysłowie »Wolno w Polsce jak kto chce« stało się równie godłem i zasadą piszących. Wychodząca ze szkół metoda dyalektyczna i jątrzona ustawicznie zawiść ku różnowiercom, zaszczerpiała w pismach polemikę zgubną dla nauki i dobrego smaku. Wygórowane w narodzie pojęcia o szlachectwie i duma możnowładców, podsycając ducha panegiryzmu, kaziły pióra pochlebne i wiodły tą drogą styl do przesady«, do szumnej deklamacji, do czezej retoryki. Rozrzutność, dworszczyzna i chęć błyszczenia prowadziły na bezdroża efektownych porównań, zciąganych ze wszystkich dziedzin wiedzy, na manowce dowcipów, igraszką słów okraszonych, grzeszących przeładowaniem ozdób. Wybujalność ta, w szkole włoskiej wyhodowana, rozgościła się na dobre w słowie i piśmie polskim, gdzie znalazła aż nadto podatny grunt. Wychowanie, spoczywające przeważnie w ręku zakonów (szkoły akademickie stały jeszcze niżej), uprawianiem scholastyki średniowiecznej, schlebaniem i dworactwem zaszczerpiała te nałogi i wady w krew literatury, bo w mózgi młodzieży.

W przeciwieństwie do piśmiennictwa minionej doby, odznaczającego się obok świeżości myśli i młodzieńczego polotu jakimś parciem naprzód, znamionuje cały ten okres nie tylko brak nowych, głębszych idei, ale wogóle brak dążeń, kwitizm umysłowy, prowadzący do zastoju i gnuśności. Piśmiennictwo kroczy utartym szlakiem, po relsach rutyny, na przestrzeni niewielkiej i zacieśnionej. Przeważa lektura nabożna, stopy panegiryków i przedruki lub przeróbki rzeczy dawniejszych.

Już od połowy XVII. wieku, od sromotnej klęski Pilawieckiej, od owej »rany otwartej, przez którą się wysączyła najlepsza krew polska«, zanika powoli »ruchliwość umysłów i swoboda myśli«, a krzewi się »sofizmatami politycznymi zepsuty smak literacki«. Wojny, a w czasie pokoju zajazdy i procesy, hulaszcze życie lub pijatyka zaprzątają ciasne głowy szlacheckie. Maleje zastęp piszących, coraz mniej miłośników literatury, duch dewocyi i nietolerancji gasi ostatnie iskielki światła, ukrywającego się gdzieś w archiwach familijnych. Z druku wychodzą już tylko kalendarze z przepowiedniami, książki do nabożeństwa i panegiryki, przestraszające pstrą mieszaniną językową lub proste łgarstwa. Szlachetniejsze, śmielsze myśli, skarby poezji, nie znajdując u ogółu poparcia ani zrozumienia, krążą w ciasnym kole znawców, czytane przez szczupłe grona wybrańców. Literatura, wypływająca z potrzeb społeczeństwa i obliczem swem do narodu zwrócona, idzie w służbę możnych, staje się rozrywką panów. Sfery ludu wiejskiego i mieszczan, z których rekrutowali się jeszcze nasi pisarze do połowy XVII. wieku, teraz przez szlachtę ugniecioną, nie wydają już poetów, na parnacie XVII. w. błyszczą już wśród szlachty imiona wielkich senatorów, w pierwszej połowie następnego wieku ujmują ster piśmiennictwa w swe dłonie całe rody magnackie Radziwiłłów, Wiśniowieckich, Jabłonowskich, Załuskich, zachowujący w ogólnym upadku oświaty jaki taki polor literacki. A że dygnitarze nie dbają o poklask gawiedzi, więc muza ich, goszczona w murach starożytnych zamków lub na salonach pałaców, odwracała się od »bezmąslnego motłochu« i dlatego nastąpił zupełny niemal rozbrat literatury drukowanej, przystępnej dla wszystkich, i drugiej, przeznaczonej dla śmietanki społeczeństwa, najczęściej krążącej w rękopisach. Talent poetycki przechodzi dziedzicznie, jak klejnot herbowy, z ojca na syna. Przypominam Jerzego

Lubomirskiego, dumnego rokoszanina i jego syna Stanisława Herakliusza, jednego z najwykształceńszych poetów XVII. wieku, Rafała Leszczyńskiego, wojewodę bełzkiego i jego syna Andrzeja, wreszcie króla Stanisława, z wcześniejszych: braci Opalińskich, Morsztynów itp.

Kiedy jeszcze w XVII. w. wydają Aryanie całe zastępy poetów i pisarzy, jak Lubowiczy, Szlichtyngi, Wiszowaci, poczęści nawet Morsztynowie, jak Karmanowski, Krzypkowski i Kalwin Naborowski, wszyscy trzej dworzanie ks. Radziwiłła, to w pierwszej połowie XVIII. w. znikają zupełnie z widowni literackiej — wytępieni już w ubiegłym wieku ogniem i mieczem przez katolików. Za Sasów biorą znów górę w piśmiennictwie duchowni, przeważając stanowczo pisarzy świeckich. Wracają czasy głębokiego średniowiecza, z tą różnicą, że to, co było wtedy potrzebą serca i świętością, stało się teraz obłudą i świętoszkostwem. Piśmiennictwo polskie stacza się po drabinie rozwojowej na ostatni szczebel.

W żadnej dobie rozwoju naszej literatury nie było tak głębokiej przepaści między wybitniejszymi pisarzami a ogółem społeczeństwa, jak w tym wieku, rozciągającym się do czasów reformy Konarskiego. Zastęp znamienitszych talentów tak odsakował od ciemnego tła szlachty, stanowiącej naród, że wyglądała jak »cienie minionej przeszłości w własnym stuleciu«. Stąd tysiące napuszonych panegiryków, drugich tyle mów weselnych, pogrzebowych i sejmowych głosów tłoczyły prasy krajowe i zagraniczne, a księgarze sprzedawali jako pokupny towar, ale dzieła najwybitniejszych tego czasu poetów i historyków spoczywały do niedawna snem zapomnianych, głęboko ukryte pod pyłem bibliotecznym w splewiałych foliantach rękopiśmiennych. Ci najgodniejsi rozpowszechnienia pisarze, obdarzeni rozumem lub zdolnościami, nie znajdowali podówczas czytelników. Co gorsza, nie mieli ich nawet najznakomitsi zygmuntowskiej doby poeci, że tu wspomnę tylko Jana Kochanowskiego, którego zbiorek poezji do roku 1640 dziesięciokrotnie był przedrukowany a jego przekładu psalmów odbijano dwadzieścia wydań. Od 1641, przez wiek cały z okładem, nie drukowano już ani jednego wiersza twórcy »Trenów«. Czyż ten jeden szczegół nie ilustruje dobitnie nagłego upadku piśmiennictwa? Czy mogło być inaczej w społeczeństwie, które w samolubnej polityce i pustym sejmikowaniu zaprzepaściło wychowanie i sprawiedliwość, deptało kwiaty uczuć społecznych i zatraciło do tego stopnia potrzebę czytania, że najwালniejsze dzieła butwiały w rękopisach a inne rozchodziły się leniwo i w małej bardzo ilości druków. Piśmiennictwo toczy się po owej pochyłej płaszczyźnie, na której ją zostawił wiek miniony. Zło, plamiące świetne niekiedy karty dziejów narodowych, było spuścizną przeszłości, aureolą sławy opromienionej. Burze elekcji, nierząd bezkrólewia, zrywanie sejmów, lekkomyślna gospodarka skarbu, brak wojska, te i tym podobne grzechy publiczne, tak wybujałe w XVII. i pierwszej połowie XVIII. wieku, zasiał wiek poprzedni. Społeczeństwo polskie stacza się powoli, ze stopnia na stopień, w coraz głębszą otchłań. Sprawa Zborowskich, ilustrująca butę szlachecką, przechodzi w drugim pokoleniu w otwarty rokosz Zebrzydowskiego; w pół wieku potem podnosi Lubomirski bunt w nadziei wstąpienia przy pomocy obcych gabinetów na tron ojczysty. Konfederacja tarnogrodzka sprowadza wojsko rosyjskie jako gwarancję pokoju między królem a narodem.

Od zawiści, podstawiającej nogę Batoremu lub Zamojskiemu, do wydania kraju nieprzyjacielowi przez Opalińskiego, a stąd do zdrady ojczyzny za pieniądze — mamy kilka jeno kroków! Bezgraniczna prywata oligarchii, narzucającej swoją wolę



Tryumfy wojenne Jana III., rycina Romana de Hooghe z XVII. wieku.

ludowi, rycerstwu, koronie, zarówno jak niepomierny wzrost [jednej] klasy społecznej na szkodę i zagładę innych — owoc minionego wieku — nie wyklucza zrazu przykładów bohaterstwa. W pierwszej ćwierci XVII. stulecia zdobywa się szlachta jeszcze na czyny tak olśniewające jak zwycięstwo Chodkiewicza pod Chocimem, a możnowładztwo na osadzenie Dymitra na tronie carów, ale czyny to dorywcze lub w skutkach bezowocne, bo szerokim aspiracyom nie odpowiadały siły materialne, bo szlachetniejszym porywom brak wytrwałości.

Ale pod koniec XVII. wieku zapadają te jasne chwile w czeluściach intryg obcych gabinetów. — Po heroicznym czynach Żółkiewskich i Czarneckich na-



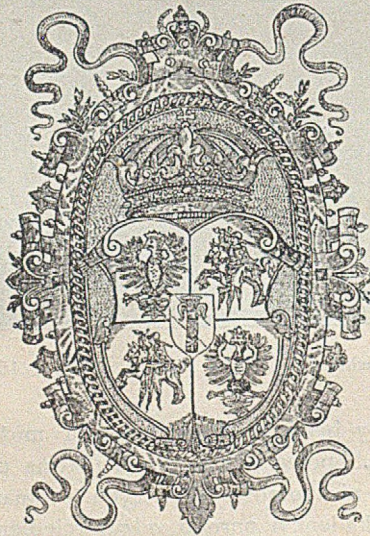
Nr. 3. Jonas Schlichting, eques Polonus, (1592 † 1661) Socyanin

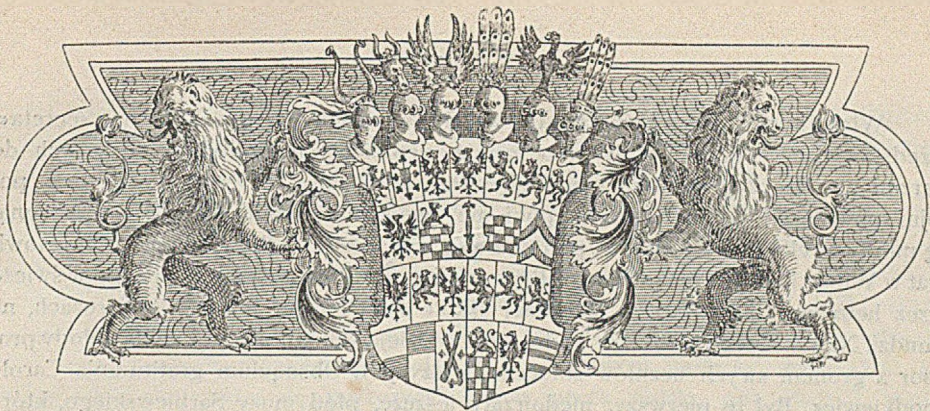
stały w XVIII. wieku czasy bezwzględego egoizmu możnych rodów, ugrzęzłych w materializmie używania. Społeczeństwo do niedawna pełne ruchu i życia, popada w stan odrętwienia, niezdolności do czynu — marazmu. I piśmiennictwo jako najwierniejsze tej dekadencji narodu odzwierciedlenie, spada z wyżyn roz-taczających szerokie widnokreśli myśli, i odsłaniających barwne, pełne humoru lub skargi obrazy życia, na poziomy płaskich, jednostajnością nużących okazów.

Bujnie rozrosłe królestwo poczui polskiej, imponujące do niedawna liczbą i miarą przedniejszych talentów usycha — zdobywając się zaledwie na trzy gałęzie poczui: panegiryczny, religijny i swawolny. Zależność ludzi »niskiego« pochodzenia od szlachty, a tejeż od arystokracji wytwarzała taką służalczość wierszopisów, że ci zniewoleni byli do opiewania każdego ważniejszego w rodzinie

swych »dobrodzici« wypadku, od kolebki przez kobierzec ślubny aż do grobu. Wzrastająca z dniem każdym dewocya i fanatyczna gorliwość religijna wytwarzały potrzebę pieśni nabożnych, poświęconych czci zdwojonej liczbie świętych i klasztorów. Roi się od »piśmideł ascetycznych, o formie haniebnej i myśli poziomej«, pełno panegiryków treścią przesadnych i kłamliwych, a dzikich i śmiesznych formą. Kadzidła owe palone na ołtarzach niebieskich i ziemskich bogów, owe wiersze szablonowe, które »pisało ubóstwo, a drukowała próżność«, zasypują rynek literacki. Równocześnie jednak skrępowany pętami dogmatu i moralnego poddaństwa umysł społeczeństwa, z natury krewkiego i nierządem rozpasanego, domagał się odpowiedniego pokarmu, żywej zabawy — a tej mu dostarczyć miały sprośne, tłuste żarty, grube, płaskie dowcipy, ciężkie, niezgrabne, ale jędrne i z życia czerpane »figliki«, od fraszek Smolika począwszy a skończywszy na epigramatach Żaluskiego. Przepelnione są niemi nie tylko szlacheckie Lasy rzeczy (Silva rerum), ale każdy z wybitniejszych poetów pódził owe bękarty muz. Wszystkie te trzy rodzaje poczui, tak rozwielmożnione w tym okresie upadku, że groziły potopem całej twórczości, wydał i wykarmił schyłek XVI. wieku. Od schyłku więc tego stulecia, które odkwitem renesansu nazwaćby można, zacznijmy nasz przegląd poetów polskich.

Pierwszeństwo należy się z wicku i dostojenstwa Jezucie Sarbiewskiemu.





ROZDZIAŁ DRUGI.

POECI POLSCY.

Swiatło humanizmu, zrazu w murach akademii Jagiellońskiej zamknięte, rozkrzewiło się w złotym naszej literatury wieku po wszystkich zakątkach ziem Rzeczypospolitej i rozświecało zachmurzony jej widnokrąg w siedemnastym wieku. W wiekowym swym pochodzie zmieniło ono ton i barwę, stosownie do okoliczności miejsca i czasu, charakteru swego jednak, zawarunkowanego obcem pochodzeniem, zmienić nie mogło. Kiedy pierwsza grupa humanistów z Janickim na czele, rozplywa się w uwielbieniu mistrzowskiej formy klasyków rzymskich, wnikają humaniści drugiej grupy pod wodzą Jana z Czarnolasu w głąb świata klasycznej starożytności, przyswajając jej wzory literaturze ojczystej, która pod ich piórem święci okres rozkwitu. Świątną tę plejadę poetów łacińsko-polskich zamyka trzecia i ostatnia grupa humanistów, zbliżonych do siebie osobistymi stosunkami i pokrewnych wspólnym kierunkiem odkwitającego renesansu, a pierwsze wśród nich miejsce zajmuje Sarbiewski, z gromadką pisarzy jak dziejopisarz Stanisław Łubiński, poeta Wojciech Ines i inni.

Maciej Kazimierz Sarbiewski urodził się 1595 w dziedzicznej wiosce Sarbiewie, położonej w województwie płockim, w ojczystym gnieździe szlacheckim. W dwunastym roku życia oddano go do szkoły jezuickiej w pobliskim Pułtusk. W czwartej klasie, w tak zwanej poetyce, mając lat szesnaście zaczął pisać wiersze łacińskie, co leżało w programie ówczesnego wychowania. Po wielu latach przypominał sobie

Dzień ów wielki, dzień miniony,
Gdym najpierwszą złożył pieśnię,
Gdy nad Narwią harfa brzękla
Niedoleżną jeszcze nutą...

Właśnie w tym czasie, kiedy wyszły z druku słynne »Monita secreta«, przedstawiające zakon Iojoli jako zgrają przebiegłych polityków, dążących do ujarznienia Rzeczypospolitej, kiedy ogłoszono publicznie, że »póty w Polsce po-koju spodziewać się nie możemy, póki nie wypędzimy stąd Jezuitów«, zaciągnął się młody wychowanek Jezuitów, pod chorągiew mistrzów. Odbyszy przepisany nowicyat w Wilnie i studia filozoficzne w Brunsbergu, został nauczycielem poetyki w świeżo przez hetmana Chodkiewicza założonej szkole szlacheckiej Jezuitów w Krożach, na Żmudzi. Na cześć tego sławnego wodza i dobrodzieja zakonu ułożył i wydał młody profesor z gronem swych uczniów zbiorek wierszy p. t. Obsequium gratitudinis Carolo Chodkiewicz. Był to pierwszy, niedojrzały jeszcze, płód muzy Sarbiewskiego, który w r. 1619 ujrzał światło dzienne w tłoczni wileńskiej. Odtąd kilkakrotnie opiewał chwałę wielkiego hetmana i poległego na polach Chocimskich bohatera. Pełniąc obowiązki nauczyciela retoryki i prefekta kolegium Jezuitów w Płocku, słuchając następnie w Wilnie wykładu św. teologii, oddawał się z zamiłowaniem poezyi. Jezuici oceniając niezwykle zdolności młodzieńca wysłali go na dalsze wykształcenie do Rzymu »w tem przekonaniu, że po nabyciu wiedzy w stolicy świata chrześcijańskiego przysporzy zakonowi niemało sławy«.

Trzyletni pobyt (1622—5) w wiecznym mieście, w klasycznej krainie piękna, stanowi przełom w rozwoju naszego poety. Zrywa on tu powoli pod wpływem ożywczych promieni poezyi włoskiej z tradycjami epoki panegirycznej, a przejmując się nowszym kierunkiem kwitającego baroka. Studya literatury i sztuk starożytnych, zbliżenie się do papieża Urbana VIII, poety i mecenasa nauk, otoczonego wieńcem uczonych i artystów, pogłębiły jego wykształcenie klasyczne, rozbudziły wyobraźnię a poezyi jego szerszy wskazały zakres. Głowa kościoła chrześcijańskiego i potężny naówczas monarcha dawał młodemu pocię, przybyłemu z głębokiej Litwy, dowody osobistej życzliwości. Przejeżdżał się z nim w powozie po mieście, zapraszał na dwór, uwieńczył skroń jego wieńcem poetyckim. Właśnie w owym czasie zebrał był papież uczonych i poetów włoskich w celu poprawy brewiarza rzymskiego. Nie zapomniał więc powołać i Sarbiewskiego do redakcyi odnośnych pieśni kościelnych. Z zadania tego wywiązał się chlubnie Sarbiewski. Hymny na cześć świętych i patronów polskich, jak przerobienie wspa-niałego hymnu Zmartwychwstania Pańskiego, są zapewne jego pióra. W tej atmosferze tworzył nasz poeta liczne pieśni, poświęcone papieżowi, jego otoczeniu lub służące polityce kuryi, zajętej myślą wskrzeszenia krucyaty przeciw Turkom. Liryki i epigramaty jego, krążące w odpisach, zjednały mu sławę uczonych włoskich i francuskich. Zebrane zaś i ogłoszone drukiem w Kolonii 1625 r. — później kilkakrotnie przedrukowane — rozgłosiły imię poety po całej Europie.

Sarbiewski znał dokładnie prawidła metryki i rytmiczności starożytnych z bezpośredniej literatury, a miary jego utworów poetycznych, układane pod wpływem klasycznych poetów łacińskich, świadczą o głębokiem wniknięciu w ducha starożytności. W tej klasycznej szacie ukazał się pierwszy plon jego natchnienia rozkwitającego pod niebem włoskiem, wśród przepychu, jaki roztaczał papież, sam poeta i mecenas uczonych.

Za powrotem do ojczyzny (jesienią tegoż roku) zaprzął się nasz »wieszcz sarmacki — co tak dźwięcznie zagrał na lutni najslawniejszego poety rzymskiego« — do jarzma szkolnego, bakalarzując w kolegiach jezuickich w Nieświeżu i Płocku, skąd go wreszcie powołano na profesora teologii w uniwersytecie wileńskim i mianowano kaznodzią przy tamtejszym kościele (1627—1635). Król

Władysław IV, znawca literatury i sztuki, powierzył mu urząd kaznodziei nadwornego, który z wielką gorliwością aż do swego zgonu (1640 r.) pełnił. Zstępującego z ambony złożono na łożo, z którego się już nie podniósł.

Był to zakonnik pracowity i skromny, lubo zajmował pierwsze miejsce wśród ówczesnych humanistów. »Najznakomitsi uczeni i poeci — powiada jego biograf — tak polscy jak zagraniczni, unosili się nad jego utworami i okazywali mu liczne dowody swego uwielbienia. Wydawcy zagraniczni, wśród nich uczony humanista Moret, chluba Belgii, dobijali się o prawo nakładania jego utworów, a o wielkiej ich poczytności w całej Europie świadczy najlepiej niezwykła ilość wydań, jaką nie może się poszczycić żaden poeta polski, ani obcy«. Wyszło około 60 edycji jego poezji, przełożonych na różne języki. Współcześni zarówno jak potomni nie szczędzili mu pochwał, pełnych entuzjazmu i uniesień. Słynny humanista niemiecki Hugo Grocyusz, mieni go wyższym od Horacego. Protestant Jan Cramer stawia naszego Jezuitę jako »najpierwszego liryka wieku nad wszystkich poetów francusko-łacińskich«. Jakób Balde, współczesny mu Alsatczyk, rywalizujący z Sarbiewskim na niwie poezji, z zachwyceniem mówi o nim, nazywając go »najsławniejszym harfiarzem północy«. Anglik Knox sławi go jako największego liryka, który »Horacego nieraz przewyższył a daleko pozostawił za sobą Widę i Barberiniego«. Cały świat chrześcijański rozbrzmiewał sławą »nowego Orfeusza«. Poezje jego objaśniano w gimnazyjach angielskich obok klasyków rzymskich, filozofowie wykładali o nim na wszechnicy oksfordzkiej, studyowano go w uniwersytetach włoskich, a węgierska akademja umiejętności wydała swoim kosztem i staraniem stereotypową edycję jego dzieł.

W obec tego, że i nasi filologowie do dziś twierdzą uporcezywie, że »Sarbiewski przewyższa Horacego wszechstronnością talentu, siłą i głębookością uczucia«, tudzież »polotem myśli i fantazyi«, przeto przypomnieć należy że naśladowca Horacego nie dorósł do swego wzoru. Poeta rzymski odbija prawdziwe oblicze wieku Augusta, oddając nieklamane wyobrażenia swego czasu językiem żywym i w prawdziwie klasycznej formie. Sarbiewski natomiast, jako jeden z ostatnich humanistów odkwitającego już odrodzenia, kopiował tylko stosunki obce dawno minionej epoki, pisał zaś językiem martwym, a wiersze jego, mimo niepopolitych zalet formy, tchną atmosferą cieplarni. Postacie Sarbiewskiego »chodzą po bruku miast chrześcijańskich w koturnach i z maskami tragicznymi na twarzy«, myśli ich nowożytnie przystrojone są w starożytnie togi. W poezji Sarbiewskiego Rzym papieski, to dawna Roma, Ojciec święty, to pontifex maximus, a król Zygmunt III podobny do cesarza Augusta. Polak, syn szlachecki, tak się wczytał w pisarzy rzymskich, tak się wżył w stosunki światowładnego państwa cesarów, że przechadzając się na forum romanum, wśród pamiątek sławy narodu rzymskiego, przy boku kardynałów w purpurze i gronostajach, przypominających postacią i mową Cicerona senatorów Rzeczypospolitej — czuł się Rzymianinem, obywatelem starożytnej Romy, poetą rzymskim, uwieńczonym gałązką wawrzynu na Kapitolu. A że władał językiem i wierszem łacińskim, może lepiej niż niejeden Rzymianin, więc nie dziwnego, że poezje Horacyusza polskiego zawracały głowę ludzi rozmiłowanych w świecie klasycznym. Zapomnieli oni o pętach humanisty, zniewolonego wyrażać myśli swe zwrotami obcymi, odgrzewającego wyobrażenia dawno zmarłego narodu, przepomnieli, że martwej mowy nie wskrzeszą do życia skrzepłe kombinacye erudycyi, że największy poeta piszący dziś po łacinie skazany jest na naśladownictwo.

Sarbiewski jest przede wszystkim naśladowcą Horacego, którego kompozycję, styl, wiersz, a nawet zwroty i obrazy żywcem do swej poezji przeniósł. Nie jest wszakże kopistą, ani uczniem powtarzającym za swoim nauczycielem wyuczoną lekcję. Osnowa poezji ze świata chrześcijańskiego czerpanej, bujnością fantazyi, a nawet formą wiersza umie wznieść się w krainę nieznaną poetom rzymskim. W stare miechy wlewając nowe wino, łudził się nasz poeta, że pogodzi dwa światy, rzymsko-chrześcijański. W istocie przekuwał na starożytną modłę plany polityki stolicy apostolskiej, której stał się rzecznikiem. Nawołuje więc w Horacyuszowskich rytmach, katolików jakby Kwirytów, aby uderzyli na »Traka barbarzyńskiego, co w kajdany okuła splekane muz i bogów widma«, tj. na Turków, ujarzmieli wolnej Helady.

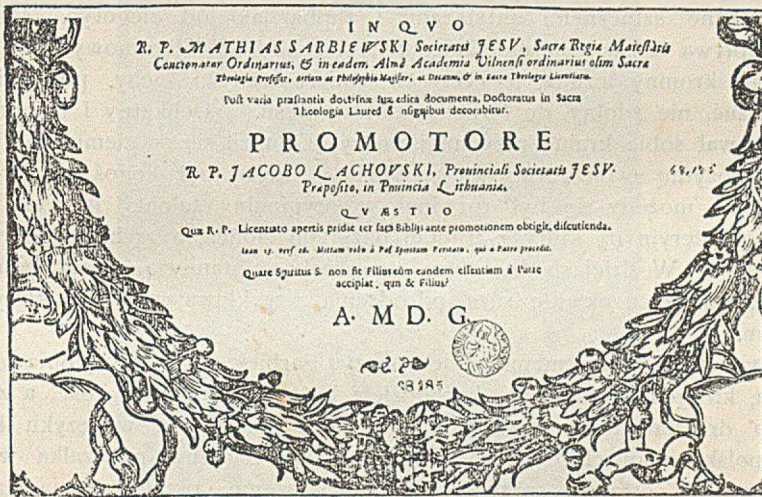
Potomek rodu szlacheckiego, osłaniającego piersiami swemi cywilizację zachodu przed nawałą barbarzyństwa, przejął się pod wpływem stolicy apostolskiej wielką myślą oswobodzenia chrześcijaństwa z pod przewagi Turków, najgroźniejszego podówczas wroga ludów Europy. Ale myśl zjednoczenia zwaśnionych narodów w powszechnej krucyacie, do której nawoływał Sarbiewski, nie mogła rozgrzać samolubnych gabinetów, ani nawrócić rydwanu dziejów na tory średnio-wieczne. Sztucznie wzniecony zapal do wojen krzyżowych musiał zgasnąć w piersiach obliczających na zimno następstwa tego kroku. Jeszcze sztuczniejsze były wiersze Sarbiewskiego poświęcone Urbanowi VIII, który światu miał przywrócić wiek złoty, albo cesarzowi Ferdynandowi II, przerastającemu męstwem Herkulesa, nie wspominając już o innych znakomitościach katolickiego świata. Zamiast stanąć na gruncie potrzeb i ideałów narodu polskiego, wychowanek Jezuitów, nasiąkniętych atmosferą kosmopolityzmu, omija burze i walki rodaków, a gdy podnieść głos w imię sprawy ojczystej, czujesz chłód wiejący z jego wierszy. Choć w pieśniach swoich podejmował niejednokrotnie rzeczy polskie nie odczuwał w takim stopniu chwały narodu jak autor »Wojny Chocimskiej«, ani nie brał sobie do serca upadku narodu, jak np. Kochowski — pozostał obojętnym, obcym swej ojczyźnie.

Wytyka mu to nawet jego przyjaciel od serca i wielbiel, Stanisław Łubiński, historyk, po przeczytaniu pewnego zbiorku jego poezji w nowym wydaniu antwerpskim. »Święci polscy — powiada uczony biskup płocki — którzy są albo z rodu naszego albo są z dawna patronami naszymi, zdaje się mieli prawo do miejsca w twoich poezjach. Pułtusk, gdzieś dał pierwszą muzom ofiarę, ani jednym słówkiem w twych pieśniach niewzmiankowany. Królową rzek naszych Wisłę, piękniejszą od Tagu, rodzicielkę złotą, minąłeś jakby zgoła ci nieznaną. Przemilczałeś Mazowszan, z których szlachtetnego szczepu ród swój prowadzisz. Jeślibyś miernym był poetą, nie zaś podziwem świata, gdybyś się nie w Polsce urodził, gdybyś nic nie winien Polsce, zniósłbym spokojnie patrząc jak pierwsze twe kadzidła niesiesz obczyźnie«...

Z tego zarzutu lekceważenia rzeczy ojczystych starał się poprawić poeta w późniejszych pieśniach, o czem donosi swemu przyjacielowi z Warszawy 1637 r. zawsze w języku łacińskim: »Częstoś mię namawiał, abym rodzinne moje rzeki Bug i Narew uczcił jakowem pieniem, otóż upomnienia twoje wiernie w mem sercu zachowane, jako nasiona puściły swe rostki. Młody wierszyk, ale bez tej świeżej zieleni, jaką miewa trawa nadbużańska. Tę młodą poezję winienem natchnieniom cichej wiejskiej zagrody pod Płockiem, jakoteż i moje Zabawy leśne (Silviludia), — do których jako słyszę muzykę mają dorabiać — wi-

nieniem otwartemu i łagodnemu niebu, pod którym leży wioska moja rodzinna (Sarbiew, o milę od Płocka). W Strzebowie, (wiosce opodal położonej) dokąd musiałem towarzyszyć królowi na polowanie, w małej nędznej chałupince uczułem w sobie dawny liryczny ogień i nie opierałem się już natchnieniu, co z niebieskich swych siedzib tak rzadko zstępuje, natchnieniu pełnemu słodczy, prawdziwie świętemu, że się tak wyrażę nadpowietrznemu».

W istocie zachwyciły te Zabawy leśne coś z powietrza ojczystych stron, tchną wiosennym wdziękiem i świeżością. W odach zarzucał na siebie Sarbiewski tożę Horacego, w Lechiadzie stroił się w pióra epepei Wergila. W »Leśnych zabawach« stara się być sobą. Jakieś rzewne, niemal romantyczne i jakby mgłą mistycyzmu owiane poczucie piękna przyrody bije z tych lekkich wierszyków. Czujesz woń uperlonych rosą kwiatów i trawek, z których każda drobnemi łązki



Nr. 6. Dyplom doktorski Sarbiewskiego.

wymadla łaskę niebieską. Z oddali dochodzą cię dźwięki rogów myśliwskich, to znów śpiewy rzeźkich żniwiarzy. A sam poeta »błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy« zapomina o łowach i pod osłoną cienistego zacisza słuca ptaszczej pogwary »śmiejąc się z próżności dwornej« i pańskich zaszczytów, »nikłych jak cienie«.

Ale nawet w cichych i promiennych obrazkach jest więcej sztuki niż poezyi, więcej erudycyi klasycznej niż prostoty i naturalności. Zwłaszcza wiersze z pierwszego, panegirycznego okresu grzeszą przeładowaniem ozdób, natłokiem obrazów, jaskrawością barw poetycznych, wogóle środkami sztuki barokowej, obliczonej na porwanie widza, na wprawienie go niespodziewanymi efektami w stan oszołomienia. Fantazyja poetycka pełna najjaskrawszych kolorów, zatytułowana »Wiek złoty«, odsłania w całej pompie fizyonomię jego muzy z tej młodzieńczej Sturm und Drang-Periode. Oto w morzu kwiecia wznosi się pałac złocisty szczytem swym pławiący się w chmurach. Ściany jego z kryształu, belki kute z klejnotów, a posadzka ułożona z cedru afrykańskiego. Wśród laurów prze-

chadzają się w purpurze i złotogłowiu pan i twórca tego pałacu, papież Urban, depcąc po różach i szafranach i kąpiąc się w wiekiem słońcu.

Bratankowi papieskiemu, którego »całą zasługą, że wystawił sobie pałac w stylu barocco, gdzie utworzył galerijkę obrazów«, wystawia portyk tryumfalny, skąd wypływa na ocean chwały kardynała — gdzieś już poza okręgiem ziemskim — i ulatuje z nim w obłoki.

Powoli wydobywa się młodociana muza Sarbiewskiego z gniożącego ją jarzma bombastu, zrywa pęta panegiryczne i ufna w lot swoich skrzydeł, w siłę uczucia rozpierającego jej piersi, puszcza się w cudowną krainę boskiej harmonii, sferę olimpijskiego spokoju i równowagi, którą podziwiamy u wenuzyjskiego mistrza. Muzyka słowa i koloryt pejzażu, rozlane po księdze czwartej liryków, ozdobionych pyszną winietą Rubensa, w wydaniu znakomitego księgarza i uczonego Moretta z 1632 r., to kres dojrzałości Sarbiewskiego. Potem opada powoli strumień jego natchnienia. Przygniata je balast uczoności i frazeologii, oziębiają efekty natkane sztucznymi antytezami i zimną jak lód alegorią. Mistrzostwo formy rozplywa się w »pieścielkach ucha i robótkach filigranowych«.

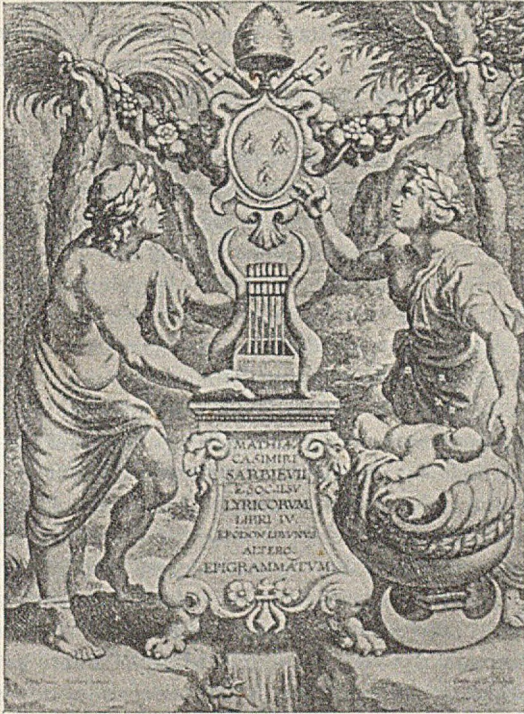
Nasz skromny Jezuita, to człowiek umiarkowany i cichy, pozbawiony głębszych uczuć, nie zdolny do orlich wzlotów myśli. »Delikatny i łagodny samotnik, ulubował sobie krainę niewinnej poezji. Obudził się na ziemi włoskiej, gdzie piękno starożytne swoje formy mu narzuciło. Gdyby był kogoś na świecie gorąco ukochał, możeby się był rozwinął w oryginalny talent. Ale tak pozostał kwiatem oranżeryjnym, który z trudem dążył do słońca, a szyby inspektu brał za błękit nieba«. W dziejach literatury powszechnej stanowią pieśni jego ogniwo pośrednie, splatające okwitłe róże odrodzenia z wykluwającym się klasycyzmem francuskim.

Przymioty i wady, znamionujące poezycę Sarbiewskiego, występują też w jego kazaniach, których miał jako kaznodzieja królewski pokaźną ilość, a z których ogłoszono drukiem tylko mowę na cześć św. Kazimierza w języku łacińskim i mowę polską mianą 1635 r. na pögrzebie Jana Sapichy, marszałka wielk. ks. litewskiego. Ta ostatnia sprawiła niemałe wrażenie; przełożono ją na łacinę, a śladów jej wpływu napotykają jeszcze przez wiek cały. Miała ona też przyczynić się do powołania mówcy, podówczas dziekana wydziału filozoficznego w akademii wileńskiej, na stanowisko kaznodziei nadwornego, opromienione sławą takiego poprzednika jak Skarga i Birkowski.

Działalność kaznodziejska Sarbiewskiego przypada na czas, kiedy fala barokowa, sącząca się niewidocznie na początku tego wieku, rozplynęła się niebawem w rozbujających fluktach po wszystkich dziedzinach ducha. Nowy ten prąd, z takim szumem rozlewający się po ławach wymowy polskiej, porwał i naszego kaznodzieję, który w pierwszej dobie swjej twórczości poetyckiej hołdował zepsutemu smakowi wieku. Jak w młodości, kiedy żeglując po obłokach poezji lotnemi pióry wznosił na cześć swoich bohaterów barokowe piramidy chwały o ciężkich bramach, tak i obecnie usiłuje w mowie najsprzeczniesze pierwiastki, biegunowo przeciwne żywioły skuć w jeden amalgamat retoryczny. Widzimy więc jak w »jaskrawej grze kłójących się kolosów« zapał kaznodziejski »łamic i kruszy, to znów składa i zlepia maścią zbawienną« laskę marszałkowską, jak ta ostatnia staje się tematem do tysiącznych, coraz dziwniejszych kombinacji i wariantów, jak w tem zamęczeniu na śmierć analogii zstępuje aż do chaldejskich i arabskich krynic wiedzy. Ale cały ten gmach wymowy »skle-

cony z lasek», przeładowany figurami a świecący golizną myśli, uginający się pod ciężarem erudycyi, nadętych przenośni i subtelnych conceptów, pełen karkołomnych alegoryi i cudacznych niespodzianek, zbudowany jest na lodzie.

W poezyi, przeznaczonej dla wybranej garstki czytelników, hamowanej miarą klasycznych reguł, ustępował w cień ten smak skażony; w wymowie, obliczonej na masy, którym bujny polot wyobraźni, nieokiełzanej wędzidłem harmonii, sprawiał niewymowną rozkosz, sadził się Sarbiewski, jak wszyscy ówczesni mówcy, na zawite alegorye i obrazy, potrzasał aparatem erudycyi retorycznej, chodził jak wielki jego na ambonie poprzednik na szczudłach bombastu.



Nr. 7. Karta tytułowa Poezyi Sarbiewskiego.

Wszelako i w tej spaczonej przywarami wieku dziedzinie góruje Horacy sarmacki nad tłumem mówców panegirycznych. »Jeżeli ogół mówców makaronicznej epoki — powiada jeden z krytyków Sarbiewskiego — i ich kaznodziejskie produkcje moglibyśmy porównać z jaskrawą a niegustowną wystawą sklepową gdzie przeróżne drobiazgi piętrzą się piramidalnie, — to mowę Sarbiewskiego przyrównałoby trzeba do poważnej budowy, w ogólnych zarysach pomyślanej prawidłowo, ale zeszcpczonej w szczegółach i omalowanej bez smaku, gdzie jednak z pośród tysiąca nieszczęśliwie naczepianych gzymsików, figur i sztukaterij przebijają poważne linie stylowe«.

W odróżnieniu do owych kaznodziei, co to »ambony świątyń przemieniały w katedry heraldycznych wywodów«, a najpospolitszą mierność, nawet zbrodnie, przystrajali w złoto i szkarłaty, nie schlebia Sarbiewski możnym, nie zniża się do

roli komedyanta, bawiącego żartami swoich panów — przemawia z godnością kapłana.

Jak od błękitnego nieba włoskiego rwał się nasz liryk do śnieżystych wierzchołów Tatr, do ojczystych, falą Wisły splukanych łanów pszenicy, tak i w kazaniach nie zapomina o obowiązkach obywatela. Wobec trumny magnata, otoczonej świtą senatorów i najwyższych urzędników koronnych, wyrzuca Sarbiewski panom ucisk ludu, w tych oto wymownych wyrazach: »Ziemianie ubodzy, niższe wszystkie stany, zaż nie są fundamenta terrac, samym gruntem i szczężajami ojczyzny naszej? Czyż nie na nich wysokie wielmożności, potęgi kosztów i siły wojennej budynki wystawiamy? Cóż za dziw, że kiedy oni przez niesprawiedliwość upadają, ojczyzna się chwieje? Jako dom nie tam wspierają, gdzie się wali, ale tam tylko gdzie łącno upaść może, tak dobry sędzia nie tak ma sprawy wielkich panów wspierać, które przez się i nakładem i potencją i respektami stoją — jako sprawy ubogich, które bez tych wszystkich podpór same przez się łącno się walą«...

Mowa ta zamyka pierwszy okres kaznodziejskiej działalności Sarbiewskiego, poświęcony głównie nauczycielskiemu zawodowi, a przygodnie tylko pracy na ambonie. Drugi okres, obejmujący ostatnie pięciolecie, pochłaniają wyłącznie obowiązki kaznodziei przy dworze królewskim. Zabrał się do tej żmudnej pracy Sarbiewski, poczynając od studyów nad ojczystym językiem, którym się odtąd tylko wyjątkowo w mowie i piśmie posługiwał. W pierwszych kazaniach zwalczał herezyę krzewiącą się dzięki energicznemu księciu Krzysztofowi Radziwiłłowi w całej Litwie. Oprócz tych kazań apologetycznych miewał mowy przy większych uroczystościach jak np. z powodu przeniesienia zwłok św. Kazimierza do nowej świątyni w Wilnie, gdzie przebrawszy się w togę doktorską — widocznie lubował się w takich efektach — wypowiedział panegiryk pozbawiony prostoty i uczucia a nadrabiający sztuką. Kazał na zamku królewskim i w kościele, przed senatem i ludem, nieraz na puszczy leśnej wlokąc się z taborem królewskim na łowy. Współcześni podnoszą, że nigdy nie oglądał się na względy ludzkie, lecz silnie piętnował występki, mocno przyganiał nawet »duchowieństwu zbaczającemu z postępu nauk i prawdy«. Jako »potężny pogromca błędu, zbrodni i nierządu« unosił się aż do zapomnienia o sobie. (I to mu właśnie śmierć przyśpieszyło). Wszelako pod habitem mniszym pokutowała dusza szlachecka, a z pod togi rzymskiej wyglądały palone buty karmazyna. Gardłuje więc jak jego sąsiedzi za »złotą wolnością, królową serc, córką rozważnej rady, matką pomyślności, karmicielką pokoju, zaszczytem i podporą narodu«. Regularnych wojsk ani twierdz nie potrzebuje, bo puklerzem Polski są wolne piersi jej obywateli.

Spuścizna rękopiśmienna po Sarbiewskim, jeszcze z polecenia króla Władysława IV zebrana, zalega do dziś na półkach bibliotecznych. W archiwum ks. Czartoryskich znajduje się między innymi jego Poetyka, rzucająca ciekawe światło na estetyczne poglądy Horacyusza polskiego, któremu nie obce były zasady Scaligera, ani dzieła polskie wysoko przezeń cenionego poety Jana z Czarnolasu. Jako profesor wymowy wykończył pracę mitologiczną, wykazującą wielki zasób erudycji młodego uczonego, a przechowaną również w rzeczonym archiwum. Zostało też po nim kilka tomów kazań, które zawieruszyły się gdzieś podczas burzy, jaka przeszła w ubiegłym wieku nad zakonem Jezuitów. Przechowały się w druku jeno ułamki, świadczące o skażonym smaku kaznodziejstwa.

Poeta, którego głos nawołujący zwaśnione ludy do zgody i pokoju powsze-

chnego, do wskrzeszenia starożytnej Helady (na dwa wieki przed Byronem), rozlegał się po całej Europie, który umiał wzniesić się »ponad dymy chat ojczy- stych« i ogarniał »ludzkość całą serdecznymi ogniwami współczucia« nie mógł otrząsnąć się zupełnie z pyłu szkolnego. Obowiązki powołania, atmosfera zakonu, odgradzające poetę murem przeczytych form, zniewalały go do zasklepienia się w labiryncie subtelności krasomówczych. (Świadectwem traktat *De acuto et arguto*).

Sarbiewski był ostatnim poetą łacińskim w Polsce. Po nim fale narodowości wzbity się już tak wysoko, że zatopiły ów ogródek z obcem kwieciami, a strumień poczty rodzinnej popłynął naturalnem łożyskiem. Do rzędu tych poetów, przemawiających już w ojczystej mowie, należy Zimorowicz, godny Szymonowicza następcą, o tyle odeń niższy, o ile niższym jest lot muzy Sarbiewskiego od Jana z Czarnolasu. Zimorowicz należy do poetów zrosłych ze stosunkami stolicy ziem czerwonoruskich.

Słusznie zauważono, że z braku wielkiego ogniska społecznego i umysłowego w Polsce (pod koniec XVI. wieku przeniósł Zygmunt III. stolicę państwa z Krakowa do Warszawy), tudzież z powodu wielkich terytoryalnych, etnograficznych i związanych z niemi społeczno-politycznych warunków, piśmiennictwo polskie przedstawia w niektórych prowincjach Rzeczypospolitej odmienne koleje rozwoju umysłowego, zjawiska duchowe odrębnej natury, z których dopiero w XIX. stuleciu wytwarza się literatura narodowa.

Ożywiony ruch kolonizacji na ziemiach ruskich, rozbudzone tętno życia na dworach możnowładców Zamojskich, Herburtów, Wiśniowieckich, Zbaraskich, porosłych w pierze krwawicą ludu ruskiego, wreszcie udział w ruchu umysłowym zamożnego mieszczaństwa we Lwowie sprawiały, że do połowy XVII. wieku ta dzielnica Rzeczypospolitej nie ustępuje w kulturze rdzennie polskim krajom. Na tej dziewiczej glebie powstała Akademia zamojska, Rzeczpospolita babińska, tutaj wychodzą z drukarni pisma aryańskie, propagujące nowe pojęcia i wierzenia. Po Klonowiczu i Szymonowiczu przychodzi kolej na Zimorowicza i Twardowskiego, tworzących niejako odrębną grupę czerwonoruskich poetów. Są to przeważnie przybysze z ruchliwego Mazowsza, z pochodzenia synowie kmieci, a sami mieszczenie, wprowadzający do literatury żywioł ludowy na tle przyrody. Najgłówniejszy z ówczesnych poetów Samuel Twardowski, jak ostatnia z tego okresu Elżbieta Drużbacka, pobytowi na Rusi lub Małopolsce zawdzięczają rozkwit swego talentu.

Plugiem ludu polskiego zorane ziemie Czerwonej Rusi, kulturą szlachty polskiej obficie zasiane i krwią polską zroszone, zaczęły już w XVI. wieku wydawać plon literacki. Żywiołowi polskiemu, przywdzianemu w klasyczną szatę literatury, torują tu drogę duchowni jak Grzegorz z Sanoka. Za nimi kroczy szlachta w zwartym szeregu z Rejem, ojcem poetów polskich, na czele. Wreszcie pod koniec XVI. a na początku XVII. stulecia przychodzi kolej na mieszczaństwo. Zwłaszcza zubożony handlem i przemysłem stan miejski w stolicy kraju, przejął się cywilizacją polską, asymilując żywioły ruskie i ormiańskie, zaczął skutecznie rywalizować na polu oświaty ze szlachtą, dzierżącą w swym ręku ster umysłowego i społecznego życia Rzeczypospolitej.

Z mieszczan Lwiego grodu wzbity się najwyżej twórca Sielanki polskiej Szymonowicz, którego wpływ sięga w głąb literatury XVII. wieku. Po nim zajmuje zaszczytną w dziejach i literaturze tej dzielnicy kartę Zimorowicz, syn murarza lwowskiego. Domek, w którym się urodził nasz Bartłomiej (1597 r.), stał na przedmieściu, zwanem dziś Łyczakowem, u stoku góry porosłej jeszcze winnicami.

Ustroń ta, napawa go w późnym wieku tęskną miłością. »Ona — powiada poeta — milej się do mnie nad inne uśmiecha, ona widziała mój wiek {dziecinny, pielęgnowała chłopięcy, młodzieńczy pierwiastkami nauk kształciła. Dym jej świecił mi w mej młodości jaśniej od płomiennych ognisk, a dziś — pisał to po napadzie Kozaków 1648 r. — pożarami jędz ruskich nad miarę zgęszczony, wyciska mi łyzy. Około dwustu domów liczyło to przedmieście, teraz, w kupę popiołów zmienione, ledwie ma kilka chatek — ja jednak zapomnieć o niem nie mogę«.

Od wil i pałacików zamożnych patrycyuszów odbijało małe gospodarstwo Ozimka — bo tak się nazywał ojciec Zimorowicza — z ogrodem warzywnym i sadem. Tem gospodarstwem domowem zajmowała się zapewne matka poety, ojciec zaś trudnił się rzemiosłem murarskim, budując jako majster samoistnie mniejsze budynki.

Jak jego rodzice był Bartłomiej obrządku rzym.-katolickiego, a nie ormiańskiego. Żaden bowiem Ormianin nie mógł wówczas piastować urzędu miejskiego. A Bartłomiej, który z tak niskiego gniazda wyleciał — obie siostry jego wychodziły za piekarzy — dobił się najwyższego w mieście urzędu. Rodzice, przedmieszczanie ciężko na chleb pracujący, postanowili oddać syna do szkoły, aby zakosztował lepszej od nich przyszłości. Chodził więc malec, z przywieszonym na szyi kałamarzem, z książkami i tabliczką pod pachą, do jednej ze szkół lwowskich, aby po jej ukończeniu obrać zawód palestranta.

Przy urzędzie miejskim wieszala się podówczas cała rzesza pisarzy, podpisów, i tym podobnych obrońców czy pomocników prawnych. W ich szeregi zaciągnął się Zimorowicz, zapisawszy się do kancelarii głównego palestranta Zimnickiego, gdzie się ćwiczył w pisaniu przeróżnych pozwów, duplik i replik. Czas wolny od zajęć spędzał z towarzyszami przy kieliszku lub na podobnych niewybrednych zabawach. W obcowaniu z hulaszczą drużyną, pod wpływem doskwierających promieni miłości do jakiejś mieszczki lwowskiej, powstały pierwsze plody swawolnej muzy Bartłomieja, czego ślady zostały pono w »Roksolankach«, wydanych później pod imieniem młodszego brata Szymona Zimorowicza na we-sele Bartłomieja.

Genezę swej twórczości opiewa poeta w jednej z sielanek temi oto słowy:

Żaden mistrz nie uczył mię rytmem słów układać,
Ale sam ledwiem umiał prostym szermem gadać,
Słyszac przy godowniczych stołach trefne noty,
Pojąłem kilka wierszów dość prostej roboty.
Te ustawione w głowie jęły mi się marzyć,
Żem się też ich podobnych pokusił kojarzyć.

Kłęczącemu w ciszy nocnej swoje rymy, Kupidyn głównią świecił i tą podpałił żagiew, przy której z rumianych lic ukochanej wyczytał »wierszów fortele«.

I gdy jej pilnuję, swych nie strzegę oczu,
Zostałem rymodziejem zgoła po warkoczu.

Pierwszy utwór Zimorowicza »Żywot Kozaków Lisowskich« ujrzał światło druku w roku 1620.

Wśród żołdactwa, jakie plądrowało ziemie Rzeczypospolitej, w tej dobie nieustannych wojen, wybił się szlachcic polski Józef Lisowski, dzielnie prażący

Szwedów pod Chodkiewiczem, a później za Dymitrów Samozwańców dokazujący cudów waleczności w partyzanckich wyprawach po Ural. Zastęp jego towarzyszy, równie jak on walecznych i od uzbrojenia zwanych Kozakami, szerzył dalej dzieło zniszczenia w ojczyźnie. Uchodziło to bezkarnie w bezrządnym królestwie, pozabawionem regularnego wojska. Właśnie wybuchła była wojna trzydziestoletnia, a cesarz niemiecki, potrzebujący żołnierza na stłumienie reformacji, zawezwał na pomoc naszych junaków. Przejeżdżającym 1619 r. z całym taborem przez Lwów Lisowczykowi przypatrywał się młody Zimorowicz, a owocem tych spostrzeżeń był wymieniony poemat.

Jak historycy tych czasów, tak i poeci, dzielili się w zdaniu o tych zuchwałych rycerzach, na dwa obozy. Jedni, jak autor »Pieśni o cnych Lisowczykach« i słynny ich kapelan Wojciech z Konojad Dębołęcki, wynosili pod niebiosa odwagę, wytrwałość, czujność i rycerskość »Elearów polskich«. Drudzy, jak Olbrycht Karmanowski w zjadliwych wierszach »O konfederackich żołnierzach« i »Liście do Lisowczyka« mienia ich prostymi rozbójnikami i przyrównują do »dzikich zwierząt wiecznie krwi chciwych i nienasyconych«. Zapewne najbliżsi prawdy będą ci, którzy tu pośrednie zajmują stanowisko.

Nasz poeta patrzy na tych gołych obrońców wiary i ojczyzny, szukających natchnienia w kuflu, z pobłażliwością humorysty. Tytułową kartę zdobi drzeworyt przedstawiający takiego junaka na baryle w laurowym wieńcu, po prawicy jego stoi jako giermek bożek wojny, lewicę zajmuje arcyksiężna Cypru (Wenera) przypalająca mu serce. W tym ironicznym tonie kreśli poeta przez trzy pieśni przywary Lisowczyków, ich zawadyactwo, kosterstwo, hulatykę, kradzieże i rabunki. Dopiero w czwartej pieśni wysławia ich zwycięstwa w walce z Kozakami, aby pod koniec w rozhoworze Kiwajły z Iwanem wrócić do dawnego nastroju, niepozabawionego żywiołu swojskiej, lubo rubasznej i nieokrzeseanej humorystyki.

Żartobliwy ton poety przygłuszyły niebawem odgłosy krwawej walki, rozgrywającej się pod Chocimem. Przez stolicę Czerwonej Rusi spieszyły waleczne oddziały wojska polskiego pod wodzą wielkiego hetmana i pogromcy Turków Chodkiewicza, a wracały po zwycięstwie zdziętkowane głodem, mrozem i chorobami. Przypatrywał się z uwagą temu pochodowi nasz poeta, śledzący z uwagą ową pamiętną w dziejach walkę, zakończoną odparciem najazdów wrogiego całemu chrześcijaństwu nieprzyjaciela. Pod wpływem tego wiekopomnego wypadku, napisał Zimorowicz na chwałę oręża polskiego »Pamiętkę wojny tureckiej w roku 1621 od polskiego narodu podniesionej i szczęśliwie dokonanej«. W chórze uwielbienia, wyspiewanym przez poetów i mówców, słowem i piórem, zajmuje ten wierszowany panegiryk jedno z miejsc ostatnich.

Jeszcze lichszym jest trzeci młodzieńczy utwór Zimorowicza, ogłoszony równocześnie z powyższym wymienionym w Krakowie, 1623, p. t. »Testament luterski«, napisany prawdopodobnie z powodu uroczystości ogłoszenia dwu nowych świętych. Uroczystość ta, odprawiona w stolicy Rusi czerwonej przez Jezuitów z niebywałą pompą, była jednym z licznych ogniw owego łańcucha żarliwości religijnej, którym duch nietolerancyi pętał umysły mieszczan. Środki, jakimi oddziaływano na tłumy, rzucają światło na stopień reakcyi u aranżerów obchodu, a z drugiej strony odsłaniają stan zdziczenia uczestników. Dlatego zatrzymamy się na kilku szczegółach tego obchodu. Wystawiając w kościele ołtarze dla nowo kreowanych świętych: Ignacego i Ksawera, umieszczono ich portrety »tak bogato perłami, złotem i klejnotami przyozdobione, aby — znamienny to przykład ów-

czesnego skażenia smaku — dorównały obrazom najświetniejszych mistrzów pędzla«. Na kobiercach, którymi wyścielono świątynię, widniały »tezy z logiki Arystotelesa wyjęte, do chwały obydwu błogosławionych zastosowane i innymi sentencjami logicznymi skażone«. Na ścianach pozawieszali uczniowie konwiktu Jezuitów »przeróżne emblematy i napisy, niektóre o śmiałokciowej długości«. Podczas obchodu wydawały armaty w liczbie 80 i moździerz taki huk, że wrażliwi »z przerażenia padali ogłuszeni na ziemię«, wystrzałom z armat wtórowały trąby i rogi muzyki sprowadzonej z Żółkwi, »a młodzież szkolna wpadała co chwila do taktu z krzykiem«. Niezapomniano także o biednych, którym codziennie po 500 funtów chleba rozdawano. Następowaly potem turnieje: »40 eźdzców z ludności tak katolickiej jak ormiańskiej i żydowskiej (a więc niezupełnie jeszcze zniewieścieli potomkowie zwycięzców z pod Jerycha) walczyli ze sobą na kopie lub strzelali do tarczy«. Uczniowie szóstej klasy, zwanej od nauki wymowy elokwencyą, urządzili przedstawienie sceniczne, na którym trzej mówcy, uosabiający trzy gatunki wymowy (genus demonstrativum, deliberativum i indiciale) wysławiali cnoty świętego, układając mu z liter hieroglificznych pomniki. Charakterystyczny to szczegół wychowania Jezuitów, zaprawiających młodzież do panegiryków w duchu średniowieczyny. Występuje to również w następującem widowisku: »Aby uzmysłowić smutek całego świata z powodu zgonu św. Ignacego, wyjechało siedmiu młodzieńców, siedm planet przedstawiających, na wózkach w górę, po ogromnych drewnianych obręczach i po oddeklamowaniu odpowiednich wierszy na cześć św. Ignacego spuszczało się na dół ku wielkiemu przerażeniu widzów. Równocześnie wygłaszali inni uczniowie wiersze w rytmach starożytnych i włoskich, przedstawiając to nieme żywioły, to ptaki przyłączające się do ogólnego chóru uwielbienia świętego. Puszczano rakiety, a w końcu ziemia, góry i lasy poruszyły się do tańca, a leśni Satyrowie zakończyli uroczystość epilogiem, w którym opowiedzieli jak to uczniowie św. Ignacego nie ustają w usiłowaniach, by napoić cywilizacją nieokrzesanych dotąd całej ziemi mieszkańców.

Kulminacyjnym punktem uroczystego obchodu było palenie kacerzy. Dwudziestu czterech pachołków wprowadziło z więzienia »przedziwnie zrobioną« figurę Aryana i wsadziwszy heretyka na woła, twarzą do ogona, obwoziło go po rynku wśród obelżywych okrzyków gawiedzi. Następnie sznurami, z wieży ratuszowej spuszczoneymi, wyciągano go w górę, a podczas tej operacji palił się powoli, dopóki u szczytu wieży nie spłonął zupełnie. Podobnemu losowi ulegli inni apostaci przy spaleniu Żyszki, a rozjuszony widowiskiem tłum rzucił się na manekina czeskiego kacerza i »rozsarpał go w kawalki«. Najobrzydliwszy był proceder z Lutrem. Dobyto go z więzienia ratuszowego, wsadzono na wieprza i obwożono po mieście w towarzystwie dwunastu za ewangelików przybranych pachołków. »Na wszystkich czterech rogach rynku wytaczano przeciwko niemu formalne oskarżenie o herezję i za każdym razem na śmierć skazywano«. Następowala potem operacja ze sznurami, przyczem powoli gorzały piersi i usta zatwardziałego kacerza: »siedziba i źródło wygłoszonych herezyi«. Społeczeństwo przypatrujące się z lubością paleniu na stosie żywych ludzi (obwinionych rzekomo o świętokradztwa) znajdowało w takich oto widowiskach wielką radość, a nie szczędzili mu ich ojcowie Jezuici.

Pod wrażeniem tak jaskrawego przykładu nietolerancji, aż do barbarzyństwa posuniętej, pisze nasz Bartłomiej, płynący z prądem ówczesnej opinii, swój

obelżywy paszkwil, ochrzczony »Testamentem luterskim«. Jest to jeden z licznych okazów fanatyzmu i reakcji, jaka za Zygmunta III, ogarnęła i miasta polskie, opływające w najrozmaitsze piśmidła treści religijnej, pełne nienawiści do różnowierców. Dla scharakteryzowania stanowiska Zimorowicza wystarczy następujący wyjątek:

Twórca reformacji »nosi perukę tak olbrzymią, że mieści się w niej prawie 100 łokci podwójnej kitajki«. Sumienie przygłusza zapomocą wódki, której dziesięć kwart codziennie wypija. Dyabły całują się z nim, jeden go za prawicę do piekła prowadzi, drugi go zaś za kudły popycha itp.



Nr. 8. Św. Jan z Dukli w dziełku B. Zimorowicza *Domus virtutis* (Lwów 1672).

Kłamstwo i lubieżność są godłem jego nauki, przeciwnej wszelkiej czystości. Oto epiteta Lutra: Wydmikufel, świniester, zwodziciel i zdrajca dusz ludzkich, obżerca, kłamca, wszetecznik, krzywoprzysięsca, wszystkich zbrodni niecnót fundator, ociec i powód — herszt.

Wywołują owe przezwiska nawet u pisarza katolickiego niesmak i oburzenie. Cały utwór świadczy o nieuctwie i fanatyzmie autora, a właściwości te cechują wogóle utwory młodzieńczego okresu poety od swawolnych rymów do zjadliwego pamfletu.

Powoli jednak, pod wpływem ciężkich przeżyć i doświadczeń, dojrzewa umysł młodzieńca. Nabywszy jako obrońca sądowy (1624) praw mieszczanina — dotychczas bowiem jako przedmieszczanin nie mógł piastować godności miej-

skich — oddaje się z całą gorliwością zawodowi adwokackiemu. Załatwiając sprawy ruchliwych ormian i biedniejszych mieszczan, dorobił się w krótkim czasie sławy i majątku. Że, trzymając się litery prawa, mijał się czasem ze sprawiedliwością, dowodzą procesy jego z podmieśczanami z ulicy Gliniańskiej, którym pożycza pieniędzy na wysokie procenta, z planem z góry powziętym zaożyczenia swego dziedzictwa. Biedna wdowa skarżyła się z powodu tego na »ciężkiego wierzyciela«, za co za wpływem poety do więzienia wtrąconą została, a »wypuszczono ją dopiero po złożeniu oświadczenia, że nie będzie nigdy rozsiewała pogłosek dobrej sławie Zimorowicza uwłaczających«.

Nie odrazu też zdołał Zimorowicz poskromić wybuchy swej krewkiej, porywczej natury. Oto w roku 1631 oskarża poetę syn mieszczanina lwowskiego, że w nocy napadł go i strzelał doń z rusznicy. A był to syn bogatego złotnika Siedmiradzkiego, dobroczyńcy poety, który — jak się wyraża Bartłomiej — i muzy jego przedniejskie obywatelstwem obdarzył i skojarzył małżeństwo z patrycyuszką Katarzyną Duchnicówną. Tak więc pracą, niepozabawioną siły pięści, energii i protekcyi (spowinowaconych przez małżeństwo ojców miasta) toruje sobie poeta drogę do wyższych godności. Zostaje 1640 r. pisarzem urzędu radzieckiego, 1646 ławnikiem miejskim, a we dwa lata później rajcą czyli konsulem miasta. W końcu dostępuje najwyższej godności burmistrza stolicy Rusi Czerwonej. Porzuca zawód obrońcy, kupuje w pobliżu dzisiejszej strzelnicy miejskiej, u stóp Wysokiego zamku, dworek i w tem zaciszu oddaje się gospodarstwu (sprawie winnej lato-rośli) i literaturze. Później, otrzymawszy za żoną gospodarstwo na przedmieściu, zwanem Kalicza Góra, postawił na jej przyczółku dworek »jako port mojej starości tuż doganiającej kresu«. Tu szukał schronienia, nie chcąc zatonąć całkiem — jak powiadał — »w pospolitych sprawiach i słodząc na ustroniu pracą literacką społeczną troski gorycze«.

Powodziło mu się świetnie, rósł w znaczenie i majątek. Zakupił jedną z najokazalszych kamienic w rynku, zwaną od imienia sławnego burmistrza Kampianowską — dziś Andriollego. Na handlu z miedzią dorobił się pokaźnego na owe czasy majątku: 40.000 złp. Jako konsul miasta pobierał do 3.000 złp. rocznie, piastował przytem kilkakrotnie urząd wójta czyli przewodniczącego sądów ławniczych, oraz gospodarza czyli zawiadowcy funduszków miejskich. Był to okres rozkwitu w życiu naszego poety, zaliczają go do najpoważniejszych i najbogatszych patrycyuszów lwowskich. Ale koło fortuny toczy się szybko. — Od pamiętnego w dziejach polskich roku 1648 odwróciło się ono od swego ulubieńca. Właśnie gdy nad lwim grodem zaciężyła z мора buntu kozackiego, zakupił jako rajca miejski znaczne zapasy zboża — w nadziei zysku. Przerachował się w spekulacyi. Nastąpiły czasy pamiętne w dziejach Czerwonej Rusi, a skutki strasznego obłężenia stolicy przez Kozaków odbiły się przedewszystkiem na burmistrzu. Z dziedzictwa jego przy ul. Glińskiej i z ulubionej winnicy zostały tylko zgliszcza. Zawikłał się nadto w długie procesy, które go moralnie nękały a materyalnie niszczyły. Przypominam sprawę z Iderskim, za znieważenie sądu ławniczego wtrąconym przez Zimorowicza, jako wójta, do więzienia. Szlachcic, nie mogący być — jak wiadomo — przez sądy miejskie karany, zaskarżył Zimorowicza do sądów królewskich i uzyskał wyrok »skazujący poetę na utratę urzędu i rok więzy za zniewagę godności szlachcica«. Kosztowało to nie mało trudów, nim się »znaczną kwotą« mógł okupić. O wiele dotkliwszym był zawiły proces z opiekunem małoletniego pasierba, Złotorowicza, toczący się przez lat niespełna dzie-

więć przed rozmaitymi sądami o zwrot posagu po zmarłej żonie Zimorowicza. Sprawa ta, która napsuła tyle krwi poecie i pochłaniała wszystkie jego siły, zakończona 1671 r. zupełną przegraną poety, do tego stopnia nadwerężyła majątek patrycyusza, że inwentarz, po śmierci jego sporządzony, wykazywał jeno 14 złp. gotówki. O ile srogi ten wyrok na mieszczanina, uzyskany przez możnych protektorów jego przeciwnika, był krzywdzący i niesprawiedliwy, o ile zaś »cięży na nim samym wina zatrzymania sierocęj własności«, to trudno dziś rozstrzygnąć. Przynajmniej w obliczu śmierci poruszyło się sumienie poety i przeznaczył zna-



Nr. 9. Szym. Zimorowicz (z portretu w Zakładzie Ossolińskich).

czną część swego majątku — z pokrzywdzeniem własnych dzieci — owemu pa-sierbowi.

Niemaló kosztów poniósł też w procesie z żydami. Z powodu konkurencji byli potomkowie Judy oddawna znieawidzeni przez mieszczań. W roku 1664 przyszło do bójk. Żydzi byli uzbrojeni, a władali wówczas wcale dobrze bronią, otrzymali też załogę od starosty, biorącego w opiekę żydów przed plebejami. Mimo to ubito w tych rozruchach stukilkudziesięciu żydów, i wyrządzono szkodę na kilkaset tysięcy złotych. Pokrzywdzeni zanieśli skargę na burmistrza, a urząd ten sprawował w owym czasie Zimorowicz, i przy protekcji panów skazali go na rok więzienia. Dopiero »po długich staraniach i znacznych kosztach zdołał się uchylić« od tego wyroku.

Ani owe straty i krzywdy, ani cierpienia osobiste, ani klęski ogólne nie zdołały jednak osłabić energii naszego konsula. Niczem nieugięty i niezmordowany zebrał wszystkie siły i w czasie pamiętnego napadu Turków na stolicę Rusi, 1672 r., zdobył się na bohaterską jej obronę. Udało mu się też przy pomocy dzielnego dowódcy Łackiego, uratować ją od zniszczenia.

Życie rodzinne Zimorowicza nie było szczęśliwem. Syn kamieniarza, dobiwszy się znacznej fortuny, żeni się z córką zamożnego złotnika, aby po jej śmierci sięgnąć po rękę posażnej ormianki, a gdy i ta zmarła, pojąć za małżonkę wielką elegantkę z wysokiego rodu patrycyuszów lwowskich, »rozmiłowaną w brylantach, koronkach i aksamitach«. Po raz czwarty stara się o rękę córki bogatego kupca, a małżeństwo to zatruwa mu pod schyłek życia brat żony i zięć poety, »skończony urwis i oczajdusza«, jeden z licznych przykładów zwyrodnienia dumnych i zacnych rodzin mieszczańskich. Potomek ów możnego ludwisarza, zaopatrującego działami Rzeczpospolitą, nazwiskiem Krall, w kompanii podobnych mu szubrawców, roztrwonił cały majątek żonin, okradł swego teścia i uciekł, zostawiając żonę z dziećmi na łaskę u ojca. Na widnokregu poety coraz ciemniejsze przeciągały chmury. Nękania procesami i napadem nieprzyjaciół, przyparty do muru przez wierzycieli, popada w ubóstwo — on, właściciel trzech kamienie, mający reputację jednego z najzamożniejszych mieszczan. Pod wpływem tych ciosów zrywa poeta z nałogami młodości — z aspiracyami wieku męskiego — i, przejęty duchem czasu, szuka pocieszenia w wierze.

Z wiekiem i nieszczęściami rodzinnymi odzywa się i na lutni Zimorowicza coraz silniej struna religijna. Zaintonuje jeszcze po zawarciu przez Władysława IV. pokoju z Turkami szumny panegiryk łaciński pod pretensjonalnym tytułem »Vox leonis« (Głos Lwa t. j. Lwowa), aby pogrążyć się w pieśni nabożnej. Píše więc już jako członek bractwa literatów »obchodzącego ze szczególnem nabożeństwem msze zwane roratami« aż dwadzieścia i siedm pieśni na cześć Jezusa, Maryi, Józefa, naśladuje czy tłumaczy dwanaście »Hymnów na uroczyste święta Bogarodzicy«, układa kazanie o męce Chrystusa Pana (Ecce homo), snuje panegiryk na cześć *Obrońcy świata* (»Advocatus mundi«). Słowem ulega przemódnemu prądowi reakcji katolickiej. Opierając się na tradycyi złotego wieku — szczególnie na poezyi Kochanowskiego i Szymonowicza — nie upada tak nisko jak jego towarzysze po piórze, wszelako nie zdoła i on oprzeć się silniejszemu odeń duchowi wieku, przezwanego barokiem. »W pogoni za figurami retorycznymi — powiada jego najlepszy biograf i wielbiciel — traci z oczu wzgląd na treść i ugrupowanie całości, a używając nieumiarkowanie ozdób wywołuje napuszystość«. Dodajmy do tego niesmaczną grę wyrazów i tę nieszczęsną manierę amplifikacyi, nie pozwalającą rzeczy nazwać po imieniu, a nadto nienaturalność i przesadę w stylu — najwybitniej występujące w jego utworach łacińskich — a zrozumiemy, dlaczego płody jego pióra przypruszył pył zapomnienia. Muza Zimorowicza stoi na przelomie dwóch okresów niby Janusowem obliczem zapatrzona z jednej strony w przeszłość, skąd owiewał go prąd czystego natchnienia, a drugą stroną oblicza skierowana w przyszłość, skąd ją zalały już odgłosy zbliżającego się upadku piśmiennictwa.

Na kartach literatury zapisał się trwalej Zimorowicz dwoma zbiorami poezyi sielskiej, wydanymi pod imieniem swego młodszego brata Szymona.

Dlaczego najlepsze twory swej muzy wydał pod imieniem tego, którego zwłoki dawno kryła mogiła? Śnać nie wypadało poważnemu burmistrzowi ogłaszać

plodów młodocianej słabości, wśród których ukrywały się i swawolniejsze rymy, może uczynił to przez pamięć ukochanego brata.

Z »Sielanek« wiemy, że Szymon, którego za przykładem Teokryta Symichem zowie, był »czerstwym, chybkim, urodziwym« młodzieńcem, zmarłym w kwiecie wieku. Właśnie kiedy »gładkim rymem począł w ulotnych pieśniach śpiewać »krotofile«, sroga śmierć oderwała go muzom prawie od piersi.

Uwiądłeś nagle — żali się brat — jako kwiat różany,
I zniknąłeś jak poświata jutrzejki ranej.

Osnowa i forma wierszy, ogłoszonych p. t. »Roksolanki, to jest ruskie panny« w czasie, kiedy się starał o rękę młodej wdowy (Róży Groszajer), wskazuje, że nie układał ich 20-letni młodzieniec, piastujący niższy urząd pisarza, któremu zresztą w ostatnich dopiero czasach przypisywano ich autorstwo, ale że je pisał autor »Sielanek«. Przewijają się tu »ruskie panny« z taką gracyą i lekkością wśród kochanków, flirtujących z niemi w tak wykwintnej formie, a śpiewają symfonię miłości na tak »przeróżne«, tak »delikatne i dźwięczne tony«, że utwór ten Bartłomiejca godzien jest stanąć obok Pieśni Jana Kochanowskiego a Lutni Andrzeja Morsztyna. W »Roksolankach« tych, ogłoszonych 1654 r., a rozbrzmiewających — po przez naśladowane ze starożytności głosy — tęskną rezygnacją młodzieńca, staczającego z niemocą śmiertelną walkę, odzywa się nuta społeczna. Oto czytamy jak panowie

...łakomi zysku

Szukają biednych poddanych ucisku,
I nędznych ludzi pracą
Nienasycone szkatuły bogacą,
Zbiorą srebro blade z złotem,
Ubogich kmiotków napojone potem,
Będą mieć szkarłaty tkane,
Krwią robotników mdłych (omdłałych) zafarbowane...

Odminną cechę noszą »Sielanki nowe ruskie«, wydane w Krakowie roku 1663. Kiedy w Roksolankach żywioł idylliczny ustępuje miejsca epitalamium na cześć nowożeńców, to nowy ten zbiór zbliża się do właściwej eklogi.

Jak słusznie zauważono, następowała sielanka zazwyczaj po pewnem wyczerpaniu poezyi, po usunięciu się »lepszych jednostek« z areny walk »od gwaru i zawieruchy wielkoświatowej do ciszy ogniska domowego«. A lubo w tem odwróceniu się od obłudy wieku, od sztuczności, w tym powrocie do prostoty i natury było wiele sentymentalizmu, tkwiło w tem przecież coś z »protestu przeciw obłudom cywilizacji kroczącej po manowcach«.

Ale jeżeli idylla grecka, której twórcą był Teokryt, patrzy już przez różowe szkła na obyczaje, wierzenia i pojęcia ludu pracującego, a w naśladowanej przez nią ekłodze rzymskiej, której przedstawicielem jest Wergili, jest owa sieliskość wręcz nienaturalną, wymanierowaną, to sielanka polska XVII. wieku, odsuwająca się od burz i walk dziejowych w zacisze domowe, spada do poziomu kopii z drugiej ręki. Rozkrzewia się ten gatunek w naszej literaturze drugiej połowy XVII. wieku uprawiany przez Szymonowicza, Zimorowicza, Gawińskiego, Herakliusza Lubomirskiego i innych. A lubo wykarmiony na Wergilim i Teokrycie, odzywa się czasami głosem żalostnej skargi ludu na ucisk możnych, z ram starożytnych wychyla się prawdziwy obrazek z życia kmieci lub mieszczan.

I w sielankach Zimorowicza pełno reminiscencji z Owidyusza i Wergilego, daleko im jednak do pierwowzorów. Nikła wyobraźnia poety, lubo zasilana obcymi obrazami, tak jest ubogą w oryginalne pomysły, że czerpie z własnych utworów przędzę natchnienia (porównaj np. »Roczyznę« z »Załobą«). »Sielanki« podobnie jak »Roksolanki« to pstra mozaika z obcych kamyczków ułożona. Z polskich poetów po Kochanowskim, którego Treny cała gromada poetów XVII. i XVIII. wieku naśladuje, zawdzięcza Zimorowicz najwięcej swemu poprzednikowi na niwie sielankopisarstwa: Szymonowi Szymonowiczowi.

W »obmowie«, umieszczonej na czele sielanek, wyznaje Zimorowicz, co wien swemu mistrzowi:

Idzie Symonidowym nieodstępny śladem,
Bywszy jego i ziomkiem i bliskim sąsiadem.

Szymonowicz dostarczył mu wątku i »wskazał kształty, w których mogły się skryształizować uczucia sercem poety poruszające«. W te gotowe ramy swego poprzednika właczał treść nie zawsze przednią.

Czy z twórcą Sielanek polskich łączyły go osobiste stosunki, o tem można wątpić. Obaj mieszczanie lwowscy, obaj sielankopisarze kroczyli rozbieżnymi drogami w życiu. Starszy wiekiem, znacznie wyższe na parnacie polskim zajmujący miejsce, poszedł w służbę panów — młodszy i niższy lotem, silniej przywiązany do ojczystej grzędy, dobija się na niej najwyższej godności, ale sfery, z której wyszedł, nie porzuca.

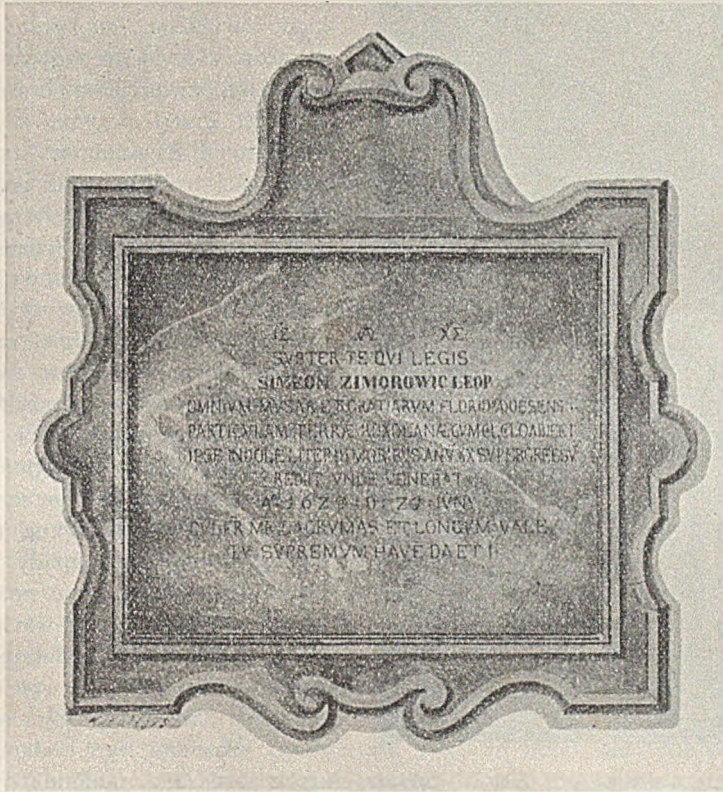
Sielanki Szymonowicza, napisane w latach 1602—13, zdobywają się na tony pieśni rzewnej, pełnej tęsknoty, jak owa piosnka żniwiarki »śpiewanej przez ły, gdy pot krwawy opływa czoło«. O kilkadziesiąt lat młodszy jego kolega po piórze uderza w swych pieśniach w ton jędrny i krzepki, dobyty z bratobójczych walk Kozaczyzny. Nad Rusią Czerwoną huczy wichura buntów kozackich. Ostafi, Wojdyłło, »czystej krwi Rusini«, opowiadają »straszne dzieje minionej burzy, cierpienia swoje i ludu ruskiego«. Z krwawych scen przebija tło nienawiści rasowej. Do nieszczęśliwej ofiary prześladowania, powołującej się na wspólność krwi i wiary, woła rabuś kozacki:

Ty, rusin, kociucho niedosyły,
Bo mięsem lackiem ruskie kości twe obrosły,
Przeto jeśli się dostać chcesz z nami do nieba,
Obić ci mięso lackie z kości ruskich trzeba...

Z całego zbiorku Sielanek wyróżniają się dwie najbardziej oryginalne p. n.: »Kozaczyzna« i »Burda ruska«, osnute na tle osobistych wrażeń poety, doznanych w czasie oblężenia Lwowa przez Kozaków i Tatarów 1648 r. W ogólnym pogromie uległ i Dorosz — pod tem imieniem występuje tu nasz poeta. — »Spalono mu chatę, pnie, gumna, rozpędzono czeladź, zabrano bydło. Sam ledwie uratował się od śmierci«. Wobec nieszczęścia, jakie dotknęło ojczyznę, milkną jego osobiste bóle. »Przedtem — woła — Ruś była zamożną i szczęśliwą, dziś wsie i dwory spalone, zamki i klasztory leżą w gruzach. Dla zbrodniczej ręki rozbestwionych tłumów nie było żadnej świętości. Splugawiono ołtarze Pańskie, znęcano się okrutnie nad sługami bożemi. Nikt nie mógł się ukryć przed okrutnikami, którzy wytropili wszelkie kryjówki, a nawet groby umarłych splądrowali. Niestety, znaleźli się duchowni, którzy im pomagali w tych bezecnych czynach«. Dorosz

dodaje z żalem, że »pohańcy (t. j. Tatarzy) byli miłosierniejsi od Kozaków, którzy z niesłychanem okrucieństwem mordowali mieszczan«.

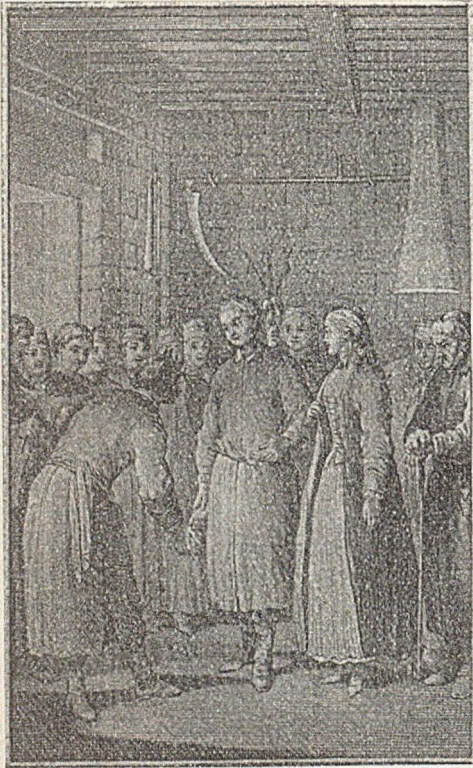
Za przykładem ojca sielanki polskiej wprowadził Zimorowicz, w miejsce promieniających szczęściem pasterzy złotego wieku, mieszczan polskich, uginających się pod ciężarem wojen i ucisku — szkoda jeno, że narzucił im własne myśli i uczucia na wzór szlachecki formowane — a lubo nieznacznie rozszerzył zakres idylli szeregiem obrazów z wojen kozackich, nie dorównywa jednak swemu poprzednikowi pod względem sztuki i poczucia piękna.



Nr. 10. Pomnik Szymona Zimorowicza (w kościele Dominikanów w Krakowie),

Tak »Roksolanki«, jak przeważna część »Sielanki« powstały wśród różnych okoliczności życia i odpowiednio tym warunkom obejmują najróżnorodniejsze przedmioty. Złożyły się na nie wspomnienia młodości i przekłady bukolik z Wergilego, pieśni religijne obok historycznych, elegie na zgon brata i żale za żonami przy piosnce dziewosłęba. Przez tę pstrokaciznę jednak przebija silnie jeden wspólny koloryt miejscowy, do stosunków współczesnych dostrojony i owiany miłością poety do stron rodzinnych. Ta miłość ziemi i pamiątek ojczystych przebija się też przez dzieła jego historyczne, pisane w długim, czterdziestoletnim niemal okresie, a odnoszące się wyłącznie do historii Lwowa. Pierwsze miejsce należy się kronice tego grodu, obejmującej wypadki od najdawniejszych czasów aż do

1633 roku. Pisał ją sędziwy już starzec, dobiegający ósmego krzyżyka, i dopiero śmierć, przecinająca nić tego niestrudzonego żywota († 1677 r.), położyła kres owej pracy, obecnie dopiero ogłoszonej drukiem (p. t. *Leopolis triplex*). Nierozdzielnie z nią złączony jest pamiętnik oblężenia Lwowa (*Leopolis a Turcis, Tataris, Cosacis, Moldavis obsessa*), oraz biografie znamienitszych mieszczan lwowskich (*Viri illustres civitatis Leopoliensis*). Zamierzał też opisać dzieje kościołów swego grodu, ale krom urywków zostawił tylko opis klasztoru Bernardynów pod szumnym tytułem »Dom cnoty i zaszczytu« (*Domus virtutis et honoris*).



Nr. 11. Rycina z dziełka p. t. *Sielanki polskie* z różnych autorów zebrane. Warszawa 1778.

Wszystkie owe prace historyczne, spisane zawiłym i napuszonym językiem łacińskim, napiętrzone stekiem obrazów w stylu barokowym, mają dla nas jako zwierciadło czasu rzetelną wartość. Przed oczyma o trzy wieki oddalonych czytelników staje w całej okazałości troisty — jak go mieni Zimorowicz — gród nadpeltewski, w którym trzy narodowości (rdzennie ruska do XIV. wieku, napływowa niemiecka i wreszcie od połowy XVI. stulecia polska), odmienne religie (rzymska i grecko katolicka, ormiańska, ewangelicka i żydowska), i różne kultury (wschodnia i zachodnia) przetapiały się w tyglach miejskich w jeden konglomerat. Zamieszkała tu ludność przechodzi ciężkie koleje, dziesiątkowana przez rokrocznie ponawiane napady krymskich i budziackich łupieżców, smagana bratobójczymi wojnami domowymi z Kozakami, Żydami i im podobnymi żywiołami. »Cała Ruś — woła za poetą łacińskim rozżalony Zimorowicz — ginie, własnymi łzami zalana i własną krwią zboczona, podobna do niestrzeżonej owczarni, którą wilk bezkarnie pustoszy«.

Spustoszeniom hord tatarskich w postaci »dziesiątek tysięcy pomordowanych ludzi i drugich tysięcy brańców pędzonych w jasyr« dorównywały grabieże niepłatnych wojsk Rzeczypospolitej, które — jak powiada Zimorowicz — lepiej niż Tatarzy i scytyjskie harpie umiały złupić prowincje. Z osłabieniem władzy królewskiej a rozszerzeniem przywilejów szlachty wzmagają się ucisk mieszczan przez dygnitarzy »żądanających co chwila dla siebie najróżnorodniejszych podarków«, nakładających coraz nowe myta i cła na towary rzemieślników. Ale przemożne rody patrycyuszów nie ustępują w gwałtach i nadużyciach magnatom.

Za przykładem panów zorganizowani w oligarchię możni kupcy, ująwszy w swe drapieżne ręce ster władzy miejskiej, przekazywali ją swemu potomstwu dziedzicznie. Patrycyusze ci, z bogactwem na dostawach i przedsiębiorstwach miej-

skich, rozporządzający funduszami miasta jakby swoim majątkiem prywatnym, uciskali »pospólstwo« i gmin przedmieszczański. Nawet tacy, jak Zimorowicz, który niedawno wyszedł z tych szeregów, zapominali o swej młodszej braci, spychając ją na samo dno otchłani społecznych.

Takiem przedstawia się nasze mieszczaństwo w świetle prac historycznych Zimorowicza. Nicodrodny syn tego na zagładę przeznaczonego stanu, szczerze przywiązany do swego miasta, trzymający w wojnie domowej możnowładców z królem stronę ostatniego, zajmuje wobec włościan i uboższych rzemieślników takie same wrogie stanowisko, jakie wobec patrycyuszów zajmowała szlachta, ziejąc jak ona nienawiścią do innych wyznań, klas społecznych i narodowości.

Zimorowicz to ostatni poeta polski, który żywił jeszcze tradycje złotego wieku. Wierszopisem wprowadzającym już literaturę na pochyłą zepsutego smaku jest Twardowski.

Nasza literatura XVII. wieku w porównaniu z okresem Zygmunto wskim mniej wykończona i harmonijna, natomiast bardziej do narodu zbliżona, zdobyła się na stworzenie nowego w poezyi gatunku: powieści historycznej. Przedstawicielem pierwszego w literaturze naszej eposu, osnutego na tle dziejowem, jest Samuel ze Skrzypny Twardowski.

Wielkopolanin, a jak przeważnie ówczesni pisarze żołnierz, i ziemianin, odbył Twardowski twardą szkołę życia wśród »hartującej ciała i ducha trudów dalekiej podróży«. Występuje zaś na widowni jako towarzysz poselstwa, które odbył książę Krzysztof Zbaraski do stolicy Osmanów, w celu zawarcia pokoju po świetnem zwycięstwie chocimskim. Orszak magnata, występującego z niezwykłą okazałością, widok miejsc pamiętnych walką kresowych bohaterów Polski z hordą Tatarską, wspaniałe obrazy przyrody bałkańskiej, wywarły na młodzieńczy umysł poety silne wrażenie, rozgrzały jego uczucie i pobudziły wyobraźnię. Z ciekawością przypatrywał się też zwyczajom i obyczajom narodu wschodniego, a owoce tych wrażeń i spostrzeżeń zapisywał skrętnie w swoim pamiętniku podróży, aby je za przybyciem do domu ułożyć w poemat, który pod tytułem »Przeważnej legacyi« ogłosił w Kaliszu 1621 r.

Pierwszy to i najlepszy utwór poetycki Twardowskiego. Następne są słabsze. Z postępem bowiem lat cofa się poeta zamiast kroczyć naprzód. Przyczyniło się do tego w części jego położenie. Po odbytej podróży, która przysporzyła mu znajomości świata i rozszerzyła jego widnokrąg myśli, osiadł poeta w ojczystej wiosce Lutynii, gdzie aż do zgonu swego dobroczyńcy Jerzego Zbaraskiego, do r. 1631 bawił. Od tego czasu rozpoczyna Twardowski ciężką walkę o byt, na chwilę złagodzoną przesiedleniem się na dwór ks. Wiśniowieckiego. Ze śmiercią tego mecenasa, 1636 r., wysychają dlań wszystkie źródła utrzymania, a ponura troska o chleb codzienny roztacza nad nim swe cienie. W owym czasie, kiedy prywata i samowola szlachty coraz silniej prawdę i światło przytłumiały, trudno było poecie o kącik dla swej muzy. W tem położeniu pisze swego Satyra na twarz Rzeczypospolitej, utwór pełen goryczy i niechęci do stosunków, które i jego swym ciężarem przygniatały, odsłaniający z całą bezwzględnością prywatę, dumę, swawolę i inne grzechy społeczeństwa. Nadaremne były jego starania, aby się dostać na dwór królewski, Władysław IV bowiem otaczał się najchętniej gronem cudzoziemców, nie gardził też pochlebiami. Skarży się na to Twardowski w następujących wierszach:

I nikt się do prezentu dworskiego nie zgodzi,
Tylko kto po francusku, kto po włosku chodzi.
Cóż pochlebców nie pełne tamte śliskie progi,
Gdzie cnotliwym nie unieść niepodobna nogi...

Skarży się też poeta, że warunki materialne zagradzają mu wrota do sławy:

...Stawa czyni ludzi, a urość zaś komu
Trudno bardzo, gdy wadzi niedostatek w domu.

Dopiero łasce Sieniutów zawdzięczał Twardowski wioskę Zarubienice, na Podolu, dokąd się też niebawem przeniósł. Ale nie długo cieszył się zacisznym gniazdkiem. Rok 1648, zapisany krwawymi głoskami na kartach dziejów polskich, zaważył też i na szali losów poety.

Pożogą wojen kozackich, z ustronia swego wypłoszony, wraca poeta do Wielkopolski, gdzie nowo wybranemu królowi poświęca swój pierwszy na większe rozmiary zakrojony poemat epiczny p. t. »Władysław IV« (Leszno 1640). Jeżeli w »Przeważnej legacyi Krzysztofa Zbaraskiego«, pisanej na podstawie osobistych wrażeń górują jeszcze świeżość i młodość nad opisowością, to w tym, a zwłaszcza w następnych utworach, przygniata nawał materiału historycznego kompozycję. W dziejach króla Władysława IV przebija jeszcze żywość przedstawienia, siła i jędrność słowa przez gąszcz rymowanej kroniki.

Jak wielkiej doniosłości były opisywane przezeń wypadki, świadczy okoliczność, że dzieło sztuki, głoszące sławę króla, któremu też było poświęcone, zostało na żądanie sąsiedniego monarchy, dopatrującego się w niem obrazy swego narodu, z polecenia królewskiego na stosie spalone. Taką niesławę wyrządzone bezkarnie Rzeczypospolitej i poccie polskiemu.

Po zawarciu pokoju zborowskiego, kiedy na chwilę przycichła wrzawa surmy wojennej, wrócił poeta do swoich Zarubieniec, które kwitnące zostawił, a zastał kupą popiołów. Trzeba było na nowo myśleć o zagospodarowaniu, ale zaostrome stosunki poddańcze czyniły dalszy pobyt na Podolu coraz nieznowniejszym. Położenie chłopów ruskich, po zawarciu pokoju z Kozakami w Zborowie, stawało się pod jarzmem szlachty polskiej coraz gorsze. Zaczęto się więc burzyć i wzbraniało odrabiać pańszczyznę. W takich warunkach porzucił Twardowski swoją ukochaną dziedzinę, zagrożoną buntem chłopów, i około 1650 r. przeniósł się na stałe do Wielkopolski. Właśnie w tym czasie przybyło poselstwo rosyjskie pod kierunkiem księcia Puszki na sejm warszawski, domagając się wydania autora książki o »Władysławie IV« za obrazę Rosyi. Kiedy dla zadośćuczynienia rządowi dzieło jego oddano w ręce katowskie, zawiedziony w swych nadziejach poeta woła pełen smutku i niechęci do życia:

...poszło wesele
Z dymem w zgórę i dobrych godzin tych niewiele —
A zostało na szali przeważonej drugiej
Samo brzemień kłopotów i ciężkości długiej...

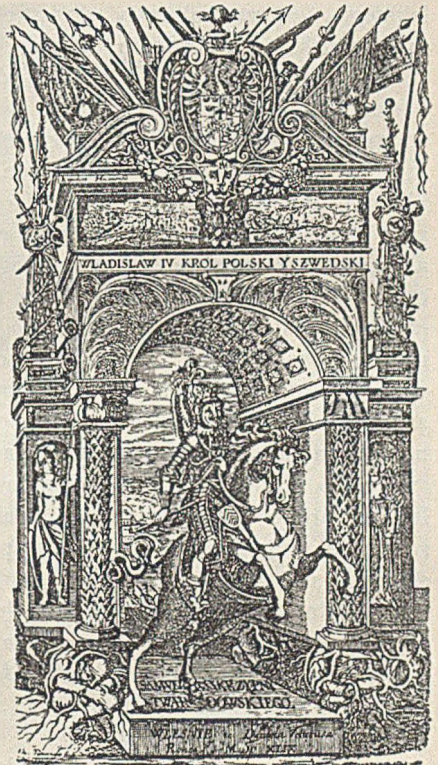
Pogrążonego w niemej rezygnacji i pobożności poetę spotyka ostatni cios, gromem uderzający w zarysowane mury Rzeczypospolitej. Niespodziewany napad Szwedów w 1655 r. odebrał przytomność narodowi, który w chwili stanowczej nie tylko składa broń przed nieprzyjacielem, ale — co gorsza — mianuje króla szwedzkiego swoim protektorem. Do zastępu tych, którzy ten akt samobójstwa polity-

cznego uświęcili piórem, należał nasz poeta, uważany powszechnie za zdrajcę ojczyzny. W wierszu p. t. »Omen królowi szwedzkiemu« uchodzącym dziś za kamień obrazy uczuć patriotycznych, wychodzi autor z tego założenia, że szlachcic polski, mający prawo wyboru króla, mógł go w razie, gdy mu się wydawał dla dobra narodu szkodliwym, z tronu zrzucić, a nawet uważali to niektórzy za »szczyt cnoty obywatelskiej«. Dla miłości ojczystej — powiada wyraźnie Twardowski — nie masz, czegoby uczynić kto nie powinien. W myśl ówczesnych wyobrażeń szlacheckich był Jan Kazimierz królem niezdolnym, a Karol Gustaw godnym jego na tronie polskim następcą. Spodziewano się od tego sprzymierzeńca i protektora zakończenia krwawych wojen i restauracji skołatanej ojczyzny na wewnątrz. Skutek wykazał, że nadzieje owe były zawodne, a pogwałcenie swobód szlacheckich i świętokradztwa popełniane przez żołądactwo otrzeźwiło rychło zwolenników króla szwedzkiego. W owym czasie jednak, kiedy Twardowski z polecenia Opalińskiego pisał swój wiersz, kiedy połowa kraju leżała w perzynie, a skołatany niezgodą naród tonął w zamęcie, wówczas mógł poeta, marzący o lidze Polski ze Szwecją, na wzór unii Korony z Litwą, zwrócić się do Karola Gustawa, aby nieszczęśliwy naród »przyjął w obronę«. Zresztą nie pochlebia królowi, lecz przypomina mu obok praw i obowiązki korony.

Że Twardowskiego nie można posądzać wogóle o brak uczuć patriotycznych, dowodzi już wiersz Na sejm rozerwany w Warszawie 1639 r. gromiący prywatę i nieszczęsną »wolność, przez którą ginimy«, dowodzą poematy historyczne, pełne ducha obywatelskiego.

W owym czasie jednak, kiedy najazd Szwedów groził utratą bytu Rzeczypospolitej, oszołomiony nieszczęściem poeta składał hołdy uzurpatorowi w wierszu — jak zapewnia wydawca — »wymuszonym przy zgubionej natenczas ojczyźnie«. Nie długo jednak podzielał z innymi ten obłęd. Otrzeźwiło go zgłiszcze ogniem i mieczem spustoszonego przez wojska szwedzkie własnego dziedzictwa w Wielkopolsce.

Jeszcze za panowania rozmiłowanego w sztuce włoskiej Władysława IV przedstawiono na zamku warszawskim operę włoską p. t. »Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe«. Dla uprzyętnienia jej dostojnym widzom, wśród których znajdowali się prócz rodziny królewskiej i senatorowie koronni, ogłoszono równocześnie streszczenie tej »reprezentowanej muzyką komedyi« p. n. »Apolog albo baśń Owidyuszowa« (Warszawa 1635). Uroczą sielanką miłosną Apolina goniącego za przeczystą nimfą Dafne, jej ucieczka przed natarczywością zmysłowych chuci pod opiekę Dyany, która ją zmienia w drzewo wawrzynowe, cała osnowa sztuki ero-



Nr. 12. Karta tytułowa poematu Sam. Twardowskiego Władysław IV. (Leszno 1649).

tycznej skłoniła Twardowskiego do spróbowania swoich sił w tym nowym rodzaju poetyckim.

Sztuczny ten kwiat miłości, odświeżony podmuchem spóźnionego odrodzenia literatury włoskiej, nie był na gruncie polskim odosobniony. Podróże do Włoch, przedsiębrane nie dla studyów, jak w wieku XVI., ale dla rozrywki, dla nabrania poloru, elegancyi i smaku, zarówno jak poznanie dzieł sztuki i literatury pięknej, rozwijają wśród górnych warstw społeczeństwa uczucie miłości.

Dafnis Twardowskiego przedstawia nam całą cieplarnianą atmosferę tego uczucia na tle rozkosznej przyrody. Odnaleść tu można różne stopnie miłości od lekkiego scherza zalotnicy do gwałtownych wybuchów namiętności — wszystko w bengalskiem oświetleniu baroka. W osobach sentymentalnych pasterzy i pasterek przebijają jednak nieznacznie dzieje własnego serca poety. Tła i dekoracyi dostarczyła przyroda wołyńska i dwór ks. Wiśniowieckich. Barw i obrazów zaczerpnął z Jerozolimy Tassa w przekładzie Kochanowskiego.

W tej sentymentalnej sielance, zarówno jak we wszystkich dziełach autora »Wojny domowej«, widać przejęcie się duchem i formą włoskiego poety, od obrazów, przenośni i epitetów po przez opisy scen wojennych i obchodów uroczystości aż do charakterów osób i psychologii uczuć. Nie jest wolną od tego naśladownictwa nawet »Nadobna Paskwalina« osnuta na jednym epizodzie »Dyany« Montemajora, płód reakcyi katolickiej, pogrążającej społeczeństwo w coraz głębszą ciemnotę. Zarówno jak Dafnis zostająca pod wpływem opery włoskiej tego samego nazwiska, do której scenariusz napisał Paschatti, sprawia Paskwalina wrażenie sztucznie i nienormalnie wybudowanego kwiatu egzotycznego, przesadzonego na grunt nieodpowiedni. Mimo połysków zachodzącego już słońca odrodzenia, co zlewa swe złote promienie na te sentymentalne obrazki, czuć, że płynęły one nie z serca, lecz z karmionej dewocją wyobraźni. Wśród atmosfery zamglonej kurzawą bitew i dymem pogorzeliisk — powiada pierwszy krytyk Twardowskiego muzy — Paskwalina roztacza ponure, przyćmione światło, w którym prędzej możnaby upatrywać ostatni odbłysek zachodu niby łunę dalekich pożarów niż pierwszy blask odległego jeszcze poranku. Chorobliwa nadwrażliwość wyraża tu swe uczucia wybuchami płaczu, spazmów i mdłości. A na tle bachanalii bogów z nagiemi nimfami, których piorun gniewu niebios nie spłoszył jeszcze ze sceny, przesuwa się postać pokutnicy z różańcem w rękę.

Pod koniec życia pisał Twardowski najobszerniejsze swe dzieło, po śmierci wydane w całości p. n. »Wojna domowa z Kozaki i Tatory, Moskwą, a potem Szwedami i Węgry przez 12 lat (1648—1660) za Jana Kazimierza tocząca się« (Kalisz 1681). Punkt ciężkości dzieła, obejmującego około 16.000 wierszy, leży w przedmiocie samym, nie zaś w formie poetyckiej. Niesłusznie jednak osądzono je jako skład suchego materiału. Przeciwnie odbija ono niejednokrotnie żywsze uczucia poety, zapal dla zwycięstw oręża polskiego, a niebrak i gorzkich wyrzutów miotanych w twarz »złotej wolności« obrońcom. Autor jako patriota zagrzewa w niem króla do walki z wrogiem, oplakuje we wzruszających wyrazach więzy niewoli i pięści się nadzieją lepszej przyszłości.

Tym wyrazem ducha obywatelskiego wyróżniał się Twardowski z pośród swoich towarzyszy, pogrążonych w ciemnocie i reakcyi, szerzącej się z groźną szybkością w życiu i piśmiennictwie. Wielbiciel króla Władysława IV, łudzącego się myślą zbratania poważnionych wyznawców wiary Chrystusowej, odznaczał się pewną tolerancją i ludzkością, występującą najwyraźniej w poglądach na powsta-

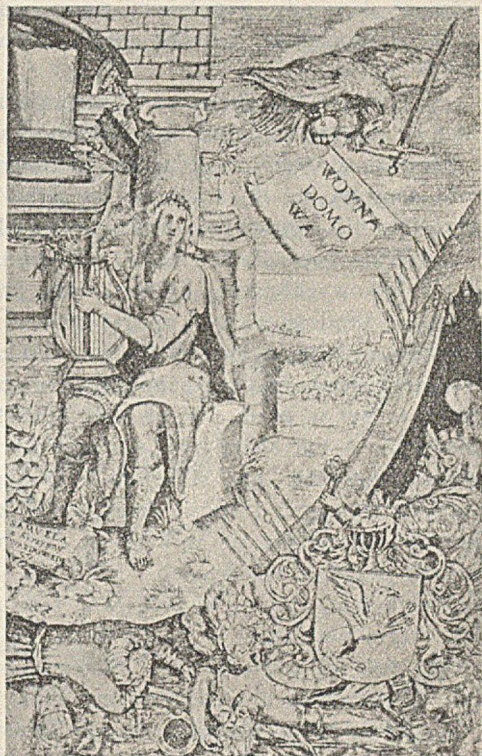
nie Kozaków. Widzi on w nich chłopów polskich, zbiegłych na Ukrainę, zarzuca im zdradę ojczyzny i okrucieństwa wobec szlachty, osiadłej na Małorusi, podnosi jednak ich waleczność w bitwach i przyznaje, że główną winę wojny domowej ponosi szlachta przez swój nieludzki ucisk i gnębienie poddanych. Z niechęcią patrzy na buntowników, co się na ojczyznę jego lawiną nieszczęść zwalili, ale potępia tych, którzyby ich radzi ogniem i mieczem zgładzić. Wyrzucał szlachcie jej okrucieństwa, jak np. owo „milczące po zawarciu układu żwanickiego przyzwolenie zabrania w jasyr tysiocy Kozaków z żonami i dziećmi, kruszył kopię za nadaniem im praw politycznych jako stanowi trzeciemu Rzeczypospolitej.

Za główną przyczynę upadku państwa uważa Twardowski egoizm szlachty, która czując się bezpieczną na Zachodzie, rzuciła swych młodszych braci Rusinów na pastwę wrogów, tłumacząc się brakiem pieniędzy, które roztrwaniała. W swej nienasyconej chciwości szlachta wyciska z biednych rolników ostatnie krople krwi, a Kozaków uważa za swoich chłopów, z ust im wydzierając ostatni kęs chleba. Ten ucisk właśnie — podnosi to kilkakrotnie poeta — spowodował powstanie Kozaków, uginających się pod ciężarem t. zw. stacyj, nie dziw, że korzystali z lada sposobności, aby dać odpływ swej długo tłumionej do panów nienawiści.

Egoizm ten szlachty, przenikający wszystkie stosunki publiczne Rzeczypospolitej, występuje — zdaniem autora — najjaskrawiej na sejmie, owem ognisku życia politycznego. Bacząc jeno na własne korzyści wymuszała tu szlachta tłuste starostwa lub wysokie urzędy pod płaszczykiem obrony przywilejów złotej wolności, a jeżeli król nie dogodził jej nienasyconym chuciom, mściła się odrzucaniem projektów rządowych lub idąc w ślady posła Sicińskiego, zrywającego swoim »liberum veto« cały sejm 1652 r., udaremniała wszelkie usiłowania do dźwignienia kraju.

Śmiało wyrzuca poeta panom nierząd, przekupstwo, niesprawiedliwość, rozrzutność, niemoralność i tym podobne grzechy, które w Satyrach zaprzyjaźnionego z nim Opalińskiego znalazły wierne odbicie.

Mimo trafnych uwag i zdrowego sądu autora nie cieszyła się jego »Wojna domowa« uznaniem u współczesnych. Przyczyniło się do tego niemało wydanie jej w czasie walk i burz politycznych, odwracających uwagę narodu od literackiego utworu, nie mniej śmiałe karcenie nadużyć szlachty. Natomiast nie pozostała ona bez wpływu na »Wojnę Chocimską« Potockiego pod względem sposobu



Nr. 13. Sam. Twardowskiego Wojna domowa.
(Kalisz 1681).

przedstawiania i torowała drogę literaturze epicznej jako pierwsza na tem polu próba. Dla historyka zaś owych czasów ma ona pierwszorzędne znaczenie — posługuje się nią nawet Kronika ruska Wieliczki. W oczach dzisiejszych badaczy zawiera ona cenne wiadomości o organizacji i czynnościach wojska. Jako żołnierz, biorący czynny w krwawych bitwach udział, jest Twardowski przeciwnikiem przestarzałej instytucji pospolitego ruszenia. Wykazuje, jak bezowocnymi były owe marsze wojska, przybywającego na kresy zazwyczaj już po ukończeniu wojny, smaga nielitościwie lenistwo i bezkarność rycerstwa, które przy kielichu cudów męstwa dokazywało, a z pola bitwy co rychlej uciekało do domu i wylicza niezliczone krzywdy popełniane przez wojsko kwarciane, pładujące ziemie polskie gorz nieprzyjaciela, z braku żołdu, którego mu pusty skarb państwa wypłacić nie był w stanie.

Pod schyłek życia poety rozpogodził się widnokrąg polityczny Rzeczypospolitej. Pokojem hadziackim zakończono wojnę z Kozakami, niebawem poddali się i Szwedzi, a wojna z sąsiadami rokowała najpiękniejsze nadzieje; ale przybity do łóża chorobą nie doczekał się już poeta dni szczęśliwszych, »nieubłagane parki« przecięły nić jego żywota właśnie w chwili podniesienia narodu, pod koniec 1660 r.

Waleczny żołnierz, zacny obywatel, sumienny pisarz, nie należy Twardowski do wyjątkowych natur, które kroczą przez życie własnymi drogami. Przeciwnie, płynął z prądem wieku i ulegał głosowi opinii. Nie był oryginalnym poetą, nie posiadał i w życiu samodzielności. Podobny był raczej do »mrówki, z trudem zwożącej swoje zapasy«, aniżeli do »pszczoły samodzielnie przerabiającej swe zbiory«. Był w życiu i w pismach realistą, fantazyę miał ościężałą, zakres uczuć niewielki. A tak słabe było u niego wyrobienie poczucia piękna, że musztry wojskowe sprawiały nań silniejsze wrażenie niż widoki alpejskie. Nie miał wygórowanych wymagań i znosił dolegliwości ze spokojem, wypływającym z równowagi umysłu i poddania się woli Bożej. Nie był pozbawiony własnego sądu, urabiał go jednak względ na drugich. Nie miał serca ani odwagi wypowiadać swe zdanie bezwzględnie, choćby to połączone było ze szkodą bliźniego. Przeciwnie, skłonny był raczej przesadzić w pochwałach, aniżeli zdobyć się na naganę. Nie zapominajmy też, że warunki jego materyalne i służbowe zniewalały go do proszenia lub dziękowania, a wytłómaczmy sobie powstanie licznych jego panegiryków.

Nie słusznie jednak zarzucają Twardowskiemu płaszczenie się przed możnymi i brak poczucia godności osobistej. Biedny szlachetka, dbający o protekcję panów, wynosi ich wprawdzie w napuszystych frazesach, czci w nich jednak zawsze zasłużone lub bliskie sercu osoby. Wiele też pochlebstw jego należy policzyć na rachunek wieku. Jak wzory poezji klasycznej uważano za dobro powszechne, z którego wszyscy czerpali, tak uważali poeci wieków następnych panegiryki za właściwy teren popisu swego talentu, a nikt nie poczytywał pochwał za rzecz niegodną pisarza.

Dziecię epoki rozstroju, nie posiada twórca »Wojny domowej« niezbędnego do ujęcia tak olbrzymiej i różnorodnej całości skupienia. Stoi on w samym środku zawieruchy dziejowej, wśród wiru i zamętu stosunków politycznych, które niemiłosiernie chłoszcze, lubo sam nie ma tej siły woli, aby im się oprzeć.

Zasługą Twardowskiego jest stworzenie dzieła epicznego na tle historycznym. To, co przed nim było w literaturze, nazwaćby można raczej chronologią poetycką — jak np. poemat Krajewskiego o wojnie moskiewskiej — albo kopią wzorów starożytnych, zwłaszcza Eneidy, pozbawioną prawie rysów fizynomii narodo-

wej — przykładem »Podróż do Szwecyi« Andrzeja Zbylitowskiego. — Dopiero Twardowski, idąc za przykładem znakomitego tłumacza »Jerozolimy wyzwolonej«, zerwał z systemem swoich poprzedników i przyswoiwszy sobie jego język epiczny, odważył się na wprowadzenie do naszej literatury nowej formy opowiadania historycznego, którą uszlachetnił autor »Wojny Chocimskiej« Wacław Potocki.

Jako poeta przejściowy ze złotego wieku naszej kultury, pełnej czystych i harmonijnych form klasycyzmu, w czasy panowania napuszonych, efektownych dziwactw baroku, nie pozbył się jeszcze autor »Wojny domowej« zalet pisarzy zygmuntofskich, ale przechyla się już na stronę zepsutego smaku. Zwłaszcza wprowadzeniem do literatury pięknej owych barbarizmów językowych, wciskających się do mowy polskiej w epoce burz wojennych i politycznych, przyczynił się do skażenia języka poetyckiego.

Posiada jednak fantazyę buńczuczną, zamaszystą, lubo ociężałą i oschłą. Nieudolny w liryce, czego dowodzi zbiorek drobnych wierszy zatytułowany z łacińska »Miscellanea«, słynął u współczesnych za niedościgniony wzór w dziedzinie epiki, jak Jan Kochanowski w poezji lirycznej. Naśladuje jego liryki historyczne, nazywając go Homerem polskim, Kochowski, do którego też przechodzimy.

Wespazjan Kochowski, potomek starożytniej, licznie rozrodzonej, ale niezamóżnej szlachty sandomierskiej, herbu Nieczuja, urodził się 1633 r. u stóp gór świętokrzyskich w dziedzicznej wiosce Gaju, a przyroda i otoczenie rodzinnego gniazda, w którym wzrastał, zostawiło na jego duchowej fizyonomii niezatarte ślady. W późniejszym wieku wraca poeta niejednokrotnie do tych miejsc wspomnieniami młodości uwiecznionych:

Tu ojciec, dziady, krewnych gromady,
I mali wnukowie,
Dzieciństwa doszli; tu w zgodzie rośli
Przy swej starszej głowie.
Tu na pagórku, w drewnianym dworku
Pierwsze krotofile —
Błogosławieństwo, nasze starszeństwo
Tu od Boga miało.

Oddany do szkoły Nowodworskiej w Krakowie ćwiczył się tu w pisaniu wierszy, a choć otrząsał się z językiem Cyserona — skarby ducha klasycznego pozostały dlań zamknięte. Wcześniej, bo w 16-ej wiosnie życia, ledwie otrząsnąwszy pył szkolny, rzucił się w wir życia towarzyskiego, w ramiona wesołej hulaszczej młodzieży. A sprzyjające warunki urodzenia otwierały mu drogę uścieloną przywilejami, po której toczyć się miało gładko koło jego fortuny.

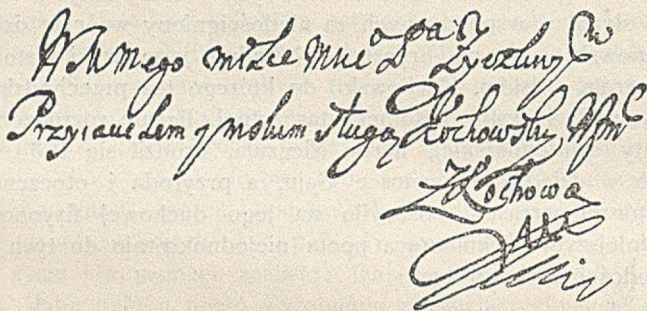
Właśnie wybuchła wojna kozacka. Młody Wespazjan zaciągnął się więc pod chorągiew krewniaka Dembickiego i razem z bracią podążył na potrzebę. Odbił »chrzest wojenny« pod Beresteczkiem, gdzie 24 towarzyszy chorągwi padło trupem, a wśród nich jego stryj. Walczył chlubnie w potrzebie żwanięckiej, gdzie — rozgrzewając biegiem skostniałe od styczniowych mrozów członki — raniony został kulą działową w prawe udo. Służył potem w chorągwi margrabiego Myszkowskiego, należącej do dywizji Czarnieckiego, dzieląc przez lat dziesięć (od 1651 do 1660) trudy i znoje obozowego życia.

Kiedy szlachta za przykładem włościan ruszyła przeciw Szwedom, ogniem i mieczem niszczącym ziemię polską, Kochowski porwany prądem, przenikającym

cały naród, wsiada na koń i pod dowództwem Czarnieckiego walczy pod Warką i pod Gnieznem — dwukrotnie ranny, — wreszcie w walnej pod Warszawą bitwie. Poczem odbywszy jeszcze wyprawę na Węgry, wraca syt chwały w ojczyste progi.

Z zawarciem pokoju oliwskiego rozpoczyna się drugi okres w życiu Kochowskiego, poświęcony ziemiaństwu. Pierwszy, rycerski, w którym »przebiegł wszecz i wzdłuż całą Polskę«, rozszerzył widnokrąg jego myśli — był mu »żniwem wrażeń poetyckich«, które w tej drugiej dobie rozwoju »przetapiał w tyglu swej fantazyi na brant poezyi«. Z lubością naciągał na swą lutnię struny rozbrzmiewające chwałę wielkiej epoki narodowej, a wiersze, poświęcone wodzom i towarzyszący wypraw wojennych, tchną szczerością uczuć i patryotyczną dumą.

Zaledwie przekuł włócznię na motykę, ożenił się i osiadł na ojczystej grzędzie, kiedy względy rodzinne zniewalały ją porzucić. Wedle dawnego prawa



Nr. 14. Z listu Wespazjana Kochowskiego do rektora Uniwersytetu w sprawie Liryków.

polskiego przychodziło po śmierci ojca do działu między synami, przyczem najmłodszy miał prawo wyboru. Na mocy tego zwyczaju dostała się Wespazyanowi wieś w województwie krakowskim Goleniowy, kiedy młodszy brat Jan ostał się przy ojcowiznie w sandomierskiem. Z żalem więc przyszło żegnać się pocie z ukochanym splachciem ojczystym, trzeba było pogodzić się z nieuniknioną koniecznością. Życie w staroświeckim dworku goieniowskim, pełne kłopotów gospodarskich i zabaw sąsiedzkich, nie różniło się wielce od pożycia w ojczystym gnieździe. Tu i tam, dzięki krwawej robociźnie pańszczyźnianej, panował dostatek. Do najbliższych i najmiłszych sąsiadów poety zaliczał się Jan Gawiński, zamieszkały w Krakowie. Spędzając tu wieczory na pogawędce, odczytywał Gawiński przyjacielowi swoje sielanki i dworzanki, słuchając z uwagą liryk i fraszek Kochowskiego.

Muza Kochowskiego czerpie teraz natchnienie ze źródeł — niestety nie zawsze czystych — życia publicznego, podejmując najchętniej sprawy polityczne. Z tych największego rozgłosu nabrał rokosz Lubomirskiego. Z trudnością przyszło pocie oddać hołd zawziętemu przeciwnikowi ulubionego wodza Czarnieckiego. Porwał go jednak wir opozycyi szlacheckiej. Nabrał przekonania o »krzywdzie wyrządzonej wielkiemu senatorowi«, uważając zbrojną w pozory prawa dumę magnata za dowód jego niewinności. »Kamień świadectwa wielkiej w Koronie polskiej senatora niewinności«, poemat Kochowskiego, napisany 1666 roku, różni się chyba tem od broszur politycznych, sypiących się z rogu obfitości w obronie rokoszanina, że autor nie pochwała »brzydkiej wojny«. Poddając się jednak karne

większości, bo u nas — jak słusznie zauważano — posłuszeństwo i porządek były zawsze w nierządzie — upatruje w Lubomirskim obrońcę gwałconej wolności.

Nastąpiła pamiętna w dziejach Polski abdykacja króla Jana Kazimierza, równająca się niemal ucieczce Henryka. Szlachtę, która ją spowodowała, ogarnęło zdumienie, a za niem poszło »uczucie wstydu i upokorzenia«, w końcu żał za »dobrym panem«. Tę mieniącą się wstęgę uczuć rozwija Kochowski w »Żałosnej walecie«.

Następne trzy wierszowane broszury polityczne, inspirowane przez podkanclerzego ks. Olszowskiego, autora słynnej »Cenzury kandydatów«, zalecają gorąco na tron polski — Piasta. Płynąc z falą prądu szlacheckiego, wynosi poeta w swoich wierszach głupiego króla Michała, wróżąc sobie nierozumnie najświetniejsze z jego panowania nadzieje. »Hymenem« na jego śluby z siostrą potężnego monarchy zamyka Kochowski sztuczną, na zamówienie robioną wiązkę liryków politycznych.

»Przekleństwem na synów koronnych, sejmy zrywających« rozpoczyna się okres pieśni poświęconych sprawom narodowym. Bije z nich szczery, gorący zapal patriotyczny:

Bodaj źle zginął, bodaj zabit marnie,
Kto dla prywaty swej sejmy rozrywa,
Niech głowa jego przepada niekarnie,
Niech wymazany z ksiąg żywota bywał!...

Opozycjonista nawraca się na stronę zwolenników ładu i porządku. W nagrodę za wysługi partii królewskiej otrzymał Kochowski 1670 tytuł sekretarza koronnego i intratny urząd podżupka w Wieliczce. Wrażenia wspaniałego widoku kopalni i ich rabunkowej gospodarki malują »Latarnie solne« i fraszki »O urządach tamecznych«, kupnych za pieniądze:

Jak dzieci zamieniają miejsca, grając sitko,
I gracze w szusta karty swe frymarczą wszystko,
Tymże kształtem w Wieliczce rozdają urzędy:
I kto daje, ma swoje, i kto bierze, wględy.

Po niespełna trzech latach urzędowania ustąpić musiał Kochowski z zajmowanej posady jak przepiórcze pole zmiennej i wrócić napowrót do swego dworku w Goleniowach. Dla osłodzenia zawodu otrzymał pensję w kwocie 500 zł. zabezpieczoną na żupach wielickich. Jako dowód zaufania ziemian posłużyć może jego wybór poborcą podatkowym oraz deputatem na trybunał koronny — co mu przysporzyło tytuł Jaśnie Wielmożnego. Król Jan Sobieski nadał mu również wątpliwej w naszych oczach wartości tytuł »uprzywilejowanego historyka«, przyczem podwyższono mu płacę 500 zł. do 1000, w końcu 1695 otrzymał skromny urząd wojskiego w województwie krakowskim.

Pod koniec życia zrzekłszy się tego ostatniego urzędu ziemskiego na rzecz Oraczowskiego — w ten sam sposób przekazuje Wacław Potocki niby w dzieciństwie urząd podczaszego swemu synowi — odsunawszy się od wszelkich godności i zaszczytów, poświęcił się pracy literackiej. Przekraczając już szósty krzyżyk, ufundował w swych Goleniowach przytułek dla podupadłych włościan, przeznaczając na ten cel 1500 złp. Pasma jego pracowitego żywota przerwała śmierć 1788 roku.

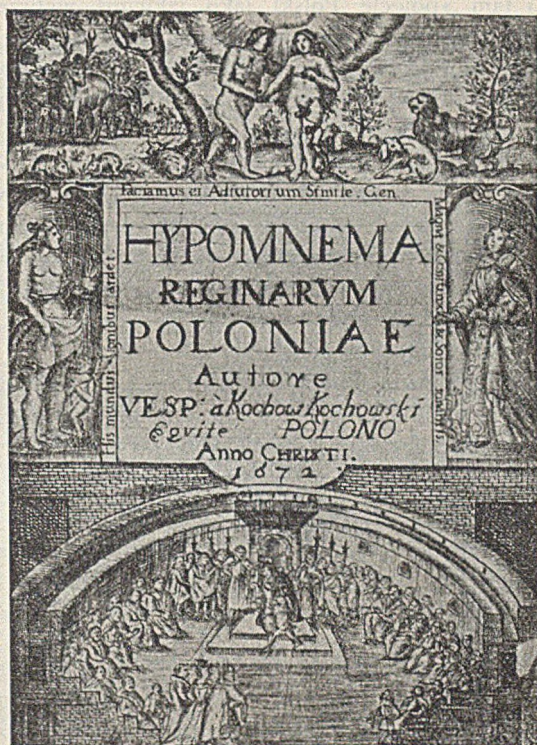
Kochowski zaśląnął w literaturze jako poeta liryczny i historyk swoich czasów. Te napozór sprzeczne a przynajmniej rozbieżne kierunki działalności literackiej znajdują wytłómaczenie w jego na wskróś współczesnym charakterze piarskim. Jest to poeta odbijający wiernie bóle i radości, tryumfy i klęski Rzeczypospolitej. Niema w dziejach polskich od zgonu Władysława IV. do wyprawy wiedeńskiej ważniejszego wypadku, któryby na lutni jego nie znalazł oddźwięku. Ale oblicze jego muzy, promiennej chwałą zwycięstw oręża polskiego, nie wolne jest od skazy wieku. Gorący patriota odczuwa żywiej sromotną klęskę piławiecką, pieje hymn tryumfu na cześć »ostatniego w Europie króla rycerza«, pogromcy Turków pod Wiedniem — ale w poglądach na sprawy wewnętrzne, na wady ustroju społecznego tkwi w ciemności szlacheckich wyobrażeń, skupia niby w soczewce »rozstrzelone promienie ducha czasu«. Pełen oburzenia na widok zepsucia i zbytku szlachty i jej swawoli na polach elekcji, świadom szkód zrywania sejmów i wogóle nieszczęść spływających na ojczyznę z wyuzdanej wolności, nie może zrozumieć rokoszu Lubomirskiego, widzi w manifeście »ukrzywdzonego« senatora, nadwyrężoną źrenicę wolności i ukrócenie przywileju, a w jego sądach i poglądach na współczesne dzieje pełno niekonsekwencji i łatwowierności, wad właściwych ówczesnej szlachcie.

Zepsucie smaku i przeładowanie erudycją, cechujące poezję tego wieku, przebijają się i w twórczości Kochowskiego, żyjącej jeszcze lepszymi tradycjami wieku Kochanowskiego. Prostota i naturalność uczucia stroi się w napuszystość i przesadę wyrażenia, o czem świadczą same tytuły jego wierszy.

I poemata religijne Kochowskiego nie wolne są od trywialności i sztucznych ozdób. Weźmy np. »Ogród paniński pod sznur pisma św. Doktorów kościelnych, kaznodziejów prawowiernych wymierzony, a kwiatami tytułów Matki Boskiej wysadzony, przez jednego najbliższego tej Panny niewolnika«... Jak ogrody szlacheckie tego wieku, dziardynami zwane, obsadzone strzyżonym bukszpanem, rozpadały się na regularne kwadraty, które się znów dzieliły na systematycznie sobie odpowiadające kwadraciki, tak i ów pobożny ogród Kochowskiego dzieli się na szesnaście kwater, a w każdej z nich mieści się sto rozmaitych tytułów Najśw. Panny, skrzętnie zebranych z pisma św., Ojców Kościoła i teologów, Wśród gospodarskiej ogrodowizny i ziół lekarskich nadaremnie byś szukał kwiatów poezji — jak wogóle w wyobrażeniach religijnych Kochowskiego więcej jest praktyki i dekoracji, więcej ślubów i postów aniżeli głębi uczucia i naiwności wiary. W ostatnich dopiero latach, kiedy zdawało się, że w piersi poety wysychać już poczynały źródła natchnienia, wznosił się w »Psalmodyi«, wyśpiewanej na Dawidowej lutni, na wyżyny wieszczce. W wysokim nastroju rozmodlonej duszy rozpacza tu 60-letni starzec pogląd na dzieje skołatanej nawy Rzeczypospolitej. Roztrząsając sumienie narodu, czyta w niem jak w otwartej księdze, a widzi w przeszłości zarówno jak w społecznej dobie więcej chwil ciemnych niż promiennych. W pojmowaniu Polski i jej posłannictwa, jako »Chrystusowego rycerza, wystawionego na najcięższe próby mąk i ukrzyżowań«, toruje on drogę idei mesyanicznej, ujawniającej się dopiero w »Poselstwie« Brodzińskiego.

Psalmodya polska jest dziełem starca, złamanego bólem i chorobą, ale pożądanego w zabobonach religijnych. Powstała ona pod wpływem Psalmów Dawidowych i Proroctw Jeremiasza, chwyta więc żywcem nietylko główne myśli, ale całe zdania z pisma św. Co więcej, wyczerpany poeta przybiera tu w szatę biblijnej prozy akordy mocno już ograne na własnej lutni. Sam wybór formy psal-

mody był tylko oddźwiękiem upodobań publiczności i poetów jego stulecia. (Po Kochanowskim, którego Psalterz wydano w pierwszej połowie XVII. w. niespełna 20 razy, tłumaczyli lub przerabiali psalmy Gawiński, Grochowski, Miaskowski i inni). Mimo to wszystko drga w tem ostatniem słowie poety — dobiegającego kresu dni swych — niby w testamencie, głębokie uczucie patrioty zaczerpnięte z »dziejów ubiegłych i lat przeżytych«. Psalmodya polska myślą obywatelską staje godnie tuż po »Kazaniach sejmowych« Skargi, a przed »Lamentem utrapionej matki korony polskiej«. Kochowski nie dorównywa pierwszemu, ale przewyższa



Nr. 15. Tytułowa karta dziełka W. Kochowskiego »Hypomnema«.

Starowolskiego. Widząc ojczyznę nad brzegiem przepaści, woła pełen bólu proroczym głosem: »Kurczymy się jako skóra od ognia albo krew zbiegająca się ku sercu. Kto nam wróci przeszłych zwycięstw chwałę? Kto odnowi złote lata pokoju, cnotą i szczęściem kwitnące? Rada i senat: cymbał głośny, kształtują wota, aby ich słyszano, mówią, żeby swoje przewieść, kontrowertują, żeby co wytargować (dla siebie). Rycerstwo znikczemniałe, a szlachcic pod dachem siedząc jakby nie słyszał płaczu w niewolę zabranego pospólstwa. Ma-ż Boga w sercu, kto sfalszował monetę, kto podatki nienależycie zabiera i tą krwią z ubogich wyciśniętą siebie i dom swój bogaci (aluzya do rządów podskarbiach koronnych). Po miastach luszytk ustawiony i stroje zbyteczne (zbytkowe), a pospólstwo drą aż do czopa, żeby były zbytkom nakłady«. (»Psalmodya« XXIX).

Brzmi tu smutna, rozżalona nuta, odzywająca się w wołaniu Grochowskiego

»Zginiemy« i w zakłęciu Złotoustego kaznodziei: »Wszyscy zginięcie!« Ale unosi się nad nią nieznana tamtym prawie mesyańska wiara, rozwinięta w »Poselstwie« Brodzińskiego, pogłębiona w »Księgach pielgrzymstwa«. Odczytując w ostatnim psalmie Kochowskiego wyznanie opieki boskiej nad koroną polską: »Rozkaż aniołom Twoim o koronowanej głowie, aby ją strzegli we wszystkich drogach i zawodach. Niech ją sprawujące duchy na rękę noszą, a przecznego oka Twego opieka niechaj nad nią nieustannie zostaje«... przypominają ci się mimowoli obrazy Polski anielicy. A gdy się »ona, uwielbiona tak wielu narodów pani, grubą odzieje żałobą«, to już nie rozecznasz jej od owej odkrólewszczonej wdowy Krasińskiego. Tu i tam »pojęcie Polski jako jakiegoś wybranego w rękę Boga narzędzia, to samo zbliżenie jej doli do losów Izraela« słowem to jakby zapowiedź Polski mesyanicznej, której wizycę roztaczają »Psalmy przyszłości«. Szkoda jeno, że poeta nasz nie umie utrzymać się na wyżynie i po kilku potężnych wzlotach, opuszczając skrzydła, spada do prozy.

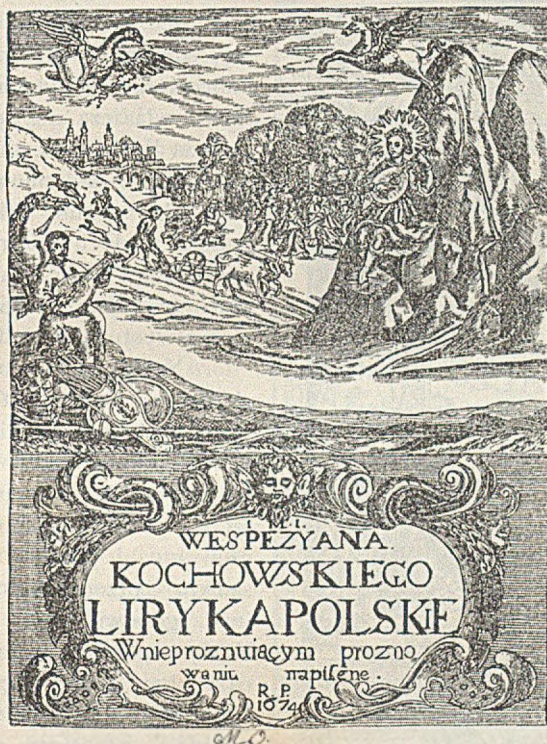
Wogóle lot muzy Kochowskiego jest wielce nierówny. Wiersze jego ulotne z młodzieńczej doby, kiedy to czerpał natchnienie z życia pełnym kielichem, mają wiele świeżości. Później porwany wirem polityki, przygnieciony pojęciami spaczonych wiary i fałszywym kierunkiem szkoły, (zaczął od naśladownictwa Horacego, a skończył na Twardowskim, na naśladowcy Kochanowskiego), kroczył jak spletany po ciemnych labiryntach rymarstwa, po przekwitłym łańcuchu mitologii. We »Fraszkach« jednak, tworzonych w gronie wesołych towarzyszy, zapominał czasem o erudycyi i tryskał humorem. Podobny do krawca, przerabiającego stare, znożone suknie na nowe, umie nieraz zręcznym ujęciem przedmiotu odświeżyć go i przystroić. Oto przykład fraszki podejmującej jak świat stary temat o Adamie i Ewie:

Gdy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał,
Kto tam był szlachcic wtenczas i kto komu chłopał?
Tak Adam, gdy nam ojcem, Ewa, gdy nam macią,
Wszyscyśmy sobie równą z tych rodziców bracią.

Za »trefne i wszeteczne« fraszki spotkała zbiór jego wierszy p. t. »Niepróznujące próżnowanie« surowa kara. Przed oddaniem do druku 1676 r. dał je ocenzurować władzy duchownej. Ówczesny rektor akademii krakowskiej, spełniający zastępczo tę funkcję — po dokonaniu pewnych zmian i opuszczeń — dał książce aprobatę. Jezuici, walczący podówczas z akademią, skorzystali z tej sposobności i wpłynęli na biskupa krakowskiego, że ten zapozwał akademię o szeregienie niemoralności i szarpanie sławy możnych, bo tych zarzutów dopatrzyć się chciało w zbiorze liryków i fraszek. Sprawa wytoczyła się przed forum stolicy apostolskiej. Poeta narobił huczku na sejmikach, poruszył szlachtę dwóch województw. Chodziło właściwie o prawo cenzury, które akademii, jako najwyższa w rzeczach wiary powaga naukowa, przywłaszczyła sobie na szkodę władzy biskupa, najwyższego w swej dycezyi stróża wiary. Książki Kochowskiego wzięto za taran, aby uderzyć nim w samą głowę akademii. Ale cios był chybiony. Zwyciężyła sprawa poety, który stawał też w obronie podejrzanych o herezję fraszek Kochanowskiego. Smutne to świadectwa ciemnoty duchowieństwa!

Pomost od liryki Kochowskiego do jego historii stanowią poemata epiczne, wśród których pierwsze miejsce zajmuje »Dzieło Boskie albo Pieśni Wiednia wybawionego«, ogłoszone w drukarni Wojciecha Goreckiego 1684. Poemat liczący

110 misternych stanc, a przewyższający pod względem artystycznym »Pełnę« Wacława Potockiego, należy do najpiękniejszych wierszy jakimi poezya społeczna ozdobiła skroń bohatera. Dzieło to Kochowskiego uzupełnia Pamiętnik napisany w języku łacińskim p. t. »Commentarius belli adversum Turcas«. Od utworu tego krok jeden do historyi Kochowskiego, wydanej pod napisem Roczników Polski (Annales Poloniae) a podzielonej na siedmioletnie okresy czyli klimaktery. Trzy pierwsze tomy, obejmujące dzieje Polski od zgonu Władysława IV do abdykacyi Jana Kazimierza, wyszły w języku łacińskim 1683—98 r., tom IV. opisujący



Nr. 16. Wespazyana Kochowskiego Liryki.

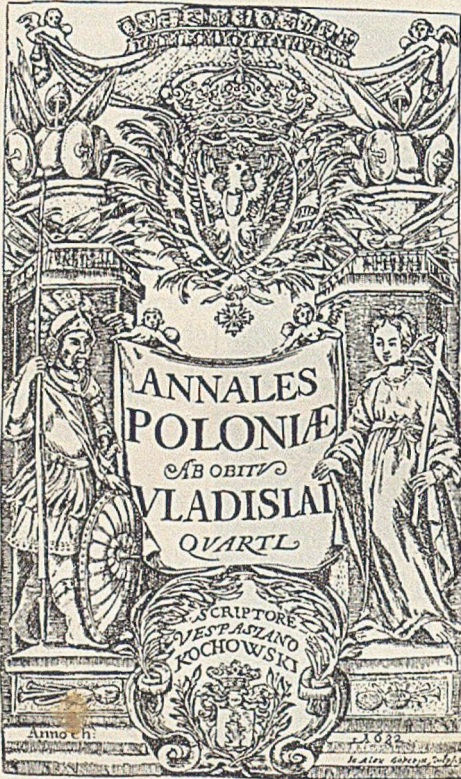
dzieje panowania Michała zalega dotychczas w rękopisie biblioteki petersburskiej, znany tylko z przekładu polskiego.

Kochowski nie zna arkanów społecznej dyplomacyi, nie może powiedzieć o sobie w obliczu wpisywanych przez się faktów: pars magna fui; był żołnierzem i ziemianinem nie piastującym wyższych urzędów, co więcej tkwił po uszy w przesądach religijnych i społecznych ówczesnej szlachty, dla której żrenicą wolności było liberum veto. Pomimo to zaskarbił sobie Rocznikami tytuł do niespożytej u potomnych sławy i zasługi. Umie on w dziele swem, ułożonem niestety w zaśniedziałej łacinie, wznieść się na wyżyny względnej bezstronności. Nienawidzi wprawdzie swoich przeciwników politycznych — Bohdana Chmielnickiego nazywa potworem — ale nie kieruje się prywatą, zdobywa się nawet na pochwałę biskupa Trzebieckiego, choć mu w procesie o cenzurę niemało szkodził.

Klimaktery jego nie są wolne od zabobonów uwłaczających powadze historyka, wszakże zdobywają się nieraz na ostre słowa prawdy, wypowiedziane pod adresem najwyższej głowy Kościoła w Polsce — przypominam opis matactw prymasa Prażmowskiego — dążą do wzmocnienia władzy rządu, do zmiany formy sejmowania i wolnej elekcji królów. Przewodnią gwiazdą podczas pisania dziejów była zasada, wypowiedziana w ostatnim klimakterze: »Wyrzekam się względów, nie boję się nienawiści, unikam faworów i nie zważając na nikogo idę drogą wskazaną przez wolną prawdę. Wiele jednak — dodaje na innym miejscu — okryć

należy zasłoną, albowiem chociaż prawem jest historii, aby nie przemilczała, zamilczeć jednak to, co szkodzi i gorszy, zdrowy rozum dozwala«. Mamy tu obfity i szczegółowy materiał historyczny, zwłaszcza do dziejów wojennych za Jana Kazimierza, autor podaje w całej osnowie dokumenty, których używał, ale zadanie historyka pojmuje jeszcze w duchu kronikarskim, a jego widnokrąg historyczny jest dość ciasny, przynajmniej nie odbiega od poziomu wyobrażeń tłumu szlacheckiego.

Najbardziej do Kochowskiego zbliżonym poetą jest przyjaciel jego Jan Gawiński. Obaj ziemianie urodzeni w Małopolsce, Gawiński w Wielomowicach pod Krakowem, poznali się jeszcze na ławie szkolnej. Obaj rozpoczęli zawód poetycki od wierszy tym samym przedmiotom poświęconych (np. zgonowi Króla Władysława IV). Kiedy wybuchła wojna Kozacka, rzucają obaj swoje zajęcia literackie — Gawiński był podówczas alumnem przy urzędzie grodzkim w Krakowie — i przypasawszy miecz do boku ruszyli na wojnę. Nasz poeta wybrał się nieco później od Kochowskiego z pospolitem ruszeniem na Ukrainę. Skoro tylko



Nr. 17. Wespazjana Kochowskiego Roczniki polskie 1682.

rozjaśnił się widnokrąg polityczny, porzucają służbę wojskową, aby zaciągnąć się pod chorągiew mecenasa literatury. Młody poeta żołnierz dostał się na dwór królewicza Ferdynanda Karola, biskupa płockiego, który go dla biegłości w prawie używał jako sekretarza. Zostawszy podżupkiem w Wieliczce, pociągnął do siebie Kochowski swego przyjaciela i wyjednał mu również jakiś urząd w kopalniach wielickich. Wkrótce jednak opuszczają nieodpowiednie ich aspiracyom stanowiska. »Nad wysokie progi i śliskie posadzki przełożyli zacisze domowe, gdzie orząc zagon ojczysty pracy literackiej poświęcali swe wzasy«. Gawiński osiadł w dziedzicznej wiosce Wielomowicach, a bawiąc przez pewien czas w Krakowie widywał się często ze swoim mistrzem. Owocem tych przyjacielskich od młodości do sędzi-

wego wieku stosunków obu pisarzy są wiersze i listy charakteryzujące swobodę ducha i pogodny umysł naszych ziemian.

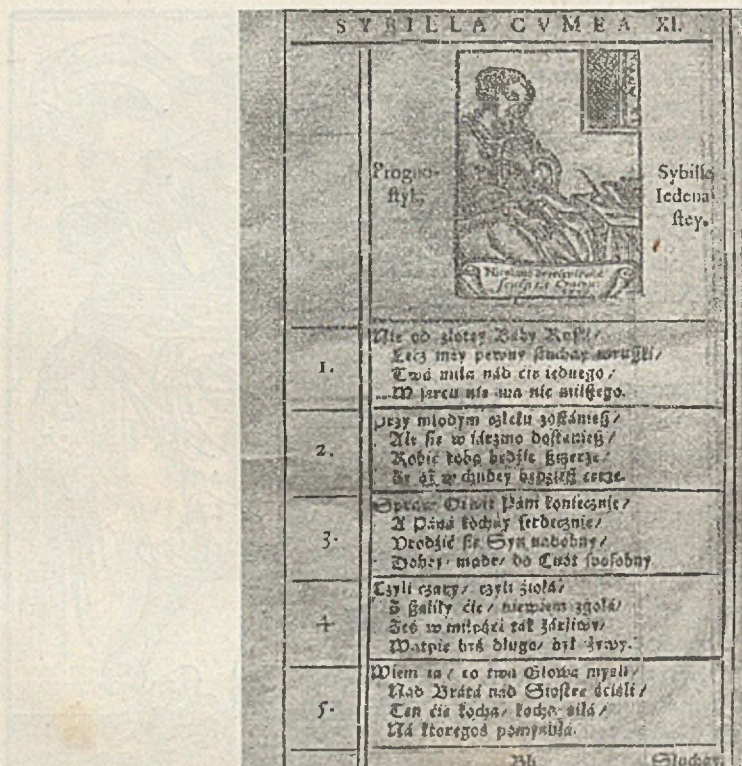
Utworki Gawińskiego, zmarłego w podeszłym wieku za panowania Jana III, zalegały do niedawna w rękopisie na półkach bibliotecznych. Wiek XVII. nie budził długi czas żywego zajęcia, nawet bohaterskie czyny narodu nie znajdowały odgłosu w piersi wyrodných potomków. Zresztą kierunek poezyi, któremu hołdował Gawiński, przeżył się. Współcześnie jednak zajmował nasz poeta wybitniejsze w gronie towarzyszy pióra stanowisko. Już pierwsze jego próby poetyckie: *Treny* i nagrobki na śmierć Księskiego, równocześnie z *Sielanką* Mopsus 1650 r. ogłoszone drukiem, zarówno jak *Dworzanki* czyli epigramata, wydane w Kazimierzu przy Krakowie 1664 r., uczyniły go wśród wesołej braci szlacheckiej wielce lubianym towarzyszem. Wszelako dopiero *Sielankami*, których liczne przedruki, sięgające od połowy XVII. wieku aż po trzecią dziesiątkę lat XIX. wieku, zdobył sobie na Helikonie polskim poczesne miejsce. Krótkie jego, trafnie zaobserwowane, iskrzące dowcipem wierszki czyli fraszki, zwane u niego *Dworzankami* lub *nagrobkami*, należą do wcale udatnych utworów. Prócz tego zostawił wiele wierszy okolicznościowych, (poprzekładał psalmy, straciwszy podczas grasującej w Krakowie 1677—8 r. zarazy morowej ukochaną córeczkę), i »*Tarczą chrześcijańską*« uderzał na pobudkę do wyprawy krzyżowej na Turków, wogóle uprawiał różne rodzaje poezyi. Gawiński występuje na arenie literackiej 1650 r. a schodzi z niej pocichu, nierozgłośnie przygotowawszy w latach 1682 — 3 dla potomności zbiór swoich plodów.

Z wierszy tych wychyla się postać poety pozbawiona głębszych uczuć, słabo odbijająca od obrazów natury, które z zamiłowania ale bez wdzięku maluje. W wieku wybujałej buty i indywidualności, wyróżnia się umysłem spokojnym — epokę burz i namiętności przebywa szczęśliwie bez gwałtowniejszych wzruszeń. Główną areną jego twórczości stanowi życie wiejskie, którego ciche zajęcia i przyjemności, zdala od burz i intryg politycznych, najbardziej odpowiadają naturze poety. Odtwarzanie to ideału poetów rzymskich srebrnego wieku, w oderwaniu od strasznej grozy wypadków, kiedy to zewsząd wrogowie plądrowali i łupili kraj, pędząc niewiasty i dzieci w niewolę, kiedy »miasta i włości szły z dymem a tysiące trupów zaścielały pola«, ma coś wymuszonego, pozbawionego prawdy i uczucia. W »lubyh i łagodnych« obrazkach, które czasem umie pięknie malować,



Nr. 18. Fortuna Jana Gawińskiego.

za wiele refleksyi i morałów, a w tej złotej mierności jest wiele manieri, nie-
znośnej jak letnia woda do picia. Nasz wierszopis obraca się jeszcze w zaczaro-
wanem kole świata klasycznego, najczęściej w jego zewnętrznych formach i obja-
wach, lub naśladuje pisarzy polskich wieku Zygmuntońskiego, których rozwadnia
i parafrazuje. W Dworzankach idzie śladem Kochanowskiego, w Sielankach na-
śladuje Szymonowicza, ale tamtym brak lekkości i ciętości, tym zaś szczerzej pro-
stoty ducha. O braku poczucia poezyi świadczy jego rymowana kabała, pod
tytułem »Fortuna« ogłoszona 1690 r. w tym celu, aby wytrącić z rąk zabo-



Nr. 19. Jedna karta z Fortuny Jana Gawińskiego.

bonnej szlachty przepowiednie dawniejszego rymopisa Bączalskiego. A już wstręt
wywołuje jego nagrobek »Peszce«. Lubo głęboko religijny, pozwala sobie we fra-
szkach na wolnomyślne żarty z duchowieństwa. Oto np. »Problema«, czemu
kurka na kościołach stawiają:

Co był Piotr święty zgrzeszył podczas swej szarwarki
Męki Pańskiej po trzykroć z powodu kucharki,
Kukuryk przez trzykrotne wspomniął mu zapianie...

Albo ów wierszyk zamężnej Fryne wulgo szwaczki do prałata:

Dwadzieściam się z mężem swym razy potykała,
Gdym dwadzieścia koleńskich koszul ci sprawiała,

Tak się boję, aby te, choć niewinne, chusty,
Zwietrzywszy nie wzięły w się małżeńskie rozpusty.
Przeto radzę te płótna wprzód egzorcyzować,
By cię zacny prałacie nie chciały zepsować...

W wieku, mianem makaronizmu ochrzczonym pisze Gawiński językiem czystym i pięknym, wierszem nie wolnym od zepsucia smaku. Przypominam w »Hymnie Bachowi poświęconym« rym na »anie« 236 razy powtórzony!

Wiek XVII. pochłubić się może bujnym rozrostem satyry, co znamionuje zazwyczaj dobę upadku narodu, powołał on też do życia poezję erotyczną, w tym rodzaju nie znaną złotej dobie naszej kultury. Przedstawicielem pierwszej jest Opałiński, drugiej Morsztyn. Przypatrzymy się bliżej tym dwóm znamienitym typom twórczości literackiej.

Początki satyry tego okresu sięgają wieku XVI., kiedy zauważono na murach Rzeczypospolitej pierwsze rysy. Rozwinęły ją jednak dopiero następne wieki, kiedy nawa państwa polskiego chyliła się ku upadkowi. Od czasów Reja, pierwszego przedstawiciela humoru polskiego, wyłania się z pod wpływu satyryków rzymskich pierwiastek rodzimy. Równocześnie kiedy Jan z Czarnolasu układał swego »Satyra« na modłę klasyczną, gromił Proteusz abo Odmieniec, tak sobie od serca czy wątroby, brak sprawiedliwości w sądach, niezgodę w sejmach, rozrzutność, przedajność itp. grzechy, wołając proroczym głosem:

Rozwieje was gniew boży jako lekkie plewy.

Marcin Bielski, lubo bez talentu poetyckiego, obdarzony jednak spostrzegawczym zmysłem, dotykając owych ran społeczeństwa odkrywał już przyczyny przyszłego upadku Polski, a jego »Sejm niewieści«, wywołał całą szkołę satyryków podnoszących nie tylko wady i grzechy narodu, ale podejmujących już kwestyę kobiecą, że tu wymienię tylko kilka tytułów satyr tego ostatniego rodzaju, bardzo rozkrzewionego w XVII. wieku (Sejm białogłowski, który w sobie zamyka wszelakie sposoby i pokoje z mężami, warując to wszystko do lat służnych póki swego nie przewiodą według uporu. — Sejm niewieści, apologia rodzaju Ewinego. — Wiersz o fortelach i obyczajach białogłowskich itp.). Pod koniec XVI. a na początku XVII. wieku wywołują z każdym dniem pogarszające



Nr. 20. Karta tytułowa broszury p. t. Sejm piekielny.

się stosunki społeczne i polityczne cały szereg wybitnych satyryków jak Klonowicz, Piotr Zbylitowski, Grochowski, występuje w satyrach okazały zastęp antysemitów, mnożą się ataki na Jezuitów, słowem rozrasta bujnie ostre ziele satyry, właśnie w czasie, kiedy coraz wyżej wznoszą się dymy kadzidel panegiryków. Jakby na potwierdzenie żelaznego prawa psychologii o stykaniu się przeciwieństw, słychać wśród bombastycznych pochwał przenikliwy głos satyry: ginimy, ginimy! Widocznie czuli satyrycy różnicę, jaka zachodzi między owymi panegirykami, podnoszącymi mierności pod niebiosa a smutną rzeczywistością. Szum pochlebstw wywołał reakcję w przeciwnym kierunku. Pojawiają się coraz częściej obrazy pełne złości, malowane na czarno, potępiające wszystko. Wije się z nich szczerzy zapał, oburzenie i chęć poprawy stosunków, ale brak im poezji, lekkości pióra. Kwiaty humoru przygłusza kąkol dydaktyczno-moralizatorskiego oratorstwa.

Nasi satyrycy XVII. wieku, dalecy od mistrzostwa Horacego, zaniedbanie formy zarówno jak jaskrawością kolorytu, zbliżają się raczej do Perzeusza, nielitościwie smagającego obyczaje rzymskie z pominięciem wymagań estetycznych. Zrywając z całą bezwzględnością »wszelkie zasłony, okrywające szpetną nagość ludzi«, odbijają nasi satyrycy niby w zwierciadle wklęsłym prywatne i publiczne życie narodu, co zdobywał się na czyny bohaterskie, a niezdołnym się okazał do uprawy cnót codziennych.

Z satyryków XVII. wieku wybija się Andrzej Rysiński »Satyrem polskim na twarz dworską«, uderzając na intrygi i rozrzutność dworu Władysława IV. Naśladuje go Twardowski w »Satyrze na twarz Rzeczypospolitej«, zaprawiający swe słowa nie »attycką solą ale goryczą złości«. Już nie tylko dworska śliskość, cudzoziemczyzna i obsadzenie krzesel koronnych niegodnymi osobami, ale ogólniejsze wady całego narodu, brane są pod światło satyry. W życiu publicznym widzimy »prywatę przeważającą nad dobrem ogólnem, próżne trwonienie czasu na czczych oracyach — niesforność i upór przy swem zdaniu, który prowadzi do rokoszów i zrywania sejmów — niepłacenie żołdu wojsku, kupowanie urzędów, sprzedajność sądów« itp. W życiu prywatnym »zbytki w bankietach i pijatykę« u panów, »sknerstwo i chciwość u dygnitarzy kościelnych, spędzających żywot na próżniactwie i lichwie«, a pokątne miłostki i zamięłowanie do stroju u kobiet. — Obraz ten naszkicowany grubymi liniami przez Samuela Twardowskiego około 1640 r. wypełnił zaprzyjaźniony z nim Krzysztof Opaliński pierwszy par excellence satyryk polski.

Sławнем było starożytne gniazdo; z którego wyszedł jeden z największych satyryków polskich. Na wyniosłem drzewie Łodziców błyszczały imiona bojowników i senatorów, zdobyły je infuły biskupie. W ostatniem pokoleniu wybija się na widowie literacką stryj naszego satyryka, Jan Opaliński, jako tłumacz nieśmiertelnych roczników Tacyta. Ojcem tego, który miał splamić sławę rodu kwitnącego cnotami staropolskimi, był Piotr, wojewoda poznański, znany z zacnych czynów i ofiar składanych na ołtarzu ojczyzny. Rodzonym bratem satyryka był Łukasz, podkomorzy poznański a potem marszałek nadworny, zręczniejszy we władaniu piórem niż laską marszałkowską. Przypisują mu dwie broszury polityczne, z których pierwsza: Rozmowa plebana z Ziemianinem wyszła bezimiennie 1641 i zawiera zbawienne rady o sposobie zawierania sejmów. Młody ten marszałek izby poselskiej 1638 r., doświadczywszy na własnej skórze skutki rozbicia nawy sejmowej, przybierające coraz groźniejsze rozmiary, opamiętał się w swej szlachecko warcholskiej robocie i począł domagać się sprężystej władzy marszałkow-

skiej, a skończył na żądaniu »władzy większej króla, którego teraz cień i godność władzy próżna«. Nie pozbył się wszakże zupełnie swoich oligarchicznych aspiracyj, nie tai przynajmniej swej nienawiści do gminu szlacheckiego »zagarniającego faktycznie cugle rządów w swe ręce« z uszczerbkiem władzy królewskiej i senatorskiej.



Nr. 21. Łukasz Opaliński (miedzioryt Falka).

Drugą broszurą polityczną a raczej satyrą p. t. »Coś nowego«, napisaną w dziesięć lat po pierwszej z powodu klęski pilawieckiej, na poły wierszem białym t. zw. aleksandrynem, na poły prozą, uderza marszałek ostro na dotychczasowe prowadzenie wojny z Kozakami, zapowiadając już utratę Ukrainy »przesiąkłej w każdej skibie krwią polską«, nie szczędzi przytem dworu królewskiego, którego niesumienne praktyki i protekcyje wykrywa, szydzi z ciągłych oracyi, chwaleb i fummy, z tego nałogu panegirycznego, którym się szlachta niby haszyszem upajała i radzi »te głupstwa choć na niedziele odkładać«. Szkoda tylko, że balast erudycyi i morałów przygniata tę lekką i wcale dowcipną satyrę.

Wykształcony, rzutki marszałek nadworny, pnący się do łaski koronnej, wystąpił też w obronie spotwarzonej Polski przeciw Barkłajowi w myśl ówczesnej zasady »swoje psy gryzą się — cudzy nie przystępuj«, co u nas jako plucie we własne gniazdo niejednokrotnie bywa nadużywaniem. Smutne oświadczenia następnego wieku wykazały, że jego apologia Rzeczypospolitej na kruchych spoczywała podwalinach. Pisał potem o obowiązkach człowieka względem siebie, bliźnich i Boga, pokusił się nawet w książce o »Poecie« po raz pierwszy o przepisy zasady poetyki — gdzie uderzał na pisorymów, co »głupiej fantazyi dymem« sobie i drugim głowy zaswedzają, a przytem ostro występował przeciw »cnemu nie pozwalam«, które niegdyś »stróżem wolności« dziś »przewrotności instrumentem« się stało; sztychł też z naszej złotej młodzieży, z owych »bohaterów, którym krew chyba z nosa ciekła«.

Przyganiający romansom płci pięknej monitor nasz przetłómaczył 1642 r. z francuskiego »Historję bardzo ucieszną młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym«, w której pełno igraszek i conceptów w ówczesnym smaku, jak np. ów wiersz:

Ja serce mam i niemam; mam, bo cię w nim noszę,
Nie mam, boś mi je wzięła, wróćże mi je proszę,
I nie proszę, bo pragnę wszystko być u ciebie itd.

Imię poważnego senatora — bawiącego się w młodości crotką — miała zaćmić sława brata, naszego satyryka. Urodzony około 1610 r.

Wesoło spędził młodość nasz wojewodzie, oddany wraz z bratem na wychowanie do wyższej szkoły Lubrańskich w Poznaniu, gdzie od dzieciństwa pojony był dymem kadzideł. Po śmierci bowiem ojca, fundatora tamtejszej katedry, młodzież z polecenia nauczycieli wyraziła uczucia wdzięczności dla domu Opalińskich w panegiryku żalobnym, mieniając dziedziców tego domu »słońcem całej młodzi wielkopolskiej« i popychając ich »Łódź herbową po złote runo najwyższych dostojenstw i zaszczytów w ojczyźnie«. Spełniły się owe życzenia z łaski Zygmunta III, który dwa posażne starostwa zostawił w dziedzictwie synom koronnym. Zwyczajem zakorzenionym w Polsce kształcił się Krzysztof za granicą, zwiedził znaczniejsze miasta włoskie i zatrzymał się dłużej na uniwersytecie niemieckim w Lowanium. Za powrotem do kraju 1631 r., dzięki przemożnej rodzinie Opalińskich, rej wodzącej w Wielkopolsce, otwierały się młodzieńcowi podwoje kariery politycznej. To też niebawem obrano go posłem na sejm i deputatem na trybunał koronny. Wreszcie zasiadł »młody, żadnym głośniejszym czynem nie zalecony« starosta szremski na krześle senatorskiem, niemal dziedzicznym w rodzinie Opalińskich, powiększając swoją osobą szeregi »senatu zbranego z dzieci«. I znów młodzież szkoły Lubrańskiego wystąpiła z szumnym panegirykiem w cześć »Łodzi uwieńczonej« dostojenstwem województwa. Swąd tych kadzideł spadał głęboko, na same dno duszy próżnego i zarozumiałego młodzieńca. A niezwykła łatwość w zaspakajaniu szalonej ambicyi sprowadziła go wcześniej na bezdroża. Zasiadłszy po raz pierwszy na krześle kurulnem w »wymownej — ale jak już społeczeńsi zauważyli — przesadnej i za oklaskiem goniącej mowie« przyganiał ostro królowi. Nie podobały się naszemu potomkowi rodu rycerskiego zwycięskie walki i plany wojenne dzielnego monarchy. Szczycący się bowiem tytułem wojewody, nie brał żadnego w nich udziału, rozmiłowywawszy się wraz z bracią wielkopolską w gnuśnym pokoju i używaniu. Uderzał też silnie na podporę

rządu, na podkanclerzego a swego stryja, Ossolińskiego, za przywiezienie sobie z Rzymu tytułu księcia, wyrzucając mu próżność. A szedł w tem z prądem czasu, jednak sobie wziętość szlachty, z niechęcią spoglądającej na politykę czynu, a gardzącej za równością braci. Śmiałem wystąpieniem naszego wojewody i jemu podobnych na sejmie 1638 r., przeciwko »niezwykłym a szkodliwym manierom rządu i jego zausznikom« udaremnione zostały zamiary rządu, ale młody senator otwarcie zrywający z dworem królewskim zniewolony był usunąć się z widowni politycznej.

Przez lat sześć od owego sejmu nie wychylał się ze swego pałacu w Siemakowie, gdzie się królewskim otoczył przepychem. Dopiero odezwanie się króla o radę do senatora w sprawie szwedzkiej ugłaskało opozycjonistę, miotającego piorunami płonnych rumorów na politykę dworu i jego praktyk. W liście do kanclerza Ossolińskiego wylewa żółć swoją w tych oto słowach: »Dwór tymi czasy tak się sam sobie podobał, że cokolwiek uczyni, sądzi — napisze, to wszystko przyjmować nam potrzeba za dekreta albo podobno i za oracula a i słowo przeciwko nim nie mówić. Tak zaś zepsowanego jest żołądka i smaku, że strzymano nie może cokolwiek mu zbawiennego od nas podane bywa. Na podobieństwo dworów zagranicznych chcecie, aby się wszystko stało bez żadnej kontradycyji. Ani mów ani pisz co Rzeczypospolitej dolega albo gniecie, choćbyś tak prawdę kropił jak dyskretny kapelan święconą wodą«. Po przytoczeniu nieszczególnych argumentów w sprawie polityki szwedzkiej przychodzi do spraw osobistych z powodu niesprawiedliwego rozdawnictwa dostojenstw: »Cudzoziemcy — powiada — przybysze ładający, chleba Rzeczypospolitej do gardła pełni, — a poważni mężowie i z siebie i z przodków ojczyźnie zasłużeni na stronie gdzieś patrzą co komu z wąsa spadnie«. Zmiana polityki Władysława IV po zgonie królowej dała sposobność zjednania sobie malkontenta, trawionego rdzą ambycyi. Powierzył mu król zastępstwo swej osoby przy uroczystości zaślubin Maryi księżnej Mantuańskiej. Atoli ówcześni panowie tak już byli zepsuci, że najwyższe zaszczyty przyjmowali z rąk królewskich pod warunkiem zapewnienia sobie na przyszłość nowych godności. I nasz wojewoda poznański zgodziwszy się na odbycie pożądanego poselstwa do Paryża, miał zapewnić sobie u króla przyrzeczenie laski nadwornej w gabinecie przyszłej królowej. Poselstwo to odbyte ze wschodnim przepychem i okazałością przez rodzinę Opalińskich, wzbudzało podziw Francuzów i dorównywało świetnością poselstwu Ossolińskiego do Rzymu. Wszelako kilka błędów popełnionych przez ambasadę weselną naraziło naszego posła na niechęć królewską. Przynajmniej ominęła go godność marszałka nadwornego królowej, z czego się był już przed bracią szlachecką wynosił. Zawiedziony w swych nadziejach wojewoda zawrzał ponownie gniewem i niechęcią do dworu. Aby ukoić żale dumnego pana, dał mu król do dwóch starostw trzecie — najbogatsze, przynoszące około 100 tysięcy złotych polskich rocznej intraty, tj. dwa miliony koron! Tem się tłumaczy dlaczego »jeden wakans starostwa poruszał całą Rzeczypospolitą«. Temi starostwami potężne domy polskie stały lub upadały — małe odstępowano swoim sługom.

Królewski ten dar nie przygasił jednak tlejącego w sercu Krzysztofa rankoru. Zagęszczonym w tej nieszczęśliwej dobie zwyczajem magnatów, zadąsanym zadrasnięciem próżności, usuwa się nasz senator na czas przydłuższy »od wszelkich obowiązków swojej godności«, tamując tym sposobem bieg czynności publicznych na szkodę Rzeczypospolitej. Wystąpieniem zaś swem na widowni polity-

cznej sprowadza na kraj klęskę. Oto zaraz na sejmie 1646 niweczy »zbawienny zamysł królewski« obrony granic i nie dopuszcza do spłaty zaległości na zaciągi wojskowe, a tajemnie nawiązuje już karygodną z ministrem szwedzkim korespondencję. Na każdym kroku stara się podstawić nogę królowi Władysławowi IV i jego bratu. Czy potrzebowano pomocy ramienia szlachty, na sejmie czy w obozie, czy chodziło o spłatę długów królewskich, czy o uszczuplenie władzy monarchszej na korzyść gminu szlacheckiego, wszędzie widać rękę wojewody podniecającą zarzewie opozycji i niezadowolenia. Zdolnościami, wykształceniem i znajomością ludzi przewyższający brać szlachecką, umiał ją chwycić na wędkę złotej wolności, i zjednać sobie u niej bezwzględne zaufanie. Jak »drugi monarcha, w otoczeniu niezliczonej rzeszy wiernych, czekających jego rozkazów«, samodzierca na swoich dobrach magnackich prowadził na własną rękę politykę, i nie oglądając się na króla wydawał do mocarstw zagranicznych dyplomatyczne noty, snuł nici kombinacji politycznych, krzyżujących plany królewskie.

Dalsze koleje wojewody przedstawiają smutny przykład człowieka zawiedzionych nadziei a szalonej ambicji, staczającego się w przepaść. W pamiętnej z Kozakami bitwie pod Beresteczkiem 1651 r. spóźnił się umyślnie ze swoim oddziałem pospolitego ruszenia, a potem obwiniał Jana Kazimierza podburzając przeciw niemu szlachtę, że to przez opieszałość króla zmarniały owoce zwycięstwa. Wreszcie jeden z pierwszych uciekający z pola walki do domu, nie przestawał buntować szlachty przeciw królowi. Gdy go z powodu tego ominęła pieczęć koronna, wakująca po Radziejowskim, »zawrzał niezgasłą odtąd nienawiścią ku Janowi Kazimierzowi — czytamy w współczesnym pamiętniku — i czekał tylko sposobności odwetu«. Zburzał sejmy — smutnej sławy poseł upicki Siciński zrywający po raz pierwszy sejm w 1652 r. działał tylko pod wpływem rokoszanina Opalińskiego i Radziwiłła — rozsiewał w listach, pod płaszczykiem dobra publicznego, nasiona zdradzieckich knoń z wrogami ojczyzny. Kiedy zaś wojska szwedzkie na czele Karola Gustawa wyruszyły 1655 r. do Polski, on jako wojewoda poznański zamiast bronić nieprzyjacielowi przystępu, nad granicą Noteci, pod Ujściem, pozwolił na to, że część pospolitego ruszenia wykradła się do domu, zanim wojska nieprzyjacielskie wkroczyły do kraju. Co więcej, ułożywszy się ze zdrajcą ojczyzny, Radziejowskim, przyspieszył poddanie się małodusznej i pozbawionej wodza naczelnego szlachty. On to wreszcie podpisał sromotny »akkord« czyli układ poddaństwa królowi szwedzkiemu, wydając jednym pociągnięciem pióra połowę ojczyzny na łup nieprzyjacielowi. Jakby w tryumfalnym pochodzie wkraczały wojska szwedzkie w ziemie polskie, zajmując stolicę i najważniejsze posterunki kraju, a opuszczony i zdradzony król polski uchodzić musiał na Śląsk. »Mściwy wojewoda poznański doczekał się odwetu za wszystkie urazy swoje do tronu...« Ale w chwili zaspokojenia namiętności obudziło się w nim sumienie. Kiedy pod wrażeniem ogromu klęski oprzytomniał naród polski i dźwignął się z upadku w konfederacji Tyszowieckiej, a cała rodzina naszego winowajcy złożyła dowody prawdziwie bohaterskich czynów, opatrność nie dozwoliła »pierwszemu nawidzielowi do zguby« naprawienia swej zbrodni. Miotany rozpaczą nie przeżył hańby i w pełni sił wyzionął ducha. Było to właśnie w chwili (1656 r.), kiedy konfederacja w Tyszowcach uznała zdrajców pod Ujściem »winnymi ciężkiej zbrodni«. I długo jeszcze potem brzmiały wyrazy potępienia wojewody w ustach narodu, a tłumacz ód Sarbiewskiego, Nieborowski przedrzeźniając Satyrom Krzysztofa, przekazał potomności grzechy jego żywota.

Atoli wyrok ten potępienia, jaki współcześni już głosili, a potomni podpisali, łagodzi okoliczność, że to nie tylko Opaliński za osobistą obrazę mści się na królu i Rzeczypospolitej — Janusz Radziwiłł, Hieronim Radziejowski i Jerzy Lubomirski dopuszczali się podobnie haniebných czynów z próżności lub interesu.

Stanowisko w literaturze zawdzięcza Opaliński jedynej ksiąźce, swoim Satyrom. Wyrosły one na gruncie wyobrażeń pierwszej połowy XVII. wieku, kiedy jeszcze żyły lepsze tradycje naprawy zła. Z tego względu należy się ich autorowi poczesne miejsce obok najwybitniejszych tego okresu przedstawicieli reformy, jak np. Starowolski. Drugą połowę XVII. wieku, chylącą się już bardziej ku upadkowi, przedstawiają Fredro i Lubomirski, obrońcy liberum veto, wolnej elekcji i nierządu.

»Satyry albo przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce« wyszły 1650 r. i doczekały się jeszcze za życia autora czterech wydań. Na pięć ksiąg rozdzielone obejmują one trzy rodzaje satyr: pierwszy odsłania ciemne strony w życiu prywatnym, drugi uderza na wady życia publicznego, a trzeci wreszcie, najdalej stojący od właściwej satyry, nazwałby można rozprawami etyczno-filozoficznymi lub społeczno politycznymi traktatami. Satyry Opalińskiego nie mają jednolitego charakteru. Autor raz przywdziewa toż uczonego, to znów składa ją i zarzuca wysoko wyłoty kontusza. Jednemu grozi biczykiem, drugiego drażni piórkami — tu rzuci obrazek rodzajowy, tam roztoczy wykład akademicki. Różnicowy ten charakter satyr zaważunkowany jest temperamentem autora, zarówno jak czasem ich powstania. Nie wyszły one od razu z pod pióra, jak Minerwa z głowy Jowisza, tworzył je poeta w różnych chwilach życia, stąd ten ogromny przedział od szkolnych elukrubacyj na temat zakładania miast lub zabezpieczenia granic, pisanych jeszcze pod wpływem studyów uniwersyteckich w Lowanium, w początkach panowania Władysława IV, aż do owych zjadliwych, żółcią nadziających satyr, któremi zrywał za sobą wszystkie mosty karyery w chwili ich ogłaszania drukiem.

Pierwszy szereg jego satyr (z lat 1632—40), w rodzaju traktatów ekonomicznych, ukazuje młodzieńca chwalebnych przymiotów, pełnego najlepszych dla kraju chęci. Słyszysz gromki głos nawołujący do reform, do obrony kresów ojczyzny, do pogotowia wojennego, co tak mile łechtać musiało ucho monarchy, rojącego o wielkich wyprawach. Dalsze satyry, z piątego lat dziesiątka, pisane pod wpływem tłumionej do Władysława IV nienawiści, głoszą wręcz przeciwne hasła pokoju i bierności, a stanąwszy w poprzek szlachetnym zamysłom króla, bryzną mu nieraz oszczerczymi zarzutami przedajności lub prywaty. Wychodzi w nich na jaw zła, podejrzliwa, zawistna, żadna zaszczytu i szaleń buty opętana natura magnata. Trzecia i ostatnia grupa satyr pisanych pod wpływem zmienionych stosunków, przez wstąpienie na tron Jana Kazimierza, odzywa się »tonem łagodnym i uległym«, jakby chciała pozyskać łaski nowego monarchy, gani rokosze i pomiatanie »pomazańcem« bożym i radzi jednać sobie »raczej miłość jego niż nienawiść«. Z przeciwnika dworu staje się jego poplecznikiem. Ale jak w satyrach z lat uprzednich: pisanych w osamotnieniu, po usunięciu się ze dworu, bije pod pancerzem stoickiej rezygnacji tętno obrażonej dumy i ambicyj wojewody, tak w tych pochwałach króla i przestrożach pod jego adresem, odzywa się błagalny głos poety: Radzęć królu, notuj, coś komu dał, a komuś też nie dał, lubo zasłużony. Potem wskazuje na siebie, że »żadnej jeszcze nie otrzymał nagrody«. Mimo tak nagłej zmiany frontu, a może właśnie dlatego, że tak szybko zmienił rolę oszczercy na pochlebce, nie odniosła »chęć pojednania się ze dworem« po-

żądanego skutku. Widocznie osoba jego nie budziła już zaufania, nie dawała rękami wierności. Dwa razy wyciągał Opaliński rękę do króla: na początku i u kresu swego pisarskiego zawodu i oba razy odtrącono go szorstko.

Postać to w swej zmienności wielce znamienita i na swój wiek typowa. Jak satyry jego obejmują rzeczy prawdziwe obok fałszów, zdrowe i szkodliwe myśli, tak pełen sprzeczności jest umysł poety: z jednej strony bystry dar spostrzegawczy obok płytkości obserwacji, samodzielność obok naśladownictwa, wybujałość obok jałowości, słowem wady i przymioty wieku. I dlatego to cieszyła się jego książka, 1650 r. wydana, takim wzięciem, czego dowodem aż dziesięć jej wydań w XVII. stuleciu, w ciągu niespełna pół wieku.

Dzisiejszych czytelników razi przedewszystkiem sprzeczność głoszonych przez autora haseł z rzeczywistością, »mądrych rad« ze »świadectwem czynu«, ideałów poety z przykładami jego życia. W literaturze ówczesnej roi się od pism wytykających narodowi różnorodne przywary wieku, płci, stanu i zawodu, nawołujących do naprawy złego, ale na owych uwagach i przestroгах kończyła się rzecz cała — bo nie chciano zacząć poprawy od siebie. Na Opalińskim ciąży tem większa wina, że czyny jego zadają kłam pismom, a przykład ten senatora, mającego być wzorem całej prowincyi, odbił się we wkłęstem zwierciadle satyr. Oto np. słowem gromił Opaliński króla za naruszanie wieczystego pokoju, a piórem smaga gnuśność i wczasy rycerstwa. W życiu, z powodu odmowy łaski marszałkowskiej, jak później pieczęci koronnej, knuł zdradę ojczyzny — w satyrze oburza się na tych, co to skorzy do zemsty za łada odmowę łaski królewskiej szyją buty koronie. Na sejmach nie dopuszczał rozwinięcia obrad, a w przestroгах swych karcił »nieporządny sposób odprawiania sejmów«. Nawet pod względem wysłowienia staje z sobą w sprzeczności, poleca bowiem unikać szpetnej maniery mieszania do ojczyznanego języka zwrotów łacińskich, a sam się nimi posługuje. Można go było z czystym sumieniem zganić słowami: Zarzucasz innym, a sam pełen jesteś grzechów!

Piórem poety kierowały nieraz czyste pobudki. Ale mimowoli do szczerej chęci potępienia złego przydały fałszu zarozumiałość i duma wojewody, żal i niechęć z powodu nieziszczonych aspiracyj. Zaćmiewały bystry zmysł autora czarne szkła, zabarwione żółcią i boleścią. Paczyło to obraz stosunków — dość wiernie przezeń odtwarzanych — niejednokrotnie w karykaturę. W świetle satyryka wygląda Polska, zdobywająca się jeszcze na czyny bohaterskie, na ofiary wzbudzające podziw Europy, niby otchłań gadów, posoką zbrodni zalana. Dom, rodzinę, wszystkie warstwy społeczne, cały naród toczy tu rak zepsucia. Nie tylko stosunki prywatne i towarzyskie, ale całe życie publiczne nurza się w bagnie. Przynać jednak trzeba, że na ów pesymizm składały się prócz osobistych względów autora także społeczno-polityczne warunki nacylającego się już ku upadkowi narodu. Wojna kozacka, haniebna klęska pilawiecka i sromotny z Kozakami układ zborski uderzały gromem w samą pierś narodu, wprawiając go w stan oszołomienia. W takiej chwili pochwycił autor zręcznie rysy zbliżającego się rozkładu społeczeństwa. Aby ten stan we właściwym przedstawić świetle, podkłada Opaliński z rozmysłu tło jaśniejsze. W tym celu — idąc za przykładem satyryków rzymskich ze srebrnego wieku literatury — odwraca się od zgnilizny swego czasu ku złotym, aureolą chwały opromienionym wiekom panowania cnót staropolskich.

Stulecie XVII. jako okres przejściowy od złotego wieku literatury do jej upadku w epoce saskiej, popadało w dwie ostateczności. Z jednej strony unosili

panegirycy w dymach kadzideł mierności do podniebnych stropów, z drugiej ścigała satyra wszystko i wszystkich w dół nie zostawiając na najlepszych suchej nitki. Dopiero zmieszanie tych światel i cieni dałoby prawdziwy obraz rzeczywistości. Stosunki zapędziły naszego satyryka do obozu przeciwników, wyławiających same ciemne strony życia. W skłonności swej do uogólnień poszczególnych objawów rozbestwienia, rzucił cień na cały naród, lubo i w moralnie zdrowych społeczeństwach »najgorętsze słońce oświaty nie wypali wszystkich cuchnących kałuży«. Popadał też nasz senator i poseł »do najwyborniejszego dworu po jaśniejącą wdziękami narzeczoną królewską« w ton rubaszny, przekraczający granice przyzwoitości i grzebał się w brudzie, jak gdyby był pozbawiony poczucia piękna.

Satyry obyczajowe tracą też ze swej wartości o ile są naśladowaniem satyryków z czasów rozkładu państwa rzymskiego, a mianowicie żółciowego Juwenala i filozoficznego Perzysusa. Ich togę stoicką zarzuca nasz satyryk na swe szlacheckie barki, przeszczepiając żywcem na grunt ojczysty obcą zupełnie roślinę. Drżąca od namiętności ręka satyryka przechodzi często w stan oburzenia, a udana cnota złotej mierności zapędza go w szeregi nudnych moralizatorów.

Koledzy Opalińskiego, jak Twardowski, Potocki lub Kochowski, maczali swe gorzkie strzały we współczuciu i żalu, których niedostawało naszemu satyrykowi, i może dlatego nie wywoływali rozdrażnienia. Nasz satyryk wygląda na prokuratora, trzymającego się litery prawa, któremu obcami są litość i współzucie. Pisze on akt oskarżenia na swój naród, jakby z nim wszystkie zerwał węzły. Stojąc pośrodku między tłumem szlachty, która widziała w nim dawnego pana, a koronę, którą on podkopywał, nie znalazł ani u tej ani u tamtych punktu oparcia, dlatego w satyrach prażył obosiecznym mieczem zarówno stan rycerski, jak monarchę.

Jako migawkowe zdjęcie stosunków, okazują satyry uderzające podobieństwo wieku. Patrzysz niby w zwierciadle na konwulsyjne wysiłki zanikającej siły moralnej i rozprężenia. W porównaniu z epoką saską, którą porównywiają do starca popełniającego zło z przyzwyczajenia, wygląda wick ten podobny do rozpustnego młodzieńca, pełnego sił — szkodnika. I dlatego nawet tam, gdzie nasz satyryk przenosi tylko za obcymi rysy upadku z czasów cesarstwa rzymskiego na społeczeństwo polskie, nie są obrazy jego pozbawione prawdy, albowiem stosunki moralnego zwyrodnienia po wszystkie czasy i u wszystkich narodów mają — mimo



Nr. 22. Juvenalis redivivus, t. j. Satyra albo przestrogi do naprawy Rzeczypospolitej.

różnice form — pewien wspólny charakter. A jakkolwiek duma i zaślepienie zapędzają autora na krzywe drogi, to sprawiedliwość podnieść każe, że w satyrach występuje jako człowiek pełen tolerancji, zwalczający ucisk ludu i prześladowanie czarownic. W wieku ciemnoty i fanatyzmu pielęgnował on jeszcze ideały humanizmu, którymi za młodu duszę napawał. Naukę i wiedzę wyżej cenił, niż tytuły i herby, a uczciwe dziecię mieszczańskie wyżej stawia od zarozumiałego wojewodzica. Jako główną przyczynę ubóstwa Rzeczypospolitej uważa autor niedostatek lub upadek miast. Zamiast oddawać mieszczanom należne uszanowanie, szlachta uciska ich i traktuje jak chłopów («i kijem zbić mieszczańka nie nowina»), a nawet pogardza nimi. Prowadzi to do ruiny tego stanu, którego szeregi co lepszy opuszcza, wciskając się do »preminencyi szlacheckiej«.

My zaś nic nie umiemy, tylko robocizną
I ciężarami tępić miasta wymyślnymi...
A lepiej, aby oni przy wolnościach swoich
I prawach zostawając, na siebie robili,
A zarobiwszy, nam zaś pożytek czynili,
Przykładem pszczoł, które to dla swej wygody
Pracując, nam pracują i pożytek niosą.

Mieszczaństwo upada i dlatego, że możniejszych toczy rak zbytku i wyniosłości, a »pospółstwo niszczy się pijaństwem«. Aby temu zapobiedz, poleca surowe kary na pijących, jak i na szynkarzy. Przy tej sposobności uderza silnie na Żydów, owych »molów nieznaczenie niszczących miasta« i radby »łotrowstwo, co to naród chrześcijański tępi i do ubóstwa przywodzi«, co to pieniędzmi kupuje sobie sprawiedliwość, wolność i najświętsze dobra — zgładzić z tego świata. W celu dźwignięcia kupiectwa polskiego poleca podniesienie kanalizacy i zaspakajanie potrzeb w kraju z wykluczeniem obcych.

W satyrze »kto jest prawdziwie wolnym szlachcicem« uderza na swą brać, że na nic się nie zda jeno do jedzenia, picia i marnotrawstwa, wyrzuca jej ciągłe najazdy, zabójstwa i zdzierstwa. Nie uznaje wogóle szlachectwa w tym, kogo ślepa ambicya za nos wodzi, komu namiętność i prywata szepcą do ucha rozkazy. W następnych satyrach karci szlachtę za jej zbytki i oszukaństwo. »Nazbyt sług — woła satyryk — nazbyt potraw, nazbyt koni i psów, nazbyt srebra, nazbyt gąb i brzuchów daremnych. Luxus panuje, ale brzydki, nierozumny. Inszaby to wysypać na jakie fabryki, na ozdobę ojczyzny, na mury, szkoły i tym podobne budowle«. Tonie przez to szlachta w długach, a Żydzi wyglądają, rychło przyplawią się z kontuszami i wezmą dobra ziemskie w zastawę. Cudzoziemcy »nas ssą, wszystkie pieniądze z korony kształtnie wyprowadzają, płacąc fałszywą monetą, a my się w tem nie baczym«. Nie masz na żołnierza, a jest na kuropatwy, łosie i jelenie. Miast muzyki, towarzyszeki waszych stołów biesiadnych, należałoby zaśpiewać ową piosenkę »Wieczna sromota — Polacy — ziemia wasza w niwecz spustoszona«, a wy trwonicie majątki, pijecie aż do umoru. W satyrze: na wszechmocne podarki u nas, oburza się poeta że »swobody, honory, dygnitarstwa sprzedajne — sprzedajna i cnota i wiara i ojczyzna i wszystko sprzedajne«. Satyra na złe ćwiczenie i rozpasaną edukacyę młodzieży zarzuca szlachcie, że złym przykładem dzieci psuje, przyzwyczajając je do niecnót i nałogów. Chłopiec pieszczaniem się zbestwi, a dziewczyna w więzieniu domowem zmarnieje. Coby jeszcze w domu naprawić można, to psuje do reszty wyjazd za granicę, skąd wraca panicz bla-

gierem i strojnisiem — »już mu i Polska śmierdzi — wszystko w niej gani«. Stąd tyle wyrodków wielkich i zacnych domów, stąd tyle dziedziców fortun, nie cnót swoich przodków, co szlachetnie się urodziwszy, marnie żyją, pełni zrad, gwałtów i fałszu.

Satyra: na ciężary i opresyę chłopską w Polsce, wypomina najcięższy grzech szlachty: niewolę, gorszą niż niewolę, poddaństwo ludu.

Serce się oraz lęka, skóra drży wspomniawszy
Na tę niewolę, która cięższa niż pogańska.
A dla Boga, Polacy, czyście oszaleli!
Wszystko dobro, dostatek, wszystkie zbiory
W waszych macie poddanych, ich ręce was karmią,
Przecie się tak okrutnie z nimi obchodzicie?

Wielbłąd nad siły obciążony wstać nie chce, a »chłopek nad przyrodzone i boskie prawa wytrzymać to musi, co mu pan na ramiona włoży, by miał zdyszć $\frac{1}{4}$ (zgichnąć)«. Przedewszystkiem obciąża go robocizna: »Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo więcej, tam ich ośm albo dziesięć, a przecieź to zrobić każą dziesięć, co ich dwadzieścia robiło. — Gdzie dwa dni albo i trzy robili w tygodniu, teraz nie mają czasem wolnego żadnego«. Szlachcic ubogi naśladowuje w grzechu przedniejszego, obu duchowni, którzy przez swych ekonomów srodze uciskają chłopa, zniewalając go do picia piwa, »któremy same dyabły trzeba truć w piekle«.

Drą go w mieście i w karczmie, we dworze, w kościele,
Ledwie że nie ze skóry. — Urzędnik da chłopa obiesić,
O czem nawet pan nie wie. Ale cóż wżdy zrobił?
Ej nic — daj mi pokój. To poddany, nie człowiek...

Który z chłopstwa ma roli dostatek i dobrej, zabiera mu się ją gwałtem i zakłada folwark pański. W jednym tygodniu wyrzucą wszystkich z roli — »płaczą chudziny, ojciec, matka, dzieci, wszyscy, do nieba tylko krwawe skargi posyłając«. Jeżeli na wiosnę niema deszczu, albo zdechnie wół z głodu, wina w tem czarownicy. »Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć aż ich piętnaście wyda, które ciągnie kat i pali«. A należałoby raczej — woła oburzony autor — pana z panią palić za to, że tak niewinnie każą męczyć i tracić ludzi bez przyczyny. Za tę opresyę ludu karze Bóg Polskę buntem poddanych, ci bowiem dochodząc krzywd swoich, krwawej nabawiły wojny z Kozakami i srogiej hańby ojczyznę. Zamiast lud trapić przymuszoną robocizną, należy powrócić do łagodniejszego stosunku czynszowego. Ujmując się za biednymi w satyrze: na szpitale w Polsce i rzadkie i nieporządne, woła:

O serca zakamieniałe, zawarte litości
I miłosierdziu serca! Ubodzy zdychają
Od nędzy, niedostatku, a przecie wolicie
Na zbytki, niż szpitale, koszty swe obracać.
Ubodzy w gnojach leżą po ulicach,
Patrzycie na to wszyscy i głosy słyszycie
Nieba przenikające, a przecie ich mijacie.

Biedaka, gdy coś skradnie, obwiesić każecie. Ale cóż ma czynić? — pyta Opaliński i sam odpowiada: musi kraść. Cobyś czynił sam w tym razie, gdybyś nie miał co jeść. Ba, wziąłbyś pono i z ołtarza.

Lubo katolik, narzekający na brak pobożności, nie oszczędza Opaliński stanu duchownego, stawiając mu przed oczy zwierciadło jego obyczajów z narażeniem się na ekskomunikę i prześladowania. Na pierwszym planie stawia chciwość księży. Siła takich pasterzy — powiada — którzy siebie pasą, nie owieczki, choćby te miały z głodu pozdychać, ksiądz je oskubie. Raz w roku, czasem nigdy owieczek nie widząc, nie daruje mesznego, ani dziesięciny. Msze i spowiedzi jak na targu — ktoby nie zapłacił, nie otrzyma rozgrzeszenia, ba nawet zostanie wyklęty. Duchowego życia i obyczajów nie pytaj. Intraty swe na pijatykę i na kobiety obracają, uciskając ubogą szlachtę a zwłaszcza poddanych, którzy przed ich wrotami umierają z głodu. Ekonomowie księży »ostatnią kroplę krwi z ludu powysysają«, a oni pieniędzmi temi synowców swych bogacą. Niektórzy ze spowiedników odstąpiwszy chorego na śmiertelnem łożu, niby sępy co na trupa czuwają, oczekują tam swego obłowu. Oto dykteryjka, którą przy tej sposobności przytoczono.

Słyszałem, że raz jeden kapłan pana na śmierć
Dysponując, a widząc, że już zmysły stracił,
Pyta go: Mości panie, te kilkaset łasztów
Odkazujeszc wasze na kościoły? Pan milczy, a on to
Wszystko w testament pisze, bo był notaryusz.
Aż się też syn onego pana wyrwie z kąta
I pyta: Panie ojcze, każesz wasze tego
Księdza oknem wyrzucić? Milczy ojciec, bo już
Ledwie co ducha w ciele. Aż syn: To milczenie
Trzeba brać pro assensu. Weźcież tego księdza
I wyrzucicie go oknem, bo ta jest ostatnia
Wola rodzica mego. Odstąpiłci pater
On duchowny wszystkiego, żeby był nie zleciał.

Z głodu przymiera ubogi na cmentarzu, a kościół świeci od złotych tablic i srebrnych wot, cudami (nie zawsze prawdziwemi) nabytych. Lepiej dać ubogim, niżli napełniać szerokie rękawy i szkatuły mnisze. Dostyc mamy zakonów, aż nadto mnichów; zamiast Polskę, niechby pogańskie kraje nawracali. »Jezuici zasmradzają świat«...

Trafną, na głębszej opartą obserwacyi, jest charakterystyka kazań społecznych. Zamiast budujących mów krzewią się bajki lub żartowne, a nawet i wszeteczne dykteryjki. Oto np. jeden dla zachęcenia słuchaczy do czci którejś świętej rzekł: »Nie żałujcie tej pannie uszu, bo ja gęby żałować jej nie będę«. Poczem poruszył niebiosą, ziemię i czeluście piekielne, wszystkie gałęzie wiedzy — cały teatr świata. Tak, że wołano: »Kleju dla Boga do tego kazania, kto zwiąże tę miotłę witką?« Przymem rzucał tego rodzaju pytania: »Czy też Chrystus, gdy go chciały mieć rzesze monarchą, zostałby królem polskim?« Drugi arcymądry teolog »pochlebia, chwali, a łże« bez miary obracając całe kazanie do osoby dobrodzieja, »wynosząc go pod niebiosą«, a sam »ni czci ni wiary«. Słowem kazania ówczesne, to »garść dymu a chimery hiszpańskich abo włoskich mózgow«, nic nie mające wspólnego z cnotą i nauką.

Księga trzecia satyr Opalińskiego poświęcona jest nierządowi Rzeczypospolitej. Rozpoczyna się charakterystyką *interregnum*.

Właśnie, gdy król umrze — woła poeta — my miasto jedności najbardziej wtenczas sobie różniemy. Prywaty na placu. Teraz właściwa pora ich dochodzenia, kiedy ojczyzna mdleje, a sąsiedzi w swej gotowości czuwają na nasz nierząd. Wojsko kwarciane, na obronę kresów przeznaczone, prowadzi hetman pod Warszawę na opresję wolności naszej i wymuszenie u szlachty głosów, a u króla wakansów. Obiera się króla niegodnego zasiąść na tronie, jedynie dla otrzymania krzesła w senacie lub intratnego starostwa. Korzysta z tego zamętu i piekła, zwanego elekcyą, nieprzyjaciel, łupi kraj — Ruś i Ukrainę wystawione na napady hordy Tatarskiej: — »Nic to, byłem ja swego mógł dopiąć na sejmie. Choćby cała Rzeczpospolita zginęła. O, głosy bezecne i głupie — woła oburzony satyryk — gdy zgaśnie prawo, wolność, zginiesz i ty oraz«. Satyrą na skarb i nieporządek w nim wali maczugą w łeb podskarbiego. Jest to prosty złodziej i zdzierca. Wszyscy o tem wiedzą. Domagają się jego ukarania, na krzyż z nim, wołają. Ale zręczny oszust umie ugłaskać surowych Katonów i upominkiem przyciąga na swoją stronę. Zmyślają fałszywe kwity. Wszystko ujdzie bezkarnie. A

...ty się chłopku szanuj,

Ubogi i podatki oddawaj zupełnie,
Aby ci ździercy rzeżko napełnili worki.
W Polsce wszystko się znijdzie. Snadnie na łajanie
I przemówki wytrzymać jednego tam sejmu,
A kilkakroć i więcej sto tysięcy — ukraść.
Cóż tedy rzec? Odmienić dawnego, a na to
Miejsce nowego życzyć w Polsce podskarbiego?
Uchowaj Boże, lepiej już starego cierpieć
Złodzieja. Wolęć już cierpieć tych baków,
Co się mej krwi napili, niż onych spędziwszy,
Głodnych nabyć, coby ich jej ostatek wysnali.

Takie rady dyktuje naszemu satyrykowi beznadziejna rozpacz. W satyrze: na ogołocone ściany Rzeczypospolitej narzeka, że obronę granic powierza się kilkunastu set ludziom, kiedy jeden senator przyprowadza na sejm po kilka tysięcy swoich. »Nierządem Polska stoi i nierządem zginie«. Do trybunałów i sądów obiera się »takich co — jako żywo — nie wiedzą co prawo«. Na deputatów biorą ludzi bez sumienia, dlatego jedynie, że »krewny biskupi albo też wojewodzy«. Napitek, pieniądze, nawet żonka to najwalnieszsze argumenta w sądzie. »Ja sam — powiada naiwnie Opaliński — wygrałem spraweczkę, która mi kilkadziesiąt tysięcy przyniosła, choć nie całe, przyznam się, była sprawiedliwą. — Bez złota i bez gładkiej żony, bez konia i bez dwu kop drzewa, danego jednemu z deputatów, który gdzieś budował dwór dla siebie, pewniebym przegrał był tę sprawę«. W satyrze: na chromą, albo raczej martwą praw naszych egzekucję skarży się autor, że sprawiedliwość w Polsce podeptana, że każdy co chce, to czyni, a »kto mocniejszy, ten lepszy i ten zawsze wygra«. Opowiada, że w Wenecyi grano komedye, w której przedstawiono obradę sejmową, jak »siła dyszkurując radzili i oracye prawili«, jak »całą rezę piśmem napełniwszy i konstytucyj półtorasta zmówiwszy — aż tego wszystkiego nic, bo sejm nie stanął«. A drugą komedye możnaby wystawić na temat: — Co na sejmie uchwały, jakie prawo

ustanowią, to potem nigdzie skutku nie weźmie słusznego. My Polacy — woła Opaliński — prywatną wolność lubię, o publiczną nie dbamy. Stąd też prawa nasze pod naszą własną władzą, a nie my pod onych, dlatego i rządu i prawa nie mamy. Nierząd wojskowy stanowi ulubiony przedmiot satyry Opalińskiego. Więcej Tatarzyn w Polsce — powiada — nie splądrował, jako nasi żołnierze, którzy, gdy nie stanie zapłaty, chłopcy drą niemilosiernie.

Trudno tryumfy sobie obiecować,
Gdy wprzód niewinnych ludzi krwią oraz i łupem,
To jest zdzierstwem ręce twe napełnione, polski
Żołnierzu. Ówdzie krwawe łzy lecą do Boga
I wzdychania ubogich chłopków: »Boże, nie daj
Im zdrowo się powrócić. Boże podaj w ręce
Pohańcowi dostatki ich, które złupili
Z nas ubogich. Napój krwią ich pola tatarskie,
Którą w domu przelali niewinnie, okrutnic«.
Takie są głosy ludu, które przenikają
Niebios a i uproszą hańbę twą i zemstę,
Wojowniku nasz polski.

Ale ani łzy ubogich, ani zniszczenie kraju, ani nieustające napady nieprzyjaciół przez otwarte granice, nie mogły nakłonić sejmu do obmyślenia sposobu utrzymania wojska. Temu zaradzić ma projekt zimowania żołnierza na Ukrainie. Z niego wyniknie: przywrócenie karności i ducha rycerskiego, obrona granic, obrona chłopstwa od wszelkich opresyi i rozkwit Ukrainy. Jako dalszy środek dźwignięcia Rzeczypospolitej uważa Opaliński kolonizację jej kresów, której sposoby szczegółowo określa. Chcąc do nowych osad ściągnąć mieszkańców, należy uwolnić ich od wszelkich ciężarów robocizny i podatków.

Opaliński poruszając w satyrach najważniejsze sprawy polityczne i ekonomiczne, podaje w niektórych — co prawda z obniżeniem estetycznej wartości satyr — sposoby i plany reformy, stojące na wyżynie społecznych opinii, nieustępujące projektom najwybitniejszych owego wieku statystów.

Krwawe jego obrazy niewolnictwa ludu i tak zwane »odrzychłoptwo« znajdują w Reformacji obyczajów Starowolskiego i »Satyrze podgórskim«, potwierdzenie, zarówno, jak Grzechy ziemnego tłumu szlacheckiego, odnajdziesz w »Robaku sumienia« i »Paradoksach koronnych«, a cheiwość, opilstwo i rozpustę duchowieństwa malują równie w jaskrawych kolorach satyry na twarz Rzeczypospolitej i »Coś nowego«. — Słowem społeczne źródła literackie udzielają sankcyi przekrojowi stosunków społecznych, odmalowanych pędzlem wojewody.

Śmiałej myśli, zrywającej z twarzy wieku maskę obłudy, odpowiada język twardy, plastyka i ekspresya w wyrażeniu, ale też i szorstkość, posunięta aż do trywialności. Styl jaskrawy, naszpikowany łacińskimi zwrotami, wielce jest zaniedbany. Wiersz niejednostajny, chropawy z kulejącym rytmem, bez rymu, spada do prozy. Widocznie chodziło autorowi o rzecz samą, a nie o formę. Gorzka prawda, z satyr jego tryskająca, przybrała ostre rysy, niezłagodzone wdziękiem sztuki, ani opromienione współzuciem. Nie lubi dobierać słów, ani igrać dowcipem — z całej pięści uderza w chimereę przestępstwa. Serce otwarte, pałające gniewem i oburzeniem, w ogóle temperament sangwiczny satyryka znalazły od-

dźwięk u współczesnych, lubujących się nawet w jego szorstkim, chropawym sposobie wyrażenia. Stworzył on formalną szkołę naśladowców.

Wobec ostrego tonu satyryków, uderzających z całej siły na wybitne osoby polityczne, a nawet na koronę, byli oni zniewoleni zatajać swoje nazwiska, z obawy zemsty lub szkód ze strony atakowanych. Przykład Grochowskiego, którego za »Babie koło« w nocy napadnięto i obito, nie był wyjątkowy. Z tego względu



Nr. 23. Krzysztof Opaliński,
(portret autora w satyrach. Wenecya 1698).

ukrywali się satyrycy pod rozmaitemi nieraz dziwaczniemi figurami. Oto typowy przykład tytułowej karty współczesnej satyry: Coś nowego, pisanego roku 1652-go. Drukowano w koziej głowie, kiedy miesiąc był na nowiu, kosztem zaś pana jednego z bractwa piławieckiego, a drukowano zakryto, boby drukarza zabito«.

W zwierciadle »Satyra podgórskiego« odbija się dokładnie fizjonomia satyry drugiej połowy XVII. stulecia. Oblicze jej skrzywione pesymizmem, na ustach zamierający lament i narzekanie na nierząd, a w sercu obrona żrenicy wolności,

(czytaj: samowoli). Obok oklepanych morałów na temat sobkowstwa, fałszywej ambicyi, zdrowy pogląd na stosunki społeczne. Świadomość złego przy opieraniu się wszelkiej reformie. Czyż to nie obraz wieku? Jaki ucisk i zdzierstwa ludu panowały w owym czasie, kiedy szlachcic, konserwatysta, tak się do swej braci odzywa:

Takeście poddanych wyszali,
Że ledwie nadzy przy duszy zostali...
Ucisnąć, zedrzcć, w gąsior chłopą wsadzić,

wyżuć go ze wszystkiego — to hasło baczniejszego. »Swawolnikowie biorą poddanych żony, córki, zdrowie«. Zamiast piwa szynkujecie pomyje, a chłop musi je pić, bo inaczej płaci karę. »Panie — woła w rozpaczę chłop — racz waszmość wziąć rolę, boć mnie już na niej chleb jeść zęby bolą«. Wzywając Boga na pomoc za ten ucisk ludu, kończy temi słowy:

Póki ubodzy z stołów pańskich żyli,
Póty panowie bezpiecznymi byli,
Dziś, gdy panowie z zdzierstw żebraków żyją,
Poddani chleb im biorą, samych biją.

Polityka, to najsłabsza strona satyryków. Króla Władysława piętnastoletnie w spokoju i szczęściu opływające panowanie porównywa do złotego wieku, karcie go tylko za pozwolenie możnowładcom przyjmowania tytułów książęcych — aluzya do kanclerza Ossolińskiego, którego szlachta zasypywała za to sotnią epigramatów i paszkwili. — Jeden z licznych objawów demagogii szlacheckiej: »niwelacya demokratyczna ku gorze, despotyzm kasty względem niższych«.

Króla Jana Kazimierza z całego serca nienawidzi — wszystko złe pochodzić ma z jego kazirodztwa. Reakcyja klerykalizmu zapuściła w wyobrażeniach szlachty tak głębokie korzenie, że plwano na małżeństwo króla z wdową po bracie, nie uznając nawet dyspenzy danej przez papieża — tak wysoko wspinał się już fanatyzm zabobonu! Towarzyszyła mu egipska ciemnota. Rzeczpospolita była wielka i szczęśliwa »póki królowie żadnych pism nie znali«. — Bolesław Chrobry jest założycielem Polski, »choć był niepiśmienny«. A kilka wierszy dalej czytamy głęboką prawdę.

Nierządem — jak wiesz — dawno Polska stoi,
By nie upadła przezeń, niech się boi.
Trudnoż tam o rząd, gdzie wszyscy chcą rządzić,
A nikt nie słuca...

Prawdziwie patologiczny to zabytek zamętu pojęć społecznych szlachty. Poemat ten napisany przed 1660 r. zalegał nieznanym w rękopisie, może dlatego, że podawał bez osłody kilka gorzkich pigułek, a wózek literacki z tego czasu toczył się po ubitym gościńcu panegirycznej obłudy.

Wiek tak jaskrawych sprzeczności, jak XVII-ty, w którym obok czynów bohaterских i wydarzeń politycznej doniosłości gnieździły się najpodlejsze wykroczenia, wyzywał pisarzy do posługiwania się narzędziem satyry, w myśl zasady Horacego: trudno jest nie pisać satyry.

Jakkolwiek nie zawsze broniłi sprawy dobrej, to wychodząc z najgorszej nawet, umieli na rzucające się w oczy grzechy przeciwników jaskrawe rzucić

światło. Oto jak np. Jan Herbut, stronnik rokoshu Zebrzydowskiego, maluje w swej »Praktyce Rakuskiej« partyę królewską:

Biorą chleb zasłużonych powleczaste sługi,
A pocziwego dzisiaj próżne są zasługi.
Komornicy królewscy, sprośne faworyty,
Szafują urzędami, rozdają zaszczyty.
Jezuita dziś rządzi, Jezuita sądzi,
Wszystkim przez naprawione zwolenniki rządzi,
Ale zawsze ostrożny, umysłu chytrego,
Udaje, iż się nigdy nie miesza do złego...

Stanisław Skarzewski, kasztelan wojnicki i starosta drohobycki, satyryk zachwalany przez takiego poetę, jak Morsztyn, pisze na Królowę Maryę Ludwikę, »Ksienię Konwertytek« i na małżeństwo Jana III. z »intrygantką Marysieńką, wdową po wojewodzie Zamojskim«, tak obrzydliwe paszkwile, że ich powtórzyć nie można.

Pod pseudonimem Prawdomowskiego, wygnańca, czytamy napaści na króla Jana Kazimierza z powodu jego małżeństwa z wdową po bracie Władysławie IV., a pojął ją — jak wiadomo — niechętnie, stosując się w tem do woli senatorów. Szydzi zeń, że był mnichem, kardynałem — więźniem i admirałem, — jezuitą i królem, wszystko bez skutku, bez szczęścia. »Tak ci Bóg kazirodceć zwykł karać«.

Odjął ci Bóg serce, odjął zmysł wspaniały,
A na większą twą hańbę odjął rozum cały.
Już na dwieście mil państwa marnie potyrałeś...
Pewnie cię z tego państwa polskiego zrzucimy,
A szczęśliwszego sobie króla obierzemy.
Ty zaś królu, niech to wiek najpóźniejszy czyta,
Ponieważś niechciał być stale mnichem, kardynałem itd. i
Kochasz się w krwi rozlaniu, zostań lepij — katem.

Tak odważnie i ostro nacierali satyrycy XVII. wieku na głowę Rzeczypospolitej.

Lament albo nagrobek matki nad synami, którzy się nie chcą upamiętać, wiersz pisany 1664 r. przez bezimiennego poetę, odczuwającego głęboko upadek ojczyzny, tak maluje ówczesne stosunki:

Tu Polska leży, wyrodków złością zgubiona,
Przy niej i złota wolność oraz pogrzebiona.
Obłuda i niesforność, swawola zbyteczna,
Pycha, nieposłuszeństwo i chciwość wszeteczna
Wszystkich stanów, ludzi i herezye sprośne,
A przytem opresye żołnierskie nieznośne
Utrapioną ojczyznę gwałtem umorzyły...

Satyrykowi tej kategorii wkłada pióro do ręki nie chęć wyszydzenia, ani pragnienie popisów, ale szczere uczucie żalu i świadomość obowiązków patryoty. Z ust Satyra uciekającego z wirów życia politycznego w las, dowiadujesz się kilka gorzkich prawd, jak np. o przekupstwach dworu — Jerzy Lubomirski kupił urząd wielkiego marszałka za 100.000 złp. — o zgubnym wpływie Jezuitów.

Duch marynizmu z igraszką słów odbił się i na tym rodzaju poezji. Oto jak np. grą wyrazów szydzili z księcia de Conti, znieawidzonego w Polsce z powodu forsowania swej kandydatury na tron polski:

O jak kpią głową w Kącie i ojczyznę gubią,
Co po Kątach o Koncie dyszkurować lubią,
W Kącie prymas z Łęczyczką swoje knują rady,
Książd płocki z Debolanką w Kącie niema zwady...
Kątski, choć żonę zawarł w cokauzowe progi,
Może być, że mu z Kąta kto przyprawia rogi. —

Jako typowy przykład humorystyki tego wieku posłużyć może dowcip babiński. Założona jeszcze w XVI. wieku Rzeczpospolita babińska przez St. Pszonkę we wsi dziedzicznej Babin, pod Lublinem, rozwijała się w kierunku wesołego żartu, z lekka jeno zaprawiona satyrą obyczajową. Składało się to dowcipne towarzystwo z króla, senatu, izby poselskiej itp., gdzie »wszystko na opak się działo niż w prawdziwej Rzeczypospolitej«. Przy mianowaniu lub udzielaniu urzędów baczono na to, iżby dotycząca osoba pozbawiona była owych przymiotów, jakich urząd lub godność przez nią piastowana wymagały. Opowiadający rzeczy niepodobne do wiary obrany był kanclerzem. Tchórz, śmiały w gębie, zostawał rycerzem z babińskiej wyprawy; okraszający kłamstwem bajdy myśliwskie, mianowany był łowczym lub ptasznikiem babińskim. Około sztandaru patriarchy rodu Pszonków grupuje się tu okazały zastęp ziemianstwa polskiego, którego »czysta hipoteka« dawała obok swobody używania także niezależność przekonań. Nie prastara stolica Polski z lasem wieżyc kościelnych, prujących niebiosa, ale Lubelskie, które przed przeniesieniem stolicy do Warszawy »stanowi czujące serce Polski i dokonywa dwu najważniejszych prac zjednoczenia państwa, mianowicie Unii lubelskiej i zaprowadzenia trybunału koronnego« staje się ogniskiem humorystycznego towarzystwa. Do stołu wesołości i śmiechu nie zasiadają wielcy dygnitarze lecz ziemianie, niżsi urzędnicy, znamienne typy »przechwalających się rotmistrzów, zapalonych myśliwców i naiwnych gospodarzy wiejskich« jako przedstawiciele owych szerokich mas szlacheckich, urodzonych przeciwników sfer arystokratycznych.

Babin nabywa pewnej sławy i wziętości, że go radzi z różnych stron Polski odwiedzają goście. Należeli doń niegdyś Rej, Kochanowski. W połowie XVII. wieku zjeżdża tu słynny podskarbi i poeta serc niewieścich, Andrzej Morsztyn, z mocno podochoconem gronem towarzyszy, z których jeden, rejent kancelaryi trybunałskiej tańczył po półkach serniku, a drugi w stodole koziołki wywracał. Gospodarz, czołem bijąc przed trzeźwością najwyższych trybunału koronnego sędziów, konferuje naszemu poecie, podonczas dopiero stolnikowi sandomierskiemu i deputatowi tegoż województwa — urząd strycharza babińskiego, dlatego »iż Jego-mość już po części sfatygowanym (vulgo spitym) będąc, strychem sobie kazał nalewać i dobre strychował«. Do tego urzędu strycharza, dodał jakiś dowcipniś tytuł łgarza. Nie brakowało i pań na tej giełdzie humoru, jak np. Anna Potocka, mianowana ochmistrzynią babińską, z której córką pan burgrabia Jakób Pszonka »w przystępiej dobrego humoru zawarł małżeństwo«... Słońce odrodzenia zachodzi na widnokregu literatury, przysłonionej na progu nowego wieku chmurami, kiedy arcopag Rzeczypospolitej babińskiej powziął myśl założenia księgi pamiętniczej, mającej dać potomnym świadectwo staropolskiego humoru. Składają się na nią zapiski czyli akta Rzeczypospolitej babińskiej z lat 1600—1677, poprzedzone

ogólniejszymi pracami literackimi, odnoszącymi się do tego wesołego towarzystwa, pióra współczesnych pisarzy, między innymi Jana Achacego Kmity, autora »Morokozmci czyli błażeństw babińskich«, czerpiącego jeszcze z tradycji złotej doby Rzeczypospolitej babińskiej.

Na kartach tej księgi pamiętniczej, będącej zwierciadłem życia ziemiańskiego w Polsce, napotykasz dowcipne bajeczki w guście Rabelais'go obok banialuk czerpanych z baśni ludowych, trefne, rubaszne powiastki, opowiadane przy kominku obok nowelek w stylu barokowym z cyrkumlokucją i wykrętami. Przeważają wszelako dowcipy, polegające na przesadzie w słowie lub czynach. Przykładem bajdy księdza Ziemiana o jakimś mieście obracającym się na śrubach, przez które płynie mleczna rzeka o jaglanych brzegach — o cudownym co stoi upieczony z wielką bułą chleba papieskiego między rogami, każdy może ukrajać chleba i wołu, ile mu potrzeba, a nie nie ubywa. Ks. Ziemianowi dawano w klasztorze tamtejszym urząd przełożonego, ale go nie przyjął, bo to zakon przytwardy, każdemu mnichowi ucinają nogi po kolana i musi przysiąc, że nie uciecze. Za ten dowcip został jegomość olicyalem babińskim. Kolega jego, scholastyk wrocławski ks. Charbicki, opowiadał, że będąc w Rzymie musiał przejść dziennie 40 mil i obejść 109 kościołów, otrzymał za to godność sufragana. Facecye ks. Jakuba Piaseckiego, archidyakona lubelskiego, obracają się w ciasnem kole żarłocstwa. — Jadał on kołaczki które 500 pickarek pickło i pstraga, co go zaledwo 12 wołów siecią wyciągnęło — za co dostąpił godności smakosza babińskiego, propagatora postów i umartwiacza ciała.

Założyciele babińskiej Rzeczypospolitej byli przeważnie protestantami. To też na początku XVII. wieku przewija się na kartach rejestru sporo wyznawców ewangelii, wyszydzających praktyki kościoła czystej, a »pierwszy zapisek babińczyka opowiada o pijaństwie w zakrystyi«.

Jak współzałożyciele Rzeczypospolitej babińskiej, zwłaszcza akatolik, Piotr Kaszewski, sędzia lubelski, odznaczała się ich księga duchem liberalizmu i tolerancyi religijnej, a nie szczędziła przytyków duchowieństwu.

Oto jak się przedstawia na kartach albumu ks. Stanisław Łubieński, historyk i jeden z najuczeńszych biskupów swego czasu. Teolog Babiński Jan Ostroń, autor »Myślistwa z ogary« i »Wojny wołoskiej«, poważny senator, taki o nim napisał dwuwiersz:

Dajcie mi w skok kałamarza:
W każdym stanie znajdziesz łgarza.

Przytaczamy niewinny niby sposób nawracania heretyków, za który Krzysztof Stadnicki, poseł sejmowy, piastował w Babinie urząd apostoła: Mając za żonę bardzo uporną w herezyi, a nie mogąc jej żadnym sposobem nawrócić, kazał wysoki zbudować sernik i posłał swoją panię, aby dlań wybrała ser. A gdy ona weszła na on sernik, kazał go na cztery węgły zapalić i na krzyż palce złożywszy przysiągł, że ją spali, jeśli nie zostanie katoliczką. Ona zobaczywszy, że nie żart, »przechodzi na wiarę katolicką nie z przymusu, ale ze swej dobrej wolej«.

Jan Orzęcki, rejent trybunalski, awansuje z kazuisty na teologa, za opowieść dosadną o kawalerze, który mając stosunek z żoną sąsiada swego, popełniał grzech cudzołóstwa, niechcąc zaś długo w tym błocie zostawać, wołał męża tej

białogłowy zabić, aby potem już tylko mieć na sumieniu »grzech powszedni, a nie śmiertelny«.

Na kartach albumu nie umiał się zapisać jakiś księżyna, za to »przytoczył sentencję biblijną i modlić się za babińczyków przyrzekał«. W nagrodę obiecali Babińczycy swemu światłodawcy pastorał.

Żart babiński przechodzi z epok bigoteryi i dewocyi w stan zaognienia. Zaczynają zastanawiać się nad cudem w Kanie galilejskiej, dowcipują na temat »modlących się klaczy« i »zmartwychwstania zajęcy«, biorą się do »nominowania apostołów i kazuistów babińskich«, wreszcie wymyślają »obrzęd kanonizacyi świętych babińskich«.

Najczęściej, lubo nienajdotkliwiej, smaga biczyk babiński łgarstwo i opilstwo, dwie najbardziej rozpowszechnione wady naszej szlachty. Wypowiada to dowcipnie w »Aktach« pan Zbigniew Sługowski w następującym wierszyku:

Wstyd mnie Lublanina,
Żem nic u Babina
Dotąd nie otrzymał,
Chociem łgał i pijał...

W pijatyce prym trzymający Babińczycy, pili z kielicha, wilkiem zwanego, takich rozmiarów, że »głowa szlachcica w niego wchodziła«. Stąd powstał dwuwiersz wcale niechlubnie świadczący o tem nałogowym towarzystwie:

Kto być chciał przedtem pisany w Babinie,
Musiał się pierwej dobrze kąpać w winie.

Oto np. dlaczego Jegomość pan Paweł Robertowski mianowany został 1643 r. konserwatorem starożytności babińskich. Gdy mu bowiem przy nadawaniu obywatelstwa powierzano puhar staroświecki, najdroższy klejnot skarbcza babińskiego, i proszono go, »aby ochronnie z nim postępował«, on odpowiedział, że się obawiać nie potrzeba, gdyż ma ten zwyczaj, »choćby najwięcej pił, gdy się obalić ma, wprzód kieliszek postawi«.

Nieraz żarty babińczyków mają ponure tło społeczne. Oto Marek Zwiartowski został referendarzem Rzeczypospolitej babińskiej za referowanie następujących praw miasta Jaworowa (pode Lwowem). »W mieście tem — powiadał — są stawy bardzo głębokie, w których wolno łowić mieszczanom, a jeśli który z rybitwów utonie, powinni, według prawa tamecznego, jego sukcesorowie dać grzywien dziesięć«. Potwierdził to ks. Aleksander Brzeski i został konserwatorem rybitwów. Jestto gorzka satyra na ucisk mieszczan (jaworowskich) którym dyktuje szlachta trudne dziś do pojęcie prawo: »wolno mieszczanom będzie — cytuję dosłownie — łowić ryby i jeżeli który bezpotomnie umrze, (a więc i taki co utonie) wszystko co po nim zostanie, na nas spadnie«.

Ze śmiercią Adama Pszonki, wnuka założyciela stolicy wesołości, dzierżącego w niej dziedziczny urząd burgrabiego, gaśnie i humor babiński, który za ledwie na kilka nieszczególnych zdobywa się dowcipów.

Rzeczpospolita szlacheckiego, jowialnego dowcipu miała być »odbiciem tej wielkiej Rzeczypospolitej, maską komiczną do owych poważnych rysów, w jakie się układały stosunki społeczne«. Czy nadzieje w niej pokładane ziściła? Być może, że założyciele jej z doby odrodzenia byli »genialnymi satyrykami czerpiącymi żywy materiał w bieżącym życiu politycznym« następcy ich, po których

jedynie zachowały się pomniki humoru, nie zasługują na aureolę sławy, którą im tradycja skronie uwieńczyła. Naliczono w całym rejestrze — jedynej księdze Babina — około czterechset dowcipów, przez cały przeciąg pół wieku z okładem, co wypadnie na rok po kilka i to nie zawsze szczęśliwych żartów. W istocie »marny omłot«. Wobec fraszek Smolika, Jagodyńskiego, Kochowskiego, Morsztyna, Gawińskiego, Wacława Potockiego — wyglądają dowcipy babińskie, na które składają się całe pokolenia i co najmniej stokilkadziesiąt głów, jak miedziaki przy dukatach najlepszej próby złota.

Dowcip babiński jest, mimo różnorodności osób i długiego ciągu lat, dość jednostajny, trywialny i ślizgający się po wierzchu. Rzadko błysnie ostry miecz satyry społecznej, przeważa żart niewinny, koncepty myśliwskie, ucieszne anegdoty z życia, z lubością podnoszące żarłocstwo, opilstwo, obłudę, głupotę i tym podobne powszechne grzechy szlacheckie.

Ale to już nie wina Babińczyków, lecz ówczesnych stosunków. Na piętnowanie pręgiertzem satyry butnych panów — nie zdobyć się było szlachetkom z Babina. Przecież w złotym wieku naszej oświaty radził Górnicki w »Dworzani- nie« nie tykać możnych »bo igrzysko z nimi jest niebezpieczne«, przyzwalając »z takimi kunsztować i niedostatki ich strofować, którzy nie są tak wielcy, iżby najmniejszy ich gniew mógł nam uczynić wielką szkodę«.

Okazy dowcipu z epoki saskiej powstają już pod wpływem kultury francuskiej. Wzorem ich są bajki Lafontaine'a.

Pod koniec tego okresu spada satyra do pamfletu lub wyuzdanej anegdoty, i dźwiga się dopiero za Naruszewicza, którego patetyczne i z francuska stylizowane satyry stanowią pomost do lekkich a tryskających dowcipem satyr Krasińskiego, jako najwyższego wyrazu tego gatunku w naszej literaturze.

Polska XVII. wieku poszczycić się już może wcale okazałym typem liryki erotycznej; z »całym orszakiem żalów, westchnień, próśb i wyrzutów«. Na czele tej batalii afektów stoi Jędrzej Morsztyn, bierze w niej udział Jarosz Morsztyn, Jerzy Schlichting, Zygmunt Lubowiecki — sami protestanci, a udzielany przez nich kurs miłości przejmują się wśród młodszej braci na Parnasie. O tych lekcyach Kupidynowych można nabrać wyobrażenia z erotyków Andrzeja Morsztyna, ofiarowywanych po kolei żonie i rozmaitym bogdankom — ze zmianą tylko imienia. Nieszczerość uczucia wynagradzano konceptami, brak natchnienia zasłaniały dziwaczne przenośnie, jednostajność przedmiotu urozmaicano sztuczkami poetyckimi. Oto przykład takiej »oferty« miłosnej, wyrażonej w formie »raków«, używanych

SOWIZRZAŁ
Krotofilny
Y SMIESZNY
urodzenie, żywot, postępki, y dokonanie
I E G O
D Z I W N E
*Brunszwku na Branie taką osobą, y po-
stacią jest malowany*



poprawa, łowy wyborniejszemi do Druku
P O D A N Y.
Sowizrzał stary, Zmdzie się w dary.

Nr. 24. Karta tytułowa Sowizrzała.

już przez Kochanowskiego, t. j. wierszy oddających wręcz przeciwną myśl w zwykłym i odwrotnym czytaniu np.

Sobie jam wolny nie mają mię w mocy,
Tobie ja służę nie szukam pomocy,
Piękności twojej nie bogactw pilnuję,
Z gładkości pewnie a nie z szat miłuję.

Tego rodzaju zabawki, t. z. anagramy, układano z liter imienia kochanki. Wyrabiają się już — podobnie jak w średniowiecznej poezji trubadurów lub minesyngerów, — pewne stałe typy liryki erotycznej jak np. wiersze na dobra noc, dobry dzień, potrącające o ludowe hejnały:

Wstawaj panno, hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta...

Wiersze nieco szablonowe, ale poruszające już »całą skalę uczuć miłosnych od pierwszego przypadkowego spotkania, aż do zawodów zdrady«. W żarcie nie oszczędzano nawet pacierzy, jak tego dowodzi »litania panieńska«:

Miły, święty Michale!
Napędźże ich do mnie wiele,
Pomóż, aby z szczęścią koni,
Byle nie pożyczanemi...
Miły, święty Hieronimie!
Zachowaj mię od takiego,
Od pijanicy sprośnego itp.

Naodwrot prosi on w »litanii młodzieńca«, aby przyszła jego bogdanka była »wzrostu wielkiego i też wdzięku niemałego« i błagając zanoszą prośbę:

Święty Archaniele!
Aby dziątek niewiele...

Płochą tą dziatwą Apolina nie warta rozwiązać rzemyka ulubieńcowi muz, jedynie godnemu przedstawicielowi liryki polskiej tego okresu, Andrzejowi Morsztynowi.

Ród Morsztynów, jak nazwisko wskazuje niemieckiego pochodzenia (Mornsteyn), piastujący już w XV. stuleciu urzędy i godności w Polsce, wydał w wieku XVII. aż pięciu poetów, z których Jan Andrzej, wielki podskarbi koronny, zasłynął jako niepospolity dyplomata i liryk polski. Najstarszy z nich kanonik krakowski Hieronim, czyli poprostu Jarosz, autor nieogłoszonego dotychczas zbiorku wierszy na oklepny temat zwady Marsa z Kupidynem lub okrutnej miłości królowny Orestyli, śmiercią zapieczętowanej, pisał obok fraszek i figlików także poważne, pełne skruchy poezycy, jak owa pokutnicza modlitwa, w której spowiada się księżyna, jak fale wszeteczeństwa »łódkę duszy« jego »w kale zatapiały«.

Bratem stryjecznym kanonika, a zarazem jego imiennikiem, był Hieronim Morsztyn, stolnik bielski, bywalec »pochopny do przyjmowania obcych przywar«. Bawiąc dłuższy czas we Francyi, zachwyił tam lekkich obyczajów, ale i lepszego smaku. Lubił życie swobodne i rozrywki, a w pijatyce przebierał nieraz miarę. Swawolą tą nadwęgżywszy zdrowie i majątek, umarł w połowie XVI. wieku; zostawił dorobek literacki nie wielki, ale cieszący się poczytnością. W wierszach

ulotnych, towarzyszących grze i zabawie, odbija się najlepiej fizyonomia poety. Wiele tam swawoli i rozpusty, dlatego też zalegają do dziś w rękopisie. W dłuższych powieściach poetycznych, erotycznej treści, jak np. *Philomachia* albo *afektów gorącej miłości* wyrażenie, przebija już gust włoskiego seicentyzmu, wysilanie się na sztuczne sentymenty i dziwactwa stylu, że tu wymienię tylko z tytułu kilkakrotnie przedrukowywaną powieść: *Antypasty małżeńskie*, trzema wdzięcznymi historiami jako wdzięcznego smaku cukrem prawdziwej a szczerzej miłości zaprawione. W Krakowie 1650. Mieści się tu wierszowana »historia ucieczna o znacznej królownie Banialuce ze wschodniej krainy«. Fantastyczna osnowa tej baśni, na ówczesnych romansach wzorowanej, dała pono powód do przysłowia »plecie banialuki«. Typowy to przykład romansu pełnego przygód: Królewicz, zbłąkany na łąkach w puszczy, odkrywa w jej głębi tajemniczy pałac, gdzie pokutuje z dwozem swoim królowna. Zapalawszy ku niej namiętną miłością, zdobywa ją po wielu trudach i osadza na tronie. Poemat kończy się ślubem i koronacją.

Stryjecznym bratankiem Andrzeja był Stanisław Morsztyn, pokrewny mu kierunkiem twórczości, nachylającej się ku wzorom francuskiej poezji klasycznej. Tłómacz *Rasy* (Andromy) i *Seneki* (Hipolita) próbował sił swych w krótszych wierszach okolicznościowych, w których czuć atmosferę dworską (*Odkryta szczerłość kawalerska* — *Eksplikacya baletu*). Talentem niższy od swego stryja, któremu chciał dorównać, zasłużył się ojczyźnie jako dzielny żołnierz i obywatel. Był w bitwach pod *Cudnowem* 1660, *Chocimem* 1673, gdzie został ciężko ranny, pod *Żórawnem* 1676 i *Strygoniem* 1683, jako rotmistrz, potem »oberszter« i chorąży zatorski, mężnie stawał przeciw Turkom i Tatarom. Z podstolego chełmskiego posunął się 1687 r. na kasztelanę czerską, wreszcie wyniesiony na krzesło wojewody mazowieckiego i sandomierskiego żył do końca pierwszej ćwierci ośmnastego wieku.

Jedną gałąź Morsztynów, dorobiwszy się na żupnictwie majątku i znaczenia, przyjęła indygenat szlachecki i stała się pionierami nauki aryańskiej w Polsce. Już *Floryan Morsztyn*, prastryj Andrzeja, zostawił ślad swego pióra w rocznikach literatury aryańskiej. Dziad podskarbiego *Krzysztof*, starosta filipowski i dziedzic licznych włości pod *Krakowem*, wydał córkę swą za mistrza nowej nauki *Fausta Socyna*, a rękę wnuczki powierzył sławnemu pisarzowi i przewodcy aryan *A. Wiszowatemu*. Wogóle brali Morsztynowie żony z pośród znanych i głośnych wyznawców kościoła chrześcijańskiego, a związki te małżeńskie były jednym z najsilniejszych ogniw zwartego związku aryan. W takiej rodzinie wychowany *Zbigniew Morsztyn*, wnuk *Krzysztofa*, stanął od razu w szeregu szermierzy idei aryańskiej. Świadczą o tem jego wiersze, umieszczone w zbiorze »*Muzy domowej*«. Autor ich, piastujący podówczas skromny urząd miecznika mozyrskiego, nie tai swego wyznania aryańskiego, odmawiając w wierszach oryginalnych i przekładach z *Przytkowskiego Chrystusowi bezpośredniego bóstwa*, nie odrzuca jednak pisma św. ani *creda* apostolskiego. Z jego »*Pieśnią w ucisku*«, niby »*łabędzim śpiewem*« wyznawców tej nauki, ustępują nasi aryanie, szczwani przez katolików, z widowni historycznej. Oto wyjątek z tej pieśni, zanoszącej skargę na wdzieranie się Kościoła w święte prawa wolności sumienia:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy,
Usłysz krzyk sierót twoich, usłysz płacz rzewliwy.

Ciężka krzywda o, Boże! Ty na Twojej ziemi
Wszystkich cierpisz, Twe słońce promieniami jasnemi
Złych i dobrych oświeca — a tu ludzkie plemię
Samo na się zajadłe ciężko następuje
Na swych bliźnich i z Twojej ziemie ich ruguje,
Choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy...

Malując rzewnie rozpacz biednych wygnańców, łudzi się poeta, że wróca
jeszcze na ojczystą ziemię — z tryumfem.

Jak wszyscy niemal ówczesni poci walczył nasz Zbigniew pod Radziwiłłami,
opiekunami kalwinów i aryan, w wojnie Rzeczypospolitej z kozactwem i w kam-
panii wołoskiej, brał też udział w wyprawie ruskiej i bił się dzielnie z Szwedami.
Osiadłszy po trudach na roli, zanosi żale na niewdzięczność społeczeństwa wobec
tych, którzy ojczyźnie nieśli życie w ofierze:

A wszystko przeszło jako cień, jak mara,
Ojczyźnie tylko oddana ofiara
I płonnej sławie, lecz i ta ubieży,
Kto zabit leży.

A choć kto uszedł, kiedy nago z błota
Wylazł, ustała do służby ochota,
Bo o czym będzie służył, czy nie o tych
Czterdziestu złotych?

Byśmy przynajmniej od tych wdzięczność znali,
Za którecheśmy krwią się oblewali,
A kiedy na żołnierza co żywo
Pogląda krzywo.

W czasie najazdu Szwedów nie łączy się jednak zniechęcony sześćioletnią
wojczką miecznik z wrogiem ojczyzny, lecz po raz ostatni chwyta za oręż 1656
r. dla ocalenia stolicy kraju. Z powodu ciężkiej rany, odniesionej w potrzebie,
wzięty do niewoli, wynurza w »Dumie« swoje bole następującym urywanym rymem:

Śpiewam ci, ale moje
Serce bez przestania
Ciężkie ma niepokoje —
Ja śpiewam, choć ojczyzna
Matka utrapiona,
Ona tak kiedyś żyzna,
Tak niezwyknięta,
Nagle upada...
Ja śpiewam, a potoki
Z krwi polskiej zbierają,
A dymy pod obłoki
Z miast i ze wsi wstają.
Ja śpiewam, a tak wiele
Braci mych kochanych,
Jednych miecz w boju ściele,
Drugich okowanych,
Równą mej dołą
Pędzą w niewolą.

Wystąpiwszy ze służby wojskowej, w której »nie zasługa prawdziwa ma valor, lecz majątek i urodzenie« zakłada gniazdko rodzinne, wspominając długo jeszcze na minione kłopoty i trudy. Niebawem spotkał go cios bolesny. Na mocy uchwały sejmowej musieli arianie opuścić kraj rodzinny, albo przyjąć wiarę rzymsko-katolicką. Dekrety wydalenia (z lat 1660—2), wykonane z rzadką w dziejach Rzeczypospolitej surowością, pozbawiły ich szczęścia rodzinnego i majątków ziemskich, które za bezcen sprzedawać musieli. Miała to być kara za zdradę ojczyzny Szwedowi, któremu bezkarnie wydali kraj katolicy. Nasz Zbigniew, z wielu innymi arianami, służyli wiernie ojczyźnie. Wyrok wygnania spadł więc na nich niesprawiedliwie. Razem z Czaplicami, najbliższymi krewnymi żony, szuka nasz poeta opieki w Prusiech książęcych. Tu znalazłszy schronienie u namiestnika Prus ks. Bogusława Radziwiłła, znanego mecenasa arian, stając w charakterze radcy elektorskiego w szeregach walczących o wolność wyznania, starał się nieść rozbitkom uciemiężonej braci pomoc. Własność jego Rudówka, zarówno jak sąsiednia wieś przyjaciela jego Przypkowskiego: Kozinowo, stały się wkrótce — jako obdarzone przywilejami swobody religijnej — ogniskami ruchu polskich arian. Tu tutaj przybywali naczelnicy tego wyznania jak Wiszowaty, Schlichtyng, Arciszewski, Koncki, Taszycki. Nie zrywał nasz poeta węzłów z krajem ojczystym, będąc w nieustannym związku ze znajomymi, a dłuższy utwór epiczny, opiewający zwycięstwo oręża polskiego nad Turkiem pod Chocimem 1673 r. dowodzi, że kochał swą ojczyznę, która mu była nie matką ale macochą.

Morsztynowie ci, to pisarze *minorum gentium*. — Na kartach historii i piśmiennictwa polskiego błyszczą wśród nich najjaśniej imię Jana Andrzeja z Raciborska Morsztyna. Młode lata przyszłego poety »piastował« dziadek Walerjan Otwinowski, przyciężki tłumacz Wergilego i Owidyusza, wskazując mu strome na Parnas ścieżki. Wcześniej jednak porzuca młodzieniec tory klasyczne mistrza pod wpływem nowych prądów zagranicy. Zwyczajem bowiem synów szlacheckich odbył on i podróż po Niemczech, Francji i Włoszech, gdzie się przetarłszy nabrał wykwintnych manier, i zapoznał z nowszymi płodami literatury francuskiej i włoskiej.

Po powrocie do kraju przebywał na dworze króla Władysława IV. i z jego polecenia towarzyszył 1654 r. poselstwu Krzysztofa Opalińskiego wyprawionemu po rękę księżnej Maryi Mantuańskiej — późniejszej królowej polskiej Ludwicy Maryi. — Przebywając jako pokojowiec królewski na dworze zwrócił na się uwagę królowej układnością, galanterią niemniej biegłością w mowie francuskiej i włoskiej. Wywiązał się stąd stosunek natury politycznej, który w życiu Morsztyna wywarł wpływ stanowczy. Poruczano mu najrozmaitsze czynności i coraz ważniejsze sprawy do załatwienia. A w takich warunkach, zdolny, obrotny dworzanin przebiegał szybko szczeble kariery politycznej i obywatelskich zaszczytów. Jeszcze 1654 r. w poselstwie do Szwecji — dokąd Morsztyn po rozbiciu okrętu ledwie na desce dopłynął — lekceważył sobie król szwedzki Karol Gustaw »internuncyusza« dlatego, że piastował tylko niższy urząd stolnika sandomierskiego. Niebawem jednak posunięty został na wyższe dostojęstwo referendarza koronnego. Otrzymał nadto bogate starostwa: kowelskie, zawichoskie, warckie i tucholskie. Był kilkakrotnie wybierany posłem na sejm, komisarzem i deputatem w rozmaitych sprawach, w końcu 1668 otrzymuje wielkie podskarbstwo koronne. Małżeństwo z damą dworu Katarzyną Gordon, uważaną przez królową Ludwikę Maryę za córkę, tudzież ogromny spadek po bezżennym bracie, podniosły znaczenie

i wpływ Morsztyna. Powierzano mu najważniejsze poselstwa do dworów we Francyi Niemczech, Rosyi i Szwecyi. Powiernik tajnych myśli królowej należał do filarów jej polityki. Nie był wszakże ślepem narzędziem w ręku energicznej, rzutkiej i ambitnej królowej. Nad unoszącą się namiętnością kobietą i aż do zawziętości upartą panował zimną krwią i spokojem.

Był to typ dyplomaty XVII. wieku. Jako poplecznik stronnictwa francuskiego, przez dwór królewski reprezentowanego, dążył do zaprowadzenia w zawihrzonym swawolą szlachecką społeczeństwie silnego rządu, opartego na wzmocnionej władzy królewskiej i dziedziczości tronu. Wszelako do celu swoich dążeń nie zapalał się gorączkowo. Znał »kruchłość politycznych hasła«, dlatego »prądowi unieść się zupełnie nie pozwalał«. Cechowały go przezorność i nieufność. Postępował zawsze ostrożnie, umiarkowanie. Zręczny, przebiegły dyplomata »celował wykwiłtnem ułożeniem, salonową galanterią i swadą okraszoną, uszczypliwym humorem«. Spółcześni świadkowie, którzy zostawali z nim w ściślejszych stosunkach, podnoszą wysoko zdolności Morsztyna, ale wyrażają się niekorzystnie o jego charakterze. »Człowiek niebezpieczny — powiadają — nieprzenikniony, z usposobieniem giętkim, któremu nigdy dowierzać nie można. Pozorna śmiałość jego ukrywa pod spodem lęklivość. Nigdzie serdeczności, przeciwnie wszędzie raczej interesowność i małoduszność«.

Rysy te charakteru odbiły się na poezyi, pozbawionej ciepła i prawdy, jak atmosfera gabinetowa sztucznej, a jak powierzchowność dyplomaty obojętne. Zgodnie z polityką, pozbawioną samodzielności, służącą celom dworu, była ta poezya »zamkniętą w klatce narzuconych upodobań, nosiła obcą liberyę«. W wierszu, pisanym pod koniec życia, powiada o sobie:

Dworskie wykręty i zdradliwe sztuki,
Że się ustawnie w koło mnie bawiły,
Snadź i mnie na swe kopyto zrobiły.

Z wierszów układanych »dla sztuki« wychyla się postać egoisty, szernującego dowcipem na zimno, galantoma z jakimś drwiącym uśmiechem na ustach — tak jak go malują relacje ambasadorów zagranicznych. Poezja to jak jego osoba: »giętka, sprytna, ogładna, nie rachująca się z moralnością, bez zapału« — słowem taka jak jego życie i czyny. Małomówny i zamknięty w sobie polityk nie zdradza się i w pismach, omijających jakby z rozmysłu sferę życia publicznego. Nieprzyjaciel anarchii szlacheckiej domaga się dla niej i w poezyi silnego rządu. Poplecznik Kondeusza na tron polski zaleca go w »Pysze« jeszcze za żywota króla na następcę, aby tym sposobem ochronić kraj od zgubnych elekcji skutków.

Kiedy z wyborem nieudolnego króla Michała fale indywidualizmu i samowoli szlacheckiej coraz wyżej się wzbijały, skupiły się w zwartym szeregu rozproszone żywioły stronnictwa francuskiego i zamierzały zrzucić z tronu króla. Do kierowników tego sprzymierzenia należał obok przyszłego króla Jana III. nasz podskarbi. Łączyły go z Francją tysiączne nici. Częste podróże do tego obiecane go kraju i pobyt na olśniewającym dworze króla Ludwika XIV., zażyłość z dworem Ludwiki Maryi, wpływ żony, margrabianki de Huntley, zamiłowanie do obyczaju i literatury francuskiej, której nasz poeta był jednym z pierwszych krzewicieli, cała jego przeszłość i przyszłość skierowane były w stronę Wersalu. Już w r. 1678 pozyskał poddaństwo francuskie, w dwa lata później kupił urząd sekretarza króla Ludwika XIV. Około tego czasu nabył olbrzymie dobra Mont-

rouge i Châteauvillain we Francyi i podpisywał się Marquis d'Arcque en Barzois, Comte de Châteauvillain, Baron d'Orges, Creancey, Courcelle, Seigneur de la Tressy, Conperey itd.

Po złożeniu przysięgi homagialnej królowi francuskiemu, otrzymał dziewięć tysięcy lirów rocznego jurgeltu. Mimo to dyplomaci wersalscy nie od razu darzą go zaufaniem, owszem ostrzegają przed jego dwulicową polityką. W istocie pakuje nasz uczeń Machiawela z dwiema stronami, przestrzegając przedewszystkiem własnego interesu. Dopiero, kiedy się przekonano, że poszedł bezwzględnie w służbę dworu wersalskiego, kiedy jako poseł Rzeczypospolitej zdradzał jej sprawy, stając się orędownikiem interesów Ludwika XIV., dopiero wtedy zaskarbił sobie jego względy. Odtąd następuje zdwojenie jego osobowości. Równocześnie jest poddanym dwóch królów, zarazem dygnitarzem francuskim i ministrem polskim, a umie tak zręcznie »tańczyć wśród mieczów«, że wychodzi z każdej, choćby najdrażliwszej dlań sprawy, czysty.

Poseł francuski, bawiący dłuższy czas w Polsce: Bonsy, ojciec chrzestny córki podskarbiego, nie wahał się orzec, że »nie widział Polaka mniej polskiego niż Morsztyn«. Cechowały go »maniere paryskie. Nosił się z francuska, włos zapuszczał długi, troskliwie trefiony, spływający w obfitych pierścieniach na szyję — wąs golił«. Wszelako przyznać musi, że i on, zwolennik »dynastyi dziedzicznej, z Francyi przeszczepionej«, dążący do ukrócenia demagogii szlacheckiej, nie pozbył się republikańskich ideałów. »Z szermierza reformy wygląda kawał zwykłego szlachcica«. Życie się jednak z cywilizacją i atmosferą obcego narodu zbliżało go raczej do typu markiza niż szlachcica polskiego, a jurgelt pobierany od obcego monarchy postawił w sprzeczności z krajem rodzinnym, wkońcu przyszło do otwartego z ojczyzną zerwania.

Kiedy po nieudałej ambasadzie we Francyi podskarbi koronny zdawał ze swej czynności sprawę, zerwała się na sejmie 1681 r. burza, zręcznie ukartowana przez dwór królowej Maryi Kazimiry, powtórzyła się zaś po dwu latach z taką gwałtownością, że się podskarbiemu grunt pod nogami usuwał. W ulotnych piśmach zarzucano mu zdradę ojczyzny, ograbienie skarbu koronnego, zdzierstwa, intrygi i tym podobne grzechy. Przejęte listy Morsztyna wykazały, że donosił królowi francuskiemu o wszystkim, co się działo na radzie koronnej, że wbrew przyjaznym stosunkom Rzeczypospolitej z dworem habsburskim popierał sprawy wrogiego im gabinetu francuskiego, że działał w kierunku pogłębienia różnic między królem Janem III. a narodem. Podskarbi zrazu wypierał się wszystkiego. Złożono nań sąd doraźny, odbywający się w pełnej izbie sejmowej. Wobec gróźb i krzyków: »zdrajca, infamis!« wobec domagań się, aby winowajca opuścił krzesło senatorskie i usprawiedliwił się na środku izby »z pod laski marszałka«, bronił się podskarbi, »pływając po powierzchni ogólników, okraszonych biblijną i romantyczną zamasztyością«. Powiadają o jego obronie, że »rozpoczął justyfikację jak żyd, a zakończył jak poganin«. Lubo proces odroczoneo do następnego sejmu, zapadł wszakże wyrok: wykluczający Morsztyna od uczestnictwa w sejmie i na radzie senatu, z wezwaniem do złożenia urzędu podskarbiego. Z wyżyn chwały, znaczenia, z wpływowego stanowiska kierownika polityki wżuty, zniesławiony, spadł potężny minister skarbu i milionowy magnat do rzędu zdrajców i zdiurców.

Nie wszystkie jednak punkty oskarżenia zawierały prawdę. Zaczniemy od zarzutu defraudacyi, popełnianej w zawiadywaniu skarbem koronnym. Podskarbiowie Rzeczypospolitej, zarządzający dochodami i wydatkami państwa, byli urzędni-

kami bezpłatnymi i pobierali tylko od stron wynagrodzenie w postaci rękawicznego lub workowego. Tym sposobem w rdzeniu samego prawa tkwiły zarodki nadużyć. Podskarbiowie przyzwyczajeni byli do meklerstwa, a stąd krok jeden do szalbierskich sztuczek. »Ograbienie skarbu uważano za grzech duchowny, należący do spowiedzi, a nie przynoszący przed światem żadnego sromu«. Oto co czytamy w »Skrupule bez skrupuła« o podskarbiostwie Leszczyńskiego: Starając się o kwit sejmowy na poświadczenie rachunków, ujął Bogusław całą niemal izbę brzęczącym podarkiem. Gdy przyszło do odczytania owego sfabrykowanego kwitu a wszyscy wrzasnęli: zgoda! zaprotestował jeden śmiałek. Leszczyński mając w rękę wykaz łapówek, zapytał rezolutnie: »A który to tam brat, com mu nie dał?« Ów poseł protestujący gdzieś przepadł, poczuwał się bowiem do winy jako podkupiony.

Morsztyn szedł w ślady swoich poprzedników, nie popełnił jednak sprzeniewierzenia. Komisya wyznaczona dla zbadania porządku w skarbie Rzeczypospolitej, któraby mogła i powinna tę sprawę stanowczo rozstrzygnąć, »nie miała czasu ani sposobności (!) aby złożyć sprawozdanie«. W rachunku złożonym przez Morsztyna było wszystko w porządku. Milionowe dobra, które miał kupić za ograbione pieniądze, »nabył — jak się tłumaczy — godziwie, nie plamiąc się ani kwartnikiem cudzego mienia, za pieniądze zebrane z intrat dóbr dziedzicznych i starostw, których na sto tysięcy złotych polskich posiadał jeszcze przed otrzymaniem podskarbstwa, tudzież za pieniądze zaoszczędzone z dochodów urzędu swego, osobliwie z workowego«.

Co się tyczy zarzutu zdrady stanu, to odpierał go w tych mniej więcej słowach: Nie przeszedł w poddaństwo króla Ludwika, tylko w obligacyę feudalną z powodu zakupna dóbr we Francyi. Przytaczał zaś szereg przykładów na dowód, że obywatele Rzeczypospolitej składali nieraz przysięgę obcym panującym z powodu zakupna w ich krajach obszarów ziemskich. W obronie przyjęcia urzędu sekretarza królewskiego mógł odwołać się również na antecedencye: »Panowie polscy nie rzadko odprawiali pielgrzymkę za granicę po złote runo zaszczytów, po niejednej ambasadzie przywozili klucz szambelański, hrabiowską koronę lub mitrę książęcą do domu«. Nowością była tylko godność sekretarza, a każdy nowy tytuł kłui w oczy brać szlachecką.

W sprawie niezaprzeczalnych intryg politycznych na szkodę króla Jana III i Rzeczypospolitej byli współwinni jego sprzymierzeńcy, jak Stanisław Lubomirski wojewoda Jabłonowski, Grzymułtowski. Ale oskarżenie królewskie ciężarem swoim przygniotło wyłącznie tylko podskarbiego, oszczędzając innych królewiat szlacheckich, a w tej grze politycznej tkwiło ziarno niesprawiedliwości.

Zdawało się, że wszystkie moce, ludzkie i boskie, sprzęgły się, aby przebiegłemu dyplomacie, który się sam we własne sieci polityki zawikłał, zgotować koniec. Przynaglony do wypełnienia hańbiących go warunków, ratował się ucieczką do Francyi. Jeszcze przed wniesieniem nań w sejmie skargi, nosił się z myślą schronienia w tej drugiej, przybranej ojczyźnie. Obecnie, korzystając ze sposobności, że kwiat rycerstwa polskiego przelewał krew za chrześcijaństwo pod murami Wiednia, wyjechał cichaczem ze stolicy, otrząsnąwszy na zawsze ze stóp swych proch ziemi rodzinnej.

Zamieszkał stale w hrabstwie Châteauvillain, prześlicznej majątności ziemskiej w Szampanii, nabytej przezeń jeszcze 1680 r. W stolicy Francyi miał swój pałac na Quai Malaquais — do polityki się nie mieszał prawie zupełnie, strzegł z chci-

dla Rzeczypospolitej — od powrotu zaś do kraju zaczęła się era pospolitego serwilizmu i interesu na zgubę króla i państwa».

Dorobek literacki Morsztyna, objęty dziś jednym tomem, stawia go na czoło poezji polskiej XVII. wieku. Należał on do pierwszych ludzi, którzy otworzyli u nas okna do Wersalu, lubo jako poeta tkwił w atmosferze sztuki włoskiej, z doby odkwitłego odrodzenia.

Do najwcześniejszych — bo przed 1650 r. napisanych — utworów Morsztyna zalicza się *Psyché*. O tej najpiękniejszej z ziemianek, obudzającej zazdrość bogini miłości i zapalały namiętne u jej synka Kupidyna, opowiada z początku ery chrześcijańskiej Apulejusz w »Przemianach« i za nim podejmuje ten przedmiot Jan Marino w poemacie p. t. *L'Adone* (Wenecya 1623). Śladem tych pisarzy, a zwłaszcza poety włoskiego, idzie nasz Morsztyn — przed nim opracował ten motyw Twardowski w sielance miłosnej »Dafnis«. Ale daleko jeszcze naszemu początkującemu poecie do lekkiej, pełnej elegancyi i subtelności formy Marina, tonem rubaszo-zartobliwym i językiem jeszcze nicogładzonym bliższy jest raczej do poety rzymskiego. Wielbiciel królowej i poplecznik kandydatury księcia de Conte, wyrzuca tu poeta swoim rodakom chciwość, prywatę i krótkowidztwo polityczne.

Podobne aluzycy do stosunków społecznych zawiera przekład znanej z czułości komedyi pasterskiej Tassa p. t. *Amyntas* i przeróbka Cyda »komedyi hiszpańskiej, reprezentowanej w zamku warszawskim podczas sejmku«, w której Wisła, witając z uwielbieniem parę królewską, podnosi z naciskiem znaczenie wzmocnionej potęgi królewskiej. Zawód publiczny i dyplomatyczne zabiegi, pochłaniające wszystkie siły podskarbiego, nie pozwalały na rozwinięcie skrzydeł muzy. Pisał niewiele, a i tego nie ogłaszał za życia drukiem. Przypisują mu — lubo w części tylko słusznie — wiersze religijne; znamionują one upadek uczucia wiary, zniżającej się do praktyk i formalistyki. Przypominają »owe figurki kościelne, niezgrabnie wyciosane z drzewa, ustrojone w gałganki, lub świecące szychem«. Wyjątek stanowi wiersz p. t. »Pokuta«.

Morsztyn uprawia niwę poetycką dorywczo — mimochodem — nie robi z niej zawodu. Nie ogłasza wierszy swych na widok publiczny, nie zbiera, nie dba o nie, przywłaszczają je sobie inni. W późniejszym wieku zajęty sprawami polityki zarzuca zupełnie tę zabawkę, czasem tylko jakieś wybitniejsze zdarzenie zapali jego wenę poetycką. Oto np. w »Serenadzie północnej na ślub niezwykle wielkiego stadła« wyraża się uszczypliwie o weselu przed ślubem rozkochanego w Marysienice króla-bohatera, albo »wygotuje paszkwil na rozwód panny Stanisławskiej z kasztelanem krakowskim Warszycim«.

Stanowisko w dziejach literatury polskiej zdobył sobie Morsztyn jako śpiewak miłości dwiema wiązkami poezyi, z których pierwsza, zatytułowana »Kani-kuła«, uosabia stopień namiętności poety, druga, na dwie księgi podzielona, p. t. »Lutnia« wyróżnia się wśród swoich poprzedniczek i towarzyszek właściwą barwą głosu. One, jak całe oblicze naszej literatury, zwrócone są w stronę życia publicznego, czerpią natchnienie z potrzeb praktycznych, z politycznych celów, w ogólności z zadań społecznych narodu — ta ogranicza się zakresem jednego uczucia, najbardziej osobistego, bo miłością kobiety. Miłość ojczyzny jest światłem, które ogrzewa i ożywia całą poezycę naszą — na Morsztynową muzę rzuca swe pierwsze promienie słońce indywidualnej miłości. Lubo wybitny dyplomata, unika dziedziny intryg dworskich, nie płącze się w sieci matactw polity-

cznych — żywiołem jego i potrzebą serca jest miłość. Kupidyn, kierujący jego ręką, szepce mu do ucha: »Ty nie dbaj wysoko rym wznosić i dawne dzieje piórem twoim głosić. — Pomiędzy monarchów polskich sprawy — zostaw to inszym: Twoje roboty, pieśń składać gładką i łacne zaloty«. Serce ludzkie, jego bóle i rozkosze, znalazły w Morsztynie najwymowniejszego tej doby rzeźnika. I dopóki twórca »Dziadów« nie zaśpiewał na tę nutę z głębi serca płynącą, najsilniej i najdźwięczniej brzmiały erotyki Morsztyna.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że uczucie to, któremu poeta tyle sił umysłowych i moralnych poświęcił, wyrażało się z całą prawdą i naturalnością, było wykładnikiem rzeczywiście przeżytych smutków i radości. Wiele w lirykach jego igraszki i naśladownictwa, wiele maniery i chłodu. Brak czysto swojskich, rodzimych akcentów — przeważają wpływy poezji włoskiej, znamiona poezji barokowej. Podziwiają w utworach Morsztyna bujną, płomienną fantazyę, mistrzostwo formy, lekki, giętki rytm, swobodę, bogactwo rymu i język brzemienisty namiętnością. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że fantazyja jego grzeszy przesadą i przeładowaniem, że bardziej olśniewa niż rozświeca. Styl jego, pełen zdumiewających przenośni i niezwykłych przeciwieństw, zadziwia, ale nie wzrusza, język kwiecisty, napuszony, jaskrawy, pełen retorycznych igraszek, zdradza obrachowanie w układzie myśli i obrazów, ściąganych z najodleglejszych dziedzin, a tłoczonych się z natarczywością natręta. Śmiałością figur poetyckich: metafory, antytezy i kontrastu, dowcipną igraszką konceptów, janczarską muzyką ikonu i tym podobnych sztuczek retoryki oszałamia on raczej, aniżeli przykuwa do siebie czytelnika.

Ze wszystkich poetów tego okresu Morsztyn przejął się najżywiej wzorami sztuki barokowej. Występuje to wyraźnie z popisywaniem się przed czytelnikiem kalejdoskopową grą wyobraźni, ową bujnością, narzucającą na jeden przedmiot tyle ozdób, że go one zasypują. Stąd tłómaczy się zamiłowanie jego do Marina, poety włoskiego, (ur. 1569, um. 1625), od którego niesłusznie rozpoczynają w literaturze skażenie smaku estetycznego.

Naśladując swego mistrza — zapożyczył odeń nawet tytuł swego zbioru, przezwanego od *L y r y* Marina *L u t n i ą* — uszlachetnia Morsztyn formę sonetu — jeszcze u Kochanowskiego bardzo nieudolną — kształci technikę oktawy czyli stancy, odtwarza kunsztowniejszą kanconę, słowem podnosi poziom artystyczny formy i wykwentnego smaku w naszej poezji. Na utworach jego śledzić można nie tylko zmianę gustów literackich, ale także zmianę ducha epoki. Przejadła się naszym poetom miarowa prostota i naiwność Greków, którym hołdował jeszcze mistrz z Czarnolasu — wabią ich sztuczne rymy Rzymian, pożądają cudowności, awanturnicznych przygód i czarodziejskich mamideł sztuki włoskiej lub francuskiej. Miast wzruszeń, serdecznych malują spaczony sentymentalizmem uczucia, miast górnych wlotów fantazyi widzisz dziwactwa chimery, miast genialnych myśli



Nr. 26. J. A. Morsztyn
(z medalu biblioteki Ossolińskich).

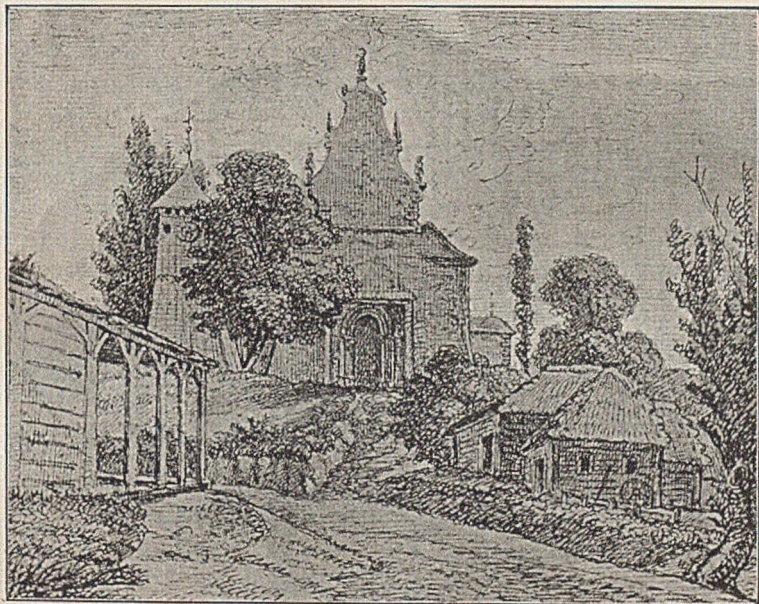
masz paradoksalne koncepty. Przebrzmiały echa humanistów, oddychających jeszcze atmosferą klasyków, poczuciem piękna płynącego z natchnienia. Nastąpiła nowa moda, olśniewająca gorącym kolorytem, błyskotliwością stylu, zdumiewająca śmiałością rozmachów i zakrętami pióra. Morsztyn stara się jej dotrzymać kroku w zwięzłym, dowcipnym, wykwinnym wyrażeniu uczuć, w wywoływaniu nadzwyczajnych wzruszeń, w oddawaniu sentymentów najsilniejszym wyrazem. Należy on jednak do lepszych przedstawicieli nowego stylu, nie tylko w porównaniu z taką »karykaturą baroka«, jak np. Jagodyński, rodzący same pokraki, ale nawet wśród spółczesnych poetów romańskich, zwanych konceptystami, zajmuje poczesne miejsce i zapędza w kąć niejednego z ostawionych seicentystów. Nie jest on też spóźnionym, lubo jest jednym z ostatnich przedstawicieli tej przejściowej doby rozwoju, która niby kometa przemknęła po skłonie widnokregu literatury między gwiazdą odrodzenia a słońcem nowożytnego dramatu.

Przeciwieństwem scudzoziemczalego Morsztyna, dyplomaty i liryka, jest na wskróś rodzima i szlachecka natura epika — autora »Wojny Chocimskiej«.

Wacław Potocki urodził się około r. 1620 z rodziny aryańskiej, a okoliczność ta wycisnęła na charakterze i utworach jego właściwe piętno. Kontemplacyja i wstrzemięźliwość zwolenników jego wyznania, tak jaskrawo odbijająca od hulaszczego życia i pijatyki ówczesnych katolików, sprzyjały rozwojowi literatury, w której aryanie pierwsze zajmują karty. Do tego szanownego pocztu należał i nasz poeta, lubo późno, bo dopiero na schyłku trzeciego krzyżyka osiadł swego pegaza.

Pochodzenie to jednak z »heretyckiej« i niezamożnej rodziny uniemożliwiało mu wyższe wykształcenie w kraju, gdzie wstęp do akademii krakowskiej był dla aryan zamknięty. Zaważyło to na szali twórczości Wacława, muza jego bowiem nie wylatująca poza granice kraju rodzinnego, uścieliła sobie gniazdko pod strzechą dworku szlacheckiego, w pewnym od wpływów zagranicznych oddaleniu. W siedmym roku życia przerwał nauki, aby spełnić dług ojczyźnie, żołnierzył w wojnach kozackich, poczem dawszy się osiedlać w »słodkie, lecz twarde miłości wędzidło«, ożenił się z Morsztynówną. Niebawem jednak, na odgłos trąbki wojennej, porzucił dom, młodą małżonkę i zaciąga się znów w poczet kozacki znak husarskiego. Po stoczony pod Beresteczkiem bitwie 1651 wraca do pluga, do swojej Łużny, gdzie na łonie rodziny pędzi żywot ziemiański. Prócz napadu Szwedów, który zniewolił go razem z innymi do wyjazdu za granicę, gdzie czekał huragan wojny szwedzkiej, dotknęła go najboleśniej konstytucya z 1658 r. skierowana ostrzem w pierś aryan. Wyznawcy jej mieli natychmiast opuścić ojczyznę, a majątki swe wysprzedać. Pod naciskiem tej ustawy, gotującej mu gorzki chleb wygnania, a dobytкови jego grożącej ruiną, przechodzi nasz »skrętny i zabiegliwy gospodarz«, dbający więcej o »fortuny i substancyję incrementa«, aniżeli o subtelności teologii aryańskiej, na łono kościoła katolickiego. Za ten akt apostazji spotkały go ciężkie zarzuty ze strony wuja Przypkowskiego — niezbite odpowiedzią poety. Dalszem źródłem nieprzyjemności stała się okoliczność, że żona jego, spokrewniona z przewodcami aryańskimi, wyznania tego odstąpić nie chciała, co ściągnęło na odstępę przykry i długoletni proces. Jedną z mściwych babsk, któremi wybrukowane piekło doczesne, oskarżyła go 1662 r., że wbrew konstytucyi, pozbawiającej czci heretyków, »śmie z aryanką (kochaną i kochającą żoną, matką trojga dzieci!) mieszkać i jej sprzyjać«. Do spełnienia obmierzłej denuncyacji, aby mąż kondemnowaną oddał »w ręce sprawiedliwości«, na szczę-

ście nie przyszło, wszelako wkrótce potem dowiadujemy się, że Wacław Potocki, chcąc się z zarzuconego mu grzechu obłudy oczyścić — posadzano go, że głosił zasady wyklętej sekty, a do kościoła uczęszczał, żeby się wydać katolikiem — kazał pochrzcić swoje dzieci na wiarę rzymsko-katolicką. Pragnąc zaś uniknąć konfiskaty, zapisał na imię synów cały majątek. Ostrożność ta była konieczną, wobec delatorstwa grasującego na zasadzie prawa, że »donosiciel otrzymywał połowę wartości zagrabionych dóbr zasądzonemu«. Atoli ani srogie konstytucye, ani presya katolickiego środowiska nie zdołały rozłączyć go z żoną, wierniejszą odeń swemu wyznaniu, »gotów dla niej w razie nieuniknionej potrzeby uchodzić z ojczyzny«. I uczucia religijne neofity przechylały się na stronę współwyznawców, których karci wprawdzie za wydanie ojczyzny w ręce Karola Gustawa, ale któ-



Nr. 27. Widok kościoła aryańskiego w Kościelcu, pod Proszowicami.

rym schronienia u siebie nie odmawiał. Był w rzeczach wiary wolnomyslnym, bronił jak mógł arian, nawet kalwinów, dla żydów tylko nie miał litości. Nastawał na pychę, chciwość i jawne zgorzenie duchownych, choć był świadom niebezpieczeństwa tego kroku, bo »więcej ojczyznę nad ich łaskę ważył«. Snać »śpiew łabędzi« arian polskich, Morsztynów, Schlichtingów, Przypkowskich, Moskorzowskich, przeważnie spokrewnionych z Potockimi rodzin, nie minął bez wrażenia na świeżo nawróconej owieczce. Wśród takich stosunków, raniących niecierliwie serce, upływało życie poety, zresztą dość szczęśliwie podzielone między zajęcia gospodarskie i literackie. Wreszcie minęło południe — zbliżał się zachód. Oszczędnością i skrętną administracją dorobił się poeta znacznego majątku, dokupił wieś za 30.000 zł., drugą wartości 60.000 zł. zapisał żonie — córkę, »posażną dziedziczkę pięknej wioski«, wydał za karmazyna, a wnuczki wychodzą już za księżąt.

Schyłek życia pozbawił go jednak pociechy. Dwaj synowie polegli w wojnie z Turkami, śmierć zabrała córkę zamężną — zostały się tylko ciernie w opusto-

szałym ogroju. Dźwigając na karku ciężkie bólu brzemie, wylewał osamotniony starzec obfite źródła żalów i skarg. Nie traci jednak nadziei ani ochoty i wśród pośpynych obrazów życia zabłyśnie nieraz iskra dowcipu w postaci fraszek lub rymowanych ucinków. Lejąc serdeczne łzy po stracie żony i dzieci, zanosząc rzewne żale nad upadkiem narodu i spraw publicznych, osierocony poeta nie wypuszcza z rąk, od starości drżących, ulubionej lutni, krzepiąc się do ostatniej chwili nadzieją, że go »nie całego po śmierci włożą w ziemię«. W poglądach swych na życie i politykę odbiega też od szarej rzeszy braci szlacheckiej, posiadającej strusi żołądek i zapał słomiany.

Olbrzymich rozmiarów produkcję Potockiego z półwiekowej niemal działalności podzielićby można na trzy działy: na poezję religijną, historyczną i powieściową, nie licząc mnogich wierszy okolicznościowych. Zaczniemy od wierszy religijnych, jako najwcześniejszych i najliczniej zastąpionych.

Zenitem twórczości Potockiego w tym rodzaju jest »Nowy zaciąg pod chorągiew Jezusa«, owoc kilkunastuletnich wysiłków poety, epeja chrześcijańska, jakiej wzór posiada literatura angielska w Raju Milтона, a niemiecka w Mesyadzie Klopstoka. Niestety w wykonaniu tego wielkiego planu — pozostała słabą i — mimo olbrzymiej kompozycji, bo obejmującej do stutysięcy wierszy — fragmentaryczną próbą przyobleczenia pisma św. w świąteczną szatę rymu. »Nowy zaciąg« nie odskakuje od pierwszej mesyady polskiej Roźniatowskiego, a od późniejszych rymowanych ewangelij, przytłaczających swymi barokowymi floresami źródła objawionej wiary, różni się chyba tem, że po myśli wyznawców aryańskich mniej się popisuje własnymi dodatkami. Jak sam tytuł wskazuje, tchnie ten zaciąg Chrystusowy tonem marsowym. Zdajesz się słyszeć pobudkę wojenną i szum proporca unoszącego się nad tryumfującym wojskiem. Z pobożnymi rozmyślaniami owego rozboju duchowego mieszają się wycieczki przeciw nieprawym chrześcijanom, ich nałogom i zbytkom, dostaje się przytem innowiercom, czem niejednokrotnie ściąga w dół i mimowoli znieważa najpiękniejsze obrazy ksiąg nowego przymierza.

Kiedy zabiegi stworzenia epeji na polu, najgorliwiej uprawianem, nie odniosły pożądanego skutku, zwrócił się poeta jako nieodrodny syn wieku, mającego odegrać znaczącą w dziejach chrześcijaństwa rolę, do epeji historycznej. Właśnie w owym czasie zasiadł na tronie wielki pogromca odwiecznych świata chrześcijańskiego wrogów. Wobec nawały muzułmańskiej, zalewem grożącej nie tylko Polsce ale całej Europie, należało przypomnieć bohaterską obronę przodków. W celu zażegnania wiszącej burzy i poruszenia serc wzrątałych na duchu rycerzy, napisał Potocki swą epeję heroiczną o wojnie Chocimskiej.

Sam przedmiot poematu godzien był pędzła mistrza. Pod Chocimem rozegrała się walka dwu światów, barbarzyństwa wschodu z chrześcijaństwem Europy. Kiedy zuchwały władca Muzułmanów na czele olbrzymiej siły zbrojnej, zebranej z trzech stron świata, zagrażał już bytowi nie tylko Rzeczypospolitej, ale całej kulturze zachodu, zasłoniła ją Polska, odpierając bohaterskimi ramionami swych rycerzy zakusy wrogów cywilizacji.

Wojna Chocimska maluje nie tylko czyny oręża polskiego, gromiącego zastępy dumnych wyznawców Mahometa, ale daje obraz narodu, jego charakteru, fizjonomii umysłowej, obyczajów i zwyczajów w tej mierzchnącej dobie naszego bytu, kiedy to »życie odbijające się w śmiałych, pełnych energii działaniach« — przekraczało granice prawa i sprawiedliwości, kiedy »wolność« przeradzała się w »swawolę«, kiedy nadzwyczajnym objawom męstwa i poświęcenia towarzyszyło

7

GOFFRED

A B O

I E R V Z A L E M

W Y Z W O L O N A

T O R Q V A T A T A S S A .

Przekładania

PIOTRA KOCHANOWSKIEGO

Sekretarza Ie° K. M.

Cum Gratia & Privilegio S. R. M.



W K R A K O W I E ,

**W Drukarni Franciszka Cezarego /
Kotła Páńskiego / 1618.**

Karta tytułowa Jerozolimy Tassa w przekładzie
Piotra Kochanowskiego 1618.

brzydkie samolubstwo — kiedy światło prawdy gasiły mroki przesądów religijnych. — To mieniące się, różnobarwne, pełne pozornych sprzeczności życie wieku XVII., tak ponętne dla oka poety, występuje z całą plastyką w obrazach, ujętych w epiczne ramy. Poeta, trzymając się oburącz swego źródła: Pamiętników o wojnie Chocimskiej Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana III., stara się o wierne odbicie rzeczywistości, ale nie czyni tego historycznego zdjęcia na zimno — porywa go i unosi uczucie obywatelskie, co sprawia, że osoby poematu pełne są dramatycznego ruchu i życia. Tu i ówdzie tylko krasi poeta niewłaściwie oblicze dziejów społecznych farbami ze starożytnej palety. Ale nawet pod tą cienką zresztą warstwą naleciałości obcych bije serce nawskróś polskie.

Wojna Chocimska była przedmiotem licznych opisów prozą i wierszem, te ostatnie, nie wyjmując nawet tak poważnych usiłowań jak Samuela Twardowskiego, mogą dziś posłużyć tylko jako »dowód wielkiego zajęcia, jakie ten wypadek obudzał«. I utwór Potockiego — lubo odbiega od tych rymowanych kronik — nosi piętno swego pochodzenia. Jest on tłumaczem na język ojczysty swego łacińskiego źródła. Owiewa go jednak uczucie miłości i dumy narodowej, ożywia duch chrześcijański rycerstwa, co »życie swe kładło za ewanielię«, rozgrzewa niekiedy prawdziwe natchnienie artysty.

Malując jednak wiekopomny bój na polach Chocimskich z półwiekowego oddalenia, zatracą nieraz poeta właściwy koloryt czasu i jak owi mistrzowie, dający pod osobami zamiast podpisu swoją podobiznę, wkłada w ramy starożytne treść społeczną lub własne uczucia. Pisząc swe dzieło z »zamiarem rozbudzenia w sercach całej szlachty dawnego męstwa, dawnych cnót« w czem pokładał nadzieję odrodzenia Polski, uderza gwałtownie na stany i osoby zagrażające mu tę drogę zbawienia. A więc dostaje się porcja dotkliwych docinków królowi z domu Wazów za karygodną »obojętność na dobro powierzonego jego pieczy narodu«, za to, że »psie gony miłsze mu niż sława i całość korony«, za cudzoziemczyzną szerzoną na jego dworze itp. Nie szczędząc głowy kościoła, smaga potępienia godne obyczaje duchownych i wymawia im odciąganie się od ponoszenia ciężarów publicznych. »Choć się — powiada — milionami w ojczyźnie wielmożą, woła je przecie nieprzyjaciółom na rabunek chować, niż suplementować (wspomagać) konającą ojczyznę, woła wieść za granicę i darmo dać komu, niżli węglów podeprzeć pochylego domu«. Potępia samolubstwo i chciwość panów, zrodzone w grzechu rozrzutności. »Zbyt kami niewczesnymi — woła poeta — łakomemi garły samiśmy się w karty postrzygli — w tem kmiotków naszych poty toną«. Sąsiedzi, korzystając z tej naszej wady narodowej, »wszyscy nas jako własne gęsi skubią«.

Z innych wierszy historycznych Potockiego zasługuje na wzmiankę pieśń »Do żalosalnej korony« powstała bezpośrednio pod wrażeniem sromotnego pokoju, zawartego z Portą otomańską (1672), który przyprawił Rzeczpospolitą o stratę Podola i Ukrainy. W tem upokorzeniu ducha narodowego, zwraca się przygniewiony i znękanym poeta do czasów minionej wielkości Polski i dobywa ze zboliałej piersi jęku rozpaczny:

Wszystko, co w górę rośnie, dorósłszy terminu,
Spada zaś na dół lotem jako woda z młynu...

W tym rzewnym, żalosalnym nastroju pisany krótki ten ale przepiękny wiersz Potockiego.

W »Zgodzie«, napisanej w rok później, kiedy nad głową Rzeczypospolitej zawisł groźny miecz islamu, a kraj pogrążony był w odmęcie waśni domowych, zagrzewał gorący patriota do zaniechania gorszących sporów w celu odparcia nawały tatarskiej, zagrażającej podwalinom bytu państwa. Pod wpływem wiersza wuja Samuela Przypkowskiego, znanego przewodcy arian, który z pokrewnych pobudek napisał swój utwór »Do Polski«, snuje nasz poeta na kanwie społecznych mu stosunków ponury obraz nierządu, w szlachetnej myśli nawrócenia ziomek na drogę opamiętania. Stroskany poeta znajduje ukojenie w żywym pamiętniku wiekopomnych wypraw wojennych, na które patrzył ze łą radości w oku. Poemat ten pod tytułem *M e r k u r y u s z n o w y* miał wznicić w sercach rycerstwa gasnące zarzewie miłości ojczyzny, a zarazem złożyć hołd wielkiemu bohaterowi, pogromcy Muzułmanów, Janowi Sobieskiemu, którego poeta wynosi jako »wzór prawdziwie chrześcijańskiego rycerza«. Z wiernością dziejopisa zapisuje przytem krążące między szlachtą wieści jak np. o intrygach dworu króla Michała, spoglądającego z niechęcią na przewagę swego rywala, niezapomina nawet o buncie chłopstwa na Ukrainie, które z zemsty za wiekową niewolę, obróciwszy miecz swój zamiast na Turków w łono gnębieli, wypowiedziało szlachcie polskiej posłuszeństwo.

Trzeci dział produkcji literackiej Potockiego — to romanse i nowele. Do pierwszych zaliczają się dwie kolosalnych rozmiarów powieści wierszowane *A r g e n i d a*, ciesząca się niemałym powodzeniem u społecznych i *S y l o r e t* ogłoszony w epoce, kiedy zapał do przygód miłosnych, do świata zachwytów i rozpaczy, minął w życiu niepowrotnie.

Na kanwie Barklaja, smagającego w swej powieści zdrożne obyczaje Francji z końca XVI. wieku, haftuje poeta w »Argenidzie« obrazy z życia Polaków XVII. wieku. Pod osłoną romansowych przygód królowny sycylijskiej uderza przede wszystkim na dwór królewski, oddany zepsuciu i intrygom. Kamaryla dworska tak opanowała kraj, że »za jej wolą wakanse szły i przywileje — co potem mieszało całą Rzeczpospolitą i sejmy rwało«. Król sam »koszty wiódł haniebne na gry, tańce, balety, zbytki niepotrzebne«. Dyskredytuje on majestat:

Gdy tym, co się do berła i do majestatu
Rodzą — wyjąwszy ich mało —
Wszystkim piątej w rozumie krokwy nie dostało.

Po tej rzekomo rewolucyjnej myśli wyłazi szydło z worka. Oto dla Potockiego najszczęśliwszą Rzeczpospolita »gdzie każdy sobie królem, każdy szlachcie panem«; tam wolność złota, gdzie szlachta stanowi o sobie prawa, a »chłopstwo i robotne gbury, do pługa sprawione z natury«, pilnują jak psy pańskiej zagrody. Jednym tchem wygłasza już potem słuszne zasady, że mniejsza o to: od kogo prawa wychodzą, byle je szanować — że ten rząd, gdzie każdy swoich prywatnych interesów przestrzega, jest ze wszystkich rządów najgorszy, że elekcyja królów, gdzie przekupstwo i gwałt przemaga, to zguba państwa, że dożywotność najwyższych w państwie urzędów hetmana, marszałka i kanclerza prowadzić musi do upadku Rzeczypospolitej. W żywych obrazach przedstawia poeta spustoszenia niepłatnego wojska, które »drze, łupi, pije, huczy cudzem chlebem hojne«.

Nie więcej nie obaczysz, z daleka i z bliska,
Tylko zdeptane zboża i obozowiska,

Po których lud ubogi, głodny, chudy, blady,
Zbiera z płaczem swą pracę, a ich niedojady...

Oburza go bezkarność panów, co to ogłoszeni banitami, ludźmi bez czci i wiary, tarczą wolności osłonięci, rwą sejmiki, brużdżą na sejmach — a kraj »nie chcąc mieć króla, coby rządził nimi, tysiąc ich ma«.

Przejęty miłością narodu i duchem obywatelskim piętnuje on energicznie skazaenia obyczajów i upadek ducha publicznego.

Z całego utworu widnieje postać ziemianina żołnierza nachylona wprawdzie ku epoce upadku, ale jeszcze »z duszą na wysokość wielkiej przeszłości nastrojona«.

Najwyraźniejszym typem powieściowej literatury XVII. w. jest »Syloret« roman pełen przygód i zawikłań, trucizn i uniesień, zabójstw i namiętności — wszystko oddane w stancach włoskiego pokroju. Owiewa cały poemat duch romantyczny, na czci dla kobiety i miłości wykarmiony, zagnieżdżający się już w życiu i towarzyskich stosunkach szlachty polskiej.

Równocześnie z powieściami wychodzą z pod pióra Potockiego drobniejsze nowele, z których najważniejszą jest Judyta. Pod osłoną biblijnego dramatu przebijają wypadki polskie: sromotna klęska pilawiecka, po której spodziewano się »jakiej Judyty polskiej« jako wybawicielki z pod jarzma »Holofernesa-Chmielnickiego«. Obok tej heroiny biblijnej staje nadobna dziewica rzymska Wirginia, której »Smutną przygodę i śmierć żałośliwą« poeta nasz w 153 strofach opiewa, przy niej zaś dwie dzielne i piękne Holenderki, Tresa i Gazela, a ich »Historję równej odwagi ale różnej fortuny« czytamy dziś jeszcze nie bez wzruszenia. Zwyczajem swego wieku poeta nie daje tu materiału obcego in crudo, ale przykrajają go do stosunków krajowych. Jak historycy ówcześni, przedstawiając walki patrycyuszów z plebejami, zabarwiają je szczegółami z życia szlachty polskiej, jak kaznodziejowie widzą w Jerozolimie żydów polskich, a w »Chrystusie króla szlacheckiego narodu« tak i Potocki w swych powieściach i nowelach, w których treść a nawet formę czerpie z obcych wzorów, maluje szczeropolskie instytucje i obyczaje, myśli i uczucia rodzime. W przydłuższym np. wstępie do historii owych bohaterek holandskich godzi poeta ostrzem swego śmiałego pióra w inkwizycję polską, ukrywającą »pod maskarą tyrańskie rabieże«. Był to posiew owego ducha reakeyi przygniatającej naród szlachecki:

Krwie związki i miłości wyprószy affekty,
Chcąc sprowadzić do jednej chrześcijaństwo sekty,
Przez więzienia, tułactwa, ogniem, mieczem, buntem,
Pospołu z świętą wiarą wyrócili gruntem.

W samej Historji Tresy mieści się następujący obrazek wyuzdanej swawoli wojska polskiego:

Nigdy tak nieprzyjaciel ogniem i żelazem
Jawny mi nie dokuczy, jako żołnierz, który
W domu ze mną mieszkając ledwie mię ze skóry
Nie odrze. Weźmie mi chleb, weźmie mi pieniądze,
Żonę, córkę, kiedy go psie napadną żądze.

Do wspomnianych trzech działów, na które rozpada się produkcja Potockiego, dodać należy rój wierszy przygodnych, wyrastających jak grzyby po deszczu po

każdym ważniejszym zdarzeniu w przydłuższem życiu poety. Na uznanie zasługują obok wierszy o rzewnem uczuciu religijnem, »wolnem od przesądów i nietolerancyi«, panegiryki, pisane przeważnie dla osób zasługujących na pochwałę, jak np. na cześć nieśmiertelnej sławy króla-hetmana. Ziemianin, nie piastujący prócz niższych godności (był podstarościm bieckim i podczaszym krakowskim), żadnych wyższych urzędów, nie miał potrzeby zginać karku i puszczać kadzidła pod nos możnym panom. Owszem w Poczcie herbów i wydzielonym odeń sprośnym *Odjemku*, przypominając braci szlacheckiej obowiązki włożone na nią klejnotem, przystawia maluczkiem wnukom zwierciadło cnót wielkich dziadów. Nie zadawała się przestrogą przed skutkami odstępstwa od staropolskich obyczajów, ale śmiało gromi sprośne, rozrzutne i hulaszczcze życie szlachty.

Dziecięć wieku, wylamujące się z okowów klasycyzmu w »Pełnej«, napisanej na cześć wielkiego pogromcy Turków, w »Peryodach« czyli okresach smutku na śmierć ulubionego syna puszcza wodze swemu uczuciu. Natchnienie poety, lubo »nie zawsze równe«, nosi na czole zamię samorodności, mgłą wieku przyćmione czerpie ono z własnej piersi, mniej korzystając ze zdobyczy cywilizacji. Poezya jego to łabędzi śpiew szlachetczyzny, którą ona blaskiem romantyzmu opromieniła.

Niewyczerpany zapas staropolskiego humoru wylewa nasz poeta w zbiorze fraszek p. n. *Ogród niewyplewiony*. Od wybuchów śmiechu na widok ułomności fizycznych a skończywszy na ciągach szpicrutą satyry skrytych grzechów duszy, od najogólniejszych uwag o świecie aż do uniesień i skarg osobistych, doświadczenia własne i myśli obcych pisarzy, uczucia religijne i wyuzdane żarty, całe życie szlachty polskiej w XVII. wieku przesuwa się w tej olbrzymiej panoramie, obejmującej parę tysięcy fraszek, przypowieści, figlików, satyr itp. Odzywa się w nich ostra nuta skargi na »starszą brać uchylającą się od pełnienia obowiązków, karmiącą ojczyznę odpadkami swego stołu«.

Nie pisać, ale każdemu płwać w oczy
Z takich wyrodków nieszczęśliwych trzeba...
Czemuż na palcach nosicie sygnety,
Czemuż po ścianach malujecie herby,
Gdy kufle wasza cecha i kalety,
Kiedyście z synów stali się pasierby!

Ziemianin biedny, niemający spęła ładu roli, porzuca dom, rodzinę i idzie na wojnę, a pan, co tysiącem pługów orze niwy, wszeteczną uchodzi podróżą do Rzymu. A jaka w tych magnatach nienasycona chciwość! Pan, co się stem wsi królewskich wielmoży, co ma kilkadziesiąt tysięcy rocznej intraty z starostwa, »tak skąpy i żydowaty, iż na hajduków zamkowych dochodu żebrze«. Wymownemi usty maluje poeta owych »patryotów, co to przeciw królowi przy wolności stawali, lecz skoro ich doleci żupna cedułka (asygnata na sól), skręciwszy rącznikiem gardziele, zaniemieli«. Nie przepuszcza i młodszego braci szlacheckiej, którą »magnat poi, częstuje i na swą stronę przywabia«. Ale najdobitniej wynurza swe żale na »bogate i rozpanoszone duchowieństwo, wyzyskujące głupotę tłumów, gorszące swem życiem, skąpstwem, rozwiązłością, nieuctwem,« narzeka na »niszczenie kraju dziesięciną snopową, nawracanie gwałtem do katolicyzmu« itp. W ciele świeżo nawróconego katolika, niezrywającego z kościołem, pokutowała dusza arianina. Sztydził więc niemiłosiernie z odpustów, które rozpustami mieni, ze świąt i świę-

tych, z bezżeństwa księży, z reguły mniszej. Ale nie szczędzi i nowowierców, życząc stronnikom Rakoczego szubienicy, dysze nietolerancją wobec żydów, których radby chrzcic ogniem.

Schyłek życia poświęcił sędziwy autor *Moralium* czyli przypowieściom. Olbrzymi ten zbiór — podobnie jak *Ogród* w części jeno ogłoszony drukiem — obejmuje przeszło 40 tysięcy wierszy i podzielony jest na pięć działów, Opierając się o *Adagia* Erazma z Rotterdamu, o przysłowia rodzime i snując własne myśli, uderza poeta z całej siły na »anarchię szlachecką«, na »korrupcyę elekcyjną i sejmikową«, na *veto* szlacheckie i nadużycia duchowieństwa, na »ucisk chłopów i nędzę okradanych żołnierzy«. A nie lubiał grzechów szlachty owijać w bawełnę, lecz rzucał jej taką obelgę w twarz: »Hycel, zabijający psa pałką odrazu, miłsierniejszy jest od panów, gubiących chłopą powoli, ale pewnie do śmierci«. *Karmazyn* — nie radykał — pyta ich »jak się ważą wstępować do kościoła, mając oczy czerwone od krwi chłopskiej, a uszy pełne jęku chłopskiego?«

W obrazkach z życia wykrojonych, drga żywo struna epiczna, nie pozwalająca na wybuwanie żywiołu monitorskiego. Przeważa ton pobłażliwości, patrzącej z pewną dobroduszością na codzienne grzeszki braci, a chęć skarcenia lub przestroga występują najczęściej w samym wyborze przedmiotu, rzadziej w nauce, przyczepionej na końcu niby etykieta z napisem: »haec fabula docet«. Mimo to wypada z tego przekroju umysłowego, moralnego i społecznego bytu ówczesnej szlachty wcale niekorzystny bilans.

»*Ogród niewyplewiony*« i »*Moralia*«, dwa olbrzymie zbiory wierszy okolicznościowych, fraszek, opowiadań, i facecyj, spisanych w ostatnim dziesiątku 17-go stulecia, dają wierny, niezmacony obraz stosunków społecznych i towarzyskich ówczesnej Polski, jej malowniczych ale na pół dzikich okolic, jej gwarliwych sejmików, tego wszystkiego, »czem Polska szlachecka żyła i oddychała«. Nie zdołał wprowadzić poeta obrazów swoich umiać poezyi kwiecieniem, umiał jednak jak nikt przed nim, jak żaden z współczesnych, wyrazić myśli i uczucia narodowe, wolne od wszelkiej naleciałości, »nawskróś polskie«. A polskość jego nie jest jeszcze synonimem samowoli, bezrządu, społeczno-politycznej stagnacji — lecz gorącym protestem »przeciw wszystkiemu, co złe lub zdrożne w państwie, kościele, rodzinie«, przeciw batowi w nauce, przeciw katowaniu poddanych, przeciw elekcyom i »złączonym z niemi fakcyom« przeciw *liberum veto* i wszechmocy dziedzicznego urzędu hetmana, uważającego się za osobny stan, na równi prawie z królem i senatem, przeciw gwałceniu sumień, przeciw rozbratowi nauki z życiem, przeciw rozwieleniu duchowieństwa, które »nie pomne obowiązków, chciwe i światowe«, grzeszyło brakiem tolerancji wobec innowierców i dopuszczało się różnych nadużyć. Te ostatnie ataki w wieku ciemnoty, kiedy najskromniejszy wyraz wolnomysłowości karano surowo (przykładem sprawa Łyszczyńskiego spalonego na stosie) sprawiły, że kolosalne te zbiory Potockiego, obejmujące ze sto tysięcy wierszy, zalegają do dziś w rękopisie zasobnej biblioteki cesarskiej w Petersburgu. Z pozostałych kart tej żywej encyklopedyi, pisanej pod zachód życia, (autor dobiegał ósmego krzyżyka, podczas pisania drugiej księgi przypowieści) wychyla się szlachetna postać podczaszego krakowskiego. Właściciel niepokazanej wioski Łużnej (w Bieckiem) wyrasta na wielkiego obywatela patriotę, który wszystkie siły poświęcił dla dobra swej ojczyzny. »Gromił, upominał, radził — wedle sił i możliwości«. Ubolewał nad niedolą chłopą, oskarżał mieszczaństwo, »opuszczające warsztaty i kramy, aby wcisnąć się w szeregi szlachty«, piętnował »szlachtę,

domatorów, utracyszów, wartogłówów i wicherzących po sejmikach i sejmach«, wytykał »wojsko nieliczne, niegotowe, nierządne«, nie przypuścił »magnatom dbałym tylko o własny dobrobyt, zaszczyty i wpływy«.

Starzec, któremu ręce drżą, wzrok już stępieł, a siły opadać poczynają, wywija piórem jak serpentyną, godząc w anarchię, w imię silnego rządu, który sobie w postaci dziedzicznego tronu wyobrażał, wołając o pomstę krzywdy wyrządzonych przez gwałt zadawany sumieniom i zmuszanie bezbronnych do zmiany wiary. Żwawo nastaje na duchownych, co »świeckiej się raczej pysze niecą i wydzierstwu« niż dobrym przykładem, co tak się od ducha ewangelii odstrychnęli, żeby do ich kościołów nie wszedł żaden z apostołów. »Księża — powiada — zabrali klucze ze spichlerza Bożego, nie wydają trzódce pokarmu, chyba plewę i sieczkę, ziarno dla siebie chowając«. Chciwość ich nie zna granic. Nie mają względu na lata złe, nieurodzajne, zdzierają z żywych i umarłych. »Zbiory ich ktoby z worów w prasę włożył, więcejby łez ludzkich natopił niż oleju z konopi«. Katolicy księża — woła po raz dziesiąty, — nie o boską krzywdę, lecz o swe własne prywaty ciskają świece z ambon (kłątwy za dziesięciny), traflając niemi dwa razy cnotliwszych niż sami«. Oburza się w końcu, że o księdzu, kiedy jawnie żyje wszetecznie, trzeba milczeć.

Po duchowieństwie przychodzi kolej na szlachtę. Oto obraz sejmików:

Małuj dyable sejmiki, gdzie siadłszy w kościele,
Sami nie wiedząc przy czem drą szlachta gardziele.
W onej wrzawie mądry musi siedzieć w ciszy i t. d.

Najzdrowsza nauka — kończy poeta — nie dojdzie rządu, gdzie ją kupa barw zahuka. Albo na innem miejsku:

Rzekę, bom wolny szlachcie, że dla pijatyki,
Większa nas połowica jeździ na sejmiki.
Kto trąbi, karmi, poi — tak mizerna postać
Wolności, — że nie postem, ale królem może zostać...

Panowie przedstawiają się w tem zwierciadle jeszcze wstrętniej.

»Obecym na pośmiech krzesła senatorskie zasiadłszy, mają w głowie grzyb miasto mózgu — szczerę głowy kapustne w ludzkiej maszkaradzie«. A jacy ci znikczemni! wielkich przodków potomkowie chciwi i niesumienni! Któż — pyta — na trzydzieści wojska tysięcy żołd bierze? Starzyzna — odpowiada poeta — na kupno wsi — pewnieć nie żołnierze. Gdy pół wojska głodem co rok w obozie umiera, wyprawiają panowie w domu bachanalie. A winić tu jednego nie mogą — wszyscy do jednego kradną.

Panowie, brać szlachecka i księża — wszyscy razem i każdy z osobna — pastwią się nad ludem i dręczą go niby juczne bydło.

Lud wzgardęszy od żyda abo od cygana!
Wszyscy go z skóry łupią poczawszy od pana.
Niesie duszę, bo kości wyglądają z skóry,
Żeby księdzu decymę, królowi pobory
I panu czynsz zapłacić. Więc go trzeba zabić,
Bo nie masz co krom dzieci wygłodzonych grabić.
Nie jeden się też wiesi, woli na powrozie,
Niż mrzeć od bicia albo w gąsiorze na mrozie.

W przypowieści »Wiele niewolników, tyle nieprzyjaciół« miota w twarz chrześcijanom, że »swoją handlują bracią, z bydłem wraz ją inwentując«, że »wszystko począwszy od żony, od dzieci, duszę nawet wolno wziąć z gardła niewolnika«. To samo opowiada w powiastce »Od umarłego dań« o duchownych, którzy nie dadzą chłopu żyć ani umierać, póki im w garść nie włoży pieniędzy.

Umrzeli człek ubogi w chałupie, o to mniej,
Dziesięćkroć rzewniej płacze, skoro pogrzeb wspomni.
Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorym
Pisarzem testamentu, sam egzekutorem.
Choć więcej nie zostało, tylko jedna krowa,
Niech dzieci głodem pomrą — na kościół połowa.

Zbierając rozrzucone obrazki bezprawia i anarchii, przepowiada poeta Polsce, że »jak nierządem stoi, tak nierządem zginie«. Gore już gmach Rzeczypospolitej — dach już spadł, ściany lecą. Pięćdziesięcioletnia niemal wojna kraj cały zmieniła w pogorzelsko, my wszyscy umarłą wolność grzebiemy w popiele«. — Polska — kończy Potocki — »między sąsiady rozplynie«...

Ze wszystkich tego wieku pisarzy był Potocki najbardziej narodowym. Pisał wyłącznie w języku ojczystym, nie czując w sobie powołania »aby nowymi wylewami poetyckimi rozszerzać i tak już olbrzymie morze łaćnińskiego wierszopistwa«. A lubo żywił uczucia głębokiej czci dla utworów Helady i Rzymu, sam — z wyjątkiem chyba w żarcie lub dla szyderstwa — nie posługiwał się ową mieszaniną polsko-łaćnińskiej mowy, która oszpeciła najpiękniejsze tego okresu pomniki. W poezji nigdy, a w prozie bardzo rzadko spotykasz u Potockiego obrazy świata klasycznego w otoczeniu narodowych zwyczajów; nie przeplata on już — jak jego koledzy — stacyj męki Pańskiej wawrzynem z gajów Apolina. Jestto typ szczeropolskiego poety. W pismach zarówno jak w poglądach i ubiorze nie znajdziesz w nim nic cudzoziemskiego. Przedstawia on godnie swój naród w epoce, kiedy fale cudzoziemczyzny i zacofania nie zatopiły jeszcze zdrowych pierwiastków rodzimych.

Potocki nie jest pesymistą, lubi przy każdej sposobności, nawet w chwili uroczystej, wybuchnąć śmiechem, albo przynajmniej zażartować. Nie opuszcza go też nigdy animusz rycerski i ów pogodny na świat pogląd, co mu pozwala z pewnej odległości przypatrywać się mrowisku ludzkiemu. Wysoko dzierży ideał obywatela, pasując go na obrońcę cywilizacji chrześcijańskiej. W wierzeniach swych religijnych, posuwając się do granic wolnomyślności, karci śmiało i boleśnie »gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości«, zarówno w szeregach panów, ukrywających pod płaszczykiem dumy wyrafinowane samolubstwo, jak wśród hałaśliwej i ciasnogłowej braci szlacheckiej. W żywych kolorach maluje »cierpienia milczącego, choć do koszuli odzieranego wieśniaka«, niemniej bohaterskie przykłady męstwa kozaków, których zwalczać chciano gorszą od chłopskiej niewolą, niby »żubra łamać z jarzma wyprężonym bykiem«.

W pojęciach i upodobaniach estetycznych nie zbyt wybredny, grzeszył nieraz — zwłaszcza w swych jowialnych wierszach — brakiem uczucia wstydlivości. Wszelako nie był nigdy lubieżnym erotykiem jak Morsztyn, ani przykrywał natury listkiem figowym; wychodząc ze zdrowej zasady *naturalia non sunt turpia* posuwał się czasem aż do rozpasania w słowie.

Wśród dyletantów on był poetą; całe życie poświęcił swemu zawodowi i ze

wszystkich sił go umiłowal. Koledzy jego po piórze, nawet tacy jak Morsztyn, uważali literaturę za rozrywkę, albo płonęli dla niej słomianym ogniem. Byli politykami, duchownymi albo dworakami, ubocznie jeno zabawiali się wierszowaniem. On w poezyi, którą pół wieku uprawiał, upatrywał cel życia. W pismach swych roztoczył szeroki obraz rozpadającego się organizmu Rzeczypospolitej od skarg na »mieszczaństwo opuszczające warsztaty i kramy aby się wcisnąć w szeregi szlachty«, aż do warcholstwa »nielicznego, niegotowego, i nierządnego wojska«.

A wykroczeniom stanów i nadużyciom osób umiał nadać wyraz dobitny, nie ukrywając oburzenia i namiętności rzucić w twarz zabójczym epigramem. Zachowywał przytem powagę i poczucie godności, »nikogo nie drażnił ani upokarzał, sam się też przed nikim nie zniżał«.

Sztuką nie może się mierzyć z Morsztynem, ustępuje nieraz Lubomirskiemu, skupia on przecież w poezyach swych wyższe zalety serca i myśli polskiej, jest wybitniejszym narodowości swej przedstawicielem i najwierniejszym bytu szlacheckiego zwierciadłem.

Kiedy poeci zażywający za pierwszych Zygmuntów wczasu złotego wieku, jak np. Kochanowski, odbijali w swych dziełach harmonię i błogi stan pokoju, muza Potockiego, aczkolwiek niższego lotu, dzieli z narodem klęski i tryumfy oręża polskiego, jako godna towarzysza i orędowniczka najgorętszych życzeń narodu za panowania nieśmiertelnej sławy Jana III.

W epoce nadętej wymowy, nikiemnych pochwał, igrania dźwiękiem słów i szumnej alegoryi, zachował Potocki względną czystość mowy, poezya jego oddycha powietrzem swojskiem, pachnie ziemią ojczystą. Język jędrny, dosadny, lubo czasem rubaszny i w prozie nie wolny od powszechnego grzechu makaronizmów. Styl żywy, gorący, ale wskutek sztucznych przestawek nieco wymuszony.

Przy autorze »Syloreta« nie od rzeczy będzie rzucić okiem na tłumaczy przeszczeplających na ojczystą glebę nowe gatunki literackie.

W dobie przejściowej z literatury Zygmuntońskiej, odpowiadającej »potrzebom i dążeniom realnej przeważnie natury« do następnego okresu, będącego wyrazem nowych czynników społecznych i umysłowych, poezya polska przedstawia cechy właściwe epoce przełomowej, kopiuje i przetwarza myśli swoich i obcych poetów. Ze swoich służy najczęściej za model Jan Kochanowski, którego Treny, pieśni i fraszki były nieustannie przerabiane i naśladowane. Znaczny wpływ wywierały też Sielanki — Szymonowicza.

Z obcych utworów wielce rozpowszechnionym jest dział powieści i romanów, wierszem i prozą, w przeróbkach i przekładach, torujących drogę poezyi rodzimej. Najsilniejszy wpływ na naszą literaturę XVII. w. wywiera poezya włoska. Od Smolika, dworzanina króla Zygmunta III, pierwszego tłumacza Guarina, aż po przekład Jerzego Lubomirskiego, dramatu tegoż autora, pt. Wierny pasterz (1694) ciągnie się przez cały ten wiek nieprzerwany łańcuch tłumaczeń subtelnego, olśniewającego efektami poety włoskiego. Po nim cieszy się niemniejszym wpływem poeta największej elegancji, ofiarujący w czterdziestu tysiącach wierszy, najeżonych karkołomnemi sztuczkami, miłostki Adona i Wenery — Marino, którego Rzeź niemowlątek, i Adone, tłumaczone na język polski, zalegają w rękopisach, a którego nowele naśladował Andrzej Morsztyn w Pysze.

Nowele i romanse wierszem, tłumaczone z Owidego (Orfeusz i Eurydyka),

z Liwiusza (Wirginia — Horacyusze), z Dekameronu, z Siedmiu mędrców, — nawet z biblii (Judyta), przewijają się licznie na kartach naszych zbiorów rękopiśmiennych. Przemawia jednak i tutaj epika romansowa włoskiego *seicento*. Nawet poezya ascetyczna nie jest wolną od jego wpływów. Tak np. epepeja religijna o Tobiaszu pióra Stanisława Lubomirskiego, przypomina zacięciem humorystycznym, całym nastrojem — Aryosta i Marina.

Z poetów obcych najwydatniejszym na naszą literaturę wpływem cieszył się Torkwato Tasso, przez Załuskiego królem poematów polskich przezwany, którego »Jerozolima wyzwolona« w spolszczeniu Piotra Kochanowskiego (ogłoszona w Krakowie 1618 r.) zaszczerpiła nowy, średniowieczno-romantyczny pierwiastek w poezyi XVII. w. Do tego czasu obracała się nasza literatura przeważnie w ciasnym kole zakreślonym przez pisarzy rzymskich, których utwory mniej lub więcej szczęśliwie naśladowała. Wynikła stąd pewna jednostajność motywów i form poezyi, wzorowanych na jedną modłę, a to prowadziło do skostnienia naszej literatury. Piotr Kochanowski, synowiec i dziedzic lutni po Janie z Czarnolasu, — lubo nie zdobył się na dzieło oryginalne — pierwszy odstąpił od tradycyi klasycznej i jako tłumacz poetów włoskich, trafnem wskazaniem wzorów sprowadził naszą literaturę na inne tory, zbliżając ją do nowoczesnej poezyi chrześcijańskiej. Przekład Orlanda Szalonego Aryosta, a jeszcze bardziej Jerozolimy wyzwolonej odmłodził wyczerpaną naśladownictwem starożytnych wzorów literaturę polską, sprowadzając do niej motywy cudownych przygód i scen miłosnych, pierwiastek fantastyczności okraszony zlekka solą atycką, a wszystko to w formie nowej, olśniewającej tęczą grą kolorytu. Zwłaszcza rycersko-romantyczny charakter dzieła Tassa znalazł naturalny odźwięk w spragnionych nowości sercach ówczesnego pokolenia. Nicustanne walki narodu polskiego z państwem półksiężycą, zagrażającym nie tylko Rzeczypospolitej, ale całej Europie chrześcijańskiej, przypominały podobne walki krzyżowców z wojskiem saraceńskim. Tem bardziej, że tłumacz polski przekształcił bohaterów Tassa na rycerzy z pod Chocima, podsuwając oryginałowi wiele rysów obyczajowych z życia szlachty polskiej.

Najwybitniejsi tego wieku poeci nasi zostają pod czarodziejskim wpływem tej epepeji rycerskiej. W przeciwieństwie do poetów złotego wieku jak Rej, Kochanowski i inni, nie wachający prochu, wszyscy niemal poeci XVII. wieku służą sprawie narodowej nie tylko piórem, ale i orężem. Tem żywiej więc przejmowali się obrazami walk bohaterskich śpiewaka Solimy. Nie tylko sceny »Argenidy« i »Syloreta« Potockiego przypominają rycerskie epizody Tassa, ale i Pieśni Wiednia wybawionego tworzył Kochowski pod wpływem włoskiego poety. Poeci-żołnierze spieszyli pod Chocim i Wiedeń z podobnemi uczuciami, co towarzysze Goffreda pod mury Jerozolimy.

Ale harce rycerzy chrześcijańskich stanowiły jeno tło, na którym haftował poeta odrodzenia subtelne uczucia romantyczne. Te kwiaty południowej poezyi — powiada pierwszy jej wpływ literackich badacz — nauczyli się poeci polscy odtwarzać z Tassa, on wskazywał im »rozmaite stopnie uczucia i stany dusz kochających«, podawał »w krajobrazach najwłaściwsze tło dla scen miłosnych«. Mistrz poetów XVII. wieku Samuel Twardowski, »śpiewak bojów i miłości«, wcielił do swego romantycznego utworu »Daphnis« idealny pierwiastek miłości z »Jerozolimy« a nawet w poezjach Salomona polskiego, jak nazywano spółcześnie Stanisława Lubomirskiego, słyszysz dźwięki oktawy Tassa, czarodziejskie obrazy i uczucia jego »Jerozolimy« i »Orlanda«.

Reakcja, jaka po wieku reformacji i racjonalizmu nastąpiła w Polsce, nawróciła serca rycerzy do średniowiecznej wiary w cudowne zjawiska. Krytyczny deizm Socynian XVI. wieku zapadał w mistyczny kult mąk Chrystusowych, odtworzonych w »Kalwarii Zebrzydowskiej«. Pod wpływem rozbudzonego uczucia i wyobraźni, przygniatanych dotąd przez władze rozumu, szerzy się za przyczynieniem kobiet kult Maryi, odbijający się w zwierciadle niezliczonych utworów, jako Matce Bożej poświęconych. Katolicki ten charakter »Jeruzolimy« Kochanowskiego przypadł też najwięcej do serca pobożnych jej czytelników i wywarł niemały wpływ na rozwój poezji naszej w XVII. stuleciu.

Przekład Jeruzolimy wyzwolonej pociągnął za sobą cały zastęp mniej lub więcej szczęśliwych naśladowców, że tu wspomnę tylko o poemacie w 20 pieśniach p. t. Oblężenie Jasnej Góry. Ciekawy to przykład »przeniesienia żywcem w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej Tassowskiej tkanki z miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek romantycznych«.

Z tłumaczy polskich zasługuje na wyróżnienie brat Piotra, Andrzej Kochanowski, który przyciężkim nieco wierszem spolszczył Eneidę Wergilego i Morsztynowie, jako tłumacze klasycy utworów literatury francuskiej: Racyna i Kornela. Farsalia Lukana doczekała się w tym wieku aż dwóch przekładów, jakby na stwierdzenie zasady, że »epoka upadku musiała mieć jakąś sympatyę dla upadającej literatury rzymskiej«.

Garścią wiadomości o życiu i piśmich Wojciecha Stanisława Chrościckiego, jednego z tłumaczy Farsalii, zakończymy ten pobieżny ustęp.

Sekretarz króla Jana III, uczestnik jego wypraw i bitwy pod Wiedniem, dymący polskim i łacińskim wierszem w »Trąbę wiekopomnej sławy i pamięci Najjaśniejszego i Niezwyciężonego Zwycięzcy«, od śmierci swego dobroczyńcy piastował urząd sekretarza u jego syna Jakuba i oddawał się z zamiłowaniem muzom. Po zgonie pierwszej żony, którą opłakał w Trenach, wydanych 1709 r., ożenił się powtórnie z Otwinowską i w gronie liczego potomstwa, przebywając w zaciszu wiejskiem, doczekał się późnej starości. Umarł przekroczywszy dziewiąty krzyżyk, za panowania Augusta III, w dobrach od drugiej żony w posagu otrzymanych, w okolicy Częstochowy. Z żalem wspomina poeta o ostatnich latach życia w następujących rymach:

Z ojczyzny wygnaniec,
Na ten padłem szaniec,



Nr. 28. Rycina z Wergiliusza przekładu Jędrzeja Kochanowskiego z 1754 r.

Żem osierociał, w cudzym tułacz kącie,
Przedtem żyjący w jarzmie (dworskim), dziś w chomącie (rodzinnym).

W literaturze znanym jest z przekładu Lukana, poświęconego Janowi III. p. t. *Farsalia* po polsku przetłómaczone, albo raczej *Wojna domowa* między Pompejuszem a Cezarem, T. I. 1689., Tom II. od zabicia w senacie Juliusza Cezara aż do rozprawy pod Actium, kontynuacja z różnych ksiąg zebrana przez W. S. Chrościńskiego 1693. Tłómaczył także *Heroidę* Owidyusza, czem dowiódł, że się kochał w poezyi czułej i sentymentalnej, wchodzącej wówczas w modę; parafrazował przytem księgi *Joba* — nie szczędząc aluzyj do stosunków spótcze-



Nr. 29. X. Jan A. Bardziński, *Compendium summae Thomae versu summatum*. Warszawa 1705.

nych, do Rzeczypospolitej polskiej w jej *Hiobowych* uciskach. W literaturze politycznej zapisał się jako gorący rodziny *Sobieskich* wielbiciel i poplecznik. *Satyra* jego p. t. *Lament* strapionej ojczyzny, napisana w czasie nieszczęsnego bezkrólestwa po śmierci *Jana III*, oddając zasłużone pochwały »zbawcy chrześcijaństwa« kreśli »przynębiający obraz duchowej i moralnej nędzy« Rzeczypospolitej w chwili powszechnego zamętu. Z lekka dotyka kandydatów do tronu — których naliczono do 20-tu, — ale mówi o nich nie bez ironii, a nawet otwartej niechęci, popierając gorąco syna królewskiego *Jakuba*.

Poemat ten ułożony w stancach, nużących rozwlekłością i reminiscencyami, odznacza się żywym uczuciem patriotycznym i pewną zamaszystością pióra. Ostro

jednak ton satyryka, nie mijającego się zresztą z prawdą, spotkał się z »Apostrofą« bezimiennego paszkwilanta, który w aluzji do świeżej nobilitacji autora tak się o nim wyraża brutalnie:

O, wieczna hańbo! o niezdolny smrodzie!
Łączni Chruściele tak głośno krzykają!
Jak serce polskie na to nie umiera,
Gdy wójcik króla z Osiecka obiera.

Jestto dość przejrzyta aluzja do imienia (Wojciecha), czy też do godności (wójta) piastowanego przez Chrościńskiego.

Lukana tłumaczył też Jan Alan Bardziński, przeor zakonu kaznodziejskiego. Nudzac sobie — jak się wyraża jego kolega — za klauzulą klasztorną, lubiał przewietrzać się po świecie i na dyszlu prawie pędząc życie (tak wszystkich stron kraju był świadom, iż go mienia żywą topografią), oddawał pióro swoje na usługi poetów starożytnych. Rozpoczął zawód tłumacza od Tragedyi o pedagrze, napisanej po grecku przez Lucyana, a przełożonej przez Bardzińskiego 1680 r. nie z oryginału, lecz z przekładu łacińskiego. Po dziesięciu latach zabrał się do przekładu Farsalii Lukana z dopełnieniami Petroniusza Arbitra i innych (Odrodzona w ojczystym języku Farsalia, Oliwa 1691). Po niej idą tłumaczenia Boccyusza (Pociecha Filozofii. Toruń 1694), tragedj Seneki (Smutne starożytności teatrum, — tamże 1696). We wszystkich tych pracach zdradza się niewolnicze poddaństwo tłumacza pod literę autora, obok zawiłej i nadętej wybujałości odkwitającego baroka. O niskim poziomie wykształcenia tłumacza świadczy okoliczność, że Tassa zalicza do rymotwórców łacińskich, a Lucyana cofa do czasów przed Chrystusowych. Braku zmysłu poetycznego dowodzi »ściągnięcie w treść rytmową« Sumy teologicznej św. Tomasza z Akwinu i oddanie wierszami Kroniki papieżów z rymowaną przedmową o początku muzyki — wszystko po łacinie!

Z tymi tłumaczami przestępujemy progi czasów saskich.

Dwa stulecia bezrządu, wicherzeń politycznych i wojen wyniszczyły do tego stopnia zarodki życia umysłowego w Polsce, że w pierwszym sześćdziesięcioleciu XVIII. wieku wyglądała jak pustynia. Może w żadnej dobie istnienia nie przebywano tak ciężkich czasów, jak za Augustów, w tym wieku kataklizmów z zewnątrz i wewnętrznego upadku. Z wyrazem oburzenia i rozpaczy wołają współcześni, że Polska »kona powoli«, wymieniając jako przyczynę zguby »nie armaty — lecz prywaty«. W tem gwałtownem wstrząśnieniu podstawami Rzeczypospolitej, w owem wszystkich węzłów społecznych rozprężeniu, wśród pożarów i grabieży, gasły ogniska ruchu naukowego, niszczały zabytki sztuk i piśmiennictwo. W dobie zupełnego upadku miast, handlu i przemysłu, spadał coraz niżej poziom umysłowy odkwitającej literatury. Na całym życiu narodu zaciężyła zmora średniowieczyny, której odpędzić nie zdołało kilku wybitniejszych pisarzy, usiłujących ową pomrokę rozjaśnić.

Wskutek zubożenia drobnej szlachty, dźwigającej wraz z ludem całą ciężar utrzymywania państwa, wytworzył się stosunek zależności społecznej od panów, gorszy jeszcze od lennictwa wieków średnich. A feudalne te stosunki wycisnęły na duszy narodowej niezatarte piętno. Reakeya przeciw panującym krwi obcej, jako stróżom władzy i prawa, zwracając w życiu politycznym do staropolskich instytucji i obyczajów, tłumiała wszelkie szlachetniejsze dążenia do reformy rządu i miała

chyba tę jedną, piękną stronę, że nie pozwalała na zupełną ducha narodowego zaturę.

Ku schyłkowi bowiem XVII. i na początku XVIII. wieku, bierze górę wpływ obczyzny przytłumiając wybujały rozrost narodowości, która jak rakietą zabłysła i znikła na widnokręgu, zostawiwszy po sobie pustkę. Skołatany klęskami długoletnich wojen naród popada za panowania Augusta II. w stan odrętwienia, słabości i niemocy. Po burzliwym wrzeniu niezgodnych żywiołów nastąpiła epoka bezwładnego upojenia, po zmierzchu literatury zaległy jej niweciemności.

Pod względem reakcyi posuwa się literatura z czasów saskich do ostatecznych granic. Miejsce dzieł politycznych zajmują pisma religijne, »wierszowane historye« ze Starego i Nowego Testamentu, liryczne dewocye obok tragedyi i romansów, w których coraz silniej przebija wpływ francuszczyzny. W nicudolnej, niezgrabnej formie zaczynają jednak przemawiać do czytelnika »prywatne cnoty i osobiste namiętności«, łągadzając surowe oblicze naszej muzy. To też przedstawicielem poezyi czasów saskich jest kobieta. Z płci męskiej zasługują na wyszczególnienie chyba Andrzej Załuski, założyciel pierwszej w Polsce biblioteki publicznej (w Warszawie), Epifany Minasowicz, Ulryk Radziwiłł, autor poematu »Słowo nie w swojej przyzwoitości«, książe Jabłonowscy, zwłaszcza tłumacz bajek La Fontaine'a i Wacław Rzewuski, zaszczerpiali oni na naszej niwie płonkę literatury francuskiej.

Poezya z czasów saskich ma dwa odcienia, dwa stopnie rozwoju. Pierwszy, to okres najgłębszego upadku, sięgający jeszcze schyłku XVII. wieku, pomny ostatnich, bohaterskich wysiłków oręza polskiego pod Wiedniem, a zakończony gospodarką wojsk saskich, szwedzkich i rosyjskich, przygotowujących pierwszy rozbiór Polski. Wśród tych operacyi wojennych, pompujących ostatnie krople krwi z chorego na anemię organizmu Rzeczypospolitej, milknie rozstrojona lutnia, jakby na potwierdzenie przysłówia: *inter arma silent musae*. Niwec poezyi zagłuszył chwast reakcyi religijnej. Traktaty o wszechmocności boskiej i Trójcy św., hymny na cześć wszystkich świętych i każdego z osobna, wiersze na odpusty i koronacje cudownych obrazów Najświętszej Panny zalewają literaturę, z której »wieje duch skostniałej dewocyi i wyglądają ciasne pojęcia, wyrażone tak zimno, tak płasko, że nikomu do serca nie trafią«.

Za Augusta III., kiedy to społeczeństwo zażywało w gnuśności owoców pokoju, budzi się samowiedza upadku, rodzi potrzeba ratunku i pragnienie światła. Ku końcowi jego panowania mamy już cały zastęp ludzi szczerze oddanych sprawie dźwignięcia narodu z tego bagna, w które go pogrążyły ostatnie lat dzieśiątki. Ożywia się nieco ruch piśmienniczy, występuje kilku wybitniejszych pisarzy, widać »postęp ku lepszemu«. Po długiej nocy, zanim rozbłyśnie jutrzienka dnia, nim na rozjaśnionem niebie poezyi zaświta zorza, panuje w literaturze naszej zmierzch, »ale nie smutny zmierz przed nocą, tylko ten, który zapowiada«, że niebawem zejdzie słońce. Przedstawicielką tego drugiego okresu poezyi są kobiety — Elżbieta Drużbacka i Franciszka Urszula Radziwiłłowa.

Niewiasta polska zajmowała dotychczas skromne miejsce na szarym kącie produkcji umysłowej. W piśmiennictwie o charakterze wybitnie politycznym nie było miejsca dla tych, które nie brały czynnego w życiu publicznym udziału i były kapłankami ogniska domowego. Z wiekiem XVII. ulega zmianie ten stosunek dzięki przemożnemu wpływowi w rządzie państwa królowych polskich, Ludwiki Maryi, żony Władysława IV. i Jana Kazimierza, tudzież Maryi Kazimiry, ukochanej

Jana III. małżonki. Francuzki te, z całym dworem kobiet, agentek politycznych swoich monarchii, zasiewały ziarna »lepszych« obyczajów w zimnej i ciemnej Sarmacyi. Za panowania Augusta II, wielbiciela płci pięknej, wzbijały się wysoko fale wpływów kobiecych i — galanteryi francuskiej. Z perfumą i pudrem zawiątały do buduaru naszych pierwszych emancypantek romanse francuskie. Uczucie indywidualne, przygłuszone odgłosem trąbki wojennej, zaczyna się budzić ze snu wiekowego. Znajduje zaś przytułek w sercu kobiecem. J. D. Janocki, pierwszy bibliograf polski, bibliotekarz Załuskich, wymienia w swem dziele »Polonia literata«, w połowie XVIII. wieku wydanem, kilka Polek o wyższym wykształceniu. Oto imiona tych pierwszych u nas literatek. (Poetki XVI. wieku, jak np. Zofia z Pieskowej Skaly nie wchodzi tu w rachubę): Zofia Gałęcka, Antonina Niemińczowa, Marya Ogińska, Aniela Zaleska, Teresa i Aleksandra Załuskie. Trwalej zapisała się na kartach naszej literatury Elżbieta z Kowalskich Drużbacka.

Urodzona w ostatnim dziesiątku XVII. stulecia z biednej rodziny szlacheckiej, która wydała kilku poetów (że tu wymienię Hieronima Kowalskiego, rektora kolegium Pijarów w Łowiczu), wychowywała się w patriarcalnej atmosferze ówczesnych dworów szlacheckich. Od 16-go roku, kiedy ją oddano na dwór kasztelanowej krakowskiej, z ks. Lubomirskich Sieniawskiej, spędzała większą część życia na dworach polskich ks. Pawła Sanguszki, marszałka litewskiego i innych. »Przeniesiona z zacisza domowego — jak powiada spóczesny jej biograf — na ruchliwy i gwarny dwór możnych panów, rozwijała się szybko, chłonąc swym żywym umysłem mnóstwo nowych wrażeń i widoków«. Pod ich wpływem powstały pierwsze poezye Kowalskiej, krążące w rękopisach. Wyszędłszy za mąż za Kazimierza Drużbackiego, skarbnika żydaczowskiego, przeniosła się na Ruś, gdzie im hetman Adam Sieniawski puścił w dzierzawę część wsi Cieplice. Jak kłopotliwe było to gospodarstwo, o tem świadczą listy Drużbackiej. »Cieplice — pisze ona do księcia Czartoryskiego 1737 r. — całe zrujnowane i poddaństwo i budynki tak, że i głowy nie było kędy spokojnie skłonić. Chłoptwo od bydeł, od wszystkiego przez ucimężanie tamtych dzierzawców podupało, dosyć że tylko półtrzecia pługa na całej części zastałam z mężem moim, które to poddaństwo własnym groszem swoim jak do bydła, tak i sprzętu do roli należącego pozapomagaliśmy. Jednak ta część (Cieplic) więcej nie uczyniła intraty rocznej tylko 1.400 złp. i to na dobry urodzaj, innych czasów i tego nie uczyniła«.

Po śmierci męża oddaje tę kłopotliwą i mało intratną posesyę zięciowi, ożenionemu ze starszą córką poetki, a korzystając z propozycyi Augusta Czartoryskiego, przyjmuje miejsce ochmistrzyni jego córki Aleksandry, późniejszej księżny Ogińskiej, »aby tak godnej damie służyć, a przez to sobie na nicustające łaski i protekcyę księstwa dla siebie i dziatki zarabiać«. Ale młodemu małżeństwu w Cieplicach jakoś się nie widło. Do dawniejszych kłopotów przybywa nowy w osobie znienawidzonego sąsiada, współdzierzawcy Cieplic, o którego usunięcie troskliwa o dobro swych dzieci matka nadaremnie prosi ks. Czartoryskiego. Nie widząc innego sposobu, przenosi się wdowa z dziećmi do nowej dzierzawy dóbr ks. Lubomirskich, do Rzemienia nad Wisłoką, gdzie pod wrażeniem widoków prześlicznych gór Beskidu, napisała najpiękniejszy swój poemat: »Opisanie czterech części roku«. W połowie XVIII. wieku dobiegała już szóstego krzyżyka. »Przebyła wiele, widziała już dorastające swe wnuki, patrzyła zarówno na zgon męża jak i zgon swej najstarszej córki Maryanny, zastanawiała się wielokroć nad znikomością spraw doczesnych i w duszy jej obudziły się z większą niż kiedy-

kolwiek siłą uczucia religijne, wpojone jej za młodu, a później nieco przytarte pogwarem świata i troskami gospodarstwa. Zateśkniła za zupełną ciszą i spokojem i postanowiła w sukience zakonnej dopełnić reszty dni swoich«. W roku 1755 opuściła swój uroczy przybytek nad Wisłoką i przeniosiła się do Tarnowa, gdzie w klasztorze PP. Bernardynek ostatnie lata życia spędziła. Zgasła 14 marca 1765 r. przed spełnieniem ślubów zakonnych.

Jako główne znamiona jej charakteru wymieniają: »pobożność, skromność, zamiłowanie w ciszy i pracy umysłowej«. Widnokrąg jej myśli dosyć ciasny, stopień erudycji wcale niski, umie jednak podpatrzeć piękno w przyrodzie i przystroić je w sukienkę nie jaśniejącą przepychem, ale schludną i czystą. Najdotkliwiej uczuć się jej daje brak wykształcenia klasycznego — nie umie po łacinie



Nr. 30. Elżbieta Drużbacka.

ani po francusku. — Uchroniło to ją wszakże od przeciążenia balastem mitologii i od szkolarskiej metody, powstrzymującej polot muzy społecznych wierszopisów. Dowodem jej nieuctwa są wyobrażenia, jakoby »świat cały był oblany oceanem«, a »metal żył w ziemi« — jakoby w Karpatach przebywały lwy i t. p. Na usprawiedliwienie Drużbackiej przytoczyć można podobne przykłady mijania się z nauką u innych pisarzy. Natomiast wolną jest od powszechnej naonczas wady panegiryzmu — od czego odwodził ją Andrzej Załuski, opiekun jej literacki, — nie znając zaś języka łacińskiego, nie kazała nim wiersza polskiego, jak to czynili »uczeni« poeci.

O ile wrażliwy temperament Drużbackiej znajdował pokarm w wirze wielkopolskiego życia, o tyle doznawał jej talent w tej atmosferze zachęty i opieki. Andrzej Załuski, referendarz koronny, mecenas literatury, poeta i bibliograf, sku-

piający koło siebie »wszystkich, którzy mową wiązaną pisali«, zebrawszy jej poezye wydał je w sporym tomie w pulikacyi zatytułowanej: »Zebrańie rytmów przez wierszopisów żyjących«. Zbiór ten 1752 r. w Warszawie u Pijarów wydany, poświęcony był czterem »heroinom polskim«, a między innymi Konstancyi Ponia-towskiej, kasztelanowej krakowskiej. Najpierwszej bowiem w randze senatorek pol-skich pani — tak rozumuje wydawca — należą się »najpierwszej poezyi i rymo-piski« dzieła. Jako »jubilerka rozumów i promotorka nauk« wyprubuje ona tę »drogocenną w koronie polskiej perłę«. Wydawca tego zbioru ofiarowuje też skarb ten na chlubę Polski w ręce Zofii z Sieniawskich Czartoryskiej, gdyż »autorka tych wierszy — Safo polska — większą częścią w młodym wieku swym pisała je na dworze Sieniawskiej, jej rodzicielki«. Podzielono tu utwory muzy polskiej na trzy działy: duchowne, moralne i światowe. Z duchownych najobszerniejszy jest poemat p. t.: »Opisanie życia świętego Dawida, króla izraelskiego«, gdzie wierszem chro-pawym — jak przyznaje autorka — i w kadencyach lichym oddano proste, ciche dzieje serca grzesznego. Wartość tego i dwóch innych religijnych poematów (Ma-rya Egipczyanka i Magdalena) polega dziś na obrazkach obyczajów staropolskich, przepłatających dzieje biblijne. Jak nisko upaść musiało ówczesne duchowień-stwo, kiedy potulna i pobożna białogłowa w takich oto wyrazach kreśli jego konterfekt:

Szór jedwabny na koniach, fioków dość przy uszach,
Hajducy w srebrach brzęczą w dostatnich kontuszach,
Lokajów za karetą po obudwu stronach
Stojących, wszyscy w złotych, to srebrnych galonach.
Stoły suto zastawne w czasie karnawału,
Na co dobra kościelne jęczą nie pomału,
Poddaństwa uciśnione. Bachusa nie znawszy
Tańcować muszą z płaczem, sukni zakasawszy.
Ubogiego nie widać przy kuchni prałata,
Talerza nie polize mizerny brat łata.
Lepiej karmić po psiarniach psów różne rodzaje,
Żebrakowi dać kromkę markotno się zdaje.
Z dziesięćcin czy za meszne pobrane pieniądze
Precz poszły, bo do grania kart prowadzą żądze.
Czy to księdza proboszcza czyli kanonika
Z ostatniego »chapanka« wyniszczy groszyka.
Kapela gra, spytać się: U kogo? U księdza;
W kościele bieda skrzeczy i ostatnia nędza.
Kiermasz to dziś, ksiądz pleban traktuje rzesisto!
Ty z wróblami zaśpiewaj nieszpór organisto!

Gromi też dewocyę kobiet niezgodną z czynami, »ciemnienie sług i podda-nych, dumę niepomierną i wyniosłość możnych«, podnosi też chciwość i łakom-stwo zaborczych mocarstw.

Kraj jeden drugiemu przez moc bierze państwa,
Nas mają za instrument zbytków i tyraństwa.

Nie gardzi nawet zasadą: cel uświęca środki, gdy chodzi o zgębienie wroga:

Nie zawadzi tam zażyć z gorliwości zdrady,
Gdzie w dobrej wierze czynią odstępcy zawady.

W końcu wylewa swą żółć na

..... żydów obmierzłych, wyklętych od Boga.
My ich pieścim, oni nas zabijają, trują,
Zdrady, zdrzierstwa, bluźnierstwa przeciw nam formują.

Do takiego obniżenia pisma św. — na ewaniclicznej kanwie bowiem odbywa się operacja przystosowywania ludu Izraela do warunków społecznych — dochodzi się w poematach religijnych.

Dругi dział poezji Druźbackiej, nazwany przez wydawcę moralnym, to powieści rycerskie, zawierające opisy awantur i cudownych przygód kochanków — przed szczęśliwym połączeniem. Opowiadania te z obcych czerpane źródła — krążyło bowiem w tym czasie mnóstwo średniowiecznych historii o Aleksandrze, o Magiellonie i tym podobnych bohaterach — lubo na tle fantastycznym osnute i przybierające alegoryczną sukienkę, objawiają jednak tendencję moralizatorską i mają na celu »obudzenie tkliwych uczuć i litości« dla wystawionych na ciężkie próby losu rycerzy. Są to zresztą blade kopie nieraz z trzeciej ręki branych poematów rycerskich, alegoryj, zupełnie naszym stosunkom obce i dlatego nie wzbudzają żywszego zajęcia. Zamiast analizy lub przynajmniej obserwacji duszy ludzkiej, mamy tu poświętowane cnoty i grzechy uosobione w postaci ludzkiej na tle sentymentalizmu autorki. Oto np. »Forteca od Boga wystawiona«. Poetka daje jej na obronę pięć bram, t. j. pięć zmysłów, prócz tego trzy wieże: rozum, pamięć i wolę, a oblegają je szatani. Do takich łamanych sztuk nagina się dziecinna niemal imaginacja poetki.

Talent Druźbackiej występuje najpiękniej w opisowych poematach czterech pór roku, żywiołów i lasów. Biorąc przykłady ze wsi polskiej wplata ona w swoje obrazy przyrody, celujące prostotą i naturalnością, opowiadania z życia ziemianskiego. Przysparza to jej opisom, nie wolnym od rubaszości, nieco wdzięku i ożywiającej akcji. Poetka wprowadza nam każdą porę roku w niewieścich kształtach, wiosnę jako płocze dziecię, lato w postaci dziewczyny w wieńcu z żyta i pszenicy, jesień jako pannę »mężną«, to jest dojrzałą, z koszem owoców w dłoni, wreszcie zimę: starą, poważną panią, z wszelkich ozdób obraną. Drugą część opisów stanowią zjawiska przyrody, trzecią zwyczaj ludowy i zatrudnienia gospodarskie. Ta metodyczność czyni obrazy oschłymi, i upodabnia je do wypracowań uczenie »wyższych« zakładów naukowych.

Do najpiękniejszych sielanek polskich zaliczają »Opisanie wiosny« i »Pochwałę lasów«, w których poetka »trafnie podpatrzyła« naturę, odsłaniając jej »piękności dla innego oka niewidzialne«.

Nie bez społecznej wartości są okolicznościowe wiersze Druźbackiej z odzieniem satyrycznym. Odzwierciedlają one kilka znamienych rysów ówczesnego społeczeństwa, a zebrane są niemal wyłącznie z owych »wyższych« warstw, górujących zepsuciem i przewrotnością. Przedmiotem jej obserwacji jest kilka typowych figur z »towarzystwa«, oddanych z naturalnością i prawdą. Spotykasz całe stowarzyszenie dam, które z nudów i braku zajęcia wzięło sobie za cel: adorację mopsów. Inne również próżne damy, zakosztowawszy słodczy modnego świata, zrywają dla zabawy z »nieokrzesanymi« mężczyznami, zajętej pracą na roli, rzucają

ognisko rodzinne jedynie, aby dogodzić swoim przyjemnościom. W satyrze p. t.: »Awersya pewnej damy całe życie bawiącej u wielkich dworów«, wytyka poetka arystokracji polskiej »nieszczerość, plotkarstwo, obmowy, zazdrość, dewocyę« i tym podobne przyzwary.

Lubo niewiasta, »której raczej pilnować igielki i kądzieli, a nie poprawiać defekty ziomek«, nie może się jednak powstrzymać od zabrania głosu w wolnym narodzie i wypowiedzenia swego »nie pozwalam«.

Przecież jak Polka na sercu boleję,
Że w mej ojczyźnie zacni (t. j. szlachta) a złodzieje!

Co gorsza — prawi śmiało Drużbacka — rozpowszechnił się »zły obyczaj: złodziejstwo nie mieć za wstyd, owszem za obrot(ność) i sztuki«. A jakie szkody przynosi kradzież choćby wyła lub ogara: cały łańcuch zatargów, procesów, pojedynków i najazdów. Przygania też poetka i białogłomom, że od dzieciństwa »wstyd przyzwoity z swoją szkodą bruczą«.

Mnie aż pod serce podpierają kolki,
Gdy szpetne rzeczy w ustach noszą Polki.

W wierszach panegirycznych wynosi swego opiekuna Załuskiego, założyciela pierwszej publicznej biblioteki w sercu Polski, chwali księcia biskupa krakowskiego, Andrzeja Załuskiego, że z klasztoru Paulinów na Jasnej górze w Częstochowie i z innych miejsc świętych wygnał dyabłów i upiórów, »poznawszy fałszywych osób bezbożne wykryty«.

Oswobodziłeś i szlacheckie domy,
Chaty wieśniaków prostych, bojaźliwych,
Bo kiedy do nas przyszedł czart łakomy,
Wymusił co chciał, jeszcze słów złośliwych
Nagadał, teraz każdy go wypędza
Bez egzorcyсты, kropidła i księdza!

Odwieczając się, słaWił referendarz »sarmackiego ozdobę parnasu, muzę dziesiątą — skarbnikową ziemi żydaczewskiej«. — Przysnać trzeba, że Drużbacka wyróżnia się chlubnie z całej gromady panegirystów, posiadających »wiatrem wydętego pegaza«, umie bowiem i w pochwałach zachować miarę i stosować je do godnych i zacnych osób. Wyjątek stanowi chyba pełen przesady Aplauz Najjaśniejszemu Augustowi III, za którego zgubnych rządów zaczyna jednak świtać brzask odrodzenia narodu.

Po jej śmierci wyszła 1769 r. powieść wierszowana p. t.: »Historja chrześcijańska ks. Elefantyny Eufraty, dowcipnym przemysłem Elżbiety Drużbackiej dokładnie ułożona«. Przy końcu przytoczono wiersz jej napisany na aniwersarz śmierci córki Maryanny († 1761 roku). Tej to ulubionej córce, wydanej za Andrzeja Wiesiołowskiego, łowczego wieluńskiego, dedykowała jedną z długich i nudnych powieści wierszowanych a dziękując małżonkom za chleb łaskawy prosiła, aby o niej nie zapominali, »gdy jako uwiędła jagoda wypadnie z grona — bo testamentem nie ma co legować«.

Książę biskup warmiński, Ign. Krasicki, na którego dworze w Dubiecku przez pewien czas bawiła, wydał kilkanaście wierszy Drużbackiej w swoich »Zabawach przyjemnych i pożytecznych«, poprawiwszy je w swoim duchu. I później

jeszcze ogłaszano utwory pierwszej polskiej poetki, Narej rękopisy do dziś zalegają półki bibliotek w Warszawie, Lwowie i Suchej.

Zaletą poezji Drużbackiej jest język czysty, wolny od t. zw. makaronizmów — nie znając bowiem języka łacińskiego, nie mogła się nim posługiwać — styl prosty, wolny od napuszystości; lepszy, szlachetniejszy smak, estetyczne i delikatniejsze uczucie. W powszechnem zdżyczeniu umysłowem, przed usiłowaniami dźwignięcia narodu przez takich światłych mężów jak Stan. Konarski, Andrzej Załuski i Fr. Bohomolec, zakwitła ta wątła roślina na opoczystym gruncie. Nie zajaśniała tęczowym blaskiem kolorów, bo nie znalazła przysposobionej gleby, jaką zastał Kochanowski w wieku odrodzenia, a Krasicki w epoce przemożnego wpływu francuszczyzny. Samorodny ten, ale nierówny talent, kroczący »łamaną linią«, umie wznieść się na wyżyny prawdziwego natchnienia, ale spada też do poziomu płańskiej trywialności. — Nie rozbrzmiewa lutnia Drużbackiej silniejszym akordem, ale tchnie szczerem uczuciem i miłością przyrody. Na oddanie głębokich tonów namiętności nie ma strun, ale umie zanuć prostą piosenkę, nie pozbawioną wdzięku i delikatności.

Z Drużbacką wkraczamy w jaśniejszą dobę rozwoju piśmiennictwa. Równocześnie, kiedy zastęp statystów polskich z królem Stanisławem I. dąży do przeobrażenia przestarzałych form politycznych i średnio-wiecznych stosunków ustroju społecznego, kiedy ks. Pijar Stanisław Konarski kładzie na polu wychowania publicznego podwaliny reformy, zaczyna i piśmiennictwo polskie, wzorowane na kwitnącej podówczas literaturze francuskiej, »pozbywać się powoli wiekowej pleśni« i budzić w odrętwieniu pogrążone społeczeństwo do różniejszego życia umysłowego. Zasluga tego rozbudzenia i podniesienia ruchu literackiego w Polsce należy się głównie Józefowi Andrzejowi Załuskiemu i garstce cudzoziemców grupujących się około swego mecenasa.

Urodzony na początku XVIII. wieku z zamożnej rodziny szlacheckiej, zostawszy wcześniej referendarzem koronnym, opatem wachockim, a wreszcie biskupem kijowskim i czerniechowskim, poświęcił Załuski życie i majątek na stworzenie pierwszego ogniska umysłowego w Polsce. Takim ogniskiem była założona przezeń w Warszawie pierwsza publiczna biblioteka polska, do tego czasu bowiem skarby naszej literatury były po całej Polsce rozrzucone. Przez trzy wieki niespełna wychodziły książki, z których niejedna cieszyła się szerokiem kołem poczytności, ale tonęły one w niepamięci falach, inne przechowały się za ledwie w jednym egzemplarzu. Aby »zabezpieczyć literaturę od grożącego jej niebezpieczeństwa zatury materialnej«, trzeba było skupić jej rozproszone pamiątki w jednym miejscu, otoczyć je opieką i »zrobić inwentarz narodowej własności«. Tej olbrzymiej pracy podjął się książę biskup i doprowadził ją do skutku. Nie szczę-



Nr. 31. Andrzej Załuski (medal).

dząc majątku, narażając życie swe — nieraz odejmując sobie z ust, skupował stare szpargały, gromadził zapomniane broszury, cały oddany wielkiej myśli stworzenia arki pamiątek, narodowej ducha skarbnicy. Był mu w tem dziele pomocny rodzony brat Jędrzej Stanisław, biskup krakowski, milionowy pan, pomagali gorliwi obywałe.

Wielki ten miłośnik zabytków piśmiennych daje pochop nietylko do zbierania, ale także do utrzymania skarbów dawnej literatury, do ogłaszania drukiem cenniejszych pamiątek literatury, tudzież do umiętnego ich opisania.

Otworzywszy najbogatszy zbiór dzieł i rękopisów, jakiego dotychczas nie

posiadamy — w epoce najświetniejszej liczono około 300.000 książek i kilkanaście tysięcy rękopisów — oddał go w r. 1748 na użytek publiczny, ofiarując niebawem na własność narodową. Pieczę nad biblioteką powierzył szlachebnemu Niemcowi, przebywającemu czas dłuższy w Wielkopolsce, który tak pokochał przybraną ojczyznę i tak się przywiązał do skarbcza jej narodowych pamiątek, że przyjąwszy wiarę katolicką i spolszczywszy swe nazwisko niemieckie Jaenisch na polskie: Janocki, mianowany, dzięki swemu protektorowi Załuskiemu, kanonikiem kijowskim, poświęcił się umiętnemu opisywaniu skarbów literatury polskiej. Zaczął od »Wiadomości o rzadkich książkach znajdujących się w hrabiowskiej bibliotece«, wydanej w trzech tomach po niemiecku (1747—53), postąpił do Leksykonu spółczesnych uczonych w Polsce, napisanego również w języku niemieckim (Wrocław 1755, 2 tomy). W tym kierunku tworzył jeszcze kilka dzieł łacińskich, z których



Nr. 32. Andrzej Stanisław Załuski.

ostatnie, p. t. »Janociana«, (w 3 tomach), ogłoszono drukiem dopiero po rozbiórce Polski. Ważne te pod względem bio- i bibliograficznym prace Jana Daniela Janockiego (ur. 1720, um. 1786), grzeszące przesadnymi pochwałami, torują drogę umiętnym badaniom dziejów literatury polskiej.

Sam założyciel biblioteki jął się skatalogizowania swoich nieocenionych zbiorów i cząstkę tej pracy wydał po łacinie p. t.: »Bibliotheca poetarum polonorum« (Warszawa 1752 r.). Podjął się też olbrzymiego zadania opisu dzieł i żywotów wszystkich pisarzy polskich. Część tej wierszowanej bibliografii wyszła w naszym wieku p. t.: »Biblioteka historyków, prawników, polityków i innych autorów, owoc rozpamiętywań więziennych w Kałudze«. Świadczy ona o niebywałej pamięci autora i jest nieocenionym inwentarzem czasów, dzieł i ludzi z przedsta-

tniej doby Rzeczypospolitej, szkoda tylko, że nie wolnym od gburowatości i samochwalstwa.

Załuski nie zadawała się opisywaniem dzieł, nagromadziwszy stopy rękopisów i pokaźny zasób białych kruków, odczuwał potrzebę ich wydawania. W tym celu podjął się w połowie XVIII. w. ogromnej publikacji p. t.: Zebranie rytmów wierszopisów żyjących, ogłosił zbiorowe wydanie dzieł Drużbackiej i Minasowicza, wydał dzieła Jabłonowskiego. Resztę trudów wydawniczych przyjął na siebie poczciwy, uczony Niemiec, Wawrzyniec Mizler a Kolof, doktor medycyny, który osiadłszy w stolicy Polski, rozwinął niebywałą ruchliwość około rozbudzenia oświaty, nauki i literatury w Polsce. On to z inicjatywy i przy pomocy materialnej naszego mecenasa zajął się wydawnictwem kronikarzy łacińsko-polskich, redagował pierwsze czasopisma naukowe, a jako człowiek postępowy, rozprasał naokół grube ciemności przesądów i zacofania epoki saskiej. — Jak pierwszy nasz biograf Janocki, i pierwszy redaktor Mizler, wyszli ze szkoły Załuskiego, tak rozwija swoją działalność pod jego okiem pierwszy zastęp literatów polskich. On jest patriarchą tej gromadki pisarzy z profesji, która niebawem, na dworze Stanisława Augusta, urośnie do potęgi. Dotychczasowi pisarze tworzyli z potrzeby, czasem z natchnienia, ale dorywczo, po dyletancku, bez wzajemnej łączności. Obecnie pod opieką Załuskiego powstaje grono ludzi, poświęcających się z zawodu literaturze, związanych z sobą pewną organizacją, piszących wedle pewnego kodeksu. Przy pomocy tej gromadki szerzą się zdrowsze pojęcia literackie, wyrabia się lepszy smak estetyczny, wytwarza się pod naciskiem wzrastającego z dniem każdym wpływu oświaty, sztuki, społecznych i towarzyskich stosunków Francji, poezja, która ścieli się pomostem z barokowej pomroki do rokoka, stanowiącego z kodeksem Boileau'a niewzruszone prawa sztuki, poczawszy od zasady trzech jedności (czasu, miejsca i akcji), a skończywszy na bajeczce, naśladowanej z Lafontaine'a. Nasz referendarz koronny należał do pionierów tej francuszczyzny.

Uczeń króla Stanisława Leszczyńskiego, pretendujący o infulę w księstwie Lotaryńskim, tak się wżył w zwyczaje i obyczaje paryskie, że uchodzić mógł za rodowitego Francuza. Nadto ściślejsze stosunki z szambelanami, markizami a nawet księżętami francuskimi wbiły go w taką dumę, że uważał się za »potomka najczystszej, najwybrańszej arystokracji«. Przyplątała się do tej słabości mania krasomówcza. Od 1759 r., kiedy otrzymał pastorał, kazywał ciągle w sto-



Nr. 33. Józef Andrzej Załuski.

licy Polski, popisując się »potokiem swej złotoustej wymowy«. Uczestniczył też przy obrzędach chrzcin, wesel i pogrzebów, roztaczając tu niezwykle przepych lub bacząc na wytworniejszego smaku publiczność, kazał do niej w języku francuskim. Jak wszyscy nestorowie literatury, był i nasz Załuski polihistorem, encyklopedystą — w tem znaczeniu, że nie skupiał swej działalności w jednym ognisku, lecz rozpraszał ją w najróżnorodniejszych gałęziach, w najrozmaitszych kierunkach.

Jako wydawca, historyk, mówca, prawnik, teolog, filozof, lingwista, poeta, bibliotekarz i bibliograf położył Załuski niespożyte zasługi około rozbudzenia na-



Nr. 34. J. D. Janocki, bibliograf.

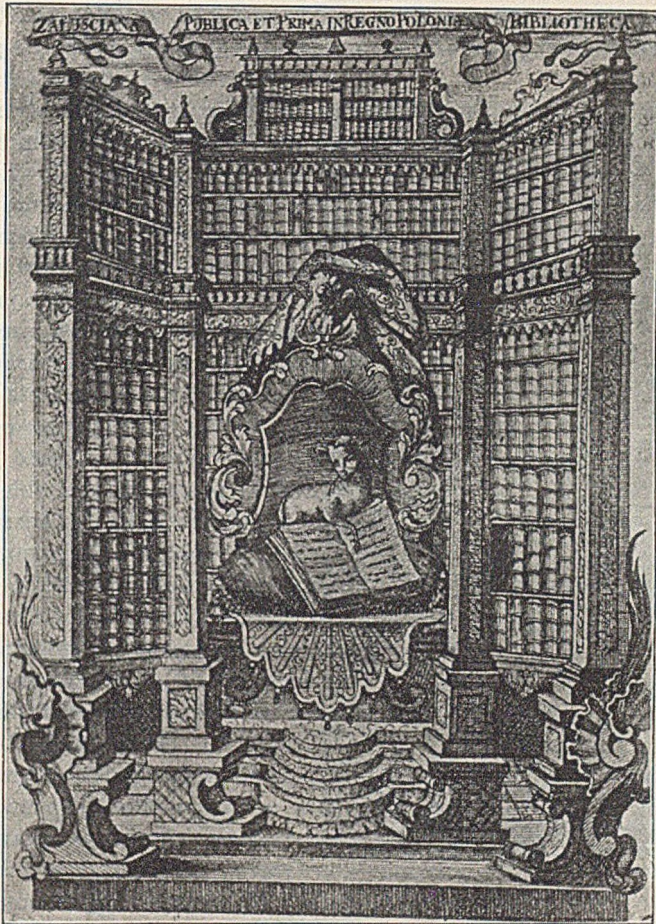
rodu ze snu epoki saskiej — wszelako na żadnym polu nie zostawił głębszych śladów, a już najmniej miał warunków na poetę. Wiersze jego, które bez końca płodził, ciężkie, oschłe i nudne zajmują dwa spore tomy »Zebrania rytmów wierszopisów żyjących« (w Warszawie 1754). Lwią część tego zbioru wypełniają tragedye i komedye tłómaczone z obcych języków: włoskiego, łacińskiego, francuskiego i angielskiego, nie brak tu jednak i własnych »lukubracyj«.

Dziwna to mieszanina »polerowanego« smaku tłómacza Andromachy i Cyda z nawykniętymi panegiryczno-makaronicznej doby. Poeta »sztywny, drewniany«, obciążony balastem erudycyi a »zrywający się do lotu«, wyśpiewuje »w królewskiej kaplicy, na wielki piątek i wielką sobotę« — oratoria, układa — bez logiki i potrzeby — tragedye o pomście bożej nad zelźycielem Najśw. Sakramentu, albo »młodzieniaszka ze szkolnej ławy: św. Kazimierza« śrubuje za pomocą umyślnie w tym

celu przyrządzonej maszyny na wyżynę bohatera tragedyi, aby przy końcu razem z towarzyszącemi mu »personami« zaśpiewać godzinki o męce Pańskiej. W tragedyi o miłości dobra pospolitego p. t. Edward III. (z Gresseta) tłómaczy się Załuski dlaczego napełnia scenę krwawymi mordami, przeciwnymi gustowi »teraźniejszego delikatnie wypolerowanego wieku«. Idąc za przykładem samego »tregedyi francuskiej prawodawcy, Piotra Corneliusza«, stosuje zasadę: »nie zabijać aktorów na teatralnym placu« wyłącznie do takiego rodzaju zabójstwa, jak np. czyny Medei, podryzającej własnym dzieciom gardła, bo czyny te, jako przeciwne naturze, wywołują w widzach wstręt. Natomiast »śmierć złooczyńcy, jako sprawiedliwa za popełnione zbrodnie zapłata, sprawiać może widzowi tylko zadowolenie«.

Na usprawiedliwienie owych sztuk dramatycznych podać należy skromny cel, który sobie autor nakreślił.

»Pisałem te tragedye — powiada — bo sędzę, że sentymta heroiczne w nich wyrażone mogą młodź naszą szlachecką do dobroci, do przepuszczenia uraz, do amnestyi krzywd, do miłości ojczyzny, do przekładania interesu publicznego nad własne inklinacye i dobro prywatne, tudzież do wszelkich innych cnót teologicznych i politycznych niejako pobudzić i zachęcić«. To samo dążenie: niejednego panięcia młodego obyczaje dzikie ułagodzić, przyświeca i satyrom pi-sanym na wzór Juvenała i Boileau oraz epigramatom, naśladowanym z Martialisa.

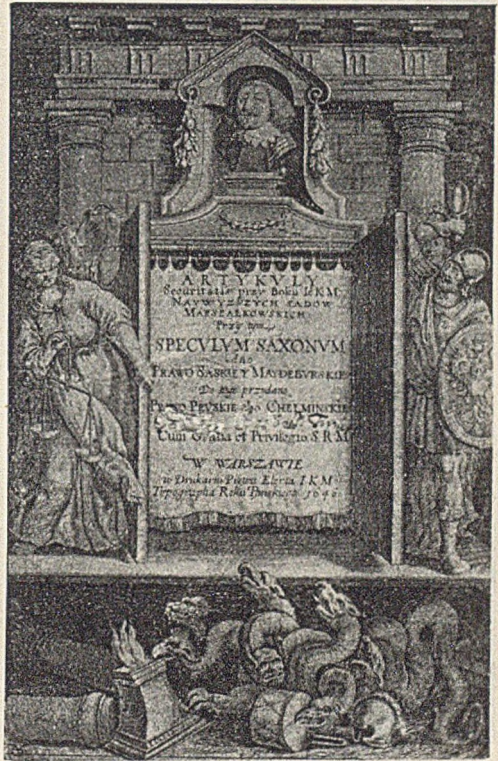


Nr. 35. Biblioteka Załuskich w Warszawie.

O wolnomyślności naszego opata, tłumacza Woltera, świadczą wycieczki i szyderstwa na osoby duchowne, na biskupa jadącego w karecie z »ładną curą«, na plebana trzymającego »nieprawą dziewczeczkę«, na zegar jezuicki — »odkręcony« na pijatykę wikarego z proboszczem, na głupotę niedzielnych osiołków, na chciwość i gnuśność duszpasterzy, na sztuczki faryzeuszów towarzystwa Jezusowego. Mimo to piali księża a nawet Jezuiści na cześć jego wiersze pochwalne. Nie przekraczał bowiem nasz biskup granic lekkiej ironii. W satyrach i epigramatach miewa szczęśliwe chwile. Oto np. dwuwiersz na dobroczyńcę fundatora:

a pieniądze płynęły statecznie. W krótkim czasie zebrano około 50.000 złp. za 700 egzemplarzy. W roku 1732 wyszedł tom I-szy Voluminów legum, t. II-gi w roku następnym i tak dalej. Załuski i jego dzielny pomocnik mogli z zadowoleniem spoglądać na wielkie dzieło, które zdawało się bliskie urzeczywistnienia. Niestety śmierć Załuskiego przerwała szlachetne usiłowania...»

Uczniem i naśladowcą Załuskiego jest ks. Józef Jabłonowski, jak on, mecenas, historyk, literat i poeta. Urodzony 1811 r. z rodziny, odznaczającej się aspiracjami literackimi, syn Aleksandra, chorążego koronnego, autora dzieła z dziedziny astronomii, zostawał w młodości swej pod wpływem dwóch mężów, którzy do odrodzenia narodu polskiego najwięcej się przyczynili, t. j. Załuskiego i Konarskiego. Pod wrażeniem odezwy tego pierwszego, ogłoszonej pod łacińskim tytułem Program literarium (Warszawa 1731), a wzywającej »wszystkich ludzi nauki, posiadaczy bibliotek i miłujących rzeczy ojczyste«, aby mu nadsyłał książki i rękopisy, odnoszące się do dziejów prawoznawstwa i oświaty w Polsce, zabrał się z całą gorliwością do zwiedzania bibliotek, skupowania dzieł i manuskryptów, z których począł robić wyciągi, ograniczając na razie poszukiwania swe do rodziny Jabłonowskich, w celu uzupełnienia podanych przez Niesieckiego wiadomości, w świeżo ogłoszonym wielkim Herbarzu polskim. Elekcyą brata ciotecznego Stanisława Leszczyńskiego, porwała go w r. 1733 na arenę polityczną, popierał sprawę elekta, będącego w ręku potężnej rodziny Potockich narzędziem politycznym, jako poseł sejmowy, po ustąpieniu zaś słabego króla, jako generał organizującej się armii, wreszcie po kapitulacji i schronieniu się Stanisława u króla pruskiego Fryderyka, jako poseł dyplomatyczny, mający wyjednać u króla Ludwika XV. pomoc dla zięcia. Tutaj zbliżył się do kapelana poselstwa Stanisława Konarskiego, z którym odbył dłuższą podróż zagranicę: po Francji, Holandji, Niemczech i Włoszech, zwiedzając zakłady naukowe i biblioteki, śledząc bacznie społeczny ruch literacki. Po ogłoszeniu na sejmie pacyfikacyjnym ogólnej amnestyi, wrócili Stanisławcy do Polski, a z nimi i nasz Jabłonowski, który razem z Załuskim i Konarskim rozpoczął pracę nad odrodzeniem umysłowym i moralnym kraju. Spokrewniony z najpierwszemi rodzinami w kraju i za granicą, w posiadaniu tytułów i odznak, dostających się w udziale tylko monarchom lub najznakomitszym osobom, skupiwszy w swoim ręku ogromne dobra ziemskie i intratne



Nr. 37. Artykuły securitatis sądów Warszawskich 1646.

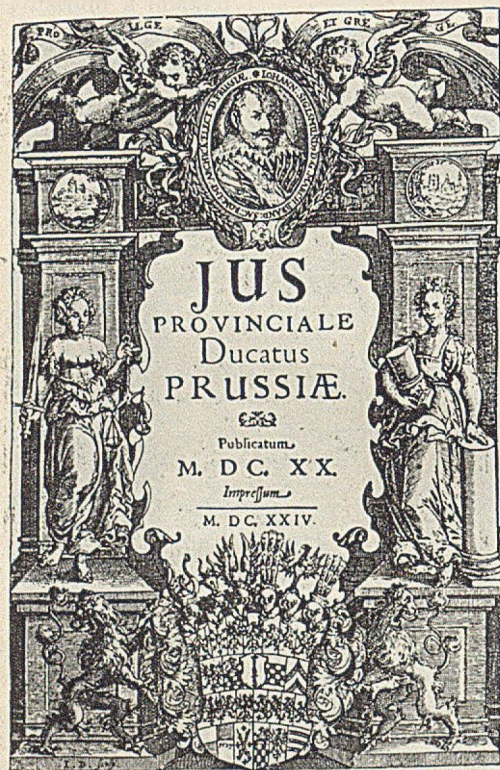
pruskiego Fryderyka, jako poseł dyplomatyczny, mający wyjednać u króla Ludwika XV. pomoc dla zięcia. Tutaj zbliżył się do kapelana poselstwa Stanisława Konarskiego, z którym odbył dłuższą podróż zagranicę: po Francji, Holandji, Niemczech i Włoszech, zwiedzając zakłady naukowe i biblioteki, śledząc bacznie społeczny ruch literacki. Po ogłoszeniu na sejmie pacyfikacyjnym ogólnej amnestyi, wrócili Stanisławcy do Polski, a z nimi i nasz Jabłonowski, który razem z Załuskim i Konarskim rozpoczął pracę nad odrodzeniem umysłowym i moralnym kraju. Spokrewniony z najpierwszemi rodzinami w kraju i za granicą, w posiadaniu tytułów i odznak, dostających się w udziale tylko monarchom lub najznakomitszym osobom, skupiwszy w swoim ręku ogromne dobra ziemskie i intratne

starostwa, składa książkę na ołtarzu oświaty najlepsze swe siły umysłowe, moralne i materialne. W rezydencji swej, w Lachowcu, urządzona na wzór istic królewski (trzymał nadworne wojsko), założył wspaniałą bibliotekę, której spis, ułożony przez bibliotekarza Witzlebens, wyszedł z druku w czterech sporych tomach p. t. *Catalogus Bibliothecae Jablonovianae*, Lipsk 1752—5.

Działalność swą literacką rozpoczął ks. Józef przekładem książki znakomitego na owe czasy pedagoga i historyka Karola Rollina, którego poznał bliżej za bytności swej z Konarskim w Paryżu. Dzieło uczonego profesora p. t. »*De la manière d'enseigner et d'étudier les belles lettres*«, stanowiące przełom w dziejach

wychowania, (Paryż 1732 do 1734 w 5 tomach), sprawiło wielkie wrażenie na naszym reformatorze wychowania w Polsce. Obszerne dzieje ludów starożytnych, napisane przez Rollina w latach 1733—8, w 13 tomach, streścił w języku polskim ks. Jabłonowski p. t. »*Dziejopis starożytny*«, Lublin 1744. Równocześnie tłómaczył »*Ustawy i zdania osobliwe o zepsuciu serca ludzkiego*« a uzupełniwszy je swymi dodatkami, ogłosił jeszcze 1741 r., dołączając w następnych wydaniach do tego psychologiczno-etycznego dzieła — genealogię książąt Wiśniowieckich. Ta chaotyczność, to rzucanie się na różne dziedziny wiedzy i sztuki znamionuje encyklopedyczną działalność księcia.

Pisał dzieła historyczne o Sarmatach (*L'empir*, 1742), o wojsku polskim i hetmanach (*Dodecas*, 1754), opisywał zamki i kościoły w Lachowcu (1751) i Podhorcach (1754), układał genealogię i heraldykę (*Tabulae Jablonovianae* 1748 i *Osada klejnotów rycerskich* 1751), mowy polityczne i przygodne (*De alternativa*



Nr. 38. Jus provinciale Prussiae 1620.

palatinatus posnaniensis cum pal. posnaniensi, 1746. In funere Annae Sanguszko 1747), tłómaczył »*Księgi niektóre pisma św.*«, przyswajał modlitwy (»*Na gody*« 1755) i życiorysy świętych (»*Ostep po polsku, Eustachius po łacinie, Placyd po świecku*« 1751), zbierał materyały literackie (tamże *Spis poetów polskich i oddzielnie Museum polonum* 1752), pracował nad mapą Rzeczypospolitej, (*Carte de la Pologne*, Londyn, 1770), ogłaszał dzieła obce, jak np. *Fredry (Viri consilii)* i *Russia Florida*, napisał *Trygonometrię* (1753) i *Astronomię* (1755). Nie dość tego, założył kwartalnik literacki, którego redakcyę powierzył niestrudzonemu Niemcowi Wawrzyńcowi Mitzlerowi. Jako serdeczny przyjaciel Józefa Żałuskiego, wyjednał mu posażne chleby duchowne, do probostwa kodeńskiego opactwo

w Wąchocku i Lotaryngii, przez co mógł ów zapalony biblioman odkładać rocznie kilkadziesiąt tysięcy złotych na zakupno dzieł i rękopisów do biblioteki narodowej. Łożył też książkę ze swych intratnych starostw (źmigrodzkie i zagońskie) tudzież z dóbr dziedziczonych po żonie na powiększenie tej biblioteki, dopomagając i moralnie referendarzowi do otwarcia w 1747 r. pierwszej publicznej biblioteki w Polsce. Wspierał Konarskiego i Dogiela w ich pracach społecznych i naukowych. Był członkiem kilku Towarzystw naukowych i akademii w Paryżu, Rzymie, Padwie i Bononii.

Czynił też starania u stolicy apostolskiej, aby wykreślić dzieło Kopernika z indeksu ksiąg zakazanych i zajął się wystawieniem mu pomnika w Toruniu.

Zasługi Józefa Jabłonowskiego na polu oświaty, umiejętności i sztuki, ceniła niesłychana próżność i pycha rodowa. Pomijam manię księcia drukowania niektórych dzieł w wytwornej szacie i w małej ilości egzemplarzy dla przyjaciół i znajomych, lub dedykowanie części egzemplarzy tego samego dzieła dwom wrogom sobie królom, Augustowi III i Leszczyńskiemu, ale niepodobna przemilczeć o pompie orderowej. Sześcioraki starosta, stolnik litewski, rotmistrz kawalerii narodowej, wojewoda nowogrodzki, kawaler orderów św. Huberta czyli rogu i komandor orderu św. Ducha i św. Michała, wdziawał na się płaszcz aksamitny z długim ogonem, suto złotem haftowany, kroju hiszpańskiego (kosztował 26000 lirów!) zarzucał na szyję ciężki złoty łańcuch, ważący 600 dukatów, na głowę wspinała mitrę książęcą, a pierś ozdobiwszy wszystkimi orderami, zasiadał na tronie na zamku Lachowieckim (na Wołyniu) i dawał posłuchanie swoim dzierżawcom, oficyalistom i dworzanom, a ci zbliżając się do

niego, musieli przykłękać. Po wysłuchaniu zażaleń skazywał przekraczających na różne umartwienia, z tych największą było karą, gdy zawyrokował, iż przez tyle a tyle dni, »nie będziesz waść godzien oglądać oblicza pańskiego«. Śmieszne te występy nie wykluczały ludzkiego obchodzenia się z poddanymi, których sąsiedzi jego niemiłosiernie uciskali. Dziwaactwa te zarówno jak względy rodzinne, a może i polityczne, oddaliły go od dworu Stanisława Augusta, wielkiego nauk i literatury mecenasa, a w końcu odstrychnęły od całego narodu. Sprzykrzywszy sobie samotne życie, przechodami wojsk zakłócone, rzucił kraj ojczysty i nabywszy dobra ziemskie w Saksonii, osiadł w Lipsku, gdzie założył towarzystwo naukowe,



Nr. 39. M. Zalasowski — Jus Regni Poloniae — Poznań 1700.

p. t. Jablonowskische Societät der Wissenschaften. Prace konkursowe, nagradzane przez wydział tego stowarzyszenia z fundacyi ofiarodawcy, wychodzą do dziś w języku niemieckim p. t.: Acta societatis Jablonovianae, z małemi przerwami od 1772 r. Niestrudzony na niwie naukowej pracownik, jakkolwiek oddalony od swoich, nie przestawał pisać i gromadzić materyałów. Rękopisy te zajmować mają 35 tomów. Niektóre ogłoszone zostały drukiem, o innych dowiaduję się tylko ze wzmianek biografów. Oto parę tytułów: O rozwoju literatury w Polsce. Dzien-



Nr. 40. Józef książę Jabłonowski.

nik podróży i oblężenia Gdańska. Zasady rozumowania w dyalogach wyłożone. Dwanaście mów Cicerona, jako wzór krasomówstwa.

Jabłonowski zmarł na obczyźnie, w zapomnieniu, 1777 r. Zostawił zaś na różnorodnych polach działalności naukowej ślady swej pracy. Był to umysł wielostronny, chociaż płytki: brakowało mu sił do zerwania z przeszłością, nie należał do torujących nowe ścieżki, ale kroczył statecznie po drodze wytkniętej przez Załuskiego i Konarskiego. Odznaczał się niezmordowaną ruchliwością i wytrwałością w zawodzie literackim, a co najważniejsza, gotów był zawsze »do niesienia szczodrej

pomocy wszystkiemu, co tchnęło szlachetną myślą i dobro społeczeństwa miało na celu.

Wielce do Załuskiego zbliżony nietylko osobistymi stosunkami i służbą duszpasterstwa, (książę biskup nazywa go »swoim kanonikiem«) ale rutyną i metodą pisarską, jest Józef Epifany Minasowicz. Jak jego biskup mierny, ale mniej rażący wierszopis, jak on pozbawiony talentu, tylko dalej posunięty w naśladowaniu francuszczyzny a tem samem bardziej oddalony od czasów skażenia smaku. Nie puszcza się (»skromny pomocnik« Załuskiego) na wzburzone morze oryginalnej twórczości, ale buja swobodnie po nieprzejrzanych niwach tłumaczenia zarówno klasyków rzymskich i greckich, jak humanistów, tak Petroniusza jak Petrarki. Przekładał wszystko, od bajek Ezopa i Fedra aż do zapoznanych sztuk francuskich Chapella, Pradona, Le Clerca. Mimo nie zawsze trafnego wyboru widać tu pewien postęp w technice twórczości: styl bardziej indywidualny, język czystszy i wiersz gładszy. Od niego jeden krok tylko do czasów Stanisława Augusta.



Nr. 41. Winieta barokowa z dzieła Szym. Starowolskiego
p. n. Hekatomtas (1627).



ROZDZIAŁ TRZECI.

W Y M O W A.



Wymowa tego okresu podzielała do niedawna losy swej siostrzycy — poczui. Potępiono w czambuł zarówno religijnej jak świeckiej wymowy dzieła, uważając je za odstraszący przykład zwyrodnienia smaku, skażenia języka i upadku myśli. Podpisano niesprawiedliwy wyrok.

Nie odrazu bowiem stoczyła się wymowa złotego wieku w przepaść, nie odrazu porzuciła ona ubity przez swą poprzedniczkę gościniec. Wzmożenie się ducha religijnego wpłynęło na rozrost wymowy religijnej, jak rozwój swobód politycznych na bujne świeckiego krasomowstwa rozkrzewienie. Zwłaszcza kaznodziejstwo tego wieku, aureolą świętości osłonięte, przechowywało długo tradycje lepszych czasów, kiedy świecka mownica ulegała już rozkładowi. Kaznodzieje ówczesni, lubo niedorównywali swoim poprzednikom pod względem sztuki i umiejętności, byli bardziej od nich obywatelami. W tamtych — z wyjątkiem chyba Skargi — górują cele religijne, etyczne, ci jako patryoci mają przedewszystkiem zadania społeczno-narodowe na oku.

Cechuje ich przedewszystkiem miłość kraju ojczystego i narodowości polskiej, co się nawet w formie ich kazań, w kolorycie lokalnym objawia. Dzieje powszechne i biblijne, postacie fantastyczne zarówno jak osoby świętych przedstawiali oni w świetle wyobrażeń szlacheckich, w duchu pojęć narodowych. »Królestwo Boże urządzone jest na wzór Rzeczypospolitej. — Bóg Ojciec jest prymasem nieba, który nowego króla ziemi Chrystusa — niby na elekcyi — publikował«. Ludwik Dziębiński dowodził w kazaniu pogrzebowem, że pole herbowe Radomickich jest polem elekcyi, na którym zmarły wystąpił jako kandydat do korony niebieskiej. Tam różne sejmujących głosy przywodzi, zaprzysięga *pacta conventa*, a w końcu stany przyznawszy kandydatowi królestwo niebieskie śpiewają uroczyscie *Te Deum*.

Na widok nierządu, którym się chełpiono, że utrzymuje ojczyznę, wobec zepsucia moralnego, szerzącego się z góry, odzywały się prorocze głosy zapowiadające »przyszłość gorzką jak piołun, ostrą i przenikającą jak miecz obosieczny«. Tak się wyraził Floryan Kazimierz Czartoryski, biskup kujawski, zwany pojednawcą. W smutnym nad niedolą narodu uzaleniu wołał on do sejmujących: »Nie chcieliśmy radzić o Rzeczypospolitej, pókiśmy mogli, nie będziemy mogli, gdy zechcemy«.

Kaznodziejowie mieli odwagę karcić wady narodowe: »nierząd i brak karności, swary i najazdy, zbytek i niewieściąłość«, szlachcie »upojonej próżnością, swawolnej i bezkarnej« wyrzucać chciwość, sobkostwo i różnorodne nadużycia.

Celniejsi tego wieku kaznodzieje znali zło nurtujące w społeczeństwie, ale świadomi porywczosci i dumy szlacheckiej zwykli nieco osłaniać »prawdę blichтром dworactwa lub pozornej przykrasy«, aby w postaci alegoryi albo dowcipnej fraszki wyrażać uszczypliwe docinki i dojmujące prawdy. Taki Tomasz Młodzianowski umiał przemówić nie tylko do serca ale i do sumienia szlachty. Na pogrzebie kasztelana bieckiego »ukazawszy błyszczące godła rodu i klejnoty szlactwa, strąca naraz z owej apoteozy wszystkie te urojone zaszczyty, tłocząc je własnym ciężarem do grobu«. Stwórca »waszymi Toporami — powiada — was podcina, waszymi Nałęczami, jako na gardło skazanym, oczy wam zawiązuje — pod waszymi Radwanami, jako pod chorągwiami, pułki chorób na was zawodzi, waszymi Kluczami groby wam otwiera«. Przeciw prywacie, objawiającej się w postaci ekscypcyj, libertacyi, ochronnych listów i tym podobnych przywilejów, na szkodę dobra powszechnego, opowiada ks. Kierśnicki, w kazaniu p. n. Klucze do skarbu serdecznego, następującą powiastkę: »Żartowały w gęstym boru drzewa, gdy się ogień w bylu i chwaście zajął. »Dobrze tak, cóż nam po tym motłochu!« Pomknął się płomień do chróstu i krzewiny. I to fraszki: »Dosyć mamy tego drobiazgu«. Wpadła skra między sośnie i jodły — »Mniejsza o to, nazbyt też tłuste i otyłe«. Ogarnął tandem srogi pożar dęby, topole, jesiony — żadnemu nie folgował. Dopiero źle, obrócił się żart w lament, dumna wyniosłość poszła w popiół. Gaz na Polskę! »Nic to, bo w Litwie cicho«. Piszczą w uciskach ruskie kraje. »Nic to, bo dalekie«. Dezolacya w bliskich ziemiach, miasteczkach, wioskach. »Jeszcze nic, bo nie u nas w domu«. Ej, nie tak, nie tak! W jednej prowincyi niepokój, już ci nie cała Polska spokojna. W jednej ziemi utrapienie, nie wszystkie szczęśliwe. Jedna rodzina, jeden dom obalony, już ci przez wszystkie pika«.

Ks. Jakób Olszewski, Jezuita, podkanclerzy akademii wileńskiej, w kazaniu na szczęśliwą elekcyę Władysława IV. przyrównywając Królestwo Polskie do owego cudownego orła, który miał skrzydeł dwanaście i trzy głowy, powiada: »Mamy dostatek skrzydeł, któremi latamy — sławę, wolność, majątki itp. Mamy trzy głowy na każdym sejmie: królewską, senatorską, w posłach szlachecką, a ta największa, bo z wielu powiatowych rozumów złożona. Ale więcej często na orła naszego obce wiatry, cudzoziemskie duchy, fakcye i praktyki, przetoż piórka w deliberacyach w przeciwne się strony często obracają, co żalosa, a to opłakania godna, że nie zawsze z rozumu, ale z pośrodku ciała tj. z brzucha, z dobrej uczy wychodzi«.

W kazaniu mianem na uroczysty obchód zwycięstwa wojska polskiego pod Smoleńskiem nie omieszka wypowiedzieć szlachcie niemłą prawdę o desorganizacyi: »Oto jedni, którzy w zaciągu są, pieniądze na służbę biorą i udawają, że do obozu idą, a tymczasem prostego gościńca nie pilnują, ale krzywemi drogami te i owe

dobra już szlacheckie już duchowne nawiedzają... Drudzy, którzy do obozu przybyli, wszakże pilniej cymbałów niżli trąb wojennych słuchają, na kosztach, na kartach godziny dobre trawią... Trzeci, którzy już i wygraną jaką odnieśli, wszakże końca wojny nie czekając, zwycięzcami się nazwawszy do domów się wracają«.

Praktyki administracyi i korupcyę sędziów piętnuje Jędrzej Kochanowski, znany pod imieniem Aleksandra a Jesu, temi oto słowy:

»Nie jednemu u sądu dać trzeba. Trzeba kancelarystom za pracę, woźnemu za relacyę, trzeba sędziemu i pani sędzinie, bo przez nie u sądów wskórasz. Trzeba tym wszystkim siła, ale i jurystom niemniej. Kiedy mi się przy sądach trafiło być widząc, kiedy jurystowie jaką sprawę agitują, ten ją tak, ten owak ciągnie, ten ją broni, drugi ją impagnuje. Zdało mi się że oni właśnie tak czynią jako owi co chusty wyżymają: ten na jedną, a tamten na drugą stronę chustkę kręci. Spytacie ich na co to czynią: chcą wodę wyżyć. Kręcą jurystowie i tak i owak sprawą, a któraby się za jeden termin skończyć miała, oni ją delacyami i apelacyami zwłóczą, żeby z cudzych mieszków pieniądze wyżeli. Ubogi, który i jednego worka nie ma, wskórać i wygrać darmo się spodziewa«.

Karcą też kaznodzieje ówczesni bracią szlachtę za ucisk poddanych. »W Polsce — powiada ks. Olszewski — chłop własny osieł. Pełni się w nim ona trafna powiastka: jeśli kogo niedźwiadek ukąsi, a on do ucha osłowi poszepce, to wolen sam od bólu zostawa, a na osła niemoc przechodzi. Tu się prawdziwie u nas iście. Kiedy na pany dokuka od poborów, nakładów na Rzeczpospolitę, prac, ciężarów, tedy oni to poddanym do ucha poszepczą: Chłopie, trzeba pobór dać, trzeba stacyę żołnierzowi składać, trzeba ją podwodami za nimi wieść. I tak panowie od bólu wolni, a chlōpi boleją«.

O krzywdach, jakie lud cierpiał od zaciągów, o zdzierstwach włościan dla wygody konwoju, słowem o spustoszeniach wojsk znajdziesz liczne u kaznodziei społecznych zażalenia. »Ubogi chlōpek — powiada Młodzianowski — jako drugiego sądneho dnia tak się przyjazdu żołnierza boi. Żołnierz bardziej złupi niżeli nieprzyjaciel zagraniczny. Gdyby Pan Bóg wszystkie łyzy ludzi ubogich po Polsce dla uciemiężenia i niesprawiedliwości wylane w kupę zebrał, mógłby człowiek w nich utonąć. Miła Ukraino, czemuś utonęła? Łzami ubogich«.

»Patrzcie jeno — woła karmelita Kochanowski — czem skarbcne naładowane wozy, jak tam wiele weszło z ubogich skierkiem i płaczem, jak panowie męstwo swoje nad ubogimi pokazują chlōpkami, do komor ich jak do fortec szturmują«. — »Nie dziwujcie więc, że teraz przed chlōpstwem (tj. kozakami) oprzeć się nie możecie — prawi tenże na innem miejscu — darliście chlōpów, chlōpi też wam żywot wydzierają. Oni nie mogli się ostać przed wami w chałupie, wy się przed nimi ostać nie możecie w obozie. Wyście im rzeczy po komorach rabowali, a oni je wam z waszych odbierają skarbnych wozów. Wyście ich kurki i bydło w ciągnieniu płaszali, a oni wam teraz w potrzebie płaszają«. Pod ostoną facecyj, krotochwil, anegdót — świadczących o ciemnocie kaznodziei — znajdziesz niejedną trafną myśl, z życia pochwyconą, niejedno ziarnko prawdy wytykającej ucisk i niewolę poddaństwa. Nastając na nadużycia pańszczyzny, prawi jeden z kaznodziei: »Szlachta wyłómaczyła sobie dominikę (niedzielę) z łacińskiego: dzień pański (dominus = pan). A więc pójdź, chlōpie, w niedzielę na targ, do lasu, do młyńa, bo to dzień pańszczyzny, dzień pański« itp.

Ulegając powszechnemu zepsuciu, upadała stopniowo i wymowa religijna. Po Skardze zdobywa się ona z początku tego wieku na Birkowskiego, a później je-

szcze na Młodzianowskiego, ale dochodzi w pierwszej połowie 18-go stulecia do ostatecznego poniżenia. Czyste źródła natchnienia, z uczucia miłości bliźnich płynące, zastępowano subtelnosciami dyalektyki, brak prawdziwego uczucia osłaniała zbieranina najdziwaczniejszych cytatów. Wyrwane z całości zdania lub wyrazy służyły za temat do najróżnorodniejszych kazań, odbiegających od rzeczy lub niewłaściwie przystosowywanych. Jeden z kaznodziei sławiąc na mównicy św. Tomasza jako szczęśliwego marnotrawcę, temi słowy wyprowadza jego tytuły: »Scholastycy mają tytuły swoje od wysokich mądrości swej przymiotów. Ja zaś na honor Tomasza mego tak rozumiem, jak o atrybucyach boskich uczą teologowie. Ojcu przypisują *potentiam* (moc) choć i Syn wszechmocny, Synowi sapientiam (mądrość), choć i Ojciec nie głupi; Duchowi świętemu bonitatem (dobroć) choć i Ojciec i Syn nie tyrani itp.

Kadzidła dymu, unoszące w chmurach pochwał przeróżne miernoty świeckie, paliły się także na ołtarzach świętych i błogosławionych, wynosiły pod niebiosa patronów i dobrodziejów kościoła, zlewając na nich splendory jasności. »Często niechrześcijańskie, nieludzkie czyny — powiada niepodejrzany świadek — znajdowały na mównicy kościelnej swych wielbicieli«. W kazaniach przeznaczonych dla inteligencji wysadzali się księża na szumne »eksorbitancje« korzeniami erudycji szkolnej zaprawiane. Kaząc w tonie, do pobożnej rozmowy zbliżonym, spadano nieraz do poziomu trywialności. Oto parę przykładów.

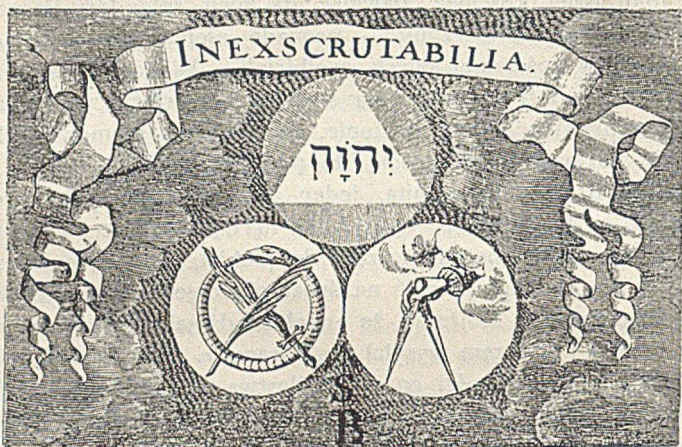
Tomasz Młodzianowski, Jezuita, jeden z najwybitniejszych tego wieku kaznodziei, powiada o Chrystusie, że »nigdzie miejsca nie zagrzeje, z nieba bowiem zstąpił na ziemię, potem poszedł do piekieł, skąd powróciwszy do nieba wstąpił i znowu się stamtąd przyjść na świat obiecuje«. W Kokoszy na kolendę powiada ks. Mijakowski o Mojżeszu, że »miał snadź jakiś pypeć na języku, kiedy go Pan Bóg posłem i oratorem wysyłał do Faraona«. Inny kaznodzieja społeczny podnosi następujące wątpliwości co do Królestwa niebieskiego: »Jeśli nas czeka niebieska korona, a jakże wszyscy królować będziemy, kiedy między nami dwóch królów nawet zgodzić się nie może?« — Inny jego towarzysz powiada w kazaniu o św. Tomaszu, że był »świnopasem«. »A to — dodaje — jako Tomaszowi memu służy! Ach mój Boże, czy jedna głupia świnia w szkole św. Tomasza — lubo bestyi przystojniej pyskiem w błocie, niż w perłach mądrości anielskiej gmerać«. Błogosławiony Jan Kanty jest »kapitalistą w ekonomii niebieskiej« itp.

Najbardziej rażą różne bajeczki, anegdoty, dowcipy — lub jak je nazywano — »koncepty« wplatanie do kazań dla ożywienia i rozweselenia słuchaczy. Już synod z 1589 r. przestrzegał »w mówieniu kazań baśni niedorzecznych, fraszek dowcipnych i żarcików — przystoi bowiem, aby na kazaniach słyszeć się dały raczej westchnienia i płacze aniżeli śmiechy i wesołe szeptki«. Ponowił ten zakaz synod z 1738 r. Nawet taki kaznodzieja jak Birkowski, zniewolony był dla przynęty słuchaczy »pogańskimi« fraszkami, a tu i ówdzie jakimś lekkim, płochym konceptem »przysmaczyć«. Starowolski gromił ten zwyczaj szeroko na kazalnicy roz wielmożniony. »Biada wam kaznodzieje — wołał — którzy miasto nauki pisma św., nowe fabuły wymyślacie«, a Opaliński dodaje:

Teraz miasto nauk
Duchownych, powiadają bajki jakieś albo
Historyc żartowne i nie wiem co tylko
Błaznują czyli każą, trudno i rozeznąć.

Ot tylko uszy bawią, a gdy na kazanie
Przyjdziesz, staniec za jedną szczerą krotoflę.

Prostodusznym słuchaczom imponowały podówczas owe niezwykle, najbardziej wyszukane figliki oratorskie. Andrzej Kochanowski powiada wręcz: »Wolno każdemu według upodobania conceptować — ja powiem co mi na myśl przyjdzie«. Prawią więc nasi kaznodzieje różne bzurdstwa lub najnieprawdopodobniejsze fabuły z pisarzy starożytnych i średniowiecznych zaczerpnięte. Zdarza się jednak że tu i owdzie wymknie się kaznodziei żart świadczący, że nie zanikł u kapłanów zmysł krytyczny nawet wobec pisma św. Oto Lorencowicz, Jezuita, szydzi z bajeczki o Saulu i Dawidzie, »że jeden z nich poraził tysiąc Filistynów, a drugi dziesięć tysięcy, choć w rzeczy samej Dawid jednego tylko zabił, a Saul żadnego«.



MOGUNTIAE ET DANTISCI

Apud *SIMONES BECKENSTEINIOS.*

130 *****

Anno M DC LXXXII.

Nr. 43. T. Młodzianowski. — Praelectiones philosophiae 1682.

Bujna, niczem nie krępowana fantazyja kaznodziei, tworzyła śmiało przenośnie, obrazy, potrząsające nowości kwiatem — popadała jednak częściej w retorykę i bombast. Wśród tego wypaczenia mowy spotykasz jednak tu i owdzie trzeźwiej patrzących kaznodziei, którzy nastawali na tę wadę, lubo się z niej sami otrząść nie byli w stanie. »Niech się kaznodzieje chronią zalotnej słów przykrasy — nawoływał synod gnieźnieński — niech unikają uwłaczających powadze kapłańskiej piększydeł«. Widocznie nie skutkowały przestrogi, skoro Starowolski skarży się w swej »Arce testamentu« na tę wadliwość: »Słowo boże, ubrane w bajki poetyckie, w ozdobne słówka retoryckie, w dyskursy starych filozofów i przypowiastki żydowskich rabinów jak w terepele jakie albo kryzy niemieckie, słuchaczom ukazujemy«.

Jedną z głównych znamion zepsutego smaku wymowy kaznodziejskiej jest naciąganie porównań bądź z pisma św. bądź z pisarzy starożytnych. Kaznodzieja

mający np. przemawiać nad grobem szlachcica, wyjmował z pisma św. jakiś zwrot, do którego naciągał sztucznie całe kazanie, od herbu począwszy. Tak np. ks. Jezuita Bembus nawiązuje swą mowę, wypowiedzianą nad zwłokami biskupa Opańskiego, do słów pisma św.: Dni moje przeminęły jako łódzic jabłka niosące, poczem na temat łodzi herbu zmarłego snuje najdziwniejsze warianty. Ksiądz Lorencowicz w kazaniu na pogrzebie jakiejś senatorskiej matrony, biorąc asumpt z herbu, wynosi jej »owcze« przymioty, pracowitość, uległość i wierność. W tę herbomanie uderza Potocki fraszką »Białe konie«:

Grzebiąc szlachcica, co się białym koniem
Pieczętował, siła ksiądz dyszkurował o niem,
Siła cnót, siła białej przypisywał sierci,
Przymiotów i t. p.

Już ks. Jezuita Wujek prawił w kazaniu na św. Szczepana o »kokoszy gromadzącej pisklęta pod skrzydła, rozbierał szeroko jej właściwości, jak się broni przeciw kani, jak szuka pokarmu, jak gdacze« itp. Ks. Birkowski przyrównywa wprost św. Szczepana do koguta pojedynkującego się z węzami, kaniami i t. p. A ks. Mijakowski wygłasza już całe kazanie wyłącznie o różnych gatunkach kokoszy.

Najjaskrawiej występującą wadą wymowy kaznodziejskiej, jak wogóle ówczesnej prozy jest mieszanie do mowy polskiej wyrazów i zwrotów łacińskich. Wywodzi się ten zwyczaj z chęci popisywania się łaciną, której uczono się od dzieciństwa a używano w życiu publicznem. U kaznodziei, posługujących się piśmem św., należało to haftowanie łacińskimi krzyżkami do dobrego smaku. Na pochwałę jednak takich kaznodziei jak Birkowski, a nawet pomniejszych jak Lorencowicz lub Gołębiowski, podnieść należy, że używali przeważnie łacińskich zdań jako cytatów, rzadko jeno przeplatali mowę ojczystą łacińskimi frazesami. Dopiero w epoce saskiej zakorzeniły się t. z. makaronizmy i przetrwały na kazalnicy aż do czasów Stanisława Augusta. Wszakże »dłużej kaznodzieje protestanci niżli katolicy — przyznaje to gorliwy kościoła rzymskiego obrońca — utrzymali czystość smaku i języka«. Jako przykład przytoczyć można kazania Samuela Dąbrowskiego, pastora wileńskiego. Ewangelicy bowiem wcześniej odsunięci od władzy i rządu, nie mieszając się w sprawy polityczne, przepłynęli szczęśliwie scylę makaronizmów i charybdę pochlebstwa.

Z zakonów, nadmiernie w tym okresie rozmnożonych, wybili się na czoło kaznodziejstwa Jezuita i Dominikanie.

Zakon św. Dominika słynął już w zeszłym wieku ze swej kaznodziejskiej działalności. Wymowa Łukasza Lwowczyka, ksiądcem kaznodziejów zwanego, podbijała tłumy proroczą przepowiednią upadku Rzeczypospolitej, strachem i bojaźnią napełniała serca słuchaczy, »drżących jako na jawnym sądzie Bożym«. Kazania współczesnego mu prowincyała Dominikanów polskich Melchiora z Mościsk, męża nietylko usty ale i życiem surowego, porywały wiernych cudowną siłą namaszczenia. Palcem nam ukazał ziemię otworzoną na nas — mawiał o nim wielki retor Orzechowski — i napełnił takim strachem, jakoby już nas wnet ziemia żywo pożreć miała... Towarzysze jego bohaterską uzbrojeni stałością, szli w śmiertelne zapasy z kaznodziejami innowierców, ścigając ich i nekając kazaniem. Pamięć wielkich kaznodziei zakonu św. Dominika i tradycję złotego wieku wymowy w Polsce wznowił Dominikanin Birkowski, dzierżący po Skardze berło wymowy w Polsce.

Największy w tym okresie kaznodzieja polski pochodził ze stanu mieszczańskiego; jeden z braci jego był jeszcze bednarzem we Lwowie. Młody Fabian po ukończeniu nauk w akademii Jagiellońskiej, spełniał tu przez lat siedm obowiązki nauczyciela na wydziale sztuk wyzwolonych i prefekta bursy dla biednych uczniów. Ówczesna wszechnica krakowska spadała była do rzędu szkół średnich, uczyli się w niej i nauczali przeważnie ludzie »niskiego« pochodzenia. Dla mieszczanina zamykano już w owym czasie nawet bramy kariery duchownej. Podanie niesie, że starania Birkowskiego o kanonię spotkały się u góry z odmową. Porzucił więc drogę, po której jedynie mógł się jeszcze dobić wyższego stanowiska i w późnym wieku, bo w 30-tym roku życia, przywdziewszy habit zakonny, poświęcił się pracy kaznodziejskiej. Przez lat czternaście pełnił urząd kaznodziei w kościele św. Trójcy w Krakowie, a po przeniesieniu stolicy kraju, osiedlił się w Warszawie i kazywał tam w drewnianym kościółku Dominikanów. W owym czasie schodził już z pola nieśmiertelny twórca »Kazań sejmowych«, Zygmunt III. powołał więc Birkowskiego na dwór królewski, przydzielwszy go do boku syna Władysława. Na tem stanowisku, jako domowy teolog i kaznodzieja, towarzysząc królewiczowi przez lat dwadzieścia z okładem i dzieląc z nim trudy wojenne, występuje na szerokie pole działalności społecznej i narodowej — zostaje pierwszym w Polsce kaznodzieją obozowym. »W wołoskich i zadnieprowych wyprawach tułał się z taborami wojennymi, tam wśród pomorów, tu wśród mrozów i głodu, cierpiąc nędzę, kalectwa i rany odmrożenia. W chwilach stanowczych i niebezpiecznych zagrzewał wymową swoją odwagę rycerstwa. — Gdzie wrzała największa walka, tam się uwijał w białym habicie, podnosił i opatrywał rannych, a gdy zewsząd śmierć nań czyhała, umierającym spieszył z ostatniem pocieszeniem«.

Po wstąpieniu na tron Władysława, pełnił urząd kaznodziei nadwornego. Za Zygmunta wyręczając starzejącego się już Skargę, którego jako mistrza, wysoce poważał, jak on, na dwa lata przed śmiercią opuścił dwór królewski. »Nie obdarzony żadną godnością duchowną, żadnem próżności i blasku świata nie zhołdowany mamidłem, wrócił do klasztornego zacisza« i w Krakowie, gdzie zawód kaznodziejski rozpoczął, w kościele Maryackim pracował do zgonu († 1636 roku).

Na obliczu tej wielkiej postaci kapłana-żołnierza — odbija się duch narodu rycerski, przeznaczony na wiekową z barbarzyństwem walkę w obronie chrześcijaństwa. Kiedy najeźdźcy szwedzcy, tatarscy i tureccy »deptali bezkarnie po gruzach wywróconych ołtarzy«, kiedy »włości i miasta gorzały w płomieniach, a tysiące brańców zapędzono w łyka niewoli«, miał kaznodzieja obowiązek podnosić »ducha szlachetnej odwagi i poświęcenia«. Przejął się tem zadaniem Birkowski i z całą surowością swego zakonu niósł między rycerzy gorejącą pochodnię słowa Bożego. Kto kiedy widział — wołał z kazalnicy — aby trąb strasznych do tanców używano? Na wojnę trąbą zwoływają, do boju krwawego pobudzają — takie są słowa kaznodziejskie«. Takie były kazania Birkowskiego. Chowany w obozach »świadek i uczestnik tylu wypraw wojennych, przejął się był całym duchem rycerskim, który wymowie jego pożyczal swej męskiej siły, surowości, hartu — śmiałego, bojowego języka«.

»Słowa kaznodziei — powiada w kazaniu na dzień św. Jacka — są, jako gwoździe głęboko wbite, jako ościenie, które wołów pobudzają i pędzą, aby pługiem bruzdy rznęły. Kaznodzieje są trąbami, niechaj jako trąby wynoszą głos swój. Trąba w sobie nie ma nic pieszczonego, straszliwie brzmi na trwozę — uszom melodyi wdzięcznej nie doda, nie umie gorgów ani kadencyi wyprawiać,

ale mury hierykuckie wali, wojska rozbija, hufce łamie, cuda wielkie na wojnach w ludzie robi. Takie są gardła kaznodziejskie i takie mają być«. Taki piorunny głos, kruszący kamienne serca w stal zakutych rycerzy, miał Birkowski. Wymowa jego, ustawicznie grzmiąca o sędzie Pańskim, łamała hardych, wstrząsała leniwych, kołąc, nie głaszcząc uszy słuchaczy swym żarliwym, zapędnym językiem.

Z ust naszego kaznodziei buchał święty ogień, a słowa jego gorzały, niby pochodnia. »Uderzając gwałtownymi wybuchami zapału, porywał słuchaczy, unosił — i niby wezbrany potok w rozhukanym pędzie miotał kamienie i kłody«. Przemówienia jego »po żołniersku szorstkie, po zakonnemu żarliwe, mają język bitny, wojowniczy — słychać w nich, zda się, szczęk oręża«. W rękę kapłana i żołnierza, misyonarza i patrioty, błyszczy obok krzyża i miecz obosieczny. Porwany zapałem, rozpalony ogniem wojennego animuszu, popada z braku hamulca w gwałtowność i rubasność, ale to wymowie jego, burzącej się, niby szampańskie, dodaje siły i dramatyczności. Umie on wżyć się w potrzeby i pragnienia żołnierza polskiego, umie »na polach wojennych zebrane kwiaty cnót« podać w odpowiedniej oprawie. »Co chwila wybiegają mu na usta porównania z życia żołnierskiego wzięte, prawi więc o żołnierskich dziełach Chrystusa, o obowiązkach rycerza Chrystusowego, co się zapisał pod chorągiew krzyża«. »Powinniśmy — woła do słuchaczy — mieczem duchownym wszelaką jazdę grzechów pokaleczyć i wozy powinniśmy popalić, to jest wszelkiego ducha hardość od siebie odciąć«.

Do starszyny wojskowej mówił śmiało, wyrzucając jej nadużycia, jak: pijaństwo, zdzierstwa, chciwość i poswarki. Oni — powiada o żołnierzach — którzy przeciwko nieprzyjaciółom krzyża mieli sił swoich dobywać, teraz się kufłami i sklenicami biją. Bawią się próżnowaniem i jako wyrodkowie żywot nieprzystojnie w nieczystościach trawią, lżąc imię i stan swój rycerski. Ci pochwalają w pokoju plany, na wojnie ucieczki, przy winie zwycięstwa — jako lwi po ratuszach i dworach, w bitwach zajęczkowie. Rządy żołnierskie teraz: żadnych rządów nie chować, albowiem kto teraz ma gębę wszeteczną, plugawych słów pełną, którzy męstwa swego używają na kradzież, na pijaństwo, na gwałty panienek, ubogich, na pobieranie bydeł, stad sąsiedzkich, którzy ubogich mieszczan za brody targają, ubogich poddanych tłuką i zabijają, ci tymi czasy w rocie żołnierskiej i mężniejszymi i sławniejszymi są poczytani. Odzierce swoich, sami staniemy się potem nieprzyjaciół łupem«...

Dla niedoli i ucisku ludu ma Birkowski żywe uczucie. Patrząc, jak z każdym rokiem zaciskano obrożę na szyi do ziemi przykutych niewolników, jak opadały wszelkie ograniczenia gwałtów pańskich, mówi w kazaniu na dzień św. Klimunta męczennika: »Naród ten (t. j. lud) prawie od urodzenia swego na śmierć jest oddany, na robotę ciężką, twardą, aby chodził około tej ziemi, od Boga przeklętej«.

Z gwałtownością żołnierza piętnuje szlachtę »odrzychłopskich«, co »jednym powrozem niewolej skrępowani«, drugi nakładali na swoich niewolników. »Nie panowie, ale tyrani tak czynią, jako wy czynicie nad poddanymi swymi. Mówią ci okrutnicy: mój to poddany, wolno mi uczynić z nim, co chcę. Ależ chłop ten bratem twoim jest, o którego spytają cię swego czasu: Kędy jest Abel, brat twój, głos krwi jego woła do mnie o pomstę na cię«.

Szlachta nietylko skrępowwała wolność ludu, ona mu zabierała cały jego dobytek. »Nie czynicie sprawiedliwości z poddanymi waszymi — powiada do pa-

nów — owszem czynicie im wielkie krzywdy, łupiąc ich ledwie nie ze skóry, rozbijając ich z majątnostek tak, jako Tatarowie, tak jako rozbójnicy«. »Widzicie te pany odrzychłopskie, jako poddane swoje miłują! Co złodziej w komorze cudzej, to pan drugi we wsi będzie: wszystko pobierze, połapi i duszęby z chłopą wydarł, kiedyby jak. Mówią: na mojem siedzi, moje to wszystko, co ten chłop ma. Na twojem siedzi, ale zbiór nie twój i rola nie twoja, ale jemu oddana. Tyś mu winien obronę, a on tobie robotę; po co do kalety i do obory i do komory jego sięgasz«.

Birkowski gromi też panów za wydanie chłopów w ręce żydowskie. »Czyż to braterstwo — woła w kazaniu na niedzielę zapustną — żydom braci waszych sprzedawać, myta i pobory zastawiać? Możecież patrzeć, gdy żyd szydersko towary ubogiego chłopka bantuje? Możecież patrzeć na zbiory, które, poszarpawszy ubóstwo, niosą do was ci jastrzębowie?«. Wielki nasz kaznodzieja czyni za to odpowiedzialnymi panów, których żydowską chciwość i zdzierstwa piętnuje. A czyni to z bolem serca, bo kocha swój naród i radby go widzieć na wyżynie słonecznej. Czuć w kapłanie Polaka, w »piersiach gore mu płomień miłości ojczyzny«.

Pokutuje w nim dusza szlachecka, dumna z wielkości swego narodu. Przemawia więc do swojej braci, jak do królów, bo »piszą się i mianują co słowo synami koronnymi, a są animuszów pańskich, lubo to nie poszli ze krwi królewskiej, ale przecie przy nich jest berło i korona«.

Ten duch narodowy, z szlachecka nastrojony, przenika jego całą działalność kaznodziejską, owiewa wszystkie przykłady czerpane z dziejów biblijnych i starożytnych. Zwyczajem wieku napina nawet obce zupełnie stosunki i pojęcia na modłę tradycyji i obyczajów polskich. W kazaniach Birkowskiego wygląda Chrystus jak »wojewoda lub starosta niebieski«. Kościół jest »rzeczpospolitą duchowną«, pobożni chrześcijanie, to »szlachta do herbu Chrystusowego dopuszczona«, zbawienie, to »indygenat do korony niebieskiej«, święci w niebie, to »senatorowie«, szatan — »instygatorem«, śmierć — »marszałkiem dworu«, sąd ostateczny — »sejm walny na dolinie Józefata«. Poczucie to narodowości nieco wybujałe, ale zdrowe, świadczy o rozbudzonem życiu narodowem ówczesnych kaznodziei. Jak płomień ogarnia ono zrazu rozległe widnokreśli, aby kiedyś ścieśnić się i pogłębić. To uczucie przebija się też z żałobnych kart kazań pogrzebowych Birkowskiego. Co było wielkiego w Rzeczypospolitej polskiej, opromienionej zorzą zachodzącej sławy, to dostało mu się w udziale grzebać i opłakiwać. Żegnał więc największego kaznodzieję polskiego: Skargę, najdzielniejszego wodza: Chodkiewicza i najslawniejszego męża stanu: Zamojskiego. Żywy świadek ich tryumfów, nie potrzebował się silić na zwykłe panegirystom pochlebstwa, ale dźwiękiem prawdy kuł ich pomniki z marmuru na chwałę narodu i sztuki krasmówczej. A to nietylko wielki hetmanów i senatorów grabarz, ale i tych tysięcy walecznych synów ojczyzny, świecących męstwem, niby jasne gwiazdy na chmurnem widnokreśli. Z tych mów pogrzebowych na cześć poległych wieje żałoba kurhanów, niby słupy graniczne sterczących na kresach Rzeczypospolitej. »W jego mowie — wyrażając się słowami naszego znawcy Fabiana — zlewają się łzy tych tysięcy matek, skargi tych żon i dzieci, których najdrożsi padali gęsto na polach bitew. Zebrał on wszystkie jęki i narzekania owych rycerzy, co marli na polach, na wałach obozów, zdala od swoich, a korowody kruków, unoszących się nad głową, bywały ich jedynem żałobnem requiem«.

Rozległa wiedza Birkowskiego wylewa się w licznych przykładach i cyta-

tach z dziejów kościelnych i powszechnych, nie zawsze trafnie przystosowanych i czasem mocno trącających scholastyką. Ulegając współczesnemu smakowi, sadi się przytem na dziwaczne opowieści i płaskie dowcipy, rzecz najprostsza stroi w koncepty, dwuznaczniki, paradoksy, mające zaostrzyć apetyt słuchaczy. Samowola i anarchia społeczna wycisnęły i na fizyonomii naszego wielkiego kaznodziei swoje piętno. Nie krępowany powagą klasyków, oddawał wszystko z całą swobodą ruchów, z tą nierównością, która unosi go na szczyty, to znów rzuca w przepaść. Fantazya jego bujna, tryskająca życiem, zapalna — wpada często w napuszystość i przesadę. Język nie wolny od makaronizmów, ale daleki od przeplatania mowy polskiej słowami łacińskimi, co weszło dopiero nieco później w zwyczaj, »zrywał krępujące go powijaki łacińskie i brzmiał całą gamą swojskich tonów«, posiadał elastyczność i blask, ale i ostrze stali, nieraz jednak spadał aż do trywialności i prostactwa. Z kazalnicy szafuje takimi przezwiskami, jak bestya, małpa, szkapa, a o jednym powiada, że »sprośną śmiercią zdechł, jak świnia od błota — na wszawą chorobę«.

Wiadomości, jakie z nauk przyrodniczych wyniósł, świadczą o ciemnocie wieku. Birkowski wierzy, że »zęby ludzkie truciznę w sobie zawierają«, że »z uderzenia piorunu powstaje siarka w powietrzu« lub że »pszczoły rodzą się z głowy wołu«. Prawi o wpływie klejnotów na charakter człowieka, tłumaczy czarny kolor spaloną krwią z gorąca i szerzy inne potworne baśnie ze skarbnicy scholastyki zaczerpnięte.

Ks. Fabian Birkowski, pełen wielkich zalet ale i niemałych wad — stoi na granicy dwóch epok, kończy bowiem wiek złoty a rozpoczyna nowy, łącząc w sobie znamiona obu. W panteonie wielkich kaznodziei należy mu się miejsce tuż obok złotoustego Skargi.

Z Dominikanami berło kaznodziejstwa dzielili Jezuici, pełniący służbę w szkołach, na dworach królewskich i pańskich.

Po Skardze, którego kazania, odczytywane w kolegiach i domach profesorów podczas jedzenia (lectio ad mensam), służyły za wzór kaznodziejom XVII. wieku, sprawował urząd kaznodziei nadwornego Mateusz Bembus T. J., urodzony w Poznaniu, zmarły w Krakowie 1645 jako rządca prowincyi polskiej. Jak nasi Jezuici w ogólności, uprawiał on różne pola. Pisał książki ascetyczne, zwalczał innowierców, wygłaszał panegiryki żałobne, układał traktaty teologiczne, ale w literaturze zaskarbił sobie imię pierwszego po Skardze kaznodziei-obywatela. O kazaniach jego sejmowych daje wyobrażenie upominanie do pokuty z powodu zjawienia się 1618 r. komety, uważanej za przepowiednię kary bożej. Wymienia tu jako jeden z głównych grzechów narodu polskiego »stanu miejskiego od swywoływnych szlachciców uciśnienie, wzgardę i podeptanie«, tudzież »niecznośne, a głosem wielkim w niebo wołające ubogich poddanych, które od panów własnych cierpią, bezprawia i krzywdy«. Mieszczanina nie uważa szlachcic za człowieka. »Borguj mieszczaninie szlachcicowi, bo musisz, bo cię despekt spotka; masz córkę z posagiem, możesz ją porwać każdy, będziesz potem czynił o takie porwanie, aż ciebie samego w więź wezmą. A niebożęta rzemieślnicy, jakie często krzywdy, bicia, guzy przy robotach swoich bez winności odnoszą. I samego mieszczanina despektami nakarnić na rynku albo na ulicy wolno. A od takich gwałtów ani sami burmistrzowie, choć królewski urząd na sobie noszą, nie są bezpieczni«. Jeszcze dotkliwszy ucisk znosi lud wiejski. W ostrych słowach wyrzucał ojciec Bembus szlachcie tę niewolę kmieci. »Z majętnością ich — powiada w owej

»Komecie« z 1619 r. — i ze zdrowiem to, co im się podoba, czynić mogą, jakoby właśnie niewolnikami u nich byli; dręczą ich, na roboty codzienne, nieznośne, niemiłosierne jako bydło wyganiają, wytchnąć nie dopuszczą i świętom nie borgując. Mogą im krzywdy, jakie zamysła, wyrządzić, bo się z niej żadnej zwierzchności sprawować nie powinni, ponieważ ubodzy chłopkowie urzędu żadnego o krzywdy pańskie nie mają«. »A owo czy nie krzywda? Księdza nie ma we wsi, kościół stoi pusty, a pan jednak dziesięcinę i meszne po nich wybiera... Iż tedy o takie uciśnienie i krzywdy ludzi ubogich żaden urząd ziemski nie mówi i nie czyni, musi czynić boski«. Straszne bezprawia cierpieli też włościanie z powodu braku obrony przed nieprzyjacielem. »Wiążą je poganie — kazał Bembus — zabierają do hordy, do Turek jako bydło zaganiają i sprzedają. A to jeszcze cięższa, iż choć na pobór zgoda sejmowa zajdzie, przedsię jednak Tatarzyn chłopki, jako niewodem rybki zagarnia. Przy kim wina? Pewnie nie przy poddanych, bo ci pobór oddali«.

Do niewoli pańskiej przyłącza się ucisk ze strony żydów, forytowanych przez szlachtę jako dzierżawców i karczmarzy. »Panowie — powiada nasz Jezuita — majątności swoje wielkie zwykli żydom w arendę do trzymania puszczać. Ci żydzi siedzą na karczmach, trzymają młyny, w gościnnych domach są gospodarzami, tak iż chrześcijanie u nich mało nie wszystkiego muszą z rąk patrzeć. Cóż jeszcze żydy cła, myta wyciągają, w czym nad chrześcijany bardzo przewodzą, kogo chcą szarpią, biją, sromocą. Przez nie ubożeją kupcy i rzemieślnicy chrześcijańscy. Czego wszystkiego nie inna przyczyna, jeno łakomstwo panów«.

Nasz Ojciec Mateusz i następcy jego na urzędzie kaznodziei, karcąc senatorski i szlachecki stan za swawolę i bezrząd, piorunują tylko na nadużycia, ale nie naruszają ostoi wolności, praw elekcyi i wiritim i jednomyślności sejmowej, artykułu o wypowiedzenia królowi posłuszeństwa i tym podobnych przywilei, podkopujących byt państwowy Rzeczypospolitej.

Mateusz Bembus, jako gorliwy Jezuita, zagrzewał innowierców do jedności w wierze i w tym celu napisał dziełko p. t. Ormiańskie nabożeństwo, wydane staraniem arcybiskupa lwowskiego Próchnickiego. Ówczesni ormianie przeczyli zarówno dwoistości natury Chrystusa, jak istnieniu piekła i czyśćca, odrzucali też prymat stolicy apostolskiej; uważa to nasz Mateusz za herezyę i odstępstwo, nawraca zbłąkane owieczki ormiańskie do jedności w Kościele, co dopiero po ciężkich walkach do skutku doprowadzono.

Typem kaznodziei-szlachcica jest Ojciec Adryan Pikarski, poeta i filozof, teolog i historyk zarazem.

Urodzony w Wielkopolsce 1616 roku, przywdział w 15-tym roku życia suknię zakonną i był — wedle ówczesnego zwyczaju — uczniem i nauczycielem u Jezuitów. Jako kaznodzieja i kapelan obozowy trzech królów: Jana Kazimierza, Michała i Jana III., zjednał sobie takie uznanie, że mu ofiarowano pastorał — król Jan mianować go miał biskupem kijowskim — ale wierny ślubom zakonnym »wyprosił się« od tej godności. Pasek, podając próbkę jego »żołnierskiej wymowy«, opowiada jak to Pikarski, w dzień Bożego Narodzenia, podczas wyprawy duńskiej 1658, odprawiał mszę obozową w lesie — na pniaku ściętego dębu, — w taki mróz, że trzeba było rozniecać ogień do rozegrzania kielicha, a służył mu do mszy nasz towarzysz pancerny krwią zbrudzonymi rękami. Pisał Pikarski pamiętnik o pogromie Rakoczego, sojusznika Szwedów, zostawił też parę panegiryków żalobnych. O charakterze kaznodziei nadwornego, w epoce, kiedy coraz mniej było

ludzi bezinteresownych, świadczy chlubnie zdanie agenta dyplomatycznego dworu rakuskiego, że »Ojca Pikarskiego pozyskać tylko można ukazaniem mu dobra ojczyzny«. Przypominał on stanom koronnym w kazaniach sejmowych »niesprawiedliwość we wszystkich urzędach, łzy uciśnionych ubogich, które same nawet niebo zalały«, wytykał umniejszenie granic Polski, nawoływał, »żeby choć późno, ale przecież przyszli do rozumu, a połączonemi siłami do zgniecenia grożących zewsząd ojczyźnie niebezpieczeństw, zdrową radę na sejmie przedsiębrali«.

Kiedy agitacye Lubomirskiego, rokoszanina, buntowały wojsko skonfederowane przeciw Koronie jako »gwałcicielce« wolnej elekcyi, wystąpił 1663 r. ks. Jezuita z siarczystem kazaniem w katedrze lwowskiej wobec króla i jego dworu na temat »włodarza niesprawiedliwości«, wskazując niemal palcem na machinacye marszałka. Dotknięty tem do żywego butny magnat, żądał od ks. prowincyała dla satysfakcyi ukarania śmiałka, który na »katedrę kłamstwa i bezecnego paszkwilu obrócił katedrę Ducha św.« i »oszczerczą, bezwstydną wściekłością na honor jego nastawał«. Tylko suknia zakonna powstrzymuje marszałka — tak pisze do prowincyała — od »dozwolonej obrony i przykładowej zemsty na bezecnej gębie«. A list ten łączący ostatniemi słowy kapłana, rozrzuca w setkach egzemplarzy po całym kraju. Musiał się potem księżyna z uczynionych mu zarzutów tłumaczyć, ale jako szlachcic, w swej rodowej dumie urażony, wołał: »Co mnie czyja łaska, co buława — aluzya do Lubomirskiego — do mej katedry zastępuje. Ani ja Żytkiewicz (Instygator koronny, którego Lubomirski łaską uderzył w twarz), abym się bał różgi gniewu Jegomości. Niezdolny jestem wskutek ślubu ubóstwa, nie tylko z urodzenia, brać grzbietowe. Anim też Baranowicz, ani Pół-baranowicz, ale starożytny Półkozic — oddanie wet za wet nie może mnie doścignąć aż po ukończeniu sprawy sądownie (na zasadzie prawa: »neminem captivabimus, nisi jure victum«). Prawda kaznodziejska panów się nie boi, większą i starszą mają kaznodzieje jurysdykcyę na pany, niżeli panowie na kaznodziejów«.

Za plecyma królewskiego Jezuita stała królowa z dworem, więc śmiało mógł w swej obronie wystąpić. Sprawa z nieprzyjacielem Korony dodała mu na dworze królewskim powagi i wziętości. Zapomniano o niej dopiero, gdy wybuchła wojna moskiewsko-kozacka, której trudy i niebezpieczeństwa przyszło znosić kapelanowi obozowemu.

O. Pikarski miał też odwagę wbrew opinii szlacheckiej stanąć w obronie Ludwiki Maryi, z powodu forsowania ks. d'Enghien na tron polski za życia króla przezwanego żmiją naszego narodu. W mowie pogrzebowej i wierszowanym panegyryku (z 1667 r.) sławił rozum polityczny i energię królowej, która za »wszystkie życzliwości, opieki i przemysły dla narodu podjęte«, zbierała tylko niechęć publiczną i nienawiść.

Kaznodziejstwo polskie schodziło nie bez walki — jak to dowodzi wystąpienie Pikarskiego — na pole społeczne, do spraw publicznych. Zazdrosne bowiem o swą władzę możne królewstwa, nie mniej oszołomiony wolnościami tłum szlachecki, pozwalali na duchowne przewodnictwo księży, gdyż to ułatwiała ich duszy wędrówkę do zbawienia, przestrzegali jednak bacznie przedtem, żeby kaznodzieja nie mięszał się do polityki, nie dopuszczał do »reprimend« w życiu obywatelskiem. Nie stanowili pod tym względem wyjątku i Jezuita. Kaznodziejowie ich tej miary co Młodzianowski, a nawet pomniejsi, jak: Cieciszewski, Olszowski, uderzali z całej siły na chciwość, prywatę i swawolę szlachty, gromili przekupstwo urzędów, niesprawiedliwość trybunałów, anarchię sejmową i ucisk ludu, —

chęckiej, wstąpił w piętnastym roku życia do Jezuitów, a przeszedłszy wszystkie stopnie profesyi, udał się na misye do Persyi. Oto garść wrażeń misjonarza z pobytu na wschodzie: »Byłem w Alepie — pisze 1655 r. — kędy derwiszowie — jakoby u nas zakonnicy, kilka wspaniałych mają klasztorów. Przyszedłem do jednego, abym widział taniec, który oni wszystko w krąg, w krąg aż do zawrotu głowy czynią. Tam Chalifa, jakoby to biskup, tłómaczył alkoran, nibyto ewangelię i siedział na wysokiej katedrze. Niżej przy nim siedział derwisz, od postów wyschły, z tak spuszczone mi skromnie oczyma, że zdawało mi się, jakobym na świętego Antoniego pustelnika patrzył«. W Alepie, jak w innych stronach, wypytywał się o jeńców z Polski, zastał nie mających już nadziei powrotu do ojczyzny, zupełnie poturczonych i to go bardzo bolało. Mahometanizm szerzył się w owych czasach aż w głąb Podola tak, że Sobieski — jak pisze w liście do papieża — musiał chłopów z okolic Kamieńca przesiedlić w głąb Rzeczypospolitej, by się nie poturczyli.

Łatwo zapalny, ale też prędko ostygający nasz misjonarz, widząc trudności i niebezpieczeństwa w nawracaniu fanatycznych muzułmanów, myślał o powrocie do kraju. Starszy jego towarzysz ks. Rhodes, donosząc o tem postanowieniu, żałuje utraty misjonarza polskiego, któremu wystawia dobre świadectwo, nadmienając, że rychle wyuczwszy się języka perskiego — umiał dobrze po francusku i włosku — mógł być bardzo pożytecznym, że jednak »wpadł w melancholię z tęsknoty za krajem i innego rodzaju pracą«.

Po pięcioletniej misyi wraca więc ks. Młodzianowski do ojczyzny i zostaje profesorem kolegium Jezuitów w Poznaniu. Przebywa potem w różnych stronach Polski, zajęty nauczaniem młodzieży i studjami teologii i filozofii, z której to dziedziny zostawił wiele dzieł w języku łacińskim. Jako rektor kolegiów zajmował się gorliwie gospodarką. W książce, w której każdy ustępujący rektor zapisywał stan kolegium, notuje z pewnem zadowoleniem, że »na folwarkach, należących do kolegium, pozaprowadzał owczarnie«, że »zostawił 1373 owiec, chociaż, obejmując rektorat, nie zastał ani jednej«.

Jako kapłan i kaznodzieja zjednał sobie względy nie tylko króla Jana III. i Marysienki, ale cieszył się faworem najbutniejszych panów senatorów, którzy go sobie z rąk wyrywali. W literaturze zasłynął z kazań, obejmujących w czterech sporych foliantach 73 homilij i 179 kazań niedzielnych i świątecznych.

Młodzianowski, lubo wzbil się ponad spółczesnych kaznodziei, nie miał takiej siły geniuszu, aby się oprzeć napierającej nań fali czasu. Posługiwał się więc jak inni, sztuczkami retoryki barokowej i zabawiał słuchaczy swych conceptami — nazywa je *domysłami* — które bez wyboru gromadził z lektury i z życia. Jeden oderwany wyraz (słowo łacińskie »apertum« powtarza w kazaniu 32 razy), służy mu za powód do całego kazania. Naturalnie, że z tej »egzegezy« niewiele korzystały jego owieczki, a ludź polski nic nie rozumiał. Świadom tej wady przemawiał ks. Młodzianowski na ambonie w tych oto słowach: Boję się was prostacy. Będziecie mówili: »Tak my też chodzimy do kościoła jako i ichmości, ludzieśmy jako i panowie, a ksiądz kaznodzieja pierwszą część kazania (tj. wykład czyli »rozumienia z ojców Kościoła i egzegetów, tudzież własne domysły i aluzyc do słuchaczy«) zawsze uczyni dla państwa, a dla nas tylko wtóra częśćka« (w której nastaje na poprawę obyczajów).

Zgodnie z panującym smakiem starał się i Młodzianowski zadziwiać swoich słuchaczy, zapraszając ich np. »na pogrzeb niecnoty i szubienicznika, a jednak

kochanka wszystkich — świata«. Nie gardził przytem łamigłówkami z wyrazów i liter misternie układanemi. Oto np. łómaczenie tekstu kazania o prawdomowności: »Jeżeli ktoś, obowiązany do mówienia prawdy, nie powie jej całej, czy to z bojaźni, czy to z przekupstwa, wtedy z trzech sylab ve-ri-tas (prawda), zostanie tylko pierwsza: vae (biada), z prawdy (=prawo da) zostanie: daj, a prawa zostaną podeptane.

Miał odwagę mówić panom i szlachcie prawdę w oczy, lubo królewicza najdelikatniejszą aluzję nawet na ambonie uważali za obelgę. Widzicie mnie mizernego człowieka — mawiał — nie masz króla, nie masz trybunału, któremubym się nie odważył mówić: »Nie wolno tobie!« Szkoda jeno, że przystrajał ową prawdę w ozdóbki. »Kazanie — powiada — ma być jako gorczyca, uszczypnic — nie ukąsi, zadraśnie — nie rani, poświezbi — nie poszarpa, kazanie ni twoja musztarda, w której gorzkość z słodkością zmieszana«.

Poczuwając się do tego błędu powiada w kazaniu na otwarciu trybunału lubelskiego, że »gdyby mu przyszło zdać sprawę przed Bogiem z czynionych kazań, nie miałby o to sumienie, że nie mówił prawdy, ale miałby o to sumienie, że ją nazbyt przyprawiał, cukrował«.

Do rzędu takich przysmaków w stylu baroka należy baraszkowanie ze świętymi. Ksiądz Młodzianowski w tej z nimi rozmowie udziela rad, a nawet czyni im wyrzuty i wymówki. O Tomaszu Apostole mówi, że »był wołowaty i chciał, by mu wszystko jak łopatą do głowy kładziono«. Św. Filipowi zarzuca, że »miałki ma dowcip i niepojęty«, św. Piotrowi »że się mięsza do nie swoich rzeczy i zamiast do wiosła do szabli się bierze«. Chrystusowi przygania, że »niedyskret, za bardzo wytknął faruzów« (za ostro nastawał na Faryzeuszów).

To, co nam w kazaniach Młodzianowskiego najmilsze, to nieprzebrane uczucie miłości do ziemi ojczystej, do narodu polskiego. — Niestety narzuca im na barki strój szlachecki. Pod kątem widzenia zwyczajów i obyczajów Rzeczypospolitej patrząc na czasy i osoby pisma św. opowiada, jak »do Abrahama przychodzi uniwersał od Pana zastępów« — »i jak Bóg wzywa Mojżesza na sejm sześcioniedzielny«. Cała »ziemia żydowska, to Korona, podzielona na dwanaście województw«. Przy »obiorze Saula na króla odbywa się sejm convocationis i electionis, a nowo obrany elekt wydaje wić na pospolite ruszenie«. Chrystus Pan ma »swoją rzeczpospolitą i senat, czterech kanclerzy: Mateusza, Marka, Jana i Łukasza a Piotr piastuje buławę«. Czartkusićiel, wabiąc Chrystusa królestwami, nie pokazywał Polski, bo to »nie królestwo, ale tylko swarów wolność; zresztą tak to jest ciężka korona, że gdyby ją był miał Chrystusowi pokazać, byłby nią nietylko Chrystusa nie złudził, aleby był jeszcze nią Pana naszego odstraszył«.

Pełen przesądów swego wieku, ma dzikie wyobrażenie o przyrodzie. Oto np. jak sobie wyobraża wszechświat: Pokłóciwszy się z systemem heliocentrycznym, utrzymuje, że ziemia otoczona jest wodą, za nią jest powietrze, za niem ogień, za tym niebiosy, a za niebiosami — nic. Twierdzi, że »ciało ludzkie złożone jest z ziemi, wody, powietrza i ognia«.

Na pochwałę kaznodzieli podnieść jednak należy, że pisał i mówił czystym językiem polskim, z rzadka jeno zacinając makaronizmem, że unikał zbytniej napuszystości i bombastu, że w końcu nie popisywał się erudycją, która czyni kazania towarzyszy tak niepoczytnemi. Styl jego, pełen śmiałych rzutów, nie trzy-

many na pasku reguł szkolarskich, buja na ambonie jak szlachcic na zagrodzie. Język ma jędrny, dosadny, zamaszty z odcieniem staropolskiego humoru.

Kaznodziei tak głęboko odczuwającego niesprawiedliwości społeczne, tak gorąco kochającego swą nieszczęśliwą ojczyznę, a zarazem tak śmiało karcącego jej grzechy narodowe jak nasz Młodzianowski, nie posiada nasza literatura aż do XIX. wieku. Patrząc w epoce niustających wojen na bezrząd w kraju, woła do narodu: Złupił cię Szwed Korono, spalił Węgrzyn, zubożyła wojna moskiewska, obrał Tatarzyn, splądrował Kozak, ogołocił żołnierz — a poprawiłaż się Korono miła? Rozumiem to, że w sprawiedliwości boskiej nie masz już inszego na Polskę sposobu, jak tylko zniesienie i zguba ostatnia!»

Utrata Kamieńca przejuje go niewymownym bolem. »O! wieleż tam jest oczu, co jak z Kamieńca ich wyprowadzono, jeszcze i razu nie oschły... Ja was braci nasi i siostry żegnam. Już więcej wiele z was kraju naszego nie oglądacie... Żegna was i miła ojczyzna, ale i przeprasza, ach! przeprasza, że przez niezgodę swoją was i z Kamieńcem zgubiła«

Jedną z przyczyn nieszczęścia ojczyzny widzi kaznodzieja nasz w masowych krzywoprzysięstwach: przy wybieraniu podatków, przy akcyzach, taksach, przy t. z. przysiędze samosiódm i t. p. »Cóż rzekę — powiada — o owych sławnych całego niemal królestwa krzywoprzysięgach«. »Pierwsza po abdykacji Kazimierzowej, na elekcyi Michała króla, wiecie materyę, (aby każdy, który w elekcyi głos miał, przysiągł, że podarunków nie brał). Druga krzywoprzysięga pod Gołębiem, i t. d. Nie wiem i w pogaństwie, aby tak często cała pospolitość krzywoprzysięgać miała«. Domaga się więc słusznie ograniczenia przysięgi, której nadużycie dochodziło do takich rozmiarów, że »pod ratuszem w Lublinie siadywali gotownicy, gotowi na każdą przysięgę, czekający tylko, aby im zapłacono«.

Największem jednak nieszczęściem, źródłem wszelkich klęsk narodu, to ciemiężenie ludu, to nieludzkie obchodzenie się z poddanymi, nad czem nasz kapłan najmocniej boleje. »Rozumiem — powiada — że gdyby Pan Bóg wszystkie łyzy ludzi ubogich po Polszcze, dla uciemiężenia i niesprawiedliwości wylane, w kupę zebrał, mógłby człowiek w nich utonąć. Miła Ukraino, czemużeś utonęła? Łzami ubogich! Miły Kamieńcu, czemużeś przepadł? Na łzach ubogich wpłynął do ciebie zawój turecki. Ojczyzno miła, czemużeś się z królestwa obróciła w księstwo — co mówię! — w dziedzinę pustą, na poły dziką? Potop cię łez ubogich zalał«.

Przypomina, że poddany w wolnem państwie nie jest niewolnikiem, wymawia panom różne robocizny, czynsze, akcyzy, podymne, zaciągi, podwoły i tym podobne daniny chłopa, że w święto nawet ani jemu, ani bydłu nie dają wypocząć, że każą go obuchem bić, ciemiężyć... Przestrzega, że takie obchodzenie się z ludem odbije się w końcu na majątku pańskim, zarzuca prawodawcom, że zamilczają w statutach o krzywdach i »krwi poddanych marnie wylanej od pana«, za którą nikt się nie ujmuje, ani nikt nie ukarze. »Rządzie — zapytuje — rządzie, który masz stan szlachecki nad swymi poddanymi, iżaliś ty rząd ludzki? Każę szlachcic poddanego kijami zbić; skaleczeje, umrze poddany, cóż o to za kara? Zaveznie się urząd na ubogiego, w niwecz go obróci — nie ludzki urząd«. Porównyując ustrój Rzeczypospolitej do statuy Nabuchodonozora, powiada, że złota głowa posągu, to król, srebrne ręce, to senatory — a »część nóg z skorupy, znaczny poddanych« — poczem dodaje: »Toć to są lepianki, na których się słup panowania wspiera« i przepowiada, że słup ten jak ów posąg niebawem runie. Wobec skwierku, płaczu i przeklinania chłopstwa woła w innem kazaniu: »jeżeli

to się ciemnienie ludzi ubogich nie uśmierzy, stan ten Rzeczypospolitej stracie, stracie panowie Polacy«. Wytyka im przechody wojskowe i stanowiska, równające się łupiestwu, które sprawiają, że »ubogi chłopiec jako drugiego sądnego dnia tak się przyjazdu żołnierza boi«. Nieludzkiemu ciemnieniu ludu przypisuje »wyludnienie wsi, bunt kozaków i oderwanie się ich od Korony«.

Bierze też w obronę mieszczan, którym wtenczas tylko się kłaniają, gdy pieniądze potrzebują, a po pożyczce obrzucą obelgami. Podnosi zaniedbanie i niechlujstwo miast — powiada że gospody wyglądają jak stajnie, a »gościńce są ni twoje chlewy«, narzeka na brak szpitali, brak opatrzenia ubogich po miastach, a zestawia z tem rozrzutność panów na myśliwstwo, na konie i tym podobne zbytki. »Chart kochany przy kominie — ubogi na mrozie; brytan pański na niedźwiedziu — ubogi Chrystusów na gnoju; szkapa pod kocami, pod derką — a ubogiego koszula ciała mu nie okryje!...«

Gromiąc nadużycia w biesiadach i pijatykach, nadmienia, że w Polsce ten jest w poważaniu, kto dużo pije, a nie upija się — weszło już w przysłowie: »trąbić jak na wojnę do stołu«. Przytacza odstrasające przykłady marnotrawstwa: Z majątków tak wielkich jak księstwa przyszło nędzy się oganiać. Byli tacy, co na swoje swobody corocznie po siedmdziesiąt tysięcy wydawali.

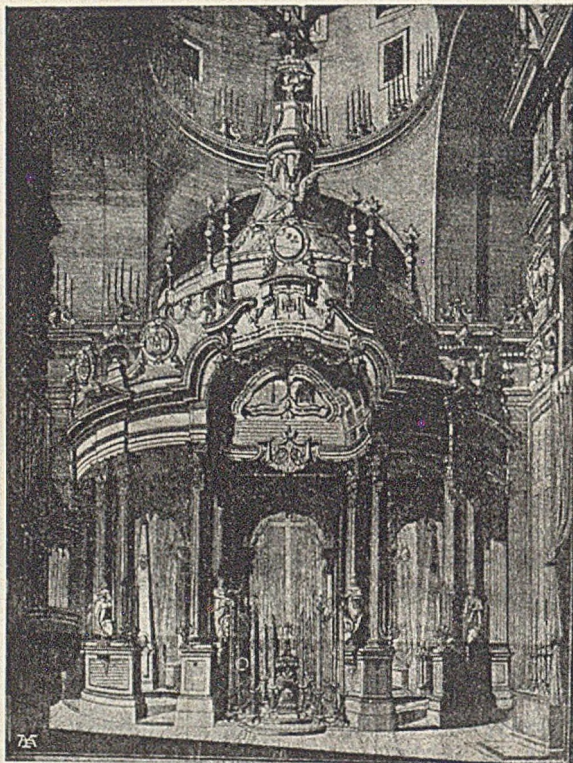
Zwolennik zgubnego prawa »niepozwalam« powstaje jednak na tych, co zrywają sejmy bez słusznej przyczyny i radzi tych grzeszników nie rozgrzeszać. Z uniesieniem uderza na związki wojskowe i konfederacye, nazywając je rozbójstwem ojczyzny a dowódców ich czyni odpowiedzialnymi za miliony szkód wyrządzonych. »Pierwszy związek — powiada — liczył się, że go było trzydzieście tysięcy. Porachujcież, co też oni wydarli z łanów, z miast, z ceł, z żup«.

Karci surowo przykłady przekupstwa sejmów, okradanie skarbcia koronnego. »Do skarbu — powiada ledwo trzecia część podatków dochodzi, a reszta grzeźnie gdzieś po drodze«, wytyka wiarołomstwo i próżniactwo, powstaje na liczne a złe konstytucye, a z tych i tym podobnych grzechów wyciąga smutne konsekwencye. Przepowiada, że »pójdziem obcym na podział« i przyjdzie czas, kiedy »zapomnim, co to Polska«. Prestrogi te, jak wogóle głoszone przez kaznodzieję prawdy nie odniosły pożądanego skutku, podobnie jak prorocтва Skargi. A słuchacze złotoustego mówcy patrzyli dopiero na rysy gmachu Rzeczypospolitej, który za Młodzianowskiego już się rozpadał. W ogólności tam, gdzie uderza na nierząd Rzeczypospolitej, gdzie piętnuje grzechy narodowe, a zwłaszcza ucisk ludu, gdzie zapowiada rychły upadek ojczyzny, wznosi się Młodzianowski na wyżyny duchowe, skąd zmierzyć się może siłą uczucia patryotycznego z największym kaznodzieją Polski. Nie dorównywa mu wszakże w obrazowaniu myśli, w plastyce wysłowienie w prawdziwie klasycznym układzie mowy.

Po Młodzianowskim należy się bodaj krótka wzmianka mniejszym kaznodziejom, jak Lorencowicz, Gołębiowski i ich następcom sięgającym już czasów saskich. — Aleksander Lorencowicz pochodził z bogatej rodziny mieszczańskiej we Lwowie, zasłużonej około miasta, jak o tem świadczy do dziś zachowany lew lorenkowiczowski, tulący się u stóp kopca unii lubelskiej. Na arenę literacką wystąpił już jako Jezuita, w stuletnią rocznicę istnienia zakonu, pracą łacińską p. t. »Centuria« (1640), wpisującą niby na pomnikach krótkie życiorysy do stu sławnych członków tego zgromadzenia. Odtąd przez lat piętnaście oddaje się kaznodziejstwu w Krakowie, Lwowie i innych miastach. Piastuje potem różne godności zakonne: rektora kolegium jezuitów, prokuratora, wreszcie rządcy prowincyi pol-

od gęby głodnym odjęli,« że do pałaców swych »miasto wapna, krwi bliźniego z poddanych przymieszali«, że »prawa inne na się, a inne na drugich knują«, że się nad »mniejszymi, co się bronić nie mogą, pastwią«.

Wymownemi słowy gromiąc przepych i butę szlachty, przepowiada jej rychły koniec. »Dla tej waszej pychy — woła w jednym z kazań niedzielnych — dla waszych strojów, dla kosztów tak wielkich na swoje wczasy, na bankiety, pijaństwo — Bóg was poda w niewolę. Przyjdzie nieprzyjaciel i niedługo zażenie was jako bydło«. Pod figurą zapamiętałej gołębiczy trafnie maluje w tych oto słowach nieopatrzność i zajazdy szlacheckie: »Najgrubsze narody na niebezpieczeń-



Nr. 46. Kazania i mowy na pogrzebie Anny z Sanguszków Radziwiłłowej. Wilno 1750.

stwa się opatrują, sam ten naród jak gołębicza bez serca zapamiętały. Przyjdzie kiedy chce pogaństwo, póki chce ziemię pustoszy, krwią poi, więźnie i łupy prowadzi, a on nic. A o słówko, o nie zdjęcie czapki, takie czynią gniewy, turby, zbierania wojska! Na kogo? na brata, na sąsiada. O cóż? O skibę roli, o psa, o prywatę — a gdy idzie o gardła, o koronę, nic — nic, na to głupie gołębicze«.

W kazaniu czwartem po Wielkiejnocy uderza na sądownictwo, zarzucając mu przekupstwo, korrupcyę, matactwa i nieuctwo. Dostaje się też »przedajnym, najemnym językom prokuratorów (adwokatów), co na obie strony siekają, jako szalki, gdzie więcej włożą; by najmniej przełożono, na tę stronę idą, za nią prawią. Takie usta — kończy kaznodzieja przekleństwem — niech zaniemieją«.

Nawet w symbolice, gęsto rozsianej po jego kazaniach, przebija tendencya



*Grone con Selle ricchissime di lana d'oro le due prime tempestate
d'Archi Frezze Mazze Scimitarre. et altri Arnesi di guerra con Briglie gioiellate*

*L. Maestro di stalla di S.E con bel Abito
e mazza d'Argento in mano*

M. Venti Canerieri di S.E. uestiti di Damasco di color d'Acqua marina

polskiego tryumfy i klęski, nadzieje i rozczarowania wzruszające do głębi narodem. Wpływały one nie tylko na ośnowę, hojnie czerpaną z krynicy wielkich wydarzeń, ale nadawały jej odpowiednią formę.

Wpływ francuszczyzny idący od dworu Maryi Kazimiry, spotęgowany podróżami za granicą, wybija znamienne właściwości i na fizyonomii kaznodziejskiej literatury, przewyższającej bogactwem wszystkie inne gałęzie piśmiennictwa. Odziaływa on ujemnie na styl i język kaznodzicy, obfitujący w różne błyskotliwe



Nr. 48. Konstanty Święcicki, nadworny teolog króla Augusta III.

cacka i kwiatki, ale pozbawiony prawdy i naturalności, z drugiej strony jednak oczyszcza kazalnica z gadek i frazdek, cieszących się wielkiem u szlachty powołaniem, usuwa różne dowcipy i koncepty, podniecające pobożnych do śmiechu.

Przykładem takiego dodatniego wpływu kaznodzicy francuskich, których dzieła w przekładzie polskim pojawiają się u nas dopiero pod koniec 17. wieku, są mowy Chryzostoma Gołębiowskiego, nadwornego kaznodzicy Jana III. i prowincyała Augustyanów. Jako człowiek niezwykłej energii, usuwał on swą żelazną dłoń różne w zakonie nadużycia. Przypominam jeden tylko obrazek. Oto zakonnik

Pogorzelski, »niemiłego sobie przelożonego« ogłosił waryatem, zamknął w więzieniu i pobił. Do żalącego się zaś rzekł: »Ja mam brodę jak u Pana Jezusa, a zęby jak u psa. Ja teraz Bóg, a tyś u mnie kep. Zrzej kaszę pogański synu«. Gołębiowski surowo karał podobne wybryki i wykroczenia z karności zakonnej. Powołany na dwór królewski każe na sejmach, wobec dworu, z podwójnym zapalem oddany swemu powołaniu. Ofiarowano mu wysokie godności, opactwo a pono nawet infułę biskupią, lecz on pozostał na stanowisku kaznodziei. Może pomyślał sobie to, co niegdyś powiedział ks. Mościcki, gdy mu proponowano biskupstwo: »radziej mi być ostatnim zakonnikiem, niż szlachty polskiej kucharzem i cześnikiem«.

Jako wierny, kochający syn ojczyzny i uczestnik bohaterskich czynów króla Jana, nawoływał Gołębiowski warchołów szlacheckich do rządnej pracy, bolał nad zrywaniem sejmów, groził upadkiem Rzeczypospolitej. Ale głos jego był za słaby, aby mógł ukrócić samowolę, do której zgniczenia nie stawało nawet królowi sił i energii. Mowca to spokojny, poważny, ale trochę za gładki, za zimny. Znać na nim wpływ wzorów francuskich. Nie krasa kazań swych dowcipami, nie sady się na jedwabne słówka, owszem ostro wytyka kaznodziejom, że tam głaszczą uszy, kędy serca krajać trzeba, nie brakuje mu odwagi skarcenia nadużyć władzy, samolubstwa szlachty — ale przemawia spokojnie, bez zapалу, jakby się liczył z potęgą owych książy na zagrodzie, którzy nawet pod amboną w kościele nie zapominali o swoich przywilejach.

Za panowania Augusta II. i III. zmieniła się kazalnica na widownię teatralną, a kaznodzieja popisywał się na niej swadą, zastępując brak natchnienia blaskiem polityry, brak treści wielomówstwem. Nadętość stroiła się w orle pióra a wyszukane ozdóbki i floresy uchodziły za najwyższą zaletę piękności. »Kaznodzieje ówczesni — powiada najlepszy ich znawca — byli raczej deklamatorami, chwalcami albo satyrykami, więcej starającymi się o zapalenie namiętności, ujęcie albo zabawienie słuchaczy, aniżeli podniesienie ich serc i zbudowanie prawdą ewangeliczną nauki«.

Najczęściej brali jeden obraz, jeden cytat, jeden symbol z pisma św. i tak go drobili, tak aluzjami do osób i rzeczy społecznych naciągali, że całe kazanie zamieniało się na igraszkę, na bawidelko.

Dla przykładu, jak głęboko spadała już kaznodziejska wymowa za Sasów, przytaczam wyjątek z kazania Cypryana Sapeckiego, przeora Dominikanów w Krakowie, autora »Kalendarza niebieskiego (w wierszach) z wielkim conceptem danego potomnym wickom na pamiętkę«. Oto jak przemawia na ambonie do Najśw. Panny: A dokąd tak spieszo, przybrana w manto słoneczne damo? Jeżeli na spacer dla rekreacyi w góry wychodzisz, nie bardzo wietrzyć się pannie rozkazuje Hieronim. Nie moda damie urodziwej dziadowskim trybem włóczyć się po ulicach. Nie piękna pannie cudze pocierać kąty na ustawiczność. Już podobno w tem ciełe i różana cnota nie spełna, komu wagusy (wałęsania) smakują« itp.

Zwierciadłem skażonego kunsztu wymowy są liczne podręczniki krasomówstwa, używane przy nauce, nadające kierunek owej nadętości, rozwielenionej w pomnikach ówczesnej wymowy. Jako przedstawiciel panującej metody, posłużył ks. Jezuita Kwiatkiewicz, którego szkoła wymowy z drugiej połowy 17-go wieku, sposobila ówczesnych rektorów w rozmaitych trybach użycia sentencyj i dowcipnych przystosowań, nauczała jak z herbu, imienia, tytułu, brać do mowy pochopy, i zdobić je w rozmaite figury, jak w wymowie sens popospolity uczynić

niepospolitym, jak tę samą rzecz wyrażać stylem zwięzłym lub obfitym, uczonym lub dowcipnym, spokojnym lub unoszącym.

»Repertorya« i »Oficyny« — zawierające teoryę krasomówstwa i wskazówki praktyczne dla kaznodziei, były dopełnieniem takowych przepisów. Oto np. pouczenia w podręczniku z 1710 r., jak kaznodzieja objaśniać powinien Niepokalane Poczęcie Matki Boskiej. Ma ją wykazać figuralnie, cudami, scholastycznie, teologicznie i filozoficznie, symbolami, poetycznie, anagramatycznie i przykładami z dziejów. Były jednak i zdrowsze zasady krzewione już 1738 r. a polecające »raczej prostotę wykładu dla pożytku słuchaczy niż wytworność i okazałość dla popisu«.



Nr. 49. Samuel Dąbrowski, kaznodzieja luterski w Wilnie.

Kończymy ten przegląd kaznodziejstwa próbką szkieletu jednego typowego z tych czasów kazania: Zaczyna propozycja czyli t. z. temat mowy (np. o zbytku). Składa się ona z następujących części: Racye tj. rozumowania i wywody z doświadczenia lub nauki czerpane. (Zbytek w strojach niszczy osoby i kraj itp.) Sentencye czyli zdania różnych autorów o tym przedmiocie. (Cytaty z Owidyusza, Seneki itp.) Erudycye tj. przykłady z dziejów: pisma św. (Chrystus karcący zbytek, Alfons ceni wyżej statek niż purpurę). Symbole tj. obrazy przedstawiające myśl alegorycznie, poparte lemmatami czyli godłami. (Adam w prostym odzieniu; Lemma: »Potrzebie nie zbytkowi«) itp.

Z bujnym rozrostem kaznodziejstwa w 17-stym wieku, a następnie jego

upadku za Sasów, idzie równolegle rozwój wymowy świeckiej, dotrzymując dzielnie kroku swej siostrzycy.

Ustrój Rzeczypospolitej i warunki życia publicznego oparte na nieograniczonej wolności słowa — i zupełnej, niczem niekrępowanej swobodzie zgromadzeń, sprzyjały rozkwitowi wymowy politycznej. Była ona zwierciadłem, w którym odbijał charakter narodu. Jak nie odrazu staropolskie cnoty »wyrodziły się w narodowe wady«, wolność w swawolę, wspaniałość w przepych, tak i wymowa nie odrazu spadała z wyżyn sztuki na padoł poniżenia. Podobnie jak w życiu narodu było »dostyc siły i energii do utrzymania swoich instytucyj«, dostyc zapału do zaświecenia wielkimi czyny, tak i w wymowie gra długo jeszcze »namiętna miłość swobód, żądza sławy i duch rycerski«, zdobywając się na przykłady nadzwyczajnych cnót wśród zobojętnienia na dobro publiczne. Mównictwo 17-go wieku, jak to życie polityczne szlachty, ruchliwe, przejęte miłością praw osobistych aż do »zapędnych uroszczeń dumy i próżności«, zabłysło jeszcze ostatnim blaskiem, aby w epoce saskiej pograć się w noc odrętwienia.

Jedną z głównych wad szlachty polskiej było wielomówstwo, starające się rzecz błahą do wysokiego tonu nastroić, goliznę myśli pokryć piórkami sztuki krasomowczej. »Ze zwichnieniem się społecznych zasad — powiada spólczesny świadek, Zawadzki, w dziele Historia arcana — z zepsowaniem wewnętrznem Rzeczypospolitej, w zdrożny weszło obyczaj najdrobniejsze nawet sprawy w nieskończonych rozprowadzać wywodach, wytaczaniem na plac wielu razem i obcych sobie przedmiotów niesforną rodzić wrzawę, nie o rzecz, ale raczej starać się o słowa, więcej mówić niż myśleć, czas do działania przeznaczony płonniemi wycieńczać spory, mowę wytwornie trefić — a Rzeczypospolitą jakby głodem wysilać i morzyć«.

Sejm i sejmiki były w tej epoce nieustającym popisem krasomówstwa. Rzekłbyś że to nie zgromadzenie prawodawcze ale szkoła mównicka lub popis retorów »występujących w zawody z swoją dworną i gadatliwą wymową«. Na wstępie obrad — powiada Rudawski w swej Historji — wysyłani bywają mówcy od stanu rycerskiego, do króla i senatu — a nawzajem od króla i senatu do szlachty. I tak sześć tygodni zwykle schodzi na perorach. Na wspólnem zebraniu posłów ziemskich z królem i senatem poczynają się znów głośne rozprawy. A król po całych nocach bezsennie przysłuchiwać się musi tym nieustannym mówców wywodom. Nie tylko posłowie ale i senatorowie wpadali w furor oratorski, a szczupła jeno gromadka rozumniejszych, z lekceważeniem spoglądała na tych bezczynnych i próżnych deklamatorów — z ich długiemi — politycznemi oracyami. Skutki tej rozgwały sejmowej maluje spólczesna anegdota, w której tkwi żdźbło gorzkiej prawdy. Opowiadano o senatorze, że zasnął słuchając oracyj sejmowych, a obudziwszy się w toku dyskusyi zawołał: »Psy pobrać, a chłopą obwiesić!«

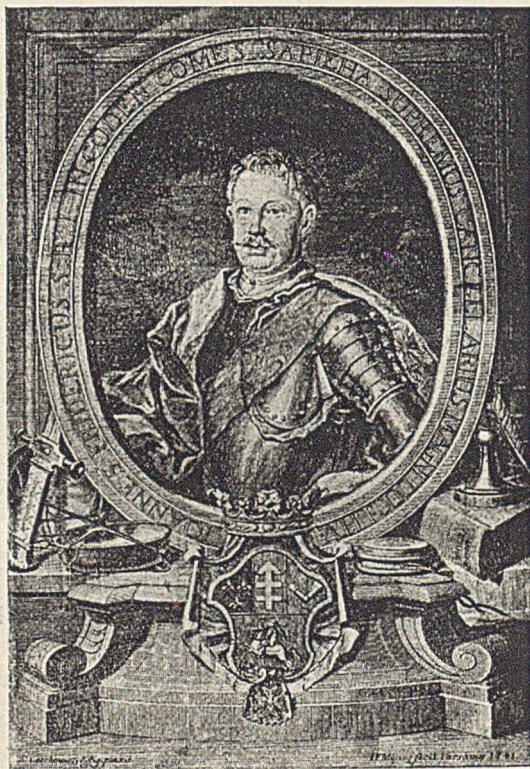
Duma, pięcie się w górę, chęć błyszczenia, zbytek, rozrzutność i tym podobne wady szlacheckie występują na katedrach profesorskich zarówno jak na kazalnicy, na sali sądowej, w gabinetach dyplomatycznych i we dworku szlacheckim. Objawiają się zaś w czczej retoryce i deklamacyi, w gonitwie za nadzwyczajnymi afektami, w dwornej napuszystości, najchętniej zarzucają na siebie jaskrawy i crudycyą podszyty płaszcz wymowy.

Swawola i niekarność szlachty, zrywająca wszystkie węzły społeczne, przybierała w mowie kształty dziwaczne, bujając samopas po nieprzejrzanych łąkach fantazyi nieokiełzanej, nieunoszonej rozumem.

Stosunek zależności chudopachołków od łaski panów odbijał się w aktach

solennych obchodzonych przy urodzinach, ślubie lub pogrzebie różnych królewiat pańskich, w mowach tryumfalnych na cześć urojonych lub czasem i rzeczywistych wielkości, w niezliczonych panegirykach, zaczynających się od igraszek słownych na temat herbów a kończących się na paszporcie do nieba, wszystko w »dziko nastroszonym stylu i łaciną gęsto zmierzwionej mowie«.

Fałszywy ten kierunek nadawała wymowie wcześniej nauka szkolna, tresując młode pokolenia do najsztuczniejszych form pochlebstwa, zalecając przesadę i narpuszystość w wystąpieniu, uprawiając młodzież w dziwaczne koncepta i dowcipne wykręty. Sztuczkami dyalektyki średniowiecznej uczono tu »prawdy i fałszu



Nr. 50. J. Ostrowski Daneykowicz—Swada. Lublin, 1747 (Jan Fryderyk Sapięha).

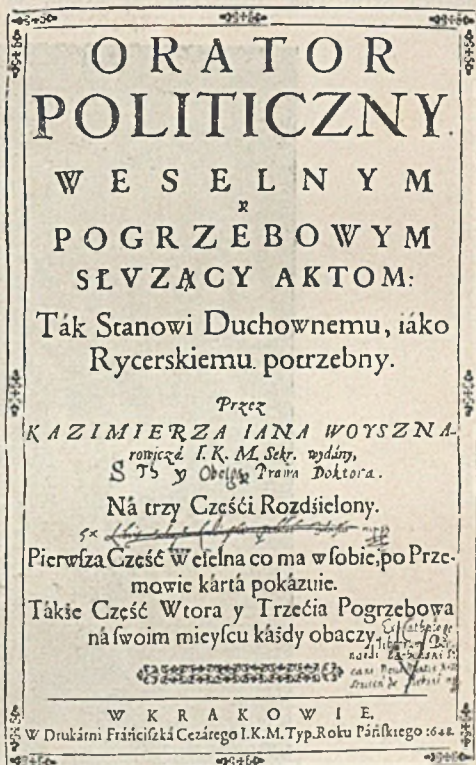
zarówno bronić«, przysposabiając młodzież do pieniactwa i matactw prawnych, którymi zakrywać będą w życiu prawdę lub osłaniać fałsz.

Na wzór pisarzy rzymskich sposobili też Jezuita swoich uczni w tak zwanych sądach prawnych. Były to formalne przedstawienia sceniczne, w których uczniowie zasiadłszy do rozprawy sądowej »stosownie do ról rozdanych występowali przeciw sobie jako mówcy sporni, prawiąc ku obronie lub potępieniu jakiej sprawy«. Poprzedzały ten prawniczy dramat argument i prolog, kończył epilog do publiczności z prośbą o pobłażliwość. Jako przykład posłużyć może Jana Bielskiego: Ćwiczenia krasnomowsko-prawne (Poznań 1757), w których trzech synowie: filozof, lekarz i mówca spierają się o spadek po ojcu, przekazany temu z nich, który co najpożyteczniejszy dla kraju obierze zawód. Gorszemi elukubracyami

sposobiono młodzież do pieniactwa i sofisteryi, przyzwyczajając ją, tę samą rzecz w świetle prawdy i fałszu przedstawiać. Dramaty te ćwiczyły też młodzież w wymowie, otwierając jej drogę do życia publicznego.

Zbiory ówczesnych mów, że tu wymienię ważniejsze: J. K. Wojsznarowicza Orator polityczny, weselny i pogrzebowy 1648—1677., Jana Piskorskiego Mówca polski 1668—1683., J. Ostrowskiego (ks. Sapięhy) Swada polska i łacińska 1684 i 1745—7. obejmujące mowy sejmowe i pożegnalne, dziękczynne i winszujące, publiczne i domowe, społeczne i polityczne, — grzeszą głównie brakiem rozsądku i umiarkowania, prostoty i naturalności. Pełno w nich fałszywej patetyczności i zawilej erudycyi, która najzwyczajszą myśl przystrajała w taką pompę, zasypywała tyłoma ozdóbkami, że ją w tym steku frazesów trudno odnaleść. Mieszanie co chwila łacińskich zwrotów szpeci najbardziej tę gałąź literatury.

Z mówców politycznych zajmuje z wieku i urzędu pierwsze miejsce Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny, wymowny do dworów zagranicznych poseł, którego sława przekraczała granice Rzeczypospolitej. »Wymowa Ossolińskiego — powiada pierwszy jego biograf — męska, silna ognista, porywa polotem myśli i wspaniałością obrazów. Znadto jednak mówca staranny o zewnętrzną okazałość i krasę przebiera miarę w ozdobach, stąd często bywa wymuszony i ciężki. Jestto strój zapaśnika wynoszącego na plac popisu wszystkie godła potęgi i trofea«. Mowa jego, miana w Londynie do króla angielskiego Jakóba I. rozeszła się jednego dnia (1621 r.) w kilkunastu tysiącach egzemplarzy i była na kilka języków przełożoną. Młodzieńczą tę mowę cechują wady skażonego smaku, właściwe temu wiekowi. Widać w niej »krasomówcę nie umiejącego krócić zapędów zbyt skorej i wylewnej wyobraźni«. Bujność i kwiecistość wystowienia przygniatają wątły szkielet myśli, uginającej się pod ciężarem ozdób. Z pod tej odslony retorycznej dobywa się wszakże głos cierpkiej przygany nierządu i swawoli szlacheckiej. Oto charakterystyka obrad sejmowych. »Pomieszała — mówił na sejmie — od niedawnego czasu tak piękną corporis tej zacnej Rzeczypospolitej formę, przekłętą między stanami dyfidencya. Już baczymy na oko, że na ten czas nie sąśmy więcej consultores, ale przy propozycyi prości declamatores, dworskim podobni kaznodziejom, od których koncepty subtelne i sarkazmy requiruntur, nauka i rada zbawienna contemnitur. Przy konkluzyi zaś bardziej na negatiores poszliśmy, niż na senato-



Nr. 51. X. K. J. Wojsznarowicz, Orator polityczny, weselny i pogrzebowy. Kraków, 1648.

res po tej w późną noc giełdzie. Tu jeden sprzedaje swoją nieuważną ku prywatnie tylko zwróconą kontradykcyę, tu drugi fałszywe kontradycentów hamowanie, trzeci zaś posłusznych potężną klientów facką straszy».

Z dyaryuszów legacyi Ossolińskiego do Anglii, Niemiec i Rzymu wychyla się postać dyplomaty polskiego, który potrafił otoczywszy się nimbem majestatu, ująć sobie dwory obce i rzecz trudniejszą przeprowadzić szczęśliwie. Przemówienia jego od tronu jako kanclerza mniejszem cieszyły się powodzeniem. Na sejmach występując z projektami od króla poczynał sobie zbyt dyplomatycznie, a jeżeli użył gwałtowniejszych środków, wywoływał powszechne przeciw sobie i zamiarom królestwa, oburzenie w kraju, opór i nieufność szlachty, gniew i zawiść



Nr. 52. G. Ossoliński, *Orationes Dantisci*, 1647.

magnatów. Był czas, że godzono na życie naszego monarchisty, gdy mówił rozumnie o wzmocnieniu władzy królewskiej a ukróceniu samowoli szlacheckiej. Obrzucano go paszkwilami. Oto jeden z przyzwoitszych, ozdobiony odpowiednią ryciną: Oratoryum na cześć pokoju zborowskiego z 1649. »Ossoliński śpiewa psalm: *Ecce quam pulchrum...* Król do kanclerza: *Zaiste tobie należy chwała ocalenia ojczyzny.* Kanclerz wskazując na wojewodę Kisiela: *Oto zbawca ojczyzny.* Gremborzewski, dworzanin królewski, porwawszy skrzypce tańczy i śpiewa: *Ten jest dzień, który nam uczynił Pan, tańczmy i weselmy się w nim.* Kanclerz do Gremborzewskiego: *Przyjm, synu, zapłatę, którą zasłużyłeś — i podaje mu przywilej na starostwo przynoszące 15.000 zł. dochodu, gdy starostwo ofiarowane ks. Wiśniowie-*

KAZANIA
NA NIEDZIELE
Y SWIĘTA
DOROCZNE.

Przez

X. D. FABIANA BIRKOWSKIEGO,
Zakonu ś. Dominika Káznodziejkiego,
nápisane y wydáne.

Ná káżdą Niedziele po dwoygu Kazań,
y ná Swiętá przednieyſze

Z dozwoleniem Starſzych



Cum Gratia & Priuilegio S. R. M.

W KRAKOWIE,
W Drukárni Andrzejá Piotrkowczyká Typo-
gráphá K. L. M. Roku Pánskiego,
M. DC. XX.

ekiemu tylko 4.000 zł. dawało, lubo ten cały niemal majątek poświęcił i takim bohaterstwem odznaczył się pod Zbarazem. Broszura zatytułowana Compendium rad Kanclerza koronnego zwała na jego barki skutki wojny z Kozakami. Czyni go odpowiedzialnym że »pana, głowę i jedyne dobro nasze jako na mięsne jarki wydał«, że radami swemi zawiódł go sromotnie, że zaciągnął na szlachtę i obywateli wieczne jarzmo niewoli, że kwiat rycerstwa pod Zbarazem z prywaty zgubił, że w ogólności swemi projektami o cie morskiem, o wprowadzeniu wojsk cudzoziemskich, i tym podobnemi radami zamieszał Rzeczpospolitą i przywiódł ją nad brzeg przepaści. Na te ciężkie a w przeważnej części niezasłużone zarzuty odpowiada z ramienia Ossolińskiego broszura p. t. »Ad nugacem militem Responsio,« twierdząc, że pokój zborowski, który pochwałał, podobnie jak wszystko, co się stało, było wynikiem rady senatu i polecenia króla, kanclerz »odpowiada jedynie za przekroczenia swych obowiązków«. Podobne paszkwile na kanclerza i króla krążyły już za Władysława. W czasie elekcji Jana Kazimierza wystąpił bezimienny poeta z takimi oto inwektywami na »suki syna, zdrajcę i niecnotę«:

Ten złodziej króla zwodził, by wolności psował,
Ten to hermafrodyta po stole wojował,
Dla weneckich korupcyi przedawszy sumienie,
Za psa jest u niego cnota, grunt jest dobre mienie.

Wymawia mu wprowadzenie kawalerji na zgubę Polski, wszczynanie buntów między kozakami, wprowadzenie Jezuity na tron zapomocą Chmielnickiego i kończy wezwaniem do — ucięcia szyi zdrajcy.

Po zgonie Ossolińskiego — nad świeżym grobem polityka — układano na różne warianty w łacińskim i polskim języku takowy nagrobek:

Legł Ossoliński kanclerz od wielkiej choroby,
Bo inna zmódz nie mogła tak wielkiej osoby.
Prawem kaduka chciał brać cudze majątności,
Kaduk za to samego cisnął Jegomości...

Z Ossolińskim schodzi do grobu wymowa klasyczna, z jej usychającego drzewa umiał on jeszcze uszczknąć kilka liści wawrzynu do wieńca swej sławy. W ogólności jednak wpływ nauk klasycznych w tej dobie więcej pono przynosi szkody niż korzyści naszej wymowie. Jak idee republikanizmu Ciceronowego podsycały tylko płomień wolności szlacheckich, tak przykład oratorstwa klasyków rozdmuchiwał wybujałość gadatliwej szlachty. »Przyswajano sobie — jak słusznie zauważył jeden z historyków — z literatury klasycznej pojęcia o zgubnych skutkach tyranii (w Polsce, gdzie król był malowany!) i sentencye o równości (której nie stosowano w życiu), a nie pojęcia obowiązku i posłuszeństwa dla władzy«. Wybierano z niej to, co dogadzało szlachcie: niewolą starożytnych przywiązywano chłopą do roli, równość obywatelską Rzymian ograniczano do szlachty, ostrzem zawiści kierując ją w stronę możnowładztwa.

Wady te występują z całą jaskrawością w mowach ojca króla Jana III., znanego męża stanu i historyka. Chwała pogromcy Muzułmanów zaćmiła sławę ojca, któremu niedostawało ducha wojennego syna, ale też jego słabości charakteru. Jakób Sobieski urodził się 1588 r. i zwyczajem bogatych paniczów wyleciał wczesnie z gniazda rodzinnego. W towarzystwie »niepotrzebnego — jak się wyraża

o swoim guwernerze niejakiem Bastianie — przewodnika«, zwiedził najpierw Paryż, ową Mekę polską, którą odwiedzali królewiczą dla kupienia »materklasów wiatru i dymu«. Od tej pierwszej w świat wycieczki notuje skrętnie wszystkie niemal ważniejsze wypadki życia. Najpierw zwrócił jego uwagę dwór królewski, tak święty, że samem dotknięciem rąk leczył w chorobie poddanych, a rozdający chleby duchowne dzieciom i kobietom, patrzył na króla wychylającego się z objęć kochanek do komunii świętej. Zwiedził potem Anglię i przebywał na pokojach królowej Elżbiety, pragnącej oddać rękę królewiczowi polskiemu Władysławowi. Toczyła się w tej sprawie dość naiwna rozmowa — zapisana w dzienniku Sobieskiego temi słowy: »Ochmistryni królowej, niemłoda jakaś białogłowa, ale dosyć bezpieczna, przy królowej samej pytać nas poczęła: Wielki królewic wasz Imię Polski? Widzicie Waszmość, jaka królowna nasza Jejmość pięknego wzrostu, a pewnie niezmyślonego. I podniosła szaty królowej aż do pół kolana, ukazując, że niema wysokich trzewików«... Nawiasem dodaje nasz wojewodzie, że z damami dworu i frejlinami witali się po angielsku to jest pocałunkiem«. Za powrotem do kraju czekały młodzieńca wysokie urzędy i godności. Na widowni publicznej występuje w wyprawie moskiewskiej królewicza Władysława, ruszającego — po ogłoszeniu go carem Wszzechrosyi — na zdobycie Moskwy. Z godnością piastował Sobieski urząd komisarza sejmowego przy boku Karola Chodkiewicza, głównie dowodzącego siłą zbrojną, właśnie wtedy, kiedy zazdrosny o atrybucyę najwyższej władzy królewicz, niechętnie patrzył na starego hetmana. Nie omieszkał zanotować tego rysu w swym dyaryuszu wyprawy moskiewskiej, który prowadził pod kierunkiem Pana Jakóba jego dworzanin. Królewicz — opowiada Sobieski — uwiadomiony o tem, a ciekawy, co też o nim piszą, używszy za pośrednika Radwana, uzyskał po kryjomu on dziennik i wnet go posłał do Warszawy ojcu, Zygmunutowi III., żaląc się na Chodkiewicza i jego młodych przyjaciół: Ossolińskiego i Sobieskiego. Król dostojnie się znalazł, bo ponowił synowi zlecenie posłuszeństwa dla hetmana, a odpis dyaryusza Sobieskiego wrzucił do ognia. Zgromił nawet syna za nieprzystojne dowiadywanie się cudzych tajemnic i rzekł: »Gdybym ja chciał po cudzych szkatułach szukać, co kto o mnie pisze, i królestwo i zdrowiebym stracił«. Tymczasem działania wojenne rycerstwa polskiego, zdziśiatkowanego głodem i chłodem, nie dopisały. Król polski zniewolony był zgodzić się na traktat pokoju, który 1619 i nasz komisarz podpisał, ale »niechętny dlań królewicz żalił się, że rzeczy innyby obrót wzięły, gdyby pan Sobieski mniej tęsknił do kraju« i do księżniczki Maryanny Wiśniowieckiej. W tym czasie bowiem młody nasz dziedzic na Złoczowie, głośny ze swoich »bogato i ozdobnie przystrojonych rot usarskich« zwanych złotemi, a jeszcze bardziej z ogłady towarzyskiej i wytworności, nabytej na wielkim świecie, założył sobie ognisko rodzinne. Ale nie długo cieszył się małżonką, bo już 1624 umarła, a młody wdowiec zbliżył się do domu Żółkiewskich i spokrewnionych z nim Daniłowiczów, dziedziców na Żółkwi i Oleksku. Kiedy po zniesieniu przez Tatarzyna wojsk polskich nad Dniestrem, poległ sędziwy hetman i kanclerz Stanisław Żółkiewski, a cała Polska okryła się kirem żałoby na wieść o zgonie bohatera, nasz sąsiad i przyjaciel osieroconej rodziny, pan na Złoczowie, zęgnął imieniem strapionej żony, córki i wnuków zwłoki wielkiego wodza, przykryte szkarlatem — zamiast aksamitu — na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej, a pochowane, jak sobie tego życzył zmarły — »bez pompy, bez owych koni i kirysów«. Wspominając o ofierze krwi i mienia, złożonej przez całą rodzinę na ołtarzu ojczyzny, pan Jakób rozwodził się w barokowym stylu nad

bliskim upadkiem całego domu, w którym naraz zabrakło ojca, syna, synowca, zięcia i siostrzeńca, poległych lub zawieruszonych w czasie nawały tatarskiej.

Klęskę cecorską pomścili Polacy zwycięstwem chocimskim, a brał w niem czynny udział Sobieski znowu jako komisarz przy boku naczelnego wodza Karola Chodkiewicza. Zawarty 1621 traktat pokojowy z Osmanem jest w znacznej mierze dziełem pana Jakóba, który spólcześnie skreślił pamiętnik tej wyprawy w trzech księgach p. t. *Commentarius Chotinensis belli*, owoc dojrzałej twórczości historycznej w ramy osobistych wspomnień ujęty.



Nr. 53. Jakóba Sobieskiego Pamiętnik wyprawy Chocimskiej.
(Gdańsk 1646).

Godny to wiekopomnego zdarzenia obraz historyczny, powagą i wiarogodnością mogący stanąć obok dzieła Tucydidesa, obraz do najdrobniejszych szczegółów wykończony, a między innymi przedstawiający portret starego hetmana Chodkiewicza, jak »złamany laty i chorobą zwycięzca Szwedów pod Kirchholmem, leżąc na łożu śmiertelnem, krzepił męstwo w Polakach«. W lat kilka potem otrzymał autor w nagrodę usług starostwo krasnostawskie, i uczczony został z tego powodu panegirykami łacińskimi bratanka Wodyńskiego (*Epiphonema*, Zamocscii 1626). Po powrocie w strony rodzinne przyszło znów naszemu krajczemu koronemu żegnać w mowie pogrzebowej złożone w grobowcu rodzinnem głowę hetmana Żółkiewskiego i ciało jego syna, a w rok po nich zwłoki wielkiej matrony

polskiej. A kiedy nie stało już potomków po mieczu, grzebał Daniłowiczów, krewnych hetmana po kądzieli, ostatnie ofiary rozjuszonego barbarzyństwa. W owym czasie był już nasz starosta krasnostawski mężem Teofili Daniłowiczówniej, powinowatej czwartego stopnia i dlatego dopiero za dyspenzą papieską poślubionej. Przeto jako zięć miał podwójną mowę — jedną przy wyprowadzeniu ciała, drugą przy złożeniu trumny — na pogrzebie teścia Jana Daniłowicza, wojewody ruskiego, a później jego syna Stanisława Daniłowicza, haniebnie przez najstarszego murzę posiekanego. Ten ostatni »niedoszły mściciel krwi dziada swego« zasługiwał szczególnie na liść wawrzynu, wpleciony mu przez szwagra w mowie żałobnej do wieńca chwały obu wielkich domów (Żółkiewskich i Daniłowiczów), zgasłych z ulewu krwi pod mieczem muzułmańskim. Dziedzice ich tradycyi i majątku, Sobiescy, stali się mścicielami przodków. Zanim to nastąpiło, zażywali owoców szczęścia za błogich lat panowania króla Władysława IV. Pan Jakób, spadkobierca trzech kluczy: Żółkwi, Oleska i Złoczowa, do których przykupił trzy nowe: Zborów, Jeziernę i Pomorzany, dzierżąc bogate starostwa i senatorskie dostojęstwa — z godności podczaszego postąpił na województwo bełskie, a z tego na ruskie — wreszcie, otrzymawszy najwyższy urząd kasztelana krakowskiego (1646), stał się największym panem na Rusi. Posiadając zaufanie ziomków, piastował też kilkakrotnie na sejmie łaskę marszałka izby poselskiej, co mu dawało znów sposobność popisywania się swoją kwiecistą i napuszoną wymową. W jednej z takich mów w charakterze opozycyjnym, protestował przeciw oddaniu przedniejszej katedry — warmińskiej — królewiczowi Albertowi »dziecku z królewskiego rodu«. Nie szczędził też ostrych wyrzutów Zygmunтови III., a przykładając rękę do t. z. eksorbitancji, przyczyniał się do zaognienia stosunku między królem a narodem. Od tej konstytucyjnej opozycji krok jeden do sejmu inkwizycyjnego a stąd do otwartego rokосу przeciw królowi, którego zgon zamienił pole elekcyjne w plac bojowy. Nasz pan na Złoczowie, biorący, jako marszałek sejmowy, czynny w elekcji Władysława IV. udział, napisał dzieje tego smutnego bezkrólewia. Budując zamki i kościoły, chwycił w chwilach wolniejszych za pióro, aby wierszem, wzorowanym na Szymonowiczu, opiewać sąsiedni pałac w Podhorcach, wystawiony przez krewniaka St. Konicpolskiego w stylu barokowym. Obdarzony zmysłem historycznym, korzystał z każdej sposobności, aby sprawy publiczne, których był świadkiem, podać do potomności. Układał więc szczegółowy dyaryusz podróży zagranicą w latach 1607 i 1636 na miejscu i w języku kraju, który zwiedzał, — władał bowiem wyśmienicie kilku obcymi językami — aby później z owych dorywczych zapisków nakreślić pamiętnik. Spisywał dyaryusz rokowań z posłami szwedzkimi w Stumsdorfie 1635 r. Popisywał się przytem swą ciężką i mocno łacińskimi frazesami upstrzoną wymową na uroczystościach weselnych Jana Sapielhy, Jeremiasza Wiśniowieckiego itp., na pogrzebach Karola Chodkiewicza, Anny Ostrogskiej i wielu innych. Pozostała do dziś księga p. t. Mowy i pisma różnych czasów Imci Pana Jakóba Sobieskiego świadczy o tej retorycznej jego żyłce z dziejopisarską splecionej.

Mowy Sobieskiego, ogłoszone jako wzory w Mówcy polskim i Swadzie łacińsko-polskiej Sapielhy, zażywały niemałej w swoim czasie sławy. Słyszał go Rzym, Wiedeń i Paryż — tak pisano o nim — w różnych poselstwach mówiącego i sławił imię wielkiego mówcy i statysty. Przyznawano mu najwymowniejsze w całej Polsce usta. Przy jego wymowie łacińskiej gasły krasomówcze popisy legata papieskiego. W stylu zarywając nieco przywar swego wieku — powiada o nim największy wymowy świeckiej znawca — nie zniża się przecież do płaskich i po-

twornych kształtów. Bogaty w piękne myśli, uderzające śmiałością obrazy i zwroty, błyszczący niekiedy ich nadmiarem. Obwinisz go o zbytek ozdób z obfitości płynącej, lecz nie o słowa czcze i jałowe na osłonięcie wewnętrznej próżni. Prawiack z wielką swobodą, lubi szeroko rozprawiać okresy, które misternie wiąże w całość.

Mowę polską »świeżą, jędrną, potoczystą« kazi łacińskimi wyrazy, a brak ścisłości osłania z brzegów wylewającym potokiem retorycznych kwiatów. Obok prostych a wzniosłych obrazów w rodzaju owych, że »na grób takiego bohatera (Karola Chodkiewicza) nie kamień zwykły położyćby trzeba, ale gruzy i obaliska tych licznych twierdz i zamków, które jego ręka zdobyła«, znajdziesz przenośnie, pełne fałszywego patosu, jak na przykład ową na grobie poległego pod Cecorą hetmana Żółkiewskiego, »aby ojczyzna ze wszystkich krańców swoich zgromadzona, zbroczona krwią kości jego na ramiona wzięwszy, jako cnoty i męstwa chwalebne widok świata wszystkiemu pokazywała«.

Znany orator i historyk zostawił też pamiątkę swej ojcowskiej pieczołowitości w dziełku zatytułowanem: Instrukcyja Panu Orchowskiemu z stron synów Marka i Jana, jadących do Krakowa na naukę. Obaj synowie Jakóba, z których młodszy miał niebawem zasiąść na tronie polskim, byli wychowani w duchu rycerskim. »Oboje rodzice nasi — pisał król Jan III. — dzielni potomkowie dzielnych, bo i matka nasza (Teofila z Daniłowiczów) nie białogłowskiego ale męskiego była serca, największe za nic sobie mając niebezpieczeństwa, wprawowali nas z młodu, abyśmy nie byli wyrodkami od przodków swych, wystawiając nam na oczy, jeszcze w dziecinnych

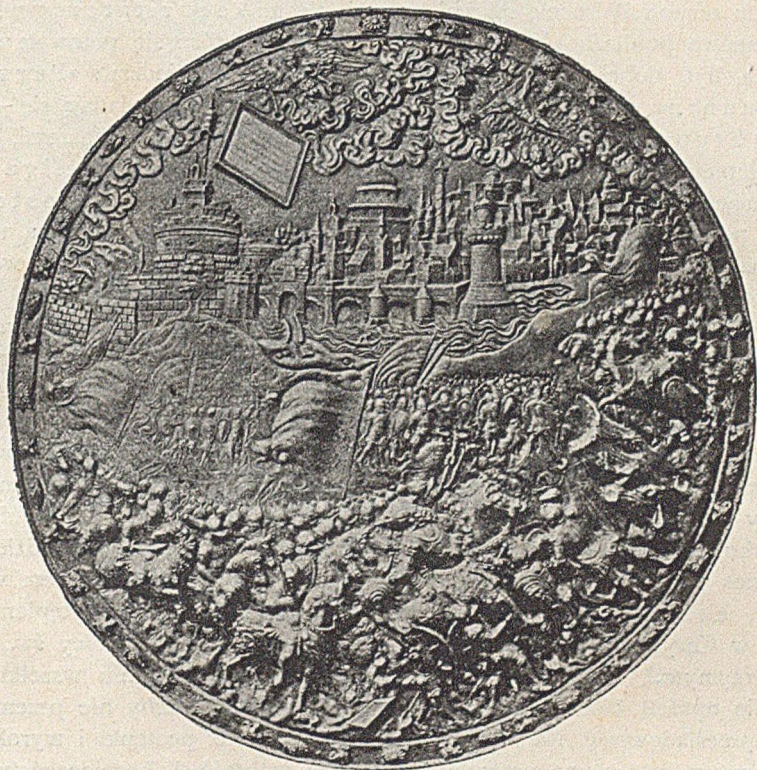


Nr. 54. Portret Jakóba Sobieskiego, ojca Jana III.
(z Muzeum ks. Lubomirskich we Lwowie.)

będącym latach, wielką sławę ich (Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich), ochotę i odwagę na zaszczyt Kościoła i ojczyzny. Kazali też zaraz z abecadłem uczyć nas tego wiersza z nagrobku pradziada naszego (hetmana, w kościele żółkiewskim): »O jak słodko jest i zaszczytnie umrzeć za ojczyznę!« Pachołtom, wyrastającym na młodzieńców, dał ojciec staranne wychowanie, powierzając je w zaufaniu staremu słudze, towarzyszeni swej pierwszej podróży za granicą, Sebastyanowi Orchowskiemu. Ochmistrz ten miał pod sobą kilku nauczycieli: języka francuskiego, niemieckiego, łaciny, dworzan do konwersacji, wyrostków do czyszczenia ubiorków, kredencierza, kucharza — cały dwór z czeladzią, stojący na usługi paniąt. Instrukcyja ojcowska, przepisująca z możliwą drobiazgowością za-

chowanie się wychowawców i wychowanków, służyć może za probierz pedagogii XVII. wieku w Polsce. Panowie nasi wpajali w synów dumę i poczucie wyższości, zaczawszy od »wikt, godnego stanu, w jakim Pan Bóg chciał mieć ich synów«, a skończywszy na wyborze i traktowaniu towarzyszy. »W kościele lub na inszem miejscu, gdzie będą, żeby miejsce swe wiedzieli i posiadać się nie dawali nigdzie i prawej ręki sobie brać, jeno wyższym wojewodzicom niż oni«. Wcześniej więc wbijano żakom »różnice towarzyskiego stanowiska«, kopano przepaście między panem a szlachcicem, nie przypuszczając »niższych« klas społecznych do spółzawodnictwa, »aby znać było sługę od pana«. Królewięta miały na usługi osobnego księżulę (za jurgieltem i stołem), a nie obeszło się w dniu uroczyste bez jednego z zaproszonych profesorów — akademii. Podejmowało się też u siebie gości, urządzano sute biesiady, na których podawali wino beczkami z własnej piwnicy i nawzajem spijali się na bankietach spółuczniów. Na naukę nie zostawało wiele czasu. A miała ona kierunek praktyczny. Ówczesne wychowanie chciało mieć z uczniów »raczej ludzi do świata«, niż ludzi nauki. Ojciec króla Jana pragnie, aby synowie jego uczyli się języków, bo tego potrzeba im będzie w poselstwach, aby się przykładali do oratorstwa, bo ze sztuki tej składać będą egzamin na sejmach i sejmikach. Ale nie życzy sobie, aby się oddawali logice i metafizyce, »bo to nauki próżniaków albo duchownych, oni zaś niech się ćwiczą do spraw publicznych«. Pan wojewoda zaleca synom skromność, ale nauczycielom każe roztoczyć jak najwięcej okazałości i pompy, choćby przyszło brać to i owo na kredkę. Poznasz przytem osławioną gospodarkę polską, obliczoną na błyszczenie, rozporządzającą ogromnemi obszarami ziemi i lasów, a pozbawioną najdrobniejszej gotówki. Fałszywej ambicyi panów sprzyjała akademia Jagiellońska, matka niegdyś wszelkiego światła w Polsce, dziś służebnica pańska. Oto profesor jej Jan Cynerski składa młodszemu synowi na wiązanie rozprawę teologiczną, wychwalając w przedmowie również starszego syna »sławnego z niezwycajnych cnót i rozumu«. (Dilectus Christi discipulus. Cracoviae 1642). Drugi profesor Jan Jakszan pisze na cześć Marka panegiryk łaciński pt. Helikon kwitnący Sarmacyi, wydany 1643. W rok potem sypie pod nogi kwiaty pochwał obydwom braciom profesor akademii zamojskiej Andrzej Abryk w »Pomniku męstwa i sławy« (X. octobris). Niebawem było im za ciasno w murach matki żywicielki. Wysłał ich więc ojciec drogą powszechnego zwyczaju za granicę. Dla przybywających nad Sekwanę młodzieńców napisał nową instrukcję wychowania. W przeciwieństwie do wystawności za pobytu w Krakowie, gdzie »całe miasto patrzyło z uszanowaniem na panięta żółkiewskie i miało znać je po ich domu gościnnym, ich asystencyi na ulicy, ich jałmużnie w kościele«, nakazywał pan na Żółtkwi, Olesku i Złoczowie skromne utrzymanie i życie oszczędne. Nie ma więc mowy o wystawnym dworze i licznym poczcie, bo na to nie stać było w Paryżu najzamożniejszego pana koronnego. Przestrzega synów, aby nie robili długów, »siła naszych Polaków pozdechało w katuszach francuskich dla długów, z wielką sromotą narodu naszego«. Ale i tutaj miało wykształcenie synów wybitnie celowy charakter. W Paryżu uczy ich »najprzedniejszy polityk i orator«. W podróży »wypytujcie się — pisze Jakób Sobieski — czyje miasto, pod czym rządem, co za municye i załogi na niem, jakie położenie — to sobie wszystko będziecie notowali w tej książce swojej przez wszystkie czasy swojej peregrynacyi«. W Lowanium (w Belgii) ze sławnym podonczas uniwersytetem, mieli się poduczać w sztuce wojennej. Prócz lektury domowej, jako rzeczy »nieskończenie użytecznej i milej«, poleca ojciec naukę języ-

ków cudzoziemskich, bo to »ozdoba i chwała szlachcica polskiego — przyda się to i na dworze pańskim i na różne Rzeczypospolitej usługi« — przede wszystkim zaś konwersację w języku francuskim, bo »jak oręż francuski i fortuna francuska, góruje teraz (1645) w świecie chrześcijańskim język francuski«. Do głównych warunków ogłady towarzyskiej uchodziła w salonach paryskich galarda (taniec francuski) i gra na lutni. Stary wojewoda, lubo sam na krój francuski opolerowany, nie mógł się jakoś nagiąć do nowych wymagań towarzyskich. Wolał taniec tatarski niż galardę francuską, a trawienie czasu na grze uważał za błazeństwo. »Bę-



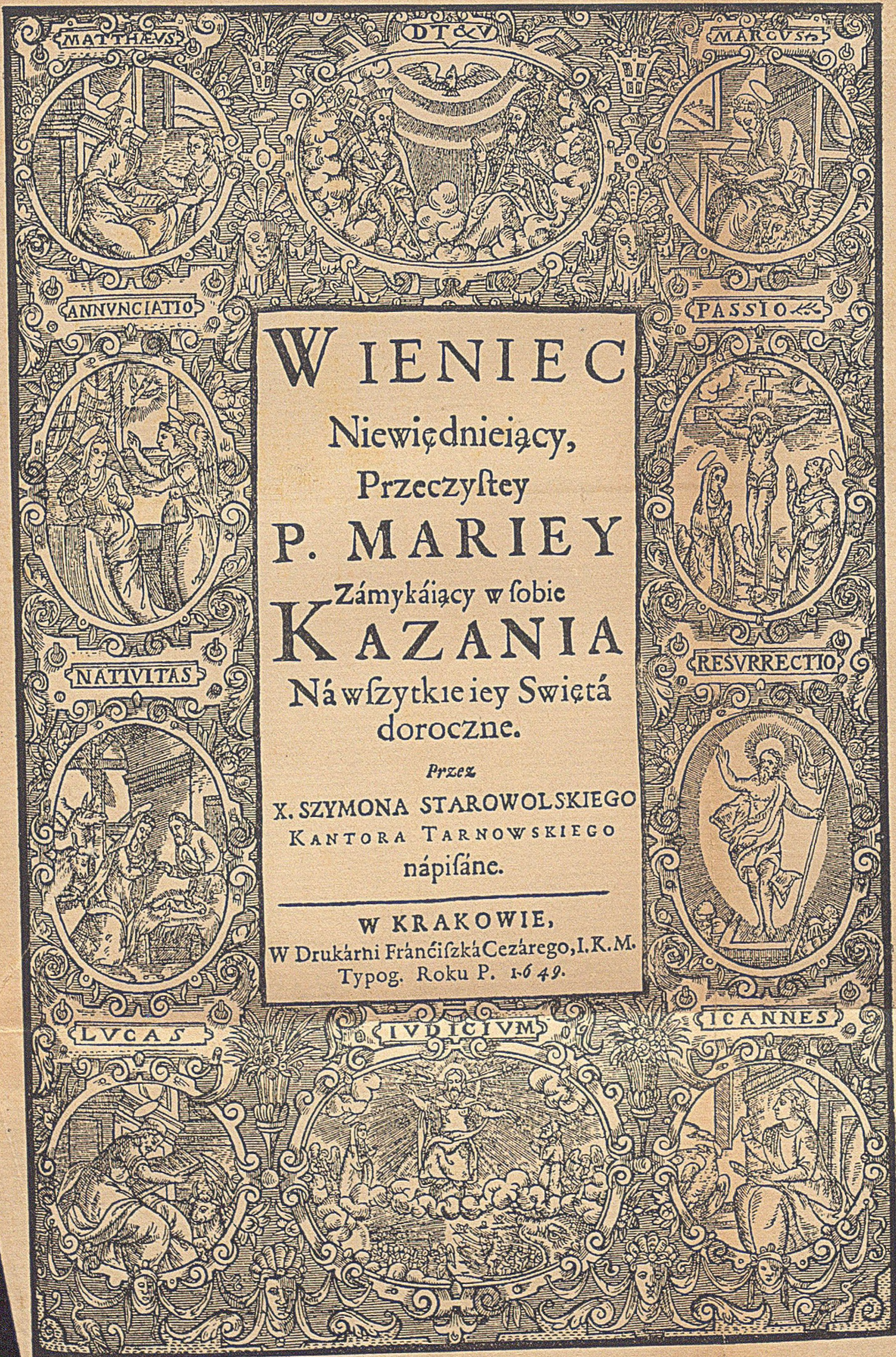
Nr. 55. Tarcza króla Jana III.

dziecie — powiada — dalibóg mieli tyle dostatków, że możecie sobie muzykę chować. Lepiej, że oni wam będą grali, niż wy sobie«. Po odbyciu tej szkoły salonowej ruszyli młodzi Sobiescy w dalszą podróż według instrukcji ojca, zmarłego w tym czasie (1646) w 58 roku życia, do Włoch, a następnie do Stambułu, w celu »zbadania potwora otomańskiego w jego własnej norze«, skąd ich dopiero wieść o strasznym buncie Kozaków do ojczyzny zwabiła. — Zalety dziada i ojca odziedziczył młodszy z nich, wybawca Austrii i całego chrześcijaństwa od nawały barbarzyństwa, a zarazem słynny mówca, nie gardzący igraszką słów i conceptami, w kwiecistym stylu baroka. Pełen gorliwości obywatel i żołnierz, przelewał Jan Sobieski swój zapał w słowa; mówił, jak działał: śmiało i gorąco. Ale i on nie ustrzegł się zbytku okras i alegoryi wylewającej z brzegów, uganiał się za nad-

zwyczajnymi, nowością uderzającymi obrazami i zarzucał na płody swej myśli fałdzistą togę wielomówstwa. Hołdował zepsutemu smakowi wieku, strojącemu się w arlekinowy płaszcz makaronizmów. Oto jak największy tego wieku bohater, władający dzielniej orężem aniżeli berłem, przemawiał w parlamencie: »Kiedy się zapatruję na zawziętość, która sejm zerwała — mówił to po zerwaniu sejmu z 1681 r. — mogę tu imitari (naśladować) wielkiego raczej imieniem Augusta, który po straconych przez hetmana wojskach, żalem i zdumieniem zdjęty, zapomniawszy wielkości swojej, to tylko mówił: »Varre, Varre, redde mihi legiones (Warrusie, Warrusie, wróć mi legiony!). Toż i ja mówię do tych, którzy sejm zerwali: Wróćcie mi wojska, wróćcie mi securitatem publicam (bezpieczeństwo publiczne), wróćcie mi już nabytą i która się gotowała sławę. — Musiał ten być dobrze w żalach wyćwiczony, który powiedział: »Parvae curae loquuntur, ingentes stupent. (Małe troski wypowiadają się — wielkie osłupiają). Stupet (osłupieje) i słusznie cały świat nad radami naszymi, stupet urbs (osłupieje Rzym) z głową chrześcijaństwa — stupent cōlligaci (osłupieją panujący), stupet pogaństwo — o! dopieroż stupebit posteritas« (osłupieje potomność). Jak inni mówcy polityczni, zdobywający się na wspaniały wyraz zapału, gdy chodzi o obronę Rzeczypospolitej, miewa i nasz koronowany mówca szczęśliwe chwile — w ogólności jednak wpada w nadętość.

Z bogatej literatury krasomowczej innowierców wybił się dzięki swemu ojcu nieodrodny syn wielkiego obrońcy prześladowanego wyznania Aryan, Jędrzej Moskorzowski. Obrócił też i on dar swój przekonywającej wymowy na usługi nieszczęśliwych spółwyznawców. — Było to już w epoce, kiedy wrogie żywioły katolików i ewangelików podały sobie ręce w celu zgniecenia znenawidzonego przeciwnika. Jędrzej zaczął od walki na pióra, wysadzony na czoło kolumny przez towarzyszy odnowionego kościoła. Wystąpił najpierw przeciw księdze Martiniego O trzech bogach, poparty w boju przez Adama Gosławskiego. Oba dzieła przepadły gdzieś w zawierusze, która wstrząsała do gruntu całem wyznaniem w Polsce. W czasie, kiedy sejmy i trybunały koronne spisknęły się na wytępienie nauki, uznającej w Chrystusie tylko człowieka, a przeczącej bóstwu Trójcy św., on »tę burzę wstrzymywał, ustawiczny i niez mordowany w zapobieganiu wszelkim zamachom«. Nie opuścił żadnego sejmiku, żadnego zebrania, ażeby nie przemówić do sumienia prześladowców. Na sejmie wytaczał »rozmaite postęпки i wyroki trybunału koronnego, przeciwne prawom warującym wolność i bezpieczeństwo innowiercom«, a wymieniając niegodne środki, jakich się imał Kościół, przytoczył jeden, do dziś stosowany przez prześladowców wolnej myśli: zakaz zjazdów i zgromadzeń prawem dozwolonych pod pozorem wzniecenia przez nie przy tej sposobności rozruchów. Odpierając z oburzeniem gwałt i prześladowanie nauki Socyna, przypominał, że »natura ludzkiego mniemania żadnemu uciskowi zatłumić się nie da«, wymieniał przykłady silnej woli u pogan, którzy woleli »zdrowia własnego odstąpić«, aniżeli tego, co za prawdę uznali.

»Czasem ustom — powiada — i to płochego tylko człowieka wędziło wprawić możesz, ale trudno munsztuku przybrać sercu, na którym żadnego, póki na nie samo nie zezwoli, musem i gwałtem nie przewiedziesz«. Z powodu potępienia Samuela Bolestraszyckiego za przekład dziełka francuskiego »Heraclite« następuje żywo na cenzurę duchowną: »Pozwano go — powiada — że wydał książkę bez pozwolenia władzy duchownej, toć potem pozwą drugiego, że bez licencji biskupiej pacierz mówi, albo książkę jaką czyta. Toć ichmościowie w kleszcze twardej



W IENIEC

Niewiedniejący,
Przeczyste

P. MARIEY

Zamykający w sobie
KAZANIA

Náwszystkieiey Świętá
doroczne.

Przez

X. SZYMONA STAROWOLSKIEGO
KANTORA TARNOWSKIEGO
nápisáne.

W KRAKOWIE,
W Drukárni Franciszka Cezárego, I. K. M.
Typog. Roku P. 1649.

niewoli dawno waszmościów ująć usiłowali. Bo jeżeli wolno to, co kto wierzy, wyznawać, toć wolno to i napisać. (Autor i tłumacz byli kalwinami). Nie skądinąd zaś jak z owego ducha inkwizycyi hiszpańskiej na Bolestraszyckiego ta burza wyniknęła, iż go za przetłumaczenie książki francuskiej więżą przez sześć miesięcy na dzień i winą czterysta grzywien skazano, książkę przez ręce katowskie na ogień puszczono, a czytać ją szlachcicowi pod ucziwością, plebejom pod gardłem i konfiskacją dóbr zakazano«. Tu następują luźne myśli t. z. maksymy, podobno z rękopisu ojca, Hieronima Moskorzowskiego, przepisane przez syna: »Niewolić sumienia i prześladować różnie pojmujących prawdy, przeciwi się jak wierze, tak sprawiedliwości. — Kto w Rzeczypospolitej ciężary znosi, ma też prawo do swobód. — Pytać się należy: co kto zać, zły czy dobry? nie o to, w co wierzy? Dyssydenci nie szukają katolików wyprzeć z ich miejsc, nie zaprzeczają ich duchowieństwu pierwszeństwa — nie okrucieństwo więc zabraniać im wspólnego powietrza, odganiać ich od piersi wspólnej matki«. W mowie wypowiedzianej podczas elekcyi Władysława IV., staje znowu w obronie swego wyznania. »Nie godzi się mnie odpychać od wolności, dlatego że tak albo owak wierzę — bo cóż wiara ma do tego, żeby mi dla niej praw i swobód ojczystych umykać miano. Urodziłem się w wolnościach, pod prawem, przeto żaden tego, czego mi nie dał, bez cięższej nad śmierć krzywdy, odjąć mi nie może«. A nietylko słowem i piórem walczył w obronie swego wyznania, starał się także rozciągnąć opiekę nad szkołami swego Zboru, aby wszczepić zasady swej wiary w serca przyszłego pokolenia. — Niestety, praca jego nie wydała owoców. Duchowieństwo katolickie przy pomocy szlachty zacieśniło obrozę prześladowania, grożąc wyznawcom odnowionego kościoła zagładą. Z powodu obrzucenia kamieniami krzyża przez żaków w Rakowie, skarconych wśród samych Aryan, sądy królewskie ukarały całe siedlisko sekty, zwane Atenami aryańskimi, »niszcząc zbór, szkoły, drukarnię, rozganiając cały hufiec, który więcej niż przez pół wieku toczył wojnę« z urzędowym kościołem. Nawet sami katolicy nie pochwalali owego dekretu sejmowego z 1638 r., który zmieniał w jednym dniu kwitnące miasto w przeraźliwe pustki. Klęskę tę okupił śmiercią przewodca Aryan, nasz Moskorzowski zaś zamknął się w swoim szlacheckim dworku i nie wychylał się już na arenę publiczną, chyba że go uprosili przyjaciele lub krewni do oddania ostatniej krasomowczą sztuką przysługi lub do uświęcenia aktu weselnego nowożeńców. Mowy te jego z lat 1638—42 przechowywano w rękopisach, o których pono słuch zaginął.

Prawdziwą plagą tego wieku są mowy pochwalne — jeden z olbrzymich konarów literatury panegirycznej, której rozrost dochodził u nas do monstualnych rozmiarów. Dość powiedzieć, że w samej bibliotece Jagiellońskiej naliczono trzy tysiące panegiryków z tej epoki. Nastęrczały do tego sposobność urodziny, śluby i pogrzeby, zwycięstwa, zjazdy i mianowania, uroczystości szkolne i kościelne. Mamy całe zbiory panegirycznych mów: Przemowy weselne i pogrzebowe. Kraków 1625. Samuela a St. Floriano (Wysockiego) Orator polonus, Warszawa 1740. Z łacińskich: Panegyrici variorum, w Antwerpii 1633, Zaleskiego Auges siderum eloquentiae, w Warszawie 1720 itp. Na cześć króla Władysława IV. napisano sześćdziesiąt i kilka panegiryków, marnemu królowi Michałowi poświęcono ich około 30. Wybijały one do najwyższego stopnia za panowania Jana III., a doszły za Sasów do najwyższego zepsucia i upodlenia.

Mowy okolicznościowe wyradzały się w panegiryki na cześć dostojników świeckich i duchownych, mecenasów lub uczonych, »splatające swym bohaterom

wieńce nieśmiertelności«. Występowała tu dworskość w całej okazałości, »przemawiając wierszem, prozą, emblematycznie, akroamaticznie, anagramatycznie« i t. p. Towarzyszyły jej wonią pochlebstwa skropione »sentencje, symbole, lemmata« i tym podobne figury retoryczne. Oto przykład przesady w hołdach. O biskupie Żałuskim, w jednej z takich mów fosforem erudytów przezwanym, powiada Jezuita, że »wprzód nim słońce ziemię, on już światłem swoim Sarmacyę (Polskę) oświe-



Nr. 56. Melchiora Stan. Sawickiego Żałoba białych lilii po śmierci biskupa Tryzny. (Wilno 1643).

cał«, że »nawet drzymał i spał mądrze, lepiej marząc we śnie, niż inni filozofują na jawie«. Nie dali się w nadętości ubiedz Jezuitom akademicy krakowscy. Jeden z nich, Widawski, napisał półtrzecia-arkuszkową mowę pochwalną, której »wszystkie wyrazy zaczynały się od głoski t«.

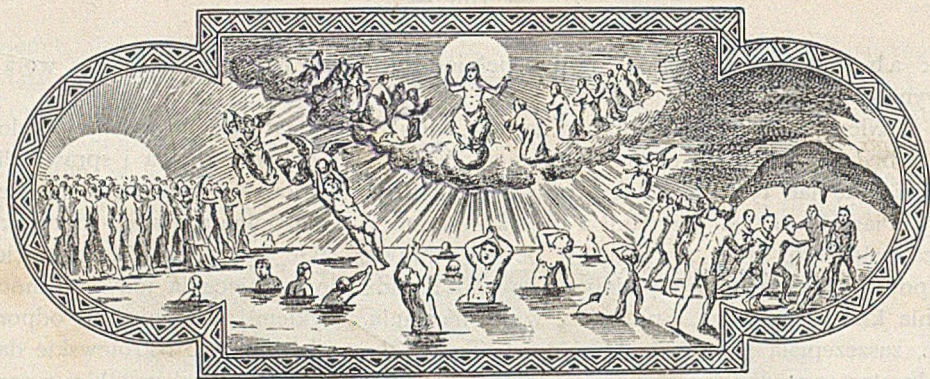
W oracyach weselnych »amanci harpokratyczne chęci swoich solwując pieczęcie, tłumaczyli swym bogdankom strzeliste afekty, słodkich kanarów kondymentem olukrowane«. Intonowali im »głośnym na świat rezonem« mówcy dziękczynni

ex abundantia cordis (z przepelnionego serca) uprzejme składając wota swym dobrodziejom.

Nierząd i upadek moralny narodu odbijał się i na kartach wymowy sądowej, będącej w swym czasie igrzyskiem dla popisu mataczy prawa i sprawiedliwości. Oto jak tych szczekaczy prawnych maluje prawdomówny dziejopis społeczny, Piasecki: »Nasi' przedajni' i' chytrzy rzecznicy przypominają owego prawnika bizantyńskiego, który zapytany w pewnej sprawie, jakie jest prawo bizantyńskie, odpowiada: jakie mi się podoba. Ten rodzaj ludzi do podniecenia jedynie i mnożenia kłótni sprawny«. Sprawność w szermowaniu językiem, zaczepnie lub odpor- nie, zaszczeniała już szkoła w chłopcu. Trybunały, sądy sejmowe i królewskie da- wały starszym sposobność popisywania się tą nauką. Przedstawicielem takiej z cza- sów saskich uczonej palestranckiej wymowy, w której sążnistych induktach (wy- wodach) odnajdywałeś cały kram wiadomości, jak w »Nowych Atenach« Chmie- lowskiego, jest słynny »prawobronca« Michał Strawiński.

W szeregu niezliczonych pomników wymowy sądowej godzi się wspomnieć o oratorce polskiej, Teresie z Roztworowa 1^o voto Godlewskiej, 2^o Załuskiej, sta- rościnnie rawskiej (urodzonej 1676, zmarłej 1759 r.). Należała ona do głośniejszych w swoim czasie kobiet; świadoma języka łacińskiego i prawodawstwa krajowego, ocytana w literaturze francuskiej i włoskiej, tłómaczyła z niej niektóre rzeczy i napisała dziełko o cnotach i przywarach niewiasty polskiej, zawieruszone gdzieś między rękopisami. Wsławiła się zaś zręczną i pełną erudycyi mową, wypowiedzianą w języku polskim 1732 przed trybunałem piotrkowskim. Znosi w niej pani, znana z cnot obywatelskich, skargę sądową na jednego z owych gwałtowni- ków, dopuszczających się bezkarnie mnogich okrucieństw i gwałtów. Ostatnim jego czynem był napad na biednego szlachcica, sąsiada starościny, i na zarządcę jej lasów, za którymi gorąco przemawia przed sądem oratorka, domagając się su- rowej kary za sromotne nadużycia oskarżonego. »Trzeba rygoru i sprawiedliwo- ści — tak brzmiały słowa oracyi Załuskiej — na poskromienie występków i wio- lencyi, na pokazanie innym. Gdyby był Jegomość (Antoni Wodziński) skarany za pierwsze zabójstwo, nie jęczałoby nas tak wiele teraz pod opresyą i pieniactwem jego. — To nie ja, lecz głos krwi braci, nie jednego, ale tak wielu pokrzywdzo- nych, poranionych woła o pomstę. Gdyby to król uczynił, czyliby z województw i ziem nie wychodziły poselstwa, instrukcye, remonstrujące Panu — zgwałcenie praw, wolności i przywilejów stanu szlacheckiego, a przecie to Jegomości ucho- dzi bez kary. Przyjdźcie z pomocą uciśnionemu, ochrońcie sieroty, ukarźcie cie- mięzców naszych, zuchwale usuwających się z pod ramienia sprawiedliwości«. Wyrok trybunału, po wysłuchaniu obu stron, skazywał Wodzińskiego na karę więzy, a następnie banicyi. Wszelako — jak zwykle — do wykonania srogich dekretów nie przyszło. Co więcej w roku 1740 zapozwał nasz stolnik rozwiedzioną ze swym mężem starościne, przed trybunał piotrkowski, za wyjednanie konde- mnaty i spowodował wyrok, skazujący Załuską na wieczyste wywołanie z kraju. Po dłuższych procesach przyszło wreszcie do obopólnej ugody.





ROZDZIAŁ CZWARTY.

SZTUKA DRAMATYCZNA.



Od najdawniejszych czasów przedstawiano u nas, podobnie jak za granicą, widowiska religijne, będące zarodkową komórką teatru. Już w XVI. stuleciu dochodzą nas wiadomości o kompaniach czyli drużynach aktorskich, złożonych ze studentów; następny wiek zdobywa się na stały repertuar sztuk o charakterze średniowiecznym, przesiąkniętych wyobrażeniami ludowemi. Misterya te, wzorowane na widowiskach zachodnio-europejskich, jako spóźniony i przejrzały owoc twórczości, nie budzą żywszego zajęcia, w swoim czasie jednak dawały ludowi strawę duchową i odpowiednią rozrywkę. Pojawiają się one już w średnich wiekach, przechowały się w ułamkach z XVI. stulecia, atoli dopiero w XVII. w. i pierwszej połowie XVIII. wieku doszły do względnego rozwoju. Pozostając jednak i w tym okresie na dość niskim poziomie, odznaczają się — tak pod względem układu, jak wykonania — niezwykłą na owe czasy prostotą; brak im jednak głębszej symboliki, znamionującej misterya na zachodzie, a żywioł komiczny, jeszcze wcale rubaszny, nie łączy się dość organicznie z całością. Wszystko to świadczy o starożytności ich pierwotnej redakcyi, jak na wskrós średniowieczny charakter stawia je w rzędzie mniej lub więcej udatnych kopii zagranicznych oficjów. Zabytki te wieków średnich grywano w kościołach, na cmentarzach i na placach publicznych, skąd się wskutek zakazów biskupich przeniosły do szkoły i na dwory szlacheckie.

Przypatrzmy się nieco bliżej tym misteryom polskim.

Trzymając się kalendarza kościelnego, zajmują pierwsze miejsce misterya o Bożem narodzeniu, których ślad pozostał do dziś w przedstawieniach, dawanych na wsi pod nazwą jasełek. Mimo swej osnowy ewangelicznej zawierają one dużo pierwiastków realistycznych. Oto np. scena szukania noclegu przez Maryę i Jó-

zefa. Pukających do drzwi odprawia z fukiem gospodarz temi oto słowy (w »Dyalogu o narodzeniu Chrystusa« z pierwszej połowy XVII. w.).

Bo ja — słyszysz — tu dziadów i bab nie nocuję,
Tylko szlachtę, panięta, z którymi przestaję.

W misterjum »Na uroczystość Bożego narodzenia« z pierwszych lat panowania Jana Kazimierza, przychodzi »żołdat« z wojen kozackich, »niegdyś zamożny gospodarz«, który przez wojaczkę »wszystko potracił«, obecnie odarty i pokaleczony szuka służby w mieście. Nie brak także scen humorystycznych, jak np. w owem misterjum na temat ofycjum pasterskiego z końca XVII. wieku, gdzie karczmarze Mazur i Rusin czynią staremu Józefowi docinki, że »ma młodą żonę«...

W epoce spotęgowania uczuć religijnych chwyтали się pisarze XVII. i pierwszej połowy XVIII. stulecia motywu męki Pańskiej jako najsilniej działającego, i przedstawiali w Wielki tydzień dewocye postne lub na uroczystość niedzieli kwietnej odbywali procesyc, »mające wyobrazić tryumfalny wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy«. W czasie wożenia Pana Jezusa po kościele na osiołku, pozwalali sobie żaki różnych nieprzystojnych żartów. Ślady podobnych dowcipów zostały w »Historji o Pańskim Zmartwychwstaniu«, ogłoszonej 1757 nie bez satyrycznej tendencji przez Małachowskiego przeciw Paulinom, urządzającym podobne widowiska.

STUDENT.

Witam Cię, Jezu, pociecha jedyna.

MACIEK FIGMAKA.

Witam pokornie maleńka dziecina.

Będę cię chwalił, żeś jest dobry, Panie,

Gdy sobie podjem szynki na śniadanie.

Z dewocjami postnemi zostają w ścisłym związku oficya wielkotygodniowe, odgrywane przez bractwa męki Pańskiej, uprzytomniające publicznie biczowaniem i grobową dekoracją sceny pasyjne. Przeprowadzają one nas na próg wielkich misteryj i cykli wielkanocnych, mających za przedmiot ukrzyżowanie Chrystusa Pana, a uważanych za integralną część nabożeństwa w kościele. — Zaczynają się zazwyczaj naradą rabinów nad ujęciem Chrystusa, którego dwudniówka sławkowska p. t. *Passio Domini nostri*, przedstawia jako »niebezpiecznego agitatora ludowego i burzyciela religii«. Przyczem Judasz wygłasza zdrowe myśli w rodzaju następujących, które tu z »Dyalogu pro feria quinta« wyjmuję:

Obiecujać zapłatę kiedyś tedyś w niebie!

A mnie co tam do nieba! czekajże ty nieba,

A teraz klep z nim nędzę, nie jadaj i chleba itp.

Sceny powieszenia i katowania świadczą jaskrawością kolorytu o niskim poziomie smaku estetycznego ówczesnej publiczności. Zabawy na Boże Ciało, również jesienny pokwit sceniczny, dramatyzowały wśród ludu symboliczne pojęcia o dogmacie i przygotowywały słuchaczy do misteryj o świętych. Do najpopularniejszych u nas sztuk teatru średniowiecznego, w głąb XVIII. wieku sięgającego, należał dramat miłosny Józefa, pierwszy przykład intrygi, nie schodzący z desek naszego teatru od Rejowskiego Żywota Józefa aż do przeróbek Załuskiego i Mi-

nasowicza. Dla nas bliższymi są dyalogi o św. Stanisławie jako patronie Polski, osnute na tle stosunków społecznych Rzeczypospolitej ze środka XVII. w.

Kiedy legendy świętych, zarówno jak opowieści ewangeliczne, przejadły się słuchaczom, a wpływ odrodzenia rozlał się szeroko po nizinach społecznych, zasilali się autorowie dramatyczni motywami repertuaru klasycznego. »Grubo ciosane i mało indywidualne postacie« teatru kościelnego ustępują charakterom bardziej dramatycznym i psychologicznie modelowanym. Przygłuszają je jednak niebawem t. zw. moralitety czyli sztuki o tendencji dydaktycznej, operujące personifikacyami cnót i grzechów, figurami alegorycznymi. Owoc ten wpływu sceny romańskiej występuje w dramatycznej postaci Rozmowy duszy z ciałem, zabarwia się społecznie w tragediach o bogaczu i Łazarzu (»majętni — w sztuce tej kategorii z połowy XVII. w. — dostają się najczęściej do piekła«), aby w tragikomedyach na dni mięsopustne wygłosić zasady niemal materialistyczne. Oto np. w karczmie zasiadają Łapikufel, Moczygęba i tym podobni pachółkowie (w sztuce zatytułowanej »Gryzidzban«), aby sobie łyknąć na zgagę i niestrawność. Wtem wpada ksiądz i gromiąc wyzywa ich od machlerzy, pijaków. Na co wstaje Łapikufel i wykurzwszy klechę »rozpuszcza język i zaczyna drwić z Boga, duszy, z nieba i piekła«.

Prawdę mówił niekiedy on Epikureus
I ja też tak powiadam, że brzuch jest mój deus.

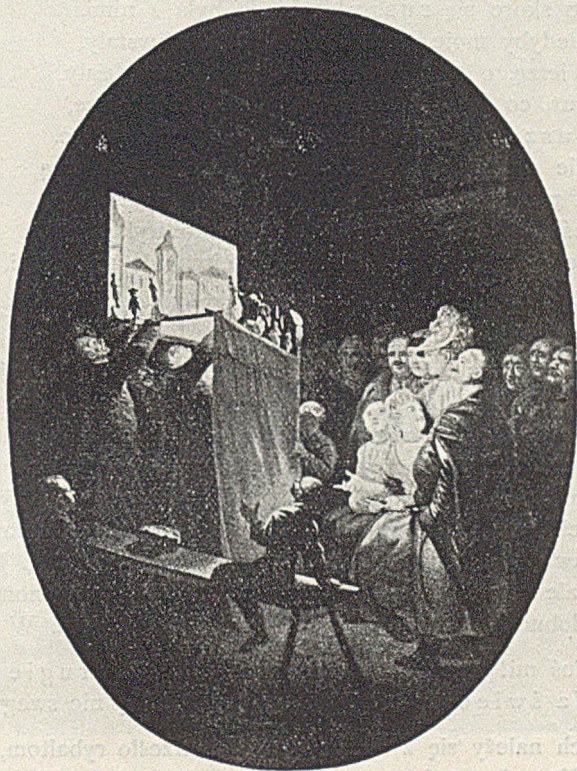
Za karę staje się łupem szatanów. Od tych widowisk krok jeden do intermedyów, służących pierwotnie do rozweselenia publiki po przedstawieniu poważnych sztuk, ale wcześniej już dochodzących do samoistności. Nasze intermedya mają wiele podobieństwa z improwizowanymi farsami włoskimi dell' arte. Przychoǳą w nich stereotypowe figury, popisujące się na scenie żarłocstwem, grymasami lub mimiką. Siła komiczna polega tu na kalemburach i psikusach, na jaskrawych kontrastach i drastycznych przenośniach.

Cieszyły się owe sztuki niezwykłym powodzeniem, przeplatano nimi tragedye, zaczynało lub kończono dyalogi. Nie miały one ściślejszego z dramatem związku, lubo niekiedy spotykamy tu i tam wspólne osoby, a osnowa ich bywa komicznem nicowaniem akcji tragicznej. Budzą dziś zajęcie przez silne akcentowanie pierwiastków ludowych i przez swój gruby, sprośny ale jędrny dowcip. Akcja ich nieszczególna, kiedy się zadawała prostem biciem; dyalog słabiuchny, skoro się na grze słów zasadza, mimo to rzucają się w oczy okazy owych żaków, dworzan, żydów, słuǳących, pielgrzymów, kozaków, aniołów i szatanów. Aż roi się tu od typów ludowych, istna mozaika osób różnego stanu i narodowości. Przędzy do tej różnobarwnej tkaniny dostarczają różne facecye i anegdoty, fraszki i apoftegmata, w które obfituje wiek XVI. a pomnaża następny. Językoznawcę i etnologa nęci gwara chłopów i mieszczan, występująca w swej niezatartej przez wieki pleśni, nieraz na czarnem tle ostro zarysowanych stosunków społeczno-religijnego życia. Psycholog przypatrzy się z zajęciem barbarzyństwu żaków, sprośnym sztuczkom sług, i całej maskaradzie zapustnej chłopów, żydów, cyganów, charakteryzowanych raczej gburowatym zachowaniem się, gwałtownymi ruchami, kostyumem aniżeli słowem. Historyk znajdzie w niem, niby w zwierciadle wklęsłym, odbicie społecznych wypadków: jak wojny kozackie, szwedzkie lub rosyjskie, spotka się z dowcipnem obrazowaniem naszych sejmów i sejmików, lub satyrą na zawadlyków elekcyjnych.

Nie małe zajęcie budzą dyalogi obyczajowe. Zajmują one miejsce utworów

scenicznych, służąc, jak cała literatura staropolska, sprawie publicznej. Były zaś jakby mikrokosmem owych »gwarnych rozpraw i scen burzliwych«, rozgrywanych na makrokosmie sejmów i zjazdów, gdzie każdy z szlachciców »był zarazem widzem i aktorem«. Wyszadzano w dyalogach nierząd i swawolę, marnotrawstwo i zbytki szlachty, w jaskrawych kolorach malowano »niedolę biednego kmiecia, któremu częstokroć ostatni dobytek zabierają konfederaci«.

W dyalogu z początku XVII. w. p. t. »Nędza z biedą z Polski idą«, chłopszcze bezimienny autor biczem satyry Lisowczyków, słynnych z niekarności i swawoli, „ale też i z bohaterskich czynów odwagi. Nie przepuszcza też innym stanom,



Nr. 58. Jaselka w Polsce 18 w. malował Norblin.

karci »nierzetelność w handlu, rozpustę i grabieżę żołnierzy, niesumienność panów«, u wszystkich zaś łakomstwo i samolubstwo.

W repertuarze sceny polskiej od końca XVI. wieku do czasów otwarcia teatru publicznego w stolicy Polski, pierwsze miejsce zajmują franty i błazny, wywodzący ród swój od żonglerów i szpilmanów średniowiecznych, a bujnie rozkrzewieni po dworach pańskich. Spotykamy ich w sztukach XVII. w. w podrzędnych rolach sług i djabłów w misteryach i moralitetach, a zwłaszcza w scenach bachicznych, gdzie jako niesforne duchy »wypadają całą zgrają na deski, skaczą, potracają dygnitarzy i wśród szyderstw, obelg i przezwisk porywają hulaków i na taczkach wiozą do piekła«. Z uszlachetnionej rasy błaznów w guście Stańczyka, wyrasta

»frant-literat« Jan Dzwonowski, tytułujący się najchętniej »generałem pilźnieńskim«, dlatego że w tem mieście polskiem pełno było na odpustach różnych kuglarzy i wydrwigroszy, zdobywający się sam na utwór dramatyczny p. t. Rozmowa szlachezca z karczmarzem, ogłoszony drukiem w pierwszej ćwierci XVII. wieku. Mamy tu ostrą, pełną dwuznaczników satyrę na szkody wyrządzone przez obozujące wojska rokoszani (Zebrzydowskiego), które nazywa »niepospolitem ruszeniem«.

Ba, właśnie naruszenie, mój łaskawy panie.
Ruszać ić nas jak djabli, niestety mnie na nie.
Bodaj się nie był ruszył żaden w naszej ziemi,
Bo skoro się ruszyli, bieda była z nimi.
Kiedyby moje gąski teraz zmartwychwstały,
Wierzę, o tem ruszeniu żeby powiedziały.
Nuż, co było w komorze legumin po trosze,
Ruszenie naruszyło, ba i stare grosze.
Nie wiem co tam zwojował wołem albo krową,
A przecie to ruszeniem pospolitem zową.
Jeślić też to, co z gumna wszystko wykruszyli,
Bodaj się tak do śmierci z miejsca nie ruszyli.

Obok tego intermedyum mamy broszurę Dzwonowskiego, zawierającą ustawy Sejmu walnego domowego, skierowaną ostrzem satyry na mężów pantoflowych. Od satyr takich w gущie Sejmu niewieściego roi się w naszej literaturze XVII. wieku.

Ilustracją ruchliwego życia uliczników w Poznaniu za panowania Zygmunta III., jest Bigos upity. Frant, przed którym ulicznicy — strojąc żarty — uciekają jeden po drugim jak przed marą, aż on sam w końcu »uwierzył w swoją śmierć i zgodził się, żeby go pochowano«. Zdejmują więc zeń ubranie aż do koszuli i uciekają, zostawiając na scenie Bigosa »dzwoniącego zębami«. Już zbliża się doń śmierć z kosą, ale nasz frant wykręca się sianem, a »kumpanom« swoim odplaca pięknem za nadobne, obdzierając jednego z nich z ubrania. W ucieczce woła:

Tuś mi! Sztuka za sztukę. Tak jeden drugiego
Na świecie łupi. Wszyscy nie mają nic swego.

Po frantach należy się z wieku i urzędu krzesło rybałtom, czyli bakałarzom wędrownym. Wywodzą oni początek swój z satyry ludowej p. n. Wyprawa Albertusa na wojnę, rozpowszechnionej w Polsce od 1590 roku do końca XVII. w. a mającej na celu wyszydzenie rycerzy fanfaronów, których ostatnie okazy w postaci Papkina i Zagłoby okala nieśmiertelna aureola humoru. Ze wszystkich rybałtów jest Wojtaszek najdzielniejszym stanu nauczycielskiego obrońcą, malującym w gorących barwach »nędzę swego stanu«. Kolega jego Rybałt stary (1632) żali się z Gregowiczem (1629) na »trudność znalezienia miejsca« wskutek otwarcia szkół w konwiktach Jezuickich, odsłania zawiści konkurentów: chciwych kantorów i bakałarzy, wogóle bezdenną Szkolną mizeryę (1633), wzgardę nauk i poniżenie studentów. Ponad to Synod klechów wykrywa »ucisk służby kościelnej przez proboszczy, na których gorzko się żalą rybałci«.

Oto profil jednego z takich klechów. Był to sługa kościelny, chętnie zagląający do kielicha, dumny ze swej sztuki czytania i śpiewu, »pogardza kmięcym stanem«, ale lubo wiele o sobie mniema, »nieraz dudkuje z niego chłopski ro-

zum«. Jako »przełożony nad szkółką wiejską«, żył z łaski żaków, znoszących mu masło, gomułki, kury, »aby się od plag zastąpić«; trudnił się przytem leczeniem a raczej fuszerką i »stroił zaloty do wiejskich niewiast«. Spełniał też funkcję śpiewaka kościelnego, uczonego i społecznika miotającego gromy na szlachtę za ucisk ludu.

Wiernie z życia pochwyconym jest typ chłopu, oddającego syna do szkoły, w intermedyum odegranem jeszcze 1579 r. w Kolegium Jezuickiem w Pułtusk, a powtarzanem z pewnemi wariantami w XVII. w. »Wyrwa, prosty człowiek«, oddaje syna do bakałarza, którego nazywa kałamarzem, a przynosząc dlań pod



Nr. 59. St. Wolski. Peregrinatio Jerosolimi.

pachą gąsiora, pragnie żeby jego Wawrzyk należał od razu do celujących i »mój też koszt nie był omylony«. Nauka rozpoczyna się od tego, że bakałarz każe Wawrzкови umyć nogi, a gdy się wzbrania to uczynić, twierdząc, że »w domu matka myła mu nogi«, dostaje porządne cięgi. Dowiedziawszy się o katowaniu syna, zabiera go ojciec ze szkoły, żądając »zwrotu ofiarowanego gąsiora«. Z przekleństwem na »miejskie wykręty« odchodzi Wyrwa ze szkoły, wołając na syna: »Idź Wawrzku po kobyłę, spieszwa się do domu«. Chłop w intermedyum z początku XVIII. wieku, oskarża ojca Adama, że w raj u zgrzeszył i stan kmieci na taką biedę naraził.

Słyszałem — powiada — na kazaniu niekiedy od księdza,
Żeby się nas nie była żadna jęła nęda.

Pańszczyzny tedybyśmy byli nie robili,
Tylko do karczmy dzień w dzień na piwo chodzili.
Chleb biały toby byli nietylko panowie
Sami jadali — i my też chłopkowie.

W komedyi »Sołtys z klechą«, drukowanej w Krakowie 1646 r., porównują tego drugiego ze źrebięciem w tych oto wierszach:

Niech się klecha z swą szkołą przeciw niemu (kłusiątku) stawi,
Ujrysz jak ich wielkiego wnet wstydu nabawi.
Kłusiątko to pije jeno tyle co potrzebuje,
Ale nasz miły klecha tak się więc oleje,
Że się na nogach swoich jako trzcina chwieje.

Odwzajemnia się klecha drażniony przez opoja ziemianina, wylewając nań kipiączkę ostrych zarzutów.

Tylko pijaństwo przy was i wszelki niestatek,
Prawda nogę złamała, trzeźwość w głębę wzięła,
Toć to wasze rycerstwo i szlachecka żyła.
Krotofila też wasza jest z każdego szydzić,
Sprawą nigdy niezbędną żadną się nie brzydzić.

Obok klechy cieszył się wielką popularnością pątnik czyli wędrujący z ziemi św. pielgrzym. W naszych dyalogach i komedjach spotykają ich ostre zarzuty: »W początkach zagrzani czystym zapałem religijnym, biegli oglądać miejsca święte, kędy Chrystus Pan cierpiał i był umęczon. Później zepsuci w obyczajach, płaszczów swoich skorupianych i relikwii używali dla oszukania ludu prostego« i wyciskania zeń ostatniego grosza. Wystawiano ich jako »zawołanych łgarzy, okrytych pogardą«, jako włóczęgów handlujących świętościami. Po ich sztuczkach poznawano »farbowanych lisów«. Kiedy jednemu z nich wykazują jego szalbierstwa, broni się temi słowy:

Cóż mam stary czynić!

Wolę, niż kraść, rozbijać — nie trzeba mię winić.

Smutnym obrazem szarlataństwa tej klasy jest komedya p. t. Pielgrzym i pątnica, jaskrawa ilustracya ich »obłudnego nabożeństwa i nagannej włóczęgi a łatwowierności wieśniaków«. Burmistrz przetrząsający kobiałkę pielgrzymki, szydzi wprost z »relikwii i urojonych świętości.

Z typowych postaci naszych intermedyów, wspólnych teatrowi zagranicznemu, zasługuje na wyszczególnienie figura lekarza szarlata, »dopuszczającego się na pacjentach rozmaitych nadużyć«. Oto jeden z nich, jakiś alchemista wędrowny, dokonywa następującej na chłopie operacyi: »nacierza go, robi mu okłady, a potem każe zamknąć oczy i z ubiorem i pieniędzmi chłopca — ucieka«.

Niemniej ciekawą jest postać złośliwego sługi, co »prowadząc pijanego pana, naumyślnie wtrącał go do rynsztoku«, albo »rozbierając pana szczypał go pò nogach lub przy ściąganiu rękawów ręce wykręcał«, wreszcie takiego, co »żonom donosił o pokątnych miłostkach mężów«. Z komedyi: Fiś cnotka (służący) i Wyrozumiany (pan). W Krakowie 1655.

Do najpopularniejszych typów w intermedyach i dyalogach należy dworak

Jest to szlachcic bez stałego zajęcia, próbujący »różnego rodzaju chleba«, wałęsa się po dworach pańskich, gdzie pochlebstwem lub dowcipem jedna sobie łaskę, wyciera także kąty miast, ale i tam nie zagrzeje miejsca. Zazwyczaj »wielki kłamca i oszust«, nie opuszczający żadnej okoliczności do pożywienia się cudzym kosztem. Nosi on miano Darmołańskiego lub Kurołańskiego. Dotrzymuje mu kroku Kuflewski lub Moczygębski. A same ich nazwy charakteryzują rodzime okazy tego gatunku. Dyalog p. t. »Stary dworzanin myśli jakoby się pożywić miał« taki przedstawia wizerunek naszego rycerza:

Wszakiem stary dworzanin i znać to po stroju.
Nie masz dziwu, że suknia nie nowego kroju.
Kat go wie, ciężko służyć, darmo nic nie dają.
Nie wiem co dalej począć, schną mi prawie żyły.
Popilnuję pono dróg, gdzie jeżdżą furmani,
Żeby prócz mnie od innych nie byli szarpani,
Zwłaszcza Żydzi, gdy będą chcieli się okupić,
Awej, awej, hajdunaj, hajdunaj wołając.
Jeno że tę zabawę rozbojem więc zowią,
A takie przewodniki kaci na pal łowią.
Służyłbym u Kozaków, lecz pono Hetmanem
Tam nie będę, a ja chciałbym zaraz być panem...

W akcyi występuje jako gracz, opój i łotr.

Intermedyum Darmostrawski i Kurołański, to cięta satyra na stosunki szlacheckie. Po przedstawieniu obu dworzan, którzy tem niżej się kłaniają, im są większymi obdartusami, zaczyna Darmostrawski, rodzaj pieczeniara, opowiadanie swe o »krajach pantagruelicznych, — z których wraca, — gdzie woły pieczone z widelcami wbitymi chodzą po łąkach, gdzie dachy kryte kołaczami, a domy odgradzane kielbasą«. Kurołański drwi sobie z towarzysza, że »wróciwszy z tak bogatych krajów tak ubogo wygląda«.

W innem intermedyum z XVII. w. p. t.: Actus aulicorum przedstawia się dwór szlachecki w jeszcze jaskrawszem oświeceniu. Oto jeden z pokiereszowanych dworzan, przeszedłszy twardą szkołę życia u rzemieślników, żyje na starość z tego, że okrada chłopów po wsiach, lub razem z Moczygębskim objada panów, zabierając z kuchni półsurowe potrawy.

A rwą, a żrą — woła kucharz — jak wpadną do kuchni z poranku,
Tylko się im oganiaj, jak psom bez przestanku.

Przy »starej, pretensjonalnej pannie, żyjącej na respekcie w dworze« (Intermedyum nosi tytuł: Panna, chłop, szlachcic — z połowy XVIII. wieku) stoi rycerz, w »Monologu ciury obozowego«, godny przedstawiciel »wiarusa«. Oto każe swemu słudze ciężko pracować, skąpiąc mu jedzenia, a upiwszy się, urządza z nim iście barbarzyńskie figle:

Skacz mu przez gołą szablę, trzymaj szustak w palcach,
A on ci ich urywa kulą po kawalcach,
Drugi każe czuprynę podnieść wzgórzę sobie,
To stanie z bandoletem prosto przeciw tobie
I tak strzela do ciebie...

W intermedyum Chełmianina p. t. Kuflewski występuje bohater tytułowy w roli chełpliwego rycerza i opilca:

Kuflewskim z domu jestem, herbowym szlachcicem
Na Biedaszkowie jestem panem i dziedzicem,
Mam majątność Nędzarczów, mam drugie miasteczko
Lichocice je zowią, toć to niedaleczko.
Zaczyn ja familiej, zacnych przodków wielu,
Bom przodki swe polewką oblał na weselu.
Ojciec mój był pan Dzbański, comes de Wątory,
Gdzie jeden tylko kmiotek, a trzy wielkie dwory.

Przypominam komedycę Władysława Syrokomli p. t. Comes de Wątory, jeden kmić trzy dwory.

Do najpopularniejszych fars polskich należy sztuka Piotra Baryki »Z chłopa król«, ogłoszona drukiem 1637. Chłopa w stanie podchmielonym przebijają za króla, a w tem położeniu staje się przedmiotem żartów i kpin dworzan. Osnowa mniej więcej ta sama co w »Ugłaskaniu Sekutnicy« Szekspira, dostała się prawdopodobnie w pierwszej połowie XVII. z literatury obcej na scenę polską, skąd po kilkakrotnych przeróbkach i zmianach przedstawił ją w Jowialskim nestor komedyi spółczesnej.

W ogóle w tych niezdarłych, rzemieślniczych sztukach XVII. i XVIII. w. tkwiły zawiązki dramatu. Figura Albertusa (zwana w komedyi miles gloriosus), typ szlachcica staropolskiego, podobnie jak »persony« komedyi rybałtowskiej z ludu pochwycone, przeszły potem na deski naszej sceny.

Obok teatru ludowego, którego ojcem były jasełka betleemskie, a matką męka pańska na Gołgocie, rozwija się równolegle teatr szkolny czyli Jezuicki. Rychło bowiem przeniosły się widowiska sceniczne z kościołów do kolegiów i konwiktów, zwłaszcza, że duchowieństwo z powodu licznych nadużyć i praktyk, urągających karności kościelnej, rugowało wcześniej przedstawienia z domów bożych, dając im przytułek i opiekę w szkole. Jako przykład tej kategorii utworów posłużyć może najstarszy zbiór dyalogów szkolnych, pisanych wierszem polskim i łacińskim przez uczniów kolegium Jezuitów w Pułtusku, pod nadzorem profesorów, od 1521 do 1623 r. Tłómaczeniem dogmatów Kościoła i dramatyzowaniem opowieści pisma św. zbliżają się one do misteryów. Tu i tam spotykamy tę samą dążność naciągania postaci i stosunków starego testamentu do nowego. Oto np. dyalog miany w czasie świąt Bożego Ciała 1609 r. zmierza do wykazania, że »arka przymierza starego zakonu jest figurą — sakramentu nowego zakonu«. Podobny dyalog wierszem polskim również z początku XVII. wieku sili się dowieść, że Dawid, pokonywający Goliata, był figurą Chrystusa, odnoszącego zwycięstwo nad — grzechem pierwotnym! Najczęściej służyły sztuki te, odgrywane przez młodzież szkolną, do schlebiania dumie i próżności szlachty. Każdy niemal uroczysty akt rodzinny; każde podniesienie dobrodzieja na wyższy urząd — a cóż dopiero mówić o elekcjach lub koronacjach monarchów — opiewane były prozą lub wierszem w postaci dramatycznej przez »szlachetną« młodź konwiktu Jezuitów lub Pijarów, jednających sobie na tej drodze łaskę możnowładców. Przechowane w niezliczonej liczbie pomniki tej kategorii świadczą wymownie o upadku myśli i godności wychowawców. Mamy też sztuki, jak np. przez dwa dni grany sześćoaktowy dramat p. t. Kościół od herezji obroniony przez zakon Soc. Jesu,

(Lublin 1640), gdzie grające tu państwa, królowie, zakony, mądrość, wieczność, dążą do jednego — do apoteozy Jezuitów. Znaczna część widowisk z wystawą i tańcami miała na celu — wyuczenie żaków zwrotów retorycznych w mowie i piśmie. Najciekawszymi są dla nas uboczne wiadomości o prawach, instytucjach staropolskich, o dawnych obyczajach i zwyczajach szlachty i ludu, nie mniej wzmianki historyczne, gęsto rozsiane po dyalogach a zwłaszcza intermedyach szkolnych, najczęściej tam, gdzieby się ich najmniej spodziewać należało. Oto n. p. w dyalogu »Somnus Timothei« (Kalisz 1712) czytamy następującą przestrożę:

ALBERTUS POWRACAJĄCY Z WOJNY.



W KRAKOWIE,
Koleń Pańskiego. 1697

Nr. 60. Albertus powracający z wojny.

Zasypiasz Polsko, gdy cię jady trują,
Walą się miasta, zamki się rysują,
Kiedy w śmiertelnym zasypiasz letargu,
Jesteś na targu...

Wartość estetyczna dyalogów tych odgrywa tu rolę podrzędną, są to bowiem wypracowania szkolne, w których chodziło o ćwiczenie młodzieży w łacinie, w używaniu owej pstrokacizny językowej, którą się popisywano przy każdej sposobności w prywatnym i publicznym życiu. A nawet te, w których górowały względy moralno-religijne, nosiły na sobie piętno szkolarskiego pochodzenia. Uprawiali je głównie Jezuiti.

Każdą niemal uroczystość szkolną — a było ich nie mało przy witaniu lub

żegnaniu królów, ministrów lub dygnitarzy duchownych — uświetniały przedstawienia uczniów jezuitów. »W każdej szkole — są słowa autora Jezuitów w Polsce — profesor retoryki, w szkołach niższych profesor poetyki lub prefekt obowiązany był dostarczyć corocznie najmniej trzy dyalogi lub sceniczne przedstawienia na zapusty, imieniny rektora i zakończenie roku; a ponieważ szkół było 65, więc co roku dawali uczniowie jezuitów w Koronie i Litwie do 200 dyalogów, co w latach 1648 — 1773 wynosiłoby około 25.000 przedstawień teatralnych«. Że w tak olbrzymiej ilości sztuk albo raczej ćwiczeń szkolnych było dużo mierności, rozumie się samo przez się. Znane nam widowiska odstraszały czytelnika manierą floradyczną i bombastem, widomym do dzisiaj w kościołach jezuitów zarówno jak w ich wierszydłach.

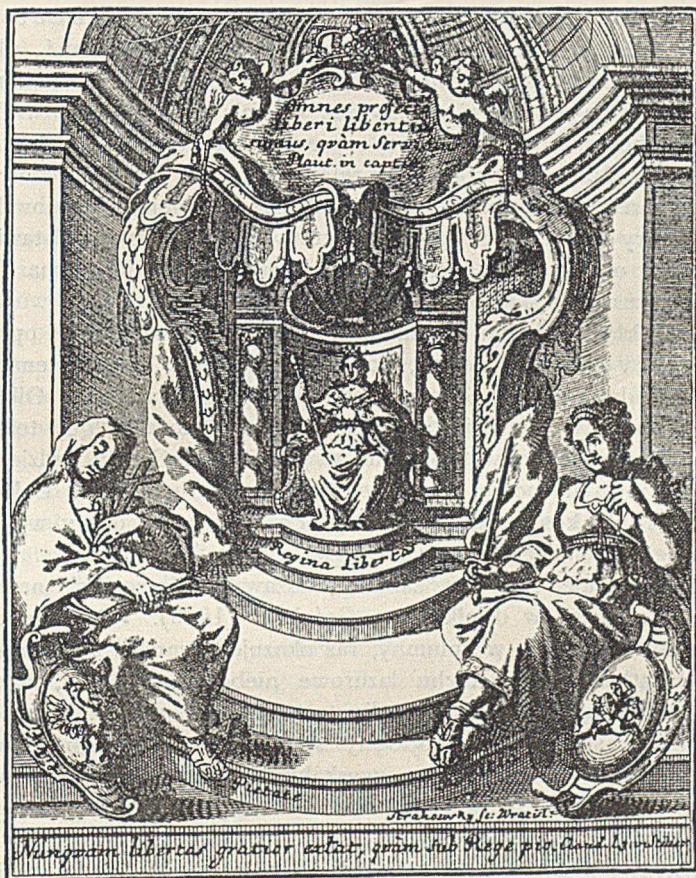
W ogóle starali się mistrzowie naszych szkół przez oratorskie popisy, panegiryki i widowiska szkolne pochlebiać dumie szlacheckiej. Za ich wpływem ustępują z widowni intermedya z rubasznym ale swojskim żywiołem przed procesyami scenicznymi na uczczenie świętych lub możnych panów, w czym się głównie lubował zakon Jezuitów. »Na przyozdobionych w draperye, emblematy i napisy w stylu barokowym wozach, jechały uosobione postacie doskonałości: sławy, miłosierdzia, sprawiedliwości, albo obrazy przedstawiające sceny z życia świętych. Konwojowała wozy pieszo i konno młodzież szkolna, przybrana za anioły, rycerzy, proroki, w hymnach łacińskich i polskich, przeplatanych muzyką i śpiewem opiewając, to, co widowisko pobożne przedstawiało, z wielką starannością odegrane na obszernym placu«. Alegoryczne te widowiska, służące do uświetnienia uroczystości kościelnych, zaszczepiały w tłumie i wśród młodzieży bigoteryę. I dyalogi szkolne, od XVI. wieku rozpowszechnione w Polsce, były zrazu treści pobożnej, później obok tych pojawiają się świeckie, jako ćwiczenia szkolne grywane. Układali je mistrze do spółki z uczniami w języku łacińskim, osnowa sztuki, chóry i międzyakta były zazwyczaj polskie. Na pochwałę niektórych dyalogów szkolnych, pod względem estetycznym marnych, podnieść należy ich patryotyczną tendencyę i treść ojczystą. Przedstawiają one Polskę jako »gniazdo orłów i ojczyznę bohaterów«. W chwilach dziejowej doniosłości, — jak po zdobyciu Smoleńska (1611), po zwycięstwie Chocimkiem (1621) uświetniały tryumfy oręża polskiego.

Dramat poznański przedstawia »Polskę, uradowaną po długich utrapieniach wiktoryą. Anioł stróż polski krzepi ją na duchu, upewnia o swej potężnej opiece. Przed siedzącą na majestacie stają kolejno cienie Turka i Tatarzyna, rebelii szwedzkiej, gospodarów mołdawskich, — wypowiadając z zawstydzieniem swoje przeciw Polsce zbrodnie, swawole, zamachy, grabieże, podstępny, intrygi — składają pokonani orężę swe u stóp niezwyciężonej«.

W dyalogach tych, choćby nawet w języku łacińskim pisanych, pulsuje życie narodowe, poprzez tło tematów biblijnych i klasycznych przebijają szlacheckie grzechy i społeczne dziejowe wypadki.

Trzecim, wcale okazałym typem staropolskiego teatru była opera dworska, przez którą zostawaliśmy w najbliższym ze sztuką europejską stosunku. Teatr dworski czyli zamkowy, którego początki datują jeszcze czasów Zygmunta Starego, nie miał celów umoralniających, ale służył głównie do rozrywki panów, napawał »ucho wdziękiem melodyi, oczy przepychem dekoracyj« lub nęcił pięknoscią zalotnych tancerek, co »po włosku drgają nogami«. Drużyny cudzoziemskich aktorów: angielskich, francuskich, a zwłaszcza włoskich, przebywające na dworze królewskim przez krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, były owym fermentem, który

teatr rybałtów i frantów, zaspakajający wymagania tłumów, podnosił na poziom »wyższej« sztuki. W tej roli wychowawczej zasłużyła się najwięcej trupa włoska, bawiąca na dworze polskim przez lat piętnaście od r. 1633. Zamiłowanie do opery włoskiej okazywał już Władysław jako następca tronu, czego dowody mamy w Dzienniku jego podróży. Kiedy na cześć królewicza odegrano we Florencji z ogromnym przepychem operę Cacciniego (*La liberazione di Ruggiero*), zachęcił swego towarzysza podróży Stanisława Jagodyńskiego, znanego poetę, do przetło-



Nr. 61. Ad. Naramowski — *Facies rerum Sarmaticarum*. Wilno 1724.

maczenia libreta tej opery pióra Saracinellego. Jako pomnik języka dziwnie pięściwego, wyróżnia się niby przesłannik romantyczności *Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny* — komedia z tańcem i muzyką, z włoskiego na polskie przetłómaczona w Krakowie 1628. Tego samego roku spróbował królewicz »wskrzesić w Polsce opęrec włoską« przedstawieniem na dworze królewskim idyli rybackiej w *Galatei*, a muzyka jej ze »świetnemi internedyami« i cudowną maszyneryą niezwykle sprawiała wrażenie na widzów. Władysław, zasiadłszy na tronie, sprowadził do Warszawy całą trupę włoską, a w roku 1637 otworzył pierwszy stały teatr na zamku warszawskim. Urządzenie sceny było wspaniałe, a kapela

czyli orkiestra uchodziła za najlepszą w krajach zaalpejskich. Dla słuchaczy polskich, nie rozumiejących po włosku, ogłaszano t. z. summaryusz czyli streszczenie sztuki, jak tego mamy przykład na przedstawieniu opery *Giuditta*, danem na cześć zawartego z Moskwą pokoju p. t. Krótkie zebranie historyej z pism św. o Judycie, którą reprezentowano muzyką w Warszawie podczas walnego sejmku 1635 roku.

Duszą i kierownikiem opery włoskiej na dworze królewskim był Virgilio Puccitelli, słynny śpiewak i kompozytor, odbijający w swych sześciu operach, napisanych dla sceny warszawskiej, sentymentalizm i igraszkę *recitativo* z epoki Mariniego. Z oper tych nowego kursu, zwanych *recitativo*, dlatego, że je »deklamowano głosem śpiewnym« przy akompaniamencie fortepianu, zajmuje przedniejsze miejsce znana z summaryusza »Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe, apolog abo baśń Owidyuszowa, reprezentowana muzyką, naksztalt komedyi po sejmie 1635«. Madrygały i kancony tej sztuki, pełne efektów scenicznych i maszynowych sztuczek, olśniewały naszych słuchaczy, a Samuel Twardowski przystroił osnowę tej opery w niewłaściwą formę oktaw. Również na podstawie motywów Owidyuszowych osnutą jest opera o nieszczęśliwej miłości Echa do Narcyza, znana z Summaryusza polskiego i włoskiego (1638).

Jako przykład świetnej wystawy posłużyć może odegranie opery włoskiej, czyli *recitativo* o św. Cecylii, na cześć koronacji Cecylii Renaty, pierwszej żony króla Władysława IV. Świadok tego przedstawienia, książę Olbracht Radziwiłł, kanclerz koronny, podziwiał »szybką odmianę dekoracji, gdy teatr nagle zamieniał się to w pałac, to w grotę, już w pokoik św. Cecylii, gdzie ona gra na organach, to znowu w morze, w piekło, a na końcu w niebo«. Dekoracja i koszty do tej sztuki kosztował 15.000 złp. Po skończeniu opery wyprawiono balet: salt gladiatorów »dziwnie sztuczny«.

Oto jak opisuje teatr na zamku warszawskim Jarzemski, nadworny króla Władysława IV. muzyk w dziełku p. t. *Gościniec* (1643): »Teatrum to z perspektywami, budowane zancie w kolumny, raz okazuje ciemność z chmurami, to znów przyjemną światłość, na wierzchu lazurowe niebo ze słońcem, albo miesiącem i gwiazdami. Tam ujrzysz morze burzliwe, żeglują po niem łodzie, a syreny wypływając ślicznie śpiewają. Tu personsy spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi. Raptem otwiera się drzewo, wyskakuje z niego osoba cała w klejnotach, z utrefionym włosom i śpiewa jak anioł — wszystko to przy muzyce i klawicymbałach«.

Z równym przepychem odegrano 1646 r. na cześć drugiej małżonki Władysława, Ludwika Maryi, wielką operę w 3 aktach *Amor i Psyche* z prologiem, zastosowanym do okoliczności. Sama wystawa sztuki kosztowała miasto 100.000 talarów.

Na widok tych cudów dekoracji, maszyneryi, kostiumów, muzyki, śpiewu i deklamacji byli widzowie wprost oszołomieni. Zwłaszcza świat bogów, nimf, szatanów, równolegle z akcją dramatu idący, wprawiał ich w zachwyt. Niemały efekt sprawiały balety i intermedya, odsłaniające sprężyny wypadków lub rozwiązujące nici intrygi miłosnej. Odgrywano też improwizowane komedye *dell' arte*, wyradzające się czasem w »niechwalebłą i oczy czyste gorszącą« farsę. Teatrowi włoskiemu brak szlachetniejszych aspiracji, mimo to znaczenie jego wychowawcze było niemałe, on obudził w Polsce zmysł do sztuki, on wytworzył atmosferę teatralną, on powołał do życia aktorów polskich.

Z braku swojskiego repertuaru przedstawiano sztuki obce, najpierw włoskie, następnie francuskie, ale stosowano je do publiczności polskiej. O takim widowisku, z wyraźną tendencją polityczną, donosi Pasek w swoich Pamiętnikach temi mniej więcej słowy: Pozwolono francuzom na teatrze publicznym w Warszawie tryumf czynić z otrzymanego nad Austryą zwycięstwa. Skoro już jakoby po zniszczeniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą cesarza na łańcuchu, z koroną już nie na głowie ale w rękach, oddającego onę królowi francuskiemu, począł jeden z Polaków konnych — na koniach się zjeżdżało na owo dziwowsko — wołać na francuzów: »Zabijcie tego sk..., kiedyście go porwali, nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył — jeśli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję!« Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyleciało. Drudzy Polacy także do łuków — naszpikowano Francuzów dużo... Wymowny przykład barbarzyństwa szlachty polskiej, nie odróżniającej iluzji od rzeczywistości.

Po zgonie bohaterskiego króla Jana — opowiada współczesny świadek — reprezentowano na teatrum Królestwo polskie w osobie niewiasty w szatach żałobnych i płaczącej po śmierci króla. Zaraz do niej zjawilo się wielu konkurentów, którym odmówiła swej ręki. W tem wychodzi ziemia węgierska, niosąc ciężar złota, wołów, pszenicy, a Niemiec popędzają żelaznym biczem, głośno wykrzykując. Niewiasta nasza, patrząc na biedną, pyta, co za jedna? Na co odpowiada: »Jestem węgierska ziemia, sama dźwigam dla cudzego skarby swoje. Kochana sąsiado, masz wielu konkurentów, nie wybierajże Niemca«.

Manierą włoską napisana »opera« w 5 aktach z chórami p. t. Polska tak od pretensyi do korony przez królewicza Jakóba utrapiona, jako potem, kiedy królem nie został, ucieszona — chłoczce nielitościwie i szydzi z syna Jana III. i całego stronnictwa niemieckiego. Podobną satyrą polityczną jest »Dyalog albo nova facies Rzeczypospolitej«, odsłaniająca intrygi polityczne i walkę stronnictw za panowania Augusta II.

Przerwane za tego króla widowiska teatralne, odżyły za panowania syna. Kitowicz opisuje kult opery za Augusta III. temi słowy: Kochał się ten król wielce w orkiestrze czyli kapeli, do której dobierano wirtuozów, śpiewaków i śpiewaczek z całej Europy najslawniejszych. Wielkie opery, na których liczba grających przenosiła sto osób, odprawiały się dwa razy w tygodniu. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jedną operę grano przez pół roku, król bywał na każdej reprezentacji punktualnie i gdy widział opernhaus nie napełniony spektatorem — a trzeba wiedzieć, że opery zawsze darmo dawane były — dziwował się gustowi polskiemu.

Za przykładem dworu królewskiego utrzymywali panowie polscy włoskie opery i komedye francuskie. Ks. Lubomirski, wojewoda krakowski, dawał na swoim dworze sztuki włoskie, ogłaszał drukiem melodramaty (*La fede 1725*, *La Griselde 1727*). Wspaniałe kapele utrzymywali ks. Czartoryski, kanclerz i Wielohorski, kuchmistrz litewski.

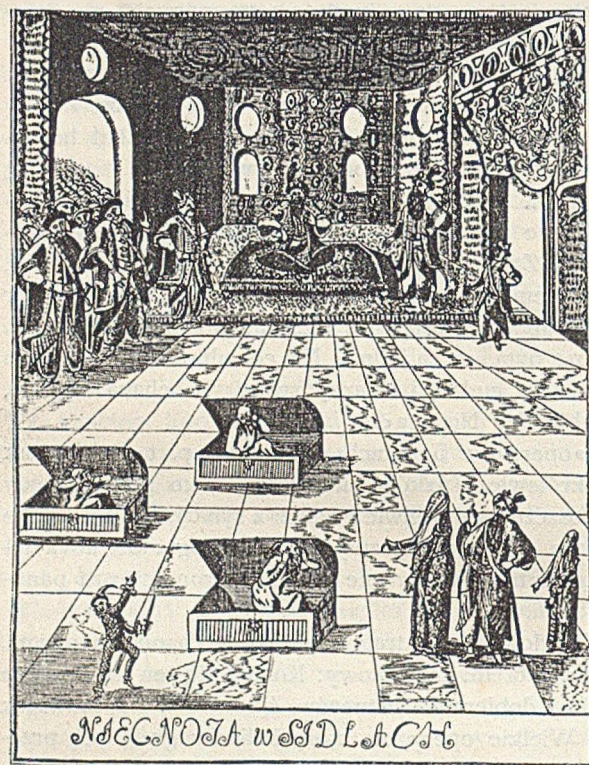
Z tej arystokratycznej sfery, która w pierwszej połowie XVIII. wieku ujęła ster rządu i literatury w swoje ręce, wyszli twórcy teatru polskiego. Na schyłku epoki saskiej, przed samem otwarciem sceny narodowej za Stanisława Augusta, występują jako pierwsi pisarze dramatyczni: Radziwiłłowa i Rzewuski, torujący drogę komedyi polskiej i dramatu z dziejów ojczystych.

W epoce konfederacyi tarnogrodzkiej i sejmu niemego, rzucających gruby

cień na pierwszą połowę XVIII. wieku, w dobie {»politycznego marazmu« i sromotnej zasady »inertia — sapientia« trawią nasi panowie i panie cały czas na uroczystościach, biesiadach i fetach, urządzają teatru i balety, hulają i piją. »Rozpocząła się straszna wśród głuchego spokoju i złowrogiej ciszy przedśmiertna orgia używania i zabawy, po której straszniejsze jeszcze nastąpić miało przebudzenie«.

Taki wystawny i hulaszczy dom prowadził książę Janusz Wiśniowiecki, pan ogromnej fortuny, ojciec pierwszej w literaturze polskiej autorki dramatycznej. Jak wielkie rody Koniecpolskich, Firlejów, Leszczyńskich, tak i rodzina Wiśniowieckich, która przed pół wiekiem wydała ze swego grona króla Michała, chyliła się ku upadkowi. Mimo to bawiono się doskonale w rezydencji książęcej w Czarторыsku, na Wołyniu. W takim domu urodziła się Franciszka Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, przyszła twórczyni teatru polskiego.

Ojciec jej, kasztelan krakowski, kupcaż starostwami bez skrupułu, jak to zresztą czynili »najzaciejsi w ówczesnej Polsce ludzie«, staczający z księciem Sapiehą »bohaterkie« walki, opisywane w sławnym poemacie społecznym p. t.: Farsalia Olkienieckie przez Otwinowskiego i Nielubowicza, sam pisujący — pod kryptonimami Bogdańskiego i Olszowskiego, tudzież pod anagramem Jusosina Tybu-

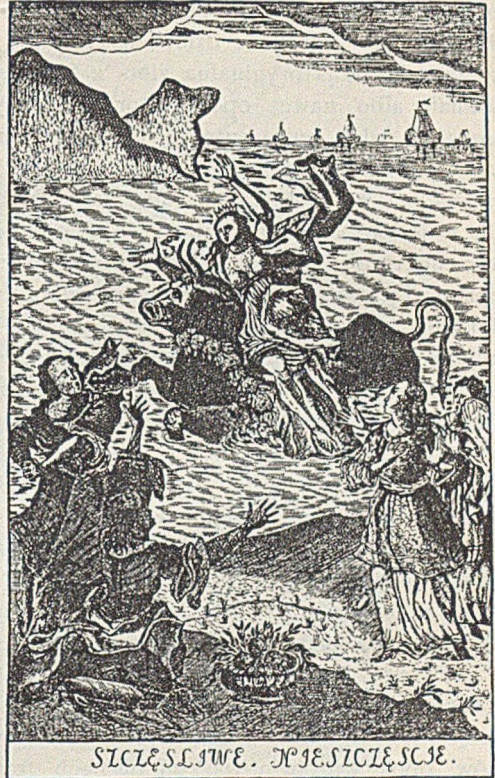


Nr. 62. Urszula Franciszka ks. Radziwiłłowa:
Komedye i tragedye (1754).

roka de Wiesciwnio t. j. Janusza Korybuta na Wiśniowcu — duchowne rozmyślenia, panegiryki i pieśni religijne, jak np. elegię zatytułowaną: Św. Filipa niektóre akty strzeliste bez litery R. (»książę nie mogąc tej litery wymówić, mścił się na niej« wypuszczając ją ze swoich wierszydeł), zapalony przytem mowca i literat na wzorach francuskich kształcony, sprowadził »najprzedniejszych z zagranicy nauczycieli« dla wychowania swej jedynaczki. Tym sposobem wyuczyła się młoda księżna (urodzona 1705 w Czarторыsku), języków francuskiego, włoskiego i angielskiego. Ojciec zaś »przytomny czytaniu klasyków, sam zwracał jej uwagę na szczytniejsze miejsca w ich dziełach«. Z natury obdarzona dobrą pamięcią, z gorliwością przykładała się do różnych gałęzi nauk. Tak wychowana panna wyszła w 20 roku życia za Michała Kazimierza Radziwiłła, zwanego księciem »Rybeńku«,

niemal udzielnego pana Litwy. Potomek ten najstarszej gałęzi potężnego rodu Radziwiłłów, z linii katolickiej, dziedziczącej ordynację Nieświeską i Ołycką, wiódł za młodu życie »wielkoświatowe«, kochał się na zabój we wnuczce bohaterskiego króla Jana — późniejszej księżnej de Bouillon, na zepsutym dworze Augusta II. W Dreźnie przegrywał jednego wieczora w faraona 1000 talarów, prowadził się w ogóle źle, za co go ostro strofuje matka i ochmistrz. Stronnik opasłego Sasa, postępował mimo to szybko po drabinie godności, został marszałkiem nadwornym

litewskim, wojewodą trockim, kasztelanem wileńskim, wreszcie hetmanem polnym i wielkim litewskim. A lubo nigdy nie wojował ani bawił się w wielką politykę, dostąpił jednak najwyższych w kraju urzędów. Posiadając olbrzymie dobra na Litwie, składające się z kilkuset wsi i kilkadziesiąt miasteczek, rozpaczał królewski przepych na swym dworze w Nieświeżu. »Uroczystości, fety i przyjęcia powtarzały się po sobie w rezydencji pana hetmana w jednym nieprzerwanym szeregu, a uczyty, zabawy i teatru nie ustawały zupełnie«. W tych ostatnich brała żywy udział pani hetmanowa, starająca się o podniesienie dość niskiego jeszcze poziomu umysłowego towarzystwa. Starła się też o dźwignięcie podupadłej drukarni nieświeskiej i pomnożenie biblioteki. O wykształceniu właścicielki prawili współczesni dziwa. Panegirysta Tryczyński, kapitan i aktor nieświeski, opowiada o niej, że była »cudem mądrości, nauk wyzwolonych osobliwą estymatorką, w których tak wysoce wygórowała, że w każdej umiejętności prym trzymała, jako to w piśmie św. i kontrowersyach; w artykułach wiary katolickiej była



Nr. 63. Urszula Franciszka ks. Radziwiłłowa:
Szczęśliwe nieszczęście.

gruntownie biegła, w kanonach albo prawach św. kościelnych i ojczystych sejmowych ustawach rzadką, a prawie niezrównaną pamięcią uszczęśliwiona; w historii uniwersalnej, w geografii, w sentymentach polityków cale doskonała, w czytaniu ksiąg, różnemi językami wydanych, nigdy niespracowana. Świadczy to jej własna biblioteka od 2000 autorów najosobliwszych złożona, z których wszystkich przeczytała i wiedziała o jakiej materji kto z nich traktuje — przeto za najmilszą sobie miała rozrywkę z ludźmi uczonymi kontrowertować«. Jej religijne uczucia charakteryzuje książka p. n. O obowiązkach żołnierza chrześcijańskiego (Wilno 1748).

O talencie księżnej — wcale nieszczególnym — do poezji, świadczą czułe listy wierszowane, kreślone pod adresem kochanego mężulka, marszałkującego 1728 roku na Trybunale wileńskim. Osnową ich gorące affekty niepięknej księ-

żny, zazdrośnie śledzącej z oddalenia ruchy młodego i eleganckiego dworaka. Cielą szczerością uczucia i prostotą wyrażenia, wolne też są zupełnie od wtęgotów obcego języka.

O całą głowę wyższa nad ospałe lub hulaszczcze swe otoczenie, sili się księżna hetmanowa skierować je ku »nieco szlachetniejszym i podnioślejszym zabawom«. W tym celu urząda w swej rezydencji nieświeskiej scenę — »pierwszy rodzaj stałego polskiego teatru« — i przy pomocy pocztu swego fraucymeru i panien respektowych, tudzież usłużnych domowników, a nawet własnych dzieci, odbywa tu przedstawienia. »Przy sposobności każdego znacniejszego zjazdu, imienin księcia pana lub którego z dzieci, festynu lub świetnej uroczystości, scena nieświeska wystawiała jakąś oryginalną albo z francuskiego tłómaczoną komedję, pastorelę, dramat, albo nawet operę, którym niezbyt okrzęsana szlachta okoliczna, zaproszona na takie reprezentacye, dziwiła się niezmiernie«. Utworów tych dostarczała sama pani domu, w jednej osobie autorka i kierowniczka sceniczna. Szlachta ówczesna, na wzorach francuskich zaprawiona, domagała się sztuk w stylu modnym, ale w języku ojczystym pisanych. To skłaniało księżnę do tłómaczenia i przeróbek utworów francuskich lub do tworzenia sztuk oryginalnych w ówczesnym smaku. Tym sposobem powstawały dzieła dramatyczne Radziwiłłowej, po jej śmierci dopiero ogłoszone drukiem przez owego kapitana-aktora pod pompatycznym tytułem: Komedye i tragedye przednio dowcipnym wynalazkiem, wyborym wiersza kształtem, bujnością rzeczy i poważnemi przykładami znamienite, przez Jaśnie Oświeconą Księżnę z ks. Wiśniowieckich Korybutów Radziwiłłową, wojewodzinę wileńską, hetmanową wielką, złożone, na wspaniałem teatrum książęcym w Nieświeżu sprawą najzacniejszych dam i kawalerów na widok nieraz pokazane, zawsze jednostajnem najgodniejszych widzów i słuchaczy zdaniem wychwalone, raz przez przytomnego świadka i wiernego domu książęcemu służyć do druku podane, roku jak się wcielone słowo słyszeć i widzieć dało 1754«. Jak naiwne ilustracye do swych utworów, przedstawiające zamasztych kontuszowców z podgolonemi czuprynami obok elegantów we francuskich obcisłych kamaszach, damy z wielkiego świata w robronach wzorzystych i koronkowych bonecikach obok naiwnych dziewcząt polskich, skromnie spuszcających oczka, tak i z dramatów księżnej Franciszki Urszuli wychylają się: figury na pół barbarzyńskich karmazyków obok zaprawionych na pismach francuskich salonowców. W pierwocinach tych sztuki polskiej brak zupełny inwencji i kompozycyi dramatycznej. Znajdziesz wśród nich komedye, jak np. »Z oczu miłość się rodzi«, liczące jedenaście aktów. W pastoreli »Miłość dowcipna« ukazuje się trzynaście córek pasterza na scenie ze swymi kochankami, recytując po kolei swoje miłosne deklaracye. Nagle na wiadomość o przybyciu ojca wskakują nasi konkurenci na trzynaście stojących w ogrodzie postumentów, i »udając posągi kamienne« oszukują takim młłym conceptem starego nudziarza. Z przekładów wymienić należy komedye Moliera: *Médecin malgré lui* i *Les Précieuses ridicules*.

Utwory Radziwiłłowej grane były w ostatnich latach życia księżnej od r. 1746—1752 przez amatorów, wśród nich widnieje pusta głowa młodego księcia »Panie Kochanku« syna autorki, który »nie mógł się inaczej nauczyć czytać, jak tylko wystrzeliwując do celu litery z alfabetu«.

Jako główną zasługę księżnej Radziwiłłowej poczytać należy wprowadzenie na deski teatralne kobiet. W utworach bowiem dramatycznych aż do czasów jej wystąpienia, pisywanych przez księży a przez uczni grywanych, omijano starannie

role niewieście. Księżna pierwsza zaszczepiła ten zakazany owoc na niwie dramatycznej, a z jego nasienia wystrzelił pierwszy, niepokaźny kwiat miłości.

W komedii »Miłość mistrzyni doskonała«, przypominającej »Antypasty małżeńskie« Morsztyna, widok pięknej, w sennem marzeniu pogrążonej Filidy zapala kochanka miłości czarem.

Obaczę — szepce nachylony nad nią — pod tą gazą co za pierś się toczy.
Och! niebieskie stworzenie, pozwól napaść oczy.

A nóżka czy tej formy? Pocichu odkryję...



Nr. 64. Wacław Rzewuski.

Przebudzona »gniewa się na niedyskretną miłość«, ale »gorące oświadczenie miękczy gniew panny«. W komedii »Miłość interesowany sędzia« Helena, zapominając o obowiązkach żony, woła rozkochana na widok amanta:

Ach! postać niezrównana, wzrok, piękność i czoło,
Brwi, usta, zwłaszcza kiedy śmieje się wesoło.
O, srogie powinności! prawa zwane śluby:
Kochać męża, nie kochać! chociaż inny luby —

Bohaterka komedii »Z oczu miłość się rodzi« (granej w Nieświeżu 1750 r. w dzień imienin ks. Janusza Radziwiłła, ordynata nieświeskiego), takie wypowiada zasady:

Zwierzę się tobie, przyjaciółko miła,
Że mię już dawno miłość zwyciężyła,
Lecz wolę umrzeć, niżbym tak żyć miała,
Żebym kochała a nie królowała.
Umiem ja zażyć tych kunsztów misternie:
Raz łaję, drugi patrzę miłosiernie.
Zbytńia powolność usypia kochanie...
Ta łąa, co miłość usidlona toczy,
Więszem ogniwem dwa serca jednoczy.

Nieco wyżej od Radziwiłłowej podniósł sztukę dramatyczną Wacław Rzewuski, znany w dziejach Polski XVIII. wieku magnat i senator. Urodzony 1705 r. otrzymał staranne wychowanie na dworze ojca hetmana koronego, uzupełnił je potem w podróży za granicą, gdzie nabrał zwyczajów i koloru francuskiego. Wojewoda podolski, potem krakowski, z pisarza koronnego hetman polny, wreszcie kasztelan krakowski, gorliwy zwolennik króla Stanisława, którego sprawy słowem i orężem bronił, przyplacił to wygnaniem. Za powrotem do kraju 1735 stanął w szeregach partyi szlachecko-republikańskiej, w obronie zagrożonego »liberum veto« jako żrenicy wolności szlacheckich.

Pan na Rozdole i Podhorcach, posiadający kilka posażnych starostw, przy odebraniu komendy twierdz pogranicznych, wystawił na straż Kamieńca podolskiego 2000 wojska własnym kosztem. Podczas napadu Tatarów 1739 ofiarował hanowi 600 tysięcy zł., czem go do odwrotu nakłonił. A tak się tą ofiarnością dla ojczyzny z majątku i sreber ogołocił, że w zamku podhoreckim przez długi czas jadano z glinianych naczyń. Dbał też o upiększenie ustroju swej w Podhorcach, które obrał sobie za stałe mieszkanie. Wybudował 1752 r. wedle własnych planów kościół w Podhorcach z miejscowego kamienia, zatrudniając przy budowie krajowych mularzy. Do przyozdobienia go zawezwał malarzy polskich Czechowicza i Smuglewicza. Urządził z przepychem pierwsze piętro zamku i wznosił drugie, przyozdabiając oba wspaniałemi dziełami sztuki, które do dziś wzbudzają podziw zwiedzających. Zachowały się nawet na drugim piętrze w t. z. sali teatralnej szczątki dekoracyj i maszyneryi, tudzież instrumenta kapeli przygrywającej podczas przedstawień scenicznych na zamku. W sali rycerskiej wisi portret Wacława jako fundatora kościoła podhoreckiego, w zbrojowni zwraca uwagę jego wizerunek w naturalnej wielkości, przy nim leżą: buława i trzy laski marszałkowskie. — Z balkonu narożnego roztacza się wspaniały widok na okolicę. Wyryte przezeń w kamieniu wiersze Horacego dowodzą, że miejsce to polubił nad inne. Dwór w Podhorcach — tak opisuje go jeden z rodziny Rzewuskich, autor Kroniki Podhoreckiej — składał się z księdza teologa, kilku dworzan i dość licznej kapeli, a przypadkowo z trupy dramatycznej, która w teatrze zamkowym tragedye i komedye hetmana odgrywała. Przed zamkiem stały działa spiżowe, witające wystrzałami znaczniejszych gości.

Wacław ożeniony z Anną Lubomirską, miał kilku synów, z których jeden Seweryn, wywieziony z ojcem do Kaługi, przystąpił do Targowicy, i dwie córki, których wychowaniem zajmowali się troskliwie rodzice. Córki były w takim kłasztornym rygorze trzymane, że nie wolno im było ani wyjść z pokoju, ani nikogo u siebie przyjmować, ani książek czytać. Matka, dewotka, martwiąca ciałem swe łańcuchami, oddawała pranie swoich koronek do Paryża, a rachunki praczeki

tak były znaczne, że trzeba było sprzedać wieś, aby je wyrównać. Córki męczyła praktykami religijnymi, mimo to opowiadają o Teresie, zaślubionej księciu Radziwiłłowi »Panie kochanku«, że była rozrzutną i płochą kobietą, dorównyującą w dziwactwach swemu mężowi. Ojciec, pobożny katolik i konserwatysta, zaliczający się do przeciwników rodziny Czartoryskich i stronnictwa reformy, należał do partii ks. prymasa Teodora Potockiego.

Kiedy Konarski dziełem O skutecznym rad sposobie (1760—3) uderzył na paladym złotej wolności, domagając się zniesienia jednomyślności uchwał sejmowych, Rzewuski bronił tego kardynalnego prawa, na którym wszystkie swobody i przywileje spoczywały, w dziełku p. t. Myśli o niezawodnym utrzymaniu sejmów i liberi veto (1764). A gdy mu na to odpowiedział Konarski »Rozmyślaniami nad myślami«, odpierał je w »Myślach o mądrych uwagach«, upatrując w zgubnym prawie »nie pozwalam« podwalinę praw i równości szlacheckiej. Za Stanisława Augusta jako nieustraszonego stronnika opozycji, gdy na pamiętnym sejmie 1767 r. bronił swobód narodowych, został na rozkaz księcia posła pochwyconym i razem z Synem Sewerynem, z biskupem Kajetanem Sołtykiem i Józefem Andrzejem Załuskim za gorącą wiary i niepodległości królestwa obronę, wywieziony na wygnanie do Kaługi. Tu przeszedł niezpełną sześć lat w więzieniu pełnym wilgoci i robactwa, gdzie się nabawił rozlicznych chorób. Do dziś pokazują w sali karmazynowej na zamku w Podhorcach wózek na trzech kołach, którym woził się chory na nogi hetman. Nie dość tego, wojska wkroczyły do zamku, sprawiając tam wielkie spustoszenia. Można jeszcze widzieć posadzki, kominki marmurowe, poniszczone rąbaniem drwa żołdactwa w salonach. Powróciwszy 1773 r. z niewoli, zastał granice Rzeczypospolitej zmienione, a Podhorce pod panowaniem austriackim. Nie miał już serca wrócić do dziedzictwa Sobieskich, do swego siedliska sztuki, lecz zamieszkał w Siedliszczach, opodal Chełma, gdzie dogorywał jako tercyrarz św. Franciszka, złamany kolejami życia, wśród nowego, obcego mu pokolenia. Zapuściwszy długą brodę (zwano go dlatego Hetmanem Brodatym) na pamiątkę cierpień w Kałudze i niezrzucając habitu, wyzionął ducha 1779 r.

Imię w literaturze zawdzięcza Rzewuski utworom dramatycznym, które wraz z pomniejszych wierszami wyszły w zbiorowym wydaniu — uprzednio ukazywały się osobno w druku — pod imieniem starszego syna Józefa Rzewuskiego. »Zabawki wierszem polskim« (Warszawa 1760) obejmują dwie tragedye: Władysław pod Warną i Stanisław Żółkiewski, oraz dwie komedye p. t. Natręt i Dziwak. Wychowany na wzorach francuskich autor, zachowuje tu prawa sztuki dramatycznej: jedność miejsca, czasu i akcji, rozkład na pięć aktów, formę dyalogu, nie pozwalającą na występ więcej niż trzech osób i tym podobne przepisy ówczesnego kodeksu. Mamy też gładki, lubo nieco sztywny i pompatyczny aleksandryn, nie brak rycerskości, retoryki i konwencyjonalnego sentymentalizmu, nie ma tylko krzty dramatyczności w akcji, a wprawy w jej przeprowadzeniu.

Do najwcześniejszych utworów dramatycznych należy tragedia w 5 aktach p. n. Żółkiewski, ogłoszona w Warszawie 1758 r. Przynajmniej w dedykacji ks. z Czartoryskich Lubomirskiej, swej wujence, powiada, że »w tragicznej scenie« on »niewidziany dotąd Polak stawa« i prosi, aby w zamian za te niudolne pieńnia »uczyniła z młodziana — nowożeńca«. Oto osnowa tragedyi własnymi niemal słowy poety podana: Gracyan, gospodar wołoski, przywołuje na pomoc przeciw Turkom króla Zygmunta III., przyrzekając mu przyłączenie do Rzeczypospolitej Wołoszczyzny. Wysłani z wojskiem polskim hetman wielki Żółkiewski

i polny Koniecpolski wtargnęli do Wołoszczyzny, gdzie pod Cecorą, starszy się z nierównie liczniejszemi siłami Turków i Tatarów, dotkliwą ponieśli klęskę. Żółkiewski poległ w bitwie, a Koniecpolski wzięty został do niewoli. »Okropność tragedyi — kończy poeta — ułagodzić chciałem miłością Złotopolskiego, pułkownika wojsk polskich, zaręczonego z Praksedą, córką hospodara«. Tej szlachetnej parze kochanków przeciwstawia autor »gniew zawzięty Salomei, drugiej córki Gracyana, tudzież zdradę Tomży, starającego się o Salomeę«, jako »obraz serc złemi żądzami zepsowanych«.

Druga również pięcioaktowa tragedia historyczna p. t. Władysław pod Warną, poświęcona bratowej, z ks. Radziwiłłów Rzewuskiej, a drukowana we Lwowie 1760, zbliża się osnową do dziejów Kwiatkiewicza, z których autor czerpał. Władysław król polski i węgierski zrywa zaprzysiężone Turkom układy, »przyciśniony nieodbitą całego chrześcijaństwa potrzebą. Tem zaś sprawiedliwiej (!)« to czyni, że »były uczynione bez wiadomości ojca św. i panów udziałnych chrześcijańskich, którym był przysięgł Władysław w dawniejszych traktatach wojnę przeciw Turkom«. Zerwanie to pokoju odradzali Polacy, ale zapamiętały król stoczył krwawą bitwę pod Warną, gdzie z garstką wojska dawszy dowody bohaterskiej odwagi i dzielności w boju, mężnie poległ, a razem z nim kwiat rycerstwa polskiego. »Dla ułagodzenia przerażającej żalem tragedyi — tłumaczy się pod koniec Rzewuski — przytoczyłem czystą miłość Emiliany, córki Jerzego Despoty Rascyi z królem Władysławem i skłonność serca Faustyny, drugiej córki Jerzego, do Zawiszy, wodza wojsk litewskich«.

Jak tragedye Rasyńca, tak komedye naśladowują Moliera: od kłótni sług Fiutyńca z Kręcicką na wzór swoich chlebobodawców, aż do budowy intrygi i zmiany szybko po sobie następujących scen. Tylko że tu naśladownictwo bardziej jeszcze naiwne i niezręczne, niż w tragediach. Tu i tam rozsiane są z lekką aluzyę do współczesnych stosunków, że tu wymienię tylko wzmiankę o niedoszłych sejmach.

Wszak to już po dwudziestym roku piąty nastaje
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje.

Komedye 5 aktowe »Natręt« (Począjów 1759) i »Dziwak« (Lwów 1760), z układu a nawet figur (np. kochanków i sług) podobne do siebie, przedstawiają z grubsza nakreślone typy ziemian Staropolskiego i Staruszkiewicza, figury konkurentów o rękę ich córek: Umizgalskiego i Stateckiego, sług intrygujących: pacholika Pustaka i służebnej Kręcickiej, a wreszcie panien na wydaniu Modesty i Amaty, których nazwiska same wyrażają właściwości ich charakteru. Tu i ówdzie przebija tło obyczajowe z życia pochwycone, jak np. w scenie pierwszej »Dziwaka«, trafnie oddającej przeciwieństwa dwu światów: Rolanda, uosabiającego wpływ kultury francuskiej i Starego sługi, obrońcy staropolskich cnót i obyczajów.

ROLAND.

Jakżeż tu u was nudno. — Cóż to tu za kraje?
Fe! aż mię wstyd, na wiejskie patrząc obyczaje.
Tu tak właśnie się śmieją, jak w Warszawie płaczą,
Jak tam chromią, tak u was tańczują i skaczą.
Tu nie wiedzą, jak pięknie ziewnąć, wdzięcznie kichnąć,
Jak ślicznie mrugnąć, jak się rozumnie uśmiechnąć.
Tu do was, gdy z Warszawy na wieś się przyjedzie,
Zdaje się, że się dostał człek między niedźwiedzie.

de constuxit. Primordia siquidem rerum Religiosarum plerunq̄, solent esse exilia, que paulatim crescente Religione, & efferuescente ministrorum deuotione, in meliorem postea formam transire solent. Quæ quidem Ecclesiola, ad latus huius recentioris à parte Oppidi constructa, delubri nunc seu Sacelli S. Catherinæ Virginis titulo insignita, denominationem Duæ virginis retinet, vbi per circuitum stemmata clarissimorum virorum, qui rem primitus Conuentus Miechouensis beneficijs auxerunt, cum dulci recordatione eorum spectare licet. Quæ ad perpetuam posteritatis memoriam hic quoq̄, exprimenda censui, vt sint veluti splendidissima vexilla, ad quæ concurrant conuolentq̄; piorum suorum Prædecessorum sectatores. Maiorum siquidem Tituli & insignia, idcirco in præcipua ædificiorum parte poni solent (ait Valerius Max:) vt eorum virtutes posterius non solum legant, sed etiam imitentur. Veteres illi Romani, non alia posteris suis ad res præclare agendas exempla, quam maiorum imagines ac statuas in foro pro templis ponebant, titulis etiam facinorum in basi appositis, quibus conspectis atq̄; perlectis posterius ad imitandam maiorum suorum veram & solidam virtutem excitabantur.

Valer: Max:
lib: 5. cap: 8.

Aquila alba
in campo ru-
beo.



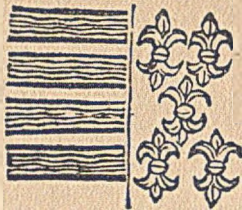
Insigne Monarcharum ac REGVM Poloniae, supremorum Protectorum & Patronorum Monasterij Miechouien: Erga quos vicissim vniuersus Ordo specialiter fuit & est Antipelargesis.

Gryphus al-
bus in campo
rubeo.



Stemma Gentilitium IAXÆ Primi ac præcipui Fundatoris dotatorisq̄; Monasterij Miechouien, multarum insignium familiarum in Regno Poloniae, qui varijs nunc censentur nominibus, Proauctoris.

Almerik Stē-
ma exoticum.



Quinque Lilia sparsa cum quatuor distinctis fluminibus in campo lazurino: Stemma exoticum, fertur esse Gentilitium ALMERICI Galli Patriarchæ Hierosolymitani, quo Ecclesiæ Hierosolymit: præsidente IAXA GRYPHIVS Terram sanctam inuisit, & cum eius benedictione, vnum ex Canonicis SS. Sepulchri Domini ire secum, ad plantandum Ordinem in Poloniam obtinuit.

Crux rubea
duplicata in
campo nigro.



Proprium insigne ac veluti tessera Canonicoꝝ Regularium Custodum SS. Sepulchri Dominici Hierosolymitani, qui in Religioso habitu illud deferunt, & qui ab illa illustri, & quæ semper inter sancta & venerabilia loca obtinuit Principatum, originem denominationemq̄; habent.

Stemma

FIUTYNIEC (służący).

Wszakże ja od dzieciństwa z Waćpanem tu rośłem,
A podobnom nie zwierzem, ani Waćpan osłem.
Za cóż ci ta wieś teraz tak bardzo obrzydła,
Że poczytasz wieśniaków za zwierza i bydła,
Wszakże to wsi ojczystych obszary i łany
Na ciebie grosz składają za zboże zebrany;
Wszakże z tych wsi, a z ojca i pracy i łaski
Sprawiasz sobie warszawskie i stroje i maski;
Wszak wieś daje pieniądze, Warszawa rozprasza,
Pięknąć Warszawa, ale cudza, a wieś nasza.

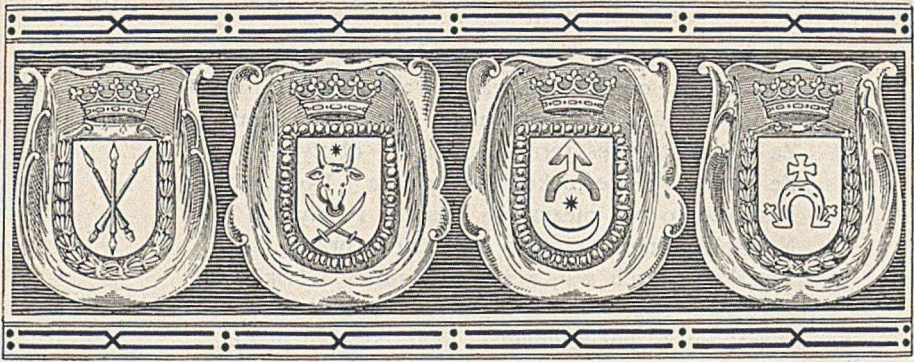
W zbiorze utworów Rzewuskiego figurujące Zabawki krasomowskie, zrywają z bombastem barokowego stylu t. j. »sposobem mówienia i pisania nadętym, nieprzyrodzonym, uszy obrażającym, który chwala Bogu już teraz wyszedł ze zwyczajem«. Ujawniają one jednak wady smaku francuskiego, jak tego dowodzą reguły sztuki oratorskiej, polegające na »doborze słów i przystojnem ich ułożeniu, przyzwoitem wiekowi i stanowi osób«, na przestrzeganiu martwych przepisów w rodzaju tego, »żeby ostatnie słowo okresu nie miało nigdy mniej jak dwie, a nigdy więcej jak pięć zgłosek«. Te same zasady głosi jego poemat o nauce wierszopiskiej, wzorowany na Boileau.

W tym duchu układane są »Mowy i listy« wojewody podolskiego, wydane w drukarni poczajowskiego klasztoru 1761. Ostatnim utworem starca, odsiadującego więzienie w Kałudze, jest przekład kilku psalmów Dawidowych, ogłoszony już w czasie pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej.

Oto próbka muzy Hetmana Brodatego, służąca za wstęp do owych Psalmów pokutnych (Warszawa 1773), kilkakrotnie ogłaszanych drukiem:

Wśród kłesk domowych, w czasach tak smutnych,
Bierz się ojczyzno do psalmów pokutnych.
Rok piąty, starzec, jęczę tu w niewoli,
Nie ma mię dola, lecz ojczyzny boli.
Niech mem nieszczęściem jej szczęście się zwiększy...





ROZDZIAŁ PIĄTY.

DZIEJOPISARSTWO.



Dziejopisarstwo tego okresu, od początku XVII. do połowy XVIII. stulecia, kroczy po ubitym uprzednio gościńcu, rozszczepiając się na dwa rodzaje: poważniejszej swoich czasów kroniki, pisanej językiem Rzymian, i lżejszej nieco postaci pamiętników, kreślonych w mowie ojczystej. Oba rodzaje, zwłaszcza ten ostatni, dochodzi w XVII. wieku do nadzwyczajnej pod względem ilości rozwinięcia. Dzieła historyczne dorównywiają swoim poprzednikom stanowiskiem, z jakiego patrzą na swój przedmiot, pamiętniki przewyższają je malowniczością opisów.

Na czele dziejopisarstwa polskiego XVII. w. stoi Paweł Piasecki, autor znakomitej »Kroniki«, opromienionej jeszcze blaskiem złotego naszej literatury wieku. Z pochodzenia syn niezamożnej i niegłósnej rodziny — ojciec trzymał wójtostwo we Wzdole (w Kieleckim), gdzie się też Paweł 1579 r. urodził — z trudem dobijać się musiał stanowiska. Już w owym czasie nie dostawały się nawet godności duchowne osobom »niskiego« rodu, przecież nawet tacy wielcy ludzie jak Hozyusz, Dantyszek i Kromer musieli starać się o przywileje szlachectwa, aby móc piastować wyższe dostojeństwa duchowne. I nasz parweniusz, podejrzrywany o plebejskie pochodzenie, podszywa się w dyplomie królewskim pod »starożytne szlachectwo rodu«. Nie czynił tego z próżności, ani z fałszywej ambicji, jak znakomici jego na stolicy biskupiej poprzednicy, »skwapliwie wyciągał rękę po dyplom szlachecki«, bo był tego przekonania, że on »stanowi grunt, który uprawiony pługiem zasługi, obfitszy nierównie plon przynosił«.

Po odbyciu nauki w akademii praskiej i czteroletnim pobycie w wiecznym mieście, wrócił na samym początku XVII. stulecia do kraju i znalazł w Wawrzyńcu Goślickim opiekuna. Wpływ tego świątłego pasterza, który w czasie bezkrólestwa po zgonie Stefana I., »jeden tylko z biskupów podpisał wszelką wolność dysyden-

tom«, a śmiały ten krok okupił odsunięciem z wyższych szczebli hierarchii duchownej, odbije się w poglądach i charakterze przyszłego historyka. Za łaską tego dobroczyńcy, on, bez protekcyi i stosunków, otrzymał wczesnie kanonię poznańską i warszawską, a uzyskawszy za powtórnym pobytem w Rzymie stopień doktora obojga praw i tytuł protonotaryusza apostolskiego, wystąpił na widownię naukową z dziełem łacińskim *Praxis episcopalis* (Wenecya 1611), określającym prawa i obowiązki biskupów.

Jako owoc wpływów humanizmu znalazła książka ta życzliwe w świecie naukowym przyjęcie, czego dowodzą liczne jej wydania i przekłady; omal że nie uzyskała sankcyi ze strony stolicy apostolskiej. Nauka i łatwość pióra, obok zalecenia biskupa protektora, zjednały mu łaskę dworu królewskiego. Zygmunt III. dla zdolności i pięknego stylu, używał go w swej kancelaryi do pisania listów, powierzając mu prywatne sprawy do załatwiania. Zwyczajem, zakorzenionym wśród ówczesnego duchowieństwa, gonił i Piasecki za posadami kościelnymi. Przez lat kilkanaście nałapał ich co nie miara: probostwo w Wzdolu, Chrobcu i Rokitnie, kanonie warszawską, łączyczką, poznańską i sandomierską; archidyakonie warszawską i lubelską, opactwo w Mogile, administracyę biskupstwa warmińskiego i wrocławskiego; doczekał się wreszcie stolicy biskupiej, mianowany 1627 kamienieckim a po trzynastu latach chełmskim, w końcu przemyskim biskupem. Piastował urzędy papieskie, katedralne i królewskie, »brał, kiedy się udawało, rzucał, kiedy musiał«, upoważniał innych, aby »w imieniu jego przyjmowali, jakiegokolwiek i gdziekolwiek się wydarzy, kościelne beneficya, zabiegał po różnych stronach, zrękał się mniej popłatnych, aby ułoić posażniejsze prelatury. A trzeba było sprytu i zachodów nie lada, aby się plebejuszowi, pozbawionemu »plec«, z usposobienia śledziennikowi, przytem nad wyraz oszczędnemu, utrzymać na tej spienionej fali promocyj duchownych. Zawakowało np. opactwo bledziejewskie — nasz prądat radby po nie sięgnął, ale z przywdzianiem sukni zakonnej kończyła się karjera. Przyczekał więc cierpliwie, aż dostał infułę, a wtedy mógł już bez skrupułów wyciągnąć rękę po intratne opactwo mogiłskie. Opactwa bowiem — powiadano — zasiłały biskupa, jak starostwa kasztelana lub wojewodę. A nie dość, że »chlebem duchownym handlował jak dziesięcinami«, że najczęściej nie spełniał duszpasterskich obowiązków osobiście, jeno przez zastępstwo, że się przenosił z miejsca na miejsce, do żadnego nie przyłgnąwszy sercem — gorsza, że zbierał jak i gdzie mógł, majątek i posady dla swego synowca, marnej figury. Dał mu półtora kroć sto tysięcy i starał się dłań o kupno dóbr duchownych. Przeora — pierwszego wydawcę mistrza Wincentego — gdy się sprzeciwiał wypuszczeniu ich synowcowi w wieczystą dzierżawę, »wygryzł« z klasztoru, czem się przyczynił do rychłej śmierci staruszka. Nie przebierał w środkach, gdy chodziło o zdobycie lepszego stanowiska w hierarchii spadkobiercom swego nazwiska.

Rolę polityczną Piaseckiego charakteryzuje zachowanie się jego wobec zabiegów Władysława IV. zaślubienia kalwinki, córki króla zimowego Fryderyka. Spodziewając się na tej drodze dopięcia celu swoich pragnień: korony szwedzkiej, przedłożył król polski w r. 1635 projekt tego małżeństwa na radzie senatu. Zaciekli w nienawiści różnowierców katolicy, widzieli w tym kroku świętokradztwo, że król miał z tą łożę dzielić, która z nim nie jednoczyła się kościołem; uderzali więc »na zgorszenie, na hańbę, gdyby kacerkę kłątwa Rzymu ohydzoną, obok siebie na tronie sadził«. W tym duchu przemawiali bracia Łubieńscy przeciw palatynównie. Uczeń Goślickiego, wychowany jeszcze w wolności sumienia,

wystąpił z gorącą obroną małżeństwa, wychodząc z założenia, że nie należy czynić gwałtu sercu królewskiemu, ani nie wydzierać monarsze wolności, którą posiada najlichszy poddany. Dowodził, że prawo kanoniczne nie zabrania związków małżeńskich między osobami różnego wyznania i przytaczał przykłady takiego małżeństwa w rodzinie królewskiej (Aleksandra Jagiellończyka z Heleną, wyznawczynią wiary wschodniej). O wrażeniu, jakie wywołała mowa wolnomyślnego biskupa w partyi katolickiej, świadczy obecny na tej radzie kanclerz Albrecht Stanisław Radziwiłł, szkalujący »niezbożnego« biskupa. — Jeszcze dotkliwsza obelga czekała go ze strony hetmana Koniecpolskiego. Gdy opuszczając dwór, wyciągnął doń rękę na pożegnanie, sędziwy hetman swoją cofnął i cisnął mu w oczy zjadliwe słowa: »Śmiecież się pokazywać przed oczyma ludzkimi!« Ultramontanie wołali w rozbestwieniu: »taki biskup nie ekskomuniki, ale szubienicy wart«. Inni bryzli potwarzają, jakoby »dla nadziei sytniejszego obroku pochlebiał namiętności królewskiej«, lubo nasz biskup nie otrzymał za to żadnej nagrody, ani nie doczekał się wyniesienia w urzędzie. Nie płynął z prądem, nie zwracał się jak chorągiewka w stronę wiatru dworskiego — w polityce — w której zresztą nie odgrywał wybitniejszej roli — zarówno jak w życiu, stał twardo i niezmiennie przy swoim zdaniu. Miał więc z powodu tego wielu nieprzyjaciół, ale też przyznać trzeba, że nie umiał jednać sobie zwolenników. »Szkodził sobie wiele otwartością swych przekonań. Nie był ani strasznym przeciwnikiem, ani wygodnym sprzymierzeńcem«. Nie rozumiał się na sztuce politykowania. »A jednak sąd jego w sprawach politycznych był trzeźwy i dobrem ogółu kierowany. Nie myślał ani działał jako ślepe narzędzie jednostronnej polityki religijnej, mimo że był dobrym katolikiem. Bronił potrzeb stanu świeckiego, lubo był księdzem, gotów był do pojednania się i zgody z innowiercami, chociaż krzewił wiarę katolicką«. Ostatni dziesiątek lat przed zgonem († 1649) poświęcił układaniu swej Kroniki, która śmiały ten i nieugięty charakter opromieniła aureolą sławy.

Dzieło Piaseckiego, obejmujące społeczne dzieje Polski za panowania Zygmunta III. i Władysława IV. na tle dziejów powszechnych, p. t. *Chronica gestorum in Europa*, wydane w Krakowie 1645 i kilkakrotnie w następnych edycjach dopełniane, ujawnia na każdej niemal karcie właściwości autora.

Jak skromne i twarde życie syna biednego ziemianina, tak prostą i wszelkich ozdób pozbawioną, a bezwzględną w odślanianiu prawdy jest jego Kronika. Zasady i przekonania, kierujące piórem pisarza, wypowiada otwarcie w dedykacji książki synowcowi — nie ofiarował jej bowiem mecenasom, jak nikt biskupowi, zaciskającemu swój mieczek, nie poświęcał ani pisał okolicznościowych wierszy. — »Nie dawaj się zwodzić — powiada do swego krewniaka — tym, co pod imieniem historii pióro swoje wedle życzliwości lub nienawiści zaprawując, niezasłużonych wieńczą chwałą, niewinnych piętnują ohydą, zgółta wszystkim dziejów sobie współczesnych wążek do swego widzimisię naciągają«.

Badawcze przyczyn śledzenie, logiczne wysnuwanie wniosków, wogóle przy czynowe, pragmatyczne dziejów rozwinięcie uważa Piasecki za »dziejopisarskie przyłudy« raczej sposób myślenia pisarza, aniżeli istotę rzeczy wyjaśniające. Wszystko zaś, co dziełu przydaje ozdoby, kazi — zdaniem autora — prawdę, zawsze wówczas najmiłszą, gdy tylko własnym jaśniejszym blaskiem.

Zostając pod wpływem tradycji świata klasycznego, pisze swoje dzieło w języku łacińskim, jasno, zwięźle ale sucho, podobny raczej do »surowego« Tacyty aniżeli do »kwiecistego« Liwiusza. Na przełomie nowej epoki stojąc, rozwija nasz

historyk swoje przekonania, zbliżone do poglądów z doby restauracji, ale nie pozabawione tolerancji wieku Erazma Roterdamczyka. Lubo wyznawca uchwał soboru trydenckiego, kładzie interes państwa i narodu ponad przepisami Kościoła. W słabniejącym już ruchu reformacyjnym odróżnia pierwiastek polityczny od religijnego. Nie lubi różnowierców, ale nie prześladuje ich, ani zwalnia poddanych od przysięgi złożonej kacerzowi, a potępia stanowczo szowinizm katolicki, zachęcający nawet do królobójstwa heretyka. Na ustrój i wady Rzeczypospolitej patrzy trzeźwym okiem, w sprawach skarbowych wytyka »spodlenie monety i przemieszczenie grosza publicznego«, w sposobie sejmowania karci »warcholstwo i zrywanie



Nr. 67. Paweł Piasecki.

sejmów prywatnymi zabiegami«, nie przebacza nawet duchownym, lubo sam nie był lepszym kapłanem. Podzielał razem z tłumem szlachty ówczesnej hasła złotej wolności, dążył do rozszerzenia przywilei, do utrzymania za każdą cenę pokoju, którego średnie ziemiaństwo po przebyciu burz reformacji, tak gorąco pragnęło. Nieprzyjaciel domu rakuskiego i rządów absolutnych, patrzył razem z gminem szlacheckim z niechęcią na wzrost Jezuitów, uchodzących za zwolenników rządu silnej ręki i stronników domu cesarskiego, przypisywał im zgubny wpływ na politykę Zygmunta III. Zwłaszcza uderzał silnie na złotoustego kaznodzieję ks. Skargę, na spowiednika królewskiego ks. Bembusa i podkomorzego Bobolę, »dogodne chytryści jezuickiej narzędzie«. Tryumwirat ten — powiada — »wziąwszy

się za ręce», oplótl swemi siećmi do tego stopnia króla, że ani stąpił bez ich rady. Nie tylko od nich zależał szafunek beneficjów duchownych i świeckich, zagarnęli oni publiczne sprawy »tem niebezpieczniej dla Rzeczypospolitej, że byli to ludzie politycznych obrotów wcale nieświadomi.

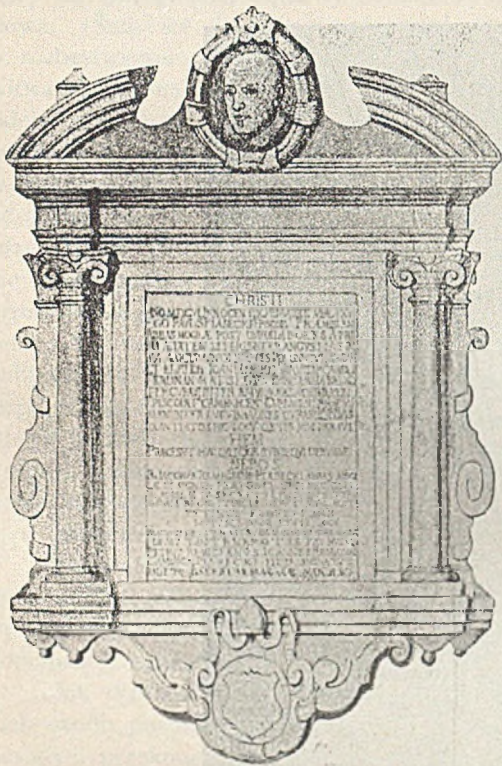
Nie była to wyjątkowa, osobista animozja biskupa do towarzystwa Jezusowego. Szlachta szczerze katolicka uderzała gwałtownie na zakon ten w licznych broszurach i wierszach ulotnych. Oto jeden wcześniejszy przykład, bo z czasów rokосу Zebrzydowskiego, wyrzucający wszechmocne zakonu Jezuitów panowanie w Polsce:

Przez ciebie żaden biskupem nie
[będzie
I biedny burmistrz stołka nie za-
[siędzie,
Pełno cię w wojsku, pełno cię na
[dworze,
Poczujesz nawet chorego w komo-
[rze.

Nietylko Jezuitom wytykał nasz historyk prawdę w oczy, śmiało odsłaniał sprawki nuncjuszów papieskich, z których jednego — Annibala z Kapui — mieni podszczuwaczem krwawej wojny domowej w Polsce, drugiego — legata Malaspinę — oskarża o wiarołomne wydanie na śmierć kardynała Jerzego Batorego. O lidze francuskiej, z imienia tylko świętej, powiada, że obłudną gorliwością o wiarę katolicką zarażała społeczeństwo. Nieustraszone przedstawiał *piersz swą na śmiertelne swych przeciwników ciosy, a koroną tej odwagi autora było ogłoszenie za życia drukiem Kroniki, nie obwijającej niczego w bawłnę. »Na tych kol-

cach — powiada jeden ze starszych krytyków — śmiałą ręką ich sięgając, ranił się nasz Piasecki; ani sam tylko okrutne bole wycierpiał, nawet ściągnął je na powinnych i dziedziców swoich.

Jaszyński wylał na głowę jego wiadro oszczerczych kłamstw twierdząc, jakoby »mścił się w Kronice na królu Zygumencie III. za morzenie go na chudych biskupstwach, porównywał historję jego z kociołem szalbierstw i baśni, ledwie szczyptą zdrowego ziarna okraszonym»; zełgał, że Władysław IV. »skazał był jego pisma na stos katowski, ale autor potrafił zalać płomień złotym deszczem, wysypawszy z trzosa 30.000 zł.«. — Szarpali sławę prawdomownego historyka i panowie, których dumie i chciwości przypisywał bunt Kozaków. Oto np. podkanclerzy litewski Leon Sapieha, ujmując się za jednym ze swoich przodków, »surowo strofował autora przez Jezuitę Jurgiewicza«. Ale już spótcześni historycy oddają



Nr. 68. Pomnik Pawła Piaseckiego.

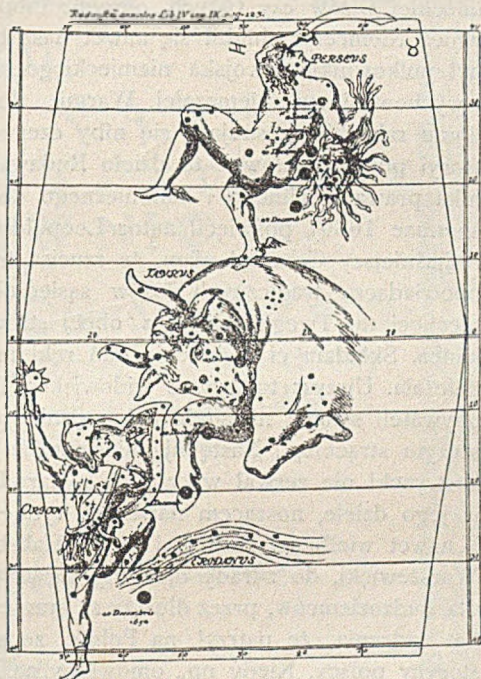
mu zasłużone pochwały. Rudawski tłómaczy nam, dlaczego Piasecki ściągnął na siebie burzę: Oto karcąc piórem swem zbrodnie niektórych magnatów, od wielu oskarżony został o potwarz i zamiast należynej pochwały, uległ wspólnej dla wszystkich prawych historyków obeldze. Nie zapominajmy, że w owej dobie gaszenia światła nie ostało się nawet znakomite dzieło Długosza.

Pozostanie to na zawsze zasługą Piaseckiego, że zdarł zasłonę dziejów swego wicku, a jakkolwiek nie ustrzegł się stronnictwo, kleszczami wpijającej się w jego serce, to przecież ani zgryźliwy ton opowiadania, ani ciemny koloryt z tła historycznego tryskający, nie ubliża prawdzie. »W sile uczuć, rozlicznemi tony grających w jego duszy, szukać należy błędów autora, a nie w złej jego woli lub przewrotności«.

Nie tylko Kronika ale i krasomówcze występy biskupa w senacie, trybunale i na synodzie ulegają grzechowi zbytniego przejęcia się rzeczą i »przegórowanego częstokroć o niej wyobrażenia«, stąd »gdy porywczym i namiętnie unoszącym go poruszeniom nie umie znaleźć miary« wpada w przesadę i nadętość.

Niejako dalszym ciągiem Kroniki Piaseckiego są Dzieje panowania Jana Kazimierza, opisane przez Wawrzyńca Jana Rudawskiego. Życie tego pisarza odbiło się znacząco na stanowisku zajętem w jego dziele. Pochodził z rodziny mieszczańskiej — ojca nobilitował król Władysław IV. i zaliczył do pocztu szlacheckich rodzin, pomimo, że to prawo przysługiwało sejmowi — a okoliczność ta wycisnęła niezatarte piętno na całe życie syna. Młodzieniec, wychowany w Niemczech w Kolegium Jezuitów w Brunsbergu (w Warmii), gdzie nabył biegłości w języku łacińskim (pisał nim poprawnie), nie będąc z krwi i kości szlachcicem, mógł w Polsce obrać tylko stan duchowny. Przy protekcji dworu — ojciec i ojczym naszego historyka, byli sekretarzami na dworze królewskim — dostąpił godności kanonika warmińskiego, ale to był kres jego kariery.

Ubiegającemu się o kanonię krakowską, obojga praw doktorowi, odmówiła kapituła, powołując się na konstytucję, wedle której »dla dostąpienia tego zaszczytu trzeba się było wywieść z czterech pokoleń szlachcicem«. Uczuł to dotkliwie dzielny kanonista. Widząc zaś, jak zawojowanie kraju przez najeźdźców zachwiało samemi podstawami bytu Rzeczypospolitej, przekonany, że w kraju, gdzie prawdziwa zasługa ustępować musi szlachectwu z urodzenia, wszystkie drogi do odznaczenia się są dlań zamknięte, zaczął przemyślać, »jakby się wynieść z tonącego okrętu i zawczasu zwracał oczy ku wschodzącemu słońcu« potęgą



Nr. 69. Kartka z Historii Rudawskiego.

Habsburgów. Dlatego kiedy Szwedzi zajęli 1655 r. Elbląg, obecny tam Rudawski napominał mieszczan, żeby nie uginali karku przed nieprzyjacielem, gdyż jako wierni króla polskiego poddani, uznawać mają nad sobą zwierzchnictwo rakuskie. Utrzymywał bowiem, że cesarz ma do Prus większe prawo niż król polski. Ubolewał nawet w swej historyi, że cesarz tak piękne ziemie zostawia w rękach polskich. Kiedy na tronie austriackim zasiadł Leopold I., Rudawski poświęcił mu Żałobny panegiryk na zgon poprzednika (Lugubris panegiricus, Viennae 1657). Wkrótce potem przeniósł swe lary i penaty do ulubionej krainy Habsburgów, gdzie został kanonikiem katedry ołomunieckiej, dziekanem międzyrzeckim i — co najważniejsza — radcą Jego Cesarskiej Mości Leopolda. Tu czuł się między swoimi, w Polsce był prawie obcym. Bo też matką jego była rodowita Niemka z famili niemieckiej Gizów czy Gizych, ojczym: Filip Hutten, kawaler złotej ostrogi, był również Niemcem; chlubił się nawet nasz historyk, że krewny jego Konstanty Giza był pułkownikiem wojska niemieckiego. Pochodzenie to, zarówno jak stanowisko i wychowanie w zniemczalej Warmii, tłumaczy nam sympatyje Rudawskiego do domu rakuskiego, snujące się niby czerwona nić przez wszystkie karty jego Historyi polskiej. Główne to dzieło Rudawskiego, napisane po ogłoszeniu podręcznika prawa cywilnego i kanonicznego do użytku sądów niemieckich (Repertorium, Viennae 1660), poświęcił autor Leopoldowi I. w tych oto znamienitych wyrazach: Najjaśniejszy Cesarzu! ufam, że rzucisz tryumfalnem okiem na człeka poziomego, opowiadacza tragicznych losów sąsiedniego tobie państwa i że przypuścisz bez niechęci do Twego dworu z obcej strony przybysza, a dziś krajów tych mieszkańca. Składam ci w hołdzie dań ręki mojej, ręki, co od dzieciństwa do Ciebie należała. Ujrzysz tu dziwne widowisko: Rzeczpospolitą polską nie mieczem, jeno obywateli swoich niezgodą nękaną, nie przez obcych, jeno przez nich samych ze szczytu strąconą«. Następują niesmaczne dymy kadzideł. Że jednak jako poddany austriacki nie zerwał wszystkich z narodem węzłów, tego dowodzą liczne miejsca w jego dziele, noszącem nawet na tytule podpis »szlachcica polskiego«. Stronnik a nawet wielbiciel Austrii i domu Habsburgów, nie posuwa się jak np. Krzysztof Warszawicki, do zdrady ojczyzny. Piszący swoje dzieło — jak sam wyznaje — dla cudzoziemców, przez dłuższy za granicami ojczyzny pobyt tak zaostrzył swój kąt widzenia, że patrzył na Polskę ze stanowiska wręcz przeciwnego aniżeli historycy polscy. Kiedy np., omówiony na innem miejscu Kochowski, szlachcic i ziemianin, czuje spólnie z całym narodem, podziela jego opinie szlacheckie, przekonany o tem, że konstytucye polskie są najlepsze, że wolność elekcyi króla i zakładania veto na sejmie przez każdego szlachcica, to konstytucyi tych żrenica, jest Rudawski, niedawno uszlachcony mieszczanin i poddany domu Habsburskiego, monarchistą, niechętnym ustrojowi Rzeczypospolitej, w którym szlachta »sama jedna stanowiła państwo«. Ideałem jego jest »nieograniczona monarchia dynastyczna, ześrodkująca władzę i prawo w jednym ręku i ze skrytości gabinetowych rządząca posłusznym na wszelkie jej skinienia narodem«. Kiedy Kochowski krzywdzie wyrządzonej magnatowi, zdradzającemu króla, przypisuje wszystkie nieszczęścia Polski, a przywileje szlachty bierze w obronę wobec zakusów panów i dworu, ten wyrzuca możnowładztwu niepohamowaną ambycję i butę, a szlachcie swawolę, ciemnotę i ucisk ludu. Przeciwiństwo to obu historyków, objawiające się w biegunowo odmiennych zasadach, wpływa na różnorodność treści samej, bo gdy Kochowskiego, jako szlachcica, rycerza, zajmują głównie sejmy i wojny, Rudawski podnosi stosunki Polski z obcymi dworami. Kiedy pierwszy czerpie z życia i doświad-

CZAROWNICA POWOŁANA

A B O

KROTKA NAVKA
Y PRZESTROGA z STRONY
CZAROWNIC

Zebrała rozmaitych Doktorów tak wpra-
wie Bożym iako y w świeckim biegłych dla ochrony
y poratowania sumnienia, osobliwie na takie
Sady wyfadzonych

P S A L M. III.

Cwiczcie się Etorzy sadzicie ziemię.



W POZNAŃU, Roku Páńskiego 1639.

czenia, drugi powołuje się na dokumenty, streszcza broszury i akta dyplomatyczne. Różnica obu pisarzy występuje nawet w zewnętrznym przedstawieniu: Styl Kochowskiego jest żywy, malowniczy a dobitny, poznać, że to pisze poeta; Rudawski wyraża się jasno, ściśle ale sucho i przyciężko.

Mimo te niesympatyczne strony ma dziełko Rudawskiego trwałą wartość. Zwłaszcza gdzie go nie unosi katolicyzm kosmopolityczny, nawołujący naród polski do spóźnionej krucyaty, do poświęcenia się, jak w wiekach średnich, na przedmurze chrześcijaństwa, gdzie sądu jego nie wypacza polityka, usuwająca przykroć Rzeczpospolitą na modłę austriacką, tam jest surowym ale bezstronnym sędzią. Pierwszą część dziejów Jana Kazimierza, zwłaszcza wojny kozackie i szwedzkie opisuje dokładnie i na ogół wzięwszy, sprawiedliwie. Pod koniec — dochodzi do pokoju oliwskiego 1660 r. — jako oddalony od ojczyzny i nie biorący udziału w życiu politycznym a może i zmęczony, zapełnia dzieło swe surowym materiałem, jak akta dyplomatyczne, relacje, manifesty i mowy, czyniące dzieło jego ciężałem ale przysparzające mu niemało wartości historycznej.

Sądy Rudawskiego o królu Janie Kazimierzu »upartym a słabym«, o Ludwice Maryi »intrygantce« są namiętne lecz sprawiedliwe. Surowo ale słusznie karci też panów polskich. Solą w oku — powiada — jest im »przewaga drobniejszej, miernego urodzenia szlachty« a cnota szlachecka — w ich oczach szeląga nie warta. Wykrywa popełniane przez nich bezprawia przy wydzieraniu u króla starostw »dla dzieci, niewiast i najędzniejszych ludzi«. O rozrzutności, stąd pochodzącej, opowiada taki oto szczegół: Podskarbi wielki ubolewał na sejmie, że skarb królewski nie zdoła zebrać na swoje wydatki 300.000 złp., a tymczasem on sam, pan podskarbi, kosztował Rzeczpospolitą rocznie 400.000 złp. Polskę nazywał Rudawski »Rzeczpospolitą magnacką« a króla »sługą panów«. Aristokratów — są jego słowa — nic nie obchodzi wojna i klęski Rzeczpospolitej, byle im było dobrze. Opowiada, że raz na sejmie opierał się uchwałom pewien możnowładca, dbając przedewszystkiem o własne korzyści, ale gorliwa o Rzeczpospolitą szlachta przeciągnęła naumyślnie do nocy posiedzenie, aby snem pokonać przeciwnika, i wtedy sejm szczęśliwie doszedł.

Monografie historyczne tego okresu rozpoczyna Stanisław Łubieński, sięgający jeszcze wieku XVI, mieniający wręcz Heidensteina swoim mistrzem. Z wieku i urzędu należy mu się to pierwszeństwo. Starożytna rodzina Łubieńskich wydała kilku znakomitych mężów, zajmujących najwyższe w Kościele godności, chlubnie zapisanych na kartach dziejopisarstwa polskiego. Stanisław Łubieński, urodzony 1577, wychowany u Jezuitów, a następnie w Akademii Jagiellońskiej, gdzie otrzymał stopień doktora obojga praw, pracował najpierw w kancelarii grodu łęczyckiego, później przy biskupie i kanclerzu Pstrokońskim, który go wysłał na nauki teologiczne za granicę i »używał do pisania listów imieniem królewskim«. Po jego zgonie bawiąc u boku kanclerza Gębickiego, sporządził z bratem Maciejem, prymasem, inwentarz archiwum koronnego, za biskupa Tylickiego został archidyakonem i regentem kancelarii królewskiej. Szybko potem posuwał się po drabinie godności duchownych od rządcy opactwa tyńckiego aż do biskupstwa płockiego, w którym to czasie (1627 r.) złożył mniejszą pieczęć koronną. Oddany więcej sprawom publicznym niż swojej dyciezy, zmarł na sejmie w Warszawie 1640 r. Zostawił kilka dzieł historycznych wysokiej wartości. Pisał bowiem tylko o rzeczach, w których brał czynny udział, a że »był do wszystkich tajemnic rządowych przypuszczony« miał więc wiadomości z najlepszego źródła. Najważniejsze

dzieło jego o rokoszu Zebrzydowskiego, p. t. *De motu civili*, przedstawia smutny obraz rozstroju Rzeczypospolitej. Po jednej stronie król, słaby i uparty zarazem, który niepopularnem małżeństwem z Austryczką, ściągnął na kraj całą burzę, a kiedy przyszło do wybuchu, swą miękkością i dobroduszością dolewał oliwy do ognia; po drugiej rokoszanie, zuchwali a bezsilni, którzy po układach rozpo-



Nr. 70. Stanisław Lubieński.

czynają na nowo wojnę, a są teroryzowani przez swego przewodcę, rozmyślnie »używającego na rozjątrzenie opinii postrachów o jakiejś wielkiej tajemnicy«, mającej na zawsze potępić króla. Obie strony chwiejne, w sobie rozbieżne i słabe, działają bez planu, bez zasad, bez przekonania. Lubieński opisuje te opłakane stosunki bez namiętności, ale nie widzi jasno przewinień króla Zygmunta III. Z dzieł historyczno-politycznych Lubieńskiego, zarówno jak z mów i listów, prze-

bija prawy charakter i wolny od przesądów rozum biskupa. Wbrew niebezpieczeństwu, na jakie był narażony jako historyk dziejów społecznych, wypowiada śmiało swoje zdanie, które wydawcy dzieł pośmiertnych (Antwerpia 1643) zniewoleni byli opuścić, jak świadczą o tem przedrukowane karty o zdradzie dumnych panów pod Guzowem.

W korespondencji, jaka się wywiązała między bratem historyka, arcybiskupem gnieźnieńskim, a Stanisławem Koniecpolskim, hetmanem i kanclerzem, z powodu ogłoszenia drukiem owych dzieł, widać jak drażliwymi byli nasi wielcy senatorowie na choćby najdrobniejszą uwagę, odnoszącą się nie do osoby samej, ale do ich czynności publicznej. Za skromną krytykę straży hetmanów w rokosz Lubomirskiego, czuł się sędziwy Koniecpolski »dotkniętym na sławie i honorze«, uważał też za zdradę ojczyzny wyjawianie drukiem nieprzyjacielowi sposobów naszego wojowania. Z tego poznać można, jak trudno było historykowi swego wieku pisać prawdę i dlaczego tak długo spoczywały nasze dzieła historyczne w rękopisie. Pod tym względem nie widać prawie żadnego postępu od ogłoszenia najdawniejszych kronikarzy aż do końca Rzeczypospolitej.

Ale i Łubieński nie wolny jest od błędów. Jako urzędowy historyograf Zygmunta nie ustrzegł się zwyczajnej takowym pisarzom stronnictwość; zaufany króla sekretarz i podkanclerzy a zarazem pasterz duchowny, widzi w naczelniku katolicko-monarchicznego obozu same tylko dodatnie strony. Trzeba jednak przyznać, że sam, jakkolwiek przykładny katolik, wolnym był od fanatyzmu i wobec innowierców sprawiedliwym.

Łubieński pisze żywo, starannie, ale nie ma zdolności układu i kompozycji. Przez całe np. dzieło przeplata rokosz Zebrzydowskiego dziejami Dymitra Samozwańca i ciągle obie sprawy mięsza. Pisze wyłącznie po łacinie, ale językiem czystym i poprawnym. Żywot jego spisał scholastyk płocki Andrzej Trzebicki i ogłosił na czele pomienionego wydania. — Słódko przy tej sposobności o bracie Stanisławie: Macieju, prymasie. Arcybiskup gnieźnieński, wydawca zbioru ustaw synodalnych swojej diecezji, pomocnik króla Władysława IV. w dziele zjednoczenia innowierców z Kościołem katolickim, napisał na zjazd znany pod imieniem colloqui charitativi w Toruniu 1644 r., ów tchnący tolerancją list pasterski, zapraszający dysydentów na rozmowę polubowną w celu zakończenia stuletniej wojny religijnej, która nie zdołała stłumić »miłości braterskiej między obywatelami jednego kraju«. Zjazd ten katolików i wyznawców kościoła ewangelickiego, lubo nie doprowadził do wzajemnego porozumienia w duchu miłości bliźniego, spowodował bogatą literaturę dogmatyczno-polemiczną w trzech językach (polskim, łacińskim i niemieckim). »Wierną« relację tego zjazdu zostawił Łubieński w rękopisie łacińskim.

Z historyków środka XVII. wieku celuje Stanisław herbu Pomian Kobierzycki, z podczaszego kaliskiego kasztelan gdański i wojewoda pomorski, poważny senator, a przytem zawołany mówca. Za młodu zaprawiony na wzorach klasycznych tak przesiąkł nimi w życiu i pismach, że uchodzić może w naszej historyografii za przedstawiciela klasycyzmu z epoki restauracji. Wydał za życia dwa dzieła — naturalnie w języku łacińskim: Historię królewicza Władysława (1635) i Oblężenie Częstochowy (1659)). Oba nie wielkiej wartości, przeważnie kompilacje prac poprzedników, ale szykowne, pisane żywo, zajmująco, językiem pięknym, niemal wykwintnym. Wytwornością, artyzmem przedstawienia, snuje jeszcze Kobierzycki nić tradycji złotego wieku, lubo i on nie wolnym jest od bom-

bastu w stylu, a panegiryczną żyłką nachyla się do współczesnych pisarzy baroka. Zamiast bowiem pisać historię swoich czasów, obiera sobie za przedmiot niedorostka i około niego grupuje najważniejsze wypadki dziejowe, z którymi on nie wspólnego nie ma, ale które, jak np. wyprawa moskiewska, odegrają w przyszłości ważną rolę w życiu króla. Tam jednak, gdzie mu przesady wieku nie zwracają głowy, ujawnia zdrowy, trzeźwy i wcale ostry sąd. Rozumie dobrze »stronę potworną i oburzającą sprawy Dymitra Samozwańca, zuchwalstwo ludzi prywatnych, poddanych Rzeczypospolitej, którzy na własną rękę śmia nieść wojnę w granicę państwa rosyjskiego, z Rzeczypospolitą zaprzyjaźnionego«. Kobierzycki miał



Nr. 71. St. Kobierzyckiego Historia Władysława (Gdańsk 1655).

w drugim tomie opowiedzieć dzieje panowania króla Władysława, ale snać nie przyszło do tego. Umarł w roku 1665.

O Stanisławie Żółkiewskim, kanclerzu koronnym i hetmanie, powiedzieć można, że nie tylko »pisał, ale robił« historię. Urodzony 1547 pode Lwowem, z ojca zamożnego senatora, wychowywał się po ukończeniu szkół na dworze krewniaka Jana Zamojskiego, z którym walczył pod Pskowem 1582 r. i na którego weselu z siostrzenicą królewską, przebrany za boginię łowów Dyaneę, odgrywał jakieś widowisko. Jak pierwszy występ wojenny, tak i pierwszy debiut na arenie politycznej odbył pod znakiem wielkiego hetmana i kanclerza. Ale nie tu miejsce na omawianie jego działalności wojennej i politycznej. Wspomniemy tylko o najpiękniejszym wawrzynie jego sławy: o wyprawie moskiewskiej (1609 r.). »W pamięć

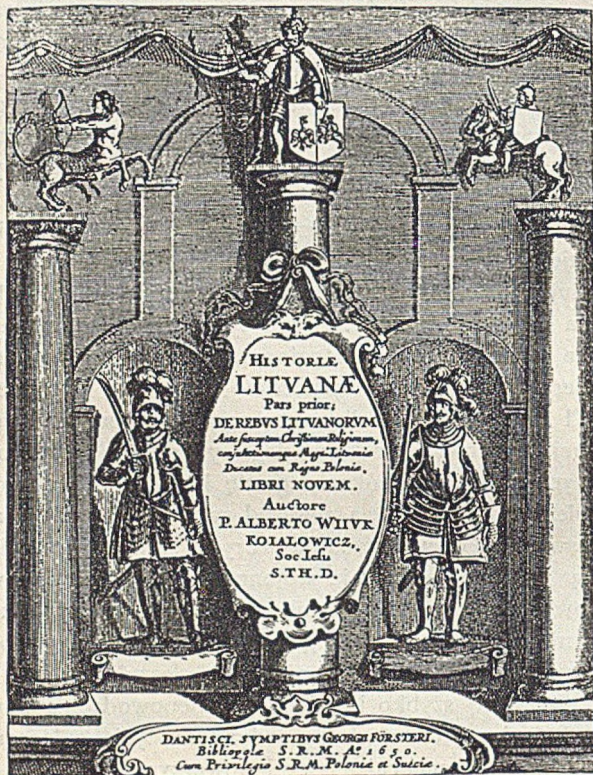
tnej wojnie — powiada jego biograf — okazał się nietylko wielkim wodzem, ale i wielkim mężem stanu, umiejącym w każdej chwili przeniknąć bystro właściwe położenie rzeczy i z dziwną zręcznością usuwać przeszkody do osiągnięcia powziętego zamiaru«. Po spełnieniu obowiązków wodza i doradcy, ujął, jak drugi Ksenofon, za pióro, aby w prostocie ducha opowiedzieć o czynach przez siebie dokonanych. Tak powstała *Historia wojny moskiewskiej aż do opanowania Smoleńska*, skreślona własnoręcznie przez głównego sprawcę, naówczas wojewodę kijowskiego i hetmana polnego. Wielki wódz pisze stylem prostym, bez okras, ale jasno i zwięźle — wspominając o czynach swoich w trzeciej osobie bez fałszywej obfudy skromnisią, ale też daleki od zarozumiałości. Szczerością i powagą pióra zbliża się do niezrównanych komentarzy Cezara, które też czasem naśladowuje.

Dziękuję to nie wielkie objętością i treścią nie bogate, bierze się do ręki jak relikwiię po jednym z największych mężów tego nachylającego się już ku zepsuciu wieku. Ze słów prostych, nie uszykowanych po literacku, przebija dzielny wojownik, poważny senator a przede wszystkim piękny charakter. Na czele szczupłej garstki walecznych, którzy bez broni, bez zapłaty, bez żywności prawie zatknęli sztandar polski w Moskwie, uściela tu Żółkiewski tron dla królewicza polskiego, ale wróciwszy do ojczyzny, przekonywa się, że wszystkie te ofiary idą na marne. Nie czuje jednak urazy do króla, który to wszystko udaremnił, nie mści się, nie buntuje, jak owe »urazone królewiczą polskie«, ale składa wszystkie swoje krzywdy na ołtarzu ojczyzny. A nie tylko moralna strona zaleca książkę hetmańską, ma ona także wartość strategiczną. Ktoby ją tylko zestawiał z pamiętnikiem Marchockiego, obejmującym spólczesne dzieje od wystąpienia pierwszego Dymitra aż do 1611 roku — przekonałby się o ogromnej pod tym względem różnicy.

Po skończonej wyprawie moskiewskiej, syt sławy, osiadł osiwiawie w boju hetman w rodzinnych stronach. Król w nagrodę bohaterskich czynów obdarzył go buławą wielką i pieczęcią koronną, a zewsząd garnęli się rodacy, aby złożyć hołd znakomitemu mężowi. Stał on wówczas na szczycie sławy i szczęścia. Miał za sobą przeszłość świetną nietylko na arenie wojennej, ale także w życiu politycznym. Mowy jego wypowiedziane na sejmie, lub spowodowane wypadkami chwili bieżącej, jakkolwiek nie były za życia ogłoszone drukiem — podobnie jak dzieło o Początku i progresie wojny moskiewskiej — cieszyły się wielkim uznaniem. Ale koło fortuny toczy się szybko i zmiennie... Niepowodzenia w wyprawie wołoskiej — podczas której wydał z druku jedyne za życia ogłoszone dziełko: *Pobudkę do cnoty* (1618 r.), zachęcając swych towarzyszy broni do waleczności, — zatrwały wielkiemu hetmanowi ostatnie lata życia goryczą. Błędy popełnione okupił bohaterskim zgonem pod Cecorą.

Wykupionym z rąk nieprzyjacielskich zwłokom oddano ostatnią posługę według rozporządzenia hetmana: »Niech będę pochowany — są słowa jego testamentu — bez pompy, bez owych koni, kirysów... miasto aksamitu niech trumna przykrytą będzie szarlatem, na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej. A to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiętki i dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny... Godna wielkiego hetmana małżonka Regina Żółkiewska kazała wznieść mu pomnik z prostego kamienia na szczerem polu, hen nad Dniestrem, stosując się do jego ostatniej woli: »A jeżeli by gdzie za granicą śmierć Pan Bóg przysłał, tamże pogrzeć grzeszne ciało moje, a na temże miejscu mogiłę wysoką osuć. Nie dla ambicyj jakiej, ale żeby grób mój był kopcem Rzeczypospolitej granic«.

Obok tego bohatera wygląda jak Donkiszot Wojciech z Konojad Dembołęcki. Szlachcic rodem z Prus, herbu Prawdzic, ledwie ukończył szkoły i otrzymał stopnie akademickie bakałarza czy doktora teologii, zaciągnął się jako kapelan wojskowy do słynnego na cały świat pułku Lisowczyków, co to »przeszedł zwycięsko całą Europę, w Lotaryngii i Alzacji cudów męstwa dokazywał«, a Wołgę pomąciwszy, przebiegał Dniestr, Dunaj i Ren, »rzucając popłoch pod same mury Paryża«. Jak clearzy polscy, żyjący sławą i grabieżą, tak i nasz kapelan, wraz z nimi odbywając kampanię niemiecką w wojnie trzydziestoletniej, po stronie cesarza Ferdynanda II., żył modlitwą i łupieżą, »liczył pochód wojska ewangeliami»,



Nr. 72. Alb. W. Kojalowicza. Historia Litwy. (Gdańsk 1650).

a gnębił i krzywdził gdzie mógł »heretyków«. Trzeba jednak przyznać że kochał swoich Lisowczyków i sławę ich roznosił po świecie. »Postrach — powiada — po całej krainie rzucali nasi Lisowczycy. Dość, aby oddział ich stanął przed jakim miastem i zawołał: effeta, tj. otwórz się, a klucze jak grad spadały — poddawały się większe miasta i małe miasteczka«. Upajał się kadzidłami spalonymi na ołtarzu tych »rabusi«, ale i sam śmiało nadstawiał czoła w niebezpieczeństwie i uwijał się zręcznie »nietylko z krzyżem w ręku«.

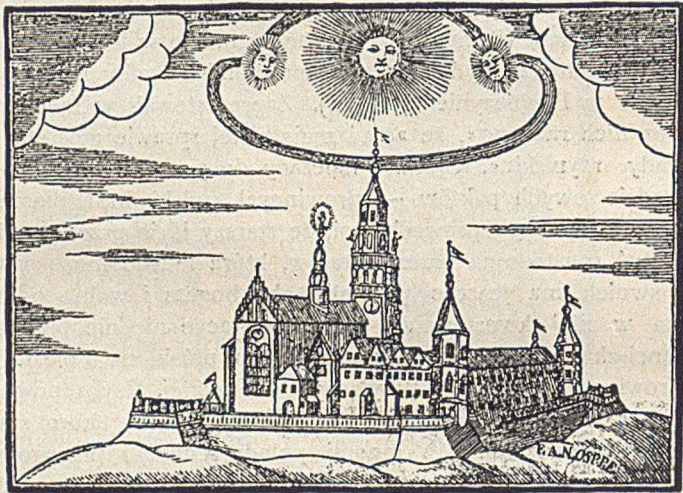
Pełniąc z rozkazania Ojca św. służbę kapelańską, w obozie Lisowczyków spisywał dziennik wyprawy z lat 1619—1623, lecz dyaryusz ten zgubił gdzieś w przeprawie przez góry szląskie. Wróciwszy więc do kraju, skreślił ponownie,

ale już z pamięci żywy i nader zajmujący, lubo na skrót tendencyjny i cudacki obraz »bohaterskich« czynów swoich rycerzy i wydał w drukarni poznańskiej Wolraba r. 1623 p. t. Przewagi Elearów polskich, co ich niegdy Lisowczykami zwano.

W powrocie z żołnierki, syt sławy i trudów wojennych, wstąpił nasz rubacha do klasztoru, ale nie jako zwykły zakonnik, zrywający wszystkie węzły ze światem, pogrążony w modlitwie, ale jako człowiek ruchliwy i czynny, zajęty całą organizacją swego zakonu. W owym czasie bowiem namnożyło się tak wiele klasztorów Franciszkańskich w Polsce, na Rusi i Litwie, a wskutek niemożności nadzoru takie zagnieżdżyły się w nich zgorzenia, że Stolica apostołska postanowiła rozdzielić rozległą prowincję polsko-ruską. Na mocy bulli papieskiej Urbana VIII. przyszło w maju 1625 do podziału. Prowincyałem polskim został ks. Wojciech Dębołęcki, będący już 1617 gwardyanem chełmińskim, na czele prowincyi litewsko-ruskiej stanął Albert Giza. W celu ostatecznego urządzenia zawitych stosunków nowych prowincyi powołano obu prowincyałów do Rzymu, sekretarzował im ks. Augustyn Kochański, gwardyan grodecki, tłumacz Dydaka Stelli, hiszpana, ksiąg o wzgardzie świata (Poznań 1611). Atoli zawarte w Rzymie i ogłoszone publicznie pacta conventa z obydwoma prowincyałami natrafiły na silny opór zgromadzonych ojców w Drohiczynie (1626 r.). Zaprotestowali w mocnych wyrazach, że »o nich bez nich radzono«, że »oni mają w tej sprawie głos stanowczy, a nie generał i narady rzymskie«. Ojcowie należący do prowincyi ruskiej »nie chcieli by — na zasadzie owych paktów — prowincyał polski brał pierwszeństwo ruskiemu«, gdyż »w dawnych prawach stoi, że starszy idzie przed młodszym«, oburzali się, że »Ruś spustoszona przez Tatarów, która ledwie może wyżywić jałmużnami braci swoich, ma jeszcze pozwolić, aby bogata i wolna od napaści prowincya polska w niej kwestowała«. Ale protestacye nic nie pomogły, zaledwie udało się Franciszkanom ruskim oderwać klasztor piński na Polesiu, jako pograniczny, od prowincyi polskiej i przyłączyć do ruskiej. Czy z powodu rozdziału obu prowincyj, czy też z innych powodów ks. Dembołęcki, skoro sprawę rozgraniczenia obu prowincyj razem z innymi pełnomocnikami przeprowadził, złożył urząd prowincyała, który jeden tylko miesiąc piastował, a na wezwanie, aby wedle umowy, jak każdy Franciszkanin, zgłosił, do jakiej prowincyi chce należeć, oświadczył się za prowincją ruską i otrzymał zarząd konwentu kamienieckiego na Podolu. Ks. Dembołęcki utrzymywał, że godność prowincyała złożył »z miłości dla swojej prowincyi polskiej«, niepodejrzany jednak świadek twierdzi, że ten wysoki urząd składał z miłości własnej: »Kapelan lisowski przywykł już do koczowniczego życia, w którym dzisiaj nie troszczył się o jutro, nie lubił zatem brać żadnych na kark swój zobowiązań«. Aby zaś wyzwolić się z wszelkich stosunków zależności, wyrobił sobie u papieża misję wykupowania więźniów z rąk pogańskich i na tem stanowisku, zupełnie niepodległym, nie uznając nad sobą władzy prowincyała, »objeżdżał samopas, niby udzielny jaki wizytator«, klasztory swojej prowincyi, zabierał skarby bractwa z klasztorów, nakładał kontrybucye, urządzał formalne najazdy, a gdy go za to starszyzna pociągała do odpowiedzialności, tłumaczył się, że jako »generał społeczności wykupowania więźniów« nie ma obowiązku zdawać sprawy ze swoich czynności przed prowincyałem.

Na kapitule lwowskiej, 1627 odbytej, oskarżał go prowincyał o gwałtowne zabieranie skarbów i lokowanie innych (zbiorów prywatnych) po kościołach. Na radzie defnitorów 1628 oskarżono go, że »nie mieszkał nigdy w żadnym kla-

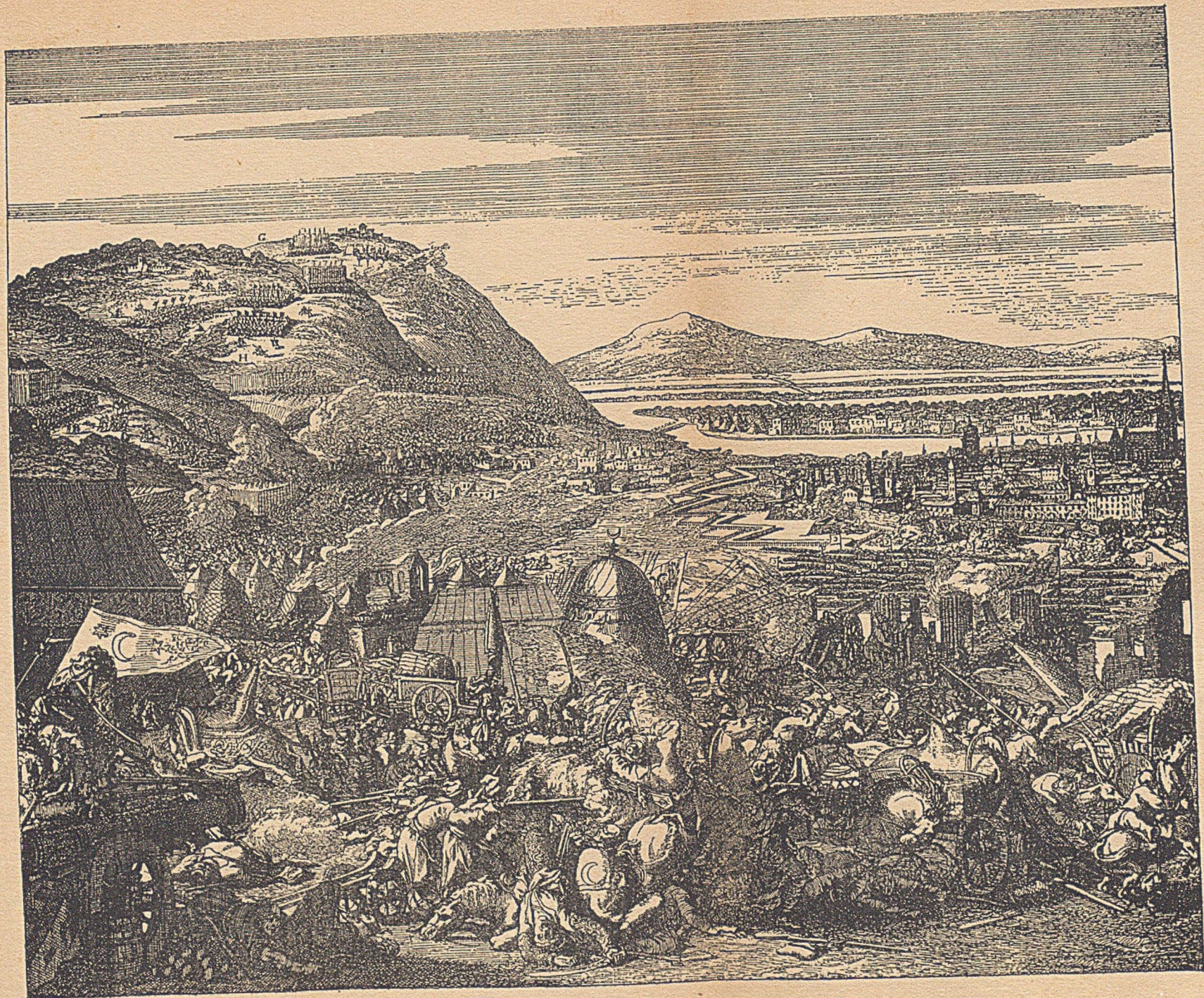
sztorze«, że »jest księdzem bez korony kapłańskiej« (podgalał bowiem głowę i nosił się po świecku), że miał »twarz całą i ciało osypane krostami« i że był »chorobą francuską (syfilis) zarażony«. Odsądziwszy tak księdza Dembołęckiego od czci i wiary, uchwalono domagać się skasowania misyi jego, »bo ona wcale niepotrzebna, owszem szkodliwa, zwłaszcza w tak haniebnym i niekarnym człowieku«. Mimo te skargi nie odwołano zbytnika, albowiem w kilka lat później podnoszą na kapitule przeciw niemu znowu kompromitujące zarzuty. Klasztor kamieniecki oskarża go, że »plamił powołanie, włóczęg się gdzie chce i żyjąc jak osieł, jak dzik w lesie«, że »wydziera jałmużny konwentowi, że handluje, sprzedaje jak kupiec z obrazą zakonu, któremu to nie przystoi, że wiele głupstw wyprawia po dworach szlachty, po miastach i miasteczkach ze zgroszą szlachty i wrzaskiem ludu«. Z tego powodu ojcowie stanowią, »że Dembołęcki ma być do klasztoru przydzielony, a jeżeli temu wyrokowi poddać się nie zechce, ma być z prowincyi wygnany, a wreszcie odsunięty od owej skarby, którą już od lat ośmiu zawi-



Nr. 73. Wdok klasztoru na Jasnej górze z dzieła ks. Kordeckiego *Nowa Gigantomachia*.

duje, a z której jeszcze ani jednego nie wykupił więźnia«. W roku 1636 zapadł wyrok przeciw oskarżonemu, na mocy którego odebrał mu generał głos w zakonie. Ale nasz Lisowczyk nie dał sobie kołków ciosać na głowie. Niby żołnierz w habicie miota zarzuty na zarzuty. Sprawę wytoczył przed Stolicę apostolską, gdzie ciągnęła się przez lat kilka, wreszcie rozstrzygnęła wygraną Dembołęckiego. Na kapitule drohiczyńskiej 1643 przyjęty został uroczyście do starszyny i zajął piątę miejsce pomiędzy ojcami prowincyi. Tak się zakończyła długoletnia wojna Dembołęckiego ze starszyna zakonnu. Nie ulega wątpliwości, że zawinił złem prowadzeniem się i plamił suknię zakonną rozpustą, ale większą część grzechów położyć trzeba na karb jego natury »zuchwałej, rozpasanej«, nie znającej hamulca, której w Rzeczypospolitej wszystko uchodziło. Szlachcic to polski XVII wieku.

Ks. Wojciech Dembołęcki zażywa smutnej sławy jako autor dziełka filologicznego p. n. »Wywód jedynowłasnego państwa świata« (Warszawa r. 1633). W tytule tym, który tu w skróceniu podano, utrzymuje autor »Przewagi Elearów



Oswobodzenie Wiednia w 1683 r. (z biblioteki Pawlikowskich).

polskich« przejęty dumą i miłością swego narodu, że język polski jest najstarszy na świecie, że mówili nim pierwsi rodzice w raju, bo »nastarodawniejsze w Europie Królestwo polskie w panowaniu świata od Boga w raju postanowione było«. Opiera zaś swoje wywody na etymologii tego kalibru: »Adam = jadam, Babilon = babie łono. »I ten sok istoryej — są to jego słowa — ofiaruje narodom korony polskiej i wszem inszym słowiańskiego języka, na ulżenie bolu serca w dzisiejszem doczesnem osłabieniu Korony Polskiej«. Dziwactwa te autora, prawiącego jakby w gorączce duby smalone, spotkały się już w zakonie Franciszkanów z ostrą krytyką. Oto co piszą zebrani w Międzyrzeczu ojcowie zakonni w październiku 1634 r. »Wydał ks. Dembołęcki książeczkę czyli raczej głupstwo o historyi przedpotopowej, w której uczy, że język słowiański jest pniem, z którego wyrosły wszystkie inne na świecie, dalej, że językiem polskim mówił Bóg i Adam w raju i poplątł wiele innych straszliwych dzieciństw, które wstyd przynoszą dla mężów rozsądnych. Ma też wiele cytacyj z pism św. zepsutych i fałszywie ułożonych, a dowodzi, że książeczce jego ma być dana taka wiara, jak artykulowi wiary. Tę książeczkę wszędzie rozrzuca i zakon przez to obrzydza«. Ułożył jeszcze Dembołęcki, wybrany na kapitule regensem muzyki, kilka utworów muzycznych (Benedictio mensae, Toruń 1616).

Gotował też dzieło łacińskie p. t. »Zwierciadło dziejów powszechnych«, ale na marzenia te nie znalazł już nakładcy. — Krewny, jego Andrzej Dembołęcki, był również pisarzem. Zachęcał w wierszu »Otucha na pogany« (1595 i 1637) do wyprawy krzyżowej całego chrześcijaństwa przeciw Turkom, a poematem »Wróźbit boju« (1633) przepowiadał królowi Władysławowi IV. przyszłe powodzenie w Rosyi.

Śród innowierców wybił się w dziedzinie dziejopisarskiej Andrzej Łubieniecki (urodzony w połowie XVI wieku, zmarły 1622), który za arianizm przesładowany, opuścić musiał dwór królewski i tułać się, pełniąc obowiązki pastora. Główne jego dzieło Polono-eutichia (od Eutichiusza, zaprzeczającego Chrystusowi dwóch istot boskiej i ludzkiej), aż do naszego wieku kryjące się w ciemnicy bibliotecznej, późno dopiero na światło dzienne wydane, przypada na owe smutne czasy, kiedy to społeczeństwo polskie, do niedawna odznaczające się niezwykłą wobec innowierców tolerancją, prześladowało bezlitośnie »heretyków« a pisma ich tępiło. Przejęty zasadami ewangelicznej miłości i powszechnej w wszechświecie równowagi, stara się Łubieniecki dowieść na przykładzie z dziejów polskich, że do XVII wieku zażywała Rzeczpospolita szczęścia, odtąd (mniej więcej od 1612 — 13) za błędy swoje ukarana pokutuje. Albowiem — zdaniem autora — nicodzowna równowaga »tak ludzi jak państw i ich rządów nieprawości tu, na tej ziemi jeszcze karze, a cnocie i sprawiedliwości sprzyja i błogosławi«. Malując nieszczęśliwy koniec wyprawy moskiewskiej i rabunkową gospodarkę wojska związkowego w Koronie i Litwie, przytacza przykłady prześladowania akatolików w Polsce. Niejaki Frank za przejście »z wiary papieskiej na ewangeliczną« został zaćwiertowany w Wilnie 1611 roku. W tym samym czasie doznał podobnego losu w Warszawie Tyszkowicz. Szkoda że te i tym podobne wypadki wydawca dzieła Łubienieckiego wstydliwie streszczał, przeciwnie zaś powszechnie znane drukował w całości.

Z trzech braci Węgierskich, szlachciców polskich, wyznania ewangelickiego, był najstarszy Tomasz (* 1587 † 1653), koznodzieją Rafała Leszczyńskiego i ministrem Braci czeskich, wreszcie superintendentem zborów małopolskich wyznania

helweckiego. Zostawił liczne i czystą polszczyzną napisane Kazania, pisma teologiczne i wiersze łacińskie. Najmłodszy: Wojciech (* 1604 † 1660) również kaznodzieja domu Leszczyńskich, następnie zboru krakowskiego, schlebający swoim przełożonym i chlebodawcom w wierszach polskich i łacińskich, zapisujący swoim owieczkom różne lekarstwa duszne, zebrał z papierów synodowych i zborowych Kronikę zboru ewangelickiego w Krakowie 1651, w której podaje nie tylko źródłowe wiadomości o smutnych kolejach innowierców w Polsce, ale ubocznie także szczegóły z dziejów Rzeczypospolitej, jak np. o oblężeniu przez Szwedów Krakowa. Sławę imienia Węgierskich rozniósł daleko poza granicę Polski trzeci brat Andrzej Węgierski, znakomity historyk i kaznodzieja polski. Pełnił on przez czas



Nr. 74. Cas. Zawadzki Historia arcana seu Annal. Polon. (1699).

pewien obowiązki nauczyciela i rektora szkoły ewangelickiej, był też kaznodzieją na dworze kasztelanowej lubelskiej Słupeckiej, siostry Rafała Leszczyńskiego, w końcu wybrany został seniorem zborów ewangelickich w lubelskiem. W czasie napadów Kozaków i Tatarów stracił cały swój majątek i bibliotekę, tak, że był zniewolony przenieść się do miasteczka Skoki, pod Poznaniem, gdzie też w 49 roku życia umarł. Główne jego dzieło, opisujące dzieje reformacji u ludów słowiańskich z podaniem biografii wybitniejszych ewangelików, wyszło pod przybranym imieniem Adryana Regenwolscyusza, »aby krewni autora w Polsce żyjący, dla śmiałych zdań przykrości jakowych nie doznawali«, p. t. Systema historico-chronologicum ecclesiarum Slavonicarum (1652), a następnie w odświeżonej nieco szacie p. t. Slavonia reformata (1679) w świat puszczony z przedmową i przypię-

skami wydawcy. Opracował też nasz Węgierski kilka książek szkolnych, jak słowniczek łacińsko-niemiecko-polski, na podstawie Komeniusza, gramatykę w tychże językach, na podstawie Donata, pisał wiersze polskie, łacińskie a nawet greckie, przeważnie okolicznościowe, ogłosił wiele kazań piękną i poprawną polszczyzną, ale w literaturze zapisał się złotemi literami dziełem historycznym, podającym pierwszorzędnej wartości fakta z dziejów reformacyi do środka XVII. wieku.

Oburzające przykłady prześladowania innowierców przytaczają dzieła Węgierskich. Oto w roku 1617 »studenci stojącego we drzwiach swej kamienicy W. Łyszkowicza, doktora medycyny, z tej tylko jednej przyczyny, że ewangelikiem był, znagła porwawszy, po ulicy włóczyli, w błocie nurzali, za nogi po bruku ciągnęli, nakoniec ciężko obiwszy, za św. Anny furtkę wlekli w zamiarze wrzucenia go do Rudawy, coby też byli dokonali, gdyby go nie obronili profesorowie z wielkiego kolegium«. Lecz owe napady niczem były wobec niecných występków, jakich się młodzież katolicka, podżegana przez swych mistrzów, dopuszczała na zwłokach innowierców. »Do tego bowiem rozbestwienia przyszło, iż podczas pogrzebów, które stawiać człowiekowi przed oczy jego znikomość, mimowolne poszanowanie w nim wzbudzają, żaki, jakby rozbójniki, wypadwszy z ukrycia, towarzyszy pogrzebu rozpędzali, trumny rąbali i za chroniącymi się do domów drzwi szablami wyrębywali — a to wszystko dlatego czynili, żeby im się opłacano!« A gdy sprawę przed sąd rektorski wytoczono, nauczyciele, którzy sami młodzież do takich występków podżegali, tłumaczyli je »dawnemi zwyczajami moc prawa mającemi, wedle których wszyscy odszczepieńcyszkole, w parafii zamieszkania zmarłego, pogrzebne opłacać byli powinni«.



Nr. 75. Andrzej Chryz. Załuski.

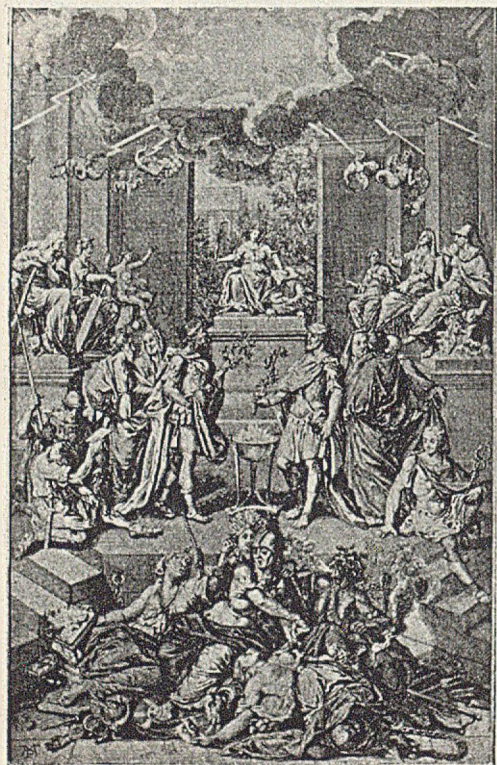
W dziejopisarstwie polskiem tworzy literatura do wojen Kozackich wyraźny przełom. Liczne, w kilku językach, prozą i wierszem pisane dzieła o Kozaczyźnie roztaczają przed oczyma naszymi obraz najstraszniejszej z wojen — bo wojny domowej. Stają tu przeciw sobie dwie klasy społeczne: panowie niezmierzonych fortun, przewyższających rozmiarem niejedno z dzisiejszych państw (Janusz książę Ostrogski, zmarły 1620 r. bezdzietnie, zostawił — krom królewskiej i dóbr dziedzicznych — ordynację złożoną z 2.700 wsi i 80 miast, tudzież majątek w gotówce, wynoszący kilkadziesiąt milionów złotych!) i tłum ludu ukraińskiego, któremu twardy żywot osładzała tylko niebezpieczna wyprawa w głąb ziemi tatarskiej. Napady owe — opromienione sławą mołojców — w kraje bisurmanów powodują ciągłą groźbę niebezpieczeństwa wojen tureckich. Skłania to rycerstwo

polskie, zmieniające miecz na lemiesz, do ujęcia w karby służebności i poddaństwa wolny lud Zaporozża. Powstała stąd półwiekowa blisko wojna kozacka, której przyczyną główną było przeobrażenie wolnego, rycerskiego ludu ukraińskiego w chłopów — niewolników pańskich, »zagnanie Kozactwa do swoich jam«. Przez starostów i arendarzy gnietli obszarnicy lud ukraiński, dorabiając się zdzierstwem plantatorów coraz większych zysków z nieprzejranych stepów, które pod rękami niewolników zmieniały się w ludne miasta i intratne włości. Między bezwzględnych panów a biedny lud wcisnął się klinem żywiół żydowski i tak pospołu »z bezprzykładną chciwością«, pętano lud więzami ekonomicznej niewoli. Uciśnieni »nie widząc możności podźwignięcia się ani siłą gromionych przez szlachtę

buntów, ani pomocą pozbawionego wszelkiej władzy króla«, nie znajdując poparcia w napół szlacheckim ludzie, trzymającym stronę mocniejszego, szukali ratunku wśród nieprzyjaciół swoich gnębieli u — Tatarów.

Wojna domowa rozpoczęta przez Kozaków o słuszne prawa skromnymi żądaniami o uwolnienie ich z pod ucisku starostów, arendarzy i żydów, od nadużyć w sądach i codziennym życiu, skończyła się po strasznym pogromie Polaków pod Żółtymi wodami, Korsuniem i Pilawcami, upokarzającą ugodą zborowską (1649) i hadziacką (1658) zniszczeniem Unii kościelnej i oderwaniem od Polski połowy Ukrainy.

Wojnie tej, jak dziejom Kozaczyzny wogóle, poświęcają swe pióra najwybitniejsi pisarze i mowcy, historycy i poeci. Przypominam Kojalowicza (De rebus 1648—9), dzieła Pastoryusza i Twardowskiego Wojnę domową; z ulotnych broszur ogłoszonych 1648—9: Rozmowę ks. plebana z żołnierzem z wojny Kozackiej, Trąbę przeciw Kozakom (Da-



Nr. 76. M. Dogiel. Codex diplomaticus Regni Polon. et Lit. Wilno 1758.

chnawskiego), Na trąbę odpowiedź żołnierską, Dyskurs jednego z miłośników ojczyzny, że Pan Bóg skarał wojsko od Kozaków rozproszone, Planctus Poloniae super clade a Cosakis, Paronę na Hetmana pod Korsuniem (wiersz), Obsidio Zamosciana (Bytowski). Zabawy rycerstwa i ekspedycję Zborowską (Frykac), (Ta ostatnia ekspedycya doczekała się kilku opisów: Radwana, Kuczwarewicza, Cicciszewskiego), Dyaryusz drogi do Kozaków Kisiela — Dyaryusz pogromu Kozaków — Relację ekspedycyi Jana Kazimierza — Wojnę z Kozaki itp.

Z licznych historyków wojen kozackich — że tu do wymienionych dodam jeszcze Epitome J. D. Łobżyńskiego, Paulina, ogłoszone 1653 r. — najlepiej znany

jest Samuel Grądzki, socyanin, domownik księcia Krzysztofa Radziwiłła, hetmana litewskiego. Czynny w armii królewskiej, a zatem mający sposobność poznania kilku wypraw tej nieszczęsnej wojny, oparłszy się głównie na dziele Wolfganga Bethlena, opowiedział dzieje powstania Kozaków (od 1648 do 1657) w owej krytycznej dla Polski chwili, kiedy król Jan Kazimierz, naciśniony wojną z dwóch stron, od Szwedów i Siedmiogrodzian, oczekiwał już z rezygnacją podziału Polski między oba mocarstwa.

Kilkudziesięcioletnią wojnę szwedzką, grożącą zatopieniem skołatanej nawy Rzeczypospolitej, opiewali również liczni poeci i historycy. Z tych wybija się na czoło nieznana historycznie postać przeora Paulinów, Augustyna Kordeckiego. Jego opis cudownej obrony Częstochowy przed nawałą szwedzką w niezbadanem krytycznie dziele łacińskim p. t. *Nova gigantomachia*. (Kraków 1657 i późniejsze liczne wydania), przybiera w tradycji historycznej niezwykle rozmiary. Występuje w niej zakonnik pełen prostoty serca i wiary, który »ufny w opiekę Bogarodzicy wytrzymał szturm straszliwe Szwedów i doczekał się wreszcie chwili wielkiej i uroczystej oswobodzenia narodu«. W opowiadaniu tego wickopomnego faktu nie wysuwa bohater nasz swojej osoby na czoło, owszem »męstwo, poświęcenie i wiara wszystkich główniejszych obrońców Jasnej góry podane są starannie do wiadomości potomnych«, tylko ten, który »wszystkich swoim męstwem trzymał, swoim poświęceniem zagrzewał, swoją wiarą krzepił, zdawałoby się, że ze wszystkich najmniej miał zasługi«. Bohater obrony Częstochowy nie przypisuje sobie żadnej zasługi, »wszystko odnosi do opieki Najśw. Panny«, do owej »cudownej wiary, z jaką pierwsi męczennicy chrześcijańscy szli na stopy ofiarne«.

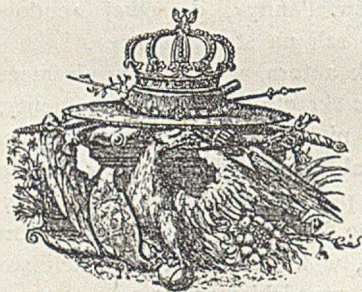
Prostocie ducha nie odpowiada styl i język autora, wyszukany i niesmaczny. Opowiadanie nabiera wartości historycznej przez skrzętnie zebrane dokumenty, listy i propozycje Millera oraz odpowiedzi na nie obłożonych mnichów-rycerzy. O księdzu Kordeckim, który na widowni tej »zabłysnął nagle i zniknął«, wiadomo tylko tyle, że w roku 1661, a więc w pięć lat po owym nieśmiertelnym czynie, »osadził w Warszawie klasztor swego zakonu, bo Paulinom, przez pamięć obrony Częstochowskiej, podarowano wtedy w stolicy, w której dotąd nie mieli swojej osady, kościół św. Ducha, straszliwie po wojnie szwedzkiej zniszczony«.

Po Szwedów zalewie, który wywarł przynębiające wrażenie na stan umysłu narodu, dziejopisarstwo stacza się po pochyłej płaszczyźnie. Z historyków tej smutnej doby cieszył się zasłużoną sławą Kazimierz Zawadzki, kasztelan chełmiński, autor panegiryku na cześć króla Michała p. t. *Gloria orbis*, Warszawa 1676. Główne jego dzieło z tajemniczym tytułem: *Historia arcana* (Gdańsk 1693), obejmujące właściwie dyaryusz rozpraw sejmowych w ogłędnej redakcyi, odsłania bezprawia panujące w Polsce. Wcześniej napisane, ale ważniejsze p. t. *Joanni III. Speculum* (Kraków 1676) przedstawia Janowi III. program naprawy Rzeczypospolitej. Przekonany o szkodliwości prawa wetowania radzi je ograniczyć, żąda zniesienia dożywotności urzędów, ukrócenia nieograniczonej prawie władzy hetmanów, wreszcie domaga się powszechnego podatku na utrzymanie stałego wojska — obok tego jednak poleca oddanie steru administracyi skarbowej w ręce duchownego!

Drzewo dziejopisarstwa, tak bujnie rozrosłe w XVII. wieku, usycha za panowania Augustów. Najwybitniejszym tych czasów historykiem jest Andzej Chryzostom Załuski, z kolei biskup kijowski, plocki, warmiński, wreszcie kanclerz koronny, autor ogromnego rozmiarami dzieła, znanego p. t. *Epistolae historico-familiares*. (Poufne listy historyczne). Siostrzeniec Andrzeja Olszowskiego, autora

»Cenzury«, słynnego ministra i prymasa, w młodości już przeznaczony przez wuja do zajęcia wysokiego stanowiska, wyuczył się wczesnie w szkole dyplomatycznej, — odwoził order złotego runa na dwór madrycki — intryg i egoizmu. Odgrywał też podejrzaną rolę polityka, siedzącego na dwóch stołkach »niby to zwolennik Sobieskiego, przeniósł się do Kontego, a skończył na Sasie« — zawsze i wszędzie przestrzegając własnego dobra. Smagało go też czasem biczysko losu. Za jakieś podejrzenie niewierności »kazał go August II. uwięzić i odstawić do Rzymu, gdzie popadł w niełaskę papieża«. Po przegranej Augusta, odebrał mu król Stanisław pieczęć koronną, którą obdarzył swego wuja. Przetrwał jednak te gromy i burze wojny domowej a nie ustając w pracy nad podniesieniem własnej fortuny, stał się założycielem potęgi domu Załuskich. Pokierowawszy synowców na wysokich dygnitarzy, umarł 1711 r.

GOTFRIDI LENGNICH
HISTORIA
POLONA
A
LECHO AD AVGVSTI II.
MORTEM.



CVM PRIVILEGIO.

LIPSIAE
IMPENSIS IACOBI SCHVSTER.
MDCCL.

Nr. 77. Gotfr. Lengnicha Historia Polska.

Od najrańszej młodości lubiał notować wypadki społeczne, pisywać do znajomych listy o nowinach dworskich, zbierać materiały do dziejów wewnętrznych. Pod starość, gdy się z tego utworzył pokaźny skarbiec historyczny, postanowił ogłosić to drukiem. Niestety nie podawał rzeczy in c r u d o, ale przerabiał je i zmieniał, zacierając ślady »drażliwych« spraw, ze względu na osoby lub rodziny żyjące. Przytem tłómaczył to wszystko na łacinę — posługując się w pracy pomocnikami z Towarzystwa Jezusowego — bo myślał, że pisze dzieło pomnikowe dla uczonego świata Europy. Księgi te, świadczące o mroźniejszej, benedyktyńskiej pracy autora, chorują na brak ładu, nie mają bowiem ani chronologicznego ani rzeczowego porządku. Tomy I—IV obejmują czasy od 1665 do 1710, tom V, wciskający się klinem w te czasy, jako zbiór listów, mów i aktów, odnoszących się do sprawy króla Leszczyńskiego, byłby dla panującego Augusta kamieniem obrazu, dlatego wyszedł dopiero po śmierci autora. Niewyczerpana to kopalnia

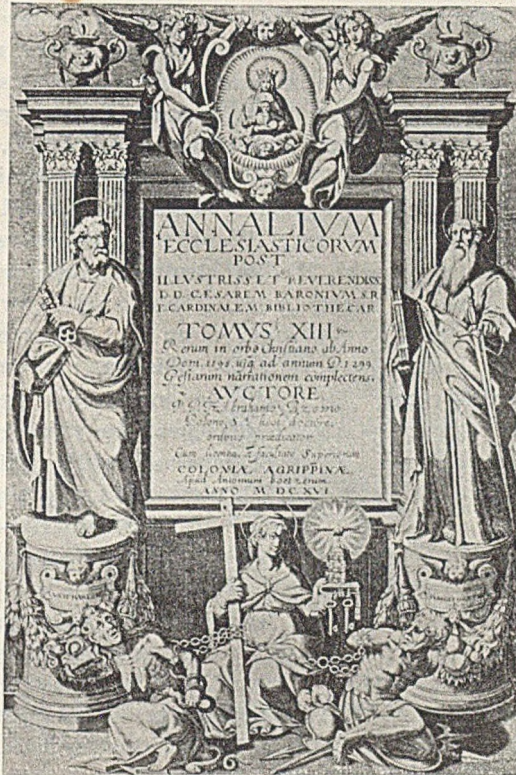
wiadomości, odnoszących się do rzeczy i ludzi społecznych, szkoda jeno, że przywalona gruzem ciężkiej i zawiłej łaciny.

Większe zasługi około wydawnictwa źródeł historycznych położył uczony Pijar Dogiel, ogłaszając p. t. Codex diplomaticus Regni Poloniae et Lithuaniae akta publiczne państwa polskiego t. j. prawa i przywileje poszczególnych jego ziem i stanów, na wzór zbioru wydanego z początku XVIII. wieku przez Rymera z polecenia królowej angielskiej Anny. Z tej wielkiej »księgi żywota Polski« wyszły tylko trzy tomy (pierwszy, czwarty i piąty), reszta materiałów spłonęła. Zachowały się natomiast zebrane przeciw akty rubieżne, odnoszące się do rozgranicze-

nia ziem p. t. *Limites Regni Poloniae et Lithuaniae* (1758). Wydawca ich, cichy skromny pracownik, umarł w zapomnieniu w stolicy Polski 1760 r.

Na wyszczególnienie zasługują uczeni pruscy, piszący z gruntownością niemiecką o dziejach naszych i naszym prawodawstwie, jak sumienny Pastoryusz, pracowity Krzysztof Hartknoch, ostry krytyk Dawid Braun i najznakomitszy z nich Gotfryd Lengnich, Gdańszczanin, autor przeszło czterdziestu dzieł, odnoszących się do Polski, znakomity prawnik i wydawca, sięgający już czasów Stanisława Augusta († 1774).

Dzieje powszechno Kościoła rzymsko-katolickiego reprezentuje godnie Abraham Bzowski. Urodzony około 1567, wychowany w Akademii krakowskiej, żyjący



Nr. 78. Abraham Bzowski. *Annalium ecclesiasticorum T. XIII.*

jeszcze szczątkami dawnej wielkości, pod wpływem ognistych kazań Dominikanów, przywdział habit tego zakonu. W sporze między polskimi i ruskimi klasztorami, usiłującymi oderwać się od prowincji polskiej i utworzyć własną, zajął stanowisko pośrednika — z powodu tego odbył 1601 r. dwie podróże do Rzymu w najprzykrzejszą porę, uwieńczone pomyślnym skutkiem t. j. polubownym rozgraniczeniem prowincji. Atoli głównym tytułem do zasług Bzowskiego była kontynuacja *Dziejów kościelnych* Boroniusza, ogromem pracy wzbudzająca podziw Europy. Obaj pisarze, mający wiele wspólnych właściwości, uprawiając nietkniętą prawie rydlem historyka niwę dziejów powszechnych, złożyli dowody niezwykłego do nauki zapału i poświęcenia. Ale, że »jeden i drugi mieli do czynienia z nowizną,

ów pierwszy jej wzór ruszał, ten środkowy karczował«, a »ten sam grunt płodził jednakie chwasty«, przeto »jednakie się też i w ich spichrzu znajdując kąkole, które »słuszna raczej własności roli, niżeli ich winie przypisywać«. Obaj wychodzili z mylnego założenia, usiłując świecką władzę papieża wywieść z obrazu ewangelii »powierzenia Piotrowi kluczków przez Chrystusa«. Na to »kopyto jeden historię nabijał«, a »drugi musiał ją rychtować«. Stąd wynikało, że »sprawy papieży podejrżane usprawiedliwiają, szpetne krasząc, wszystkie ich wyroki za nieomylnie wystawiali, bohaterów zaś opierających się przywłaszczeniom, śmiazków wyłamujących się z pod ich posłuszeństwa — piętnowano«. Mimo to ucierpiał wiele nasz Bzowski, że nie dość ostrożnie dotykał niektórych spraw potentatów. Książę bawarski Maksymilian obruszył się, że przodka jego Ludwika IV. »z równą prawdą jak i wszelkiej słuszności pogardą« odważył się wystawić za »nieprawego posiadacza tronu cesarskiego« i przez to cały dom książęcy znieważył. Jeszcze większego kłopotu nabawili go Franciszkanie za to, że »miał się targnąć na wyrocznię ich mądrości« i sławę Dun Skota uszczuplić, wystąpił bowiem z siarczystą »Obroną całego zakonu Franciszkańskiego« (Lion 1627). Przybywało z każdym rokiem malkontentów i zoilów, szkalujących tę »słomianą przyszwę« do Boroniuszowego dzieła. »Jaki to mi pisarz — bluźnił Raynaud — łatacz to, nie autor. Nie wydaje płódów, ale porzuca. Wyuzdanem piórem wzbija około siebie tumany, które gryzą tylko powicki. Miałliby strofować, zapomina języka w gębie, cichy jak rybka pod wodą, a znowu gracz, gdy mu się najawi okazja szarpania dobrej sławy«. W następnem wydaniu, nie chcąc się zgorznieć kłótnią, pozmieniał lub powypuszczał Bzowski owe drażliwe miejsca, i niestrudzony w pisaniu, pchał dalej taczkę historyczną, do której się dobrowolnie zaprzęgił, aż żmudną, poświęcającą się pracą zwyciężył swoich przeciwników. W uznaniu jego zasług ofiarowano mu stolicę biskupią, a nawet kapelusze kardynalski, monarchowie zapraszali go na dwory królewskie, a nasz Władysław IV. najgoręcej prosił papieża, aby Bzowskiemu pozwolił wrócić do ojczyzny. »Słuszną — pisał do Urbana VIII. — ażeby za granicą zdrowie styrawszy, choć też ostatek dni ojczyźnie swojej poświęcił«. Ale Bzowski nie dał się odwieść od rozpoczętej pracy. Jak z rogu obfitości wypuszczał w świat ogromne foliały historii kościelnej. W roku 1616 ogłosił tom I. Dziejów rocznych czyli XIII., licząc od ostatniego tomu dzieła Boroniusza, w roku 1629 ukazał się już tom XIX. Dwa następne tomy, doprowadzające dzieje kościelne do 1572 r., wyszły już po śmierci autora († 1637), wraz z jego biografją. Aby ocenić wartość tego dzieła, dość będzie porównać je z następcami Bzowskiego, którzy dalszy ciąg dziejów po nim opisać próbowali. Najlepszy znawca ks. Bzowskiego tak charakteryzuje zalety i wady naszego historyka: »Był żartkiego talentu i raczej wymowy, skory wszystko jednym rzutem oka ogarnąć, jednym tchem obiedz. Słowa prawie mu same z pod pióra płynęły. Nie mozolił się nad skrzętnym rozbiorem ulanej w warze umysłu osnowy, nie ślęczał nad sprawdzaniem jej szczegółów. Gdy wyrabiał jedno włókno, już inne na drugim warsztacie napięte ręki jego wzywało«. Z przygórowanego wyobrażenia o wartości swego przedmiotu przybierał autor styl napuszony i nadęty, czego nie ustrzegł się i w następnych pismach o papieżu rzymskim, o św. Jacku i Czesławie, Dominikaninach, a zwłaszcza w kazaniach świątecznych i postnych.

Z licznych dzieł traktujących dzieje Kościoła w Polsce, zaledwie wspomnieć możemy o kilku ważniejszych monografiach: Stefana Damalewicza i Stanisława Burzeńskiego o prymasach i biskupach kujawskich, Franciszka Rzepnickiego o bi-

skupach polskich wogóle, Samuela Nakielskiego o Bożogrobcach miechowskich, Stanisława Szczygielskiego o Benedyktynach tynieckich itp.

Jedną ze znamienitych właściwości wieków XVII. i XVIII. są zbiory rękopiśmienne, od jednotomowej książki do całych archiwów rodzinnych, zawierające różnorodny materiał z prywatnego lub publicznego życia, jako to: notatki gospodarcze, mowy, listy lub wiersze, anegdota, sentencje, przepowiednie, recepty, kroniki domowe, pamiętniki, rejestry, kontrakty, odpisy aktów lub rzeczy drukowanych, wszystko pomieszczone w alla potrida. Nazywamy je dziś: *Silva rerum* (Las rzeczy), spólcześnie tytułowano je *Miscellanea*, *Spizarnia fraszek*, *Omnia et nihil*, *Torba dworska*, *Joco-seria*, *Kolektanea*, *Silva variarum curiositatum* itp. Stało się manią u szlachty zaciągania w takich zbiorach najrozmaitszych wiadomości. Pospiech zbieracza lub kopisty płała tu nieraz badaczom dotkliwego materiału, a w swoim czasie służyły za środek rozpowszechnienia języka piśmiennego po niezmiernym obszarze Polski. Posiadamy też oddzielne zbiory wierszy, jak n. p.: »Summaryusz wierszów« Morsztyna, »Wirydarz poetycki« Trembickiego itp.

Oto jak tłumaczy powstanie tego rodzaju zbiorów: »Pisma, mowy lub wiersze szlachty rozchodziły się po ziemiach Korony i Litwy, tam je czytano, powtarzano, rozbiegano z nich uczono się spraw publicznych w końcu je zaciągano do wielkiej księgi rodzinnej«.

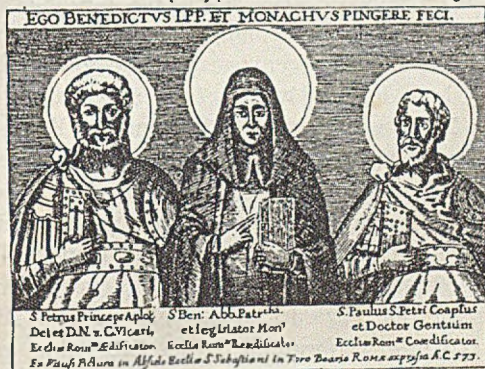
Może w żadnej literaturze nie posiadamy zbiorów rękopiśmiennych w takiej ilości, jak w naszej. Przy zupełnej decentralizacji życia narodowego w ostatnich wiekach, przy zachowaniu do ostatka samodzielności województw a nawet powiatów

Rzeczypospolitej, wobec wybujałych wpływów poszczególnych dworów pańskich, z pośród których dwór królewski nie zbyt mocno się wyróżniał, odgrywają ważną rolę owe zbiory, odbijające życie publiczne i prywatne różnorodnych kół i kółek z całą tak charakterystyczną »grą zwyczajów, potrzeb, opinii i przesądów«. Prawie każda z wybitniejszych rodzin szlacheckich posiadała bodaj jedną taką księgę — w której dla nauki pokoleń wpisywano mowy i listy wybitniejszych ludzi, instrukcje lub uchwały sejmików, dyaryusze i pisma ulotne prozą lub wierszem, wszelkie wogóle rzeczy godne pamięci. Wiele z owych memorabioliów nadkruszył ząb czasu, wiele ukrywa się dotąd w cieniach archiwów rodzinnych. Takich zbiorowych kodeksów ustami przemawia do nas żywo głos przodków, widnieje jasno obraz kultury, zwłaszcza, że na archiwa przodujących rodzin

TINECIA S E V HISTORIA MONASTERII TINECENSIS. ORDINIS S. BENEDICTI

Primaria inter Polonica Canobia venerationis
Per R. P. STANISLAVM SZCZYGIELSKI. Bibliothecarium eiusd. Monast. collecta. & in IV. Libros partita

Sini oculi tui Domine aperis super Domum hanc velle ac dte. 3. Reg. 8.



CRAC: Ex Offic: SCHEDELIANA, S.R.M. Typ: A. 1668

Nr. 79. St. Szczygielski, Tinecia 1668.

jak np. Sapiehowie, Potoccy, Radziwiłłowie, składały się całe stulecia dziejów. Dla ilustracyi skarbów, złożonych w owych miscellaneach, bierzemy jeden z pomniejszych zbiorów rodziny Michałowskich. Z tej szlacheckiej familii, piastującej urzędy ziemskie w lubelskiem, skąd się na krzesła senatorskie wzbijali, pochodził Jakób na Michałowie Michałowski, kasztelan biecki, słynny wojak i bibliofil, któremu historyografia polska zawdzięcza spisanie kopiaryusza czyli zbioru aktów, listów, mów, relacyj, dyaryuszy, obejmującego w kilku sporych foliantach rzeczy z lat 1600—1660.

Możnaby z nich odtworzyć portret wpływowego w powiecie ziemianina na tle obyczajów XVII. wieku. Ogłoszona »Księga pamiętnicza« Jakóba jest zaledwie siódmą częścią tego, z pewnym planem założonego archiwum rodziny Michałowskich, starannie przechowanego w Dobrzechowie (w Galicyi zachodniej). Z pomników literackich, zaciągniętych do owej księgi, wymieniam paszkwil łąciański na Rakoczego, z powodu jego śmierci 1648 r., wiersze polskie na sromotny pogrom hetmanów pod Korsuniem, Lament Korony polskiej z powodu haniebnej ucieczki naszych pod Pilawcami, satyry na zgon kanclerza Jerzego Ossolińskiego z 1650 roku, paszkwil na szlachetnego wojewodę Kisielea z następnego roku, pamflet na cnotę żłanników pod Żwańcem (1653) z refrenem »Wieszać was trzeba«.

W narodzie, gdzie wola jednego pana wpływała na dzieci i podnosiła lub zrzucała z tronu panującego, nie mogą być obojętne wspomnienia i zapiski rodzin magnackich, pozwalające na odsłonięcie zakrytych oku historyka sprężyn działania, na przejrzenie najtajniejszych zamiarów osób, wpływających na losy narodu. Z tego stanowiska oceniając papiery rodzinne, należy się bodaj krótka wzmianka materyałom do dziejów potężnej znaczeniem i majątkiem rodziny polskiej, wygasłej w XVII. wieku p. t. Pamiętniki o Koniciepcolskich. Obejmują one Dyaryusz albo sumę spraw wojska kwarcianego w Prusiech przeciw Szwedom pod hetmanem St. Koniciepcolskim (1626—8), Rodowód domu Koniciepcolskich skreślony wcale udatnem piórem Zygmunta z Koniciepcola, sędziego województwa sieradzkiego i korespondencyę hetmana z tychże lat. Dodajmy kazania i mowy, panegiryki pogrzebowe i weselne, wiersze i wyciągi gospodarskie, odnoszące się do tej rodziny, mającej z dóbr dziedzicznych (110 miast i 186 wsi!) rocznej intraty 650.000 zł., a otrzymamy wyobrażenie o potędze jednej rodziny polskiej w XVII. wieku.

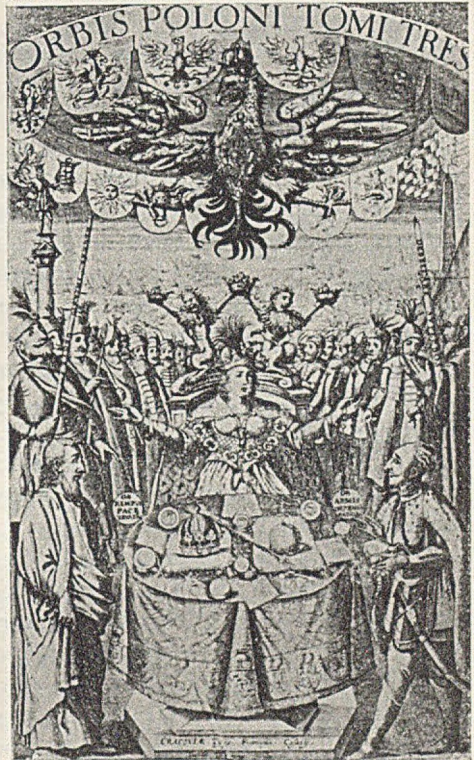
Z cudzoziemców, którzy zasymilowawszy się ze społeczeństwem polskiem, wielkie położyli zasługi około zebrania materyałów do historii swej przybranej ojczyzny, wyszczególnia się Hieronim Pinocci. Z pochodzenia Włoch, ale wychowany w Polsce i władający biegle językiem polskim, z zawodu kupiec, piastujący urząd rajcy i burmistrza krakowskiego (1649), pełnił przez dłuższy czas obowiązki sekretarza Jana Kazimierza i metrykanta kancelaryi koronnej, wreszcie zawiadowcy mennicy lwowskiej. Zostawił wielki zbiór wiadomości historycznych, zawierający prócz listów, relacyj i dyaryuszów także instrukcye, transakcye, pamiętniki i opisy bitew z lat 1656—1673 r. Z materyałów tego pracowitego mieszczanina, częścią ogłoszonych w »Ojczystych spominkach«, wyróżnia się wśród pamiętek do spraw ruskich, uniwersał Kostki Napierskiego z Czorsztyna, rozesłany do chłopów 1651 roku. — Pod wpływem odezwy Chmielnickiego, obiecującej uwolnić poddanych Korony polskiej od ciężarów i robocizny, a zostawić ich na samych czynszach, jeżeli panów swoich opuszczą i przeciw nim powstaną, wzywa Napierski lud polski do otwartego przeciw szlachcie powstania: »Sami się chcejcie z tej ciężkiej niewoli wybić — wołał do Podhalan nowotarskich — a będą dwory szlacheckie

wasze i to wszystko, cokolwiek w nich zostanie. Mająli oni was w niwecz obrać do ostatka, lepiej, że wy ich sami obrócicie. Już się was dosyć namordowali ciż pankowie, że też już głos płaczących was o pomstę na nich do Boga woła». Wiadomy jest koniec tego »buntu«. Biskup krakowski Piotr Gembicki, jako »czujny« pasterz, zapobiegł wcześniej rozszerzeniu się rewolucyjnych hasel. Wystął więc przeciw wicherzycielom swoje wojsko nadworne, herszta ich pojmano i u szubienicy Kazimierskiej w Krakowie na pal wbito. Stroi sobie żarty z tej okrutnej śmierci Inci pan Wespazyan Kochowski w następującej Fraszee:

Nie wiem, co to za nowy kucharz się
[pojawił,
Miasto pieczeni Kostkę co na rożen
[wprawił.

W epoce rozbijałego indywidualizmu szlachty krzewi się także heraldyka polska.

Od »Gniazda«, a zwłaszcza »Herbów rycerstwa« Paprockiego postępowali nasi herbarze po ubitym gościńcu naprzód. Jeden z wybitniejszych: Szymon Okolski, wywodzący się z senatorskiego rodu, wcześniej przywdziawszy suknię zakonną, został przeorem Dominikanów na Rusi, następnie profesorem teologii i rządcą szkół zakonnych we Lwowie, wreszcie (1649) prowincyałem ruskim. Z tej doby mamy jego opis klasztorów Dominikańskich pod pretensjonalnym tytułem: *Ruś kwitnąca różami i lilią, to jest krwią i życiem Dominikanów* (we Lwowie 1646), *żwyoty biskupów kijowskich, zakonnic*, — wszystko naturalnie w napuszonej łacinie. — Przydzielony jako kaznodzieja i kapelan do wojska na Ukrainie, sprawował misję obozową na wyprawach 1637—8 przy boku hetmana Mikołaja Potockiego



Nr. 80. Szym. Okolski, *Orbis Polonus*.

i jako świadek tej »rebelii chłopskiej« opisał ją w *Dyaryuszu transakcyjnej wojennej* (Zamość 1638), tudzież w *Kontynuacji tegoż Dyaryusza* (Kraków r. 1639) namiętnie piętnując »swawolę, upór i krzywoprzysięstwo« Kozaków. Kaznodzieja upadającego już w wymowie wieku zostawił też bombastyczne kazania, miane na pogrzebach Kalinowskiego (Pojedynek męża walecznego z nieużytą śmiercią), ks. Januszowej Radziwiłłowej (Fundament duchowny przeciw fundamentowi światowemu), Mikołaja Cetnera (Chorągiew tryumfalna), Domaszowskiego (Pogłos chrześcijańskiego życia) — wszystkie pełne makaronizmami najeżonych facecuj. Głównym tytułem do zasług Okolskiego jest jego *Herbarz rodzin szlacheckich p. t. Orbis polonus* (Świat polski), Kraków 1641 — 5. Trzytomowem tem dziełem, w barokowe ozdoby przystrojonym, nie mogąc dumie i miłości własnej

każdego z herbowych dogodzić, wywołał przeciw sobie stek obelg. Zarzucano mu, że jednych pod obłoki wynosi, innych jakby na przekór ich znaczeniu albo zupełnie omija albo lada czem zbywa. »Mnich chciwy — bluznął przeciwko niemu Markiewicz — kominy szlacheckie, z których się kurzyło, wyciera, hojnie dającym zaszczytami frymarczy, wyprowadza takie genealogie, iż pewniejby się można z przeobrażeń Owidyuszowych wywieść potomkiem Jowisza niż z tego herbarza szlachicem polskim«. Krążyły pogłoski, że jakiś dobrze urodzony »za umję swojej parenteli tego mu skórę wyłoił«. Do tego stopnia wybujały flukta buty szlacheckiej! Jak biegunowo przeciwnie sądy wydawali o tem dziele uczeni współczesni — nawet po śmierci Okolskiego († 1654) — poświadczyc może ostra krytyka Brauna i odpowiedź na nią Niesieckiego. Pierwszy wytyka mu »śmieszne i niedorzeczne koncepta, dzikie aluzye do herbów, blahe domysły o początkach rodzin, niewdzięczność i zazdrość wobec Paprockiego, z którego swój ród wyłatawszy, o jego przodkach tylko sucho natrącił«, wreszcie »nieprzystojną na mnicha chętpliwość z szlchetnego urodzenia«. Niesiecki biorąc swego starszego kolegę w obronę, przyznaje, że Okolski niemal »słowo w słowo wypisuje Paprockiego«, tłumacząc go tylko na język łaciński, wszelako przytacza go zarówno jak innych autorów, z których czerpie. Jeżeli zaś — dodaje — »nie tak czyją familię określił, jak należało, bardziej ci winni, którzy wiedząc dobrze z pierwszego tomu, że się tej pracy podjął, przecież należytej albo żadnej o domu swoim informacyi nie dali«. Zaprzecza stanowczo, jakoby Okolski »dla wziętku dwory szlacheckie objężdżał«, gdyż przy tak wysokich godnościach, które piastował, »nie mógł się taką włóczęgą i mendyką (żebranią) bawić«. Jak niebezpiecznem było w owych czasach swawoli i buty szlacheckiej samo podejmowanie drażliwej materii rodowodów, tego dowodzi Imiennik rodzin litewskich Kojałowicza, którego druk pod samą tłocznią wstrzymano.

Kaznodzieja i historyk, apologeta i profesor ksiądz Wijuk Wojciech Kojałowicz (* 1609 † 1677) z dwoma młodszymi braćmi, jak on, Jezuitami, zostawił trwalsze ślady swej działalności na kartach piśmiennictwa. Najstarszy z braci, urodzony w powiecie Kowieńskim, profesor teologii, podkanclerzy i rektor akademii wileńskiej, używany był za młodu »do załatwiania najtrudniejszych spraw towarzystwa«, czas wolny od zajęć swego zawodu poświęcał pracom naukowym. Pierwsze z nich, oddane polemice z innowiercami, nie sprawiają mu wielkiego zaszczytu, podobnie jak kadzidła pochlebstw spalone na ołtarzu dworu rakuskiego. Tłumaczył też ks. Kojałowicz żywot św. Franciszka Kajetana i Wawrzyńca Bertilune — Jezuitów, układał podręcznik etyki według Arystotelesa, ogłaszał pisma apologetyczne, wszystko z polecenia przełożonych zakonu. Dziełem, którem zdobył sobie imię w dziejopisarstwie, jest: *Historia Lithuaniae*, której dwa tomy (pierwszy wyszedł 1650, drugi 1669 r.) sięgają czasów Unii Lubelskiej. Cechuje je bezstronność i umiarkowanie w sądach, powaga stylu i czystość języka. Przekład polski ks. Ratomskiego, z poprawkami Naruszewicza, ma się znajdować w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie. Uzupełniają to dzieło *Miscellanea* o stanie Kościoła katolickiego w Litwie w XVII. wieku, tudzież dziełko o wojnie z Kozakami z lat 1648 — 9 *De rebus contra Zaporosios*, Wilno 1651, które się doczekało trzech z gruntu przerobionych edycyj, również przez Ratomskiego przełożone na język polski i poprawione przez Naruszewicza. Kojałowicz pisał stylem niewykwintnym, ale pisał prawdę. Daleki od pochlebstwa i pobażania grzechów, naraził się był — pisząc dzieje domu Radziwiłłów — »pewnej znakomitej polskiej

księżnej (pono Radziwiłłowej) i z tego powodu cierpiał prześladowanie, a wydane przez niego dzieło z wielką zawziętością wygubiono«. Wyszło ono p. t. *Fasti Radziwiliiani*, Wilno 1653 a po roku w przekł. pol. Jeszcze w sto lat potem zapewniano, że pisma Kojałowicza, zalegające na pulkach biblioteki akademii wileńskiej »nie wyjdą na świat, póki kwitnąć będzie obrażony przezeń dom książęcy«. Podobnego losu doświadczyła jego księga o współzawodnictwie rodów Radziwiłłów z Chodkiewiczami. Z obawy, aby rzecz ta nie dotknęła zasłużonych zakonowi rodzin, odmówił prowincyał Jezuitów pozwolenia na jej druk. Prace Kojałowicza, zwłaszcza heraldyczne, z powodu kosztów wydania, przechodzących fundusze ojców Jezuitów w Wilnie wyczerpane ostatnią wojną, zalegały w rękopisic. Zaopiekował się wydaniem jednej z ilustracyami ks. biskup wileński Tyszkiewicz. Po odbiciu jednak pierwszych arkuszy w drukarni, umarł protektor (1656), a panowie litewscy, do których się udawał autor o pomoc, »zimnem okiem i ściśniętą dłońią odpowiadali żebrzącemu wsparcia heraldykowi«. Nawet tacy magnaci, jak Sapieha, czuli się dotknięci, że ich rodu nie wywodził od księcia Gedymina.

Niestrudzony zakonnik spisywał żywoty kijowskich i czernichowskich biskupów, zbierał pamiątki braci towarzystwa Jezusowego (1673), opowiadał w *Miscellaneech* o sporze kościoła zachodniego ze wschodnim na Litwie, a w *Rozmowach* teologa z różnymi wiary prawdziwej przeciwnikami o dogmatach religii katolickiej.

Wymieniają jeszcze z jego dzieł historycznych życiorysy Jezuitów litewskich, a zwłaszcza herbarz szlachty litewskiej; ten ostatni p. t. *Nomenclator familiarum Lithuaniae* zaczął się już był drukować, ale »gdy pewna można rodzina obrażona została, że ród jej nie był od królów wyprowadzony, wydania całego dzieła zaniechano«.

Do heraldyków z końca XVII. wieku zalicza się Franciszek Jabłoński, zakonu braci mniejszych, urodzony za Zygmunta III., zmarły 1699 jako prowincyał Franciszkanów. W początkach herbów rycerstwa polskiego, pisanych bez makaronizmów, unikał wprawdzie wywodów genealogicznych od Noego lub Jafeta, nie wolnym był jednak od cofania źródeł szlachectwa w krainę baśni. Był też zniewolonym, pisząc o różnej wartości klejnotach szlacheckich, »kadzić możliwym, a zatem mijać się z prawdą«. W owych czasach bowiem — powiada jeden z naszych starożytników — »wymieniać imiona familij szlacheckich, a nie wspomnieć urojonej dawności herbu«, było się tem samem wystawiać na ciężkie przykrości w życiu. Może to była jedna z przyczyn, dla której Jabłoński zamienił pióro heraldyczne na religijne. Puścił się też na pole panegiryczne w Rocie rumacyej, przytaczał w napuszonej mowie, dla przypodobania się swemu dobrodziejowi, jego herb Nałęcz aż 46 razy, a imię Kaliszkowski 40 razy! Czy i jakie miał z tego korzyści — nie wiadomo.

Palma pierwszeństwa wśród heraldyków polskich należy się bezsprzecznie Niesieckiemu, najbardziej zasłużonemu z uczonych Jezuitów w Polsce. Urodzony ostatniego dnia 1682 r. w Wielkopolsce, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w ostatnim roku tegoż wieku, a odbywszy studia i próby zakonne, uczył retoryki, etyki i matematyki w szkołach Jezuitów. Był potem kaznodzieją w Krakowie i Lwowie, wreszcie regensem seminaryum w Krasnym stawie, gdzie od 1724 stałe aż do śmierci swej 1744 roku przebywając, oddawał się gorliwie zbieraniu materiałów heraldycznych i ogromnej pracy przetopienia ich w imponujący zbiór historyczny rodzin szlacheckich w Polsce.

Benedyktyńską tą pracą prześcignął ks. Jezuita wszystkich swoich na polu

heraldyki poprzedników. W swej »Koronie polskiej«, wydanej w 4 foliach od 1728 do 1743, z przypisem do samej Matki Boskiej, nie ograniczył się kompilacją dotychczasowych herbarzy: Paprockiego, Okolskiego, Kojałowicza, nie przepisał na monografiach rodzin (t. z. Fasti) Radziwiłłów, Sapiehów, Chodkiewiczów, z których sumienne poczynił wyciągi, lecz czerpał z kronik kolegów Jezuickich, zwanych *Historiae domus*, z genealogicznych drzew, jak np. rodowód sztychowany Ogińskich, z metryk, listów i dyplomów familijnych, z akt urzędowych — słowem wchłaniał jak gąbka najróżnorodniejsze wiadomości historyczne z pierwszej ręki, niejednokrotnie dla nas nieprzystępne.

Przygotowywał się do dzieła lata całe, szperał w archiwach familijnych, wzywał wszystkich aby mu nadsyłali wiadomości o rodzinach. I zebrał materiał olbrzymi, — do dziś żyjemy zdobyciami jego mrówczej pracy. Nie obędzie się bez niego nawet historyk literatury. Jak z tych materiałów korzystał? Nie można mu odmówić pewnej krytyki, ograniczonej materialną stroną przedmiotu — przeważnie kontrolą dat i imion. Trudno wszakże zamilczeć o stronności, z jaką gorliwy zakonnik rozpisuje się o cnotach duchowieństwa lub co najmniej mecenasów i fundatorów swego zakonu. Duch konfraternii Jezuickiej wieje z każdej niemal karty tego dzieła, będącego najpiękniejszym pomnikiem chwały stowarzyszenia Lojoli w Polsce.

Zresztą dogadza i Niesiecki manii próżności szlachty, wywodzącej ród swój od króla Ćwioczka, cofa początki jej do zamierzchłej doby i powtarza bajdy o jej królewskim pochodzeniu.

Popada też w podobne poprzednikom błędy i dziwactwa, objawiające niski poziom naukowy wieku, jak np. w wywodach rodu Ogińczyków od Oga, króla Scytów, zabitego przez Jozuę. Podziwiać jednak musimy ogrom niespożytej pracy na wielkie zakrojonej rozmiary, pochwalić odwagę cywilną Jezuitę, że niezrażony smutnym swoich poprzedników przykładem, zabrał się do dzieła, które wywołałszy tyle namiętnych i niesprawiedliwych krzyków, zgotowało autorowi, zamiast uznania, skargi i prześladowanie. Michał Potocki, wojewoda wołyński, znany satrapa i dobrodziej Jezuitów, zaniósł 1743 przeciw niemu manifest do grodu. Inni wystąpili ze skargą nań do generała Jezuitów Retza. Znieważono go i wybito mu okna w celi, obrzucono obelgami. Za najdrobniejsze uchybienia czyniono mu ciężkie wyrzuty. Musiał się z nich tłumaczyć i niewinniać. Zmartwienia te podkopały nadwątlone pracą zdrowie sześćdziesięcioletniego starca. Przeciwnościami znękany wyzionął ducha. Zaczny Jezuita, o którym tradycja niesie, że nie był szlachcicem ani nawet indygeną, napisał najdoskonalsze o rodzinach szlacheckich dzieło. O wpływie jego świadczą liczne dopełnienia »Korony«. Rozpoczyna je Stanisław Duńczewski, profesor akademii zamojskiej, znany ze swych wydawnictw kalendarzowych, typ »uczonego, co to wie dużo, lecz nic nie umie«, a przytem dmie się jak paw. Po nim ciągnie się cały sznur herbarzy aż do najnowszych czasów.

Żaden z nich jednak nie doczekał się takiego znaczenia, jak Niesiecki. Przeszedłszy ogniwą próbę wydawców od poprawek i uzupełnień Naruszewicza i Krasickiego, a skończywszy na gitarzyście-księgarzu Bobrowiczu, dostąpił powagi urzędowej. Na mocy nadwornego dekretu cesarza Franciszka II. przyznano Niesieckiemu do dziś obowiązującą moc prawną na całą monarchię austryacką co do wywodów genealogicznych, a to w takiej mierze, że »w braku innych dowo-

dów samo zapisanie w Herbarzu tym starczy za decydujący dokument szlachectwa».

Autor spokrewnionego z »Koroną« dzieła ks. Benedykt Chmielowski uważany być może za nestora encyklopedyi polskiej. Był on plebanem w Podkamicniu i Firlejowie, następnie dziekanem Rohatyńskim, wreszcie kanonikiem kijowskim. Umarł 7 kwietnia 1763 r. Napisał książeczkę do nabożeństwa, kazanie pagniryczne i podręcznik heraldyczny (na podstawie Niesieckiego). Sławę swą jednakże zdzięcza dziełu p. t. Nowe Ateny, albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna itd. Roku wcielenia przedwiecznej mądrości 1745 — część czwarta z dedykacją Trójcy św. 1756. Nad chaotyczną tą księgą ślęczał autor przez długie lata aż do utraty wzroku, należała ona do najpopularniejszych w swoim czasie książek, i znajdowała się w każdym niemal dworze szlacheckim obok słynnego kalendarza Duńczewskiego.

Pierwszą encyklopedyę rolniczą napisał Jakub Kazimierz Haur, autor słynnej »Ekonomiki ziemiańskiej«. Urodzony 1632 r. z rodziny szlacheckiej, pochodzącej z Kurlandyi, ale spokrewnionej z pierwszymi domami w Polsce, ukończył nauki w akademii Jagiellońskiej, a odbywszy dalsze studia za granicą, osiadł na wsi i przez lat kilkadziesiąt był pisarzem i superintendentem wszelkich intrat kasztelana wojnickiego, starostą ekonomii samborskiej, administratorem karbaryi bocheńskiej, komisarzem skarbowym do rachunków i ekonomem podskarbiów koronnych, zarządzał rozległymi dobrami Andrzeja Morsztyna, pisał się też sekretarzem królewskim. W 75-tym roku życia ożenił się z młodą i piękną dziewczyną — Izabelą Bielską, o czem pisze w wierszowanym nagrobku.



Nr. 81. J. K. Haura Oekonomika, Kraków 1675.

Książka jego Ekonomika ziemiańska (Kraków 1675), która doczekała się kilku pomnożonych wydań, opracowań i uzupełnień, to żywa encyklopedia najróżnorodniejszych wiadomości dla gospodarzy wiejskich. Przez lat trzydzieści zbierał autor materiały z różnych dzieł obcych i krajowych, układał modelarze albo tablice rachunkowe, robił pomiary, stawiał horoskopy i prognostyki, słowem gromadził zewsząd wiadomości, aby podać możliwie najdokładniejsze informacye, potrzebne dziedzicom, arendarzom, ekonomom, atendentom, pisarzom prowentowym i tym podobnym oficyalistom. Prawdziwy to las cudackich szczegółów, podanych bez związku i logiki, obok cennych i ważnych faktów z życia staropolskiej szlachty. Znajdziesz tu »przypowieści polityczne i ucieszne«, sposoby o użytkach ról, naukę o własnościach czterech żywiołów, wiadomości o prawach i sądach wiejskich, o »ślamowaniu« stawów, sekreta kunsztu malarskiego, nauki lekarskie, obliczenia geometryczne, »dowody na czary i gusła«, informacye o »wiwandach« i likworach domowych, praktyczne spostrzeżenia z dziedziny ogrodnictwa, górnictwa, a wszy-

stko bogato ilustrowane, w części rysunkami autora — przeważnie jednak drzeworytami z różnych dzieł, na chybi trafi nawet z pisma św. zebranymi. Jak ów zamęt zawarty w książce rzeczy, tak zabobonność wierzeń i chropawość języka znamionują upadek literatury od końca XVII. aż do środka XVIII. wieku, t. j. właśnie w tym czasie, kiedy dzieło Haura w licznych przeróbkach i wyciągach zapuściło korzenie, rozchodząc się nawet w głębi Rusi. Wiadomo z historii, że posłowie moskiewscy kupowali je w Krakowie 1687, a Jan III. posłał je w darze Wielkiemu księciu moskiewskiemu w ozdobnej oprawie.

W okresie dziejopisarstwa naszego od Wazów do Sasów, włącznie, uderza — zgodnie z rozbiem życia politycznego na atomy — rozdrobienie historyografii. Nie mamy wielkiego pisarza, któryby z wyższego stanowiska objął całokształt dziejów, natomiast roi się od pamiętnikarzy. Każdy bowiem szlachcic, noszący w zanadrzu berło królewskie, a przynajmniej buławę marszałkowską, czuł się ważnym »ogniwem rządu« i dlatego spisywał skrętnie wszystko, co zrobił i widział ku wiecznej potomości pamięci. O ile więc dziejopisarstwo uroniło »z powagi i majestatu historii«, o tyle to rozpisanie się gadatliwej szlachty przysporzyło dziejom różnaitości i bogactwa. Drzewo dziejopisarstwa nie rośnie w górę, nie zapuszcza korzeni w głąb, natomiast krzewi się w szerz. Kiedy nasi historycy z urzędu lub powołania piszą po łacinie, na zimno, sadząc się na styl historyków rzymskich, rozwijają pamiętnikarce obrazy życia, malowane na świeżo, pełne ognia i kolorytu. Poziom tych ostatnich niski, kąt widzenia ciasny, ale odbijają oni wiernie, lubo nie zawsze świadomie, potężny kawał życia Rzeczypospolitej.

W wszechstronnym dziejów naszej przeszłości obrazy mają się te pomniki do właściwej historii jak migawkowe zdjęcia gmachów do wykończonych planów architektury. Kiedy »historia maluje wielkich ludzi na widowni życia dziejowego«, owe pamiętniki przedstawiają nam ich w życiu codziennym, »rozbiegają senatorów z urzędowej togi, a wodzów ze zbroi«, pozwalając na odsłonięcie zakrytej dla urzędowego historyka strony życia — w rodzinie lub towarzystwie.

Pomijają one najczęściej albo źle informują o splotach subtelnej sieci polityki społecznej, zasilają jednak historię różnorodnemi sprawami poszczególnych dzielnic ziem lub nawet powiatów, dają wśród tylu krzyżujących się nieraz interesów zrozumieć niechęć szlachty do dworu królewskiego, »będącego często niczem innym, jak tylko możniejszym z pańskich dworów«, odtwarzają wiernie koła i kółka społeczne, zwyczaje, potrzeby, opinie i przesady narodu.

Może żadna literatura nie obfituje w tak liczne wspomnienia historyczne jak nasza. Od kanclerza i hetmana do towarzysza lekkiej chorągwi lub ziemianina nie wychylającego się poza granicę swego powiatu, piszą wszyscy pamiętniki, dyaryusze lub notaty o tem, czego doświadczyli, co widzieli lub słyszeli; przeważnie dla zachowania sobie lub drugim w żywej pamięci wypadków, któreby może w toni oceanu dziejowego zatoneły. Nie oczekują za nie nagrody, ani spodziewają się chwały — nie powierzą ich nawet do druku, ale właśnie dlatego zażywają znaczenia historycznego, nie ustępując czasem miejsca głośnym historykom.

Wyróżniają się też poniekąd odrębnością stylu i języka. U tamtych przeważa nastrój poważny ale sztuczny, napuszony frazesami, a gęsto łaciną szpikowany, u tych bezpretensjonalnych pisarzy dźwięczy prostota i naturalność stylu, mieni się język malowniczą wstęgą, tryska żołnierską jędrnością.



PRZEWAĞI
ELEAROW
POLSKICH

Co ich niegdy
LISOWCZYKAMI
ZWAN O.

Ktore czynili w Państwach Cesarzkich przeciwko
Heretykom za czasow Niezwycięzonych
Monarchow FERDINANDA II. Cesa-
rza Chrześciańskiego / y ZYGMUNTA III.
Krola Polskiego y Szwedzkiego / rć. rć.
w Lećiach Pańskich od 1619. aż do
1623. krotko na predce zgro-
mądzone.

Przez Wielebnego X. Woyciecha Dembołęckiego z Konoiad, Fran-
czkaná S. T. Bacc. y z rozkazania Oycá S. ichże
Cápellaná:

W POZNANIV,
w Drukarni Iana VVolrabá, Roku 1623.

Góruje w tych wspomnieniach przeszłości od dyaryusza ks. Sapiehy aż do zapisków szlachetki z czasów Augusta III., duch wojenny, rycerski. Układają je bowiem ludzie w rzemiośle wojskowym doświadczeni, którzy do chlubnych zwycięstw oręża polskiego sami przykładali rękę. Jak w piśmiennictwie XVI. i drugiej połowy XVIII. wieku przeważają pisma polityczne, tak w okresie XVII. wieku do środka XVIII. zajmują czoło literatury — pamiętniki.

Wywodzą one rodowód swój z prostej linii od Maryanny Mniszchówny, nieszczęśliwej małżonki owego przybłądy Dymitra Samozwańca, którego igraszka losu wyniosła na tron olbrzymiego państwa, aby go potem na proch zmiażdżyć. Dzieckiem wydana za »wora litewskiego«, rychło nabrała carowa niezwykłego hartu w ogniu tragedji moskiewskiej. Z jej zgonem i upadkiem nadziei, jakie z tą tajemniczą sprawą łączono, budzi się refleksja historyczna w Polsce. Od 1606—1612 spływa obfity deszcz niewidzianych do tego czasu pamiętników, dyaryuszy i wspomnień historycznych. Pociągała historyków i poetów tajemnicza, legendowa postać Samozwańca, jego dziwne koleje losu i awanturnicze plany. Jako naoczni świadkowie, towarzysze lub działacze tej »smuty«, co podpory tronu cesarskiego przemieniała w »odartych więźniów«, czuli potrzebę wywnętrzenia się, odsiadując ciężkie więzienie w Moskwie lub wracając do utęsknionej ojczyzny, a wrażenia i opisy tych niezwykłych wypadków w języku polskim, prozą lub wierszem, stanowią ciekawy epizod naszej historyografii. Nieco wcześniej próbowała dyplomacya zadzierzgnąć wzajemne między ludami Rusi i Polski stosunki.

Jeden z pierwszych stanął do apelu Eliasz Pielgrzymowski, pisarz ks. litewskiego, który bawił w r. 1600 z Lwem Sapichą, kanclerzem litewskim, w celu odnowienia pokoju z Rosyą. Po opisaniu tego poselstwa w »Dyaryuszu«, ogłoszonym bieżącego wieku drukiem, opowiedział koleje poselstwa bojara Michała Sołtykowa do króla polskiego (z 1609 r.). Zawiązane przez Lwa Sapichę stosunki z bojarami ruskimi były powodem podejrzeń i publicznych zarzutów na sejmie miotanych kanclerzowi litewskiemu, że on to był sprawcą krwawego dramatu. Dla ich odparcia polecił on sekretarzowi królewskiemu Grzegorzowi Zdanowiczowi napisać Apologję czyli obronę niewinności Sapiężyńskiej.

Najgoręcej jednak popierali Samozwańca Mniszchowie, z których Jerzy, wojewoda sandomierski, jako teść cesarski, szaloną rozwinął agitacyę, a z rodziną tą, roztaczającą królewski przepych na zamku samborskim, wiązą się cenniejsze relacye owych »smutnych czasów«, jak np. dyaryusz Jerzego, naczelnego wodza wyprawy moskiewskiej.

Bliski jego krewny Marcin Stadnicki, ochmistrz carowej Maryny, a brat Stanisława, zwanego Djabłem, wielki orator i dzielny rycerz, uczestnik wesela i solennego na stolicę panny młodej wjazdu, potem wycięcia w pień orszaku weselnego, a wreszcie uwięzienia i wygnania, zostawił nam zajmujący Dyaryusz legacyi od Dymitra, zalegający w rękopisie biblioteki Baworowskiego. I kasztelan małogoski, Mikołaj Oleśnicki, bawiący na dworze carskim jako poseł króla polskiego Zygmunta III., w celu prowadzenia rokowań z Rosyą, dał sposobność nieznanemu z nazwiska autorowi do opisania tej legacyi. Nawet aptekarz lwowski, Stanisław Kołaczkiwicz, zdobył się na dyaryuszek z tego czasu (1606).

Z tych i tym podobnych materyałów, nie mających literackich celów na oku i dlatego dopiero w ostatnich czasach na jaw wydobytych, poznajemy całą wystawność i butę orszaku polskiego, który mimo regulaminowych »artykułów«, ułożonych przez naczelnika, Jerzego Mniszcha, dopuszczał się licznych nadużyć

i gwałtów, co w wysokim stopniu przyczyniło się do rozjątrzenia bojarów i przywiodło do upadku »cara polskiego« i jego popleczników. Przyszło do zaciętej walki orszaku weselnego z obrażonym w swoich najświętszych uczuciach ludem ruskim. A działania te wojenne opowiada w treściwym dyaryuszu Stanisław Borza, rotmistrz i dworzanin Dymitra, poległy w krwawej rzezi pod murami Kremlu. Oszukani przyrzeczeniami przebiegłego kniazia Jezuici, zamaczawszy palce w tragedji moskiewskiej w nadziei przysporzenia Kościołowi rzymskiemu nowych owieczek, zostawili nam ciekawe relacye (ks. Andrzej Ławicki, ks. Mikołaj Czyżowski, ks. Kasper Sawicki i inni), w czym ubiegli współzawodników swych, Ojców Bernardynów, nie odstępujących również Wielkiego Hosudara, że tu wymienię ks. Benedykta Gąsiorka, Bernardyna, spowiednika carowej, który zostawił nam krótki tych wypadków opis w spóczesnym liście. Do najciekawszych jednak pamiętników tego czasu należy Dyaryusz Stanisława Niemojewskiego z lat 1606—8. Przez Annę, siostrę Zygmunta III, znaną z zamiłowania do botaniki i chemii (nakładem jej wyszedł Zielnik Syreniusza), wysłany do Moskwy na dwór cesarski w celu sprzedaży klejnotów królewny, tak poszukiwanych przez młodego wszechwładcę Rusi, był nasz podstoli koronny świadkiem »pociesznych i żalonych wypadków« wyprawy panów polskich po złote runo. Uszedłszy szczęśliwie z owej rzezi, w której razem z Dymitrem około 500 naszych zginęło, dzielić musiał z Mniszchami i Wiśniowieckimi losy wygnania. Z wyniesieniem na tron Wasila Szujskiego zesłano Niemojewskiego ze stukilkudziesięciu ludźmi do Rostowa (w gubernii Jarosławskiej), skąd go do Białozierska (w gubernii nowogrodzkiej) wywieziono. Wypuszczony po dwu latach na wolność, zatrzymany został z powodu obłężenia stolicy przez drugiego Samozwańca i odstawiony do granicy Królestwa polskiego, po złożeniu przysięgi, że »nie przyłączy się do wojsk polskich, popierających owego Dymitra«. Za powrotem do ojczyzny otrzymał kilka intratnych starostw i kasztelanję. Pamiętnik a raczej dyaryusz jego spisany spótcześnie (1607 roku), zawiera ciekawy opis zwyczajów i urzędzeń ruskich, a lubo zabarwiony jaskrawą do ludzi obcej wiary niechęcią, odznacza się obfitością ważnych wiadomości. Do pamiętników swych wcielił Niemojewski opowiadania towarzysza Stanisława Słońskiego, sekretarza pierwszego Samozwańca, stanowiące ważne tamtych dopełnienie.

Mylnie przypisywano Niemojewskiemu t. z. Dziennik Maryny, autorem jego bowiem jest Waclaw Dyamentowski, pochodzący z niezamożnej rodziny szlacheckiej, domownik Jerzego Mniszcha, dzielący z nim chwile upojenia i upadku. Po zwycięstwie Szujskiego zesłany do Jarosławia a następnie do Wołogdy, odpokutował ciężko niepopelnione winy, a powróciwszy do kraju, spisał sposobem dyaryusza przygody swe p. t. Gody moskiewskie (1604—9), dorzucając nie mało cennych i charakterystycznych szczegółów do udziału Polaków w wojnie drugiego Samozwańca. Koniec tej tragedji wyczytasz z »Dziejów Marsa Krwawego«, spisanych przez Jana Piotra Sapiehę, grającego pierwsze skrzypce w walce drugiego Dymitra z Wasilim Szujskim. Jest to ciekawy dzienniczek prowadzony przez sekretarza księcia, obejmujący listy i relacye z lat 1608—11. Wszystkie te źródła zarówno jak wiersze Żabczyca i tym podobne utwory okolicznościowe, zebrane obecnie w poważnem wydawnictwie ruskim, rzucają snop światła na pierwszorzędną doniosłość stosunek Polski do Rosyi w pierwszej połowie XVII stulecia. Właśnie w tym czasie, kiedy panowie polscy zdeptawszy resztki władzy w rokoszu Zebrzydowskiego, szukali wyładowania nadmiaru swej energii i fantazyi w sza-

lonych planach wyniesienia na tron obu Samozwańców, państwo moskiewskie po przebyciu gwałtownego stosunków społecznych przewrotu, gotowało się do ujęcia steru panowania nad wschodnią Europą, usuwając na drugi plan swą rywalkę — Rzeczpospolitą polską.

Na granicy pamiętnikarzy przeprowadzających czytelnika z nieszczęsnej wyprawy Samozwańców do dziejów wewnętrznych Rzeczypospolitej, stoi na straży towarzysz chorągwi husarskiej: Samuel Maszkiewicz. Kolebkę tego »skrzydlatego rycerza« złożyło jeszcze słońce odrodzenia. Autor, przedstawiciel husaryi polskiej, urodził się bowiem za czasów dzielnego Stefana, a »karmił się owocami cywilizacji rozkwitłej za Zygmunтів«. Razem z dwoma braćmi zaciągnął się wcześniej do służby wojskowej, stanowiącej »jedyne zawód, w którym szlachta mogła zaspokoić swe pragnienia«. A wyruszył na wojaczkę wystawnie, z bogatym pocztem, (16 koni i 8 czeladzi), świadom »smutnej roli, jaką odgrywali w chorągwi biedacy wobec zasobnych towarzyszy«. Sprawa Samozwańców stała się owym magnesem, pociągającym spragnione awanturniczych wypraw rycerstwo polskie. »Szli z wielką ochotą jak na miód — powiada nasz pamiętnikarz — a miodem tym były widziane w wyobraźni bajeczne skarby Moskwy« i wysokie dostojenstwa już rozdzielane przez carów. Zaciągnął się więc i młody Maszkiewicz pod chorągiew królewską i odbył śmiało wyprawę moskiewską. Daje mu to sposobność do kilku zdjęć migawkowych z życia naszych husarzy. Opisane tu gwałty i zdzierstwa świadczą o niskim moralno-obyczajowym poziomie ówczesnej służby wojskowej.

Odwagą i wziętością u towarzyszy zdobywszy sobie stanowisko pułkownika, obierany był Maszkiewicz to na deputata konfederacji czyli związku wojskowego, to na kwatermistrza, ciągnąc dla siebie z tego przystawstwa niemałe korzyści na szkodę i krzywdę biednego ludu. Wyprawiony z trzema delegatami na sejm od wojska związkowego, domagającego się pewnej i rychłej zapłaty, buja sobie nasz pułkownik bezkarnie po ulicach Warszawy, z czego się w tych oto słowach chlubi: »Mieliśmy wielką wolność: w nocy zabić, posieć wolno, żaden nie śmiał słowa rzec. Zabili nasi drabanta Wilewskiego, nie wykonywano egzekucyi, choć pod sejm i pod bokiem królewskim, ale sami z ugodą nas szukali«... Po chwilowem zaspokojeniu związkowych wraca nasz Samuel na wieś do rodzinnego Serweczka, w powiecie nowogródzkim, a »wyćwiczony w sztuce zdobywania względów niewieścich«, zaleca się białogłowom w sąsiedztwie, szczególniejszej ciepłym wdówkom. Pozyskawszy zaufanie ks. Radziwiłła, ordynata kleckiego, z którym w stolicy wyprawia po nocach awantury, przyjmuje służbę na dworze słynnego hetmana litewskiego Krzysztofa Radziwiłła, gdzie około 1621 r. wieść o naszym dworaku ginie jak ponik górski w piasku. Na sejmie z tego roku kończy się też jego dyaryusz. Zapięty na wszystkie guziki Litwin nie spowiada się tu z uczuć i różnych sprawek, ubocznie tylko i lakonicznie opisanych. Radby tylko potomności zostawić jasny wizerunek wypraw i bitew, zjazdów i obchodów, których był uczestnikiem panów i towarzyszy, z którymi obcował. W obrazach jego widać trafną obserwację, prawdomówność i dosadny sposób wyrażenia. Ambitny, narzekający na niewdzięczność społeczeństwa, rzekomo niedoceniającego zasługi rycerza i dworzanina, chciwy jest na pieniądze i samolubny — każdej chwili gotów podporządkować dobro publiczne interesom prywatnym.

Dzięki przodującemu stanowisku, zajmowanemu przez Jerzego Ossolińskiego, kanclerza królestwa, posiada Pamiętnik jego ojca, Zbigniewa Ossolińskiego, skromne miejsce w literaturze historycznej. Stary wojewoda sandomirski, spokrewniony

z Zborowskimi — przez matkę swą, rodzoną siostrę Samuela — służył przy boku króla Stefana w poselstwach i bitwach, ale surowy wyrok wydany na Samuela tak zraził Zbigniewa do dworu, że usunął się w zacisze wiejskie, skąd go dopiero ziemiaństwo kilkakrotnym wyborem na sejm i trybunał koronny na widownię publiczną wysunęło, a król Zygmunt, licząc się z tem zaufaniem obywatelstwa, do senatu powołał. — Na sejmie t. z. Zborowskim z taką opozycją wystąpił przeciw królowi i kanclerzowi, że obrażony jego mową »król Stefan z szablą w rękę na niego się porwał, a ledwie starsi go powstrzymali«. Nie ukojony w gniewie kazał go król hajdukom królewskim »porwać z gospody«, ale straż posłów, czuwających przez noc całą w obronie Zbigniewa, nie dopuściła do pojmania go. Po wyborze Zygmunta III. zasiada w senacie i należy do gorliwych stronników króla, nadstawiając czoła opozycji Zamojskiego, a następnie Zebrzydowskiego. Ale już w komisji sejmowej, wyznaczonej dla naprawy spodłonej monety, zdobywa się na otwarte napiętnowanie »nieprawego postępowania króla w pogorszeniu monety, co tak dalece — powiada Zbigniew — dworskich obraziło, że sesję opuściwszy, już nigdy z nim razem nie chcieli zasiadać«. Widział na okół szerzące się zło: upor i nieporadność króla, chciwość i pochlebstwo partyi dworskiej, »prywatę, łakomstwo hetmana Żółkiewskiego«, anarchię sejmów, ale nie miał sił do ich zwalczania. »Do tego naostatek — woła zniechęcony — ta mizerna Rzeczpospolita nasza przyszła, że ją same szalone fata, żadnym — nietylko dobrym, ale nijakim — radom miejsca nie zostawiwszy, piastują. Jako okręt, ster i żagle swoje straciwszy i wiatrami popędliwymi zapędzony, o lada skałę rozbić się musi, tak i to nieszczęsne królestwo bez wszelakiego rządu opuszczone, anarchią szlachty i chciwością panów upaść wrychle będzie musiało«. Na kartach dziejopisarstwa zapisał Zbigniew Ossoliński, zmarły 1632 r., imię swoje »Pamiętnikiem« obejmującym przeważnie wypadki życia prywatnego od drugiej połowy 16. wieku do przegranej pod Cecorą. »Komentarze« zajmujące się sprawami politycznymi, załączają gdzieś w rękopisie. Na języku ojczystym, którym się posługiwał, widać obok cudzoziemczyzny, pod której wpływem zostawał w młodości, ślady gwary mazurskiej.

Dzieje polskie od wyprawy Chocimskiej (1621) aż do konfederacji wojska przeciw Sobieskiemu, pół wieku z okładem, obejmuje Latopisiec albo Kroniczka Joachima Jerlicza, pisana przez Rusina w monasterze pieczarskim w Kijowie. Autor, urodzony 1598 na Wołyniu, pochodził z rodziny rycerskiej, z której ojciec odbył z królem Stefanem wyprawę moskiewską, stryj zginął pod Cecorą od kuli janczarskiej, brat, zawołany myśliwy, szukając za zabitym ptakiem, spadł z dębu i wyzionął ducha, a siostrzeniec, wojewodzie kijowski, porwał gwałtem swą małżonkę Sokołowską. I nasz Joachim, za wolą dziadka, w młodych latach oddany do wojska, odbył kampanię pod hetmanem Żółkiewskim. »Bił się pod Buszą i Oryninem«, następnie »służył na dworze podkanclerzego ks. Lipskiego, do pism ruskich«, ale znów wyruszył na wojaczkę, gdy zawrzał bój z Turkami pod Chocimem. Po powrocie ożeniwszy się, osiadł we wsi własnej Bykowie, gdzie w czasie jego niebytności syn przyjaciela najechał dwór i żonę z dziećmi wyrzucił. W roku 1648 napadło go znów kozactwo, było to jak się wyraża: podczas bezbożnej wojny chłopskiej czyli rozboju domowego — taką nietolerancją dysze Rusin wobec swych współbraci! Otóż owe srogie psy i bestye, t. j. poddani chłopci, zaskoczyli go niespodziewanie w jego wsi na Polesiu, przed którymi chroniąc życia, do lasu uciekać musiał. Walczył potem znowu — porzuciwszy żonę z drobną dżiatwą — pod znakami

hetmana Czarnieckiego, a ranny pod Mohilowem 1660, usunął się z widowni wojennej. Stary żołnierz przeżywszy czterech królów: Zygmunta III. i jego dwóch synów, wreszcie Michała Korybuta, patrzy ze szlacheckiego punktu widzenia na wypadki, które urywkowo i sposobem dyaryusza opisuje, nie szczędząc ostrych słów nagany Janowi Kazimierzowi, »wodzonemu za nos przez Korolinę«, t. j. królowę, tudzież Sobieskiemu, podówczas hetmanowi, za to, że z prymasem Prażmowskim zwabił Tatarów, pozwalając im łupić ziemie polskie. W ogniu walk i kłopotów gospodarskich, nie miał czasu ani cierpliwości zastanowić się nad wydarzeniami, których dorywcze zdjęcie robił z roku na rok, spisując opowiadanie swe znacznie później i po spełnieniu wypadków. Wychyla się z tej kroniki szlacheckiej »płytkiej wiedzy i łatwowierności«, z usposobienia »porywczego i zrzęda«, ale szczerze do swej rodziny przywiązany. Człowiek »podejrzanej moralności«, który na starość »pozwał sobie rozpustę«, ukraińcem bijący pokłony w ławrze kijowskiej, po przejściu na unię szowinista katolicki i parobek szlachty polskiej. Do tego stopnia przesiąkły cywilizacją polską górne warstwy Ukrainy!

Do czasów Władysława i Jana Kazimierza mamy ważne pamiętniki (Memoriale i Epitome) Albrechta Stanisława Radziwiłła, (ur. 1593, um. 1656), spisane po łacinie i przetłóżone w skróceniu przez jego wnuka księcia Hieronima Radziwiłła na język polski. Autor ich pochodzący z potężnego rodu, trzęsącego Litwą, jeden z założycieli ordynacji nieświeskiej, był wychowany w twardej szkole. Jak ojciec, odprawiający post na »puszczy nalibockiej, ciemnej, dzikiej, gdzie przez 40 dni unikał wszelkiej rozmowy i towarzystwa ludzkiego«, tak syn jego wzrastał »pod okiem surowego ochmistrza, który najmniejszym słabościom młodzieńca nie przebaczał i najniewinniejszych zabaw mu odmawiał«. Zwyczajem ówczesnym zwieździł młody książę Niemcy, Belgię i Szwajcaryę, Włochy i Francję, gdzie bawił na dworze królewskim mile widziany. Uśmiechała mu się tam nadzieja połączenia z księżniczką, pochodzącą z domu panującego, przemogła jednak miłość ojczyzny, od której go ten związek miał na zawsze oddalić. Za powrotem do kraju, młodzieniec ujmających obyczajów, otrzymał bez żadnych zasług pieczęć mniejszą litewską, następnie większą, a ożeniwszy się z bogatą wdową, nie mało intratnych napałował starostw. Królowie Zygmunt III, Władysław i Jan Kazimierz obsypywali go swemi łaskami, używał ich też dla dobra wiary, której był fanatycznym zwolenn-



Nr. 82. Albrecht Stanisław Radziwiłł,
autor pamiętników 17. w.

nikiem. Książę na Ołyce, senator z krwi starożytnej i głowa domu tak rozrodzonego, że cała Litwa pełną była ich zamków i dworów, należał do najbardziej wpływowych osobistości w Rzeczypospolitej. Ze zdaniem jego liczyli się królowie, a zwykły był wypowiadać je »w gładkich ale stanowczych wyrazach«. Napisał kilka dzieł nabożnych — tłómaczył dzieło ascety Drekseliusza — wydał parę broszur o Najśw. Pannie, której kult krzewił się w tym czasie jakby w wiekach średnich, ale rzeczy te utonęły w niepamięci, wstawił zaś imię swe dziełem historycznym. Jest to pamiętnik spisany w formie dyaryusza, bezpośrednio po spełnieniu wypadków, obejmujący dzieje lat trzydziestu i trzech od śmierci Zygmunta III, przerywany zgonem sędziwego autora. Źródło pierwszorzędnej doniosłości, niestety zalegające w rękopisie bibl. ks. Czartoryskich, a znane tylko z lichej przeróbki. Trudno zaiste wstrzymać się od wypowiedzenia żalu, że tak znakomity pomnik nie znalazł dotychczas miejsca w wydawnictwach Źródeł historycznych. Autor — kanclerz państwa — obraca się tu w sferze własnych doświadczeń i obserwacji, i gromadzi skarbiec społecznych faktów, doświadczeń i wrażeń, prawdziwie złotą kopalnię skądinąd zupełnie nieznanymi wiadomościami. Jako człowiek »nieposzlakowanego« charakteru — odrzucił 10.000 czerwonych złotych, ofiarowanych mu, »aby do wakansu nie był na przeszkodzie« — dla ubogich hojny — żywił nieraz do 200 głodnych u swoich stołów — bywał surowym swoich błędów sędzią. »Przewlekłem klęceniem i postami ukrócał ciało swoje«, zamykał się w maszynie, w której »ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł«, i w której widać było jeno grzbiet jego od bicowania siny i pokaleczony. Bardziej nabożnego nawet w tym wieku, na wskroś pobożnością przejętym, trudno sobie wyobrazić. Książę odwiedzał pilnie odpusty i cudowne miejsca, nie opuszczał żadnej mszy, ani »jadąc gdziekolwiek, żadnego kościoła« — odbył nawet pielgrzymkę do Rzymu. Na sejmach zaś gardłował przeciw heretykom, którychby rad jak szczury powyćpiał, bacząc pilnie, aby im ani »na włos nie przyczynić wolności«. Walczył o to nawet z rodzonym bratem ks. Krzysztofem, hetmanem wielkim litewskim, zapalonym kalwinem, którego zresztą serdecznie kochał. Szkodził mu jak mógł na sejmie, w senacie, gdy chodziło o obronę innowierców, ale tam, gdzie się ubiegał brat o godności lub urzędy intratne, porzucał dąsy i biegł do króla, aby wpływami swymi wyjednać braciszкови jeszcze jedno bogate starostwo. O honor i dobrobyt swego domu dbał przedewszystkiem. Tak nisko upadł naród, że »najzacniejszy nawet człowiek jako był nasz kanclerz Radziwiłł, nie mógł i nie umiał poświęcić nic z prywaty swej dla dobra ogólnego«. Tem się tłómaczy, dlaczego, choć tak niezmiernie bogaty, że liczył na krocie majątki swe na Litwie i w Koronie, to przecież zebrał o coraz nowe starostwa, i »nie czuł, że mu to ubliżało«.

Gorliwy katolik, zatopiony w myślach o zbawieniu duszy, nie gardzi wcale dobrami ziemskimi i tym podobnymi marnościami, mocno dbały o mamonę i łaski królewskie. Niepodejrzany świadek, bo prawowierny katolik, zarzuca mu wręcz hipokryzję. W istocie był on tylko wiernym odbiciem magnata owej doby, godzącego pobożność z chciwością. Zagorzały regalista, gdy mu podwyższą tenutę z dzierżonego starostwa, »targuje się do upadłego«, narobi awantury i odgrażać się będzie królowi — buntem. Asceta, pomiatający rozkoszami tego świata, nie jest i na wdzięki niewieście obojętny: »Kiedy go synowiec prosi o protekcję do pięknej wojewodzianki, książę widocznie już nie młody, o mało, że mu dziewczynę nie zdmuchnął«.

Dziwne w tej postaci sprzeczności: »trochę przebiegły, trochę frant«, kawa-

łek zakonnika a kawałek senatora, człowiek poczciwy, ale cokolwiek krętacz; kanclerz króla zaprzyjaźnionego z Francją, a kierujący nawę ku jej wrogowi, Austrii, stronnik dworu królewskiego, a zarazem sprzymierzeniec opozycji szlacheckiej.

Jako pamiętnikarz, jest Radziwiłł wiernym i aż do drobiazgowości szczegółowym, notuje z dnia na dzień, czerpiąc u samego źródła wiadomości, przechowuje przeto dokładnie każdy fakt dziejowy, pisze jednak sucho, nie po literacku, i z tego względu stoi na przeciwnym biegunie wobec pamiętników Paska, try-skających humorem i malowniczością, ale ubogich pod względem informacji wypadków historycznych.

Pisma wojskowe i polityczne, tudzież listy brata kanclerza ks. Krzysztofa Radziwiłła, odsłaniają nam jednego z owych królewiat, dla których monarcha polski musiał być niby pszczołą, znoszącą same miody. Za najdrobniejszą urażę osobistą mścili się oni na królu, poruszając przeciw niemu opinię całego narodu, gotowi każdej chwili zapalić pochodnię rokoszu. Książę na Birzach i Dubinkach, z wyznania kalwin, należał razem z bratem ks. Januszem do przeciwników Zygmunta III, gorliwego katolika. Monarcha ten jednak, licząc się z potężnym wpływem tej rodziny na Litwie, i jej stanowczym w sprawach publicznych głosem, obdarzał go godnościami i starostwami. Jako hetman polny, ubiegał się o buławę większą po zgonie Chodkiewicza, król jednak za sprzeciwienie się Krzysztofa, na sejmie 1623, obronie kraju, dał buławę ks. Sapieże. Ubodło to księcia, cofnął się więc zwyczajem senatorów malkotentów — z areny życia politycznego w zacisze domowe. Król Zygmunt nie taił też swej wobec niego niechęci i przy powitaniu posłów sejmowych »nie dał mu ucałować ręki królewskiej«. Dało to sposobność księciu do ostrego przemówienia na sejmie. Wychodząc ze stanowiska, że »nie masz gorszej zasługi, jak zasłużyć sobie na łaskę u panujących« i przypominając swoje czyny, złożone na ołtarzu ojczyzny i domu królewskiego, za które napróżno spodziewał się nagrody, przychodzi do wniosku, że przychyłność panujących ku jednym, niechęć ku drugim jest jak koleje losu kapryśną. Krzywdzi go na honorze król, odpychając od siebie, a w jego osobie cały stan rycerski dotknięty i obrażona wolność szlachecka, przeto grozi królowi, że jeżeli będzie jaką zniewagą podrażniony, tedy rad nie rad takiego huczku narobi, że w całej ojczyźnie odczwie się głośnym echem. Jakby niewystarczającymi okazały się te pogroźki, postanowił książę użyć dotkliwszego środka. Kiedy w sędziwym wieku Zygmunta, zaczęto przemyślać o elekcyi królewicza, wyprawił jako posłów swych Krzysztofa Arciszewskiego, znanego strategika i uczonego sekretarza Kochlewskiego do brata króla Ludwika XIII z propozycją korony polskiej. Sztuczka się nie udała, gdyż król wcześniej został powiadomiony o intrydze przez przejęte pisma. Te i tym podobne »nieporozumienia« między królem a udziałnym księciem, skończyły się obopólną ugodą, zapiecztowaną oddaniem wielkiej buławy księciu, który od tego czasu przestał przeciw królowi spiskować. Książę Krzysztof odznaczył się jako niepospolity wódz w wyprawie szwedzkiej i smoleńskiej. Zachował się jego dyaryusz, kreślony ręką sekretarza Piotra Kochlewskiego, z lat 1621—2, zawierający cenne o wojnie inflanckiej wiadomości. Tłomaczy on nam zwycięstwa oręża szwedzkiego: »W kraju tak obszernym jak nasz — czytamy w Pismach księcia Krzysztofa — a do tego tak mało w jedność ujętym, że wydawał się być raczej wielu państw związaniem, niżli jednym państwem, mieszkająca w stronach południowych szlachta, niezawsze się troszczyła o to, co się tam działo na odległym, najbardziej ku północy posuniętym krańcu Rzeczypospolitej. Gdy ojciec Gustawa po raz pierwszy

wkroczył do Inflant, ponieważ w tej prowincyi Radziwiłłowie wiele posiadali starostw, mawiała szlachta, że to wyprawa Radziwiłłowska i wskutek tej obojętności mógł Karol połowę Inflant zagarnąć, nim hetman Zamojski własnym kosztem wojsko zaciągnąwszy, ruszył przeciw najezdcy i jego zapęd zwycięski poskromił. A gdy Szwedzi nie zaprzestali na ziemię polską swoich inkursyj, szlachta przyzwyczajona kończyć wojny jedną wyprawą pospolitego ruszenia, poczęła sobie tłumaczyć, że Szwed nie z Rzeczpospolitą, ale z królem wojuje, aby się uchylić od ciężarów wojennych«. Gwałtowne i wicherzące, ale pełne znajomości spraw publicznych mowy księcia z lat następnych (1623—5), wreszcie pamiętniki brzemiennech wypadków w Moskwie, niestety w części tylko ogłoszone drukiem, stanowią pierwszorzędnę źródło do dziejów polskich tego czasu.

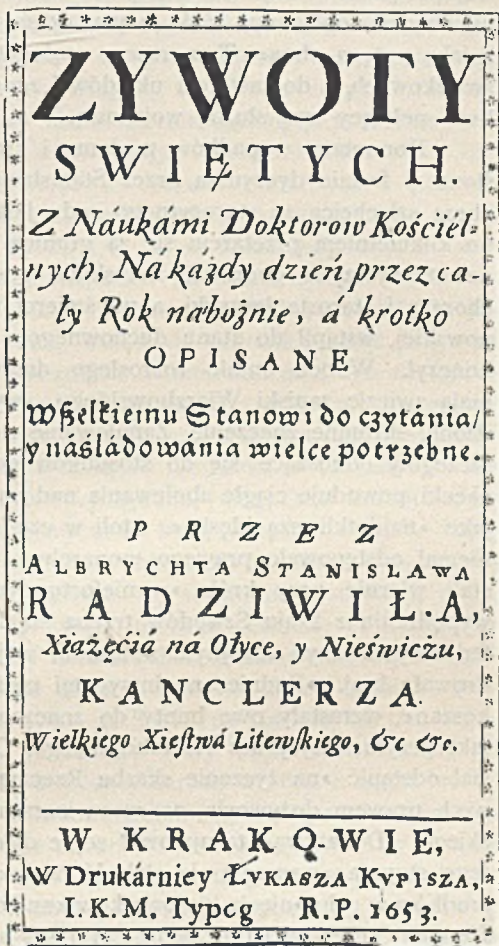
Uzupełnia je dyaryusz sekretarza księcia hetmana Radziwiłła i porucznika Jana Moskorzowskiego, roztaczający nam żywy obraz życia obozowego armii polskiej i jej zapasów z męczną artylerią moskiewską. Dłonią szorstką, w bojach zahartowaną, kreśli nam wtajemniczony przez swego wodza w arkana wojenne oficer, opisy bitew. A nie ukrywa prawdy, »choćby ona gorzką dlań była« i pisze poprostu, bez wszelkich ozdób, jak przystoi na żołnierza strudzonego twardego żywotem obozowym. Król Władysław, zgodnie z prawdą historyczną, wyraza w tym Dyaryuszu na bohatera, który »zaparciem się i przykładem własnym skłania schorzałe i wynędzniałe rycerstwo«, pozbawione żołdu, »do poświęcenia«. Krzysztofowi Radziwiłłowi przyznaje wielkie zdolności strategiczne, nie tai jednak, że niesnaski hetmanów, wynikające ze spółzawodnictwa, przyprawiły wojska polskie o poważne straty.

Wiekopomna odsiecz Smoleńska, jedna z najświetniejszych epizodów długiej i krwawej wojny moskiewskiej (z 1633—4 r.), jest przedmiotem kilku opracowań piórem i rylcem. Król Władysław IV, chcąc rozślawić czyn ten bohaterski wojska polskiego, polecił słynnemu rytownikowi Hondiusowi, umyślnie w tym celu sprowadzonemu z Holandyi, wykonać plany kampanii smoleńskiej, zdjęte na miejscu przez inżyniera Plejtnera. Owoc dwuletnich studyów artysty, któremu pomocny był Marcin Opitz, sekretarz, i historyograf Władysława IV, wyszedł też w okazałym dziele p. t. Smolenskum urbis itd. (Gdańsk 1636) z objaśnieniami w kilku językach.

Nietylko rodziny magnackie, jak Radziwiłłowie lub dom Sapieżyński, mogący się pochłubić wpływem w senacie, na sejmie lub na polu walki stanowiskiem, uważały za swój obowiązek zakładać i prowadzić dyaryusze i księgi domowe, ale każdy szlachcic wiejski, przywiązany do roli »w podeszłym wieku zasiadłszy na spoczynek pod domową strzechą, osładzał sobie starość wspomnieniami przeszłości«. Do kalendarzy lub innych ksiązek przyklejał karty białego papieru, na których spisywał obok wiadomości o pogodzie i zasiewie zboża, ważniejsze wypadki w powiecie lub kraju, przy zdarzeniach domowych jak urodziny lub śmierć, zaciągał mowy i instrukcje sejmowe. Wartość owych dyaryuszków rodzinnych, prowadzonych nieraz przez kilka pokoleń, bywa różnorodna, ale w tej epoce natrafic można czasem na złotą żyłę.

— Z dyaryuszy czyli dzienników domowych zasługuje na wymienienie księga familijna, spiswana przez trzech z kolei Obuchowiczów. Autor pierwszej i najstarszej księgi Filip Obuchowicz, senator-wojewoda, biegły mówca, który uczniem jeszcze będąc w akademii Zamojskiej, popisywał się oracyą, wierszem przeplataną, tak był poważany w Rzeczypospolitej, że go »przedstawiciele obu narodów (Ko-

rony i Litwy), jednomyślnie za marszałka rycerskiego Koła na sejmie elekcyjnym (1648) obrali«. Od tego czasu żywy brał udział w życiu publicznym, na sejmach, trybunałach i zjazdach obywatelskich, na poselstwach i wyprawach wojennych. Niestety jednak chciał, że mu jako wojewodzie smoleńskiemu powierzono obronę załogi w Smoleńsku. Było to w roku 1654, nieprzyjaciel w sześćdziesiąt tysięcy wojska stanął pod murami miasta i tak je obsaczył, że nasz dowódzca, wprawniejszy w mowie, niż orężu, nie miał dość siły woli, czy amunicyi, aby się oprzeć przemożnej sile. Nieprzyjaciel ofiarował dość przystępne warunki, odrzucenie ich narażało oblężonych na »niechybłą — jak powiada — zgubę«. Nasz wojewoda poddał się, a czyn ten zadał mu dotkliwy cios moralny. Jakis rubacha, w gorącej kąpany wodzie, szlachcic nowogrodzki, obsypał go gradem wyrzutów. Wystosował doń list otwarty, zaczynający się od odmówienia Obuchowiczowi tytułu wojewody, »albowiem poddaniem Smoleńska sprzedał ten tytuł i na temat »Lepiej było panie Filipie, siedzieć tobie w Lipie«, przedrwiwał honor i sławę senatora. Nie ze wszystkim jednak były miotane tu pociski słuszne. Jeden np., że »Obuchowicz, będąc posłem, z innymi towarzyszami przyczynił się do ustanowienia podatku podymnego na obronę zagrożonego kraju«, jest wręcz niesprawiedliwy. Szlachta bowiem »więcej dbała o swoją kieszeń, niż o całość ojczyzny«, zwała i ten podatek na chłopów, czem ich z Litwy wykurzyła. Te i tym podobne zarzuty tak dotknęły szanownego obywatela, że zachorowawszy, ze zmartwienia zakończył życie (1656 r). W dwa lata później nastąpiło, staraniem rodziny, uroczyste jego niewinnienie na podstawie dekretu sejmowego. Dyaryusz Obuchowicza, obejmujący lata 1630—1654, pisany sucho, sumarycznie, nie różni się od wielu mu podobnych zapisek. Autora cechuje ciasny, czysto szlachecki na politykę pogląd, zawzięta nienawiść do chłopstwa — jak nazywa Kozaków — i do heretyków, ale również miłość ojczyzny, objawiająca się w narzekaniu na anarchię i zrywanie sejmów. Kończą dyaryusz mowy wojewody, mimo nadętego stylu jeszcze nie najgorsze. Następuje po nim dziennik syna, Teodora, kasztelana nowogrodzkiego, sfrancuziałego pokojowca Jana Kazimierza, zaczynający się mniej wię-



Nr. 83. A. St. Radziwiłła Żywoty świętych. 1653.

cej od tego roku, na którym ojciec zakończył, a doprowadzony do 1700 r. Pamiętnik trzeciego Obuchowicza, Michała, strażnika litewskiego, dzielnego rycerza, wziętego do niewoli, spisywany w więzieniu (1660—2 r.), daje zajmujący obraz zwyczajów i obyczajów ruskich za panowania cara Aleksandra Michajłowicza. Druga część tego dyaryusza opowiada smutne koleje wyprawy na Moskwę, przedsięwziętej przez Jana Kazimierza dla obrony Ukrainy, kiedy to niepłatne i nieposłuszne wojsko polskie zamiast bić się wzbraniało się ruszyć z miejsca, »póki im żołd nie będzie opłacony«. W owym czasie (1664) »traktowano z wojskiem, jakby z jaką potęgą obcą«. Tym razem częściową wypłatą zaległego żołdu udobruchano związkowych, a do zawarcia układów i zgody przyczynił się nasz Obuchowicz, gorliwie pełniący swą służbę wojskową.

Konnotata wypadków w domu i kraju, zaszytych od 1634 do 1689, skreślona w formie dyaryusza przez Stanisława Wierzbowskiego, daje nam przeciętny obraz szlachcica ze starożytnego rodu Jastrzębców, wychowanka Jezuitów — który po kilkuletniem przetarciu się za granicą, nie szukając zaszczytów dworskich, ani nawet wyższych godności ziemskich, gospodarował na swoim dziedzictwie jako chorąży i starosta łączycki, a po śmierci ukochanej żony, z domu hrabianki Tarnowskiej, wstąpił do stanu duchownego i na stopniu infułata łaskiego życie zakończył. Wobec bujnie rozrosłego drzewa pamiętnikarstwa polskiego w 17 w., mając zwięzłe zapiski Wierzbowskiego, »wyłącznie dla użytku potomności« prowadzone, skromne znaczenie. Zamiłowanie do ojczystej gleby nasuwa mu pod pióro szczegóły odnoszące się do stosunków gospodarczych i rolniczych, egoizm szlachecki powoduje ciągłe ubolewania nad najdrobniejszą »cyfrą nałożonego poboru« jako »najdotkliwszą klęską«. Atoli w czasie potopu szwedzkiego, kiedy »wszystko niemal odstępowało prawego monarchy«, Wierzbowscy z bracią ziemi łączyckiej stali wiernie przy królu »w niefortunnym odwrocie w podgórskie okolicę«. Po wypędzeniu z kraju Szwedów trzeba się było opętać domowemu wrogowi: konfederacyom czyli zbrojnym związkom wojskowym, które za niepłacony żołd plądrowały kraj. »Podniecane intrygami możnowładców, ośmielone bezkarnością rokoszan«, wzrastały owe bunty do znaczenia publicznej władzy, jak tego dowodzi fakt przytoczony przez Wierzbowskiego. Oto ojciec jego, wojewoda sieradzki, musiał odstąpić »na życzenie skarbu Rzeczypospolitej«, dwu królewszczyzn, trzymanyh prawem dożywocia, na rzecz marszałka koła związkowego Samuela Świderskiego. »Donatywą« tą ujmował sobie dwór królewski naczelników powstania. Do tego stopnia »wzmogła się słabość rządu«, że chwytało się aż tak upokarzających środków w celu »ujęcia kierowników konfederacyi«. Nie wychodziło im to na dobre. Hetman Gosiewski i pułkownik Żeromski odpokutowali takową zdradę gardłem. Następuje potem rokosz Lubomirskiego, wielkie utrapienie ojczyzny. Nasz Wierzbowski staje naturalnie po stronie rebelanta. Cieszy się, że jego powiatowe chorągwie pobiły wojska kwarciane, przyznaje jednak, że mało co pożytku było z tej rebelii, »tylko ubogich ludzi zrujnowano«. Na cześć króla Michała, zaszczyconego imieniem »wielkiego«, pisze panegiryk; i on jednakże boleje nad chorobą zrywania sejmu.

Złość ludzka w tem dokazuje,
Że i ten (sejm) znowu zerwany,
Przez niechętne radne pany,
Którzy życzyli Francuskiej
Bardziej pani, niż Rakuskiej.

Zewsząd zaszępia się widnokrag polityczny nad Rzeczpospolitą. Porta otomańska wznieca pożar wojny. Naród nieprzygotowany do odporu, bez głowy i ramienia, ulega nawale dziczy tureckiej. Kamieniec, przedmurze ojczyzny, oraz Podole wszystko i Ukraina — ginie dla Polski. Gorsze jeszcze zamieszanie domowe, łupiestwa i swawole pospolitego ruszenia, opiewane rymem przez pana Stanisława. Odtąd płyną obficie krótkie zresztą i suche zapiski naszego kronikarza w języku gęsto przeplatany łaciną »rdzawego« wieku. Dowodzą zaś, że owe barwidła, mające »krasić twardą ojczyzną mowę nadobniejszem rzymskiem narzeczem«, plugawiły mowę polską nietylko w dnie uroczyste, ale przedostawały się się stamtąd do potocznego języka dni powszednich. — Zstąpmy na chwilę do protestantów.

Zachował się szczęśliwie z pomiędzy niemiłosiernie tępiionych prac innowierców polskich — mały dzienniczek Jana Cedrowskiego, ewangelika, który nie będąc ani politykiem, ani żołnierzem, ale żyjąc w czasach burzliwych i pełnych przygód, zostawił nam niejeden ciekawy szczegół, służący do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce (od r. 1641 do 1682). Oto jeden znamieny wyjątek, dotyczy zaś nieustających już w owym czasie napadów na zbory dyssydentów:

»Roku 1682, dnia 3 aprilis, w piątek, z namowy Lojalitów, alias Ojców Jezuitów i rady ich, pozwolił Imc. Pan Pac, wojewoda wileński, zdjąć krzyż ze zboru ewangelickiego, zaczem studenci gwałtownie z tumultem miejskim nastąpiwszy, zburzyli i rozrzucili zbór i domy, w których ewangelicy mieszkali, księgi popalili; księży, którzy się pod trumny ludzi umarłych przed strachem pochowali byli, powyciągali i pastwili się nad nimi. Dzieciatko niewinne, w pieluszkach będące, na ogień wyrzucili, że ledwo je żywe wychycono, ale potem umarło. Srebro zborowe i dzwony i aparaty, których nie mało było, wszystko zabrali. Szpitalowi i chorym białogłowom nic nie folgowano, rabowano co znalezione, ciała umarłych z grobów dobywali, pastwili się sromotnie nad nimi, palili, mężczyzny umarłe na białogłowy umarłe kładli, mówiąc: crescite et multiplicamini (rozmnażajcie się!). Poganie nad ciała chrześcijańskimi nigdy się tak nie pastwią, jako się tam pastwili«. W rękopisie dano tu rysunek zboru, robiony piórem w roku 1682. O autorze wiadomo tylko, że bawił na dworze księcia Bogusława Radziwiłła, zniemczającego magnata polskiego, który szedł ze Szwedami na Polskę. Pamiętnik swój spisał Cedrowski w późnej starości w 1682 r. mając lat 75!

Współczesny mu Jan Władysław Poczobut Odlanicki, szeregiem lat spisający wydarzenia od 1673 do 1684 r., pochodził z niższej i niezamożnej szlachty, »kraju« grodzieńskiego. Urodzony 1640 r., ledwo ze szkół wyszedłszy, z których mało co skorzystał, oddany w służbę wojenną, odbył kampanię moskiewską i szwedzką. Pojedynkujący się bez końca i za lada głupstwo zawadyaka, zaciągnął się razem z innymi do związku wojskowego, obrany następnie deputatem na trybunał litewski, a po powrocie do chorągwi posłem na sejm, rzuca po 12-letniej służbie wojackę i ożeniwszy się, obejmuje we wsi dziedzicznej gospodarstwo. Choć po śmierci stryja odziedziczył piękny majątek ziemski i otrzymał w spadku kamienicę w Wilnie — skarży się, że służba jego w wojsku nie została dostatecznie wynagrodzoną. Widocznie spodziewał się jakiegoś starostwa albo wyższego urzędu. Umarł 1703 r, stolnikiem oszmiańskim, nie doczekawszy się ziszczenia swych nadziei. Jedyny owoc działalności literackiej Poczobuta, ogłoszony dopiero w naszym stuleciu Pamiętnik, a spisany w późniejszym wieku autora, może na podstawie współczesnych notatek, zajmuje się przeważnie sprawami litewskimi. Towarzysz chorągwi kozackiej, następnie usarskiej, zatrzymuje się najdłużej i najchętniej przy opera-

cyach wojennych, maluje więc dokładnie marsze, podjazdy, utarczki, konfederacye i wyprawy wojska polskiego. Zresztą zawiera mało wiadomości, te jednak, które podaje, są pewne i dokładne. Opowiadanie jego suche, urywane, język rubaszny, niepoprawny. Autor próbuje wprawdzie czasem dosiąść pegaza, ale boryka się z wierszem jak z niedźwiedziem. Ku końcu przybiera pamiętnik jego charakter zapisek domowych, zupełnie zacierających kontury historycznego opowiadania.

Zbliżone do Poczobuta kolejną lat opowiadane Pamiętniki Jakuba z Gródkowa Łosia, obejmują wydarzenia z czasów Jana Kazimierza aż do jego abdykacyi. Autorstwo tego Łosia potwierdza napis nagrobkowy, znajdujący się w rękopisach biblioteki Ossolińskich i tradycya rodzinna. Z życia jego wiadomo, że był synem Wojciecha Łosia i Anny Hordyńskiej, mężem Elżbiety Roźniatowskiej, a ojcem Jacka Łosia, sędziego grodzkiego, którego notatki genealogiczne, odnoszące się do tej ziemiańskiej rodziny, kończą nasz pamiętnik. Na arenie rycerskiej występuje 1655 r. jako towarzysz pancernego znaku w chorągwi Władysława margrabi Myszkowskiego i bije się odważnie ze Szwedami w Wielkopolsce, a choć ranny pod Trzemeszną, przyczynia się do wzięcia szturmem Łowicza i Chojnic (1656). Po śmierci rotmistrza i ostatniego margrabi walczył w dywizyi Czarnieckiego, razem z Paskiem; odbył duńską i moskiewską wyprawę, potykał się jeszcze jako stronnik Jerzego Lubomirskiego z wojskiem królewskim pod Częstochową (1665). Wreszcie zawiesiwszy na kołku szablę, osiadł na roli i w latach 1676 — 82 jął się pisaną wypadków, których był świadkiem i aktorem. Jako człowiekowi, który znaczną część życia spędził w obozie, bliższe są dzieje wojskowe aniżeli polityczne. Zresztą patrzy okiem ziemianina na »podeptane intrygi królowej Maryi Ludwiki« i »szatańskie« rady »ślepego« prymasa Prażmowskiego, broni niewinności »wielkiego w koronie polskiej senatora«, zgorzony »wyrokiem nań gwałcącym ustawy krajowe«, nie tak jednak bezprawia i nadużycia, jakie zagnieździły się już były w gospodarce szlacheckiej. Kończy ostrą naganą rządów Jana Kazimierza, ułożoną 1668 w formie trawestacyi pacierza:

Ojczy nasz, królu Polski, Janie Kazimierzu,
Któryś jest w majestacie, lecz w niedobrem pierzu,
Święci się imię Twoje, ale we Szwecycej,
I królowej Ludwiki, także we Francyej...

Nasz pamiętnikarz nie odgrywał wybitniejszej roli, nie osiągnął nawet w długoletniej służbie wojskowej żadnego stopnia, jedynie w bitwie pod Połonką (1660) dowodził piętnastu towarzyszami chorągwi krajczego Wacława Leszczyńskiego, a w trzy lata później był od tejże chorągwi deputatem związku wojskowego w układach z królem Janem Kazimierzem. Dlatego też wiadomości przezeń podane odnoszą się do skontrolowania niedokładnych wiadomości innych pamiętnikarzy, jak np. Paska. Okoliczność ta, że nie piastował żadnego wybitnego urzędu i był człowiekiem bez wyższego wykształcenia, wyklucza też autorstwo Władysława z Krzywonogi Łosia, znanego w dziejach wojewody i senatora Rzeczypospolitej, pod którego imieniem wydano ten pamiętnik.

W rzedzie wspomnień z tego czasu, spisanych jednym ciągiem, należy się obok Łosia wybitniejsze miejsce Pamiętnikowi Mikołaja Jemiołowskiego, towarzysza lekkiej chorągwi i ziemianina województwa bełzkiego, co to zbierał wawrzyny w słynnej bitwie pod Beresteczkiem i Cudnowem, ale dopuszczał się też razem z innymi towarzyszami związku Świderskiego różnych bezprawia. Za

jedno z owych nadużyć przeciw poddanym, skazany został sądownie na banicję. Srogi ten wyrok nie został naturalnie spełniony, albowiem gdy w Swaryczowie, którego był spółwłaścicielem, woźny zabrał się do publikowania wyroku, wystąpiła prawa małżonka Jemiołowskiego, a w jej sukursie pracowity Daćko, paterfamilias, i tak się groźnie postawili, że prześwietny urząd (wicesregent z woźnym), musiał umykać. Po abdykacji króla Jana Kazimierza obrany był w województwie bełżkiem poborcą podatku, nałożonego na wszystkie stany, w celu odebrania Kijowa, ale jak Kijów nie wrócił nigdy do Polski, tak i owego pogłównego, mającego się rozciągać na wszystkich — szlachta nigdy nie płaciła. Natomiast zraził sobie ziemian eksakcyą owych poborów. »W roku 1671 — czytamy w pamiętniku — dwaj towarzysze z chorągwi Waclawa Peleżyńskiego zapozwali go imieniem całej chorągwi o przytrzymanie żołdu. Tegoż czasu spada do mieszkania jego w Bełżu woźny sądowy i arestuje sumę 1380 złp. Nie dość na tem, deputowany od chorągwi arestuje samego poborcę«. Był to podobno akt niesprawiedliwości, albowiem mimo owych pozwów i skarg, cieszył się nasz towarzysz pancerny zaufaniem spółziemian.

Pamiętnik Jemiołowskiego obejmuje dzieje polskie od r. 1648 do 1679, porządkiem lat opowiedziane i ujawnia człowieka nie dużej wprawdzie inteligencji, obdarzonego jednak praktycznym zmysłem. Szlachcic to umięjący lepiej machać serpentyną, aniżeli piórem, aż do zabobonności pobożny, wzbraniający się przypuścić do senatu biskupów obrządku greckiego, zagorzały instytutcyj szlacheckich obrońca, wróg władzy centralnej i dziedzičnosti tronu, a nadewszystko panów, których co krok posądza o »zdradę i łamanie wiary Rzeczypospolitej«. Bogusławowi Leszczyńskiemu, podskarbiemu koronnemu, zarzuca chciwość, zdzierstwa i kradzież grosza publicznego, królowej Maryi Ludwice przedajność i łakomstwo. O hetmanie Lanckorońskim i Piotrze Potockim powiada, że lubo byli ludzie zani i godni senatorskiego urzędu, kupować musieli urzędy — takie przekupstwo panowało w Rzeczypospolitej. Jako źródło do poznania nastroju chwili dziejowej, do charakterystyki osób i stosunków — zwłaszcza z czasów wojen Chmielnickiego — przydaje Jemiołowski nie mało cennych wiadomości. Pod względem stylu i artyzmu pozostawia wiele do czynienia. Rzuca na papier myśli bez wdzięku, doraźnie, jakby od ręki; notuje wypadki krótko i sucho; pisze bez planu, często się powtarzając; tu i ówdzie jeno okrasza opowiadanie swe rubaszne jowialnym żartem.

Wśród licznych wspomnień szlacheckich zasługuje na wyróżnienie księga zapisków mieszczanina 17 wieku, Jana Majorkiewicza, ławnika miasta Krakowa. Rzuca ona snop światła na ten »zdrowy rdzeń ludu«, który wśród szalonej wichury, srożącej się nad Rzeczpospolitą szlachecką, ciężko zapracowanym groszem ratował ojczyznę w potrzebie, biorąc cały ciężar podatków na swe barki. Wspomina o tem Majorkiewicz z powodu ustanowienia w r. 1662 podatku, zwanego pogłównem: »Ciężki to był podatek, ale tylko na lud ubogi, możniejsi mało co tego czuli, zaczęło być dosyć narzekania i przekleństw... Jako pryncypał, a niegdyś pomocnik spożywający twardy chleb pryncypała, gęsto łzami skrapiany, podaje straszne przykłady katowania chłopców: jednego ze związanemi w górę rękami zostawiał kupiec przez całą noc. Chłopiec, chcąc się z tej niewoli wydobyć, zębami więzy rozerwał, ale targając ciałem, wyłamał żebra i ramiona. Jako właściciel sklepu i kamienicy — celu marzeń każdego mieszczanina, napisał dla chłopców sklepowych instrukcyę, zostawił też dla żony i dzieci rodzaj programu wychowania. Wszystko lubi przeplatać sentencyami, czerpanemi z własnego

doświadczenia. Oto parę przykładów: »Nigdy bardziej przykład nie nauczy, jak gdy stanie obok w przeciwieństwie. — Znosić, to znaczy mieć nadzieję. — Zbytńia łagodność rodzi pogardę lub nieuszanowanie. — Niebezpieczeństwo jest najlepszym nauczycielem ludzi. — Między innymi przyczynami złego, które nas trapi, jest ta, że ciągle tylko naśladowujemy i nie rządymy się przytem rozumem, ale przyzwyczajeniem«.

W owych czasach, jak słusznie zauważono, wszyscy pisali wiersze od króla Jana III począwszy, a skończywszy na kupcu korzennym. To też i nasz rajca krakowski prowadził ożywioną korespondencję wierszem z mieszczaninem warszaw-



Nr. 84. P. H. Pruszc. — Klejnoty stol. miasta. Kraków 1650.

skim Zajdliecm. A jak całą Polską owładnął prąd pietyzmu — za owych czasów wprowadzono w życie bulą papieską do dziś używane pozdrowienie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i proklamowano uroczyście Matkę Boską Królową Polską — tak i mieszczaństwo karmiło się cudami i nabożeństwem. Zapisywał więc i nasz Jan między inwentarzami zasobów sklepowych a długami wśród klientów nabożne wiersze i modlitwy, a tuż obok ważniejsze wypadki z publicznego i prywatnego życia, spis podatków i kontrybucyj, kurs monet — wszystko w latach 1650—1683. Dobry katolik, a przytem oszczędny i zapobiegliwy kupiec, każdą chwilę życia uważał za »wkładkę, w zyskowny interes włożoną«. Typ obcy niemal dla Polaków i wręcz niesympatyczny. — Wśród mieszczaństwa lwowskiego, dobrobytem, oświatą i cnotą, nieustępującem szlachcie, odznaczał się Jan z patrycyu-

szowskiego rodu Alembeków, kupiec, wzorowy konsul i mecenas, polityk i poeta w jednej osobie. Już jako student uniwersytetu padewskiego ogłosił 1591 r. wiersz do ks. Jerzego Radziwiłła, w którym ujawnił wielostronną wiedzę. Za powrotem do Rzeczypospolitej lwowskiej, kiedy długo tłumiona nienawiść »motłochu miejskiego« do patrycyuszów wybuchła w otwartą wojnę, on — lubo sam z pochodzenia należał do »panów« — stanął na czele pokrzywdzonych przeciw uprzywilejowanej klasie dożywotnich rajców. Wspomnienia z czasów tej walki, kiedy rada czterdziestu mężów, złożona już do połowy z rzemieślników, dążyła do uszczuplenia władzy prawie absolutnej rządu radzieckiego, spisał Alembek w pamiętniku zachowanym w Archiwum lwowskim, p. t. Wielkie zajście civitatis miasta Lwowa z pany rajcy, które mnie do wielkich trudności przywiodło, a ich Pan Bóg z tego świata wziął in furore suo. W tych księgach kłopotnych zdradza się umysł niepokojny, sangwiniczny, pełen werwy i krewkości, a zdobywający się jeszcze na obronę praw ludu miejskiego. Sądzi surowo owych plebejuszów, co to »postąpiwszy ku górze«, to jest zostawszy rajcami, zdradzali sprawę rzemieślników, aby się przypodobać konsulom. Do nich zaliczał Andrzeja Madrowicza, autora drzewa złego, czyli księgi rodzaju panów rajców. Oto próbka tej genealogii: »Z ambycyi rajców, zespolonych intrygą ze szlachtą, urodził się dożywotni konsulat, z którego urodził się najazd obcych przybyszów, a napływ ten zrodził prywatę i lekceważenie ludu, te zrodziły absolutyzm, ten zrodził złe gospodarstwo i nadużycia, upadek praw, lichwę i spustoszenie miasta, z czego zrodziła się nieufność i waśń między rajcami a ludem« itd. O autorze owej księgi powiada Alembek, że »napiwszy się z różką, zaczął inszą piosnkę śpiewać«, za nim poszli towarzysze, »wieszający suknię po wietrze i gdzie mogli pruli między nami zgodę«. Niemało dumnym patrycyuszom nawarzył piwa Alembek, za co był kilkakrotnie więziony i prześladowany. W Pamiętniku swym uważa się też za »haniebnie pokrzywdzoną ofiarę« niegodziwości przeciwników. Pogodził się jednak z nimi, został rajcą i dostąpiwszy godności burmistrza, umarł 1636. Syn jego Waleryan Alembek był lekarzem i kupcem, pisarzem i rajcą, profesorem »racyonalnej filozofii« i wierszopisem, właścicielem kilku kamienic we Lwowie i rektorem akademii Zamojskiej.

Z pomiędzy mieszczan lwowskich zasłużył się Samuel Kuszewicz, doktor filozofii i notaryusz, ławnik i orator, pamiętnikiem czasów swoich. Daje on świadectwo stosunku Rusinów do spoczywającego w rękach polskich rządu miasta. Ludność ruska czuła się w tym »grodzie osadzonym na karkach ruskich« jakby wyrzuconą za »próg chaty, której niegdyś była panią«. Wyrazem tych uczuć było zachowanie się Rusinów podczas napadu kozaków z Chmielnickiego 1648 r. Kuszewicz jako naoczny tych krwawych dni świadek, powiada, że »ludzie religii greckiej z ochotą nieprzyjaciela wyglądali«. Kiedy Chmielnicki zbliżał się pod mury ciężko zagrożonego miasta, »półtrzecia sta dragonów Rusnaków uszło zdradliwie do nieprzyjaciela«, a mieszczanie gołogowscy jednego z pośrodką siebie do Chmielnickiego wyprawili z listem, prosząc, »aby im przeciw tyraństwu Polaków chciał przyjść z pomocą«. Ale nieprzyjaciel im nie ufał, a swoi prześladowali. Pozostają na własnej ziemi »obcym żywiołem«. — Na krótkie bodaj wspomnienie zasługuje jako autor »Księgi rachunkowej« Piotr Kunaszczuk, kupiec lwowski, mogący uchodzić za typ »pospolitego człowieka«, tj. drobnego mieszczanina z 17 wieku. Obok zamożnych i oświeconych patrycyuszów snuła się w owym czasie szara masa »plebejów«, z zawodu kramarzy lub rzemieślników, dla których krzesło radzieckie, a nawet prosta ława skabinatu były przedmiotem nienawiści kla-

sowej. Otóż jednym z tego szeregu tłumy Rzeczypospolitej przekupniów, to nasz Kunaszczuk, z pochodzenia Rusin, a wyznania schyzmatyk, spisujący swój pamiętniczek zrazu w języku ruskim, aby go niebawem zastąpić polskim. Kunaszowicz bowiem — jak się odtąd nazywa — spolszczył się zupełnie i chyba tylko wyjątkowo wyrwie mu się jakieś słowo ruskie asbuką pisane. Prawdziwy to z niego kramarz, handluje wszystkim, zwłaszcza płótnem i książkami. Trudni się przytem lichwą. Pożyczają u niego na zastaw malarze, introligatorzy, księgarze, a przede wszystkim żydzi, których nielitościwie zdziera — jakby się mścił za wszystkie ofiary lichwy żydowskiej — bo pobiera od nich prowizyę przewyższającą dziesięciokrotnie obowiązkową stopę, pożycza na 86⁰/₁₀! Tą drogą dorobił się znacznego majątku, mimo to żył skromnie, synów oddał do rzemiosła, córki wydał za kupców. Pokutuje w jego pamiętniku dusza kramarska. »Wszystkie affekta swoje — powiada jego biograf — wszystkie goryczy i kłopoty wyraża cyfrą. Miał smutek — kosztowało go to złotych tyle, syn — nawiasem mówiąc hultaj nad hultaje — sprawił mu zgrzyotę: złotych tyle, groszy tyle. Wszystkie zdarzenia rodzinne o tyle zapisane, o ile były rachunkową pozycją«. Notuje zaś każdy najdrobniejszy wydatek w swej księdze kupieckiej, do dziś nie ogłoszonej drukiem, obejmującej wypadki z lat 1663—1696.

Wobec znakomitych i rozpowszechnionych pomników literatury pamiętnikowej pióra szlacheckiego, godziło się zapisać bodaj drobniejsze ślady pamiętnikarstwa mieszczańskiego pochodzenia. Do grona tego należy też mieszczanin polski Jan Goliusz, z wyznania kalwin, dopiero po zgonie matki zrzucający strój niemiecki, aby »polską przywdziać żałobę«. Oto, jak go charakteryzuje jeden z jego biografów: »Trochę ociężały w ruchach i myśli, trochę powierzchowny w naukach trochę próżny w stosunkach towarzyskich, ale z sercem złotem, zamiłowany w pracy, oszczędny, zapobiegliwy«. Lubili go spółcześni, bo umiał palnąć mówkę weselną, a gdy było trzeba i pogrzebową, przytem kochał się na zabój w posażnej pannice, czego dowodem listy i wiersze miłosne. Pamiętniki jego odgrzebane aż w muzeum brytyjskiem, w jednym z owych licznych zbiorów 17 wieku zwanych *Silva rerum*, obejmują jeno trzy lata dziejów Polski (od 1650—3) i zdradzają niewprawną, ociężałą rękę młodego mieszczanina.

Z prac historycznych wielce ruchliwego zakonu Jezuitów, zasługuje na wyszczególnienie Dziennik spraw domu zakonnego w Krakowie, spisany przez ks. Jana Wielewickiego od 1579 a po jego śmierci doprowadzony do 1637 r. Na podstawie zaginionych dyaryusza Skargi, Sawickiego, Szembeka, Krzywokolskiego, tudzież aktów prowincyi polskiej swego zakonu i drukowanych materyałów, notuje ten zasłużony superyor i rektor Jezuitów z mrówczą skrzętnością wypadki i stosunki swego czasu, miesiąc za miesiącem, od spraw wielkiej doniosłości aż do najdrobniejszych szczegółów kościelnych — niestety w języku łacińskim. Cenną tę spuściznę historyczną ogłoszono dopiero w nowszych czasach.

Do poznania odrębnego życia Litwy w drugiej połowie XVII. wieku daje wiele materyału Księga pamiętkowa Stefana Franciszka Medekszy. Spisywacz jej, nie zajmujący wybitniejszego w życiu publicznym stanowiska, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, gnieźdzącej się w jednej z wioszczyn ziemi brzeskiej, służył za młodu wojskowo pod hetmanem i podskarbin Wincentym Gosiewskim, za zdrajcę przez związkowych doraźnie śmiercią ukaranym. To też dzieje tego związku, dopominającego się niewypłacanych wojskowym poborów, znajdują bogate, lubo wielce stroniczne oświetlenie w Pamiętniku. Autor pochwalał zrazu konfederacyę,



ARCHELIA
To iest,
Nauka y Informatia
O STRZELBIE
y o Rzeczach do niej nalezacych.

Ięzykiem Polskim swiezo
opifana y wydrukowana.



W LESZNIE
u Daniela Vetterusa.
Roku Pańskiego,
M DC XLIII

SMOLENSK

aby ją po »morderstwie« hetmana potępić. Pracowity i odważny szlachcic, za protekcją Gosiewskiego i Paca używany niejednokrotnie jako przystaw lub goniec do wożenia listów i tym podobnych podrzędniejszych czynności, prawi dumnie: »W pierwszej mojej do Moskwy legacyi armistitium z Carem pod Wilnem uczyniwszy, wsadziłem Go na Szwedów!« Przechwala się następnie, że »rozbił ligę Kozaków z Rakoczym« itp. Na każdym kroku bujną widać fantazyę szlachcica, zapożycza się od posła cesarskiego, aby się utrzymać przy życiu, a nie przestaje odgrywać roli magnata. Z niemniej wygórowaniem o politycznem stanowisku Rzeczypospolitej mniemaniu buntuje mieszczan rosyjskich przeciw Carowi, bojarów straszy ruchem ludowym, Kozaków namawia do buntu — a przed namiestnikiem carskim Szeremetą rozwija plan unii Moskwy z Polską pod jednym berłem carskiem. Z tem wszystkiem zawierają jego dyaryusze drogi do Moskwy, cenne listy, mowy i tym podobne akta ze środka XVII. wieku. Księga pamiętnicza Medekszy rzuca wogóle ciekawe światło na tę potężną dzielnicę Rzeczypospolitej, przyzyczajoną więcej od Korony do porządku i władzy, ale prowadzącą wbrew zasadzie unii zupełnie samodzielną politykę.

Obejmując szczupłą przestrzeń czasu, bo zaledwie lat 14 przed abdykacją Jana Kazimierza, stanowi ten Pamiętnik raczej zbiór aktów, aniżeli rozwinięty obraz dziejowy. Autor nie zdoła zetrzeć owego znamienia swej pracy okrasą tu i ówdzie rozsianych wierszyków lub mów.

Nasz sekretarz Jana Kazimierza i sędzia kowieński urywa księgę w połowie swej działalności, z dyaryusza zaś jego zasług dowiadujemy się, że żył jeszcze za Jana III., kilkakrotnie na sejm posłując.

Typowym przykładem pamiętnika, poświęconego pewnemu okresowi czasu, z wybitną tendencją polityczną, jest Historia abo opisanie rzeczy z czasu wojny szwedzkiej (1655—1660), przypisywana J. St. Wydźdze. Rodzina Wydźgów spokrewnioną była niegdyś z panującym domem Piastów. Ale czasy te minęły niepowrotnie. Ojciec naszego pamiętnikarza — towarzyszący jako rotmistrz Władysławowi IV. na wyprawach i piastujący urząd podsędkła lwowskiego — dawszy synowi staranne wychowanie, nakłonił go do poświęcenia się stanowi duchownemu, w nadziei, że zostanie kiedyś opiekunem podupadłej rodziny. Dzięki protekcji biskupa Trzebińskiego, stały młodzieńcowi otworem wrota do godności duchownych, zwłaszcza od kiedy został kaznodzieją nadwornym. Król Władysław IV. »rozgniewany na Jezuitów, że brata Jana Kazimierza do seminaryum swego w Rzymie pomimo woli jego przyjęli«, forytował Wydźgę, znanego z nieprzyjaźni do tego zakonu. Jan Kazimierz, obrany królem, z wdzięczności za popieranie jego elekcji, wyjednał dla Wydźgi kanonię krakowską i inne zaszczyty, wkrótce zaś potem mianowała go królowa Ludwika Marya swym kanclerzem. Miewał nadto jako sekretarz królewski »niebronny przystęp« do tronu i »przypatrywał się — jak się wyraża — pilno dworowi«. W czasie najazdu Szwedów i ucieczki królestwa, towarzysząc obojgu w tułactwie, miał sposobność bliższego poznania królowej, jej energii, zmierzającej do »skupienia sił narodu« i odparcia nieprzyjaciół. W celu okazania jej niepospolitych zalet, które wśród spółczesnej szlachty spotykały się z wyzywającą naganą — głównie z powodu forsowania na tron polski księcia d'Anghien i niepopularnej myśli elekcji za życia króla — napisał ks. Wydźga swój pamiętnik, poświęcony przedewszystkiem pochwałę »bohaterskich« czynów królowej. W »całym nacisku zwycięskiego oręża Szweda, w tej zmartwiałości ducha, jaśnieje ona — w oczach naszego pamiętnikarza — nieustraszonem

męstwem i niezwykłą przytomnością umysłu«. »Dodaje łotuchy zwątpiałemu królowi«, odrzuca projekty poddania się najeźdźcy, energią »budzi do działania«, a »nie wahając się powinności prostego żołnierza przy działach — dobija się czynem dwóch stolic królestwa swego«. Jeżeli porównamy ten mocno wyidealizowany portret królowej z karykaturami innych pamiętnikarzy i ze zjadliwymi paszkwilami na cały dwór królewski (przypominam wiersz p. t. Przydomek panom francuzom, śpiewany pod oknami Wydźgi:

Siecz francuzów, siecz,
Wyostrzywszy miecz,
Wal francuzów, wal,
Wbijaj ich na pal! itp.),

to zrozumiemy, dlaczego autor pamiętnika zataił swoje nazwisko. Przypuszczają — na podstawie tradycji przywiązanej do biblioteki Żałuskich — że był nim Jan Stefan Wydźga, referendarz koronny, następnie biskup łucki, 1659 r. posunięty na katedrę warmińską, a po złożeniu pieczęci mniejszej i większej za Jana III., piastujący od roku 1678-go najwyższą w Królestwie godność prymasa. — U współczesnych słynął z wymowy, i »wbrew ówczesnemu zwyczajowi, przyjętemu od znakomych dygnitarzy duchownych, dawał się często słyszeć z kazałnicy«, zażywał też jako mówca polityczny wielkiej sławy. Gabinet francuski takież wydał o nim zdanie: »Biskup warmiński jest w całej Polsce najwymowniejszym człowiekiem. Wynurzającego zdanie swoje w senacie słuchają z największą uwagą, a słowa jego często rzecz rozstrzygają«. Zarzuca mu tylko opieszałość w pełnieniu obowiązków. Ze zbioru mów jego i kazań przechowała się — prócz wiadomości o pochwalnej na pogrzebie królowej Ludwiki Maryi oracyi łacińskiej, — mowa w języku ojczystym, z powodu złożenia przezeń pieczęci koronnej, gęsto najeżona zwrotami łacińskimi. Tłómaczy się z tego w swym pamiętniku, również nie wolnym od owych naleciałości klasycznych, temi oto słowy: »Żem łaciny nie mało polszczyźnie przydawał, dziwować się nie będzie ten, komu humor i styl terażniejszego wieku wiadom, kiedy to weszło w zwyczaj haftować polski nasz język łacińskimi wzorkami«. Z krążących o prymasie anegdot wypisuje jeden znamienny przykład. Gdy jaki paniczyk galantom, kortezan dworski lub prałat, łakomy na beneficya, przybył do rezydencyi prymasa (w Łowiczu), to kazał go sadzać na krześle prostem, bez poduszek, a pasztetem ze szczurów (?) i pokwaśniałem piwem częstował. Krztusił się biedak, ale zjeść i wypić musiał. Była to zasłużona kara za próżniactwo i łakomstwo, zaostzona drwinkami prymasa. Śmiało też wyrzucał szlachcie namiętność do kosztownych psów i koni, a patrząc na to marnotrawstwo ziemian, przepowiadał paniczom smutny los Akteona, który od własnych psów i koni był pożarty. Ta niechęć do próżniaczej szlachty odbija się też w »Historyi«, napisanej i ogłoszonej w szóstym lat dziesiątku. Pochlebiał w niej królowej, ale umyślnych fałszów nie pisał. Zbłądził, że osłaniał intrygi królowej, któremi »gwałcąc prawo narodowe, nowych przydawała żywołów do rozstroju narodu«. Wydźga umarł około 1685 r., a więc w czasie, »kiedy w literaturze naszej rozkrzewione panegiryki najbujniej kwitnęły«. Mimo to nie spotykamy się w niej z żadnym, choćby najskromniejszym kwiatem na mogile potężnego władzą i stanowiskiem dygnitarza. Jedni przypisują to popiepraniu przezeń tronu dziedzicznego — polityce znieawidzonej przez szlachtę, »fa-

Powody małżeństwa Paska nie były natury idealnej; pojął czterdziesto i kilkuletnią wdowę z sześciorgiem dzieci jedynie ze względów majątkowych — tłuste bowiem dożywocie, jakie miała Jejmość Anna z Remiszewskich Łącka, przynosiło rocznie około 5.000 złp. Pożycie z nią nie było też przykładne. Pan Pasek nie miał jej bowiem w »należnem poszanowaniu«, a z pasierbem przyszło do »gorszego procesu i orężnej zwady«. Nic też dziwnego, że z braku własnego potomstwa, a licznych kłopotów z pasierbicami, unikał domu i »tłukł się po sądach, sejmikach i jarmarkach«.

Na żeniączkę swą narzeka też niejednokrotnie. »Tak to — woła w Pamiętnikach — pojąć wdowę z dziećmi i kłopotami... Na same prawie wyderkafy (zastawy czy odkupy), terminy prawne, wesela, obłóczyny i profesye (zakonne) córek, których było pięć, pracowałem. Cobyś miał sobie zbierać, wydasz na prawo (procesy) i jeszcze zarobisz sobie na niewdzięczność«.

Nie przywiązany — jak jego sąsiedzi — do ogniska rodzinnego, do własnego kawałka ziemi, chodzi dzierżawami z jednej wsi do drugiej, a kiedy energiczna małżonka wyręcza go w gospodarstwie, on spędza większą część życia poza domem — w grodach i trybunałach.

Skłaniał go do tego zarządek majątku pasierbów, zwłaszcza dóbr Smogorzewa (w Krakowskiem). Krzysztof Łącki, pasierb Paska, oskarża przed sądem grodzkim ojczyma, że tenże gospodarując w pomienionych dobrach przez lat 16, »niepomny miłości bliźniego i obowiązku opiekuna, nie tylko matki protestującego w na-



Nr. 86. Chwałkowski — Regni Poloniae ius publicum. Anno 1684.

leżnem poszanowaniu nie miał, ale rozpędzając poddanych, chaty burząc, grunta jałowując i las wyrębiając, dobra rzeczzone zniszczył, a jego samego do ostatniej ruiny doprowadził«. Nie darował tego pasierbowi Pasek — wylaniają się więc wzajemne pozwy, skargi, protestacye — repliki i dupliki, a stąd pojedynki, najazdy i formalne bitwy. Aż obie strony ostygły w zapale i zaciętości, podają sobie dłonie do zgody.

Jak owe dożywocia, tak i zmiany dzierżawy, których Pasek miał kilka, dawały powód do przewlekłych procesów, różnymi gwałtami przeplatanych. Ileż to z tej okazji wylało się inkaustu i »droższego jeszcze płynu, krwi ludzkiej«. Zawinił tu nie mało Imci Pan Pasek, torujący sobie drogę łokciami; nie raz jeden

używał w tym celu szabli lub flinty, częściej jednak palestry. Miał bowiem nasz Pasek ustaloną sławę zawadyaki i pieniacza. Nie zliczyć tu srogich egzekucyj i banicij wieczystych, jakie spadały na jego głowę, ale jakoś to wszystko wytrzymał. Oblicze bowiem staropolskiej Temidy wyglądało bardzo surowe i prawo wybuchalo straszliwemi groźbami, atoli miecz sprawiedliwości bardzo był stępiony.

Z licznych i długoletnich procesów, wymieniam sprawę z wielmożą Warszawskim, w której jak grad padały gęsto »areszty, dekrety, obdukcye, protestacye, manifesty, delegacye, inkwizycye, egzekucye, mocye, remissy« i jak tam opiewają jeszcze owe terminy prawnicze — a chodziło o nic innego, jeno o jedną chudą krowinę. »Za to — jak się wyraża biograf Paska — co w tym długim procesie wydano na inkaust, papier, pisarzy, taksy sądowe, palestrantów, koszta podróży (mitręgi i zdrowia nie licząc), możnaby śmiało całe stado najpiękniejszych cielic tyrolskich zakupić i sprowadziwszy do kraju, mizerną rasę poprawić«. Ale Paskowi chodziło o to, aby na swoim postawić. »Bo ta fantazyja — jak sam powiada — już się ze mną urodziła, że zawsze durum contra durum (upor nad upor), choćby się nadsadzić«.

W przewlekłym procesie z zakonem ojców Cystersów w Jędrzejowie o wydanie zbiegłego kowala, którego Pasek uważał za swego poddanego, wpada w taką furję, że każe owego chłopca — 70-letniego staruszka — sprowadzić jak psa, z powrozem na szyi, wtrąca go razem z żoną i nieletniemi dziećmi do brudnego lochu, tam głodem morzy i okłada chłostą, w końcu zagrabiwszy mu cały sprzęt domowy i gotówkę, puszcza na zęby. Przykład tak okrutnego z poddanymi postępowania, jakkolwiek w owym wieku nie wyjątkowy, rzuca tem grubszy cień na charakter Paska, że poddany ów, należący właściwie do dóbr konwentu Cystersów, nie popełnił najmniejszej winy. Innego chłopca, Kube, zbił Pasek na kwaśne jabłko, »przytroczył na sznurze do szyi konia i tak przy sobie gonił«, a potem rzucił do więzienia i tam głodem morzył. Krewkość i popędliwość naszego wojaka występuje z tą samą pasją wobec sługi szlacheckiego pochodzenia bo oto w nocy napadł z uzbrojoną jak na wojnę czeladzią swą na Dmószyckiego, zakuł go w kajdany, wtrącił do wieży, gdzie go głodem morząc, przeszło ćwierć roku bezprawnie przytrzymał.

Dzierżawiąc Olszówkę, doznawał od zaściankowej szlachty różnych przykrości jako Mazur. Toruje więc sobie drogę pałaszem lub kijem. »Panowie Krakowianie — przynajnie się w Pamiętnikach — poczęli mnie lekceważyć, nazywając przybyszem, dopiero tego w łeb, tego w nos, tego po plecach i takci sobie uczyniłem pokój«.

Kilkuletni (1684 — 1690) proces naszego szlachetki z ordynacją Myszkowskich, t. j. z margrabiami pińczowskimi o dzierżawę (Olszówki i Brześcia), do której nie miał żadnego prawa, robi przykre wrażenie. Korzystając z przewlekłości ówczesnego postępowania sądowego, nie ruszał się z Olszówki po ukończeniu dzierżawy, ale »postanowił zmusić margrabię do czynów przemocy, któreby dały asumpt do podniesienia wielkiego larum przed bracią szlachtą«. Wtórowała mu w tej agendzie rezolutna małżonka. »Zamknąwszy się ze swą służebną we dworku folwarcznym, krzyczała w niebogłose, że jest niby to — jak sam Pasek w Pamiętniku zeznaje — uwięzioną, choć oniby jej byli i płot rozgrodzili, gdyby była chciała wyjechać«. Margrabia klin klinem wybijając, wyrzucił przemocą Paska z nieprawnie zatrzymanej dzierżawy.

Przeniósłszy się do Magierowa (w Sandomierskiem), wszczyną bójki z są-

siadem Wojciechem Wolskim, łowczym owróckim, takim jak on sam gwałtownikiem i pieniaczem. Mając w podejrzeniu sługę Wolskiego o kradzież koni, wymierza sobie sprawiedliwość doraźną w następujący sposób: Oto »gdy wysłani na polowanie domownicy Wolskiego szli skromnie i spokojnie, Imc. Pan Pasek wlaź po drabinie na dach dworu w Ucieszkowie (otrzymał jeszcze 1688 r. te dobra królewskie w dożywotnią dzierżawę) i wraz ze swoją służbą czatując tam na przybycie myśliwych, napadł na nich znienacka, powalił na ziemię, sznurami skrepował i obił kijem. Niezaspokojony tem, przymusił jednego z owych towarzyszy, Rusinowskiego, do zjedzenia na surowo pół zająca, drugą połowę dawszy psom na pożarcie. Za ten grubu żart i towarzyszące mu gwałty skazany został nasz zawadyaka na »karę banicy i wiczystej i infamii«.

Owa banicya z infamią to jedna z najłagodniejszych kar, nie dotycząca wcale osoby skazanego, tylko jego mienia. Ale od egzekucyi nawet tej grzywny wywinął się zupełnie nasz zawołany pieniacz, pełen niewyczerpanej i na tem polu fantazyi. Przy słabości władz wykonawczych a zuchwałości obwinionych doszło za czasów Zygmunta III. i Władysława IV. do tego, że taka figura jak Samuel Łaszcz uwijał się swobodnie w kraju, lubo ciążyło na nim 236 banicyj i 37 infamij. Na samym schyłku życia, z powodu dzierżawy Niedzieliska (w Brzeskiem), groziło i Paskowi ramię władz starościńskich, ale do wykonania wyroku nie przyszło, gdyż skazany na »banicyę« przeniósł się do innego świata, »gdzie mu już żaden trybunał ani pozwów ani egzekucyj nasyłać nie mógł«. Śmierć zaskoczyła go na samym progu XVIII. stulecia.

Był to duch niespokojny, temperament porywczy i gwałtowny o fantazyi »bujnej i ognistej«, prawdziwy »Mazur«, który w gwałtach, najezdach i procesach wyladowywał swoją niespożytą energię. Do późnej starości, podczas choroby, na łożu śmiertelnem, zachował ten »animusz«, tę samą »gorącą krew«, jaką się odznaczał »gdy się certował o pierwszeństwo w ścięciu Iba Szwedowi, lub kiedy uganiał się za księciem siedmiogrodzkim Rakoczym«.

Pełno miał awanturnicznych przygód, pojedynków i zwad w pierwszej dobie życia, gdy się wyprawiał za morze, »gdzie noga polska nigdy nie powstała«, zarówno jak po latach walki orężnej, gdy osiwały już paliwoda osiadłszy na roli, spławił zboże do Gdańska i »służył w jeździe, która wojuje szaraki«. Różnica między tym drugim okresem życia a pierwszym polega na tem, że »miejsce utarczek z nieprzyjacielem następują kłótnie, zwady i procesy z sąsiadami lub krewniakami — żołnierz przemienia się w peniacza«.

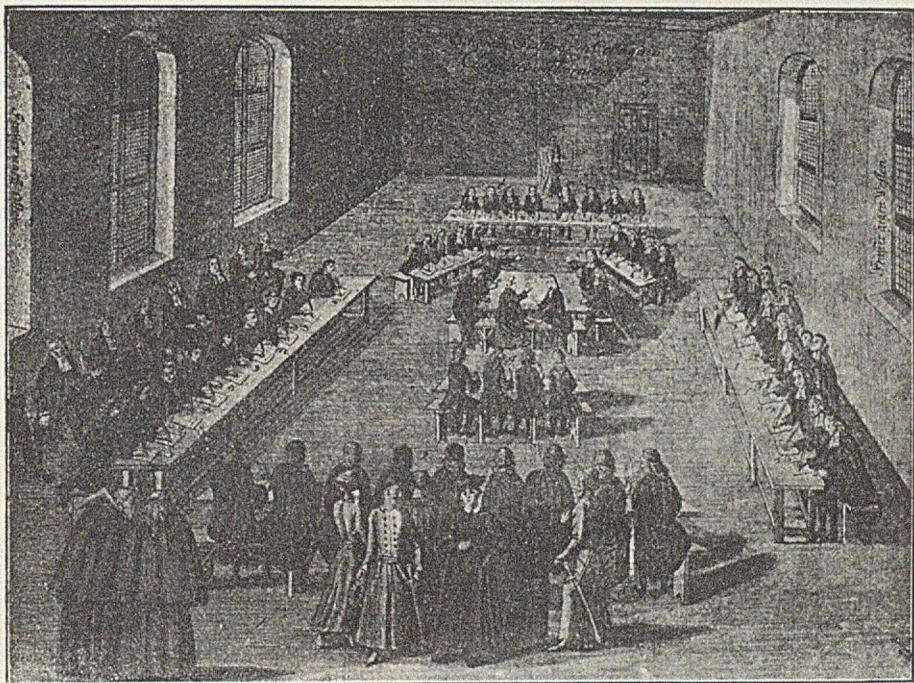
Sławę u potomnych zjednał sobie Pasek nie odwagą w boju, ani śmiałością w pojedynku; nie nadęte oracye, upstrzone zapożyczonymi u obcych frazesami łacińskimi, ani finty i kruczki palestry zapisały jego imię złotemi w literaturze głoskami. Zawdzięcza on je wyłącznie jednej jedynej książce, opisującej dorywczo, bez pretensyi, koleje swego życia. Kilkakrotnie zastrzega się Pasek, że nie pisze dziejów swego czasu, ale opowiada bieg swego żywota, okazyje, w których brał udział. A czyni to »z tej racyi, żeby sobie mógł reducirze in memoriam (przywiesić na pamięć) każde swoje actiones (czyny), przeczytawszy in scripto, in quantum (na piśmie, o ile)by pamięć nie mogła dotrzymać«. Jeżeli mu przyświeca jakaś myśl ogólna, to chyba ta, żeby spadkobiercy tej książki — o druku za życia nie myślał — czerpali naukę z przytoczonych przykładów.

Kiedy powstały pamiętniki Paska? Na pewne nie w pierwszym, służbie woj-skowej poświęconym okresie życia, trwającym do 1667 r., bo na pisanie ich nie

było czasu, ani sposobności ku temu, ale prawdopodobnie w drugiej dobie życia, w wieku dojrzałym i w »doświadczenie bogatym«.

Nie pisząc pod bezpośrednim wrażeniem, ale »w znacznym odstępce czasu od opisanych wydarzeń«, a przytem starając się w jak najlepszym świetle przedstawić swoją osobę, zabarwia Pasek wspomnienia swe fajerwerkami brawury i swoim zaściankowym, szlachecko-rycerskim na świat poglądem.

Jak Pasek jest przedstawicielem szlachty polskiej z epoki królów wybieralnych, tak pamiętniki jego są zwierciadłem życia, obyczajów i dążeń owej warstwy społecznej, która mimo ciasnoty umysłowej i politycznego krótkowidztwa, miała jeszcze wiele zdrowych cnót staropolskich. Wartość historyczna pamiętników nie wielka, wiadomości z dziejów zewnętrznych nader skąpe, niedokładne i często



Nr. 87. Dysputa teologiczna w Toruniu (Collegium charitativum).

mylne, natomiast opowiadanie z wewnętrznych dziejów pełne charakterystycznych rysów i owych drobnych a nieocenionych szczegółów.

W potoczystej, swobodnej formie gawędziarza roztacza tu Pasek obrazy niezrównanej plastyki i barwności. Dosadny, malowniczy sposób przedstawienia, zaprawiony lekkim humorem i staropolskie zacięcie, z jakim kreśli przygody i koleje swego burzliwego życia, sprawiają, że pamiętniki Paska czyta się jak romans. Dar opowiadania i bujna fantazyja autora podnoszą książkę jego na wyżyny prawdziwej poezyi, owej naturalnej, naiwnej poezyi — pozbawionej sztuki, ale jak przyroda, od której nie bardzo jeszcze odszakuje — wiecznie młodej i świeżej.

Po Pasku stacza się pamiętnikarstwo polskie ku upadkowi, aż ugrzęźnie za Sasów na mieliznie.

W szeregu wspomnień historycznych, spólcześnie, bezpośrednio po zajściu wydarzeń spisywanych, zajmuje skromne miejsce Dyaryusz Jana Ant. Chrapowickiego, znany w części, obejmującej lata 1668 do 1672, t. j. okresu nieszczęsnego panowania króla Michała, kiedy to »szła niezgody i niesforności szlacheckiej, podsyćcany krnąbrną dumą możnych i lekceważeniem władzy, wyródził się w śmiertelną chorobę narodu«. Biorąc udział w życiu publicznym, najpierw jako chorąży smoleński i podkomorzy, prowadził Chrapowicki rokowania z Rosyą, zakończone traktatem andruszowskim, następnie jako wojewoda witebski pośredniczył w pojednaniu prymasa Prażmowskiego i hetmana Sobieskiego z królem, miał więc sposobność poznać bliżej oplakané stosunki krajowe. Pisze lakonicznie, ale nie zakrywa prawdy. Oto np. czytamy, że na sejmie 1668 r. podczas sporów o exorbitancye, kiedy prymas Prażmowski wnosił, aby dobra duchowne wolne były od dawania chlebów żołnierzom, hetman koronny Jan Sobieski nie odparł tego zgubnego wniosku, bo był »dobrze podpity«. Hetman litewski Michał Pac wyjednywa sobie uniwersał ochronny, zwalniający dobra jego od żywienia wojska. W tym czasie podskarbi litewski Hieronim Kryszpin, ciągnąc również korzyści ze swego urzędu, wyrabia sobie podobne uwolnienie towarów od ceł na komorach. Nic więc dziwnego, że »w kraju, gdzie magnat żył płodem łez i potu poddaństwa, a podatków płacić nie chciał«, nie stało pieniędzy na utrzymanie wojska i obronę ojczyzny. Na sądach kapturowych 1669 »nabrało się srodze siła z różnych województw z pospolitego ruszenia obywatelów pijanych, którzy jeno hałasowali i wyrywali się w głósy jako ludzie niebywali i niewiadomi terminów«, niedopuszczając do elekcyi. Co gorsza, podczas czytania listów od kandydatów do tronu, zaczęto strzelać: »Zaczem ks. biskup kujawski Czartoryski mówił, że to strzelanie jest nullum securitas (nie daje żadnego bezpieczeństwa), a jakiści tam z Rawian ozwał się, że to na was, księża, strzelają. Porwali się do niego, żeby go wziąć, ale oni przecie strzelali«. Po niespodziewanej elekcyi Michała, dla którego panowie składają się na pościel w zamku królewskim, nowe hałasy i bójki. Jedni »chcą zwinąć wojsko, żeby nie płacić podatków«, inni, jak Zamojscy, oświadczają, że »cofną swoją protestacyę przeciw ważności wyboru Wiśniowieckiego« pod warunkiem, »jeśli on jako król, zaprzysięże ważność ich ordynacyi«. Nie odbiega od tego poziomu prywaty sam autor, wytykający owe nadużycia. Po ukonieniu posłów, zrywających sejm, gdy łby sobie rozwalano o wakanse, wnosi on, jako poseł ziemski, aby »nie przystępować do żadnych spraw Rzeczypospolitej, aż się nam dosyć stanie«. ... Jakkolwiek do niedawna był wyznawcą prześladowanej nauki kalwina, sroży się teraz niemiłosiernie na innowierców. A fale nietolerancyi wzbity się już tak wysoko w Rzeczypospolitej polskiej, że nuncyusz, podczas bankietu, danego z okoliczności koronacyi królowej (1670 r.), nie chciał siedzieć przy posle holenderskim, jako przy heretyku!

Zapiski Chrapowickiego, jako typowy obraz dyaryusza z dnia na dzień prowadzonego, dorzucają niejedną grudkę do grzechów szlachty polskiej, do ucisku i krzywdy ludu, do nietolerancyi wyznań. Wartoby poszukać dalszej ich części zalegającej gdzieś w rękopisach.

Z nachyleniem się nawy Rzeczypospolitej ku upadkowi, coraz mniej charakterów, coraz rzadsi politycy i ludzie nauki, coraz gorsi historycy i pamiętnikarze. Do rzędu tych ostatnich zalicza się Krzysztof Zawisza, wierny przedstawiciel epoki saskiej.

Młodość »możnego panicza« upłynęła na pustych zabawach, łowach i mi-

łostkach, a było to w czasie wielkiego przesilenia, kiedy naród przechodził najcięższe chwile. Grzechy młodości okupywało się bigoteryą. »Smutno patrzeć — powiada biograf Zawiszy, gorliwy katolik — jak Rzeczpospolita zmieniała się dobrowolnie na jeden ogromny klasztor«, w którym »przy praktykach religijnych nie było miłości chrześcijańskiej«. I nasz Zawisza — pokorny wobec Boga — kierował się w stosunkach z ludźmi szaloną pychą. W dziewiętnastym roku życia (1683) dostawszy starostwo mińskie, ożenił się z Tyszkiewiczówną, dziedziczką ogromnego majątku, która załatwiając zań najrozmaitsze sprawy, zawierała kontrakty kupna i sprzedaży, wyrabia mu u królów Augusta i Stanisława intratne urzędy. Pan Krzysztof bawił się przez ten czas w oratora, witając nowonarodzonych, grzebiąc umarłych lub oddając panny w ręce kawalerom. Nie zaniedbał zebrać owych mów okolicznościowych w jedną księgę, zaopatrzwszy ją w pretenjonalne godło łacińskie: »Ucz się każdy ode mnie, jak pocziwie pracować!« Jak wyglądała w rzeczywistości owa zacność naszego Zawiszy, o tem może poświadczyć zachowanie się jego względem siostry żoninej, podkanclerzanki, która przeżywszy już drugiego męża, popełniła ten grzech śmiertelny, że wyszła za swego rządcę. Bezwzględny brat, niepomny zasad, które wygłaszał, sprofanował kościół z powodu tego megaliansu. Trzeba jednak przyznać, że walczył mężnie z nieprzyjacielem. Nie naliczyłbyś bitew, podjazdów i utarczek, których był uczestnikiem. Czas wolny od wojaczki i hulatyki poświęcał spisaniu wierszy i pamiętnika. Ten ostatni owoc jego ruchliwej działalności przypomina owe księgi familijne, dla pamięci potomnych przekazywane z jednego pokolenia na drugie. Wspomnienia wojewody witebskiego z lat



Nr. 88. Fulmen orientis Joannis III.

1666—1721 kontynuuje syn najstarszy Ignacy, marszałek wielki litewski, za przypadek tylko zdarzył, że po jego śmierci 1738 r. nie dodał dalszego ciągu wnuk. Pamiętnik starego Zawiszy, pisany w późnym wieku, na prędcie i niedbale, rzuca promień żywego światła na ponury obraz krzywd, prywaty i zaślepienia, na rozsypujący się w gruzy gmach przeżytych instytucyj Rzeczypospolitej.

Dom Wiśniowieckich, którego »purpura książęca zaczerwieniła się nieraz krwią szlachetną na polu bitwy«, wygasł na Michale, pierwszym i ostatnim linii królewskiej potomku, szczyli się autorem malutkiego dzienniczka, spisane go »dla pamięci, co się którego roku działo« w latach 1680—1731. Ani byś odgadł, że

je pisał potomek Gedyminów, piastujący najwyższe na Litwie urzędy hetmana i kanclerza, dziedzic kilkunastu miast i stukilkudziesięciu wsi.

Może większej wartości jest dyaryusz królewicza Jakóba Sobieskiego, opisujący wyprawę pod Kamieniec, podjętą przez króla Jana III. w cztery lata po jego wiktoryi wiedeńskiej. Mały syn wielkiego ojca chciał szturm przypuścić do miasta, ale po wystrzeleniu bomb i kartaczy cofnął się do Żółkwi, ku wielkiemu króla niezadowoleniu. Kamieniec pozostał w rękach Turków. Znamy jeno urywek z tego pamiętnika, mającego sięgać w głąb 18 wieku.

Pokojowiec króla-bohatera opisał Dyaryusz wiedeńskiej okazji (1683 roku) w dziełku niedawno dopiero ogłoszonym. Autor tego pamiętniczka, podstoli łaty-czewski, biorący czynny udział w słynnym zwycięstwie, spisał go w starości po 1717 roku.

W epoce upadku dziejopisarstwa, idącego równoległe z upadkiem narodu, wśród pamiętnikarzy, kreślących jakby od niechcenia krótkie i dorywcze zapiski swego czasu (że tu wymienię tylko Marcina Chomentowskiego, wojewodę bra-cławskiego), zjawia się historyk, przewyższający światłym umysłem i bezstronnością sądów wszystkich pamiętnikarzy od Paska do Matuszewicza. Człowiek ten, wykształcony i zacny obywatel, lubo nie bierze czynnego w życiu politycznym udziału, a nawet nie należący do żadnego stronnictwa, na jakie się społeczeństwo polskie rozpadło, daje nam jednak wierny, pełen życia i barw indywidualnych obraz czasów Augusta II. Pierwszy pamiętników wydawca przypisał ich autorstwo Erazmowi Otwinowskiemu, krytyka społeczna nie umie nic bliższego o nim powiedzieć. Był to »charakter poważny, sędzia surowy«, ale sprawiedliwy. Jako człowiek wol-nomyślny, ostro karci nietolerancyę szlachty, przygania »możnym dostojnikom du-chownym wyłamywanie się — z krzywdą plebanów i zakonników — od powin-ności i ciężarów«, choć sam nie opuszcza stanowiska katolickiego.

Pisarz to z temperamentem i werwą, a prawdomówny i przedmiotowy, śmiało odślania ohydę wieku, całą przewrotność przewodników narodu, lubo sam niezdolny wyłamać się z ciasnych pojęć szlachetczyzny i obrony złotego liberi v eto. Dokładnie obeznany z faktami, dość jednolity i konsekwentny w sądach, pisał swoje pamiętniki, obejmujące dzieje polskie od zgonu Jana III. aż po 1728, dopiero pod sam koniec panowania Augusta Mocnego. Patrząc na dzieje pod na-rodowym kątem widzenia, nie sprzyja ani Szwedom, ani Sasom, »zawadyacki, czu-purny, kordjaszny« radby ich jak najprędzej z Polski wypędzić. Przywiązany do złotej wolności szlachcie i republikanin z niechęcią patrzy na panów, »na żadnym z nich uczciwej nitki nie zostawi«, w jaskrawych kolorach malując ich »brudne samolubstwo, swawolę i zdzierstwa ojczyzny«. Z Pamiętników jego bije okropny obraz upadku Polski. »I swoi i obcy znęcają się nad biednym ludem, nad mia-stami, nad szlachtą. Kto mocniejszy, ten lepszy. Żadnego względu na nic, na lu-dzi, na moralność, na Boga«. — Na dnie tych czarnych obrazów tkwi ukryta głębsza myśl polityczna i skrwawione serce historyka.

Do stwierdzenia wiadomości, podanych w Pamiętniku przypisanym Otwi-nowskiemu, posłużyć może Pamiętniczek Wawrzyńca Rakowskiego, rotmistrza po-spolitego ruszenia ziemi wiskiej, zawierający zdarzenia z lat 1701—1711. Rzuca on słaby promyk na tę bolesną kartę dziejów Polski, uginającej się pod podwój-nem jarzmem elekcji Stanisława i Augusta, kandydatów do tronu przy pomocy wojsk obcych, rozrzuconych po wszystkich zakątkach kraju. »Łała się krew bra-tobójcza: Sasi palili domy i włościę tych, którzy stronę Leszczyńskiego utrzymy-

wali, Szwedzi tych, którzy Augusta odstąpić nie chcieli«. A kiedy na nieszczęsnej ziemi polskiej rozgrywała się ta walka dwóch monarchów: Karola XII. z Piotrem Wielkim, krocie tysięcy żołdactwa żywiło się chlebem polskim, kradzieżą i zdzierstwem — w postaci kontrybucyi ze wszech stron wybieranych. Nasz rotmistrz łanowy, władający lepiej szablą aniżeli piórem, pisze o tem krótko i sucho, po żołniersku; wypadki wojenne zajmują go więcej niż polityczne, tu i owdzie tylko zwróci jego uwagę jakiś akt dyplomatyczny lub list społeczny, skądinąd zresztą dokładniej znany.

Ostatnim pamiętnikarzem z epoki saskiej jest Marcin Matuszewicz, ojciec znanego ministra skarbu z czasów księstwa warszawskiego, Tadeusza Matuszewicza. Urodzony 1714 r. ze szlachty osiadłej w województwie brzeskiem na Litwie, rozwinął na tej ziemi swoją działalność. Wychowywał się tu u Jezuitów w Brzeziu, gdzie dla niezwykłych zdolności — recytował w pamięci całego Alwara — chciano go sposobić do zakonu, ale ojciec dowiedziawszy się o tem — odebrał go stamtąd i zatrzymał w domu. Tutaj pod wpływem lektury Lukana zabrał się do pisanja i ułożył, na wzór odprawianych w szkołach brzeskich, dyalog polski o jednym bogatym człowieku świat rzucającym, aby na górze Kalwaryi wyzionąć ducha w osobliwszem nabożeństwie. Grano tę sztukę na teatrze domowym, a ojciec rozdawał gościom jej tekst. Oddany powtórnie do szkół z tem zastrzeżeniem, »ażeby go jezuiti do zakonu swego nie namawiali«, rozlampartował się na stancyi w Warszawie, »mając bowiem — jak powiada w Pamiętniku swym — dyrektorów, którzy napijania się nie wystrzegali, i nas na reduty i gry w karty z sobą brali, presumpcyą o swej umiejętności nadęty, zaczął pić i wyprawiać burdy«. Widząc taką odmianę w zachowaniu syna, wziął go ojciec ze szkoły i oddał na dwór szlachecki, będący zawsze jeszcze ową drugą, ważniejszą szkołą, przysposabiającą młodzież do życia publicznego. Przez stosunki z dworem ks. Sapiehów dostał się do przybocznej straży t. z. grandmuszkieterów Augusta II. Nie długo tu pozostał. Po śmierci tego króla rozdzieliła się Rzeczpospolita na dwa obozy, jedni stali przy Augustynie III., drudzy przy królu Stanisławie. Jako kapitan walczył Matuszewicz z oddziałem swoim w obronie Piasta, a po jego przegranej osiadł na zagrodzie dziedzicznej, zajęty gospodarowaniem. Za protekcyą Sapiehów obrany pisarzem w sądzie brzeskim, zaczął częstowaniem braci i pijatyką, niemniej mowami pochlebnemi zabiegać o zaszczyty ziemskie. Jako podstoli brzeski, wybierany posłem na sejmiki i trybunały, nie szczędził zdrowia i trudów, aby się przypodobać możnym panom. Cieszył się zrazu wielkim faworem u księcia kancelerza Czartoryskiego, ale wypadłszy z łaski — posłany w swaty do posażnej panny, chciał ją dla siebie pozyskać — ściągnął na siebie nieprzyjaźń Czartoryskich, co go znów ku domowi ks. Radziwiłłów, przeciwników familii przysunęło. Mający wpływ u szlachty województwa brzeskiego, zdolny, obrotny stolnik, czynem i radą służył partyi hetmańskiej, ale familia miała poparcie silniejszego rządu i przy elekcyi zwyciężyła. Giętki polityk sejmikowy pogodził się więc ze stanem rzeczy i zaczął nowo obranemu Stanisławowi Augustowi kadzić pochlebstwem, co mu przysporzyło nie mało pieniędzy i zaszczytów. Z sędziego ziemi brzeskiej posunął się na krzesło senatorskie — kasztelana brzeskiego. Cel marzeń szlachetki zdawał się bliski urzeczywistnienia, gdy go niespodzianie śmierć zaskoczyła (1773).

Na polu piśmiennictwa zaskarbił sobie Matuszewicz imię jako pamiętnikarz czasów saskich i poeta. Działalność jego pisarska przypada na czas najgłębszego upadku Polski. Jak w życiu publicznem tak i w literaturze panowało

ponure milczenie, przerywane hulatyką i wybrykami bezrządu. Bujny, ruchliwy i pełen przygód wojennych żywot [szlachcica polskiego 17 wieku, skłaniający go do spisywania ku wiecznej pamięci swych wrażeń i doświadczeń, ustępował miejsca kwietyzmowi używania, a ten nie wydawał już wybitniejszych pomników literatury. Na tem pustkowiu jaśnieje Pamiętnik Matuszewicza (z lat 1714—1765) zaletami poważnego źródła historycznego. Wprawdzie nie odgrywał nasz kasztelan drażkowy wybitniejszej roli politycznej, był tylko jednym z tysięcznych kółek wielkiej maszyny, bierze jednak żywy i nieustannie czynny udział w walce dwu stronnictw: Czartoryskich i Radziwiłłów, na które się w połowie 18 wieku rozpadało polityczno-społeczne życie narodu. A dzielny to szermierz, słowem i piórem walczy przez dziesiątki lat zawzięcie, pisze manifesty, broszury, miewa mowy, słowem używa wszelkich sprężyn agitacyi — do przysporzenia swej partyi przewagi w województwie. Wszystko z całą naiwnością przedstawia w owym Pamiętniku, w którym zdejmuje obrazy gwarne go życia szlachty z całą okrasą i świeżością. Obdarzony z natury niezwykłą pamięcią, którą już w szkole celował, zapamiętał nasz pamiętnikarz nietylko koligacje i stosunki domowe swego województwa, ale także drobne sprężyny intryg na szerszej widowni życia publicznego. Szkoda tylko, że dzieło jego urywa się właśnie na tem miejscu i w owym czasie, kiedy autor nasz zajął wybitniejsze w Rzeczypospolitej stanowisko. Natomiast przechowały się szczęśliwie jego wiersze, czystą i gładką pisane polszczyzną. Są to przekłady, a raczej parafrazy satyr Horacyusza, nad którymi strawił niespełna lat dziesięć, nie doczekawszy się ich ogłoszenia drukiem (ukazały się po jego śmierci w Wilnie 1794 r.). Rozwadnia tu Matuszewicz zwięzły i lapidarny styl Horacego obszernymi dodatkami, naciągając myśli autora do ojczystych stosunków. Ale właśnie ta okoliczność, odzwierciedlająca nasze obyczaje i wady narodowe, a zarazem i stanowisko satyryka, zajęte w Pamiętnikach, czynią nam ten przekład tak bliskim i ważnym. Spowodowało to Matuszewicza, że pracy swej nie drukował za życia. Wolność — powiada w przedmowie do owych satyr — była w Rzymie większa prawdy mówienia, jakoż tam tylko jednej panującej osobie przepuszczali poetowie, innym prawdę mówili: u nas zaś w Polsce, choć przy wolności, ale mniemanej, ile bogatszych i możniejszych ludzi, tyle panujących a jeszcze mściwych, cierpieć musimy. — Osobliwie trzeciej satyry w księdze I przydatek niektórychby wielkich ludzi mógł urazić. W owym »przydatku« trzeci set wierszy obejmującym, uderza Matuszewicz na księcia kanclerza Czartoryskiego, ujmując się tu za całym stanem szlacheckim przez możnych panów uciemiężonym, krusząc kopię w obronie »równości szlacheckiej przez familię nadwyrężonej«.

... Wielka bywa różność wnuków od ich dziadów,

Którzy bez prac, cierpienia i zdrowia nakładów

Weszli w ten pałac, bo ci bez własnego trudu

Pysznymi chcą panami być wolnego ludu.

Rzekną: Iżaliż będąc tak cnego rodzaju

I bogactw cierpim w naszym przeciwnika kraju (tj. szlachtę),

Oprócz nas ma lud mu się kłaniać, a on wadzić

Ma nam? Niech się nam kłania lub go trzeba zgładzić.

Możem się z podłej wybić równości szlacheckiej,

Choćby na to pomocy zasięgnąć sąsiedzkiej;

Możem królować: trzeba zbytnią wolność skrócić,

A w dom nasz wszystką władzę na zawsze zawrócić.

Ostatni czterowiersz wypuszczono w druku, zapewne z obawy, aby nie urazić sobie oligarchów. W tę strunę »obrażonego szlachcica demokracji« uderza kilkakrotnie poeta.

Bo pyszny mniema, że to sławie jego szkodzi,
Kiedy nad każdym równym jak chce nie przewodzi.

Trzeci przydatek, złożony z przeszło stu wierszy, gromi znów »możnych panów«, za ucisk słabszych na drodze uginającego się do nich prawa. Dla nich »wszelkie środki są godziwe, skoro tylko przeciwnika mogą niemi zgnębić«. Dumni »bogactw i władzy używają do biednych gnębiaenia«.

Wyciska z dóbr ostatnich płaczące sieroty,
Nie wzruszy się modlitwą, ni litością żadną;
Nie dba, choć łyzy na niego nędznych sierot spadną,
Nie dba, choć z okrutnego niewinnych ucisku
Sam zginie i potomstwo mieć nie będzie zysku.

Nieraz przez tło satyry przebijają własne bóle i krzywdy autora. Oto panowie, ażeby zbojkotować szlachcica (tj. autora), trzęsącego województwem, oskarżają go o »chłopstwo« tj. o nieszlacheckie pochodzenie i przewlekają sprawę fortelami przez kilka trybunałów.

Dopieroż gotów będzie nieszlachectwo zadać
Lub bękarstwo, a naprzód papiery wykradać;
Dopieroż zmyśli zapis, pofalszuje księgi
I nadto do kłamliwej uda się przysięgi.

Jak widzimy, pisze Matuszewicz językiem czystym i włada wierszem — jak na czasy saskie — wcale dobrym. Lubi się nim popisywać i w swoim Pamiętniku.

Za jego czasów ustawała już ta mania rymowania, ale w 17 stuleciu panowała epidemicznie. Jakby chciał wynagrodzić brak poezji w wiekach średnich, rzucił się tłum pismaków na »skąłę pięknej Kalliopy«, przystępną w dobie Jagiellońskiej jeno wybrańcom. Ale jak »dziecię farb i pędzla dopadłszy, byle co niemi bazgrze«, tak owi wierszokleci ozdabiali rymem najróżnorodniejsze przedmioty, nieraz bez najmniejszego poczucia tego, co piękne. Nie było dziedziny nauk i umiejętności ani gałęzi życia społecznego, wolnej od owej manii wierszowania. Układano więc wierszem gramatyki, artykuły polityczne i gospodarskie, słowniki, nauki przyrodzone, przepisy lecznicze — ale najchętniej przez poetów i dyletantów uprawianą niwą była historia.

Nie naliczyłbyś najrozmaitszych pomników, kronik, dyaryuszy, wspomnień, katalogów, opisów wojen, traktatów, przygód podróży, rokoszów, wydarzeń domowych i mów sejmowych, listów, nowin — wtlaczanych gwałtem w formę wiersza. Niektóre poematy obejmowały całe stulecia, lub wyglądały na pstrą mozaikę, w rodzaju wierszowanej *Silva rerum*. Tego ostatniego typu utworem jest »Taniec Rzeczypospolitej polskiej« Gabryela Kraszińskiego, kasztelana płockiego, opisujący w formie dyalogu dzieje polskie od najazdu Szwedów 1655 aż do wyboru króla Michała. Przedstawia on niby w zwierciadle wklęsłym ów krwawy dwunastoletni taniec marsowy, goniony od Szwedów, Kozaków, Węgrów, Rosyi i Wołoszy po głowach rycerstwa polskiego, rozdartego związkami i rokoszami a fizycznie i moralnie wyczerpanego. Nieraz patrząc na ten straszny dramat, rozgrywający się przed oczyma starca, woła on w smutku:

Pan Bóg wie co też dalej z tą ojczyzną będzie.
Za ni rządem podobno wszyscy się podamy
W rapinę do postronnych...

Nasz starosta nowomiejski nie szczędzi nawet zasłużonych w Polsce ludzi. Bohaterowi, wynoszącemu się, że urósł nie z roli ani soli, ale z tego, co boli, zarzuca chciwość i łakomstwo. Czarnieckiego szarpali też inni wierszokleci. W paszkwilu »Zapłata zdrajcom« każą wojewodzie ruskiemu opalić brodę i ręce obciąć, bo »Kraków Szwedom poddał, wprzód go sam zrabowawszy«. Potwierdzają ten niesprawiedliwy sąd wiersze p. t. Powinszowanie wojska, Związek i inne. »Stronnik

fakcyi« (dworu i królowej) stracił dzielny wódz »wszelki mir« u związkowych, którzy byliby go w łyżce wody utopili. Kosztem Czarnieckiego wysuwa Krasiński swego krewniaka, rokoszaniina, Lubomirskiego jako złotej wolności obrońcę. Goriwy katolik nie tai też swej niechęci do Jezuitów. »Ignacistae — tak ich stale nazywa — w tej to koronie wykrętarszty idą, z próżnowania w publiczne sprawy się wdawają. Societas ich ciężka, a ile w sąsiedztwie każdemu i poddanym zostają w przekłętwie!« W broszurach i wierszach spółczesnych, począwszy od rokoshu Lubomirskiego, w którym czynny brali udział po stronie królewskiej, pełno inwektyw na ten zakon. Radzą ich wypędzić z Polski, jak to uczyniono w Wenecyi, albo osadzają w piekle »w szafczkach«, czyniąc ich za rząd odpowiedzialnymi, gdyż ci »wlezwowie (intruzy) — czynią co chcą u dworu, urzędy rozdają, sejmy, sejmiki wszystkie po swej woli mają«. (Związek, jeszcze ostrzej Echo, lub Rytmy na wygnanie Jezuitów i inne).

Z całego »Tańca« wieje szczerą miłość ojczyzny i duch staropolski, nie przygnieciony ozdobami erudycyi klasycznej, ani szybujący po zawrotnych krajinach Tassa i Ariosta.

Nietkniętą prawie, a niesłuchanie zasobną kopalnię wierszy historycznych omijamy, aby zatrzymać się na chwilę przy literaturze podróźniczej tego wieku.

Znana jest podróźomania Polaków, przywiązanych bardziej może od innych narodów do gleby ojczystej. Peregrynacye te w celach rozrywki i poznania świata, w sprawach publicznych, lub dla wypełnienia ślubów religijnych podjęte, mnożą się z każdym wiekiem i dochodzą w tym okresie do najwyższego rozkwitu. Niestety, jak nie przyniosły one wydatniejszego pożytku dla narodu ani nawet dla jednostek, tak też nie zostawiły trwalszego w naszym piśmiennictwie śladu. Mo-



Nr. 89. X. Witoski. — Młotek duchowny.
Gdańsk 1656.

żeby przy ściślejszych poszukiwaniach odnaleźć się dała większa ilość pomników dawniejszej literatury podróżniczej, te, które się do naszych czasów dochowały, dają plon ubogi. Z owej szczupłej literatury podróżniczej, rozpoczętej opisem Radziwiłła Sierotki podróżą do Ziemi świętej, zasługuje na wspomnienie obraz dworów europejskich na początku tego wieku, przedstawiony w Dzienniku podróży królewicza Władysława do Niemiec, Belgii, Szwajcaryi i Włoch (w r. 1624/5). Spisał go towarzysz tej podróży Stefan Pac, referendarz i podkanclerzy litewski »na podstawie notat spółczesnych« najpóźniej w kilka lat po powrocie do kraju. Ma on raczej polityczną i obyczajową niż literacko-artystyczną wartość, jak o tem przekonywają wrażenia spisane na widok wspaniałych obrazów natury w Szwajcaryi. Oto znamieny wyjątek opisu Paca: »Dnia 11 listopada... Cały dzień przez srogie, straszne góry przeprawiając się, które św. Gotarda zowią, przejechaliśmy most, który za rozkazaniem tego św., jako jest tradycya, djabeł wskutek ugody budować musiał. Cudowna rzecz jest ta droga, w wysokich i nieprzystępnych skałach uczyniona, którą jadąc, widać tak wiele spadania wód, z których potem wielkie rzeki się rodzą jako Ren, Atezis i insze«. Nie zapominajmy, że przepawali się przez góry na krzesłach, które chłopci dźwigali. — Bawiąc w pracowni Rubensa, zapisuje o nim tylko, że nad obrazy w jego »oficy nie foremniejszego w tem rzemieśle widzieć się nie mogło«. Innym razem goszczony »u sławnego malarza, Gwido Reni, nietylkośmy — powiada — siła foremnego malowania jego roboty widzieli, ale i to, co się nam bardzo podobało, gdy sam przy nas zaraz malował z wielką politesą i prędkością«.

Z ciekawej tej książki wychyla się nieznacznie postać królewicza, chciwego używania i rozrywek. Nudzą go owe długie, ceremonialne przyjęcia dworów, ale z grzeczności nie chce owych książąt krwi, burmistrzów i komendantów ograbić z »widowisk, za które zapłacili« — wypada więc czasem ze swej roli i szepnie do ucha swego towarzysza namiętne słówko, »żeby przyszedł na ratunek, bo go tam Włoch albo Niemiec na śmierć zanudza«. Czasem gdy go uraczą — »podchmielony« królewicz wyprawia takie rzeczy, »że o tem broń Boże wspomnieć nawet przed rodzonym bratem«.

Większe zajęcie budzi pamiętnik Stanisława z Kunowa Oświecima, głośnego w literaturze z podania o grzesznej ku swojej siostrze miłości. Skłonność do podróży odziedziczył on po ojcu Floryanie, słynącym również ze znawstwa »cudzych krajów i obyczajów«. Syn majątnych rodziców, posiadających dobra ziemskie w okolicy Krosna, zaciągnął się po ukończeniu nauki do wojska w czasie kampanii szwedzkiej czy moskiewskiej, chlubił się też położonemi tu zasługami. Odbywał następnie kilkakrotnie — w charakterze gubernatora czyli przewodnika młodzieńców z domu Koniecpolskich i Lubomirskich — podróże zagranicą, a za ich powrotem do kraju, piastował marszałkowstwo czyli rząd dworu senatorskiego z pieczęcią nad bawiącą tam młodzieżą szlachecką. Dostępuje potem zaszczytu towarzyszenia jako dworzanin Władysława IV, królestwu, a dzięki temu zbliżeniu się do dworu, zamianowany został wychowawcą królewicza; przedwczesny jednak zgon chłopca pozbawił go owoców karyery dworskiej. Nie znalazłszy u Jana Kazimierza promocyi, osiadł w rodzinnym zakątku, w dzisiejszym Potoku pod Krosnem, ale nawykły »do ruchu ciągłej podróży« lub do »gwaru wielkich dworów«, nie wytrzymał długo w zaciszy wiejskiej i puścił się znowu w podróż do Włoch. Po powrocie osiadł w gnieździe rodzinnem, aby pochować po bratersku kochaną siostrę Annę i sędziwego ojca, który ponosił trudy i niewczasy gospodarstwa, kiedy sy-

nalek unosił się nad romantycznymi widokami kaskad lub podziwiał obrazy pędzla klasycznych mistrzów.

Osobliwa to postać tego pana Stanisława Oświecima, odcięta od szarego tła gminu szlacheckiego; polorem i elegancją, a nawet strojem francuskim wyróżniająca się z pośród kontuszowych braci rubachów. »Wieloletnia służba wojskowa — mówiąc słowami najlepiej go znającego pisarza — nadała mu charakter doświadczonego. Długi pobyt za granicą obeznał go z najznakomitszymi osobistościami owego czasu. Otarcie się o życie i obyczaje dworskie wdrożyło go w sekreta najwykwintniejszej światowości. Łaskawa wreszcie natura obdarzyła go umysłem giętkim, pojętnym, tkliwym na subtelniejsze wrażenia«. Właściwości te odbijają się niby w zwierciadle w jego wrażeniach z podróży. Zwiedził potężny kawał świata, Multany i Wołoszczyznę, Ukrainę, Belgię, Karyntyę — a wszędzie zwracał baczną uwagę na zwyczaje i obyczaje ludzi, na przyrody i dzieła sztuki, które nie »mogą go nasycić swoim widokiem«. »Kaskada włoska w pobliżu Chinsy pobudza go do niezwykłej radości i szerokiej deskrypcji, a piękność górskich okolic Osiaku, wespół z przywiązaniem do nich podaniem o Bolesławie Śmiałym, wprawia go nawet w natchnienie wierszopisarskie«. — Z cennych pamiątek Stanisława ogłoszono cząstkę zaledwie, odnoszącą się do podróży jego po Turcyi (1636), Francyi (1645), Niemczech i Włoszech (1650). Stanisław Oświecim włożył się ciągle po kraju lub za granicą, już to jako ochmistrz młodych Koniecpolskich, to jako dworzanin Władysława IV, towarzyszył orszakowi zaślubionej małżonki królewskiej, to wreszcie przyłączył się do drużyny koniuszego koronnego Al. Lubomirskiego, a wrażenia i przygody owych podróży skrzętnie koleją lat notował. Zalegający w rękopisach bibl. Ossolińskich dyaryusz jego zawiera też sporą wiązkę wiadomości historycznych, których napróżnobyś szukał w innych źródłach; autor bowiem, bywalec, władający kilku językami obcymi, przypuszczany do misyj dyplomatycznych, w ścisłych stosunkach zostający z pierwszemi w Polsce rodzinami, dobrze był informowany o wypadkach społecznych. W dyaryuszu opowiada o najgłośniejszych zdarzeniach w kraju i zagranicą z ostatnich lat panowania Władysława IV i pierwszych jego brata Kazimierza, zaczawszy od dziennika poselstwa Jerzego Krasieńskiego, podstolego podolskiego do Porty otomańskiej z 1636 r, a skończywszy na roku 1651, na którym się rękopis urywa.

Do imienia Stanisława Oświecima przylgnęło niezwykle podanie, nie mające wprawdzie podstawy historycznej, nie mniej przeto utrzymujące się uporczywie wśród ludu, bo przywiązane do pomnika jego i siostry u fary w Krośnie (w Galicyi zachodniej). Opowiadają, że Stanisław zapłonął do siostry swej Anny miłością, której prawa, wzbraniające ślubów małżeńskich między rodzeństwem, silną stawiają zaporę. Rozpaczający kochanek miał się udać do Rzymu, gdzie u Ojca św. wyjednał zezwolenie na zawarcie ślubu. Upojony radością, przywiózł tę wesołą nowinę sęsknionej Annie, która wskutek gwałtownego wzruszenia padła ofiarą śmierci w najpiękniejszej chwili życia. Stanisław niedługo w smutku przeżył tę stratę, a śmierć połączyła go znowu z ukochaną siostrą.

Mamy kilka drobniejszych opisów podróży w obce kraje, układanych w formie dyaryuszy. Zostawili je nam studenci, wyjeżdżający w celu dalszego wykształcenia za granicę. Jeden taki pamiętnik podróży, odbytej roku 1661—3 po Austryi, Włoszech i Francyi, obejmuje spis prelekcji, słuchanych na uniwersytecie w Wiedniu, Padwie itp. Do ciekawych należą opisy Wenecyi i Rzymu, wogóle jednak są zbyt suche i sumaryczne. Drugi odnaleziono w bibliotece Ossolińskich, jako

dziennik podróży młodego Ossolińskiego do Włoch przez Pragę, obejmujący również krótki przeciąg czasu (1660—3). Rzuca on jaskrawe światło na stan ciemnoty ówczesnej młodzieży znakomitszych rodzin polskich. Znajdujemy tu między innymi brednie, jak bajeczkę o przemianie żołnierza w osła, opowiedzianą z całą naiwnością jako fakt rzeczywisty.

Z literaturą podróżniczą wiąże się równie jak ona szczupła literatura misyjna. — Misyje podejmowane w Mołdawii przez Jezuitów wydały poważną pracę ks. Jana Ręgarskiego, superiora tegoż zakonu, który podczas 12-letniej w tym kraju pracy apostołskiej, wyuczywszy się języka rumuńskiego i mając przystęp do archiwum państwowego w Jassach, napisał dziełko, zalegające w manuskrypcie p. t. *Historia missionis Moldaviae* (1744). Następca jego Franciszek Parzechowski złożył również owoce swej czteroletniej działalności misyjnej (1744—7) w kronice, zatytułowanej *Litterae ananae*. Myśl wojny krzyżowej przeciw Turkom, nie schodząca w 17 wieku z gabinetu mocarstw europejskich, odrodzona w nowożytnej postaci następnego stulecia, spowodowała misye Karmelitów i towarzyszy jezuitckich do Persyi. Dwudziesto i siedmioletni pobyt Tadeusza Krasieńskiego na Wschodzie dał mu sposobność dokładnego poznania Persyi, którą jako misjonarz wszedł i wszecz przeszedł. Wydał on relacye poselstwa Effendego z dodatkiem o legacyach polskich (Lwów 1734). Napisał dziełko o wojnie domowej Persów z Afganami i zmianach w królestwie perskiem (tamże 1740), a osiadłszy jako spowiednik domu, profesor, w mieście rodzinnem Kamieńcu, ogłosił, na rok przed zgonem *Analekta do tragicznej historyi wojny perskiej*. (Lwów 1855). Po śmierci wydano jego rozprawę p. t. *Pragmatografia*, t. j. opisanie sposobu należytego używania kawy tureckiej.

Jako jeden z pierwszych polskich misjonarzy Chin zasłynął Michał Boim, pochodzący z zamożnej rodziny mieszczańskiej we Lwowie. Urodzony 1614, przywdział suknię zakonną 1631, a po odbyciu studyów i święceń u Jezuitów, oddawał się naukom przyrodniczym i misji nawracania Chinczyków na wiarę chrześcijańską. Około r. 1650 bawił na dworze cesarskim przy boku uczonego matematyka Koffera, skąd wysłany został w charakterze posła do stolicy apostołskiej z obedyncyą od cesarzowej, neofitki chrześcijańskiej. Po drodze, w Smyrnie, miał kazanie, w którym przedstawił »wierny obraz stanu Chin, oraz prac misjonarskich, uwieńczonych nawróceniem wielu znakomitych osób«. Kazanie to, ogłoszone drukiem 1654, doczekało się rozpowszechnienia w trzech językach: polskim, łacińskim i francuskim. W dwa lata później ogłosił rozprawę o Florze chińskiej z drzeworytami. Po odbyciu poselstwa zatrzymał się w kolegium rzymskim, gdzie wykładał nauki przyrodnicze i starożytności Kircher, autor znakomitego dzieła p. t. *China illustrata*, w którym nasz Boim opisał prastary pomnik, zawierający wyznaczenie wiary chrześcijańskiej w języku chińskim. Bawiąc przez lat kilka w Europie w celach przygotowania do druku zebranych w podróży i na misyi materiałów wyjechał po raz wtóry do Chin 1656 r., przebywał na dworze pekińskim, który z wyjątkiem cesarza był już cały katolicki i tu niewczasami pracowitego żywota stargany, wyzionął ducha (1658 r.). — Prawdziwie męczeński żywot misjonarza Chin, również Jezuity, Wojciecha Męcińskiego, opisał ks. Jan Biechanowski S. J. po łacinie (1661), a bezimienny w dziełku polskiem zatytułowanem »Szkarałatna róża« (1672). Potomek senatorskiego rodu i dziedzic ogromnej fortuny składa zaszczyty i majątek na ołtarzu św. Piotra, patrona Jezuitów. Odbywszy studia teologiczne w Rzymie, a święcenie kapłańskie w Luzytanii, zaciągnął się w szeregi misyo-

narzy i odpłynął 1630 r. z Lizbony do Indyi, ale burza morska zapędziła okręt do Brazylii. Podczas dwuletniej żeglugi O. Męciński, sam wijący się w bólach reumatyzmu stawów, podtrzymywał na duchu zdrowych, pokrzepiał chorych i tym sposobem ocalił garstkę podróżnych od niechybnej śmierci. Dotarł wreszcie do indyjskiej Goi, a stamtąd omyliwszy czujnych szpiegów, odpłynął do Makao. W drodze napadli okręt Holendrzy i wzięli do niewoli naszego misjonarza, wyznaczając mu na mieszkanie wyspę Formozę, gdzie w zagnojonej oborze mieszkając żywił się zgniłym mięsem i ryżem. Uniknąwszy szczęśliwie tej niewoli, dostał się do miasta Makao, skąd udał się na zbożną pracę misyjną do Kochinchiny i Kambodzy. Spędziwszy tu cztery lata (1638—42) wyruszył do Japonii, ale za ledwie wylądował z towarzyszami na ziemi japońskiej, został pojmany i skuty w kajdany, poczem po kilkumiesięcznych strasznych męczarniach (pojonego wodą, ile wnętrzości mogły objąć, wkładano w prasę między deski i tak duszono) przez zawieszenie głową na dół stracony. (1645).

Z literatury ukrywającej się przeważnie w archiwach katedralnych wymieniam prace ks. Pirawskiego. Kto chce poznać nietylko stosunki kościelne archidiecezyi lwowskiej, ale także ludną i potężną jej stolicę, niemniej i grody Czerwonej Rusi, jako ostatnie na wschód posunięte ogniska cywilizacji polskiej, kto śledzić zechce »posuwanie się żywiołu polskiego na wschód« i zdobycze tej kolonizacji, nierozzerwalnie pod owe czasy związanej z postępem kościoła rzymskokatolickiego, ten znajdzie w dziele Tomasza Pirawskiego niewyczerpaną kopalnię. Relacja jego o stanie dyecezyi, w której najgłębsze stosunkowo zapuściła korzenie kolonizacja polska, przedstawia całą pracę rządu w tym kierunku, jako dorywczą i wyłącznie prawie zależną od osobistych korzyści przemożnych panów. Wojny kozackie i napady tatarskie tamują ruch kolonizacyjny, dopiero w 18 stuleciu na nowo rozpoczęty. Lubo kanonik, nie szczędzi nasz autor swoim przełożonym gorzkich słów prawdy, wyrzuca »zakonnikom i wałęsającym się księżom, że dogadzając życzeniu szlachty, rywalizują z proboszczami z ujmą i szkodą dla sprawy kościoła«. O arcybiskupie Ligęzie powiada, że »był człowiekiem rozwiniętym, namiętnościom swoim zbyt pobłażającym, a w pełnieniu obowiązków nie dbałym«. Z życia arcybiskupa Siemińskiego podaje, że »oddawał się żołnierce i miał żonę z rodu Tenczyńskich, z którą miał kilka córek i synów«.

Jak potężną jednak była siła i rozpieranie się żywiołu katolickiego, świadczy ilość kościołów w granicach archidiecezyi lwowskiej. Liczy ona w roku 1615 t. j. w czasie, kiedy Pirawski swoją księgę beneficjów układał, 110, kiedy po trzech wiekach przybywa tylko około 50. Z ilością i rozmieszczeniem geograficznym kościołów postępuje równoległe rozrost żywiołu polskiego.

Bogaty, ale nie ogłoszony materyał historyczny leży zagrzebany w archiwach klasztornych.

Jako przykład, posłużyć może księga kapituł Franciszkanów z pierwszej połowy 17 wieku, rzucająca ciekawe światło na rozdzielenie tej prowincyi z powodu rozluźnionej karności zakonników i różnic narodowościowych — na polską i ruską, co wywołało formalną wojnę domową. Jakich nadużyć przytem dopuszczali się bracia polscy zakonu św. Franciszka na Litwie, tego dowodzą następujące »damna et scandala«, przesłane 1629 r. przez jenerała prowincyałowi: »Ojciec Kamil z Krakowa, będąc gwardyanem na Litwie, jakiejś wielkiej ceny klejnoty, między któremi dyament wartości 60.000 złr., gdzieś skręcił, a fałszywy za to podstawił. Adam Górski, exprowincyał, uwiózł do Lwowa drogą suknię z jedwa-

biu, złotem przetykaną, perłami nasadzaną, a jeszcze upominających się o ten gwałt, obit rózgami; kamienicę podarowaną na klasztor, sobie przywłaszczył i sprzedał, a gdy się zaś o to upominał ojciec Burko, mąż ze wszech miar zacny, trzymał go ów Górski dwa lata pod kluczem. Tych krzywd doznawała prowincya litewska od przełożonych polskich, zwłaszcza od niejakiego brata Hipolita Lwowczyka, który, obdarzony zaufaniem prowincyała, jako człowiek ograniczony, grubijan i rozpasany, braci ojców za łada co gromił, znieważał, bił i jak z niewolnikami się obchodził. Przybył do Wilna nędzny i pokorny, a dziś paraduje po mieście najpiękniejszymi końmi, zbytkiem oczy drażniąc tak dalece, że nie ustępuje szlachcie koronnej. Wszystko to wziął z klasztoru. Ojciec Kazanowski był zabity w Wilnie przez złość ojca Augustyna Kochańskiego, który więcej o łaskomstwo stoi, niż o rząd dobry. Inny mnich Konstanty Sarkowski, Polak, z innymi ojcami ledwie nie zabili pana Karcza, fundatora klasztoru w Siecinie. Mimo wielu swoich nikczemności dostał się potem na gwardyana, wreszcie znudzivszy sobie w klasztorze, porzucił suknię i zakon, ożenił się i uciekł do Moskwy. U onego Karcza popełnił braciszek Ludwik Bulga, Polak, haniebny występki i zarażony chorobą francuską (syfilis), uszedł na Śląsk. Wreszcie ojciec Kamil, gwardyan i wikary wileński, cały czas swego urzędowania jak najswawolniejsze prowadził życie z kobietami, obwoząc publicznie swoje kochanki».

Z opisu ludzi i ziem obcych zasługuje na podniesienie książka Pawła Potockiego p. t. Moskowia. Za młodu bawił się nasz wojewodziec w literata i mowcę, dostawszy się jednak podczas powstania Chmielnickiego do niewoli, zarzucił te popisy, zbliżył się do dumy, tj. rady carskiej w Moskwie, zjednał sobie względy samego cara Aleksego Michajłowicza i ożeniwszy się z blizką jego krewną Sołtykówną, osiadł stale w Moskwie. Z dzieci jego, ochrzczonych na prawosławne, zasłynął prymas Teodor Potocki, chytry polityk, pierwsze grający skrzypce za Sasów. Mając sposobność bliższego poznania Rosyan, ich obyczajów i zwyczaj, napisał o nich Paweł Potocki ciekawą książkę. Z pism zmarłego 1674 r., ogłoszonych przez Załuskiego w Warszawie 1747, wyróżnia się »Centuria« czyli Setnica biografii znakomitych ludzi, wzorowana na podobnem dziełku Starowolskiego.

Jako przedstawiciel ówczesnego stanu geografii posłużyć może Władysław Łubieński, pochodzący z prostej linii od historyków: Macieja i Stanisława Łubieńskich, również prymas i arcybiskup gnieźnieński. Odbył on dłuższą po najoświęceńszych krajach Europy podróż, oglądając zabytki sztuki i kultury, obserwował rozmaite formy rządu, a spostrzeżenia te zapisywane skrzętnie, pomnażane zbiorem wiadomości, z ksiąg zaczerpniętych, dały pierwszy impuls do wielkiego dzieła geograficzno-historycznego, którem zjednał sobie niebawem imię w świecie uczonych. »Świat we wszystkich swoich częściach, z opisaniem religii, rządów itd. Wrocław 1740« (tytuł skrócony), to pierwsza w języku ojczystym geografia, obfitująca w encyklopedyczne wiadomości z dziedziny sztuki, prawa, ekonomii, dziejów, nauk przyrodniczych, zaopatrzona w ryciny i pięknie ryte mapy różnych prowincyj i wydana ozdobnie. W porównaniu z podręcznikami dla uczącej się młodzieży Formankowicza i Naumańskiego (1672 i 1729), oznacza książka Łubieńskiego znaczny postęp i świadczy o niemałej erudycyi autora (korzystał z 66 ksiąg różnych pisarzy!). Rzecz o Polsce, wcale pouczająca, służyła za podręcznik do nauki młodzieży polskiej w Lunewilu, zakładzie naukowym, założonym przez Leszczyńskiego. Jako książkę kościoła, odznaczał się tolerancją. W liście pasterskim gromił »pławienie czarownic i tortury«, nauczając, że »czarów niema na świecie, a męczarnie win-

nego nie odkryją«, groził klątwą tym, »którzy sejmy zrywając, nie pozwalają Rzeczypospolitej urządzić się na nowo, aby powstać z barłogu dawnych politycznych nieprawości«. Założył w swej rezydencji, w Łowiczu, drukarnię, z której wychodziło wiele książek duchownej i świeckiej treści. Dla swoich poddanych włóścian był opiekunem, chodził między nich, »żeby odbierać zażalenia od ubóstwa, bo ich podobno nie dopuszczają do mnie«. Jako polityk, należał do szkodników społecznych, krzyżował plany reformy rządu, jako człowiek, był słabego charakteru i jeszcze słabszej inteligencji. Powiadano o nim, »że miał głowę tylko peruką pokrytą, a w niej same pustki«. Jego złym duchem był kanclerz ks. Młodziejowski, Machiawel w sutannie, który kierował, jak chciał malowanym międzykrólem.



Nr. 90. Wład. Łubieński, portret z dzieła: Świat we wszystkich częściach (Wrocław 1740).

Literatura sztuki wojennej, tak zasobna w XVI wieku w dzieła europejskiego znaczenia jak np. Jana Tarnowskiego, hetmana koronnego, dzieło p. t. »Consilium«, ubożeje w następnych wiekach i zdobywa się tylko na książki z dziedziny artylerji. O poziomie ówczesnej sztuki artyleryjskiej świadczy »Książka puszkarzom wszelkim bardzo potrzebna«, z roku 1624, zalegająca półki rękopisów biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie. Jest to podręcznik z różnych autorów zebrany, głównie jednak z dzieła Preussa, wydanego przed stu laty, kiedy sztuka artylerji leżała w kolebce. Nic o wiele wyżej stoją dziełka Andrzeja della Aqua O zgromadzeniu i szkole puszkarzy króla Zygmunta III (Warszawa 1623) i »Praxis ręczna dział« (1637 w rękopisie). Autor ich, z Wenecji rodem, bawił w Polsce i był po-

dobno mistrzem szkoły puszkarskiej. — Jako znakomity artylerzysta, zasłynął Krzysztof Arciszewski z łańcucha romantycznych przygód. Nieustraszony wódz kolonii holenderskich na wybrzeżach Brazylii, jest on godnym przedstawicielem wojennego ducha narodu za panowania Wazów. Urodzony 1592 r. z ojca, krzewiciela nauki aryańskiej, wychowywał się w głównych jej ogniskach wielkopolskim Śmiglu, i małopolskim Rakowie. Przysposabiał się do życia i polityki na dworze birańskim księcia Radziwiłła, zwanego Piorunem, opiekuna innowierców na Litwie. Na widowni występuje jako mściciel rodziców, właścicieli mocno obdłużonych dóbr ziemskich, które na legalnej drodze zagrabił słynny palestrant Brzeźnicki. Zatarg z nim rozpoczął się od zarzutów »chłoptwa«, które miotał syn szlachecki »rzeźnikiem«, a skończył się zabójstwem zniechęconego sprawcy ruiny majątkowej Arciszewskich. Rycerską dłoń Krzysztofa, zgarniającą wawrzyny w długoletniej wojnie ze Szwedami — zbroczyła krew pospolitej zbrodni, dokonanej z prawdziwie barbarzyńskim okrucieństwem. W skrusze po spełnionej winie układał potem w wirydarzu poetyckim wiersze na temat »trwogi duszy, przed którą serce taje«.

Skazany na »wieczystą z granic Rzeczypospolitej bannicę«, wyruszył 1624 r. po czasowym na dworze ks. Radziwiłła schronieniu, do Holandyi, gdzie informując swego dobrodzieja w sprawach wojennych i politycznych, kształcił się w zawodzie rycerskim. Uczucia wygnania maluje Waleta czyli wiersz pożegnalny Krzysztofa do rodziców, niechętnie widzących, jak syn ich wbrew zasadom aryanizmu oddawał się naukom »żołnierskim«. Odbywszy kurs fortyfikacji w słynnym uniwersytecie lejdejskim, zaciągnął się jako ochotnik do obozu Maurycego, księcia Oranii, biorąc udział przy odsieczy twierdzy Bredy, oblężonej przez Hiszpanów. Bohaterską obronę fortecy kapitulującej opisał Arciszewski w malowniczych listach do swego opiekuna.

Po załatwieniu nieszczęsnej sprawy Brzeźnickiego, głównie dzięki ofiarowanej przez Radziwiłła sumie dla żony zabitego, wrócił Krzysztof do ojczyzny, na schyłku 1625 r., ale zaledwie kilka miesięcy zabawiwszy na Litwie, wyjechał do Sedanu, gdzie objął dozór nad kształcącymi się tu w słynnej szkole kalwińskiej wychowankami ks. Radziwiłła. Prowadził też jako pełnomocnik pana na Birzach karygodne rokowania z ks. Orleańskim w sprawie dziedzictwa korony polskiej. A kiedy z powodu tej zdrady przeciw Zygmuntovi III, odkrytej z przejętych listów Krzysztofa, podniosły się nań »huki« w kraju, on wybierał się już na drugą półkulę. Po szczęśliwym oblężeniu twierdzy Hugonotów, opisanem w elegii wierszowanej, a następnie po zdobyciu Hercogenbuszu z rąk katolików — udział w obu tych sprzeciwiających się sobie akcyach wojennych dowodzi obojętności kondotyera, w jakiej sprawie walczył — przyjął Arciszewski dowództwo w wyprawie zamorskiej Holendrów do Indyi zachodnich. Wśród zaciętych walk z flotą hiszpańską i z barbarzyńskimi plemionami Indyan, obudziła się w nim tęsknota za ojczyzną i w tym elegijnym nastroju układał swój »Lament«, odzwierciedlający zboląły stan duszy winowajcy.

Uleciałeś mi gruncie wesela prawego,
Uciekłaś mi osłodo sumienia wolnego —
Choć na okręt budowny, choć na konia wsiędę,
Troski z okrętu, troski z siodła nie pozbędę.

Ale walne zwycięstwa oręża holenderskiego, których lwia część należy się Arciszewskiemu, zwróciły go znów na pole chwały wojennej. Dzięki osobistemu mę-

stwu naczelnika polskiego, wydarli Holendrzy Portugalczykom ostatnie pozycje w Brazylii, za co mu tam wystawili wspaniały pomnik, w rodzaju obeliska. Zdobyte przez Arciszewskiego prowincje w Brazylii należały do najpłodniejszych — dość powiedzieć, że liczyły przeszło dwieście plantacji cukrowych. Owoce zaś jego kilkusetletniej służby wojskowej złożone są w memoryale przesłanym 1637 r. Kompanii zachodnio-indyjskiej w Holandyi. Dowiadujemy się stąd o zatargach naszego admirała z wielkorządcą holenderskim w Brazylii, hrabią de Nassau Sieben, o kompetencję władzy, ześrodkowanej w ręku absolutnego namiestnika. Spowodowało to usunięcie się Arciszewskiego ze służby holenderskiej i powrót do Europy. Król Władysław IV. dowiedziawszy się o Arciszewskim od księcia Krzysztofa Radziwiłła, powołanego obecnie na pierwsze w senacie krzesło, postanowił wezwać go do poświęcenia usług ojczyźnie. W podróży morskiej nasuwały się na pamięć naszemu dowódcy »smutne okoliczności, wśród których kilkanaście lat temu, jako młodzieniec, opuszczał pod brzemieniem zbrodni Polskę«. Dziś promienny sławą, wracał do kraju powołany na kierownika zbrojnej siły Rzeczypospolitej. A myśli te i uczucia natchnęły mu pieśń dziękczynną w tych oto słowach:

Chwała bądź Bogu!
Z ostrego głogu
Szpad, pik tyrańskich,
Gdzie mnogi zcierał,
Jam korzyść zbierał
Mocą rąk Pańskich
I dumę hardych
Tłoczyłem twardych
Furyj hiszpańskich...

Chwała bądź Bogu!
Już znowu w progu
Ojczyzny mojej.
Czuję jej dymy,
Widzę kominy
Rodziny mojej.
A ci co pomarli,
Co oczy darli,
Nic im po zbroi!

Nie wrócił jednak Arciszewski w progi ojczyste — układy z królem Władysławem rozbiły się. Przybywającego zaś w Amsterdamie czekały owacyjne przyjęcia. Kompania amerykańska wybiła na cześć jego medal pamiątkowy z napisem: Rycerzowi, wielce znakomitemu szlachetnością rodu, znajomości sztuki wojennej i innych nauk: Krzysztofowi z Arciszewa Arciszewskiemu, na pamiątkę dzieł w Brazylii z osobliwą roztropnością, męstwem i szczęściem dokonanych — w dowód swej wdzięczności 1637. Rozgłośnie wydawnictwo Theatrum Europeum podało w tym samym roku wizerunek bohatera, inne pisma rozpowszechniały przygody jego burzliwego życia; najdokładniejsze jednak wiadomości o czynach i poglądach Arciszewskiego zawierały własne jego sprawozdania, memoryały i missywa, wysyłane do zarządu kolonii brazylijskich, do stanów generalnych Holandyi, do króla Władysława itp. Występuje w nich jako umiarkowany deista, a wróg fanatyzmu, gubiącego w 17 wieku — na równi z kilkadziesiątletnimi wojnami — państwa europejskie. Niepowodzenia skłoniły Holendrów do powołania Arciszewskiego napowrót do Brazylii. Zamianowany admirałem sił morskich i generałem artylerji (1639), nie umiał nasz rycerz-poeta zjednać sobie zaufania rządu kolonialnego, został też niebawem wskutek intryg gubernatora odprawiony. Wróciwszy do Amsterdamu, napisał swoją Apologię, czyli obronę przeciw zarzutom podniesionym przez naczelnika hrabię de Nassau, celem wykazania pogwałconych na nim praw ludzkości. Chory na podagrę admirał pisał tu broszurę p. t. Epistola de podagra curata, w której przytacza wspomnienia z własnego życia.

Tymczasem noszący się z planami wojny tureckiej król Władysław, wezwał

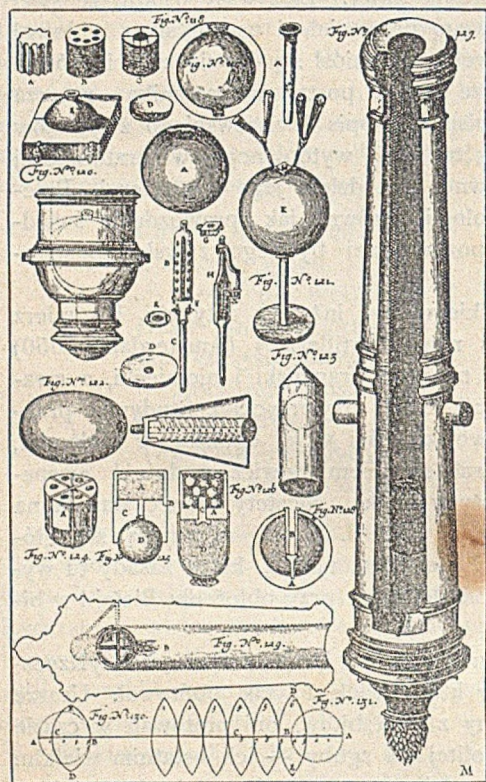
bezczyнного dowódcę do Polski i powierzył mu urząd starszego nad armatą koronną. Trzyletnia (1646—9) działalność na tem polu naszego artylerzysty, w przededniu wojny kozackiej, opisana została przezeń prostym, żołnierskim stylem. Mianowany w czasie zawieruchy kozackiej komisarzem przy regimentarzach Rzeczypospolitej, brał udział w bitwie, a raczej w sromotnej ucieczce wojska polskiego pod Pilawcami, a gdy rozzuchwalona niezwykle powodziem czerni kozacka oblęła Lwów (1648 r.), pięćdziesięcio i sześćioletni generał kierował dzielnie obroną stolicy Rusi aż do kapitulacyi. Czyny wojenne od oblężenia Zbaraża przez Chmielnickiego i potrzeby Zborowskiej aż do upokarzającego z Kozakami układu, uwieńczyły skronie schodzącego z pola dowódcy aureolą sławy. Złożywszy ostatni ze swej czynności rachunek, zdał urząd w ręce swego przyjaciela i usunął się z widowni publicznej. Znękany przeciwnościami i chorobą, przeniósł się do wieczności 1656 r. Ciekawa, i dzięki najnowszej pracy dobrze znana postać awanturnika, rycerza i poety, zarysowuje się wypukle w jego pismach. Opis Arciszewskiego zwyczajów szczepu indyjskiego Tapujów — do szczętu dziś wytępionego w bratobójczej walce z plemieniem Tupi — zaginął zarówno, jak dzieło jego o artylerji. Przechowane urywki w księdze G. Vossa o teologii, zarówno jak sprawozdania świadczą o wielkiej erudycyi artylerzysty, nie pozbawionej bystrego zmysłu spostrzegawczego.

Podwładnym urzędnikiem Arciszewskiego był inżynier artylerji Kazimierz Siemionowicz, który dziełem swem »Ars magna artilleriae« (Amsterdam 1650) zrobił wrażenie w Europie. Tłómaczono je na język francuski i niemiecki, a uważano aż do 18 wieku za najlepszy podręcznik sztuki artylerzyckiej. Studyjąc praktycznie i teoretycznie tę ulubioną gałąź wojskowości w jej ognisku, w Holandji, dokąd go wysłał król Władysław IV, starał się Siemionowicz podnieść »wspaniałą sztukę« z poziomu rzemiosła na wyżyny nauki. Niestety śmierć stanęła na przeszkodzie jego zamiarom. Zostawił tylko część I. dzieła, zajmującą się głównie pirotechniką, ale na każdej karcie czujesz rękę mistrza, który zasady tu wypowiedziane stosował w słynnej odsieczy Smoleńskiej, przy oblężeniu Białej i w bitwie pod Chwatowem.

Rdzeniem wojska polskiego nie była artylerja lecz jazda. Zawdzięcza jej Rzeczpospolita najslawniejsze tryumfy oręcza, w które wiek 17 tak obfitował. Uszarze polscy zbierali wszystkie niemal wawrzyny z pola bitew, oni uratowali w czasie potopu Szwedów tonącą łódź Rzeczypospolitej od zguby — ich ostatnim wielkim czynem było oswobodzenie Wiednia i chrześcijaństwa od niewoli barbarzyńskiej. Od tego zwycięstwa jednak stacza się jazda szybko do rozprzężenia i upadku. Uchwała sejmu 1717, aby »żołnierz zachował się spokojnie«, zadała jej cios śmiertelny. Nie dotrzymała jej kroku piechota polska, lubo i ona dorzuciła do bohaterkich czynów pod Chocimem i Smoleńskiem listek wawrzynu. A przyczyną tego było uposzczenie jej a nawet pogarda przez szlachtę jako wojska złożonego przeważnie z plebejów, t. j. kmieci i mieszczan, albo z ludzi obcego pochodzenia. Do 1632 r. bowiem mieliśmy piechotę węgierską, a od tego roku niemiecką, składającą się wprawdzie z żołnierzy polskich, ale mającą rząd, organizację, ćwiczenia, komendę i taktykę niemiecką. Dwie te kategorie grzechów wojskowości polskiej wytyka pierwszy regulamin musztry w polskim języku, napisany przez Błażeja Lipowskiego p. t. Piechotne ćwiczenia (Kraków 1660). »Żałośno patrzeć — powiada on — kiedy po dziś dzień wielkim kosztem i z ohydą narodu naszego, jakby u nas znajdować się tacy nie mogli cudzoziemskiego narodu, musieliśmy

zaciągnąć ludzi do pieszego starszeństwa i ponosić ich ciężką w oczach naszych pychę. Skąd nad wielkie Rzeczypospolitej koszta bywa w tem szkoda, kiedy cudzoziemcy nie tak się wiernie zachowując albo na stronę podobnego sobie w wierze i w stroju nieprzyjaciela — jakto podczas terażniejszej wojny szwedzkiej było — jawnie przechodzili, albo tajemne rady nasze wydawali, lub służąc Polsce ciężej nam samym — za nasze pieniądze — byli Polakom«. Przez cały wiek swego istnienia była ta piechota cudzoziemskiego autoramentu zupełnie obcą narodowi, kiedy Niemiec czuł się w niej, jak we własnym domu. Spolszczenia piechoty domagał się też A. M. Fredro w pismach *Scriptorum fragmenta* (1660) i *Militaria* (1668). Żywy ten i hańbiący anachronizm miał jednak i dodatnią stronę. W czasie sennej, apatycznej doby saskiej posłużyła komenda i starszyzna niemiecka za pomost do reformy piechoty, której się rdzennie polska jazda doczekać nie mogła.

I drugą wadliwość naszej organizacji wojskowej odstąpił już w 17 wieku wspomniany Lipowski. Nalegając na umundurowanie piechoty, i usunięcie ubioru chłopskiego, tak się wyraża: »Do wprowadzenia pieszej wojny do Polski i to należeć musi, aby ubiór hajducki między piechotą był wykorzeniony w obozach naszych, potoczny krój żołnierza służącego przedsięwziawszy, ponieważ hajducki strój, jawnie statum plebeicum dystyngwując, chłopą prostego albo wieśniaka znaczy. Przetoż każdy, jako szlachcic, tak też miejskiego rodu przystojny człowiek, za ohydę sobie w pieszej wojnie bierzcie hajduckiego kroju pogardę i stąd w szeregu tak nieszlachetna społeczność, skąd oraz grzecznemu humorowi od pierwszej wojny wstręt niemały bywa«. Ćwiczenie piechotne



Nr. 91. Kazim. Siemienowicz — Artis magnae artilleriae T. I.

lipowskiego zaznajamia nas z komendą ojczyzną, nieco przydługą i do rozmowy aniżeli do rozkazu podobną. Oto np. dany rozkaz strzelania: »Połóżcie muszkiety na ziemi; macie dosyć prochu w pulwersakach? Kul sześć w gębę włóżcie. Zapalaj lonty. Weźcie muskiety« itd. aż do sakramentalnego: Pa! trzydzieście i kilka odmian komendy wystrzału! — Przechowane w rękopisie Ossolińskich nieznanego autora dziełko p. t. »Pułku pieszego albo regimentu zatrzymanie i porządek« uzupełnia pracę Lipowskiego i pogląd nasz na oplakany stan piechoty polskiej. Biedny »gemein« był zawsze głodny i odarty, a wszystkie »porcye« zabierała starszyzna. Od czasu zaś kiedy szefami pułków pieszych zostali panowie polscy — zastępowani naturalnie przez swych namiestników — nie dali sobie wydrzeć dochodów z tego ty-



Abr. Bzowskiego Romanus pontifex (Coloniae 1619).

tułu płynących, a to utrudniało wszelkie zmiany na lepsze. To też autor »Pułku pieszego« powiada, że »żadna reforma w gospodarstwie regimentowem, wobec ludzi, którzy zajmowali niekiedy wyższe krzesła senatorskie, aniżeli hetmani, przeprowadzićby się nie dała«. Dopiero na początku 18 wieku nastąpiły w piechocie cudzoziemskiego zaciągu niektóre zmiany, ale odnosiły się one jedynie do uzbrojenia, organizacyi i szyku. Omawia je szczegółowo znakomite dzieło bezimiennego pisarza z początku 18 w. zalegające dotychczas w rękopisie biblioteki ks. Czartoryskich. O autorze wiadomo tylko, że »brał czynny udział w wojnie Karola XII w Polsce, jako partyzant szwedzki« i był odczytany w literaturze zagranicznej, odnoszącej się do sztuki wojennej. Dzieło jego obejmuje całą dziedzinę taktyki i stanąć może godnie obok lepszych w literaturze polskiej pism wojskowych. — Na schyłku panowania Augusta III ułożony w języku polskim regulamin wojskowy uderza ostro na zajmowanie wyższych stopni oficerskich jedynie z tytułu wysokiego urodzenia i godności przodków, na zagradzanie przez to zasłużonym i dzielnym żołnierzom pola do sławy, nastaje też na szpetny zwyczaj używania języka niemieckiego w komendach. — Jutrzenka reform świtać zaczyna dopiero w epoce sejmku czteroletniego. Przez cały jednak czas istnienia wojska polskiego nie docenialiśmy znaczenia piechoty, a przeceniali jazdę.





ROZDZIAŁ SZÓSTY.

LITERATURA POLITYCZNA.



ak dziejopisarstwo tak i literatura polityczna tego wieku, odzwierciedlająca charakter i dążenia narodu, rozwijała się raczej wszerz niż w głąb, imponując ilością raczej niż jakością.

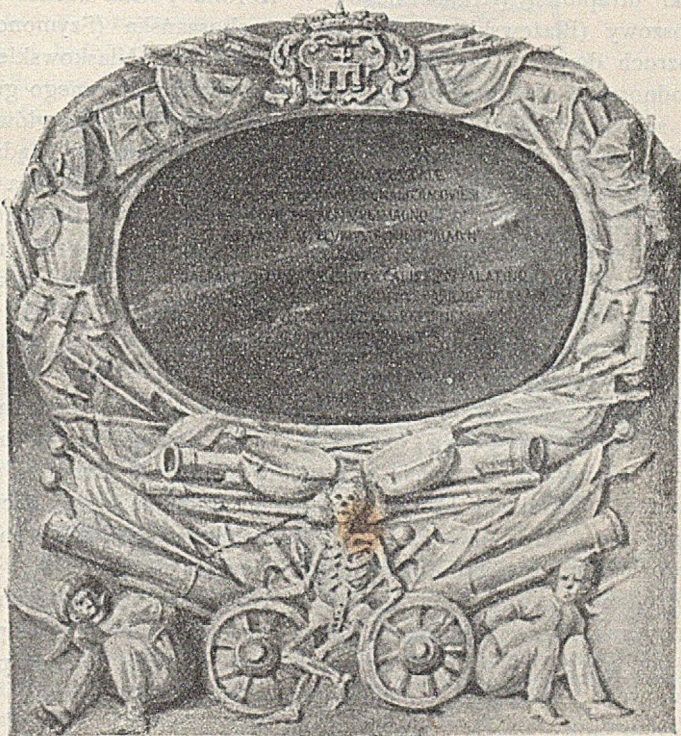
W porównaniu z literaturą polityczną złotego wieku, szczytującego się dziełami takiego Modrzewskiego, nie może ta gałąź piśmiennictwa wykazać wybitniejszych pisarzy. Tak pod względem przewodnich idei politycznych, jakoteż dążeń ekonomicznych jest ta epoka dalszym ciągiem poprzedniej: przeważa w niej myśl zachowania i pomnożenia zdobyczy minionego wieku. Rozwija się ta literatura »na tle bieżących wypadków politycznych i praktycznych interesów«, a biorą w niej udział osoby publiczne zajmujące stanowiska. Zrodzona w ogniu chwilowej potrzeby, trzyma ona dłoń na pulsie życia społecznego, nie ma jednak trwalszego wpływu, bo nosi na sobie charakter chwili. Sprawy, które najwięcej tych broszur wywołały, były: »poprawa Rzeczypospolitej, elekcye, zatarg między stanem duchownym a świeckim, i zatargi katolików z innowiercami«. Widzimy w tych ulotnych pismach całą skalę najróżnorodniejszych zasad politycznych od apoteozy nierządu Rzeczypospolitej u Andrzeja Maksymiliana Fredry aż do zupełnego zwątpienia o wszelkiej reformie, którego wyrazem są pisma Stanisława Herakliusza Lubomirskiego.

W chwili najgłębszego myśli politycznej zwyrodnienia budzi się świadomość upadku, a z nią pragnienie naprawy zła, powstaje grupa reformatorów z Stanisławem Konarskim, pogromcą *liberi veto* na czele, przeprowadzającym już literaturę na próg następnego okresu.

Rozpoczynamy nasz przegląd rokoshem Zebrzydowskiego.

W broszurach, tej sprawie poświęconych, rozróżnić można dwa kierunki:

jeden dążący do wzmocnienia władzy królewskiej, do reformy staropolskich instytucyj, do »przekształcenia przestarzałych stosunków stanowych«, drugi płynący z prądem wolności szlacheckich, z duchem republiki średniowiecznej, ograniczający przywileje monarsze do praw pierwszego urzędnika w państwie. Ten ostatni podkreślał mocno niechęć swą do duchowieństwa. W broszurze rzekomo pióra kanclerza Zamojskiego, zatytułowanej »Przestrogi Rzeczypospolitej« wyrzucano księżom, że »objadłszy się jako wilcy, próżnując leżą«, że »częściej politykę niż ewangelię traktują«, że dążą do absolutum dominium. Rokoszanie nie ograniczając się temi i tym podobnemi skargami na zepsucie i niemoralność duchownych w Polsce, żądali ograniczenia ich praw i przywilejów »co do kupowa-



Nr. 94. Nagrobek Mikołaja Zebrzydowskiego, rokoszanina w katedrze na Wawelu.

nia dóbr szlacheckich, wywożenia annat do Rzymu« itp. Szczególniej atakowano Jezuitów jako popleczników znieawidzonego dworu rakuskiego i krzewicieli zasad absolutyzmu. »Oni — skarży się bezimienny autor w broszurze rokoszowej — w sprawy świeckie się wdają i na kazaniach swoich absolutum dominium przysładzają, prawa, wolności nasze i porządki w Rzeczypospolitej naganiają i wzruszają, do tumultów i do sydycyi ludzi przybudzają«. Dlatego domagano się usunięcia z dworu najwplywowszych Jezuitów, Piotra Skargę i spowiednika królewskiego Bembusa, żądano wypędzenia z kraju cudzoziemców, a krajowcom ograniczenia miejsca ich pobytu. W jednym z wierszy rokoszowych czytamy o Jezuitach:

Poradźć jedno, nie wydaj nikomu:
Wypędź do djabła albo zamknij w domu.

Wogóle w rzeczach religii szerzyli rokoszanie radykalne pojęcia. Wobec coraz mocniej zacieśnionych u dworu więzów prawowierności katolickiej i gwałcenia praw różnowierców, domagali się słusznie, »aby król nikogo względem religii nie dopuszczał uciskać, aby różnica wyznania religijnego nie stanowiła przeszkody w osiągnięciu dygnitarstw i urzędów«.

Pisma podejmujące sprawę Zebrzydowskiego, odsłaniają główne grzechy Rzeczypospolitej: słabość władzy królewskiej z jednej, a samowolę i dumę magnatów z drugiej strony. W pamiętnym roku 1607, kończącym ten smutny epizod dziejowy, wychodzą jak grzyby po deszczu broszury tej sprawie poświęcone, które tu z tytułu jeno wymieniam: Zgoda i żałosna przestroga. — Naenia na zbiegłą zgodę z Polski utrapionej (Krajewskiego). — Korona polska bardzo smutna. — Tłumacz rokoszowy (Błażewskiego). — Lutnia rokoszańska (Szymonowicza). — Naenia na rozruch domowy. — Tren na wojnę domową (Miaskowskiego) itp.

Pisma odnoszące się do przebudowy mocno już zarysowanego gmachu Rzeczypospolitej, są dalszym ciągiem reform minionej doby i sięgają głównie połowy 17 stulecia. Nawiązując do przewodnich myśli Wereszczyńskiego, żąda Wotum szlachcica polskiego na sejm 1606 r., stałego wojska i podatku, Złota wolność Stanisława Witkowskiego (poemat z 1609), doradza zniesienia bezkarności zawartej w prawie, tak zgubne skutki powodującym, *neminem captivabimus*. Nawiązując do myśli Frycza Modrzewskiego, wykazuje Januszowski w dziełku »Wzór Rzeczypospolitej rządnej« (Kraków 1613), że państwo polskie jest organizmem zupełnie do ludzkiego podobnym i w tej teorii wyprzedza o trzy wieki naszych organiczników.

Nieznany bliżej autor broszury p. t. Warunki zatrzymania Rzeczypospolitej w rządzie gruntownym (1618) domaga się — o ironio! — swobody obrad sejmowych, których nie wolno tamować. Krzysztof Palczowski żąda w broszurze o Kozakach, których zniesienia pragnęła porta, raczej regularnego wypłacania im żołtku, Mikołaja Chabielskiego Sposób rządu koronnego wraca znów do zaprowadzenia stałego wojska i nowej artylerji.

W Eksorbitancyi powszechnej, ogłoszonej 1628 r. wykazuje bezimienny autor główne grzechy szlachty: »pogwałcenie praw, niesprawiedliwości względem słabszych, ucisk poddanych (głównie w marszach i na stacyach tudzież przez konfederacye wojskowe), nieporządek i niedostatek w skarbie« itp. braki, ale nie podaje na nie lekarstwa.

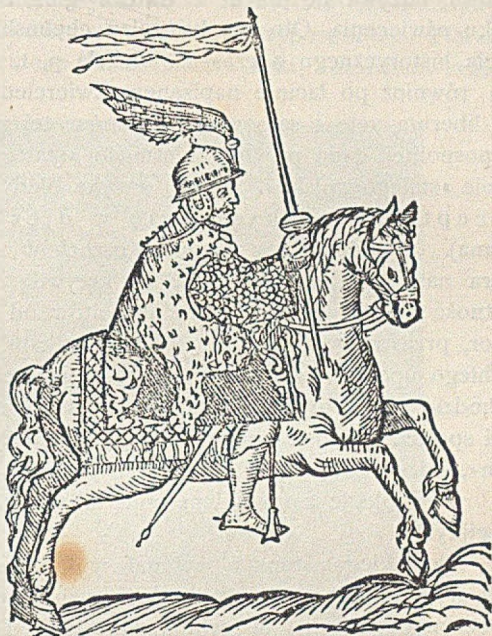
Traktacik i dyskurs krótki Jerzego Lemki o Rzeczypospolitej i jej różnych kształciech (1632), kopiujący mechanicznie pojęcia Arystotelesa i naszych statystów złotego wieku ledwie wart wspomnienia obok cennych i śmiałych poglądów Kaspra Siemka. W Dobrym obywatelu (Bonus civis 1632), pisanym na wzór owych przykładów dobrego kanclerza, hetmana, senatora itp. nastaje nasz protonotaryusz apostolski, którego chyba trudno będzie o stronniczość posądzić, na zepsucie duchowieństwa, zarzuca panom karygodną dumę i przedajność, domaga się od państwa zakładania i utrzymywania szkół, a myśli tu rzucone rozwija dokładniej jego dziełko p. t. Lacon (1635). W napuszonym dyalogu poleca przedewszystkiem wybór senatu przez sejm — a nie mianowanie przez króla — aby tym sposobem »okiełznać ambicyę możnych i położyć tamę chytrym a nieprawym zamysłom panujących«. Króla nie radzi wybierać, bo elekcye to »otwarta droga do intryg, przekupstwa i zepsucia obywateli«, prawo dziedziczości sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi, »bo synowie z panowaniem nie dziedziczą po ojcach cnót i zdolno-

ści«, poleca więc wybór króla przez losowanie. Przeciwnik arystokracji (»Możni zgubili naszą Rzeczpospolitą — powiada doświadczony Spartanin — możni i waszą przywiodą do upadku«), żąda republikańskiej równości obywateli, a nawet równego podziału ziemi. (»Podziel Rzeczpospolitą na części, terytoria, okręgi, a niech nikt u ciebie tyle łaski nie ma, żebyś mu dwa takie działą nadawał«). W celu uniknięcia gorszących zabiegów o godności miałby sejm mianować »wszystkich zdatnych do wakujących urzędów«, a z pomiędzy tych uzdolnionych wybieranoby urzędników losem. W celu podniesienia oświaty doradza »zamiast subtelnej a bezpożytecznej filozofii praktyczniejszy system nauczania«.

Klęski wojen szwedzkiej i moskiewskiej i straszniejsza jeszcze wojna domowa z kozactwem zatałowały rozwój bujnie rozrastającej literatury politycznej. Najważniejsze sprawy polityki zewnętrznej, jak np. rywalizacya dworów austriackiego z francuskim, najdonioślejsze sprawy wewnętrzne, jak rozrost samowoli szlacheckiej, przemijają niespostrzeżenie, albo nie znajdują właściwego oświetlenia. Najwymowniejszym dowodem upadku literatury polskiej od czasów Jana Kazimierza datującej, są broszury i dzieła pisane w obronie złotej wolności i zrywania sejmów, a wskazujące na »niebezpieczeństwo zaprowadzenia stałego podatku i regularnego wojska«.

Abdykacya Jana Kazimierza, a raczej wybór na jego miejsce króla, powołał do życia dwie broszury, z których jedną (Specimen pro eligendo rege Poloniae) napisał wielki filozof i matematyk Leibnitz, pod pseudonimem Ulikowskiego, krusząc kopię za elekcyą palatyna ks. Neuburskiego, nie mającą żadnych widoków powodzenia, druga o wiele zręczniejsza (Censura) i tak wpływowa, że jej pisują obiór Michała, wychodząca z pod pióra przyszłego kanclerza Andrzeja Osszowskiego, zalecała przez pamięć i zasługi ks. Jeremiego, tegoż syna, na króla. Podejrzewają autora, który niebawem stał się duszą rządów za czasów tronowania tego niedołęgi, że dlatego »wybrał najniezdolniejszego ze wszystkich« kandydatów na króla, ponieważ »miał nadzieję przy takim stworzeniu« dzierżyć w swojej dłoni ster państwa. Upadek myśli politycznej namacalny.

Chwała oręża wybawcy Wiednia z rąk muzułmańskich nie zdołała przyćmić ciężkich grzechów Sobieskiego z czasów hetmaństwa i spółrządów Marysienki. Do nich to przyczepiły się jak pajęczyna przechodnia liczne satyry i paszkwile, z których na wyszczególnienie zasługuje ów Libellus famosus (1683), w wyso-



NA dziełnem koniu żołnierz Polki stroyony
Dorany iedzie kofortownie y zbotwono.
Gorowem bed. cłorem kofitix kłoczyć
Do niepiyzłactela: to nim groc swoy zbroczyć.

P O B V D.

Nr. 95. Wojciech Rakowski. Pobudka zacnym synom korony polskiej do służby wojennej.

kim stopniu uwłaczający Janowi III. Na poselstwo francuskie padały podejrzenia że to zjadliwe piśmko puściło w świat pod imieniem arcybiskupa Wydźgi, inni przypisują je wprost Andrzejowi Morstinowi, znanemu z poplecznictwa dworu wersalskiego poccie. Na ciężkie, ale słusznie tu wytknięte Janowi III. błędy polityczne, na zarzuty dbania więcej o interesy familijne niż o dobro Rzeczypospolitej, na grzechy przedajności miotane w twarz parze królewskiej, odpowiada słabo *Votum apologeticum* Imci X. arcybiskupa na odczwę pod imieniem jego wydaną, starając się zmyć obwinionego ze wszystkich win i błędów.

Za panowania Jana III. w literaturze politycznej, nie zmieniającej swego charakteru, odzywa się już tu i owdzie głos, torujący drogę wielkim reformatorom wieku oświecenia. Oto np. kasztelan chełmski Kazimierz Zawadzki, autor lichego dzieła historycznego o czasach Michała p. t. *Historia arcana*, proponuje w swoim również po łacinie napisanem *Zwierciedle* (wydanem 1676) słabe ograniczenie liberum veto i samowoli hetmanów, tej głębokiej rany na chorem ciele Rzeczypospolitej, żąda przytem nieśmiało »stałego powszechnego podatku« na utrzymanie »stałego wojska«. Śmielej wytyka błędy i wadliwości szlachty książeczka p. t. *Recepta na to, abyśmy się w ojczyściej ziemi osiedzili* (1683 pisana). Wymieniam z siedmiu grzechów głównych: »wolność źle zrozumianą, która nawet podatki ma sobie za krzywdę i ucisk, przeciążenie poddanych, niepłatność wojska, przyjmowanie jurgeltów od zagranicznych panów«. Bezimienny autor, przestrzegając szlachtę przed skutkami tych grzechów, woła w przeczuciu rychłego upadku: »Podobno się wam już ten czas zbliża, że wielkim gościńcem wchodzicie w komput zgubionych państw i narodów«... Ta wieszczą struna polityki społecznej, ostrzegająca »przed sromotnym własną winą spowodowanym końcem«, odzywa się coraz głośniejsz w pismach społecznych.

Równoległe z upadkiem politycznym narodu, potęguje się ciemnota pojęć religijnych.

Do jakiego stopnia wybujał w Polsce duch reakcji religijnej, poświadczą dwa wypadki procesów, spowodowanych napisaniem lub tylko ogłoszeniem dzieł przeciwnych dogmatom religii panującej. Dość przytoczyć sprawę Bolestraszyckiego (z 1627) i Łyszczyńskiego (1689), aby się przekonać, jak olbrzymimi krokami postąpił w przeciagu półwieku ucisk religijny w Polsce.

W roku 1627 wydał Samuel Bolestraszycki, sekretarz króla Zygmunta III., przekład dziełka Molina, pastora kalwińskiego, p. t. *Heraklit albo o próżności*. Było to w tym samym roku, kiedy zacy z kolegium Jezuitów w Lublinie zburzyli zbór kalwiński, a trybunał tamtejszy zamiast ukarać winnych, »zakazał poszkodowanym pod najsurowszą odpowiedzialnością przystąpić do odbudowania zburzonej świątyni«. Licznym przykładem nadużyć pospółstwa, spełnianych na innowiercach, nadawały sankcyę rozporządzenia episkopatu, wydawane w duchu reakcyjnym. Do takich gorliwców w tłumieniu wolnomyslności należał Achacy Grochowski, biskup przemyski, który oskarżył tłumacza przed sądem ziemskim w Przemysłu za to, że »przywłaszczył sobie samowolnie władzę drukowania książki skandalicznej niejakiego Heraklita, naruszającej zasady panującej i moralności«. Pozwany podniósł w swej obronie niekompetencyę sądu ziemskiego, wskutek czego sprawę oddano przed forum trybunału koronnego, który potwierdził »winę oskarżonego w krzewieniu zasad podkopujących wiarę i moralność«. Obronę autora, zasłaniającego się przekładem dzieła aprobowanego przez cenzurę duchowną we Francyi, odrzucono argumentem, że winy tłumacza okoliczność ta nie zmniej-

sza, »iż książka przetłumaczoną została z języka francuskiego«, gdyż oskarżony »samym faktem przekładu dowiódł, iż zasady autora podziela«. Napróżno przytaczał oskarżony dowody, że dziełko nie zawiera żadnych bluźnierstw przeciw religii, i że to »pierwszy wypadek w Rzeczypospolitej, aby ktoś z powodu drukowanej książki przed sądy był pociągany«, trybunał lubelski skazał tłumacza na pół roku więzienia (wieży in fundo) a książkę na spalenie przez kata na rynku, pod szubienicą. Na przyszłość zaś wyznaczono na drukarzy i czytających książkę karę banicyi, a plebejuszom zagrożono banicyą i konfiskatą dóbr, gdyby się ważyli o niej głośno mówić. Ale w wyroku tym, wkraczającym już w atrybucyę prawodawcze, widziała szlachta — bez różnicy wyznania — zazdrośnie strzegąca swych przywilei, naruszenie wolności i zasadniczych ustaw Rzeczypospolitej. Pierwszy podniósł głos w obronie Bolestraszyckiego Rafał Leszczyński »człowiek uczony,

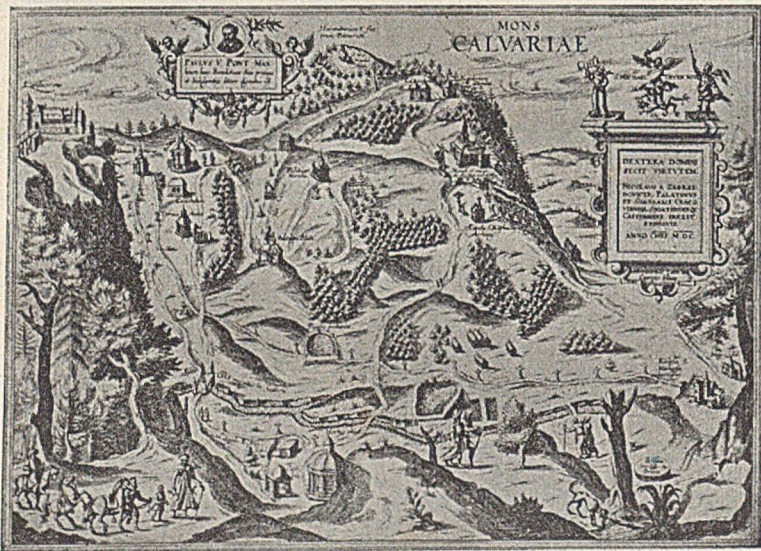


Nr. 96. Kalwarya Zebrzydowska.

znawca języków i sztuk pięknych, sam autor i tłumacz dzieł francuskich« (Judyty, Bartasa 1620 i n.). Wtórował wojewodzie bełskiemu ks. Jerzy Zbarawski, pan dumny i ambitny, ale wolnomyślny. Uważając sprawę Bolestraszyckiego za naruszenie »wolności a nie wiary«, ostro zaprotestował przeciw pogwałceniu majestatu sejmujących stanów. Ale najwięcej wrzawy narobił znany teolog aryański i mówca Jędrzej Moskorzowski. Pozwano — pisał on — Bolestraszyckiego, że wydał książkę bez zezwolenia biskupa. Toć potem pozwą drugiego, że bez licencji biskupiej pacierz mówi, do zboru chodzi itp. To i samych Waszmościów w kleszcze twardej niewoli dawno Ichmościowie (księża) ująć usiłują. Bo jeżeli mamy wolne religii wykonanie, wolno i to, co kto wierzy wyznawać, toć i napisać. Molinowi, plebejuszowi we Francyi, w samowładnem królestwie katolicyzmem nad wszystkie górującem, wolno było tę książkę napisać. Bolestraszyckiemu, szlachcicowi polskiemu, najwyższą w chrześcijaństwie wolnością szczycącemu się, nie wolno było

bez kary tak twardej też przetłómaczyć! Wolność-że to czy najtwardsza niewola? Nie skądinąd zaś jak z owego ducha inkwizycyi hiszpańskiej na Bolestraszyckiego ta burza wyniknęła«. Zwartym szeregiem wystąpiła też szlachta z powodu owego wyroku na sejmie warszawskim z 1627 i przeprowadziła uchwałę unieważniającą nie tylko ów dekret na Bolestraszyckiego, ale zakazującą raz na zawsze wkraczać trybunałom w zakres prawodawczy.

Podobna sprawa o bluźnierstwo popełniona drukiem w sto lat potem przez Zygmunta Unruga zakończyła się dla oskarżonego mniej szczęśliwie. Reakcyja postępowała olbrzymim krokiem naprzód i groziła zadławieniem wolnej myśli polskiej. Od »cudownej« obrony Częstochowy fale reakcyi katolickiej wzbity się tak wysoko, że nie znoszono już żadnej innej religii prócz panującej. Wierny jej tłum szlachecki pod wodzą króla i panów wylewał całą swą nienawiść ku innowiercom, przedewszystkiem na wyznawców »sekty aryańskiej«, jako »zdrajców ojczy-



Nr. 97. Kalwaria Zebrzydowska.

zni i sojuszników szwedzkich«, lubo i katolicy przyjmowali Karola Gustawa z otwartymi ramionami. Zanim więc konstytucya sejmowa z 1658 r. wygnała i wyzuła z majątku arian, obiegały wśród szlachty na rok przedtem broszury wykazujące »Zdrady aryańskie podczas wojny szwedzkiej wyrządzone« i tym podobne »Przysługi« bluźnierców bóstwa Chrystusowego i Trójcy św. Gromili ich Jezuici, zwłaszcza O. Mikołaj Cichocki, Wielkopolanin, który w latach 1640 do 1660, napisał i wydał kilkanaście rozpraw przeciw Socynianom. Oto parę tytułów: Centurya czyli sto dowodów o bóstwie Chrystusowem. Trzydzieście przyczyn, dla których każdy ma się odrażać od Aryanów. Nowe zawstydzenie Aryanów, w którym się to pokazuje, że dyabła za Boga prawdziwego mają. Wyklęcie ministrów aryańskich, broniących się przeciw temu, że dyabła za Boga mają, wreszcie: Tryumf św. Trójcy nad Aryanami. Zawzięty wróg bluźnierców Matki Boskiej, widząc krztających się około złagodzenia niesprawiedliwego wyroku, puszcza między posłów

dwie »Namowy«, wzywając ich, aby twardo stali przeciw bezbożnikom i przystępowali bezzwłocznie do wykonania uchwalonej konstytucji.

Nieustannemi wojnami spotęgowany duch pobożności, który za panowania króla rycerza chrześcijańskiego, pogromcy pogan, wzbił się do najwyższego szczytu, objawił się w niebywałej reakcji, tłumiącej wszelki swobodniejszy powiew myśli filozoficznej. Jako przykład przytoczyć można stracenie Łyszczyńskiego. Litwin ten wcześniej przywdział suknię zakonną, aby ją co pręcej zrzucić. Jako ex-jezuita ożenił się i na skromnym urzędzie ziemskim podsędka oddawał się studiom filozoficznym. Książka Kalwina p. t. *Theologia naturalis*, dowodząca istnienia Boga na drodze rozumowej, zwróciła myśl Łyszczyńskiego w stronę przeciwną. Zapisywał więc na marginesach swoje dowody, wykazujące, że nie ma Boga (»ergo non est Deus«). Na ten temat napisał dzieło na piętnastu seksternach, starając na podstawie dowodów, czerpanych z pisma św., zachwiać wiarę w istność bóstwa. Przyjaciel jego Brzozek dostawszy do ręki to dzieło, zabrał je ukradkiem i przesłał biskupowi wileńskiemu jako *corpus delicti*, wnosząc na autora skargę o ateizm. Czego w tej skardze delatora nie masz — zarzuca Łyszczyńskiemu, że zarażał swą nauką jako trucizną niewinne serduszka, że jad bezbożności wsącał w umysły dojrzałych ludzi, »małżeństwa poczciwe i wstydy panieńskie w psiarnię naturalną obracał« — dopuścił się na własnej córce grzechu nieczystości... Były to oszczerstwa. Prawdą jest tylko, że Łyszczyński uważał ewangelię za dzieło Chrystusa, a biblię za »wymysł« Mojżesza, że odrzucał wiarę w niebo, piekło i czyściec, jako wytwór teologów, którym lud straszyl dla swego pożytku. Biskup Brzostowski oddał rękopis do oceny mistrzom akademii wileńskiej, którzy jako Jezuici potępić musieli dzieło ateisty. Z polecenia króla Jana III., oddany w ręce sprawiedliwości i uwięziony, odpowiadał Łyszczyński najpierw przed sądem duchownym, a potem świeckim (1689). Rolę prokuratora odegrał ks. biskup warmiński Andrzej Chryzostom Załuski, chciwy zbawienia grzesznika. W bombastycznej mowie zarzucał mu, że w dziele swem o 265 kartach rękopisu, zepchnął Pana Boga z majestatu, przypisując samej naturze nie tylko siłę twórczą, rodzącą, ale także rząd i prawa tak w niebie, jak i na ziemi. Pana Boga nazwał »numen inane, creaturam non nisi, nonens chimericum, tych zaś, którzy w Boga wierzą, stworzycielami bóstwa«. Dekret, skazujący Łyszczyńskiego, potwierdza oskarżenie, że obwiniony w piśmie swem zaprzeczał bytności Boga, Trójcy św. i błogosławionej Boga Rodzicy. Za te »zbrodnie« święty został, następnie spalony na stosie, a pisma jego kat spalił na rynku warszawskim.

Do jakiego rozwielenia dostąpiły rządy klerykałów na »kalwińskiej« Litwie — dowodzi wystąpienie ks. Jerzego Ancuty, kanonika wileńskiego, a później biskupa. Zawzięty ten wróg dyssydentów, widząc, że ci wygotowali na sejm grodzieński 1718 książeczkę pokorną (*Libellus supplex*) z prośbą o zachowanie praw i wolności wyznania, rzucił się na nich w piśmie pt. *Jus plenum religionis catholicae* (Pełne prawo religii rzymsk. kat.) również na ten sejm przedłożonem, tłumaczonem później na język polski, w którym dowodził, że innowiercy »żadnych praw nie posiadali do urzędów, ani nie mieli głosu na sejmach«. Te i tym podobne kłamstwa, chciwie czytane podczas sejmu, zwyciężyły. »Kiedy pokazał się w izbie poseł dyssydent Piotrowski (był to ostatni przedstawiciel innowierców), nie pozwolono mu głosu podnieść i wykluczono z izby«. Innowiercy pobici zbroili się do ostatniej bitwy. Wydali w Królewcu pismo przeciw Ancucie p. t. *Prodro-*

mus Poloniae, na co mu tenże odpowiedział dziełkiem *Stadiodromus orthodoxus* 1721. Ale choć innowiercy mieli za sobą słuszność sprawy, przegrali.

Chcąc przedstawić zarys jeno literatury tej powrotnej fali średniowieczny — należałoby poświęcić jej co najmniej osobny rozdział. Wystarczy może do zmierzenia tych zawrotnych przepaści następujący szczegół:

W połowie 18 wieku, a więc pod sam koniec smutnej pamięci epoki saskiej, było przeszło tysiąc klasztorów (męskich 901, żeńskich 140), z tych mieli sami Jezuici 65 zakładów — wszystkie te opactwa, kolegia i domy pisały lub ogłaszały niezliczoną moc pism religijnych wierszem i prozą, w polskim i łacińskim języku, w formie mów lub rozpraw, broszur i dzieł naukowych. Zatopiły one myśl społeczną, zgniotły w zarzewiu swobodniejszą myśl filozoficzną — nie pozwoliły rozwinąć się zdrowej zasadzie politycznej.

Z bogatej, lubo nie wylatującej ponad społeczny poziom literatury politycznej, wybili się w 17 wieku trzej pisarze: Starowolski, Fredro i Lubomirski, zasługujący na szersze omówienie ich działalności. Pierwszy, ożywiony jeszcze duchem patriotycznym Skargi, raczej polihistor i moralista, niż polityk, należy do owej szczupłej garstki pisarzy, którzy prostując ujemny sąd o literaturze 17 wieku, przedstawiają ją z najlepszej strony. Urodzony w drugiej połowie ubiegłego wieku z rodziny szlacheckiej, w dziedzicznej wiosce Starowola (w Krakowskim), kształcił się nasz Szymon najpierw w Akademii Jagiellońskiej, której później pochwałę pisał i gdzie otrzymał stopień bakałarza nauk wyzwolonych, na dalsze zaś nauki wyjechał do Lowanium w Belgii. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich był nauczycielem kleryków klasztoru Cystersów w Wąchocku, następnie w akademii krakowskiej — a nie mając tu widoków na przyszłość, przyjął miejsce sekretarza przy boku wielkiego hetmana Karola Chodkiewicza, kierując jego korespondencją i przenosząc się w czasie wyprawy tureckiej z kancelaryą z obozu do obozu. Po śmierci pogromcy Osmanów, którego opłakiwał mową łacińską, przebywa na dworach możnych panów, zwiedzając kilkakrotnie jako guwerner ich synów, Niemcy, Włochy, Francję i Hiszpanię, albo pisząc na ich cześć panegiryki jak np. na zgon kanclerza Tomasza Zamojskiego, Mikołaja Wolskiego, Marszałka koronnego i innych. Pochwała »wielkiego sternika korabiu« ks. Jakuba Żadzika, podkanclerzego, a następnie biskupa krakowskiego, w którego kancelaryi pracował, uścieliła mu drogę do godności kapłańskich. Od czasu jak przywdział sukienkę duchowną — a nastąpiło, to w późnym wieku, bo około 1640 r. — piastował urząd kantora, dziekana, wreszcie kanonika katedry krakowskiej. W czasie nieobecności biskupa, sprawując zarząd dyecezyi krakowskiej, kiedy oprowadzał po Wawelu Karola Gustawa, zwycięzcę Polski, rzekł, przechodząc koło grobowca Władysława Łokietka: »Oto król, który po trzykroć zniewolony opuszczać ojczyznę, trzykrotnie wracał«. A gdy na to król szwedzki zauważył złośliwie: »Z waszym Janem Kazimierzem to się nie stanie«, odpowiedział mu z godnością Starowolski: Bóg cudowny, a szczęście zmienne. (*Deus mirabilis — fortuna mutabilis*). I doczekał się jeszcze ziszczenia swej przepowiedni: powrotu króla Jana Kazimierza i sromotnego końca najezdcy. Starowolski umarł 5 kwietnia 1656.

Działalność Starowolskiego była wielostronną i pełną. Napisał i ogłosił około 60 książek najróżnorodniejszej treści, z dziedziny historii, geografii, krytyki, prawa, teologii, etyki, kaznodziejstwa, strategii, publicystyki, muzyki, poezyi. A nie był to umysł powierzchowny, przeskakujący z lekkim sercem z jednej gałęzi nauki na

drugą, ale poczciwy, sumienny erudyta — raczej suchy systematyk, niż efektowny publicysta, a przedewszystkiem czujny o dobro ojczyzny obywatel.

Zawód swój literacki rozpoczął Starowolski od napisania rozprawki historycznej w języku łacińskim o rządach Zygmunta I., poświęconej królewiczowi Janowi Kazimierzowi. W dziełku tem dopatrzył się król Władysław »jakiejś przemówki do siebie i do granic swej władzy i kazał je niszczyć«. Starowolski prze-rzucił się więc na pole polityczne i pisał broszury w sprawie na onczas pickającej odparcia nawały turecko-tatarskiej.

Rozumny i uczciwy człowiek, przejęty szlachetną myślą służenia sprawie publicznej, a przytem gorący patriota, nie miał Starowolski znajomości polityki, dlatego pisma jego, kwestyi wschodniej poświęcone, jak Pobudka albo Rada na zniszczenie Tatarów perekopskich (1608), Dyskurs o wojnie tureckiej (1633) i Ad principes Christianos (1645), zwłaszcza projekty zaludnienia Krymu osadnikami polskimi i zawiazania ligi chrześcijańskiej przeciw niewiernym, obracają się w sferze pięknych, lecz trudnych do wykonania marzeń. Pożyteczniejszem było dziełko »Instituta rei militaris«, poświęcone rzeczom wojskowym, domagające się zniesienia dożywności władzy hetmańskiej.

O wiele większe zasługi położył Starowolski na polu dziejów literatury polskiej. Zbiorem żywotów pisarzy polskich (Scriptorum polonicorum Hecatonas, Frankfurt 1625), sięgającym w drugim wydaniu (Wenecya 1627) okazałej liczby 230 biografii, torował drogę badaniom literatury ojczystej i zaskarbił sobie miano ojca historii literatury polskiej. Uzupełnieniem tego dziełka są żywoty znakomych mówców tak świeckich jak duchownych (De claris oratoribus 1628), nie przebiegające w pochwałach miary, oraz życiorysy sławnych rycerzy (Sarmatiae bellatores 1631) pełne przesadnych ogólników i zbiory nagrobków wybitniejszych ludzi (Monumenta 1655). Wielką popularnością cieszyła się jego geografia Polski (Polonia), a ostrą na pamflet Lausiusza odpowiedzią p. t. Declamatio contra obtrectatores Poloniae 1631, zbijając potwarze Niemca, miotane na cały naród polski, zjednał sobie uznanie rodaków.

Pisma te, przeważnie w języku łacińskim i za granicą ogłaszane drukiem, służyć miały ku podniesieniu chwały kraju i narodu swego wobec obcych. W dziełach, poniżej wymienionych, a drukowanych w kraju, zwraca się Starowolski w mowie ojczystej do swych rodaków z radą i przestrożą. Pierwszem tego rodzaju pi-smem jest Votum o naprawie Rzeczypospolitej (Kraków 1625) niby komórka zarodkowa wszystkich późniejszych dzieł, mających na celu reformę społeczeństwa polskiego. W nieodpowiedniej formie wiersza — zresztą bardzo lichego — rozwija nasz polihistor trafne myśli o zaprowadzeniu stałego wojska i podatku pobieranego na podstawie ilości łanów, zakazuje — mniej rozumnie — wywozu wyrobów krajowych (w celu podniesienia cen ich) i wyjazdu za granicę dla kształcenia się, w myśli dźwignięcia akademii krakowskiej z upadku, wreszcie podaje szczegółowy plan obrony kraju i organizacyi wojska. W dziesięć lat później występuje Starowolski z dziełkiem p. t. Prawy rycerz, malując ideał szlachcica, zbliżony do średniowiecznych szermierzy za wiarę, ojczyznę i sprawiedliwość. Wykluczając z tego grona heretyków i kacerzy — prawdziwym bowiem rycerzem może być tylko katolik — żąda odeń służby bezpłatnej, wyróżniając go tym sposobem od najemnych żołdaków. Daje mu to sposobność przedstawienia wad i grzechów naszego rycerstwa. Zalicza do nich brak karności i wstrzeźliwości, miękkość i zbytek, a przedewszystkiem nadużycia w t. zw. stacyach (tj. kwaterunku wojska). »Od ro-

koszu (Zebrzydowskiego) tak wyuzdaliśmy się — są słowa Starowolskiego — na wszelką swawolę i łupiestwo, że już teraz powiadamy, iż człowiek bez stacyi służyć nie może. A póki jeno stacye wybierać będziemy, póty na wojnach i w domu szczęścić się nam nie będzie dla łez ludzi ubogich, gdyż to wielka niesprawiedliwość jest i panu robić, czynsz i podatki powinne oddawać i pobór Rzeczypospolitej płacić, a jeszcze okrutnego żołnierza karmić, który bez wszelkiego miłosierdzia wszystko, co jeno chłop w domu ma, gwałtownie bierze, nie tylko te rzeczy, które do jedzenia należą, ale i kozuch i sukmanę, wóz, sierp, siekierę, wołu, krowę, konia, cielę i cokolwiek w chałupie jego znaleźć może. A co najgorsze, żonę i córkę gwałtem bierze, zbiwszy gospodarza i zraniwszy«. A z jaką fumą i dumą występuje lada paniątko z chorągwią: w rydwanach z szczęcią koni, w którym się jego nierządnicą wozi, pełno psów, pachołków — wszystko to żywić musi »ubogi chłop, sam od głodu z dziatkami swemi umierając«, a tak zdziera ubogich, że go »przekleństwo i lzy krwawe aż do piekła zaprowadzą«. Zabawiając się potem »wszelakiem łotrostwem i pijaństwem«, idzie do walki z takim oto bluźnierstwem, jakie wyrzekł pewien niezbożny żołnierz czasu wojny Chocimskiej: »Wszyscy dyabli! wam się polecam, ostrzeżcie mię w bitwie niecotowie, bo jako mię straciecie, będziecie się Panu Bogu za mię rachować!«

W wydaniu z 1648 r. dodano do nowego, wcale niepoehlebnego wizerunku prawego rycerza: »Wezwanie do rycerstwa, żeby w tych czasach ciężkich (wojny domowej z Kozakami), kiedy nam Bóg wziął i głowę i serce, a tylko nogi do uciekania zostawił (pod Pilawcami), pozwolił ocknąć się i zapalić miłością uciśnionej ojczyzny, a czem kto może, ramieniem, głową, groszem i krwią jej pomagać«.

Przypisują Starowolskiemu broszurę bezimienną, wydaną 1641 p. t. Rozmowa plebana z ziemianinem, której autorem ma być Łukasz Opaliński. Zawiera ona dokładny i jak na owe czasy rozumny program naprawy państwa. Językiem przy ciężkim i mocno najeżonym łacińskimi cytatami, kreśli tu autor zgubne skutki zrywania sejmów, doprowadzające do zupełnego ubezwładnienia ojczyzny. »Żle się dzieje w Rzeczypospolitej i coraz gorzej — powiada ziemianin — w co się obracają sejmy, a z nimi Rzeczpospolita? Ot ten ostatni rozszedł się, nic nie sprawiwszy. Co będzie, jeżeli kilka podobnych po sobie nastąpi?« »Co będzie? — odpowiada pleban — przewidzieć nie trudno: będzie zguba wolności. Jeżeli sejm, na którym dziś rząd zawisł, sprawować go nie chce lub nie umie, znajdzie się ktoś, co go wyreżyzy i zastąpi, ale z jego zgubą«... Nie przewiduje tu autor utraty niepodległości, lęka się tylko zmory absolutyzmu. Przypisywał też niesłusznie błąd w przypuszczeniu posłów ziemskich do rządu. Śmiało jednak wytykał główne źródło złego: niedopuszczenie do uchwał przez liberum veto, niekarność i brak egzekucyi praw. Jaki na to środek? Wzmocnienie władzy królewskiej i senatu, a przede wszystkim ograniczenie jednomyślności bezwzględnej swobody głosu, albowiem — rozumował autor — wolność, która dla jednego przeczenia rozrywa zgodę wszystkich, jest niewolą i gwałtem. Dosadnie odmalowawszy zamęt, panujący w obradach sejmowych, kiedy »każdy czyni, jaką chce propozycyę« i nie pozwala do niczego przystąpić, aż się jego woli nie stanie zadość, widzi jedyny na ten bezład środek w ustanowieniu porządku czyli regulaminu obrad w położeniu »tamy rozbujającym fluktom wymowy, z której tylko — jak każdy baczy, zguba czasu«. Podając pewną kolejność, wedle której miałyby sprawy przychodzić pod rozprawę, dąży nasz reformator do emancypacji sejmu z pod wszechwładzy sejmików, do zabezpiecze-

nia go od zrywania. Na zupełne obalenie liberi veto nie odważył się autor, żądał tylko, »aby żaden nie ważył się przeczyć publicznym konstytucyom, dlatego, że mu prywatnych artykułów nie pozwalają«. Wszelako wyraźnym wskazaniem zgubnych sejmowego nierządu skutków i zbytnej decentralizacji rządu, tudzież projektem — lubo niedostatecznym — sejmowego porządku torował drogę wielkim reformatorom, którzy od Leszczyńskiego począwszy, aż do końca Rzeczypospolitej, nie przestają nawoływać naród do opamiętania się. Środki naprawy Rzeczypospolitej, w broszurze tej wyrażone, rozwija dokładniej najważniejsze dzieło Starowolskiego, korona całej literatury politycznej 17-go wieku, ogłoszona p. n. Reformatorya obyczajów wszystkich stanów teraźniejszych czasów zepsowanych, bardzo potrzebna, tym zwłaszcza, u których jest białe czarnem, dobre złem, potęga sprawiedliwością, wola prawem, upór słuszością, krzywda odpustem, niewstyd świętobliwością, utrata pochwałą, obzarstwo grzecznością, a jednym słowem quorum deus venter est (których bogiem brzuch jest), od 1645 kilkakrotnie przedrukowywane. Najdojrzałszy to owoc dążeń Starowolskiego do reformy. Nawoływał do niej od owego Votum z coraz większą siłą argumentów — niestety bezskutecznie. A że mu poprawa stosunków leżała na sercu i szła »z przekonania, z bezstronnej miłości kraju«, tego dowodzi okoliczność, że dawał rady i przestrogi te same »za lat młodych«, co »przy schyłku życia«, te same, gdy pisał na szerokim świecie, jak »śród murów klasztornych«. Całe ustępy z broszury swej p. n. »Robak sumienia złego człowieka« powtarza dosłownie w »Reformatoryi obyczajów«. Czerpie z głębokich zasobów doświadczenia, więc uwagi jego, aczkolwiek nie mające okraszy poetyckiej, lecz jasno i dokładnie wyłożone, sprawiają jako wyraz prawdy silne wrażenie. Jego obraz moralnego stanu społeczeństwa polskiego, kreślony przezeń bez złości i nienawiści, bez stronniczości i szyderstwa, budzi smutne refleksje i pozwala zajrzeć w głąb sumienia narodu.

Z głównych grzechów szlachty wymienia Starowolski przedewszystkiem: pychę i zarozumiałość, nie dopuszczające do poprawy złego, przyczyna buntów i uciśku ludu, następnie swawole i zbytki, prowadzące do podłości zabójstw, obzarstwo i opilstwo, »obyczaj ludzi nikczemnych i grubych«. Przykładając siekiere do korzenia zła, żąda nasz polityk zniesienia poddaństwa jako najcięższej niesprawie-



Nr. 98. Szym. Starowolski — Polonicorum Hekatomtas — Frankfurt 1625.

dliwości, usunięcia różnej miarki w postępowaniu władz i urzędów, uderza też silnie na panującą wśród szlachty bezkarność występków i zbrodni, na bezrząd, przez który »Polska coraz bardziej ginie i niszczeje«. Wracając zaś do myśli w dawniejszych pismach podniesiony podaje projekt powszechnego podatku (po złotym od łanu), i stałego wojska, płaconego z owego podatku, tudzież kolonizacji Ukrainy.

Starowolski, lubo raczej moralista, niż polityk, nie jest mizantropem, zrzędą, śledziennikiem, lecz obywatelem i patriotą, wytykającym narodowi wady i grzechy na to, aby się poprawił. Jako nieodrodne swego wieku dziecko, popada je-



Nr. 99. A. M. Fredro.

dnak i on w nietolerancję, dzieląc z nim razem przesady narodowe, jak np., że szlachcicowi nie wypada trudnić się handlem i przemysłem.

Obrona uciśnionego ludu, to najpiękniejsza strona jego działalności, widnieje ona na każdej karcie jego dzieł — zwłaszcza w »Reformacji« — jej przypisuje zgubę ojczyzny«. — W gorących słowach ujmuje on się za pokrzywdzonymi włościanami, gwałtownie powstając na niesprawiedliwość i nadużycia naszych rycerzy, »wydzierających ubogiemu chłopkowi cały jego dobytek« i przepowiada »dla ostatecznego zniszczenia ludzi wiejskich i miejskich, rychły Rzeczypospolitej upadek«.

Ostatniem pismem zwróconem do poprawy obyczajów, jest Lament utrapionej matki, Korony polskiej, już już konającej, na syny swoje wyrodne. Dziełko

to, napisane w chwili najgłębszej niedoli narodu, w czasie potopu najezdcy szwedzkiego, jest raczej rzewną, pełną wieszczego przecucia modlitwą, niż traktatem politycznym. Za godło pisma możnaby przytoczyć zdanie: »Rozproszą się jako mrówki, lachowie moi, a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom«. W obnawieniu zła, w gromieniu winowajców, w rozumnych i pełnych patryotycznego uczucia przestrofach, dorównywa tu Starowolski wielkiemu kaznodziei sejmowemu, a choć nie ma ani jego natchnienia, ani wymowy, pod wpływem nieszczęścia upadającej ojczyzny — nabiera namaszczenia i polotu wieszczca.

Drugą, większą część życia poświęcił nasz kanonik krakowski na usługi kościoła. Kazania, miewane przezeń w katedrze na Wawelu, w trzech sporych zbiorach skupione, celują dążnością praktyczną, prostotą i jasnością, zaletami, rzadkimi w wicku spaczzonego smaku i języka, pozbawione są jednak zapału i nawet głębszego uczucia, są nieco sztywne, a przynajmniej zbyt jednostajne. Starowolski służył wierze katolickiej żywym słowem, nie gardził jednak i piórem, gdy chodziło o zgromienie wroga. Szczególną zaciekłość objawiają pisma ostrzem wiersza skierowane na biednych, uciśnionych innowierców.

Stokroć jednak zacieklejszym, lubo bez porównania wymowniejszym obrońcą *status quo* w rzeczach wiary i polityki, a zarazem najwierniejszym przedstawicielem wieku 17-go, w teorii i praktyce, jest Andrzej Masymilian Fredro, kasztelan lwowski, później wojewoda podolski. Dziwna to mieszanina cnót i grzechów, prawd i fałszów, rozumu i głupoty politycznej. Potrosze filozof i polityk, esteta i żołnierz, historyk i moralista, posiada on »zdolność zrozumienia wszystkiego, a niezdolność gruntownego przetrawienia jednego«. Porusza w swych pismach najróżnorodniejsze sprawy społeczne i obyczajowe, z dziedziny polityki i psychologii, ekonomii i wojskowości, najchętniej w formie przysłów lub przypowieści, luźnych myśli i uwag, rad lub aksjomatów. Lubo był biedakiem, zdobył się na czyn obywatelski uzbrojenia własnej chorągwi, którą pod Zborowem i Beresteczkiem dowodził, a w czasie zagnieżdżonego już między szlachtą przekupstwa, odrzucił ofiarowane mu przez popleczników kandydatury Kondeusza znaczne sumy. Mając czyste ręce i sumienie, a dmąc w żagiel ulubionych przez szlachtę hasel wolności, wywierał wpływ ogromny i cieszył się niezwykłym uznaniem. Atoli jako mąż stanu i pisarz polityczny, przynosił więcej szkody niż pożytku. Na pamiętnym sejmie 1652, zerwanym przez Sicińskiego, wygłosił »mowę skrapianą łzami żalu« nad upadkiem Rzeczypospolitej, ale jako marszałek sejmu łaskę złożył i dał przykład zrywania sejmów głosem jednego posła. Propagował też słowem i piórem *liberum veto*, jako źrenicę swobód i równości szlacheckich.

Do najpopularniejszych dzieł 17 wieku należą Przysłowia mów potocznych (Kraków 1664), jedyna książka Fredry, pisana po polsku. Nasz autor bowiem, lubo władał pięknym językiem i kochał go, lubo dbał o czystość polszczyzny i ubolewał nad jej skażeniem, przecież sam używał w piśmie języka łacińskiego, w którym za młodu był wyćwiczony, który oddawał prace jego nie tylko na pożytek Polski, ale i całego świata.

Przysłowia i przypowieści — od mądrego Salomona poczynszy — zrodziły się w ogniu doświadczenia i na tej drodze zjednały sobie przystęp do naszego umysłu. Stąd dadzą się też wyprowadzić niezbędne dla tego gatunku literackiego warunki: »dar spostrzegania, zdrowy rozsądek i krótkie a dobitne wyśłowienie«. Warunki te posiadają rzeczywiście Przysłowia Fredry.

Wszystkie niemal jako z doświadczenia, wielce zmiennego, czerpane, nie są po-

zbawione sprzeczności, lub noszą cechę prawdy względnej, zawierają jednak wiele trafnych uwag i wskazówek »jak postępować z ludźmi, ażeby pozyskać ich ufność i pomoc, jak zachować powagę w życiu prywatnem lub sprawy publiczne pomyślnie przeprowadzić«. Wskazania te, płynące z głębokiej znajomości życia i ludzi, zadziwiają nieraz bystrym, przenikliwym wzrokiem. Mimo to, że autor nie ma dobrego o ludziach wyobrażenia, nie jest przepojony goryczą, a spostrzeżenia jego tchną pewną dobrotliwością, nieraz zaprawione są nawet staropolskim humorem. Z licznych myśli Fredry, dochodzących w późniejszych wydaniach do tysiąca, przytaczam kilka wytrawniejszych: «Szczęśliwsza panu zgrzeszyć, aniżeli ubogiemu dobrze uczynić». »Pańskie błędy każdy zamawia, ubogiego cnotę rzadko kto widzi«. »Bardziej się bój jednego, kogo urazisz, aniżeli się posiłku spodziewaj od dziesięci, którym dobrze uczynisz«. »Robak mały wielkiego dęba strawi, nie że bardzo kąsa, ale że często toczy«. »Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, aniżeli gdzie nic nikomu«. »Wielkich ludzi sprawy podobne bywają do obrazów, które z blizka grubej roboty się być zdają, ale odstąpiwszy z daleka, piękny widok mają«. »Odległością opinia roście«. »Kto nigdy złe, nigdy dobrze (nie czyni)«. »Marynarze zatopem drobniejszych rzeczy kosztowniejsze zachowują w nawałności«. »Którzy nazbyt chcą być dobrymi, każdemu ulegając, miękimi są bardziej, aniżeli dobrymi, albo jako Włosi mówią: Tak dobry, aż się na nic nie przyda«. »Są, którzy z tytułu i powagę sobie jedną. Na takowych ów żart służyć może: Stateczny ni do czego się nie ruszy. Tacy najbardziej cudzym sprawom przyganiają, nigdy sami nie błędzą, bo nic nigdy nie robią«.

Obszerniejsze, ale nie zawsze lepsze są »Monita politico moralia« w tym samym roku, co Przysłowia ogłoszone drukiem, a dotyczące różnych stron życia publicznego, spraw »wojennych, radnych« i politycznych. W tem podobne do Przysłów, że są zbyt ogólnikowe i względne, a przytem nieraz i paradoksalne. Oto parę wyjątków w przekładzie polskim: »To, coś zrobił, trzymaj w tajemnicy, ale daleko jeszcze bardziej to, co masz robić«. »Kiedy masz podjąć jaką sprawę konieczną, a ludowi niemiłą, niepopularną, staraj się o to, żebyś nie sam ją wniósł, ale kto inny. Niech się pierwszy impet gniewów i złości na niego wyleje, a potem dopiero, gdy się zmysły trochę uspokoją i z twoją myślą oswoją, wystąp z nią sam, ale nie gorliwie, jak żeby z niechcenia. Bo taka jest natura ludzi, że im gwałtowniej czego żądać, tem uporczywiej odmawiają, a kiedy na nich nie nacierać, myślą, że rzecz jest małej wagi i łatwiej na nią pozwolą«. Rób nie to, czegoś sobie najbardziej życzył, ale to, co najlepszego zrobić możesz. Czekając na sposobność zrobienia tego, coby było bezwzględnie najlepszem, możesz się jej nie doczekać, a opuścisz nie jedną sposobność zrobienia dobrego, mniejszego wprawdzie, ale możliwego«.

W Przysłowiach zarówno jak Przestrogach, przypomina Fredro znakomitego myśliciela francuskiego Larochehoucaulda. Nie dorównywa mu wprawdzie pod względem psychologicznej znajomości duszy ludzkiej — pod względem głębokości spostrzeżeń, natomiast ma więcej odeń moralnej prawdy i powagi. U Francuza świat obracać się zdaje wkoło osi miłości własnej, Polak zasada go na miłości bliźniego.

Fredro pisał także dzieła historyczne i wojskowe.

W dziejach narodu polskiego za panowania Henryka, kruszy kopie za wolnością elekcyi, a patrząc na rozhukane w zbytku i swawoli żywoły szlacheckie, pragnie zawrócić rydwan Rzeczypospolitej do pierwotnych obyczajów

gminowładztwa. Lubo gorliwy wyznawca kościoła, kruszy kopię za wolnością wyznania, uważając ją za integralną część swobód obywatelskich. Nieprzyjaciel Niemców, Francuzów, wogóle cudzoziemców, nie radby widział królem rodaka (choć później gardłował za Michałem i uwielbiał Jana). W ogólności jest i tutaj raczej moralistą, niż historykiem.

Pod tytułem »Militaryów« zebrał Andrzej Maksymilian Fredro myśli swoje o stosunkach społecznych, ekonomicznych i wojskowych. Za pierwszy warunek szczęścia i potęgi Rzeczypospolitej uważa tu narodowość. Od dzieciństwa — powiada — powinien Polak chować się w miłości dziejów przeszłych i współczesnych — kiedy w szkołach uczą historyi tak niedokładnie, że z niej niczego dowiedzieć się nie można. Miłość i przywiązanie do tego, co polskie, co nasze, kierować mają człowiekiem przez całe życie. Objawiać się zaś powinno nawet w stroju ojczystym, w którym tkwi część narodowej godności. Miłość ta rzeczy ojczystych, wielka i piękna, wyradza się u Fredry w szowinizm, w chwałbę wszystkiego, co polskie, w wiarę, że co nasze, to najlepsze.

Drugim warunkiem szczęścia Rzeczypospolitej, to opieka ludności pod względem prawa, zdrowia, porządku, komunikacji. Do kraju, posiadającego tyle niezużytej i niezoranej ziemi, należy sprowadzać osadników, nadać im bezpłatnie ziemię, ułatwić zbyt pólów i wyrobów. Kolonizację taką rozciągnąć i na ziemie ruskie, które uważać należy za jedno ciało Rzeczypospolitej, a nie traktować jako kraj podbity.

Trzeci warunek szczęścia Rzeczypospolitej, to bogactwo kraju, zasadzające się na średnich majątkach obywateli. Ubóstwo i wielkie fortuny skupione w jednym ręku, są szkodliwe. W celu podniesienia średniego stanu, domaga się Fredro rozwoju przemysłu, tj. rzemiosł i handlu, zapomocą przywilejów stanowych i ograniczenia władzy starostów; poleca też zakaz przywozu artykułów zbytkowych z zagranicy, a zakaz wywozu produktów z kraju, wysoki podatek na rzeczy zbytku itp.

Czwartym warunkiem szczęścia Rzeczypospolitej jest rozwój rolnictwa. Żąda



Nr. 100. Andrzej Maksymilian Fredro. Gestorum Populi Poloni. — Dantisci 1663.

przeto Fredro opieki ziemian przed nadużyciami żołnierzy, nagrody za dobre gospodarstwa, melioracyi gruntów, nadawania poddanym w koloniach wolności itp.

Piątym warunkiem szczęścia Rzeczypospolitej jest siła zbrojna. Poleca więc coroczne ćwiczenia wojskowe, manewry co lat cztery, stworzenie piechoty polskiej. Uważa jednak pospolite ruszenie za lepsze niż stałe wojsko, bo mniej kosztuje, mniej obciąża ubogich i jest moralniejsze.

Szóstym warunkiem szczęścia Rzeczypospolitej — to skarb. Podstawą jego jest dobra moneta i podatek. W celu podniesienia dochodów państwa poleca ograniczenie dziedzictwa nieruchomości, oddanie piątej części dóbr »idących w kądział« na rzecz skarbu, a czwartej części plebejów umierających bez testamentu.

Nakłada znaczny podatek na spadkobierców, na duchownych — oszczędza tylko brać szlachtę, główne źródło dochodów.

Zwierciadłem światopoglądu Fredry, z każdym rokiem zacieśniającego się w swej szlachecko-polskiej zaściankowości, są »Fragmenty«. Na wzór Machiawela wystawia tu ideał księcia chrześcijańskiego, do którego temi rozumnymi słowy przemawia: »Masz się za świętego dlatego, że codzień chodzisz na mszę, a tymczasem przez niedbalstwo twoje tysiące obywateli cierpi na wolności, na majątku lub życiu od twoich przewrotnych i przekupnych sądów. Masz się za świętego dlatego, że dwa razy w tydzień pościsz, a krocie biednego ludu cierpi ucisk, nędzę i głód od twoich wojsk i ich przechodów. Masz się za świętego, bo rozdajesz jałmużny, wspierasz klasztory, wznosisz kościoły, a jesteś swego ludu zdziercą i złodziejem, kiedy go podatkami przeciążasz i pieniądź z krwią razem z niego wyciskasz«.

Przekonywa króla, że »powinien pozwolić wszystko na sejmie mówić i pisać, a nawet wdzięcznie słuchać wyrzutów choćby najostrzejszych, gdyż to dopiero prawdziwi jego przyjaciele i Rzeczypospolitej, którzy mu



Nr. 101. Andrzej M. Fredro. Scriptorum fragmenta. (Gdańsk 1660).

takiej krytyki nie szcędzą, inni, to pochlebcy«. Wogóle nie należy poddanym przeszkadzać w wypowiedaniu swoich myśli, gdyż hamowani w słowach, zabiorą się do czynów.

Jeden z otwartych liberi veto obrońców, których nieprzejrzane szeregi zalegają niwę naszej literatury aż do upadku Rzeczypospolitej, wychodzi Fredro z założenia, że »większość złych i głupich zawsze rozkazywać będzie mniejszości rozumnych i dobrych«, jeżeli temu nie przeszkodzi prawo przysługujące każdej jednostce wstrzymania i przeszkodzenia złemu. Tego prawa obrony mniejszości przed zuchwałą większością używa nawet wobec nieszczęsnej maski króla polskiego, »urodzonego nieprzyjaciela wolności, który na to tylko czyha, aby ją ujarzmić«. Jak tego paladyum wolności nadużywano, o tem świadczy słynny sejm 1652, któ-

rego marszałkiem był właśnie nasz senator. Z obawy ukrócenia wolności nie domaga się powiększenia skarbu i wojska, ani nawet dobrej administracji i szybkiej sprawiedliwości, bo to wszystko mogłoby wzmocnić władzę królewską na szkodę swobód i przywilejów szlachty.

W rozprawach »Recte sic habenter liberi« i »Methodus lectionum«, zastanawia się Fredro szczegółowo nad wychowaniem młodzieży od dzieciństwa do wieku dojrzałego. Zgodnie z tradycją staropolską poleca chłopcu już od siódmego roku uczestnictwo w życiu publicznym, »żeby nie rósł w kącie domowym bojaźliwy lub dziki, lecz żeby przywykły do światła powszechnego, zbrzydził sobie cień i gnuśną beczynność«. W następnych latach będzie się młodzieniec wprawiać do służby wojskowej, w tym kierunku mają też być zorganizowane zabawy szkolne. Nauka dziejów ojczystych ma być również zastosowana do potrzeb obywatela i do wypadków społecznych. W tym celu zalecają się również i podróże za granicę, mające młodzieńca wykształcić w »poznaniu spraw politycznych«.

W dziełku pośmiertnym *Lydius pseudopolitiae* odsłania Fredro sposoby niegodziwej polityki. Jej mistrz Machiawel uczył, »żeby pod pozorem cnoty i skromności ukrywać chytrą i zdradę, ale nowych polityków podstępny gorszy dosięgły stopnia. Oni udają strach, udają urazy, krzywdy, zaczepki, których nigdy nie odebrali i dla obrony własnej niby napadają, rabują i ciemiężą«. Przykładem upadku ducha obywatelskiego i zepsutego smaku jest książka Fredry p. t. *Vir consilii* (Lwów 1730). Mąż stanu, to już nie »mądry doradca króla, czujny stróż prawa i całości Rzeczypospolitej«, jak owi senatorowie 16 stulecia, ale po prostu »dobry mówca« wedle reguł polskiego baroka, chwalcą, amplifikatorem, retorem miewający swemi scholastycznymi sztuczkami.

Pierwszy w Polsce senator staje się Fredro zacietrzewionym obrońcą stanu »jak bywało« brnącym po uszy w hasłach swawoli i nierządu przedostatniej doby Rzeczypospolitej.

Dlatego jest on najwierniejszym wizerunkiem szlachty polskiej, najlepszym komentarem politycznych, społecznych i literackich pojęć swego wieku. Bezwzględny wielbiciel przeszłości, fanatycznie przywiązany do tradycji narodowej, do instytucji Rzeczypospolitej, do staropolskich cnót i obyczajów, przyczyniał on się swą zwięzłą a śmiałą stylizacją wierszy szlacheckich do zaognienia gorączki złotej wolności, do rozdmuchania narowów i wad szlacheckich, ale również do utrzymania w całej sile ducha narodowego, gotowego do czynów heroizmu.

Po politykach optymistach tej miary, co Fredro, głoszących, że w Rzeczypospolitej szlacheckiej nic naprawiać nie trzeba, bo wszystko jest dobre, przychodzi kolej na bezwzględny skeptycyzm, jakoby w niej wszystko było złe, a przy-



Nr. 102. A. M. Fredro. — Monita politico-moralia.

najmniej marnością nad marnościami, na rezygnację, głoszącą zasadę, »że nic robić nie można i nie warto«, zapowiadającą już cyniczną myśl, powtarzaną w piśmiach 18 stulecia: »Rzeczpospolita już dawno umarła, tylko przewrócić się zapomniała«. W ostatnim tego wieku dziesiątku występuje na widownię niepowszednia postać magnata, którego pisma dobyte z ukrycia dopiero przez współczesnych uczonych, przedstawiają ten kierunek bezwzględnej negacji. Jest nim Stanisław Herakliusz Lubomirski, jeden z najpoważniejszych senatorów Rzeczypospolitej, marszałek koronny, syn Jerzego, wielkiego rokoszanina. W chwili niezagojonych jeszcze ran po strasznych wojnach z Kozakami, Szwedami i Rosyą, razem z ojcem pod-



Nr. 103. Jerzy Lubomirski — (miedzioryt Falka).

niósł zarzewie buntu przeciw Janowi Kazimierzowi, rzekomo w obronie wolności, w istocie dla zaspokojenia bezgranicznej ambicji. Ojciec, również marszałek W. K. — najwyższe krzesła senatorskie stawały się w Polsce dziedzicznymi — żywił w młodości zamiłowanie do — sielanki. Przetłómaczył idylę Guariniego Pastor Fido na język polski wcale równym wierszem, a przekład ten Wiernego pasterza jest słabym jeno odgłosem wpływu literatury włoskiej na naszą i żywego w tym rodzaju poezji rozmiłowania, posuniętego później aż do ckliwości. Ale kiedy ojciec bawił się przygodnie rymami, syn oddawał się przez całe życie literaturze i nauce. Współczesny Herakliuszowi biskup warmiński Andrzej Chryzostom Załuski, oddaje mu najwyższe pochwały: »Był to mąż — są jego słowa — w każdym nauk rodzaju doskonale wyćwiczony. Żywość swoją roztropnością, a od-

wagę ostrożnością miarkował. Był on z przyrodzenia gniewliwym, ale rzadko widziano go zagniewanego. Spokojność życia nad próżne i troskliwe prace przenosił. Żadnej rzeczy nie brał przed się bez uwagi, a raz przedsięwziętą, statecznie utrzymywał. Zdania jego głębokie i krótkie, a więcej w sobie treści niż słów zawierające«. W istocie nie zawsze zgadzały się czyny oligarchy z jego pismami. Pobożny aż do bigotery — prowadzi życie nie bardzo budujące. Wysokiemu jego pojęciu o obywatelu nie odpowiadają wcale postęпки. Przeciwnik fakcyj podejmowanych z fałszywej ambicji, należy do spisku, mającego na celu detronizację króla Jana III. Prawi o marności tego świata, a wyciąga ramię po koronę węgierską. Intrygant polityczny — wygłasza wcale zdrowe zasady moralne i pisze — sentymentalne sielanki.

Taką biblijną idyllą jest *Tobiasz wyzwolony*, parafraza księgi *Tobiasza*, poemat o charakterze łagodnym i prawie religijnym nastroju. Nie dorównują ma *Epigramata* o męce Pańskiej, ani *Melodye duchowne*, W *komedjach*, przerobionych z włoskiego, przebija znów skłonność do świata pasterzy, w którym kwitnąć ma »niewinność, szczerłość i wierność w miłości«, jest tego dowodem *Ermiada* albo królewna pasterka, ilustrująca zasadę, że »ten szczęśliwy, co się swym stanem kontentuje«. *Don Alwarcz*, albo niesforna w miłości kompania stanowi przejście do komedji, osnutej na jednej z nowel *Boccaccia*, rażącej swą nieprzyzwoitością.

O wiele wyżej stanął *Lubomirski* w pismach moralno-politycznych. Do najwcześniejszych należy księga *Adverbiorum moralium*, napisana 1666 r., a w 22 lat później ogłoszona drukiem. Młody oligarcha zarzuca na siebie togę stoika, z lekka jeno przykrojoną na modłę chrześcijańską, mocno zaś podkreśla zasadniczą myśl swojej filozofii o marności życia ludzkiego. Oto jeden charakterystyczny wyjątek z tej młodzieńczej pracy: »Pewny nam jest rodzenia się początek, pewna mizerya, pewna ułomność, pewna niemoc, pewna boleść, pewny koniec, pewna skazitelnosc, ale — niepewne życie, niepewna fortuna, niepewne zdrowie, niepewne dostatki, niepewna sława, niepewna osiadłość, niepewny przyjaciel, niepewne potomstwo, niepewna śmierci godzina, nadto niepewny i pogrzeb. Słowem jednym na wyrażenie wszelkich mizeryj, próżności i przykrości, dosyć jest wymówić człowiek. Cóż tedy jest człowiek? Zwierzę mizerne, nieszczęśliwe, niespokojne, niewolnik grzechu, skopuł fortuny, łódka tonienia pewna, a najpewniejszy obłów śmierci. A żywot-że co jest? Pokarm mizeryi ludzkiej, przepaścista bied i trosk jaskinia, nieugaszony pożądliwości płomień, dym, wiatr, powietrze, proch, cień, nic cale«.

Co było powodem do tak ponurego na świat poglądu młodzieńca? Zapewne przyczynił się do tego nagły upadek ojca, w którego gwiazdę wierzył, nie mniej jednak naturalny, właściwy mu sceptycyzm, znajdujący w atmosferze religijnej, nasiąkłej obłudą, obfity pokarm. Sceptycyzm ten, posunięty w teorii do zupełnej negacyi, nie wykluczał w praktyce zmysłu praktycznego, umiającego »z każdej okoliczności korzystać i wśród klęsk rodzinnych zachować umysł pogodny«. W owej pierwszej pracy odszukać można niejedno zdrowe ziarno myśli w plewie czczych ogólników i paradoksów. To samo powiedzieć można o dziele *Katona polskiego* p. t. *Rozmowa Artaksesa z Ewandrem* (1683). Już w pierwszym dialogu — ulubionej formie, narzucanej podówczas wszelkiego rodzaju naukowym i społeczno-politycznym wywodom — przeciwstawia on nauce prostotę, wyłuszcza-
jąc tę starą, jak życie ludzkie, ale wiecznie prawdziwą zasadę, że »człowiek cno-

tliwy, choć prosty, lepszy jest od uczonego, a przewrotnego«. Nauka, sama przez się wielka i piękna — źle stosowana w życiu, przynosi szkodę raczej niż pożytek. »Przez naukę pyszny zowie się wspaniałym, okrutny do rządu sposobnym, pochlebca wymownym, rozrzutny szczodrym, skąpy oszczędnym, uporny statecznym i innych wiele podobnych przemian wyuczony fałsz odmaluje. Przeciwnym zaś sposobem przez subtelność i zbyt dowcipną naukę cnota będzie poczytaną za tępość, sprawiedliwość za nieużytość, mężność za grubijaństwo, prostota za głupstwo, szczerłość za nieostrożność, dobroć za miękkość i łacność niesposobną, pobożność za hipokryzję, tak przez pomieszaną nauki subtelność własnej swej wagi w złem i dobrem żadną miarą prawdy nie pokaże ani dodaje«.

Lubomirski nie jest wrogiem nauki wogóle, nie oddziela jej tylko — co dziś praktykują nasi uczeni — od społecznego i indywidualnego życia. Oto jak pojmuje prawdziwą wiedzę. »Nie to jest mądrość, siłę rzeczy — choć sobie i przeciwnych — umieć i dociekać; mądrość, co się cnotie nie przyda, jest fałsz i maskara, głupstwu tylko potrzebna. Prostota rozumna i rozsądna, to prawdziwa mądrość — ten mądry, co umie umieć — na mądrości zażywanie trzeba osobnej mądrości i miary«. Jak nie jest przeciwnikiem nauki wyciągającej konsekwencje w życiu, tak nie jest pesymistą wykluczającym używanie i przyjemności życia. Jeden z dyalogów owych poważnych mężów, spędzających noce całe na wesołej zabawie z damami, poświęcony jest »usprawiedliwieniu próżnowania i dobrych zabaw«. Ten zmysł praktyczny przebija też w rozmowie o dyplomatycę, w której konferencyach, poselstwach i negocjacyach widzi »łapki i sidła«, ale także szczyptę prawdy, każe jeno odróżniać w nich interes od pretekstu. Umysł naszego Salomona cechuje bystra subtelność dyalektyczna, objawiająca się między innymi w zestawieniu t. z. synonimów czyli pokrewnych pojęć. Dla przykładu przytaczamy następujące określenie wyrazów: sławy i chwały. »Różnica jest ta, że sławę można sobie zrobić ze wszystkiego, ale chwałę tylko z dobrego, tylko z cnoty. I zwierzęta bywały czasem sławne: koń Aleksandra, gęsi kapitolinские, tak i człowiek sławnym być może, a bez wartości i zasługi«. W dyalogu o Radach uderza w główne grzechy naszego sejmowania jak chciwość, nieczłgodza, nieład i fałszywa ambicja. Rozmowa o Stylu dowodzi wiele zdrowego smaku, nie zamąconego spaczeniem pojęciami wieku. »Styl — zdaniem jego — jest coś wrodzonego, co zapewne może się wyrobić i wydoskonić, ale czego sobie człowiek nie wybiera. Styl znajduje się sam i sam instynktem rozsądku i harmonii między przedmiotem a sposobem pisania czy mówienia, stosuje się do tego przedmiotu bez zamiaru i rozumowania tego, który go używa«.

Najbardziej znamienem dziełem naszego marszałka jest dzieło zatytułowane »De vanitate consiliorum« (O próżności rad), a stosujące zasadę sceptycyzmu do życia politycznego. Wszelkie wyższe cele, wszelkie środki doń prowadzące są, zdaniem naszego pesymisty, ułudne i marne. »Pokój służy na to tylko, żeby pole zalegać, a nieprzyjaciółom dać czas gotowania się do wojny. Wojna na to, żeby tracić ludzi, pieniądze, a nieraz i prowincje. Przymierza, żeby z obojętnych i neutralnych robić sobie nieprzyjaciół. Trzymać wojsko stale, źle, bo i koszt i gotowa okazyja czy buntu żołnierskiego, czy zamachu stanu; nie trzymać go słabość i ustawiczne niebezpieczeństwo. Sejm na to, żeby dużo gadał, a nic nie robił; sejmiki na to, żeby przysyłały posłów niezdatnych i skrępowanych niedorzecznymi instrukcjami« itp.

Ogólne zwątpienie w stan społeczeństwa polskiego, zupełna niewiara w uzdro-

wienie jego i dlatego zarzucenie wszelkich środków ratunku — oto sens moralny całej książki. Jest to — jak słusznie zauważono — jakby ostatni wyraz literatury politycznej, która wyczerpawszy przez dwa wieki wszelkie środki perswazyi, wskazując napróżno, co i jak zmienićby należało, w końcu opuściła ręce zrozpaczona.

W krytyce istniejącego stanu rzeczy, w dyagnozie choroby widać u Lubomirskiego przebliski talentu i bystrości umysłu, w ostatecznej jednak konkluzji jest ta fatalistyczna rezygnacya, ten nihilizm społeczny, zarówno fałszywy, jak szkodliwy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że odpowiadał zupełnie ówczesnej dobie Rzeczypospolitej, która po ostatnim wysiłku ducha bohaterskiego za Jana III., zanim ugrzęzła za Sasów w bagnie kwietyzmu, przechodzić musiała takie fazy rozpaczliwej reakcyi, odejmującej wybitniejszym jednostkom siłę woli i energię do czynu, a uważającej za najwyższy cel życia zupełne wyrzeczenie się szczęścia, zupełną rezygnacyę.

W poezyi szedł Lubomirski za wzorami sztuki włoskiej Mariniego, Tassa i Aryosta, wpływu literatury francuskiej na nim jeszcze nie znać. Bystry obserwator, rozsiewał gęsto nasiona żywych prawd. Przypominam sentencyę o gorzkich owocach krzywdy ludzkiej, zakończoną dwuwierszem:

A kiedy społem biesiadnicy siedzą,
Bardziej bliźniego, aniż z bliźnim jedzą.

W pismach moralnych, religijnych i politycznych, pełnych nieraz wytrawnego doświadczenia, posługiwał się prozą czystą i piękną, rzadka jeno łacińskimi zwrotami przeplatana. W polityczno-społecznych poglądach nie zdołał się wyemancypować z wyobrażeń szlacheckich swego wieku. Nad Andrzejem Fredrą, najdoskonalszym tej epoki typem, góruje wykształceniem, nie dorównywa mu jednak prawością. W sprawach religijnych przechodzi od »Myśli o wieczności« wszystkie stopnie dekadencyi aż do najciemniejszych kryjówek zabobonu, od którego nie jest wolną najpiękniejsza jego sielanka biblijna o Tobiaszu. W pojęciach filozoficznych, zwłaszcza w dziele »De vanitate consiliorum«, widać zależność od Seneki. Niesłusznie przez panegirystów zaszczycony przydomkiem Salomona polskiego, w pojęciach literackich i estetycznych »stary humanista« kroczy śladem Tacyta lub Lukana, ale z nachyleniem ku modernie włoskiej; zwłaszcza w dramatycznych sielankach pasterskich naśladuje wzory włoskie.

Nowsza krytyka literacka przypisuje niektóre wiersze Stanisława Jerzemu Lubomirskiemu, a granice ich autorstwa bardzo są śliskie i niepewne. — Z naszym stoikiem katolickim kończy się literatura polityczna 17 wieku, której charakter najlepszy jej znawca i badacz w Polsce tak mniej więcej określa: »Broszurowa i pobieżna pod względem formy, w treści swojej literatura ta rzadko kiedy dotyka kwestyj zasadniczych i ogólnych, a z praktycznych kwestyj bieżących zajmuje się często podrzędniemi, milczy o najważniejszych«. Uderza w niej przedewszystkiem nieznanomość nowych dróg, jakie w owym czasie przebiegała myśl społeczna od Spinozy do Locka, obcą jej ewolucya pojęć i zasad wywołanych przez Hobbesa i Grotiusa. Wyzwoliła się wprawdzie z pęt starożytnych filozofów, na których opierają się jeszcze politycy złotego wieku odrodzenia, ale nie nawiązała jeszcze nici z oświatą i zdobyczami wieku w Europie. A co najgorsza: w epoce, kiedy najcięższe klęski, walące się na Rzeczpospolitą, wymagały jak największej bacności, zamiast opamiętania i ratunku, popada w stan biernej rezygnacyi, w kwietyzm i apatyę. Dopiero w chwili najgłębszego upadku Polski, za czasów panowa-

nia Augusta III, budzi się myśl reformy, dążenie do naprawy złego, »szukanie środków ratunku« — świtać poczyna zorza odrodzenia narodu.

Długoletnie rządy Sasów pogrzyżyły społeczeństwo polskie w niepamięć najistotniejszych bytu narodowego potrzeb i warunków. W przeświadczeniu, pozbawionem rozumu politycznego, że »mocarstwa europejskie dla utrzymania równowagi politycznej nad całością i bezpieczeństwem jej w własnym interesie czuwać winny«, zaprzepaszczano najistotniejsze interesy polityki zagranicznej, w uznaniu zaś bezrządu i niemocy Rzeczypospolitej za kamień węgielny wewnętrznego życia, gotowano jej smutny koniec. Doszło do tego, że »występowanie przeciw

uprawnionej anarchii uchodziło za zdradę kraju«. A właśnie w tym czasie organizowały się w najbliższym sąsiedztwie państwa na silnej podstawie centralizacyi z planami polityki zaborczej. Czyż mogła w tych warunkach na długo ostać się Rzeczpospolita oligarchiczna, w której zasada wolności jednostki rozsądzała wszelkie węzły społeczne, a panowanie jednej klasy, jednej warstwy nad całym narodem, przybierało monstrualne rozmiary, w której nie było ani rządu, ani wojska, ani skarbu. W administracyi nieład i rozprzężenie, w polityce bezładność, w życiu umysłowem odrętwienie. W istocie ulegał już cały ustrój Rzeczypospolitej rozkładowi. Najcięższe jej grzechy: niewolnictwo i wyzysk włościan, krzywdy wyrządzane mieszczaństwu, niesprawiedliwy rozdział ciężarów publicznych, nierówne prawa i konstytucye, po części łagodzone na zachodzie monarchizmem oświeconym, widzimy w Rzeczypospolitej polskiej w pełnym rozkwicie, wskutek zupełnego władzy wykonawczej osłabienia. Po zgnębieniu mieszczań i odarcie ich z praw politycznych, po ograbieniu ludu wiejskiego z owoców ich pracy i dobytku, zagarnęła oligarchia wszystkie siły państwa. A skutki tego bezprawia spotęgował do tego



Nr. 104. Stan. II. Lubomirski — Rozmowy.
(Warszawa 1694).

stopnia egoizm i przedajność tej klasy społecznej, iż dla prywaty jednostek organa państwowe przestały funkcjonować. Dość powiedzieć, że od 1690 r. do 1760 r. doszedł właściwie tylko jeden sejm do skutku. Pograżony w ciemnocie i bagnie moralnem ustrój państwa, przedmiot pogardy i pośmiewiska sąsiednich mocarstw, porównywano do »niedołężnej maszyny, której ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić zdoła«.

W tym czasie najgłębszego pod względem moralnym i umysłowym zaba-gnienia, w dobie najwyższego społeczeństwa rozstroju, poszczycić się może literatura polityczna poczem świątłych mężów, obdarzonych wyższym nad swój

wiek umysłem, którzy trzeźwym okiem oceniając smutne stosunki społeczne, a przewidując zgubne następstwa, mieli odwagę ostrzedz naród przed grożącym mu niebezpieczeństwem i podać najodpowiedniejsze rady ku jego poprawie. Szereg tych mężów nauki i zacnych obywateli rozpoczyna Karwicki, zamyka szlachezny Pijar, Konarski. Pierwszym, który podjął reformę Rzeczypospolitej i o krok ją posunął naprzód, był Karwicki, podkomorzy sandomirski, gorliwy stronnik króla Leszczyńskiego, w dziele łacińskim *De corrigendis defectibus in statu Reipublicae Polonae*, napisanem 1708 r., ale zalegającym do niedawna w rękopisie. Snuje on plany swych reform z doświadczenia, z księgi praw krajowych, nie stwarza jednak teorii prawa politycznego, pisze jeno jak się ma urządzić jego ojczyzna, jak poprawić błędy i grzechy narodu.

Na wstępie zapowiada sędziwy autor, liczący podczas pisania dzieła lat 63, zmiany samych podwalin ustroju politycznego. »Tenże sam prawie jest los Rzeczy Pospolitych — są jego słowa — co wielkich budynków. Małe zwątlenia małą pracą dają się naprawić, ale gdzie fundamenta obsiadłe lub zachwiane, gdzie szpary i pęknięcia grożą zawaleniem murów, tam żartowałby chyba ten, co szpary chciałby zalepiać, a o wzmocnieniu fundamentów nie pomyślał. W Polsce doszliśmy już do tego, że ta ogromna budowa, zachwiana tylorakiemi wstrząśnieniami waśni wewnętrznych, żadnemi, choćby najlepiej uchwalonemi prawami, uratować się nie może, jeżeli zarazem nie zaprowadzi się zmiany w samej formie rządu, której jeżeli my z przekonania, z zamiaru i rady nie zrobimy, to robi ją przypadek lub podstęp i będzie zmiana na gorsze, zmiana na despotyzm, lub na rozbiór Rzeczypospolitej pomiędzy sąsiednie państwa«. Doradza więc zmiany dotychczasowej formy rządu, na poły monarchicznej a na poły republikańskiej, na czysto republikańską. Ale w wykonaniu tej zmiany ogranicza się do połowicznego środka, do »odjęcia królowi rozdawnictwa urzędów i oddania go sejmowi«. Nasz reformator nie zmienia więc podwalin bytu politycznego Rzeczypospolitej, nie buduje mocnego gmachu społecznego, ale łąta i podpira stary — jak oszczędny gospodarz zapobiegać pragnie jego ruinie. I on, lubo gorliwy swobód szlacheckich obrońca, z oburzeniem wytyka szlachcie, iż za zabójstwo kmiecia opłacała tyle, ile za wybieranie młodych liszek z lasu (tj. dziesięć grzywien), ujmuje się wszędzie za krzywdą ludu, pozbawionego praw i obmyśla sposoby ochrony włościan »od przechodów wojskowych, od stacyi, od grabieży i swawoli szlacheckiej«. Zazdrosny o najdroższy narodu klejnot, o przywilej wolności, ogranicza prawa elekcji *viritim*, a zaprowadza powszechne, tajne głosowanie na sejmikach elekcyjnych, ustanawia stały sejm i czyni zamach na *liberum veto*. Ale jakby się lękał radykalniejszej myśli, zastrzega się, że »nie reformatorem jest, ni naprawcą, ale restauratorem, odnowicielem i dawnych praw wykonawcą«. Najobszerniejszą i najlepszą stroną dzieła Karwickiego jest reforma wojskowa. Żąda on stałego, wyćwiczonego, regularnie opłacanego wojska, złożonego w $\frac{2}{3}$ częściach z piechoty. Wszelako nie ma odwagi domagać się powiększenia ilości wojska, dochodzącego na początku 18 w. zaledwie do kilkunastu tysięcy — kiedy sąsiednie mocarstwa utrzymywały już krociowe armie.

Cały system reformy Karwickiego jest połowiczny, usiłuje bowiem rumowiskiem zmarszałego gmachu Rzeczypospolitej, bez wstrząśnienia walących się murów, zatamować źródło złego i przyspieszyć dzieło reformy. — Śmielsza w krytyce panujących stosunków społecznych, i zdrowsza w poglądzie na ówczesną politykę zagraniczną, ale również niewystarczająca jest społeczna z dziełem Karwickiego a wy-

sza 1709 r. bezimiennie rozprawa podkanclerzego Stanisława Szczuki, przyjaciela politycznego króla Jana III. Przedkładając projekt wypowiedzenia wojny Turcyi, lubo ta po pogromie wiedeńskim nie przedstawiała dla nas żadnego niebezpieczeństwa, nie radzi w niej autor bić się ze Szwedem ani Prusakami, bo mamy za słabe siły, tem mniej z Moskwą, »przyjaciółką Rzeczypospolitej«, bo jest jako państwo słowiańskie pokrewną, trafnie jednak określa różnicę położenia naszego wobec ościennych mocarstw. »Polska jest słabszą — powiada mniej więcej Szczuka — bo jest wolną, bo wolność swą z każdą chwilą pomnaża, chociaż prowincye traci; sąsiedzi rządzą się absolutnie, nie mają wolności, a są zagospodarowani, silni, mają ład i porządek«. Autor przechwycił też jedną z głównych przyczyn słabości Rzeczypospolitej: »zaniedbany i wiecznie pusty skarb państwa«. Podaje przeto sposób na jego pomnożenie: wydzierzawić w drodze licytacji wszystkie dobra królewskie i kościelne, a z dochodów dzierżawy urośnie fundusz, który trzeba będzie tylko »nieznacznym ale stałym podatkiem« zasilać. Myśl dobra, cała trudność w jej przeprowadzeniu. Za jednym zamachem usuwa nasz polityk znienawidzone u szlachty rozdawnictwo urzędów, pozostające w rękach króla jako ostatni szczątek absolutnej władzy korony, a zaspakaja wiecznie głodne, buntujące się i niesforne wojsko polskie. — Polecając ukrócić nieograniczoną władzę hetmanów trzechletniem urzędowaniem, nie wznosił się jednak do uznania potrzeby silnej armii, choć zbrojenie się ościennych państw wskazywało na tę konieczność. Autor rozwija następnie plan reformy sądownictwa, a przychodząc do uregulowania handlu i przemysłu, domaga się wypędzenia żydów z kraju. Żywiół ten — rozumuje Szczuka — jest zgubny dla społeczeństwa, szlachtę i lud uciska lichwą, bogactwa kraju wynosi na obcą ziemię, miasta i kupców uboży swoją konkurencją — trzeba więc dać mu trzechletni termin do załatwienia wszelkich spraw i zmusić go do opuszczenia Rzeczypospolitej. — Szczuka podaje rozumny i oryginalny projekt szerzenia światła wśród ciemnych mas zapomocą wydawania przez poczty bezpłatnej gazetki »aby politycznie zacofanemu społeczeństwu, niewiedzącemu co i jak się w świecie dzieje, dać w ręce sposób do znalezienia się w obecnej sytuacji«. W tym samym celu ustanawia w szkołach nauczycieli do nauki historii, »aby młodzież nabyła wcześniej wyobrażenia o świecie i politycznem życiu narodów«. Odpadłaby tym sposobem potrzeba bezcelowych wędrówek na zagraniczne wszechnice.

W porównaniu z tem nierozgłośnem pismem rozumnego i szlachetnego kanclerza państwa, cieszyło się nadzwyczajną sławą dzieło Jabłonowskiego, znane pod skróconym tytułem Skrupuł bez skrupułu.

Jabłonowscy wywodzili ród swój z »szlacheckiej mierności« i dopiero Stanisław Jan, hetman wielki koronny, ojciec naszego poety, podniósł dom swój na wyżyny historyczne. Przyjaciel ten Jana III, przeznaczony po śmierci króla na męża wdowy królewskiej, mający budować tron dla nowej w Polsce dynastyi, senator, którego August drugi tak się bał i poważał, że klękał przed nim i całował ręce, prosząc o podpis — nieustraszony wódz, niestrudzony przez pół wieku żołnierz, zostawił w dziedzictwie dzieciom sławę, znaczenie, majątek i godności. Najstarszy z synów otrzymał jak najlepsze wychowanie w głównem ognisku dobrych obyczajów: w Paryżu. Wyprawiając go tam, spisywał dlań sędziwy hetman instrukcyę. Jan Stanisław spędził więc młodość we Francyi, bawił przez czas dłuższy na dworze Ludwika XIV, a okoliczność ta nie została bez wpływu na jego życie. Mówił i pisał po francusku jak rodowity Francuz i zaszczepiał tę

»nową modę« w swej ojczyźnie. Pojawszy za żonę Joannę margrabiankę de Bethune, siostrzenicę królowej polskiej Maryi Kazimiery, otworzył dom jaśniejący polem i elegancją. Należąc jednak do pierwszych krzewicieli w Polsce wpływu francuszczyzny, nie pozbył się jeszcze staropolskich uczuć. Dopiero dzieci jego, wychowane po francusku, wśród etykiety dworskiej, przestały myśleć i czuć po polsku. Jedna z córek wyszła za księcia francuskiego de Tallebourg, druga za Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego, będącego również księciem francuskim (duc et pair de France), synowie zaś tak się wyrodzili, że uważali wszystko co polskie, za barbarzyństwo, a trzecie pokolenie Jabłonowskich nie miało już z ojczyzną nic wspólnego prócz nazwiska polskiego.

W owym czasie powszechnego rozkładu nie dochodzą już do wyższych dostojęństw drogą osobistych zasług, lecz na mocy swego urodzenia i stosunków. Nieletni synowie wielkich domów dostępowali w kolebce wysokich urzędów, kiedy biedni i zasłużeni naprózno o nie pukali. Nasz wojewódzic, mając zaledwie 17 wiosen, został w wielkim chorążym koronnym, a w kilka lat później zasiadał dwudziesto i trzyletni młodzieniec na senatorskim krześle jako wojewoda ruski. Wywołało to nawet w społeczeństwie nawykem do różnych praktyk, objawy takiego oburzenia, że nie chciano go do składania przysięgi obowiązkowej przypuścić. Po śmierci Jana III nasz wojewoda, człowiek »nowego pokroju« trzymał stronę elektora saskiego, który też na zglęb kraju zasiadł na tronie polskim. W półtora tysięcznym orszaku jechał z sędziwym ojcem witać imieniem narodu nowego króla. W mowie łacińskiej, ogłoszonej drukiem p. t. *Oratio ad Augustum II* (Kraków 1697),



*Langue Senatorum Fratrum Dux Stemmatis Agni.
Patre Palatino Ravennae, produit Orbis
Prætorum Regum Legum Mænor et Auther
Lys dixit scripsi, fecit, non carminis hæc sunt* 478000.1.1.100

Nr. 105. Jędrzej Chryz. Załuski, biskup warm.

rozpływał się nad przymiotami »wielkiego« monarchy. Wkrótce jednak opuścił go i przeszedł na stronę Stanisława Leszczyńskiego, swego siostrzeńca, gdy tenże przy pomocy wojsk króla szwedzkiego Karola XII, ujął ster państwa, po przymusowej Sasa abdykacji. Na dworze królewskim Stanisława zażywał ulubiony wuj nicograniczonego wpływu, powiadano o nim, że »miał tyle władzy i godności, ile sam zechciał«. To też niebawem został kanclerzem wielkim koronnym, pomimo, że dotychczasowy kanclerz ks. Załuski z urzędu swego nie ustąpił, a następca jego, Stanisław Szczuka, był tej pieczęci najgodniejszym.

Nie długo trwały chwile szczęśliwości. Po przegranej bitwie pułtawskiej zasiadł August II ponownie na tronie polskim, a z nim wrócili jego ministrowie.

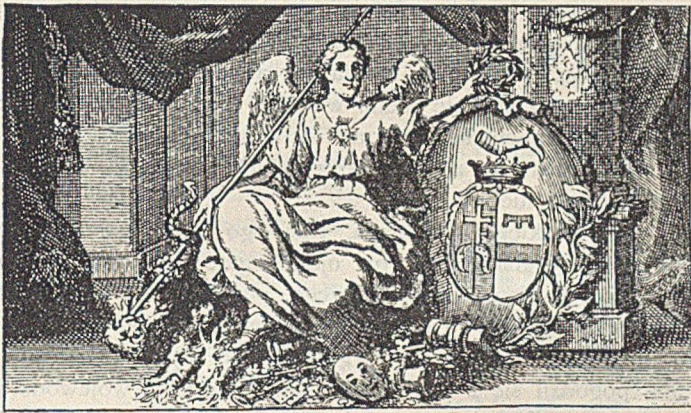
Szembek objął kanclerstwo, z którego zlecał nasz Jabłonowski wróciwszy do swego województwa ruskiego. Nie zerwał jednak stosunków z królem siostrzeńcem ani ze Szwedami i knuł spisek na Augusta. Król przejął więc listy Jabłonowskiego, pełne ostrych wycieczek na miłostki »rozpustnego« monarchy, i zwiabiwszy go do Warszawy, rzekomo na jakieś narady, kazał uwięzić w zamku Königstein (w Saksonii), gdzie go przez niespełna cztery lata do 1717 — wbrew zaprzysiężonym prawom wolności — przytrzymał. W więzieniu, mając wiele wolnego czasu, oddał się Jabłonowski wyłącznie literaturze. Pisał przeważnie rzeczy katolickie, nabożne, traktaty o niepokalanem poczęciu Najśw. Panny, decenny do św. Franciszka i tym podobne zabawki wierszem i prozą w trzech językach: polskim, francuskim i łacińskim. Układał na wzór łaciński Lafontena bajki i stroił lichym wierszem polskim przygody Telemaka, spisane przez Fenelona. »Odzywał się też wymownie« w duchu barokowej swady, na weselach i pogrzebach swoich towarzyszy, nie mniej w ważniejszych chwilach publicznego życia. W podeszłym wieku zabrał się nawet do pisania pamiętników swego czasu. Niestety dziełko to, odznaczające się śmiałą charakterystyką, zarówno jak *Rozmowy z m ar ły c h P o l a k ó w* (króla Jana i Jeremiego Wiśniowieckiego z jednej, a biskupa Wydźgi »skapca, samoluba, cynika«, z gorszym jeszcze odeń sprzedawczykiem i zdrajcą kardynałem Radziejowskim z drugiej strony), zachowały się tylko w urywkach.

W utworach Jabłonowskiego, pisanych prozą i wierszami, obejmujących dwadzieścia kilka tomików, przeważnie rzeczy religijnych, przebijają dwa prądy: jeden staropolski na duchowym chlebie jezuitów wykarmiony, wyradzający się u niego »w ciasną i bezmyślną dewocję«, drugi cudzoziemski, wytworzony pod wpływem oświaty, a raczej mody Wersalu, czyniący go naśladowcą francuszczyzny nie z ducha lecz poloru. Wyborny typ literacki epoki saskiej, wyzwalający się z pęt łacińskich, aby zapisać się w poddaństwo francuskie.

Jabłonowski zawdzięcza swe imię w literaturze małemu dziełku, które pod paradoksalnym tytułem, ułożonym w duchu baroka: *Skrupuł bez skrupułu w Polsce, albo oświecenie grzechów narodowi naszemu zwyczajniejszych, a za grzechy nie mianych itd.* (We Lwowie 1730), podawało wierny i trafny wizerunek społeczeństwa polskiego z tego wieku. Pisząc je, dobiegał już szóstego krzyżyka, zebrał więc spory zasób doświadczenia i przytem jako stojący blisko tronu, miał »sposobność przypatrzeć się wadom narodu«, zmierzyć »nieszczęsne ich skutki«, sam »ich doświadczał i bolał nad nimi«. Postanowił przeto »przez szczere i bezwarunkowe tych wad wynurzenie« wpłynąć na poprawę zła i napisał *Skrupuł bez skrupułu*. Jabłonowski nie rozwija planu reformy, nie podaje środków ratunku — dość mu odkryźle, postawić przed oczy winy narodu. Czyni to zaś z żalem i skruczą, bo w tej grzechów powszechnych spowiedzi pełno własnych przewinień spowiednika.

A nie była to rzecz łatwa ani bezpieczna odgrywać w zepsutej Polsce rolę bociana. Ks. Jezuita Niesiecki za niedostateczne wychwalanie tej lub owej rodziny, obłożony był pozwami. Nasz autor, jeden z największych magnatów, lubo puklerzem bezimienności osłonięty, przecież nie był pewny, czy go jakiś pan nie »zgubi wyrokiem trybunalskim«, albo nie »pokieruszuje szlachta«. Przerażony huczkiem, jaki sprawiła książka — w jednym roku miała dwa wydania — nosił się już z myślą, jakby ją z obiegu wycofać. Miętkość ta odbiera nieco siły śmiałym i ciętym razem autora. Odsłania on przytem z całą naiwnością swe pańskie narowy. Zdaniem jego Pan Bóg ustanowił tak na ziemi jak i w niebie hierarchię: królów,

panów, szlachtę i chłopów. Przekroczenie tych granic jest karygodne. »W Polsce bracią są wszyscy, ale bracią tylko w prawie. Ubogi oczywiście bogatszemu sprostać nie może fortuną, urzędem, koligacyami, mści się więc za to na wszystkich panach językiem. Panowie zaś prezentami kupują szlachtę, żeby milczała«. Trafnie maluje następnie ową zależność od panów: »Szlachta od jednych panów pensyę bierze, nadzieją promocyi, puszczaniem majątności, nawet samymi bankietami i zmyśloną ujęci ludzkością, serwiliter panom na sejmach służą i za namową lubi rozkazem ich promowują niesprawiedliwe rzeczy, tamują sejmiiki, nie pozwalają na nie, aż Pański utrzymają interes, naostatek bez racyi prawa albo publicznego dobra wazą się rwać sejmiiki, a za grzech tego nie mają«. Sejmiiki są targowiskiem głosów, »polityczną symonią«. Zepsucie wzrasta na sejmach, a skutki o wiele niebezpieczniejsze, bo tu nie chodzi o ten lub ów powiat, ale o całą Rzeczpospolitą. »Zerwanie sejmu — o jakież to grzech. Przodkowie nasi poczciwi, którzy liberrum veto uformowali, rozumieli, że to będzie paladium święte, które nie da tej



Nr. 106. Stanisława Jabłonowskiego Skrupuł bez skrupułu. (Lwów 1730).

Troi zginąć. Opisałi jego formę, jako posel protestować się winien w obliczu trzech stanów. Pytam się, gdzieśmy widzieli sejmy rwane na fundamencie prawa, bez przekupienia, bez interesu, bez udręczenia od cudzoziemców albo swoich panów. A przecież w tem grzechu nie masz, mówiąc: »Stała Rzeczpospolita, choć sejmy rwano i stać dalej może. Ale to jest wystawiać na próbę Boga. I ona stoi, ale jak człowiek obdarty ze skóry«. Jeszcze gorsza zgnilizna szerzy się w trybunałach, w tem »morzu zdrad i oszukań«. Ukrzywdzanie domów, wdów i dzieci, wołające o pomstę do nieba. Przedajność tu idzie w parze z bezczelnością: »W Haliczu chwalił się jeden temi słowy: ten to jest ogier, co deputatów halickich robi«.

Nie lepiej dzieje się w wojskowym stanie. »Porucznicy są jak prowincyały: sprzedają chorągwi. Daremniejszego kosztu i niepotrzebniejszej służby w Europie nie znajdzie«. Największe zdzierstwa popełniają podskarbiowie. Pełnią oni służbę pozornie bez wynagrodzenia, w istocie mają dochody dziesięciokrotnie przewyższające najwyższe płace. Oto np. biorą »na kałamarz« do 70.000 zł. Podskarbiemu Bogusławowi Leszczyńskiemu przynosił ten urząd pół miliona rocznego dochodu! Kupował sobie, jak jego poprzednicy i następcy, pokwitowanie zarządu skarbu

publicznego, rozgrzeszające go od wszelkich nadużyć. Starając się na sejmie o taki kwit, natrafił raz na opór jednego posła. Otóż podskarbi nasz trzymając w ręku rejestr kupionych przez siebie posłów, zawołał z niecierpliwością: A który to tam taki, com mu nic nie dał? Nic odezwał się żaden z posłów, widocznie wszyscy byli przekupieni.

Charakterystyka czasów i ludzi lśni się od anegdot i drobnych szczegółów, przydających opowiadaniu wojewody życia i wyrazistości. Oto przykład opozycji szlacheckiej wobec korony. »Krzyczeli Cyceronowie nasi na królów ze zwyczajną, nie dla rzeczywistej potrzeby, ale dla odświeżenia krwi. Jan Kazimierz żalił się, że go jeden poseł ciągle weksuje, a nigdy wziąć od niego nic nie chce«. Były to jeszcze złote czasy. Bo oto gorszy przykład za Jana Sobieskiego. »Senator jeden wrzeszczał w niebogłosość w sejmie na króla Jana za traktat grzymułtowski«, odstępujący Ukrainę Rosyi. »Otóż pewny siebie król przerwał mowę senatorowi i rzekł publicznie: Mospanie nie tak mów, wiesz waszmość dobrze, że tem tu byłem przeciwny i nic nie winienem. Ale waszmość mów, że winienem w tem, iżem waszmości tego wakansu nie dał«. Pełną garścią czerpać można z tej skarbnicy obyczajów, skreślonych piórem krytyka raczej, niż reformatora. Malują one wiernie, bez okras i ułudy naszą przeszłość, staczającą się po pochyłej płaszczyźnie. Autor wykazuje nadużycia, »żeby się niemi wszyscy brzydzyli«, ale podwalin ustroju społecznego nie tyka. Przeciwnie, reforma — w szczupłym zakresie, jaki jej wyznacza — miałyby, wyrastając z pnia staropolskich instytucyj, »wszystkie główne zasady rządu pozostawić nietknięte«.

Syn wojewody ruskiego i hetmana, zmarłego 1731 we Lwowie, Stanisław Wincenty Jabłonowski, odziedziczył po ojcu bogate starostwa i żyłkę poetycką. Jako cioteczny brat Stanisława Leszczyńskiego, popierał go razem z całą rodziną, w czasie powtórnej elekcji 1733 r., brał udział w konfederacji dzikowskiej, a potem dzielił smutne koleje losu króla wygnança. Po sejmie pacyfikacyjnym 1736 wrócił do kraju, pogodził się z dworem saskim i otrzymał województwo rawskie, za przysługi zaś wyświadczone w wojnie sukcesyjnej cesarzowi austriackiemu, order złotego runa i tytuł książęcy. Ten ostatni przyznał Jabłonowskiemu sejm dopiero w czasie pierwszego podziału Rzeczypospolitej, kiedy to na skróconą ojczyznę spadł deszcz tytułów książęcych, przyznanych Czartoryskim, Lubomirskim, Sanguszkom itp. Zostając z dworem polskim w naprężonych stosunkach, usunął się ks. Jabłonowski z areny życia publicznego i osiadłszy na wsi, oddawał się ulubionym zajęciom literackim aż do śmierci, która go 1756 zaskoczyła.

Napisał i wydał prócz rzeczy religijnych (Siedem łez grzesznika pokutującego, z uwagami ascetycznymi, męczeństwo św. Jana Nepomucena. Lwów 1740), Tacyta polskiego albo raczej moralia nad podchlebstwem (Lwów 1744) i Pamiętne uprowadzenie wojska z cieśni bukowińskiej od Stanisława Jabłonowskiego wojewody i generała ziem ruskich, hetmana W. K. w roku 1685 uczynione (Zamówienie 1745).

Bratem naszego wojewody rawskiego i starosty białocerkiewskiego był Jan Kajetan, starosta czehryński. Za popieranie Leszczyńskiego źle na dworze saskim widziany późno dopiero otrzymał województwo braclawskie, grubo się przytem opłaciwszy ministrowi Brühlowi. W czasie elekcji po śmierci Augusta III, stronniczy familii, której był przeciwnikiem, rzucili się nań z dobytymi szablami i byłby wybór sędziów kapturowych życiem opłacił, gdyby się był nie schronił do kościoła, który zatarasowano. Nie doczekał się już wygranej swoich przeciwników.

Zostawił dwa poematy religijne 1) Księgi Ester, Judyt i Zuzanna, z pisma św. wybrane i na wiersz ojczysty przełożone. Lwów 1757. 2) Porównanie dwóch Józefów.

Żona jego Anna Sapieżanka, zajmująca się gorliwie zarządem swych rozległych dóbr, doświadczenia swe na tem polu zebrane, wydała w ogromnem ośmiotomowem dziele p. t. Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców, drukowane 1785 r. we własnej drukarni, założonej w Siemiatyczach na Podlasiu. Zajmuje się tu uprawą roli, gospodarstwem leśnem, zarządem fabryk i daje szczegółowe przepisy dla pisarzy, ekonomów, wogóle ofycyalistów prywatnych. Żaden z wymienionych tu członków rodziny Jabłonowskich nie zajął przedniejszego w literaturze stanowiska — z wyjątkiem autora »Skrupułu«.

Niebawem po ogłoszeniu tego wybitnego dzieła Jabłonowskiego, wyszła broszura Franciszka Poklateckiego p. t. Kwestye polityczne (skracam dziwaczny tytuł), świadcząca o zupełnem wypaczeniu zmysłu politycznego. Autor rozbiera bowiem dziesięć mniej lub więcej ważnych spraw, przytacza dowody za i przeciw, »nie oświadcza się jednak wyraźnie na żadną stronę, aby nikomu sądu swego nie narzucać«, w istocie bałamuci do reszty swoich czytelników. Z przytoczonych przykładów możnaby wnosić, że był za wprowadzeniem tronu dziedzicznego i stałego wojska, za ograniczeniem władzy hetmańskiej, kładzie bowiem na szalę przeciwną gardłujących za wolną elekcyą i poposolitem ruszeniem, zbyt błahe argumenty. Czy się może obawiał wystąpić stanowczo na wspak panującej opinii i użył tej niefortunnej formy? Książka jego minęła bez wrażenia.

Sprawę reformy posunął dopiero Stanisław Leszczyński dziełem swem p. n. »Głos wolny«.

W rozwoju myśli społecznej w Polsce 18 w. zajmuje król Stanisław ważne stanowisko jako autor dzieł filozoficznych i moralno-religijnych w języku francuskim i polskim, jako malarz, statysta, pedagog i poeta.

Syn ministra skarbu i generała Wielkopolski Rafała Leszczyńskiego, urodzony w stolicy Czerwonej Rusi 1677 r., otrzymał młody Stanisław staranne wychowanie domowe, uzupełnione podróżami za granicą. Młodzieniaszkiem będąc, dostał bogate starostwo, a obrany posłem na sejm konwokacyjny, został wkrótce wojewodą poznańskim. Szczęśliwa gwiazda zabłysła mu w czasie wichury północnej: rycerski król Karol XII. osadził 1704 r. 28-letniego młodzieńca na tronie polskim. Ale gwiazda szczęścia jak niespodzianie zabłysła, tak nagle zgasła. Po pięciu latach rządów, do których sam nie miał zaufania, uchodzić musiał z kraju,

LA VOIX LIBRE
DU CITOYEN,
OU
OBSERVATIONS
SUR
LE GOUVERNEMENT
DE POLOGNE.
PREMIERE PARTIE.



P. Poniązek.

M. DCC. LIII.

Nr. 107. Głos wolny, wolność ubezpieczająca. Stanisława Leszczyńskiego.

pozbawiony tronu, mienia, ziemi ojczystej. A nieszczęścia te i długie lata wygnania dały mu sposobność zastanowienia się nad upadkiem ojczyzny i wzrostem mocarstw sąsiednich, nad środkami ratunku. Nas tu zajmuje głównie jego dzieło reformy. Wyszło ono bezimiennie, bez miejsca druku i roku p. t. Głos wolny wolność ubezpieczający. Podobnie jak dzieło jego siostrzeńca, również anonimowe, narażało ono autora na różne przykrości. Tak nisko bowiem upadła wystawiana wolność szlachecka, że wszelki głos prawdy, choćby wychodził z ust królewskich, osłaniać się musiał tajemnicą. Świadom tego smutnego stanu, powiada Leszczyński w przedmowie do swej książki: »Wiem ja, że materya reformacyi, choćby najlepszej, stanu Rzeczypospolitej naszej, jest u nas jak księga zakazana, nie godzi się o tem wspomnieć, jak Turczynowi wdawać się z chrześcijaninem o fałszach Alkoranu«.

Myśl reformy podjęta przez Leszczyńskiego nie była nową — nie schodzi ona z porządku dziennego na dworze Augusta III. w ministerstwach, we wszystkich niemal stronnictwach. Świadczą o tem nietylko akcesy do Rad St. Konarskiego, ale także instrukcye królewskie na sejmiki, propozycye ministeryalne na sejmy, memoriały i projekty reform partyi Czartoryskich i Potockich. Ze próby te ratunku, »tak wiszące w powietrzu, w czyn się nie wcieliły«, to wina nietylko rządów saskich, ale wina także narodu i sąsiadów, wina całego «znieprawionego politycznie ducha» wieku. Na tem tle wystąpi we właściwem świetle zasługa obywatelska słabego i chwiejnego króla, którego »Głos wolny« był wyrazem owych powszechnych dążeń do reformy, a jak niektórzy utrzymują, dziełem zbiorowem obu biskupów Załuskich i sekretarza królewskiego Solignaca.

W porównaniu z Jabłonowskim miał Leszczyński o wiele trudniejsze stanowisko, występował bowiem nie jako bezwzględny krytyk, ale jako statysta, usiłujący w czyn wprowadzić swoje reformy.

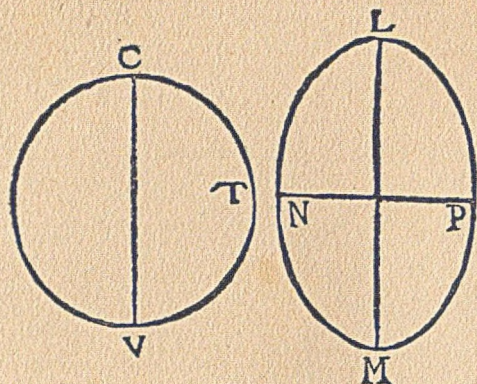
Wychodząc z porównania Rzeczypospolitej ze »starym gmachem, którego fundamenta, ściany i dach szybkiej wymagają naprawy«, rozpoczyna Głos wolny reformę od duchowieństwa. Wytyka mu chciwość, nadużycia, zaniedbanie obowiązków duszpasterskich, u góry zbytek, u dołu nędzę. Poleca tedy, w celu wyrównania tej różnicy, sprawiedliwszy zarząd majątków duchowieństwa, każe jedną część obracać na »dochody równe«, drugą na restauracyę kościołów, a trzecią na szpitale i ubogich. Zamienia też uciążliwe leże wojskowe t. z. stacye w dobrach duchownych na podatek pieniężny, zarówno korzystny dla wojska jak dla duchowieństwa.

W uwagach nad stanem rycerskim zarzuca jednym, że mając już od dzieciństwa nadane sobie najposażniejsze urzędy, uchodzić chcą za wielkich polityków, drugim, że mają pretensye do zaszczytów i godności, nie zasługując się na nie, innym że wszystką chwałę zakładają na próżnej ambicyi błyszczenia. »Staramy się — powiada trafnie — z wielką chciwością stanąć deputatami na trybunał, nie postawszy nigdy na nim; w służbie wojennej być zaraz pułkownikiem, nie nauczywszy się wprzód być komendzie posłusznym, a wszędzie tak w wojsku jako w radach z tą nieszczęśliwą przewencją, że każda subordynacya ubliża wolności i że do dostąpienia wszystkich godności nie trzeba ani zasług, ani umiejętności, ani eksperyencyi (doświadczenia), dosyć jest urodzić się szlachcicem«.

Leszczyński zarzuca Rzeczypospolitej zgubne nadużycie wolności, »niestałość i nieład w obradach sejmowych«, »prawa i uchwały bez wykonania«, »powszechny nierząd«. — Wszystkie, zdaniem jego, instytucye szlacheckie wymagają gwał-

N A V K A XXIII.

Pole Ellipsy znaleźć.

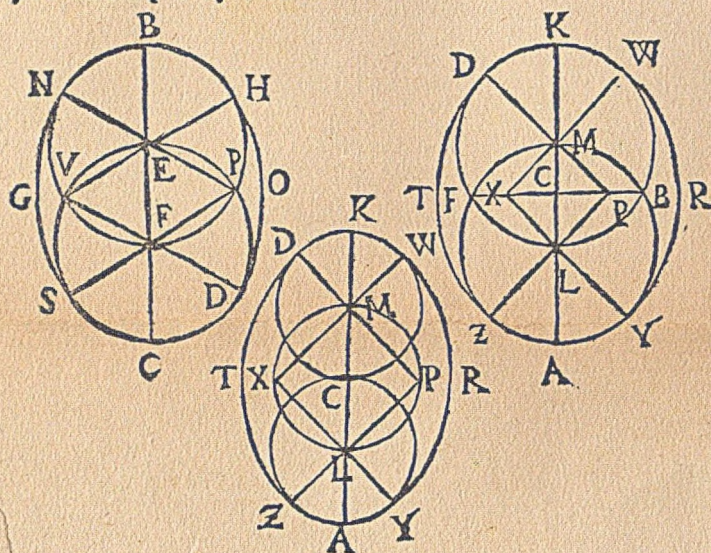


Między Dyámetrami LM, y NP, Ellipsy LNMP znajdź przednią proporcjonalną CV. Należy gdy zrysuiesz cyrkuł CTV, iáko ná dyámetrze, będzie pole tego cyrkułu CTV, wiadome z Nauki 10. równe połowi Ellipsy LNMP. *Clavis Geometr: practica libri 6 cap: VIII. num: 5. ex Archimede.*

N A V K A XXIV.

Owáty pekátsey y Strusiego láia znaleźć pole.

Z E w figurze 1. z rysowania, lunetá HD, iest szosta część cyrkułu całego, z połyámetru VH. Tákże lunetá BH, iest też szosta część cyrkułu, z połyámetru BE.



Znajdź pole klinu cyrkułowego VHOD, według Nauki 17 tej Zabawy y dwa rázy go wzięwszy, zpilnością nánoutuy. Tákże znajdź pole klinu EBH cyrkułus y on cztery rázy wzięwszy, przyday go do pierwszej liczby nánoutwany.

Potym wyrzuć z tey summy pole Czwártaká V F P E, który iest spolny, klinom ábo wyćinkom VHOD, PN G S: ostátek będzie pole Owáty pekátsey.

W tenże sposób znajdziesz pole láia Strusiego w figurze 2. y 3, z klinow. *XV* *DKW*, po dwa rázy wziętych, y wiednę summę zło- *ny kwadrat MPLX spolny, klinom XWRY, y PD*

townie reformy, ale reformy umiarkowanej, nie podkopującej fundamentów budowy, nie zrywających jej murów.

Nie oglądając się jeszcze na państwa ościenne o silnej, scentralizowanej w jednym ręku, władzy, nie przejmując się ideałami zagranicznych statystów, jak zwolennicy reformy Czartoryskich, próbuje Leszczyński po raz ostatni zgalwanizować staropolskie instytucje, skazane na zagładę.

Stąd wiele jeszcze pozostawia ze średniowiecznego porządku, a dzieło reformy składa w ręce uprzywilejowanych, wyznaczając im główną rolę. Zajmuje on stanowisko pośrednie między stanowym a konstytucyjnym ustrojem, co czyni reformę jego połowiczną. Najszkodliwszy przywilej stanowy, źródło gwałtów, przedajności i bezrządu, liberum veto, uważa jeszcze za klejnot wolności, żąda tylko jego ograniczenia. Przepisując jednak porządek odbywania sejmów, zbliża się nieraz do wymagań reprezentacji konstytucyjnej. Żąda naprzykład usunięcia dożywotniej władzy ministrów i czyni ich zależnymi od większości sejmowej. Myślą organizacji parlamentarnej ministrów i ich odpowiedzialności wyprzedził nawet pisarzy politycznych za granicą. Jeszcze głębsze są reformy Leszczyńskiego w dziedzinie skarbowości. Żąda on równego i jednolitego systemu opodatkowania, opartego na zasadzie równości w ponoszeniu ciężarów, nakładanych w miarę zdolności majątkowej. I w tym względzie zrywa zupełnie z zasadą średniowieczną, jakoby podatek nie był obowiązkiem publicznym, ale dobrowolnym darem stanów. Równie trafnym zrozumieniem potrzeb czasu odznacza się organizacja wojska, którą podnosi do 100.000 żołnierzy, co wobec groźnej postawy sąsiadów nie było zbyt wygórowanem.

Koroną jednak dzieła króla-filozofa była reforma stosunków włościańskich. Stanowisko zajęte przezeń w tej piekającej sprawie przynosi mu zaszczyt a »Głos« jego, zbrojny w potężną siłę dowodową, stawia na czoło naszej literatury tego okresu.

Przez wiekowy ucisk ludu i wyzysk robocizny szerząca się niewola, nędza i ciemnota wywołały licznych obrońców kmieci, domagających się energicznie prozą i wierszem, z ambon i katedr polepszenia ich doli. Najzagorzalsi rzecznicy kastowych przywilei malują »biedę i poniewierkę chłopską«, biadają nad losem »pogardzonych i uciemżonych«.

Już Starowski gromił w »Reformacji obyczajów« samowolę możnych panów i domagał się wręcz zniesienia poddaństwa chłopów, proponując ich oczyszczanie.

Profesor akademii wileńskiej Olizarowski żądał również ulg dla włościan. Oburzał go wyzysk pańszczyzniany, pozwalający chłopu pracę na własnym zagonie jedynie w niedzielę i święta. Obruszało go bezprawie, dające panu prawo życia i śmierci nad poddanym.

Ostrzegał i Herakliusz Lubomirski, filozoficzny sceptyk, w swych Rozmowach przed tem, »by rolników obciążać i krew ich wysysać«.

Za czasów Saskich, kiedy to »niemoc polityczna, zamęt społeczny, ogólna demoralizacja i ciemnota doszły do najwyższego punktu«, zaczynają się odzywać głosy zrazu odosobnione i nieśmiałe, potem coraz częstsze i silniejsze, domagające się poprawy położenia włościan. Zjawiają się pierwsze projekty reform, a czoło ich zajmuje Głos wolny Leszczyńskiego.

Z najwyższem uznaniem wyraża się król o ludzie, jako swoim chlebobawcy. Z ich pracy — powiada — nasze dostatki i wygodny. Oni ciężar podatków zno-

szą, oni wojska rekrutują, oni nas naostatek we wszystkich pracach zastępują tak dalece, że gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się stać rolnikami. I jeżeli kogo wynosząc mówimy: pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów. Jakim więc sumieniem w państwie chrześcijańskim lud pospolity traktujemy jako niewolników, nie kontentując się tem, że są poddani. Pan Bóg człowiekowi dał wolność, jakim prawem może mu ją kto odbierać? A potem czy można się spodziewać pożytku z takiej niewoli ludu? Bo jak wolność budzi szlachetność ducha, tak niewola rodzi gnuśną nikczemność, która się wydaje w prostocie naszego społeczeństwa. Nie myśli bowiem chłop przy swojej biedzie sposobić się do żadnej przemysłowości w ekonomii, ani do żadnych sztuk w rzemiosłach i pracując ustawicznie pod kiejem, nie robi nic z ochotą, będąc zwłaszcza pewien, że i to, coby zarobił, nie jego. I choćby który miał z natury jakie talenty, nie ma ani serca, ani czasu użyć ich skutecznie, nie myśląc tylko o tem, żeby się stał wolniejszym. — Jakim na to środki zaradcze? Przedewszystkiem uwolnienie z poddaństwa. Stosunek chłopca do dziedzica ma być oparty na dobrowolnej umowie, na wolności przeniesienia się z miejsca na miejsce. »Dawszy chłopu grunt a przy nim wolność wszelaką i nie obciążając go żadnymi robocznymi, z tego gruntu więcej będzie miał dzieć pożytku, niż ten, który mu poddaństwo przynosi«.

Od czasów Frycza Modrzewskiego nie podniósł się w literaturze tak donośny i potężny głos w obronie uciśnionych. Dotychczasowe narzekania »na opresję biednych poddanych« w sali sejmowej, gromy miotane na uprzywilejowanych z kazalnicy, gorzkie strzały satyry na niewolę poddanych, nawet śluby królewskie Jana Kazimierza, że lud uwolniony będzie od wszelkich nadużyć i ucisków, nie mogły się mierzyć z Głosem wolnym Leszczyńskiego, niosącym w darze społeczeństwu oswobodzenie pracy ludzkiej z niewoli kajdan. W płomiennych wyrazach głosi on skutki wynikające ze swobodnej pracy. Ona — powiada — pobudza jedynie znaczne instynkta w całym społeczeństwie, gdyż zachęca włościanina do uprawy ziemi i rzemiosł, a szlachcicowi nie pozwala gnuśnieć, gdy spożywa owoc cudzej pracy. Ona powraca społeczeństwu uczucia moralne, nie uznając za rzecz dobrą krzywdzenie sobie równego człowieka, ona sprawiedliwości daje podstawę obyczajową, nie pozwalając pracy cudzej uważać za prawo nabyte, ona wreszcie z rozległych pustkowi stworzy kraj kwitnący dostatkiem, a państwu da trwałą podstawę, czyniąc kmiecia obywatelem kraju.

W programie reformy Leszczyńskiego nie brak także projektu zmiany sądów patrymonialnych, »aby włościanin zdołał zabezpieczyć owoc swej pracy i aby krzywd swoich mógł dochodzić u władz państwowych«. Autor »Głosu wolnego« zwraca się nie tylko przeciwko nadużyciom tego prawa, ale przeciw samemu prawu, które za bezprawie uważa, czem podkopuje dawny ustrój społeczny i państwowy. Po Fryczu Modrzewskim, z całej duszy broniącym uciśnionych włościan, kiedy to jeszcze doła ich nie była najgorszą, jaśnieje imię dobrego filozofa słonecznym blaskiem na kartach dziejów oswobodzenia ludu roboczego z niewoli pańskiej. Dzieło jego rzucając snop światła na kwestję włościańską, powołuje do życia projekt Jędrzeja Zamojskiego i wpływa nawet po części na prawodawców sejmku wielkiego.

Głos wolny Leszczyńskiego bierze też w opiekę ludność miejską. »Takiej opresji — są słowa naszego polityka — jak miasta, nikt u nas nie ponosi. Jaka ruina budynków, jaka depopulacja mieszczanów, jaka indygenca rzemieślników, jakie ubóstwo kupców! A przecież to nasze emporja, bo my po morzach nie

plywamy i wszystkie nasze komercya z miastami, bo tam tylko sprzedać możemy; co się w domu urodzi. A jednak miasta te nie mają żadnej sprawiedliwości ani protekcji. A jaka tego racya? Nie insza, tylko to omamienie, że szlachcic nie miałby się za szlachcica, gdyby plebeja nie miał za niewolnika».

W ustroju społecznym króla-filozofa, zbliżonym do naszej budowy konstytucyjnej, świecą niby jasne pochodnie pojęcia sprawiedliwszej administracji, równego rozdziału podatków i wojennej służby jako nieurzeczywistnione ideały.

Dzieło reformy króla Stanisława Leszczyńskiego, lubo wyszło z druku w języku polskim i przekładzie francuskim, z wyjątkiem kilku życzliwych słów uznania ze strony przyjaciół, nie wywarło na bieg polityki społecznej żadnego wpływu. Spełniły się obawy nieufnego w swe siły kandydata do tronu: Był głosem wołającego na puszczy... Jeżeli się autor spodziewał, że mu to przysporzy sprzymierzeńców, to się omylił. Partya saska zbyt silne zapuściła korzenie w Polsce, aby sobie dała wydrzeć klejnot korony polskiej. Posłowie elektora pracowali energicznie na rzecz syna króla Augusta, apatycznego a zupełnie obcego narodowi. W jego obronie napisał Stanisław Konarski, podówczas jeszcze stronnik Sasów, owe słynne »Refleksyc do przyjaciela«. Autorstwo ich przypisywano Janowi Lipskiemu, biskupowi krakowskiemu, niecnemu intrygantowi politycznemu i karciarzowi, który przekupiony przez posła saskiego, popierał jako podkanclerzy koronny, kandydaturę swego »dobrodzieja«. Było to w czasie, kiedy szanse kandydatury Leszczyńskiego z każdym dniem rosły w siłę, a na sejmie konwokacyjnym zaprzysiężono jednogłośnie oddać berło królewskie rodakowi z krwi i kości.

Narzucającego się ex-króla forytował na tron polski jego teść, król francuski, Ludwik XV., wychwalał usłużny Wolter wierszem, o wiele skuteczniej popierał między-król prymas Teodor Potocki, głowa tego rodu, spowinowacony z Leszczyńskim, nie dla moralnych wartości kandydata, które nie były wysokie, przeciwnie dlatego, że znał »zupełną jego nicość« i był pewny, że »wyniesie na tron kreaturę swoją, przybraną w fikcyjne szaty majestatu, a przeznaczoną służyć interesom domu Potockich«. I kiedy poseł francuski Montr »wykupił był wszystkie drukarnie warszawskie«, z których rozlewały się na kraj broszury Stanisławców, nie próżnowali też posłowie sascy hr. Wackerbarth i generał Baudissin. Za ich pieniądze układali pamflety poseł płocki Dembowski (»List poufny«) i chorąży uzerski Grabowski (»Rozmowa dwóch szlachty«), ale broszury te były tak liche, że ich nie puszczono w obieg. Do tego celu dał się użyć słynny z »dużej głowy« ale słabego jeszcze charakteru Stanisław Konarski, Pijar, podówczas gubernator ks. Lubomirskich. Niedawno pisząc apologię kasztelana Poniatowskiego, aspiranta do wielkiej buławy (Rozmowa pewnego ziemianina ze swoim sąsiadem 1733) uderzał na panów, że szlachtę odsadzają od urzędów, dzierżąc je dziedzicznie, obecnie w »Refleksjach przyjaciela« odmawiał obłudnie mocy obowiązującej aktowi przysięgi konwokacyjnej. Broszurę tę a raczej pamflet, polecający niedołągę królewicza Augusta III, wykluczonego od tronu jednogłośnie przez sejm i wszystkich ministrów, drukowała ambasada saska w Wrocławiu a potem w znacznej liczbie egzemplarzy rozrzuciła w stolicy Polski. Musiała ta rzecz Konarskiego zrobić wyłom w zabicach Stanisławców, skoro za staraniem prymasa złożony sąd kapturowy w Warszawie »uznał ją za zbrodniczy paszkwil« i »skazał na spalenie z ręki kata«. Po powtórnej dopiero elekcji Leszczyńskiego zmienił front usłużny metr a późniejszy wielki reformator zakonu Pijarów w Polsce i zaczął gorliwie, szczerze popierać Stanisława, wbrew groźbom mocarstw sprzysiężonych, dowodzących w bez-

imiennie ogłaszanych broszurach, że »na wybór Stanisława nigdy nie zezwolą«. W tym celu wyłuszczał Konarski »Prawdziwe racje cudzoziemców, oponujących się Stanisławowi« a w »Listach przyjacielskich« przekonywał, że »Stanisław musi być królem polskim dlatego, że na niego cudzoziemcy nie pozwalają«. Krótkie były chwile entuzjazmu narodu, gdy z rzadką jedynością składał berło w ręce słabego monarchy — zwyciężyła nieubłagana siła bagnetów, podpierających dziedziczość tronu. Naród padł od tej samej broni, którą od wieków niebaczenie wojował. Pod egidą wolnej elekcji obce wojska, gospodarujące już w Polsce jak we własnym kraju, osadziły na tronie ojcowskim elektorowicza saskiego Augusta III. Nieszczęśliwy kandydat do tronu, uchodząc powtórnie z kraju, zniewolony był szukać ocalenia w ucieczce. Jakoż w przebraniu chłopskim, z tem samem incognito, z jakim wracał niedawno do Warszawy przeprowił się szczęśliwie z Gdańska, szukając w granicach państwa pruskiego schronienia. Tej smutnej »rejtryradzie« zawdzięczamy piękne dziełko ex-króla Stanisława. Opisuje w niem król malowniczo przygody swej ucieczki, jak np. ową niebezpieczną chwilę, kiedy leżący na wiązce słomy, na strychu chaty chłopskiej, słuchał przez kilka godzin rozmowy w izbie ścigających go Kozaków.

Wpływowi teścia, króla Ludwika XV. zawdzięczał Stanisław, że mu oddano małe królestwo Lotaryngii wraz z księstwem Bar, gdzie też od 1737 roku do śmierci panował. Wielce dobroczynny dla swych poddanych król, nie zapominał o swej ojczyźnie. Założył w Lunewilu akademię rycerską, wypracowawszy dla niej szczegółowy program, a szkoła ta wraz z dworem królewskim w Nancy wychowywała zastęp Polaków nowego pokroju, grupujących się około stronnictwa reformy.

Z dzieł dobroczynnego filozofa, wydanych wspaniale w języku francuskim w czterech tomach, zasługuje na wyszczególnienie *Rozmowa Europejczyka z obywatelem wyspy Damokali*, gdzie w formie wielce poczytnej podówczas w literaturze powszechnej *Robinsonad*, rozwija ideał rządu, przedstawiony w *Głosie wolnym*. To samo odpowiedzialne ministerstwo z Radami w każdej prowincyi, czuwającemi nad wykonaniem uchwał sejmowych, ten sam powszechny »system podatkowy, oparty na dziesiątym procencie od dochodu« — słowem wszystkie urządzenia projektowane w »*Głosie wolnym*« spotykamy w błogosławionem królestwie *Damokalijszyków*. Oba dzieła Leszczyńskiego doczekały się kilku wydań i przekładów na języki obce.

Nasz polityk, pedagog i filozof próbował sił swych na polu poezyi, układając dla pobożnej córki swej, zaślubionej królowi francuskiemu Ludwikowi XV, pobożne rozmyślenia z Augustyna — lub tłumacząc z francuskiego wierszem polskim *Historję starego i nowego testamentu*. W utworach tych religijnych, pisanych w języku ojczystym przez ojca, szukała opuszczona i zaniedbana przez męża, wielbiciele pani *Pompadour*, ulgi i osłody. Król, zwany nie bez słuszności dobroczynnym filozofem, rozwijał w licznych pismach, odbijających jego łagodny i spokojny charakter, zasady altruizmu i sprawiedliwości, ale poglądy jego w kwestyach religii, filozofii i polityki mocno zacofane, nie znajdowały odgłosu w epoce panowania *Rousseau'a* i *Woltera*.

Od czasów *Marka Aurelego* przebierali się chętnie monarchowie w togę uczonych. Współczesny Stanisławowi król *Fryderyk II.* parał się w młodości literaturą. W owym czasie była *Francya* królową opinii, nie więc dziwnego, że obu monarchom uśmiechało się imię pisarza francuskiego, podbijającego sławą świat wykształcony. Cała działalność literacka króla Stanisława spojona była tysiąciami

niemi z Francją. Pisał przeważnie w języku francuskim, a nawet gdy układał wiersze polskie, to były one jak Rozmowy duszy z Panem lub owa rymowana Historia biblijna tłómaczeniem z francuskiego. Król miał żyłkę literacką, ale z braku cierpliwości, potrzebnej do wykończenia dzieła, dawał je zazwyczaj do poprawy swemu przybocznemu sekretarzowi, Solignacowi, autorowi Historii polskiej, który po okrziesaniu języka i ogładzeniu stylu, nie bez pewnych zmian myśli autora, ogłaszał je drukiem.

Że pod piórem takowej operacji paczyły się nieraz intencje króla-filozofa, tego dowodzą Rady jego dla córki, przerobione przez pana Solignaca, a zajmujące czoło czterotomowego zbioru dzieł Leszczyńskiego. Znane są zamiary



Nr. 108. Portret Stan. Leszczyńskiego. — (Muzeum narodowe).

Ludwika XV., pojmującego w małżeństwo córkę króla pozbawionego korony. Wyniesiona na tron przez najpotężniejszego monarchę królowa Marya miała się stać »powolnym narzędziem jego myśli«. W tym duchu pisane też były pierwotnie wskazówki ojca: »Muszę ci na ostatek przedstawić — przestrzega Stanisław I. — że winną jesteś panującemu jako córka moja całą wdzięczność, jako królowa Francji, zupełne zaufanie — one nigdy nie dadzą ci przepomnieć licznych zobowiązań, zaciągniętych względem króla i skłonią cię do słuchania zawsze jego zbawiennych rad«. W czterdzieści lat po napisaniu tych słów, kiedy ze zmianą stosunków nie zachodziła potrzeba ich przypomnienia, opuszczono w druku powyższy ustęp, a całe pismo, noszące wybitne znamię swego czasu i pełne właściwej so-

bie barwy, nabrało poprawności — polityry, ale stało się mdłe i blade. Szczerść rad ojcowskich zakryły sztuczne ozdoby dworskiego stylu.

Biblioteka publiczna w Nancy, założona przez naszego krzewiciela oświaty, zawiera kilkadziesiąt pism jego nie ogłoszonych drukiem. Odnoszą się one do trzech głównych kierunków myśli króla-filozofa: do współczesnej polityki, stosunku kościoła do państwa, tudzież do administracji Księstwa i założonej przezeń akademii nauk i sztuk pięknych. Dźwignięty z upadku przez Francję, która mu się stała drugą ojczyzną, żywił dla niej król Stanisław nieklamane uczucia czci i miłości. Dlatego osią polityki europejskiej jest u niego Francya, wolna od win i pełna najlepszych chęci. Wychodząc z założenia, że źródłem trzechwiekowych klęsk i wojen było spórzawodnictwo Habsburgów z Burbonami, rozdzielające całą Europę na dwa wrogie obozy, radzi z wyższych powodów porzucić małostkowe pobudki nienawiści i rozwija myśl ogólnego pokoju, opartego na powszechnem rozbrojeniu, marząc w prostocie ducha o ludów harmonii. Jak nauczyciele jego St. Pierre i Fenelon, malujący w Projekcie trwałego pokoju i Telemaku świat utopii, tak uczeń ich mięsza w pismach polityczno-moralnych prawdę z poezją, rzeczywistość z ułudą.

W epoce, kiedy — jak sam powiada — powaga tronu i kościoła wstrząśniętą była w swych podwalinach, próbuje zgrzybiały starzec podeprzeć tron osłabieniem parlamentu, a nadwątłonej władzy papieskiej usiłuje wlać nowe siły przez dodanie mu do boku rady biskupów, wybieranych ze wszystkich krajów katolickich. Dobroczynny, pełen słodyczy i miłości pokoju filozof, staje się zaciekłym, dyszącym nietolerancją wrogiem wolności. Radby jednym zamachem zmieść z tego świata niewiernych jansenistów i w ogólności bezbożnych myślicieli.

Nieszczęśliwy ten król wygnaniec — dobrego, ale jak wosk miękkiego serca, pełen szlachetnych, ale jak ogień słomiany szybko gasnących porywów, raczej myśliciel niż człowiek czynu, raczej salonowiec niż polityk, był dla Lotaryngii najlepszym, najmiłościwszym monarchą, o czem świadczą do dziś liczne dobroczynne instytucye, okazałe pomniki sztuki i oświaty. Doczekał się późnej starości, dobiegając dziewiątego krzyżyka. Przypadkiem, gdy się nachylał do płonącego na kominku ognia, upadł i z ran popalenia umarł (1766 r.).

Myśl reformy społecznego ustroju Rzeczypospolitej, podjętą przez króla Stanisława, snuł dalej Stefan Garczyński. Potomek znakomitej rodziny w Wielkopolsce, urodzony pod koniec panowania Jana III., ukończył wyższe szkoły w Wrocławiu, gdzie miał sposobność poznać porządek, pracowitość i przemysłowość ościenego narodu. W wojnie domowej Augusta II. ze Stanisławem Leszczyńskim, walczył po stronie pierwszego, brał udział jako chorąży infanteryi w batalii kaliskiej a w koniecpolskiej jako kapitan, po śmierci jednak ojca porzucił służbę wojskową i oddał się z zapałem pracy obywatelskiej, piastując coraz wyższe urzędy, od chorążego ziemi wschowskiej (1717), aż do wojewody poznańskiego (1750) i pełniąc ważne posługi publiczne na sejmach i w komisjach.

Za jego staraniem uchwalono w sejmie grodzieńskim 1726 ustawę znoszącą nadużycia ówczesnego sądownictwa, pogrążonego w najzupełnijszem rozprzężeniu i oddającego słabych na pastwę możnych. Z tego to czasu przytaczają stare przyśłowia:

»Prawa są równie jak pajęczyna,
Wróbel się przebiję, a na muszkę wina.

Przy pomocy ustawy p. t. Trybunał głową korony, której pierwszy zarys przedłożył sejmowi, starał się nasz prawodawca podnieść naród swój z toni moralnego rozluźnienia. Owocem jego studyów nad położeniem kraju jest zbiór laudów, czyli uchwał sejmikowych z 17 wieku (doprowadzony do 1733 r.) w jednym z powiatów ks. poznańskiego, w którym się urodził i którego był naczelnikiem.

Zachorowawszy ciężko, wyjechał 1742 na kurację do Berlina, gdzie miał sposobność poznania »przezornej administracji« pruskiej. Porównywał ją ze stosunkami krajowymi, a wyniki tego porównania spisywał w dziele, które imię jego miało przekazać potomności. Za powrotem do kraju zawiązał ściślejsze stosunki z ludźmi, którzy pod wpływem zagranicy budzić zaczęli społeczeństwo z letargu, a niwecząc przesady wieku, próbowali zaszczepiać na pniu zbutwiałego ustroju politycznego płonkę nowoczesnych pojęć. Jako senator i poseł sejmowy »podzielał i wspierał gorliwie usiłowania« reformatorów, dźwigał podupadły przemysł i opiekował się uciemżonym włościaństwem.

Nabywszy na własność dobra Zbąszyńskie, zajął się podniesieniem zrujnowanego miasteczka, zakładając w niem szkołę; nie mniejszą troskliwością otoczył podupadłych włościan, uważał bowiem niziny społeczne za »główną podstawę pomyślności kraju«. Pełniąc obowiązki światłego obywatela i wzorowego urzędnika, padł na stanowisku — otruty, jak podejrzywano przez służącego, Niemca, wyznania ewangelickiego, który mimo złożenia dowodów niewinności, brany na tortury, zginął w więzieniu.

Iedy na spuścizna po Garczyńskim, to: Anatomia Rzeczypospolitej polskiej, napisana między elekcją Augusta III, a sejmem pacyfikacyjnym i wydana w Warszawie 1751 r. (dwie mowy jego z lat dawniejszych nie wchodzi w rachubę).

Nie dąży tu autor do przekształcenia ustroju politycznego Rzeczypospolitej, nie narusza głównych filarów jej społecznego porządku, stara się jeno o lepsze wykonanie i poprawę dawnych instytucyj i urzędzeń, dąży do podniesienia umysłowego i moralnego poziomu narodu — do postępu.

Zapuściwszy sondę anatoma w głąb rozpadającego się organizmu Rzeczypospolitej, wykazuje powszechne rozprzężenie i rozkład. Jako główną przyczynę tego opłakanego stanu, uważa wyniszczenie miast i upadek włościaństwa, wogóle pogwałcenie »niższych« klas społecznych. »Rzućmy okiem — powiada — na stan ubogi chłopski. Nędzny wieśniak chatkę ma skleconą jak na sikorę klatkę i to



*Stanislaw Leczynski flüchtet verkleidet
von Danzig nach Marienwerder. S.
Stanislas Leczynski se sauve déguisé
de Danzig à Marienwerder, 1794.*

Nr. 109. Ucieczka króla Stanisława.

dziur w niej około pełno, sam gościem prawie w domu, więc jedne dzieci od głodu, biedy i mizeryi, drugie od zimna i niewygody, trzecie od fetoru i złej z wieprzami i cielętami aury, muszą przed czasem zadychać. Tymczasem kiedy pan zaorze i zasieje folwarki i pustych nie mało śladów nie ma kim sprzątać, nuż na tłukę z batogiem podstarości lub włodarz bez respektu nawet i ciężarne wypędza niewiasty. A pan zaszczyca się, że mu się urodziło, a o tem ani wzmianki, że dla tak wielkich sprzętów nie mało ludzi ze świata sprzątnął«. Drugą przyczynę nieszczęścia widzi Garczyński w zaniedbanem wychowaniu, a przypisuje je ciemnocie i obojętności duchowieństwa. »Staramy się — mówi on — o ochrzczenie dorosłego w nałogach, zastarzałego w błędach żyda, a tymczasem przez niedozór w edukacji dzieci, tysiącami ich pada jak siano pod kosą śmiertelności, po ulicach, wsiach, domostwach«. Wyrzuca następnie panom pobożne, a kosztem zdrowia i życia poddanych robione fundacye. »Więc kto chcesz murować kościół boży — mówi — wprzód obacz po dobrach swych, jeżeli narzekanie ubogich nie woła przeciw tobic. A gdy ci nierozsądni nabożniszkowie niemowlę albo niewiniątko widzą boso i nago chodzące, które nikomu nic złego nie uczyniło, słowa nie wymówią. Ci duchowni, czy świeccy panowie, mają komendę nad swemi owcami, z których ciała żyją, z których wełny się okrywają, a przecie o ich życie nie dbają i prawie kainowskie mający serce, zdają się odpowiadać: Czyż ja stróżem jestem brata mego?« Poleca więc Garczyński zakładanie szkół po wsiach, a gdy mu głosy z kraju wymawiają się ubóstwem, on wskazuje na nieład i nierząd powszechny, na zbytki panów, szlachty, które stan ten ubóstwa sprowadziły. »Niepohamowane zbytki panów — powiada Garczyński — pociągają za sobą ostateczność mizeryi ubogiego ludu. Te zaś obie wiążą ręce rzemieślnikom, że na swoją robotę żadnego zbytku nie mają«. Bo np. »komuż sukiennik sprzedaje sukno, kiedy panowie ze sługami w holenderskich suknoch, a chłopci w siermięgach chodzą«. Wszystkie dochody pańskie z potu czoła poddanych lub z karczem pochodzące, obracają się do Węgier za wino, do cudzych krajów na stroje. Nawet to, co w kościołach widzimy, sprowadzane z zagranicy: ornaty, monstrancye, ołtarze — wszystko obcej ręki dzieła. Murują niektórzy pobożni duchowni i świeccy panowie kościoły i klasztory, ale je tak murują, że Bóg sprawiedliwy odwraca twarz swą od tych, co mu wspaniałe wystawiają świątnice, przeto, że te wystawiają z krwawym potem czoła, z krzywdą, z tysiącznemi przekleństwami ubogich kmiotków uciemienionych, draperowanych«... Tu wykazuje nasz statysta krzyżującą niesprawiedliwość, wyrządzaną ludowi w porównaniu z przybyszami, mającymi zapewnioną wolność osobistą i zupełną autonomię. Oto przykłady obchodzenia się z naszym kmiotkiem: »Pozywają się dziedzice o poddanego zbiegłego z wielkim sumptem, bo czasem sprawa w trybunale kilka tysięcy kosztuje, którego wygrawszy, osadza w złej chałupie, zaciąg robić każe, i częstokroć owego kmiotka, w roku albo prędeż, z żoną i dziećmi umorzy. I nie lepiejby było o nic się nie pozywać, a dobrze konserwować poddanych, których mieliby aż nadto«. »Drugi pan, będąc myśliwym, wyjedzie na łowy ze psy, a gdy widzi, że one dziś dobrze goniły, nazajutrz im odpoczywa, z racyi, że mu się psy zwlekły, a takiej kompasyi nad bliźnim katolickim nie zażywa, jaką sfatygowanej bestyi świadczy«. Jako dalszą przyczynę zubożenia kraju uważa Garczyński, niesprawiedliwy rozkład ciężarów i podatków, przygniatający mieszczań, lud wiejski i żydów; radzi więc nałożenie na wszystkich podatku ogólnego, przez co utrzymać będzie można regularnie płatne i dobrze urządzone stałe wojsko — nieo-

dzowny warunek pomyślności kraju. I tu przytacza znów przykłady o pomstę wołającej niesprawiedliwości: »Pytamy się — woła — z której też kondycyi więcej osób łożą życie swoje za ojczyznę? Pewnie ze stanu gminnego i pospolitego. Pytam się, kto więcej służy na wojnie, kto więcej cierpi, kto więcej słoty, zimna i wszelkie niewczasy wytrzymać musi za ojczyznę? Pewnie, że prosty żołnierz. A zatem, który stan większym potem czoła ojczyźnie się zasługuje, ten też go dzień większego u zwierzchności swojej, a przynajmniej równego pieczęlowania. A na ostatek, któż znosi ciężar wojskowej płacy, jeżeli nie samo pospółstwo? A że stan duchowny i szlachecki są od tej uwolnieni płacy, więc należy im zasłaniać tych, którzy ich trojakim sposobem od podatku uwalniają: najprzód, że własnym życiem ojczyzny bronią, potem, że jej pogłównie płacą, naostatek, że codzien panów swych zaciąg robią«.

Przytacza następnie jako przyczynę nieszczęścia kraju: zaniedbanie gospodarstwa i porządku, niesprawiedliwość w sądach, w końcu zrywanie sejmów. »Kto jest okazyą sejmów rwania — powiada — grzeszy ciężkim bardzo grzechem, który ledwo może być odpuszczony, bywa okazyą niepowetowanych zawodów, tylu osób trzy stany zgromadzone reprezentujących, tylu kosztów, strat, okazyą darmo poniesionych w pocie czoła prac, trudów i fatyg«. Rwący sejm zostawia ojczyznę bezbronną, wystawia ją na rozboje i najazdy, naraża w końcu biednych na głód i nędzę.

Anatomia Rzeczypospolitej polskiej powstała już w epoce, kiedy skutkiem wpływów kultury zachodniej światlejsi ludzie głosili zasadę, że »przeżyte i wypaczone urzędnictwa, które poprowadziły Rzeczpospolitą do moralnego rozprzężenia i do bezwładności politycznej, wobec wzrostu państw ościennych, całości jej i niepodległości utrzymać nie zdołają«. Dążyli przeto postępowcy ze wszystkich sił do reformy owego przestarzałego ustroju. Ze względu jednak na środki, do celu tego prowadzące, rozchodzili się drogi owych reformatorów. Jedni, a na ich czele stała familia Czartoryskich, widząc bystrym wzrokiem rdzeń złego w nierządzie, postawiła sobie za cel reformy: »zaprowadzenie silnego i sprężystego rządu«, w postaci »dziedzicznej monarchii konstytucyjnej«, zmianę obrad sejmowych na zasadzie większości głosów, rozciągnięcie praw obywatelskich na mieszczan i lud, zabezpieczające ich przed samowolą panów, podniesienie handlu, rękodzieł, przemysłu, siły zbrojnej, wychowania. Drugi obóz, patryotycznym zwany, pragnący również naprawy zła, nie tykał podwalin ustroju społecznego, lecz żądał tylko »usunięcia bezprawia i nadużyć powstałych z pomijania ustaw krajowych«. Domagali się więc ci narodowcy »środków przymusowych do szanowania praw, porządku w zarządzie kraju, ładu w skarbie«, spodziewając się na tej drodze przywrócić Rzeczypospolitej »jej dawną potęgę, świetność i sławę«. Do tego obozu należeli: marszałek koronny Bieliński, hetman polny Waclaw Rzewuski, prymas Łubieński, biskup Sołtyk, Krasieński, ludzie zacni i niespożytej energii, ale konserwatyści.

Stefan Garczyński należy kierunkiem myśli do pierwszego stronnictwa, tradycją tkwi jeszcze w drugim. Po odrzuceniu starych rupieci scholastyki i dyalektycznej argumentacji, wspierającej się na szczudłach powagi Arystotelesa w towarzystwie ojców Kościoła, po otrząśnięciu bombastu i napuszoneści, upierzonych w makaronizmy i niesmaczne ozdóbki, po uporządkowaniu bezładnego roztrząsania, ciągłych powtarzań i po wyrzuceniu tak zwanych *a m b a g e s*, zostaje czyste ziarno prawdy, które po dwu wiekach nie straciło swej żywotności. Poleca tu autor jako

najpierwsze i najpilniejsze zadanie: pracę około podstaw społeczeństwa, co do dziś jest pierwszym punktem naszego programu.

Od Anatomii Garczyńskiego krok jeden do największego dzieła reformy: O skutecznym rad sposobie, w którym wielki reformator wychowania i smaku, Stanisław Konarski, zrywa już stanowczo z *liberum veto*, owym rakiem, toczącym organizm polityczny Polski. Z ogłoszeniem tego dzieła, przypadającym na sam koniec panowania Augusta III, rozpoczyna się nowy okres literatury polskiej.

W odróżnieniu od pisarzy wieku XVII, przybierających ton moralizatorski i czyniących poprawę stosunków społecznych zawisłą od uczciwości jednostek, zstępują statystyci XVIII wieku w głąb rzeczy, starają się poznać przyczynę złego i podają na nie rozmaite środki zaradcze. Wskazując jednak narodowi, staczającemu się w przepaść, drogi ratunku, »niosąc mu leki na ciężkie i głębokie rany«, nie zdołali ugodzić w samo sedno. Wykrywając grzechy instytucji politycznych, domagano się ich poprawy a nie zniszczenia jako przestarzałych i zgubnych, widziano błędy w sposobie sejmowania, a nie odważono się na zniesienie prawa »nie pozwalam«, uznawano zgubne skutki elekcji, a nie chciano tronu dziedzicznego, uważano za konieczne uporządkowanie skarbu państwa i organizację wojskowości, a nie chciano płacić podatków na ich utrzymanie, narzekano na przedajność i przewlekłość sądów, a nie przyłożono ręki do ich zmiany. Pisarze polityczni tego okresu byli ludzie światli, pełni najszczerzych chęci, »troskliwi o dobro ojczyzny, myślący nad jej ratunkiem«, nawołujący do jej poprawy, ale w owych czasach anarchii politycznej i moralnego zwyrodnienia, w dobie »dojrzałej do utraty bytu państwowego« nie wystarczało już dążenie do reformy, trzeba się było zdobyć na krok stanowczy, na program radykalny, na operację, którą w chirurgii nazywają cięciem cesarskiem.

Polityków reformy — wyjmujemy tu Konarskiego — podzielić można na dwa obozy; jedni »uderzają na straszny upadek moralny narodu i zepsucie obyczajów, na niski poziom jego życia duchowego« i wołają: »poprawcie się, bo zginiecie, bo sąsiedzi was rozszarpią«, ale nie zapisują recepty na ich chorobę, — do nich należą: Jan Jabłonowski i Stefan Garczyński; drudzy, dalej widzący, dopatrują rysów w samej budowie politycznej, wytykają usterki w administracji, widzą braki w formie rządu, w samych instytucjach staropolskich, a zaliczają się do nich Karwicki, Szczuka i król Stanisław. Ci i tamci przykładając dźwignię do reformy, zastrzegają się, że żadnych nie wprowadzają nowości, lecz pragną tylko »sprostować to, co się z biegiem czasu wypaczyło«, jak gdyby się obawiali narażać sferom decydującym. Znamiennym ich rysem charakteru jest brak odwagi cywilnej. Kojarzy się z nią obawa o naruszenie wolności i przywilejów szlacheckich. Tem śmieiej występują przeciw władzy królewskiej, którąby radzi do reszty przez odebranie jej rozdawnictwa urzędów uszczuplić. Spotykamy się przytem z powszechnem żądaniem tajnego głosowania na sejmach i sejmikach, w nadziei usunięcia na tej drodze korrupcyi i protekcji, a »dodania odwagi chwiejniejszym charakterom«. U wszystkich zresztą pisarzy politycznych widzimy żądanie stałej armii, ograniczenia wybujałej władzy hetmańskiej, reformy skarbowości i ogólnego opodatkowania. Wszyscy skarżą się na ucisk miast i włościan, a zbyteczną swobodę szlachty i stanu duchownego, wszyscy przepowiadają rozbiór Rzeczypospolitej między sąsiednie państwa, jeżeli się naród wreszcie nie opamięta.

Rozwojowi literatury politycznej nie dotrzymują kroku nauki ekonomiczne. Literatura ekonomiczna tego okresu w Polsce, lubo nie wyzwoliła się jeszcze

z pęć kanonistyki średniowiecznej, płynie z prądem merkantylizmu. Oba te kierunki krzyżujące się lub uzupełniające nawzajem, zawarunkowane były stosunkami ekonomicznymi, głównie przemianą gospodarki naturalistycznej w gospodarkę pieniężną, nie mniej wszakże i teoryami ekonomicznymi, przedostającymi się do nas z zagranicy.

Kierunek kanonistyczny, jako wywodzący ród swój w prostej linii z teologii, nie zapiera się swego pochodzenia i podkreśla silnie pierwiastek etyczny, chrześcijański. Przedstawicielem jego jest ks. Jezuita Marcin Śmiglecki, autor kilkakrotnie w XVII wieku wydawanego dziełka »O lichwie«, nachylający się już znacznie ku merkantylistom. Ci ostatni wychodząc z założenia, że pieniądź jest najważniejszym czynnikiem bogactwa narodów, dążyli przede wszystkim do wzrostu tego bogactwa. Jako przedstawiciela tego merkantylnego kierunku uważać można mincerza Jana Grodwagnera, który »Dyskursem o cenie pieniędzy« (1631) rozwinął politykę handlową w tym postępowym duchu. Przeważna jednak większość pisarzy łączyła oba kierunki — nie przejmując się w zupełności ani coraz silniej rozkrzewiającymi się teoryami merkantylistów, ani też poglądami kanonistów minionej doby, patrzy na wszystkie ważniejsze objawy życia społecznego przez szkła szlacheckie.

Do rzędu takich eklektyków zalicza się między innymi Stanisław Zaremba, starosta grabowski, autor »Okularów na rozchody w koronie« (1623). Wychodząc ze stanowiska kanonistów, uważających rolnictwo za najmiłą Bogu czynność, mieni je najgodniejszym wolnego szlachcica zajęciem. Ziemianin — powiada Zaremba w pierwszym dyskursie — »zarabia najuczciwiej na chleb swój«, a gospodarstwem swem przyczynia się do bogactwa narodu, które zgodnie z teorią merkantylistów uważa za najwyższe dobro społeczne. Natomiast kupiectwo nazywa wręcz »rzeczą nieprzystojną«, przekraczając bowiem t. z. przez kanonistów słuszną cenę (iustum pretium), żyje wyzyskiem i zdzierstwem tak wytwórców jak spóżywców.

Stając jako ziemianin w obronie tych ostatnich, żąda wprowadzenia stałych cen i jednostajnych miar. Wobec gwałtownie podniesionych cen zboża, towarów, i płac robotnika, (wóz siana kosztował 1520 r. 7 zł. 18 gr., w r. 1675 płacono zań 24 zł. — zapłata parobka podskoczyła w tym samym czasie z 16 zł. 10 gr. do 35 zł.), biada szlachta na drożyznę. Omawiając ten smutny stan, przytacza Zaremba różne zdania tak szlachty jak kupców »o przyczynach drogości i podniesienia pieniędzy«, sam zaś uważa za pierwszą przyczynę: samowolę kupców. »Dlaczego — pyta szlachcic — tak wszystko podrożało? Czemu teraz na jeden łokieć więcej aniżeli przedtem na całą suknię wydamy?« Bo każdy — odpowiada autor — czyni, co chce, a kupcy, co im się podoba«. Za dalszą przyczynę drożyzny uważa Zaremba pogorszenie monety, zwłaszcza drobnej. »A wyście też — powiada szlachta do kupców — tego nieszczęścia niemałą przyczyną. Bo gdy u was towary kupowano, zawszeście łokieć kilka groszy taniej dawali, gdy wam talary albo czerwone złote obiecowano«, zamiast wypłaty w mocno spodłonej zdawkowej monecie. Na co odpowiadają kupcy, że »lepszy funt złota niż centnar ołowiu«. A »i to godzi się przypomnieć, że Waszmości gospodarstwa swoje opuściwszy, jeliście się swymi poddanymi furmanic, których w niwecz obróciwszy«, doprowadziliście fortuny swe do upadku. Zaremba upatruje też zgodnie ze Śmigleckim przyczynę drożyzny w monopolu handlu (»gdy jeden tylko przedawać abo kupować może, inszym onego kupiectwa broniąc«). Malując w trzecim i ostatnim dyskursie »fortele i nie-

znośne zyski, zdzierstwa i łupiestwa kupieckie«, podaje przez usta szlachcica pruskiego następujące sposoby zapobieżenia owym nadużyciom a przez nie drożyznie. »Nie widzimy i my — powiadają Prusacy — lepszego sposobu jedno się do starych zwyczajów wrócić, a ziemię zawrzeć, (zamknąć wywóz wyrobów krajowych) pieniądze zniżyć (przez redukcję monety), składy swoje mieć (w kraju), ażeby cudzoziemcy kupcy do nas z towarami i po nasze towary przyjeżdżali. Towary przywiozszy, taniej by je dawali tak jako my woły do Niemiec zagnawszy i inne towary nasze, z niemалą szkodą zawiózwszy, często tanio sprzedawać musimy«.

Zarówno jak handel, nie cieszy się i przemysł opieką naszego domorosłego ekonomisty. Rzemiosło uważa on za ubliżenie stanu szlacheckiego. Ze zgrozą opowiada, że szlachta zamiast uprawiać rolę »nakupiwszy skór, szewcom w miasteczkach i wsiach swych wyrobić je każą, a obuwia narobiwszy, na jarmarki sami jeźdżą, drudzy rozsyłają. Bywają i tacy, którzy do kuśmierzów skóry dawszy a kożuchów narobiwszy, także z nimi rozsyłają, albo — gdy ich sprzedać nie mogą, poddanym rozdlawszy, aby im według ich woli one płacili — przymuszają. Bez wstydu już niektórzy zdechliną kupeczą, a mianowicie gdy uśnionemi rybami poddane(nych) zarażają. I herbem kupeczą!« Prawo polskie odbierało szlachcicowi, zajmującemu się handlem, klejnot — ale rzeczywistość zmieniła je już w zeszłym wieku w czczą formalność. Nasz obszarnek radby nawrócić skrzypiące koła postępu na drogę niepowrotnie minionej przeszłości. Aby rzemieślnicy »tak drogo nie brali« za swe wyroby, a tem samem szlachta mniej płaciła za towar, poleca Zaremba nakładanie stałych cen czyli t. z. taryfy, mającej przeszkodzić »wyzyskowi konsumentów«. Ustawa powinna, zdaniem naszego starosty, określić taksę tak towarów jak i usług. Kanoniści polscy domagali się tego samego ze względu na »dobro producenta«, naszym merkantelistom zaś chodzi przedewszystkiem o konsumenta, t. j. szlachcica, który z braku pieniędzy, na polu ekonomicznem ustępować musiał mieszczańom, zasobniejszemu w gotówkę. Atoli ani owe domagania się stałej taryfy przez najwybitniejszych pisarzy, ani wprowadzenie jej w życie zapomocą ustaw i rozkazów urzędników koronnych — nie odnosiły pożądanego skutku. Prawa rozwoju handlu i przemysłu przeszły ponad głowami opierających się im ziemian jak burza oczyszczająca duszną atmosferę.

Zgodnie z merkantylistami za granicą królestwa stara się Zaremba i jemu podobni ekonomiści polscy o podniesienie przemysłu, upatrując w niem słuszenie wzbogacenie narodu. Dlatego żąda ściągnięcia rzemieślników polskich, rozprószonych za granicą, do kraju, nadania im swobód i przywilei — wprawdzie nie szlacheckich, ale wolności i ulg podatkowych. — Poleca, powołując się wyraźnie na przykład Francji, zakaz wywozu surowców (»abyśmy nie pozwalali wełny, skór, lnu, konopi i innych towarów wywozić«) i ułatwienie wywozu wyrobów krajowych, widzi w tem bowiem jeden z najdzielniejszych środków rozwoju rodzimego przemysłu.

Nie mało miejsca w literaturze tego okresu zajmuje kwestya żydowska. Z niezliczonych broszur i rozpraw, prozą i wierszem, słowem i piórem omawiających tę piekącą sprawę, wymieniam następujące: Dzieło doktora filozofii Sebastjana Miczyńskiego, p. t. Zwierciadło korony polskiej t. j. urazy ciężkie i utrapienie wielkie, które ponosi od żydów, wyrażające synom koronnym na sejm 1618 r., pismo lekarza Sebastjana Slescovii: Odkrycie zdrad złośliwych, ceremonii tajemnych, praktyk szkodliwych Rzeczypospolitej i straszliwych zamysłów żydowskich (Brun-

berg 1631). Poemat Achacego Kmity, żupnika Bocheńskiej, p. t. Kruk w złotej klatce abo Żydy w świebodnej wolności Korony polskiej (1648). Te i tym podobne pisma ciskają gradem najwstrętniejszych obelg w żydów jako sprawców wszelkiego zła i nieszczęścia; znajdziesz tu jednak i słuszne zarzuty zdzierstwa i matactw synów Judy.

Nasi pisarze żywią wogóle nietajoną niechęć ku głównemu żydów zawodowi, t. j. do handlu. Nawet ci, którzy uważają stan kupiecki za pożyteczny, nie zamykają oczu na oszukaństwa i zdzierstwa, wogóle na nadużycia kupców. Oto jak się wyraża o nich życzliwy im Jan Grodwagner, w dziełku wyżej zacytowanym. Pisze on tu co następuje: »Znajdują się u nas w Polsce tacy, co to naturę polską do uwierzenia snadną i nie tak na rozeznawanie kupi jako na dzielność spraw odważnych uformowaną wybaczywszy (podpatrzywszy), inszym stanu kupieckiego ludziom na wstyd zarabiając, pilnie o tem myślą, jakoby jak najbarziej oszukiwać«. Dotyczy to naturalnie przedewszystkiem żydów, jako nieoddającym się pracy produkcyjnej. »Uważam bowiem — powiada Grodwagner — skądby oni takie sumy zbierali, ponieważ się ani gospodarstwem nie bawią, nie orzą, nie sieją, ani inszych co przycięższych im robót ponoszą, ale na nie pospolicie chrześcijan najmują i zażywają«. Miczyński powiada wprost: »Żydowie w przedawaniu, kupowaniu, robotach, posługach, nawet uczynności abo dogodzeniu czasu potrzeby: szczerzy szalbierze. Słyszę głos: Nalepiej żydowi przedać, nalepiej żyd zrobi, nalepiej posłużyć, naprędzej czasu potrzeby dogodzi. Mylisz się, ktokolwiek tak rozumiesz abo mówisz. Co się bowiem tknie dobrego przedania żydowi, to nagorsze jest, boć abo pieniądze oberznione da, chociaż w liczbie więcej, abo ze złych naprawne, abo na poły przyprawne. Co się ściąga do taniego kupna i tu w żydzie jako w tym, który z przyrodzenia szalbierz, odrobiny szczerości nie masz. Boć insze ukaże, insze subtelnie podrzuciwszy przeda, abo starszyzną trochę przynowioną za nowe abo snadź namicszawszy gorszej i fałszywej matercy do tej, którą przeda«. Do tych przykładów nieuczciwej konkurencyi przydaje Grodwagner: Złotnicy »złoto i srebro przysadą i inszymi fortelnymi sztukami sfałszują«, kuśnierze »futro okroją i namacawszy je znowu pięknie wyciągną«, krawcy »jedwabiem starym i zbutwiałym, co mu lekko przyszedł, przeplecie i tak to wymusnie niem, że tego nie poznasz«. A Kmity dodaje: »Żyd taniej sprzeda mięso, lecz go wprzód splugawi«. W walce konkurencyjnej, prowadzonej z wielką zaciekłością, wypierali żydzi ludność chrześcijańską, na co się uskarżają nasi antysemitcy, jak np. Miczyński. »Żydy — powiada on — miasta koronne przez odjęcie kupiectw i handłów zubożywszy barziej i ubożą, rzemiosła uczciwe, któremi miasta stoją, w nędzę wprawili, towary i żywności nie tylko w mieściech, ale i przed miasta zabiegając zakupują«. Słowem »przez arendy miast, wsi, ceł, myt, miynów, karczem, pany do szkody, poddane do zniszczenia przywodzą«. W wierszu Kmity o kruku w złotej klatce czytamy:

Żyd miód warzy, żyd gorzałkę pali,
Żyd kramarzem, towarem jak chce szali,
Żyd na mycie, żyd na cle, żydy na arendzie —
Tak przełożonych Polaninów oczy coś poczarowali,
Że wszystkie chrześcijańskie dobra pochowali.

Do najszkodliwszych praktyk żydowskich należy lichwa. Dawniejsi nasi ekonomiści jak Sebastyan Petrycy, tłumacz Ekonomiki Arystotelesowej, Marcin

Smiglecki, autor dziełka O lichwie, i inni tej kategorii, wychodząc z moralnego punktu widzenia, uważają wszelkie pobieranie prowizji i odsetek za zysk niesłuszny, wogóle za rzecz niesprawiedliwą. Cóż dopiero jeżeli ta pożyczka jest niegodnym wyzyskiem, powodującym zgubę dłużnika! Wprawdzie zastrzegają się, że lichwą trudnią się nie tylko żydzi — już Skarga narzekał, że »są ludzie, którzy wszystkie żydy przechodzą, dziesięć i dwadzieścia i trzydzieści od sta biorą, gubią domy potrzebnych i prawie pożerają«, co Stanisław Zaremba potwierdza, miotając swej braci zarzut, że »lichwi, biorąc 20 procent do 50, gorzej od żyda« — mimo to cały ciężar winy zwalają na żydów. »Lichwą bawić się — powiada Petrycy — żadnemu człowiekowi nie przystoi, chyba żydowi, który się nie ogląda na słusność i na poczciwe zyski, owszem, ma sobie za wielką rzecz, gdy chrześcijanina oszuka albo odrze«. Miczyński zarzuca żydom, że »lichwą chrześcijany jedne nieznacznie (niewidocznie) gubią, drugie lichwiarzami czynią«. A ów autor Kruka powiada:

...Gdy szlachcic idzie na wojnę,
Tymczasem pan żyd włości jego pustoszy,
Młyny, karczmy wyniszczy, poddanych rozpruszy,
Stąd, że się powróciwszy z wojny poratuje
Szlachcic, gdy żydom dobra wszystkie zafantuje.

Jakie środki ochronne polecają nasi ekonomiści wobec tego wrogiego im żywiołu? Najlepiej byłoby, zdaniem przeważnej części, pójść za przykładem Hiszpanii i wypędzić ich z kraju. Mimo, że żydzi hiszpańscy przysparzali państwu ogromne dochody — powiada Grodwagner — wygnano ich tam w liczbie 400.000! Albowiem dochody przez nich dostarczane, zdzierają oni z obywateli kraju. Miczyński radzi nałożyć na żydów większy podatek. Te wielkie żydowskie bogactwa — powiada — jako i sami żydowie, koronie i skarbowi są niepożyteczne. Należy przynajmniej podnieść pogłównę — podatek pobierany od żydów — »Podskarbiowie powinni wejrzeć, aby od każdej z osobna głowy — nie wierząc najmniej żydowskiej przysiędze, bo się w żydzie wiary nigdy nie domacasz — płacili. Uczyniłoby to w dziesięciornasób więcej niż dają, gdyż się ich w koronie najdzie po kilkakroć stotyście«.

Po żydach największym złem był fałszywy pieniądź. Reformie monety poświęcają też nasi ekonomiści najwięcej czasu. Ogłaszano w tej sprawie mnogo broszur od XVI. wieku począwszy, dotyczyły one reformy systemu monetarnego — Przypominam znakomity traktat Kopernika O sposobie bicia pieniądza, w którym nestor astronomii, na długo przed odkryciem t. z. prawa Greshama, wykazywał, że pieniądź gorszy wypiera z obiegu lepszy. Pisma z epoki odrodzenia, przeważnie zagadnieniom praktycznym poświęcone, tkwią jeszcze w poglądach średniowiecznych t. z. teorii kanonistycznej. Pobieranie procentu — choćby najmniejszego — od kapitału uważano zgodnie z duchem ewangelii za lichwę. Z upadkiem jednak gospodarki naturalnej a wyzwoleniem kapitału jako czynnika produkcyjnego, następuje przeobrażenie pojęć w polityce ekonomicznej i w literaturze. Merkantylizm — jako nowy kierunek ekonomiczny — uważa »pieniądz sam w sobie za bogactwo narodu«. To też już nasi ekonomiści z doby odrodzenia jak np. Andrzej Ciesielski, doradza powstrzymanie odpływu pieniądza z kraju, albowiem — zdaniem jego — Rzeczpospolita będzie o tyle bogatsza, o ile będzie miała więcej pieniędzy, czyli kruszcu szlachetnego, jako ich równoznacznika. Ze zmianą zapatrywania na pieniądź, ulegają przeobrażeniu poglądy na cenę, wartość,

kredyt, wogóle na handel i przemysł. Odbiciem tych zmienionych pojęć ekonomicznych jest dziełko ks. Jezuity i profesora akademii wileńskiej M. Śmigleckiego: *O lichwie i przedniejszych kontraktach*, w licznych wydaniach od 1596 r. rozpowszechnione w Polsce i ścielące się pomostem między dwa kierunki w literaturze ekonomicznej: teorii kanonistycznej i merkantylizmu. Śmiglecki zarzuca już t. z. słuszną cenę, odpowiadającą kosztom wytwarzania towaru, a wprowadza pojęcie ceny rynkowej. Dalsze zmiany dokonywały się pod wpływem nowych dróg handlowych.

Handel czarnomorski, głównie tranzytowy, t. j. zajmujący się przewożeniem towarów przez Polskę, z handlu lądowego zmieniony (przez przeniesienie punktu ciężkości ku wybrzeżom Bałtyku) na handel morski, staje się wywozowym (eksportem zboża z Polski) i przywozowym (importem wyrobów zagranicznego przemysłu), co znów powoduje rozkwit Gdańska. Szlachta, jako jedyna prawie klasa produkująca zboże na wywóz, postarała się o nieograniczony niczem eksport, usiłując obniżyć cenę dowożonych z zagranicy towarów. Skutkiem napływu kruszców szlachetnych w Europie, nastąpiło i w Polsce obniżenie siły kupna pieniądza. Nadto przez psucie się stopy monetarnej zmniejszyła się wartość pieniądza. Czynniki te spowodowały groźne przesilenie ekonomiczne w Polsce. Sprawa redukcji pieniądza czyli przywrócenia mu dawnej ceny staje na porządku dziennym sejmów w pierwszych dziesiątkach XVII w. Stąd dostaje się do literatury ekonomicznej. Wyrazem ówczesnej w tej rzeczy opinii jest bezimiennie około 1620 r. wydana broszura p. t. *Dyskurs o poprawie monety*. Autor jej występuje odrazu jako merkantylista, uważa bowiem za ideał ekonomiczny kraju »przyciągnąć jak najwięcej złota i srebra«, a jak najmniej wydawać. Tymczasem Rzeczpospolita polska wydaje zagranicą wszystek pieniądz, otrzymany za zboże, na kupno towarów obcych. Doradza przeto autor jako środek ochrony zamknięcie granicy. Za główne jednak zadanie swe uważa reformę monetarną, mającą rozwiązać wszelkie niedomagania społeczne.

Na wyszczególnienie zasługują w tym programie następujące postulaty: »ograniczyć w obiegu obcy pieniądz do grubych i dobrych tylko gatunków, a wykluczyć złą i drobną monetę« — wyrównać w kraju wartość pieniądza drobnego z grubym.

Uderzając na anarchię monetarną powiada autor: »Mówią, że nierządem Polska stoi. Słaby to argument. Niechajże przynajmniej w tem jednym będzie rząd, żebyśmy pieniądze przecie mieli do poparcia tych nierządów, bo jak pieniędzy nie będziemy mieli, to rządby w nędzy nastąpił, za którym — jako powiadają — zginęłaby Polska«.

W r. 1623 wystąpił bezimienny autor z rozprawą: *Pokazanie szkód Rzeczypospolitej dla podniesienia pieniądza* (w rękopisie), żyrując się również jako zwolennik teorii merkantylistycznej. (»W którym królestwie najwięcej złota i srebra, to jest najbogatsze«). Z tego stanowiska rozbierając sprawę podrożenia pieniądza dowodzi, że podrożenie to wychodzi na korzyść kupców, a na szkodę szlachty. Albowiem w tym samym stosunku podrożały też i towary, za które szlachta więcej zboża wydaje. »Czem mniej zaś zysku otrzymuje ona ze sprzedaży zboża, tem mniej złota i srebra wpływa do kraju — a tem samem zmniejsza się bogactwo narodu«.

Takiem argumentowaniem przykrajano u nas zasadę merkantyizmu na szlachecką miarę, puszczając zasady teorii ekonomicznej na koło interesów klasowych. Jako środek zaradczy proponuje autor redukcję pieniądza, t. j. podniesienie ceny

złotego w dwójnasób, co szlachcie obiecywało podwójne ze sprzedaży produktów dochody. Psucie monety przypisuje w znacznej mierze żydom.

O tej zgubnej roli żydów pisano wiele w owym czasie, między innymi w wierszu p. n. Wytrąbienie monety fałszywej z Polski 1622 r., której za cnotliwe złoto i srebro nawieźli włóczęgowie (t. j. żydzi). Przypisuje on temu fałszerstwu monety opłakany stan kraju: »lud wszędzie strapiony, którzy głodem pomarli, drudzy się wiesili, nie mając za co kupić; przytem o żywność bicie, gwałtem wydzieranie — a gdzie wejrzysz, wszędzie drogość, wszędzie narzekanie«. Tutaj roztacza poeta haniebną system obdzierania ludności przez żydów w porozumieniu z urzędnikami, przy pomocy fałszywych orłów. Te i tym podobne broszury pisane były przez szlachtę.

»Zagadnienie o redukcji pieniądza« (pisane po łacinie 1627) jest wyrazem opinii stanu kupieckiego. Kiedy autorowie uprzednio wymienionych rozpraw domagali się oznaczonej na towary taksy, ten jako kupiec przemawia za zupełną wolnością cen towarów, a jest tylko za unormowaniem cen żywności. Jako przyczynę drożyzny uważa on nadzwyczajny napływ kruszcu i obniżenie się stopy pieniężnej. Wręcz przeciwnie niż autorowie broszur stojący na stanowisku ziemiańskim i przypisujący drożyznę podniesienia cen grubego pieniądza przez niesumiennych kupców. Autor Zagadnienia sprzeciwia się też proponowanej przez nich redukcji ceny pieniądza do stanu z przed lat 40, albowiem nie zapobieży ona drożyznie, a wywoła gwałtowny przewrót w stosunkach handlowych.

Ze sfer myncerskich wyszło pismo niemieckie starające się wykazać, że nie mennice polskie są przyczyną podrożenia pieniądza — ale kupcy i bankierzy dowożący fałszywą monetę, a wśród nich żydzi, główni sprawcy drożyzny.

I. Grodwagner w dwu rozprawach, poświęconych cenie pieniądza, a wydanych około 1631 r., stara się po raz pierwszy oznaczyć stosunek wartości złota do srebra i odtąd kwestya podwójnej waluty nie schodzi już z pola naszej literatury ekonomicznej. Że tu wymienię tylko rozprawę łacińską p. t. Discursus, podającą jako główną przyczynę podniesienia wartości pieniądza dowóz złej monety z zagranicy, a wywóz dobrej krajowej. Z licznych w tym przedmiocie broszur, zasługuje na bacniejszą uwagę »Dyskurs o monecie« S. Starowolskiego, którego punkt widzenia zbliża się do materialistycznego na świat poglądu. Uważa on »sprawy ekonomiczne za główną dźwignię« życia społecznego, »sięgają one zarówno do stosunków materialnych, jak moralnych i politycznych — są jakby ich sprężyną«. Podaje też sposoby polepszenia stopy pieniężnej, a przez to podniesienia wartości pieniądza. Jeden z najskuteczniejszych środków podniesienia w kraju przemysłu, uważa i on zamknięcie granicy. Kiedy w XVI wieku dawano niemieckiemu miastu Gdańsk, środowisku całego handlu zbożowego Korony, nieograniczoną prawie wolność handlu, obecnie szlachta — przez usta Starowolskiego — stając w obronie swoich interesów ziemiańskich ale także i narodowych, pragnie »Gdańszczan pysznych uśmiercić«, albo przynajmniej zawarcie granicy dać im uczuć, »że bez nas żyć nie mogą«. Ścisłe naukowy charakter ma traktat p. t. Sumaryusz umiarkowania monety starej z dzisiejszą (Kraków 1641). Znajdujemy tu porównanie roli pieniądza w społeczeństwie z krwią krążącą w organizmie. »A jako krew gdy się tylko w główniejszych żyłach zatka, a do mniejszych nie przejdzie, narodzi rozmaitych chorób, tak i moneta, kiedy się tylko w wielkich worach zostawa, a w chudszych jej mało będzie, muszą szwankować membra (członki) Rzeczypospolitej. I tak ze złego fałszowania tego soku, potrzebnego Rze-

czypospolitej, pochodzą rozmaite występki jako lichwy, fałszerstwa, przekupstwo, monopole i pogorszenie coraz większe monety«. Pierwsza to próba krytycznej oceny roli pieniądza w gospodarstwie społecznym. Nie dziw więc, że nie ma jeszcze jasnego pojęcia o istocie i przyczynach przesilenia, jakie nastąpiło w pierwszych dziesiątkach XVII wieku. Polegało ono na tem, że cena wszystkich towarów w tym czasie wskutek deprecyacji waluty w trójnasób się powiększyła, ale tylko nominalnie, w istocie trzymano się tyleż podniesionej wartości grubej monety (dukatów i talarów), a nie odnoszono cen do niskiego kursu drobnej, trzykrotnie gorszej monety srebrnej. Stan ten wywołał silne starcie najbardziej w tej sprawie interesowanych ziemian z kupcami i dał początek naszej literaturze ekonomicznej

Szlachta upatrując przyczynę złego w chciwości kupców, ustanawiała taksy towarów czyli stałe normy cen, doradzała zawarcie granic i przywrócenie pieniądzom dawnej ich wartości. Ale wszystkie te środki polityki ekonomicznej ziemian nie prowadziły do celu, a właściwie nie były w praktyce wykonalne. Stan kupiecki zaś widzi w tych projektach uszczuplenie swoich interesów i domaga się usilnie nieograniczonego handlu. Starcie to, dwóch krzyżujących się z sobą kierunków, stało się najsilniejszym bodźcem dla rozwoju myśli ekonomicznej, budzącej się do życia w trzecim dziesiątku lat XVII wieku. Literatura następnych dziesiątków obraca się głównie około umiarkowania ceny złota i srebra. Wskutek bowiem silnego podskoczenia cen złota, nastąpiło szalone ażio na srebro, co spowodowało skup talarów przez spekulantów i wywóz ich za granicę. Szlachta jako jedyna eksporterka, wychodząc z założenia teoryi merkantylnej, że »tylko wywóz przymnażał bogactwo kraju«, skierowywała wszystkie swoje usiłowania w praktyce i w literaturze ekonomicznej ku »powstrzymaniu odpływu pieniędzy za granicę«. Równocześnie dąży ona do »osłabienia czynnika państwowego w zakresie handlu i pieniądza«, a w pojęciach o wartości i kapitale zrywa ostatnie nici z kanonistycznymi teoryjami.

Pod koniec panowania Władysława IV. przestały mennice koronne wybijać pieniądze, za Jana Kazimierza zalewa kraj cały obca i zła moneta, co powoduje zupełny upadek waluty. Równoległe z tym stanem idzie obniżenie się pojęć ogólnych o pieniądzu w literaturze. Wyrazem tego jest broszura bezimienna p. t. Dowód jasnej szkody, którą ponosi królestwo polskie z cudzoziemskich pieniędzy — podana na sejm koronny 1645 r. Tak wielkie i szerokie królestwo — żali się autor — swojej miary nie ma, a mierzy się obcą. Osobliwie wielkie spustoszenia wyrządza śląska moneta, tudzież lewkowe i złote talary, dowożone z Holandyi. Z rozprawki p. t. »Szląg, piętak i grosz cieszyński dobru pospolitemu w Polsce szkodliwy« (Kraków 1654) dowiadujemy się, że drobna ta moneta nie ma już żadnej wartości, »szczera blaszka, albo rybia łuska, którą zdmuchniem«. Sprowadzano ją beczkami z zagranicy, a rozchodziła się głównie wśród najbiedniejszych warstw ludności. Odzywają się więc głosy przestrogi: »Szląg — mały pieniądz, ale mniejsza iskra, a cały dom spali«.

Wskutek wyczerpania szczupłych finansów na utrzymanie potrzebnego w ciągłych wojnach żołnierza, uchwalono na propozycję Boratyniego, zarządcy mennicy koronnej, w celu przysporzenia znaczniejszego dochodu Rzeczypospolitej, wypuszczenie ogromnej ilości niemal bezwartościowego pieniądza. Wywołało to ze strony najbardziej w tem interesowanych kupców gdańskich, ostrą opozycję. Z tego też obozu wypuszczono cały szereg broszur, występujących przeciw owym zarządzeniom.

»Rozmyślania mennicze«, pismo wydane w języku łacińskim 1659 r., powiada z powodu tego bicia monety (miedzianych szelągów na sumę miliona złp.) podrożenie pieniądza. »Doświadczenia bowiem uczą — powiada bezimienny autor — iż w takim samym stosunku, w jakim ubywa wartości drobnej monetcie, rośnie cena talara, póki nie zrówna się z ceną drobnej monety«. Z czego stracą wszyscy od króla do chłopca około 20⁰/₁₀₀, a skorzystają »sprytni sąsiedzi«, przez dowiezienie podrabianych pieniędzy. W obronie zaatakowanej wskutek redukcji pieniądza mennicy, a właściwie w obronie jej dzierżawcy Boratyniego, wyszła broszura p. t. Informacja względem szelągów, wydana 1661 r. Natychmiast wystąpili przeciw niej Gdańszczanie. Oni, którzy »właczali i wypychali soki ożywcze całego ruchu handlowego w Rzeczypospolitej tj. pieniądze«, odczuwali najdotkliwiej wszelkie skutki dewaluacji monety. Dlatego postanowili chytremu Włochowi dać odprawę w broszurze, wydanej w tymże samym roku aż w trzech językach: polskim, łacińskim i niemieckim. »Krótki i ścisły wywód« wykazuje szkody, jakie poniesie Rzeczpospolita z bicia miedzianych szelągów, cały bowiem zysk z tego ciągnąć będzie tylko dzierżawca mennic. Wywód ten nie odniósł skutku. Puszczono w obieg owe szelągi; wywołały one wśród publiczności powszechne niezadowolenie. Zarzucano, że są »ze szkła robione«, że »w piasek zakopane w żużel się obracają, a masłem namazane w mąkę się mieniają«. Odpierał te zarzuty Boratyni w broszurze p. t. Informacja o mennicy szelągowej, starając się dowieść swojej niewinności. »Po te czasy bowiem — jak to sam opowiada — tak go nowa moneta w mniemaniu u najwyższych i podlejszych kondycji ludzi ohydziła, iż stanu i człowieka w Polsce nie było, któryby opatrzmem rozumieniem nie posądził go i podłości tej monety jego winie, że nie rzekę jego zdradzie nie przypisywał«.

Przez wydzierżawienie drugiej mennicy Andrzejowi Tynffowi, wybito około 7 milionów srebrnej monety t. z. tynfów, które obok szelągów miedzianych, puszczone w obieg w tejże ilości, sprowadziły finansowe bankructwo. Pociągnięto do odpowiedzialności sprawców tego stanu: Tynffa i Boratyniego, oskarżając ich o sprzeniewierzenie 4 milionów. Boratyni oczyścił się, Tynff zaś ratował się ucieczką. Wywołało to całą literaturę broszurową o charakterze raczej praktycznej niż teoretycznej doniosłości. Wykazywano w niej »szkody i straty nie tylko w handlu, ale we wszystkich gałęziach życia i skarbu«, domagano się »zaprzestania bicia zwłaszcza srebrnych tynfów« i ograniczenia ilości szelągów. Discursus de re monetaria (1664) podziela te zapatrywania, potępiając zyski ciągnięte z bicia monety przez ludzi prywatnych, którym powierzają tę urzędową czynność. Uważa on wpływ złej monety szkodliwszym od grabieży i spustoszeń wojennych.

»Wywód sprawy monetarnej« (1664), zwala również całą winę przesielenia pieniężnego na myncarzy i uderza na Koronę, która »oprócz kosztów bicia stara się jeszcze inne zyski ciągnąć z pieniędzy«. Wykazuje przytem szkody wyrządzane ludności przez wyławianie starej, dobrej monety i przetapianie jej na nową i lichszą. W łacińskim »Liście pewnego kupca do szlachcica polskiego« (1669) czytamy, że wybijane w tym czasie orty, szóstaki i tym podobna podlejszej próby moneta tak się zagnieździła w Polsce, iż »wyparła z obiegu prawie wszystek lepszy pieniądz«. W stosunku do obniżenia się wartości i stopy pieniądza obniżyły się dochody skarbu, ubożała szlachta, upadał handel. W takich warunkach przemawiali niektórzy ekonomiści za redukcją czyli zmianą złej monety

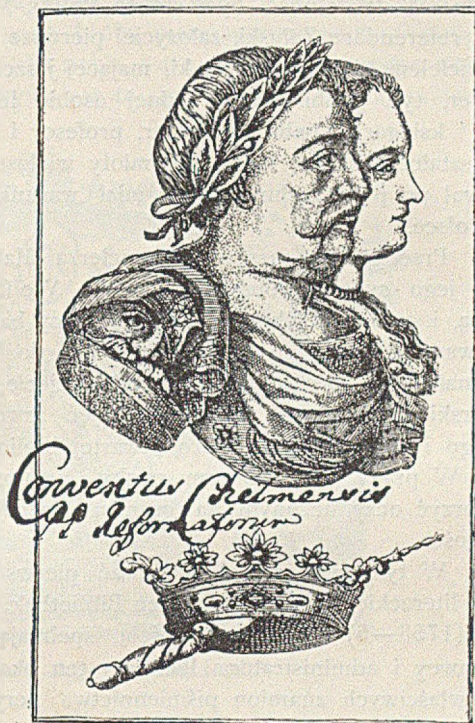
na dobrą. Sprzeciwia się temu autor »Listu«, podając jako przyczynę tę okoliczność, że na takiej zmianie nie ucierpiałaby ani szlachta ani lud uboższy, ale jedynie kupcy.

Z upadkiem pieniądza i jego nieobliczonymi skutkami zanika i literatura ekonomiczna, dotycząca tego przedmiotu. Od czasów Jana III, począwszy aż do schyłku panowania Sasów, nie ukazała się — z wyjątkiem kilku kompilacyjnych dziełek — żadna wybitniejsza praca. Rynek literatury zasypują Summaryusze, Tarify i Redukcyje, wydawane przez zakony Jezuitów lub Pijarów. Barometr życia ekonomicznego spadał coraz niżej.

Przebłyśki nauk społeczno-ekonomicznych odgrzebać można wsteku wiadomości przyrodniczych i historyczno-literackich, jakimi przepętnione są czasopisma.

Matką dziennikarstwa polskiego była Bellona. Zwycięstwa lub klęski wojenne wkładały świadkom lub uczestnikom pióro do ręki, aby zawiadomić publiczność o wynikach bitew. Wymieniam kilka tylko przykładów: Nowiny z Infantant o zwycięstwie Jana Chodkiewicza (Kraków 27 września 1605). Krótkie opisanie wzięcia Smoleńska (1611). Nowiny o przegranej pod Cecorą (1620), Nowiny z Moskwy, Warszawa 1634 (trzy wydania), Gazeta (o zwycięstwie pod Chocimem) z Warszawy 6 Octobra 1673. Ojcem tych niezliczonych świstków, jak mgła wiosenna znikomych, była polityka. Chodziło najczęściej o przekonanie lub wpływ na dwory zagraniczne, dlatego pisano w obcych językach, zwykle w łacińskim, czasem niemieckim.

Rokosz Zebrzydowskiego wywołał pismo p. t. Mercurius sarmaticus seu relatio. Mogunciae 1606. Nowiny o szczęśliwem postępowaniu Władysława królewicza (wyprawa do Rosyi) 1617. Nowiny pewne z Rakuz, dnia 12 stycznia 1620 przyniesione. Ausführliche Relation der königlichen Wahl 19 Juni 1669 (Elekcyja Michała) itp. W drugiej połowie XVII. wieku zaczęto już wydawać stale pisma peryodyczne, wzorowane na zagranicznych. Wymieniam dla przykładu Awizy wszelakie za przywilejem króla drukowane (Kraków 1696 i następne), Mercurius polonicus pro Januario (Kraków 1696) itp. Z początkiem XVIII. wieku spotykamy już Gazety polskie, a od grudnia 1729 wychodzi stale w Warszawie Kuryer polski, pierwszy dziennik polityczny, wydawany przez I. Naumańskiego. Na modłę sąsiadów dodawano do owych pism politycznych wiadomości literackie, artykuły naukowe, sprawozdania o dziełach obcych. Pierwszy ten zarybek publicz-



Miles erat, post signa ferens, post Scipio, Dux, Rex.

Nr. 110. J. Rubinkowskiego Janina.

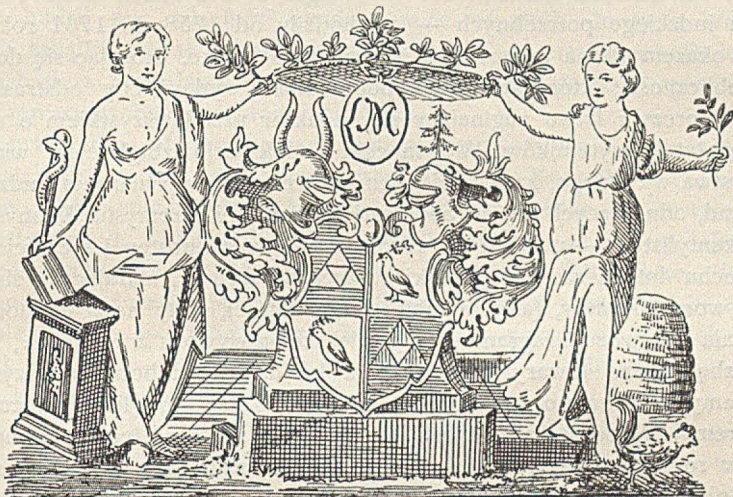
styki jest jeszcze niezróżnicowany. Obok szarad łacińskich spotykasz recepty na leki, wierszyki francuskie w przekładzie łacińskim figurują przy anegdotach i fa-cecyach.

Popęd do publicystyki naukowej jako samoistnej gałęzi literatury, dali Niemcy zamieszkali w Gdańsku i Toruniu. Po Prusakach przyszła kolej na Sasów, zagnieżdżonych w przybranej ojczyźnie za Augustów. Uczeni niemieccy, przyby-sze z kraju oświecenijszego, widząc niski poziom kultury krajowej i formalne wśród gminu szlacheckiego zdziczenie, zabrali się gorliwie do pracy nad duchowem od-rodzeniem Polski, tak pod umysłowym jak moralnym względem zaniedbanej. Ogni-skiem ich działalności była stolica Polski, Warszawa. Największego poparcia uży-chał referendarz Załuski, założyciel pierwszej publicznej biblioteki w Polsce. Przed-stawicielem owej publicystyki, mającej jeszcze na pół obcy charakter, jest Lorenz Mizler, typ polihistora, w jednej osobie lekarz i teolog, filozof i prawnik, mu-zyk i księgarz, poeta i redaktor, profesor i krytyk. Jak wszyscy encyklopedycznie wykształceni ludzie, łączył przymioty wielostronności z ruchliwością, a jakkolwiek pływał po powierzchni spraw, miał warunki do rozbudzenia ruchu umysłowego w Polsce.

Przebywając jeszcze u kanclerza Małachowskiego jako guwerner, zaszcze-piał jego synowi potępianą filozofię Wolfa, robił doświadczenia nad rudą że-lazną, i aplikował chorym swój cudowny balsam, jeden z uniwersalnych środków na wszelkie rany. Po przesiedleniu się do Warszawy (w środku XVIII. wieku), zjednął sobie jako lekarz niezwykle wzięcie, (ułożył nawet projekt stowarzyszenia lekarskiego), a czas wolny od zajęć zawodowych poświęcał nauce języka pol-skiego i studyował, w świeżo otwartej bibliotece Załuskich, dzieje i literaturę pol-ską. W pracy tej, jak sam pozbył się uprzedzenia do Polaków, tak postanowił otworzyć oczy uczonym za granicą, zaznajamiając ich ze skarbami naszej umy-słowości.

W tym celu zaczął wydawać pierwsze w piśmieniu polskim czasopi-smo literackie p. t. Warschauer Bibliothek. Założył je i utrzymywał przez dwa lata (1753—5) własną ofiarnością, spełniając funkcje redaktora, współpracownika, wydawcy i administratora. Pierwszy ten okaz publicystyki naukowej nie ma jesz-cze właściwych znamion piśmiennictwa peryodycznego: Przez całe dwulecie wy-szły zaledwie cztery zeszyty, a i te nie miały szerszego koła czytelników, ani go mieć pragnęły — jako czasopismo »uczone«. Wydawane na wzór podobnych czasopism XVII. wieku za granicami kraju, w języku dla przeciętnego czytelnika niezrozumiałym, nie podejmowały żywotnych a nawet społecznych spraw. Naj-więcej miejsca poświęcano ogłaszaniu w streszczeniach skarbów rękopiśmiennych i rzadkich druków biblioteki Załuskich. Jak pisma owego typu na zachodzie, zaj-mowały lwia część owej »Biblioteki warszawskiej« nauki przyrodnicze i lekarskie; te ostatnie, podlane sosem reklamy cudownych proszków i pigułek własnego wynalazku redaktora, nudziły już najpobłażliwszych czytelników. Równie niestrawnym był pokarm historyczno-bibliograficzny. Na tem polu jednakże położył Mizler pe-wne zasługi, ogłaszając po raz pierwszy dzieła Rudawskiego, Bużyńskiego, do dziś nie wydane drukiem w oryginale. Z krótkich artykułów treści filozoficznej widać, że pierwszy w Polsce redaktor pisma naukowego należał do ludzi śmiałych i po-stępowych. Z góry zastrzegał się, że nie pozwoli na to, aby czasopismo jego stało się areną kłótni w sprawach teologicznych, »one bowiem nie przynoszą najmniej-szego ludziom pożytku, a u czytelników budzą największe obrzydzenie«. Szerząc

naukę Wolfa, szczylił się, że należał do pierwszych apostołów jego filozofii — a nie zapominajmy, że za krzewienie tej nauki prześladowali nasi Arystoteletycy księdza A. Wiśniewskiego jako bezbożnego heretyka. Radby, aby nowe odkrycia i prawdy uczonych dotarły aż do ciemnych cel klasztornych, uważał bowiem za jeden z najlepszych na uprzedzone i zabobonne umysły środek: znajomość filozofii i matematyki. W sądach odnoszących się do oświaty i literatury w Polsce bywał nasz asymilowany cudzoziemiec nad wyraz względny i łagodny. Budzący się do życia ruch umysłowy oceniał życzliwie. Czasem jeno wyrwą mu się z głębi piersi słowa nagany, jak np. że wielu panów uważa dobrze zaopatrzoną piwnicę za rzecz pożyteczniejszą aniżeli najpiękniejszą bibliotekę. Po wydaniu satyr Boileau w przeróbce polskiej Załuskiego p. t. Próba pióra nowego poety (Warszawa 1753), gdy publiczność polska, biorąc do siebie ostre wycieczki satyryka, zaczęła sarkać, bronił Mizler autora temi słowy: »Jest to złym znakiem, że się czytelnicy



Nr. 111. Acta litteraria Regni Poloniae 1755.

polscy temi satyrami tak obruszyli. We Francyi podziwiają Boala rodacy, w Polsce ganią go nieroztropnie. Snadź wielu nie może tu znieść prawdy, a lubo proklamują panowanie wolności, pragną jednak z najuczciwszych pisarzy uczynić niewolników«.

Takowe i tym podobne, rzadkie zresztą, wycieczki w dziedzinę krytyki, wywołały niechęć czytelników do Niemca, wyrzucano mu najniesłuszniej miotanie na naród polski potwarzy. Trafnie odpowiedział zaczepiony redaktor, że »w świecie nauki prawda jest jedyną busolą, a w celu szerzenia dobrego trzeba koniecznie złe wypleniać«. Niechęć publiczności polskiej i obojętność świata uczonego za granicą, zmroziły ten pierwiosnek czasopiśmiennictwa w Polsce. Cudzoziemiec bez pomocy współpracowników, bez poparcia materyalnego, lubo pierwszy pchnął wózek gaziarski na szerszy gościniec, zatrzymał się w środku drogi.

Zniewolony zwinąć »Warschauer Bibliothek«, w ostatnim zeszytcie zapowiadał nowe pismo w języku łacińskim »Acta litteraria Poloniae«, — funduszów na wydawnictwo dostarczył znany mecenas Józef Aleksander Jabłonowski, druk objęła własna oficyna Mizlera. Pouczony doświadczeniem, postanowił tu wiado-

ności przyrodnicze wraz z medycyną zepchnąć na plan dalszy, a wysunąć na-przód nauki prawno-historyczne. Nie zmienił wprawdzie tendencji oddziaływania na świat uczony za granicą w kierunku rehabilitacji narodu polskiego, ale dbał również o opinię publiczności polskiej i stosował się w części przynajmniej do jej potrzeb umysłowych. Ale i to czasopismo pokładanych w niem nadziei nie ziściło.

Krocząc zółwim śladem — przez ośm lat (od 1755 do 1763) ukazało się zaledwie ośm zeszytów — czerpiąc materyał z książek, podając strawę ciężką i nudną, samym charakterem rocznika, pisanego dla garstki uczonych w języku łacińskim, nie mógł wpłynąć na szersze koła publiczności. Niccierpliwy, gorączkowo rzucający się na różnorodne dziedziny Niemiec, nie czekając skutków tego drugiego przedsięwzięcia, rozpoczął trzecie. W celu nawiązania ściślejszych stosunków z publicznością polską, zaczął nowe pismo w języku polskim, zerwawszy z dawniejszą myślą oddziaływania na uczonych zagranicznych w ich własnym języku.

Nowe wiadomości ekonomiczne — magazyn wszystkich nauk do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych — wychodziły od 1758 do 1761 roku i były pierwszym okazem pisma »uczonego« w ojczystym języku. Stosując się do potrzeb polskiej publiczności, którą sam język poprzednich wydawnictw odstraszał, stara się przedsiębiorczy i łatwo naginający się redaktor przedewszystkiem o cel praktyczny, o pożytek czytelników. W tym celu podaje najniezbędniejsze wiadomości z gospodarstwa wiejskiego, zaznajamia ziemian z nowymi wynalazkami, udziela mieszczanom rad, odnoszących się do podniesienia handlu i przemysłu. W myśl ówczesnych merkantylistów — uważa i on wzrost kapitałów za postęp i szczęście narodu.

W duchu dotychczasowej polityki naszych agraryuszy, starających się o osłabienie przywozu towarów, (aby je mogli tanio nabyć), dąży nasz ekonomista do »zmniejszenia przywozu z zagranicy, a powiększenia wywozu z państwa«, żąda zaś, aby najniezbędniejsze towary wyrabiano w kraju, »dotąd bowiem wszystko, cokolwiek damy i kawalerowie na sobie noszą, od stóp do głów jest cudzoziemskim towarem«. W celu eksploatacji Karpat proponuje założenie »Kompanii kupieckiej« w rodzaju towarzystwa akcyjnego, a od rządu domaga się, aby wspierał usiłowania jednostek, kontrolował jakość i cenę towarów, wyznaczał nagrody za towary odznaczające się niezwykłą dobrocią, a nadto aby wpłynął na podniesienie handlu i przemysłu nałożeniem odpowiedniego cła i podatków, zawianiem handlowych traktatów z sąsiednimi państwami, rozwinięciem środków komunikacyjnych, poprawą monety i ustanowieniem sądów w sprawach handlowych.

Wierny swemu zawodowi, podaje Mizler i tutaj rady i wskazówki z zakresu medycyny, »aby stan szlachecki, w dobrach swych mieszkający w niedostatku lekarza sam sobie w chorobach poradzić mógł«. W rozprawkach obyczajowych (niektóre z werwą pisane, zdają się być tłómaczone) przebija już zwrot od »ciężkich i suchych rozpraw« do lekkich i żywych artykułów, skierowanych ku reformie stosunków społecznych i towarzyskich. Są to zwiastuny przeobrażenia czasopism starszego typu t. z. uczonych, na typ nowszy pisma obyczajowego z moralno-społeczną tendencją. Mimo naginania się do potrzeb i prądów społecznych, mimo protekcji kanclerza Małachowskiego, nie zdołał nasz cudzoziemiec znaleźć oddźwięku wśród szerszego koła czytelników.

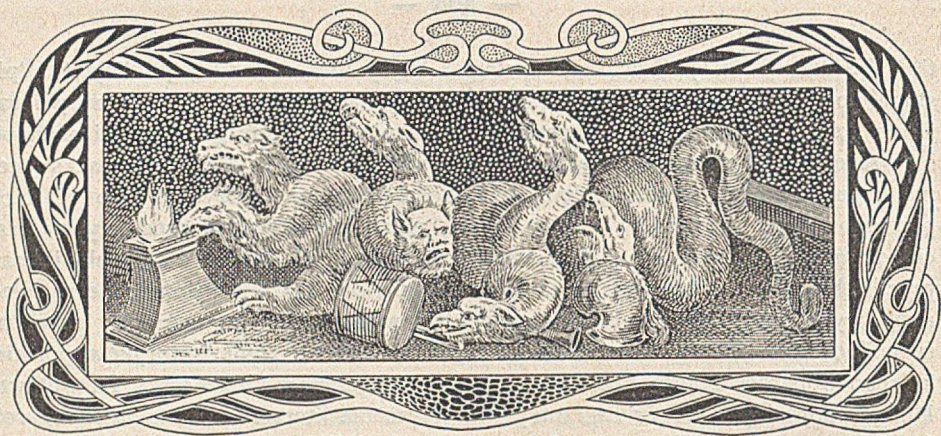
Zniechęcony smutnem doświadczeniem swoich prób publicystycznych, postanowił wycofać się z tego opoczystego ugoru, i rzucił się na pole wydawnictwa pomników historycznych, a owocem tej działalności »historyografa królestwa polskiego« jest pierwszy, wielki zbiór dziejopisów p. t. *Historiarum Poloniae collec-*

tio (Warszawa 1761). Odważając zasługi i błędy nestora naszej publicystyki, piastuna nowej u nas gałęzi piśmiennictwa, przyznać trzeba, że on pierwszy i sam jeden wśród niepomyślnych warunków, łamał pierwsze lody publicystyki naukowej i zaszczeniał na odłogiem leżącej niwie młodą latorośl. Nie ograniczając się tem naówczas ciasnem jeszcze polem działalności redaktora, rozwinął jako właściciel pierwszorzędnej drukarni w stolicy Polski, niezwykle ożywioną produkcję w przeciągu dwu dziesiątek lat z okładem. Połączył z nią handel księgarski i liczne przedsiębiorstwa wydawnicze, podejmowane nie dla zysku wyłącznie, ale w celach naukowych lub społecznych. Koroną zaś tej wydawniczej jego pracy, której poświęcił ostatnie kilkunastolecie swego żywota, był ów zbiór historyków polskich, którego poparcia z kasy koronnej domagał się kanclerz Czartoryski. Za wpływem Mizlera powstały na wzór zagranicy stowarzyszenia literackie, jedno założone roku 1756, w celu rozbudzenia czytelnictwa, drugie 1762, mające podnieść niski poziom wydawniczy. Słowem na wielu polach umysłowego i społecznego ruchu w Polsce budził ten szlachetny cudzoziemiec ospałych do życia, niecił światła w ciemne zakątki, rzucał ziarna pod zasiew jaśniejszej przyszłości. Ozdobiony medalem zasługi za Stanisława Augusta, spoczął na ziemi polskiej, spleciwszy hojnie dług zaciągnięty wobec przybranej ojczyzny.

Za przykładem Mizlera poszedł jego krajan, Krystyan Friese, z pochodzenia Saksończyk, gorliwy ewangelik, syn autora Historii Kościoła w Polsce, wydanej 1786 r. w języku niemieckim, założyciel i redaktor pisma francuskiego pod tyt. *Journal litteraire de Pologne* (1754). Postawił on sobie za cel zaznajamiać uczonych z postępami nauk w Rzeczypospolitej literackiej, dobywającej się z wiekowej ciemnoty do światła. Starał się też Friese krzewić wśród Polaków zdrowsze pojęcia filozoficzne — był zwolennikiem Wolfa, a przeciwnikiem scholastyki. — Nie umiał wszakże — zarówno jak jego poprzednik — uderzyć w strunę tej kapryśnej harfy, której na imię publiczność polska.

Aby się nie dać wyprzedzić Niemcom, zaczęli i Pijarzy wydawać od 1759 *Gazette de Varsovie* z wiadomościami literackimi. Za nimi poszli Jezuici, starający się dotrzymać im kroku, a mianowicie ks. Franciszek Paprocki, profesor akademii wileńskiej i zarządca jej drukarni, załączając od 1760 roku przy *Kuryerze litewskim* jako dodatek *Wiadomości literackie*. Te i tym podobne pisma, wydawane na kresach zachodnich jak np. *Thornische Nachrichten*, będące płodem obcej myśli, nie zdołały zapuścić głębszych na glebie polskiej korzeni.

Typ «uczonego» czasopisma, jako zupełnie naszemu charakterowi obcy, musiał ustąpić bardziej odpowiedniemu dla nas rodzajowi. Był nim moralno-obyczajowy tygodnik, poruszający sprawy żywotne, zwłaszcza od kiedy odrodzenie Rzeczypospolitej, naprawa jej rządu i ustroju społecznego, stała się hasłem najświatlejszych mężów. Przemiana czasopism uczonych na lżejsze tygodniki społeczne, dokonywała się powoli z końcem epoki Sasów, a przeciągnęła się w głąb panowania Stanisława Augusta. Do owej tylnej straży publicystyki uczonej należą jeszcze różne »Żurnale«, wydawane w Warszawie, w celu rozrywki czytelników, a kokietujące już z publicznością. Epokę w dziejach naszej publicystyki tworzy dopiero »Monitor«, tygodnik obyczajowy, wzorowany na »Spektatorze«, pod redakcją ks. Bohomolca, działający na szerokie warstwy czytelników przez omawianie żywotnych kwestyj społecznych.



ROZDZIAŁ SIÓDMY.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Ideaty odrodzenia, ogarniające szerokie widnokregi, zacieśniają się w tym okresie reakcyi do nauki szkolnej, zawodowej. Ale i tutaj zamiast nie-
cić swobodę ducha, w imię której rozpoczęły walkę ze scholastycyzmem, zasklepiają się w granicach martwej formalistyki.

Wielki ruch w dziedzinie nauk przyrodniczych i matematycznych nie przeciskał się do Polski. Kiedy Kepler przez wykrycie tajemnic obrotu planet dawał nowe podstawy mechanice niebieskiej, kiedy twórca praw ciężenia Newton, odsłaniał nowe dla nauk fizycznych widokregi a Bakon i Locke kładli podwaliny filozofii nowożytnej teorią indukcyi i empiryzmu — nasi mistrzowie łamali sobie głowy nad zagadnieniami metafizycznymi w rodzaju kwestyj, »czy dobro dlatego jest dobrem, że jest dobrem« — jak twierdził św. Tomasz z Akwinu, »czy też dlatego, że zostało nakazane przez Boga« — jak utrzymywał Duns Skot.


Na niebie Uranii polskiej, rozpromienionej blaskiem imienia Kopernika, ścmiło się w wieku XVII. Astrologia z swemi przepowiedniami losów człowieka i narodu, wieszcząca o słońcu lub pogodzie, kwitła w murach najwyższej instytucyi naukowej. Profesorowie astrologii mieli obowiązek przedkładania co roku całemu kolegium t. zw. judycya czyli prognostyki, które do środka XVIII. wieku zalewały rynek księgarski. Teorya nowego na świat poglądu, głoszona przez Kopernika, nie wywarła tu żadnego wpływu. Z trudnością przedzierała się ona z Włoch, przez bawiących tam na uniwersytetach Polaków do średniowiecznej twierdzy nauki, jaką pozostała akademia Jagiellońska.

Umiejętność astronomii rozwijała się w kierunku wytyczonym jej przez Marcina z Olkusza młodszego. Głównem jej zadaniem była poprawa kalendarza. Od

Illustrissimo atq; Excellentissimo Dn^o
Dn^o SEQUIERIO,

Regni Gallia Cancellario,
Domino Gratiōssimo

Operas has Selenographicas summa observantia
tutanda ergo, submississimè offero, atq;
omnigenam felicitatem ex animo
precatur.

Autor 

Danzici Anno 1663
Die 21 Septemb.

czasów bulli Grzegorza XIII, zalecającej używanie nowego kalendarza, podzielili się nasi astronomowie na dwa obozy, z których jeden stał na straży owej reformy, drugi zawzięcie ją zwalczał. Do tych ostatnich należał Jan Latosz, doktor medycyny i astrolog akademii, który za nowy układ kalendarza, odrzucający wiosenne porównanie dnia z nocą na dniu 21 marca, został za naleganiem biskupa krakowskiego z grona profesorów wykreślony. Akademia uważała przyjęcie kalendarza Gregoriańskiego za rzecz posłuszeństwa Kościołowi, Latosz w swej »Nowej poprawie kalendarza«, pisanej z wygnania, na dworze księcia Ostrońskiego, nie uważał obliczenia czasu za artykuł wiary, ale za sprawę nauki i rachunku. Przeciw Latoszowi wystąpiła z ostrą bronią wiedzy i dowcipu falanga Jezuitów, wysuwając na pierwszy ogień swego wychowanka Szczęsnego Żebrowskiego. W rezerwie stali gotowi do walki Jezuici: Rościszewski, Grodzicki, Smiglecki i inni, wyszydzający prozą i wierszem w polskim i łacińskim języku Latosie ciełą i jego Minucye. Jak pogmatwane pojęcia szerzyli zwolennicy zreformowanego kalendarza, wykazuje »Zwierciadło roczne« Żebrowskiego, ogłoszone 1603 r., w którym, wbrew nauce Kopernika, słońce z księżycem obraca się jeszcze około ziemi. Na tem stanowisku średniowiecznym stały jeszcze kalendarze astronomiczne prof. akademii zamojskiej Duńczewskiego z drugiej połowy XVIII. wieku.

Walka o kalendarz gregoriański toczyła się do połowy 17. stulecia, a brali w niej czynny udział tacy uczeni jak Piotr Krüger, matematyk i astronom gdański, zmarły 1639 r. i Oswald Krüger, profesor tychże nauk w akademii wileńskiej, kierujący machinami wojennymi podczas oblężenia Gdańska przez Szwedów, gdzie też 1655 r. ducha wyzionął.

Najślawniejszym jednak astronomem polskim po Koperniku był Jan Heweliusz, również Gdańszczanin, uczeń Piotra Krügera. Pamiętny zdania mistrza, że »postrzeżenia silne a dokładne stanowią najgłówniejszy warunek postępu nauki o ciałach niebieskich«, podejmował pilne i sumienne obserwacje, które zjednały mu rozgłos w Europie.

Pobyty na uniwersytetach za granicą i związane tam przyjacielskie stosunki z uczonymi takiej sławy jak Gassendi, Galileusz, rozszerzył widnokrąg naszego przyrodnika. Pochodząc z bogatej rodziny kupieckiej, nazwiskiem Hewelke, sam pełniący nawet urząd konsula w mieście rodzinnem, zaopatrzył się w potrzebne narzędzia astronomiczne, które z Anglii sprowadzał i urządził 1653 r. w jednej ze swych kamienic słynne obserwatorium. Urząd adjunkta przy swym mężu pełniła jego wtóra małżonka Elżbieta z Korpmanów, córka kupca gdańskiego, która »nabrawszy w wykonywaniu postrzeżeń wielkiej wprawy, z łatwością odczytywała wielkość kąta i względnej odległości gwiazd«.

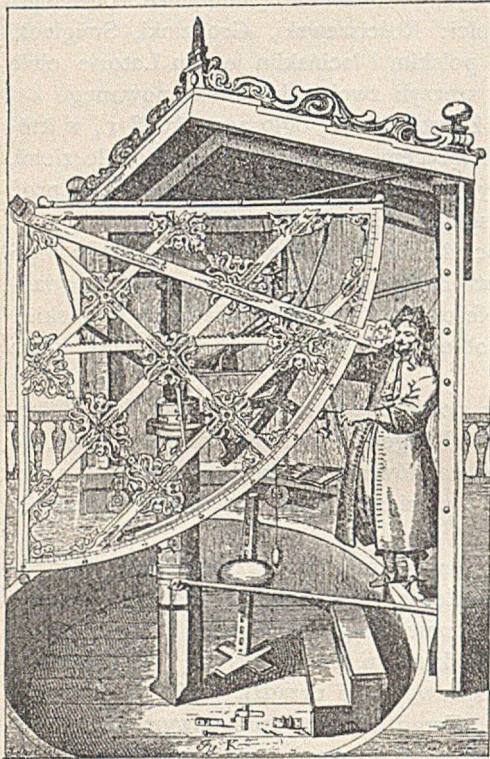
Spokojnie płynęło życie Heweliusza, zdala od burz politycznych, któreby go od zajęć naukowych odwoziły, obracając się »w skromnym zakresie poruczonych mu obowiązków obywatelskich rodzinnego miasta«, wolny był od ciosów jakich doświadczały wielcy ludzie, uginający się pod ciężarem zawodów. Jakis anioł opiekuńczy czuwał nad jego błogosławionym w owoce żywotem, bo kiedy 70-letniego starca nawiedza nieszczęście, a pożar niszczy jego postrzegalnię, on z młodzieńczą werwą urządza się na nowo i ze zdwojoną pracą prowadzi dalej swe prace naukowe. Dopiero ostra i niezasłużona krytyka Hooka, podkopująca jego sławę, zwała go z nóg i powoduje śmiertelną chorobę.

Nie należał on do rzędu takich jak Kopernik lub Tycho geniuszów, co to naukę astronomii, będącej Kopciuszkim na usługach królowej astrologii, pchnęli

na nowe tory, ale umiał zdobyć wielkich ludzi, któreby były może zmarniały, utrzymać i o krok naprzód posunąć. Owoce jego prac naukowych nie były plenne, ale nie jego to wina, że nauka, której się poświęcał, pod koniec życia wystrzeżliła w górę jak kielich lilii, pozostawiając daleko poza sobą cichych jak on pracowników, pozbawionych narzędzi pracy. Kiedy za granicą rugował już dioptrami teleskopiczny przezierniki oczne, on ich porzucić nie chciał, czy nie mógł, zajęty ciągle ich ulepszeniem w tem przekonaniu, że »osięgnie nimi większą dokładność niż lunetami«. I to była owa pięta Achillesowa, o którą zahaczył wspomniany krytyk, utrzymując, że »obserwacje Heweliusza są z powodu złych narzędzi całkiem bez pożytku«. Podrażniony w swej ambicji, osiwił w pracy uczony, zaciął się w uporze przeciw użyciu lunet,

którymi się już wszyscy astronomowie posługiwali, i to mu zgotowało tragiczny koniec. Nie uwłacza to jednak zasługom Heweliusza.

Król Jan III., miłośnik nauk przyrodniczych i matematycznych, należał do największych protektorów tego niepospolitego męża. — Browar, w którym wyrabiał wielkie zapasy piwa, uwolnił od wszelkich podatków; odwiedzając z żoną jego obserwatorium, obdarzył podarunkami, a gdy się dowiedział, że ono zgorzało, nasz uczony zaś wskutek pożaru pozbawiony został biblioteki i zbiorów, pospieszył z hojną pomocą. Nadto wyznaczył mu dożywotnią pensję w kwocie 1000 zł. Pobierał też Heweliusz za pośrednictwem ministra Colberta od króla francuskiego Ludwika XIV., znanego opiekuna nauk i sztuk, stałą pensję. Posłużyć to może za dowód wielkiego uznania, jakim się cieszył już za życia ten cichy na niwie naukowej pracownik.



Nr. 113. Jan Heweliusz w swej postrzegalni astronomicz.

Z pism Heweliusza podnieść należy jego Selenografię, czyli naukę o księżycu, w której posługiwał się przy obserwacji teleskopem własnej konstrukcji, mającym 12 stóp długości. Po wydaniu tego dzieła zajął się obserwacją planet, i w tym celu zbudował olbrzymie teleskopy, na 40—60 stóp długie, które jednak wskutek giętkości rur okazały się do kierowania niezdatne. Zwrócił się następnie do badania komet, z których jedne uważał za urywki ciała słonecznego, inne mienił zbiorem wyziewów pozaatmosferycznych. Z powodu tej mylnej o naturze komet hipotezy, rozwiniętej w jego Kometografii (1668), zaplątał się w polemikę. Niespożyta jednak wartość mają jego wyniki badań geometrycznych, że tu wymienię tylko odkrycie drogi komet po linii krzywej zwanej parabolą.

Najobfitszy plon spostrzeżeń Heweliusza leży złożony we wspaniale wyda-

nem dziele p. t. *Machina niebieska* (1673—9), poświęconem królowi Sobieskiemu. Ostatnie pisma, zebrane po śmierci autora († 1687 r.), dają najdokładniejszy na owe czasy katalog gwiazd, zawierający dwanaście nowych konstelacji, z których jednej nadał nazwę Tarczy Sobieskiego, wyobrażającej herb króla, Janinę, z krzyżem, jako godłem chrześcijaństwa. Do dziś świeci na niebie ów gwiazdozbiór, na drodze mlecznej między Orłem a Antinousem.

Owoc swej niezmiordowanej pracy i wiedzy zwykł był Hewelke komunikować listownie uczonym zagranicznym, z którymi w ciągłej zostawał korespondencji. Listy te wraz z odpowiedziami, omawiające najważniejsze zdobycze naukowe owego brzemiennego w wielkie odkrycia wieku, obejmujące szesnaście sporych foliantów, zalegają gdzieś w mieście hiszpańskim, pono w Kadyksie.

Dzieła jego, z których wiele drukował we własnej tłoczni i ozdobił ilustracjami własnego rylca, wydane ozdobnie, należą do okazałych wydawnictw naukowych, na jakie się rdzennie polskie ziemie zdobyć nie mogły.

Obok Heweliusza należy się skromne bodaj miejsce Stanisławowi Lubienieckiemu, autorowi *Historii komet*, wydanej z medziorytami p. t. *Theatrum comicum*, w Amsterdamie 1668, z dedykacją królowi duńskiemu. Prześladowany bowiem jako arianin, żył nasz astronom na wygnaniu w Danii, a umarł 1675 roku w Hamburgu, otruty przez fanatyków razem z żoną i dwiema córkami. Napisał też znakomitą *Historię reformacji w Polsce* i ułożył kancynał dla innowierców. Brał bowiem ze stryjem swym, Stanisławem Lubienieckim starszym, autorem pieśni nabożnych, drukowanych w Rakowie 1610, czynny udział w ruchu reformatorskim.



Nr. 114. Medal z popiersiem Heweliusza.

Kiedy w wiekach poprzednich skupiała się astronomia, jak w ogóle nauki ścisłe, w murach akademii Jagiellońskiej, spotykamy w w. XVII. mężów nauki za granicami ziem polskich Rzeczypospolitej, którzy w zupełnem od niej oderwanu zdobyli się na dzieła prawdziwie wartościowe. Akademia Jagiellońska, która świeciła blaskiem nauk przyrodniczych i wydała największego astronoma Kopernika, zajmowała się po większej części układaniem kalendarzy, horoskopów i przepowiedni, a w pierwszej połowie 18-go stulecia popada w stan martwoty. Miarą poziomu ówczesnej astronomii, która nie odstępowała swej ciemnej towarzyski astrologii, jest »*Praktyka eksperymentalna o kometach...*« — tytuł długi jak ogon komety z 1743, z której okazji astronom akademii krakowskiej dziełko to napisał.

Wywody swoje streszcza autor w następującym wierszu:

Próżno o komet ciekawie naturze
Badać się: czyli wiecznie przy arkturze
Wisi, czy w czasie z niebiosów się rodzi,
Lub z elementów? Niech te zwady zgodzi,
Że się niedola znaczy czyja:
Ten raz od pałki — mówią — co od kija.

A więc jak w wiekach średnich uważa nasz profesor uniwersytetu kometa

za przyczynę głodu, wojny, powietrza itp. Ostateczny rozbrat z wieszczbiarstwem wzięła astronomia w akademii krakowskiej dopiero za panowania Stanisława Augusta.

Dzieła przyrodników polskich, dzięki temu, że pisane były w języku łacińskim, jednały autorom naszym sławę za granicą i przykładały niejedną cegiełkę do budowy gmachu cywilizacji powszechnej. Kiedy dzieła w ojczystym języku pisane szerzyły światło na niwie rodzinnej, przy pomocy łaciny zdobyliśmy poważne stanowisko w wielkiej rodzinie europejskiej. Tej okoliczności zawdzięcza i Jan Jonston, polihistor raczej niż przyrodnik, swoją sławę. Urodzony 1603 w Szamotułach, w Wielkopolsce, z rodziny świeżo tam osiadłej, chodził do szkoły w Ostrogu, potem w Toruniu, wyższe wykształcenie otrzymał w Szkocyi. Za powrotem do ojczyzny przyjął miejsce nauczyciela domowego młodych Kurzbachów i odbył z nimi podróż za granicę, zwiedzając sławniejsze akademie niemieckie. Podręcznikiem historii naturalnej, wydanym 1632 roku, p. t. *Thaumatographia naturalis* zjednał sobie imię w świecie naukowym; tłómaczono go na różne języki, a Rafał Leszczyński wezwał go na nauczyciela syna Bogusława, z którym odbył podróż po Niemczech i Holandyi. Po otrzymaniu stopnia doktora medycyny zwiedził Anglię, Francję i Włochy, a po zgonie swego mecenasa wrócił do Leszna, gdzie go wdzięczny uczeń mianował swoim nadwornym lekarzem. Ofiarowane mu przez akademie niemieckie katedry odrzucił, »przenosząc skromną posadę śród swoich«. W czasie najazdu szwedzkiego, lubo innowierca, nie połączył się z nieprzyjacielem, lecz przeniósł się na Szląsk, gdzie nabywszy majątek ziemski (Cybendorf), oddał się nauce i praktyce lekarskiej. Umarł tamże 1675 r. Główne jego dzieło »*Theatrum universale historiae naturalis*« w sześciu foliantach z pięknymi miedziorytami (1650—3), było księgą klasyczną aż do czasów Lineusza. Spuścizna naukowa Jonstona, obejmująca kilkanaście sporych tomów, świadczy o olbrzymiej pracy i erudycji autora. Umysł to ogarniający szerokie widokręgi nauki, ale pozabawiony twórczego talentu i oryginalności.

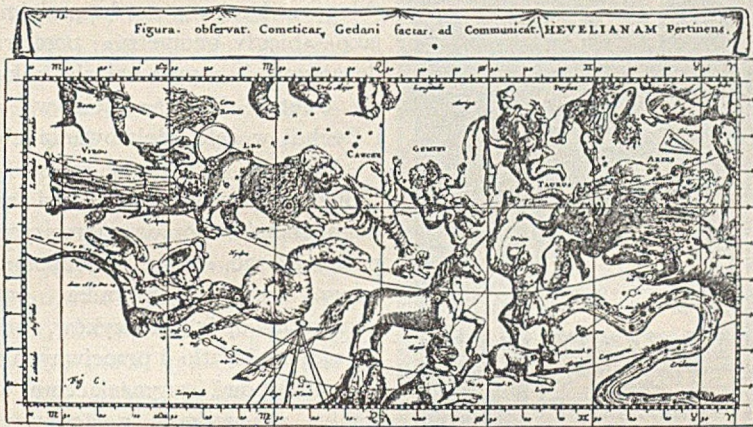
Rozwój arytmetyki w pierwszej połowie 16-go stulecia, — naliczono 16 podręczników do tej nauki — ustaje w drugiej połowie tego wieku, a przypada to właśnie na czas wprowadzenia do nas zakonu Jezuitów. Dopiero na początku 17 wieku rozpoczyna się żywszy ruch naukowy, a lubo ilościowo mniej w tym okresie wychodzi podręczników arytmetycznych, ale w połówce już podane są przez Polaków w języku ojczystym. Nazwy Algorytmu nie spotyka się już w tym okresie. Rachunek liniowy (za pomocą liczmanów i kamyczków) wyrugowany z książek, przetrwał w praktyce jeszcze do końca 18. wieku. W arytmetykach z 17. stulecia, chorujących na brak ścisłości i język chropawy, upstrzony makaronizмами, napotykaemy często zagadnienia lub rozwiązania podane w formie wierszowanej.

Zwyczaj przeplatania cyfr wierszami był w całej Europie rozpowszechniony. Miał on na celu wdrożenie w pamięć reguł lub przykładów. Solski napisał dlatego całą swą »Zabawę o arytmetyce albo rachunkowaniu« w rymach. Że cierpiała na tem dokładność i zwięzłość, tego chyba nie trzeba dowodzić. Mimo tępoetycką, a zupełnie niewłaściwą formę, ma ówczesna matematyka przedewszystkiem cel praktyczny na oku. Profesor uniwersytetu Jan Toński upatruje np. w wyciąganiu pierwiastku głównie tę korzyść, że przy pomocy tego rachunku można obliczyć ilość żołnierzy uszykowanych w czworobok. A matematyka jego, jak zapewniają znawcy, należy do najlepszych i posiada rzeczywistą wartość naukową.

Inne, późniejsze, jak np. prof. Formankowicza, zawierają wiele uczonego

blichtru, moc rozmaitych łamigłówek, jak np. odgadywanie jaką sobie kto obrał kartę, albo naukę o ułamkach sześćdziesiątych i dwunastynych. Jeszcze bardziej zacofaną jest Arytmetyka Wojciecha Tytkowskiego, napisana po łacinie, wierszem i prozą naprzemian, z której dowiesz się między innymi, »jakim sposobem z wielkiego palca olbrzyma wielkość tego olbrzyma odgadnąć«; znajdziesz zaś obok obliczenia okręgu koła spis papieży, cesarzy i królów polskich.

Najwybitniejszym przedstawicielem nauk matematycznych w Polsce 17 wieku jest Jan Brożek, urodzony w Kurzelowie, w dawnym województwie sieradzkim 1585 roku, człowiek »niskiego« pochodzenia, o czym sam w tych oto słowach wspomina: »Jestem synem rolnika i jeżelibyś chciał dalej śledzić, praprawnikiem młynarza«. A piszę to, »aby wszyscy wiedzieli, iż pomny jestem pochodzenia swego«. Ojciec, lubo był rolnikiem, posiadał tyle wykształcenia, że dał synowi pierwsze początki geometrii, której się sam nauczył z najstarszego tej nauki »mierniczej« podręcznika Grzepskiego. Widząc zaś, że syna nie wielka czekała pomoc



Nr. 115. Karta z Kometografii Hewellusza.

z roli, wysłał go do szkół, a następnie do akademii Jagiellońskiej, gdzie naonczas jeszcze »nie urodzenie ale rozum popłacał«.

Po ukończeniu tej najwyższej w kraju szkoły, chylącej się już ku upadkowi, postanowił młody Brożek poświęcić się nauce i obrał zawód nauczycielski. — W owym czasie profesorowie byli duchownymi — z wyjątkiem profesorów medycyny, przeważnie ludzi świeckich — wynikało to z organizacyi uniwersytetu, którego źródła utrzymania płynęły z beneficjów duchownych, przeto i nasz Brożek zniewolonym był przyjąć święcenia kapłańskie. Po szczeblach karyery akademickiej postępując, został profesorem kolegium mniejszego, potem większego, wreszcie dziekanem i rektorem uniwersytetu.

Jako astrolog rozpoczął wykłady 1614 r. i miał obowiązek przedkładać uniwersytetowi »prognostyki podług reguł astrologicznych ułożone«, nadto czuwał troskliwie nad prognostykami, wydawanymi przez księgarzy krakowskich. Chodziło tu bowiem nietylko o poprawność kalendarzy, ale o znaczny dochód, jaki owo prawo kontroli cenzorowi przysparzało. Układał przytem horoskopy dla znakomitszych osób. Nie był więc wolnym od przesądów swego wieku, ale na jego uspra-

wiedliwiec przytoczyć można, że Galileusz i Kepler zajmowali się podobną praktyką astrologiczną, właśnie dzięki ich pracom w cień usuwaną.

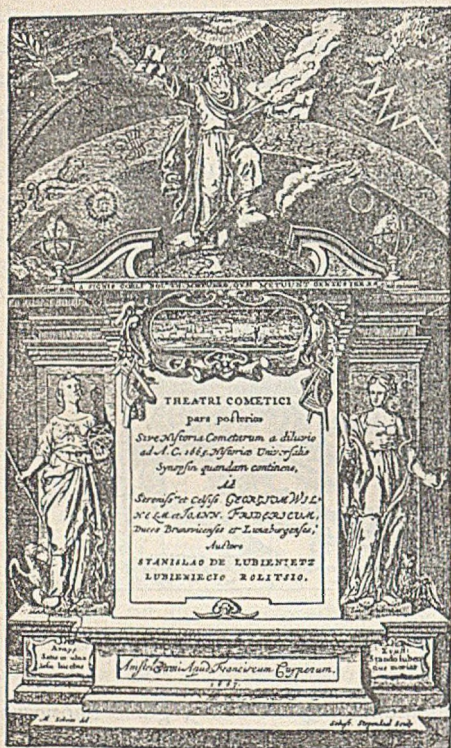
W pierwszej swej »Dyssertacyi« z 1616 roku kruszył kopię w obronie geometrii przeciw astronomii, a lubo nie otrząsł się w niej z naleciałości dyalektyki, okazał wiele prawdziwego zapału dla matematyki, której całe życie poświęcił.

W pierwszych latach zawodu nauczycielskiego klepał biedę, podobnie jak inni profesorowie wydziału filozoficznego. Wspomina o tem w swem pierwszym większem dziele p. t. *Arithmetica integrorum* (Kraków 1620) przy sposobności zadania o ślimaku, posuwającym się na dobę o $\frac{1}{12}$ stopy, a zaproszonym na obiad przez jaskółkę o miłą drogi. Obliczywszy, że »ślimak zdąży na obiad za 246 lat i 210 dni«, wywodzi swoje przykre położenie materialne, dodając z goryczą, że »na takie same obiady bywa zapraszany astrolog uniwersytetu Jagiellońskiego«. Z tego powodu podejmował się jako »biegły geometra« pomiarów geodezyjnych i »spuszczał się kilkaset razy do wnętrza kopalń« soli w Wieliczce i Bochni w celu zdejmowania ich planów.

Właśnie w owym czasie wystąpił Galileusz z swemi odkryciami na niebie, dokonanemi za pomocą pierwszych teleskopów. Głosząc światu wiekopomną naukę swego mistrza Kopernika, natrafił na gwałtowny opór puszczyków, od wieków gaszących światło i przeciwnych wszelkiemu postępowi, zagrażającemu ich panowaniu. »Niegodnem postępowaniem kuryi rzymskiej« dostało się pomnikowe dzieło Kopernika na index dzieł zakazanych. To pobudziło naszego Brożka do zgłębienia nauki wielkiego reformatora, tudzież do zajęcia się wiadomościami o jego życiu i pracach. Z pamiętek po Koperniku ogłosił rzekomy jego poemat łaciński p. t. *Siedm gwiazd* (*Septem sidera*) i dwa listy Giesego, gorącego wiel-

biciela Kopernika, reszta gdzieś się zatraciła. Poświęcił mu też kilka wierszy łacińskich.

Pojawienie się 1618 r. na niebie wspianiałej komety, wywołało całą o niej literaturę. Ale kiedy za granicą dodała ona Galileuszowi sił do otwartej z obskurantyzmem walki, u nas mistrze akademii Jagiellońskiej głosili o niej śmieszne zabobony. Przeciw jednemu z takich przesądnych pism wystąpił Brożek w swej *Dyssertacyi o komecie*. — Śledząc wpływ gwiazd na organizm ludzki, poświęcił się nauce medycyny i w tym celu wyjechał na uniwersytet do Padwy. Łączenie sztuki lekarskiej z astronomią i matematyką było w owym czasie naturalne. Przecież i Kopernik zajmował się sztuką lekarską. Szkoła jatromatematyków miała swoich

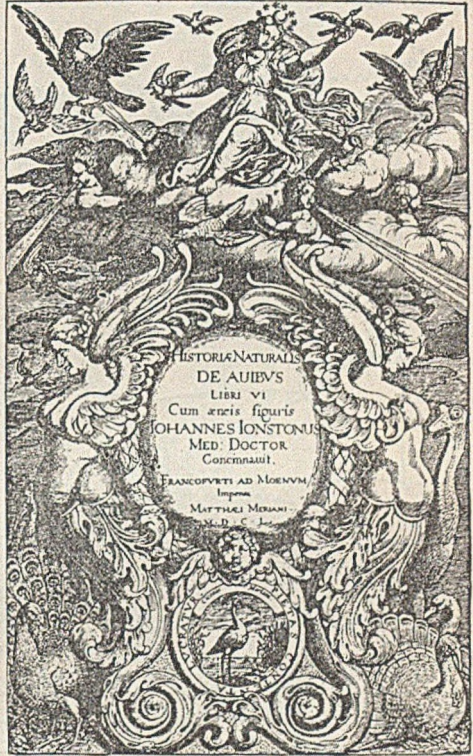


Nr. 116. St. Lubienieckiego Świat Komet.
Amsterdam 1667.

przedstawicieli w stolicy Polski. Po kilkuletnim na wszechnocy Padewskiej poby- cie praktykował Brożek krótki czas na dworze chorego biskupa Szyszkowskiego, jako doktor medycyny. Nie przywiązywał jednak większej wagi do zawodu lekar- skiego i niebawem wrócił do swoich studyów matematycznych. Z ponownem ob- jęciem katedry astrologii na akademii rozpoczyna zaciętą walkę z Jezuitami. Za- kon ten zapuściwszy głębokie korzenie na niwie wychowawczej w Polsce, sięgał po ster edukacji, której nie dała sobie wydrzeć najwyższa w kraju magistratura wychowawcza. W walce tej nie chodziło o wyższe cele społeczne, ani o lepszą metodę nauczania, ale o wyłączny przy- wilej zakładania szkół, o kierownictwo oświaty.

Jezuici opanowawszy akademię wi- leńską, pokusili się o założenie drugiej w Poznaniu, ale tu pobici przez akade- mię krakowską, rozpoczęli na nowo walkę w głównej siedzibie wrogów, za- kładając 1623 pod bokiem akademii swoje kolegium. Od zerwania układów przyszło do zatargu z senatem akade- mickim, a stąd wywleczono sprawę przed forum opinii publicznej. Zaki- pniało w światku literackim, posypały się broszury i paszkwile w polskim i łacińskim języku. W końcu chwy- cono się ostrzejszej broni: pięści i ki- jów. A w tej ulicznej walce młodzieży, inscenizowanej przez kapłanów i pro- fesorów, padł nawet jeden student uniwersytetu. Przechodziła potem sprawa wszystkie stady procesu prawnego od grodu do króla, stąd do papieża. A i na tej drodze uciekano się pod skrzydła opinii. Akademia »jednała sobie stronników między szlachtą ma- łopolską, aby na sejmikach wyto- czyć żale swoje« na znienawidzonych Jezuitów. — Ci zaś, »wywijając zrę- cznie sztandarem wolności, agitowali między dobrze urodzoną bracią przeciw

akademikom, będącym przeważnie nieszlacheckiego pochodzenia«. Rektor świeżo założonego kolegium, Jezuita Łęczycki, broniąc się przed atakami na zakon, pisze, że Jezuita nie odbierają akademii jej praw nauczania, ale też żądają, aby i im wolno było »uczyć młodzież darmo i pilnie«, a dla podbicia bębena szlache- ckiego dodaje: »Wolno szlachcie uczyć się gdzie chce — przeto bronić tego, żeby szlacheckie dzieci nigdzie indziej jeno w akademii się uczyły, jest wolność szla- checką więzić i wiązać a subtelną drogę pokazywać, jako wyższe urzędy mogą w inszych rzeczach szlachecką wolność ścisnąć i onej skrzydła ucinąć. A cięższa jest jeszcze ta rzecz i subtelną niewola, kiedy ją na szlachtę kładzie nieszlachta«. Wedle tego kręctwa Jezuita dźwiga już szlachta kajdany niewoli chłopskiej!



Nr. 117. Jana Jonstona *Historia naturalna*.
Frankfurt 1650.

mów) obdarował. Wpływowi Brożka zawdzięcza też akademii Jagiellońska katedrę geometrii, założoną przez Strzałkę, który w akcie fundacyjnym zalecał, »żeby profesor mniej zważał na subtelności filozoficzne«. Na katedrze tej zasiadł jego uczeń. Staraniem Brożka miała przyjść do skutku fundacja Tęczyńskiego, z której dochodów miał być opłacany profesor wykładający filozofię Arystotelesa, nie z komentarzy o nim, ale z jego własnych dzieł, a drugi profesor miał uczyć geometrii, »nie obarczając młodzieży bezmyślnym formalizmem scholastycznym, który poza murami szkolnymi żadnego nie przynosi pożytku«. Szlachetnym dążeniem Brożka stanęła na przeszkodzie spadkobierczyni dóbr Tęczyńskich, z całej duszy oddana Jezuitom. Pod koniec życia uczynił sam z zaoszczędzonych dochodów fundację dla profesora nauk matematyczno-astronomicznych, a z fundacyi tej korzystał jeszcze Jan Śniadecki.

W dowód uznania zasług położonych przez Brożka około podniesienia akademii, zarezerwowano mu katedrę, choć on z niej zrezygnował, przebywając na swem probostwie. Nie spodziewał się, że mu przyjdzie niebawem wrócić na uniwersytet. Na Podlasiu bowiem, w dobrach podskarbinsy Daniłowiczowej, osławionej spadkobierczyni, gromadzili się Jezuiti, dla których żywił przez całe życie niechęć. Nieufność swoją do nich wyrażał w listach szyfrowanych, posądzając ich bowiem o podchwytywanie korespondencji. Widzę ja to dawno — pisze szyfrowanym alfabetem — że i biskupom nie potrzeba ufać. Przysłuchiwałem się na synodzie prowincjonalnym, każdy z nich uprawia tu prywatę. O Jezuitach dodaje: mnie wolno cierpieć, a nie wolno uskarżyć? Zapewne ten wolnomyślny światopogląd, niemniej odważne przeciw Jezuitom wystąpienie sprawiły, że gdy 1648 r. czynił starania o powrót do Kolegium, przyjęciu jego — mimo zastrzeżenia katedry — stawiano trudności. Długoletnia jednak praca profesora i wiekopomne fundacye przeważyły szalę na jego stronę. Złożywszy doktorat teologii — w celu otrzymania kanonii katedralnej — został dziekanem wydziału teologicznego, a 1652 r. otrzymał najwyższą godność akademicką — rektorat. Niebawem też zgnęany wiekiem i pracą starzec, przeniósł się w 67 roku życia do wieczności, zostawiając po sobie pamięć człowieka, oddanego przez całe życie nauce i poświęcającego jej popieraniu cały swój dobytek.

Oto jak określa charakter i stanowisko naukowe naszego matematyka najlepszy jego znawca: »Najwybitniejszym rysem charakteru Brożka było niczem nieugaszone pragnienie wiedzy, które go do końca życia nie opuszczało. Mimo trudności, jakie mu nastęrczały niskie pochodzenie i brak środków materyalnych, nie dał się powstrzymać na drodze szukania prawdy w rozmaitych kierunkach, zachowując przytem niezależność charakteru. Obdarzony bystrem pojęciem i przenikliwością umysłu, wybiera matematykę i astronomię za główne przedmioty swej pracy, objawiając wczesnie zdolności do samodzielnych badań w geometrii. Zostawszy kapłanem, nie przestaje bronić nauki przeciw woli swych przełożonych, ale mimo trzeźwości umysłu nie był sam wolny od rozmaitych zabobonnych wierzeń. Przebywając między ludem i ocierając się o wszystkie warstwy społeczeństwa, wsłuchiwał się w język ludu i chwycił okruchy tej prostej mądrości, której wyrazem są liczne przysłowia ludowe. W notatkach swoich dużo takich drobnych pozostawił zapisków, których treść bywała nieraz śliska i rubaszna. Taka harmonia powagi i dowcipu była zresztą ogólną cechą ludzi XVII. wieku.

Z Brożkiem ustępuje z akademii i wogóle z widowni naukowej ostatni matematyk. Rzucone przez wielkiego reformatora ziarna nauki, pielęgnowane jeszcze

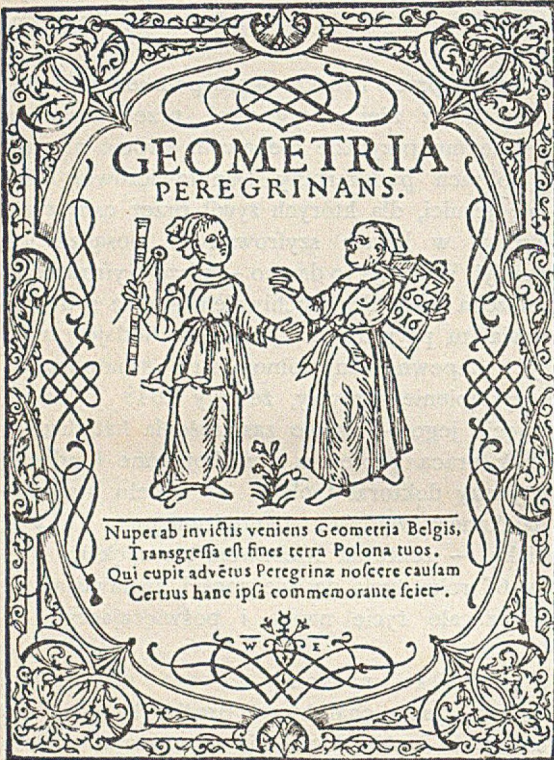
przez jednego z ostatnich jego wielbicieli, nie wydały owocu. Akademia Jagiellońska, matka nauk, upadała z każdym rokiem niżej, rozległa niwa umiejętności przyrodniczych leżała odłogiem, aż ją na schyłku 18 wieku obudzili do nowego życia tacy mężowie jak Śniadecki i Poczobut, »nawiązując nić tradycyi naukowej od kilku pokoleń przerwaną«.

Największe zasługi na polu matematyki położył Brożek studyami o wielokątach wklęsłych i figurach równoobwodowych. Usiłował on i sztukę medycyny podciągnąć pod prawa matematyczne, a lubo próby te nie doprowadziły do pożądanego wyniku, to już samo poszukiwanie związków i praw wskazuje na kierunek myśli Brożka, wrogię dyalektyce z jej subtelnościami, a przyjaciela prawdy.

Obok Brożka skromne miejsce zajmował znakomity matematyk z pierwszej połowy 17 w. Maciej Głowski. Urodzony w dziedzicznej wiosce w Wielkopolsce, z rodziny szlacheckiej, był wyznania Braci czeskich i rozpoczął zawód literacki wierszem polskim na cześć wielkiego herezjarchy Rafała Leszczyńskiego. Poduczywszy się matematyki w kraju, wyjechał dla dopełnienia swej wiedzy matematycznej do Holandyi, gdzie w uniwersytecie Leydejskim przebywała tłumnie młodzież polska wyznania ewangelickiego. Głowski polecony ks. Fryderykowi z Oranii, pozyskał względy księcia i został nauczycielem geometryi następcy Wilhelma II. Przebywał na dworze księcia do roku 1641, w którym wydał przekład Gryzeldy Boccaccia, poświęcony Annie Leszczyńskiej, swej spółwyznawczyni. Powróciwszy w tym czasie

Nr. 119. M. Głowskiego Geometrya wędrowna, 1646.

do kraju, został komornikiem granicznym województwa kaliskiego i brał udział jako deputat Braci czeskich w tak zwanej Rozmowie przyjacielskiej różnowierców w Toruniu 1644. Poemat jego p. t. »Zegarek albo Pamiątka gorzkiej męki Zbawiciela« doczekał się aż trzech wydań. Nie wiersze jednak zjednały mu w literaturze imię, zawdzięcza je wyłącznie swej »Geometryi wędrownej«, spisanej po łacinie w formie dyalogu 1643 r. Oto jak wprowadza autor swój przedmiot: »Dwie niewiasty w podróżnym stroju, (Arytmetyka i Geometrya) zeszyły się w gospodzie znacznego miasta za granicą, a rozmowę ich zapisuje skrętnie towarzysz jednej z sióstr. Po zwykłych przywitaniach pytają się obie, jaki los każdą z nich sprowadził w te kraje. Starsza Arytmetyka opuściła Niemcy i najznakomitszą część Europy, bo używano jej tylko do liczenia pieniędzy, a Geometrya spostrzegłszy, że wielu ze szlachty polskiej sztuce wojennej się



oddaje i do belgijskich szkół uczęszcza, postanowiła zbadać przyczyny takiego postępowania Polaków. Dowiedziała się tedy, że Polacy niedawno prowadząc wojnę ze Szwedami, mimo swej waleczności sztuką podstępnie zwalczeni zostali, przeto od tego czasu młodzież wdraża się do sztuki wojennej w Belgii. Głównym zaś powodem przybycia Geometrii w te kraje jest ta okoliczność, że Najjaśniejszy król polski Władysław miał założyć szkołę wojskową we Lwowie«. W istocie zapadła na sejmie 1633 roku uchwała założenia w stolicy Rusi »szkoły rycerskiej, w którejby młodzi ludzie, nie szukając tego po cudzych ziemiach, mogli się matematyki wojskowej i rzeczy puszkarskich uczyć«. Geometria wstępuje tedy do mieszkania autora, niedaleko Kalisza. »Mąż ten dobrze jest znany Arytmetyce, przykładał się bowiem pilnie do rozwiązania trójkątów płaskich i kulistych i tak pojął matematyczne podstawy trygonometrii, że jakkolwiek trójkąt rozwiązywał bez trudu, arytmetykę logarytmową stosował do geografii, gnomoniki (umiejętności mierzenia czasu), do zadań o urządzeniu nieba, do wynalezienia długości miejsc za pomocą ruchu księżycy«. Dowiadujemy się wreszcie z dialogu owych sióstr, że Maciej Głoskowski instrumentem podróznym, przez siebie wykonanym, zmierzył położenie ważniejszych miejsc w Polsce i pracował nad ułożeniem mapy kraju rodzinnego t. j. Wielkopolski. I Geometria Głoskowskiego ma przeważnie charakter praktyczny: zastosowanie do fortyfikacji i do pomiaru pól, Przyczyniła się ona jednak także do postępu metody badań geometrycznych, a jeden z najwybitniejszych uczonych holenderskich, profesor matematyki na uniwersytecie lejdeńskim, w dziele wydanem 1656 r. podejmuje zagadnienia Głoskowskiego z zakresu miernictwa i rozwiązując je, z uznaniem wyraża się o nieznanym mu autorze »Geometrii wędrującej«.

Na kartach dziejów matematyki i mechaniki zapisał się pięknie Stanisław Solski. Urodzony 1623 r., uczył się w szkołach Jezuitów, poczem w 21 roku życia wstąpił do tego zakonu i został w Krośnie nauczycielem wymowy i matematyki. Bawiąc przez lat ośm, około 1660 r., w Kostantynopolu jako »spowiednik i kaznodzieja jeńców chrześcijańskich«, zwiedzał zakłady przemysłowe i oddawał się badaniom matematycznym, wzbudzając podziw Turków swymi pomiarami tamtejszej piramidy zapomocą cienia. W swych »Rozmyślaniach codziennych« przytaczał jako wzór trzeźwość i wstrzeźliwość Turków, ich skromność i przystojność, wytykając Polakom pijaństwo, obżarstwo, rozpustę, maskary, igrzyska i tym podobne po całych nocach obojej płci szaleństwa.

Powróciwszy do kraju, oddał się pracy naukowej i obowiązkom kapłańskim. Nie mając jako zakonnik sposobności zapoznania się z najnowszemi w dziedzinie matematyki i mechaniki odkryciami, pozbawiony dzieł i narzędzi nowszych, bez znajomości trygonometrii, logarytmów i wyższej analizy, zasługuje Solski na tem większe uznanie jako autor »Geometrii polskiego«, wydanego w trzech księgach w Krakowie 1683—6 in folio.

W dedykacji tego dzieła królowi Sobieskiemu, na którego dworze przebywał i którego hojności zawdzięczał ogłoszenie, tak się wyraża o wybawcy Wiednia: »W przeciągu dwóch dni przeszedłeś jakby po równinie Alpy polskie, a w kilku godzinach wydarłeś z garści bisurmańskich zawałony trupami i bastami Wiedeń, gdy przeciwnie cała geometria nie potrafiła jeszcze po tylu wiekach zmienić okrąg koła w jemu równą linię prostą, ani między dwoma skrajnemi liniami znaleźć dwie średnie proporcjonalne«. Podnosi też autor w przedmowie, że już nie będzie potrzeba wielkim kosztem i prośbami sprowadzać Holendrów do

rozmierzenia rozległych pól polskich; »znajdą odtąd rodacy w ojczystej ziemi i mo-
wie to, czego dotąd szukali za granicą z uszczerbkiem poczciwości domowej i sta-
rożytniej wiary«. Ostatnia księga tego dzieła obejmuje naukę o zegarach słonecz-
nych, jest to pierwsza rozprawa z dziedziny gnomoniki w języku polskim napi-
sana. Solski zasłużył się też ojczystej terminologii w zakresie matematyki. Wykład
jego jest jasny, tylko ulegając spaczonemu smakowi swego wieku, oddaje reguły
arytmetyczne — rymami!

W kilka lat po »Geometrze« wyszedł »Architekt polski« w Krakowie 1690,
obejmujący pierwszą w języku ojczystym napisaną mechanikę. Powody skłaniające
autora do napisania tej książki sam przytacza w przedmowie: »Dwa końce — po-
wiada — chęć moją do materii architekta skłoniły. Pierwszy, napatrzywszy się
znacznych strat w budynkach dla niedostatku w koronie naszej umiętnych dyrek-
torów i dla niewiadomości rzemieślników z uzaleniem nad nimi, usługę moją po-
trzebnym obróciłem do materii architekta. Wtóry przykład Zbawiciela naszego
był mi poważnym do tego powodem, abym się szczerze i pracowicie aplikował
do tej materii podłej na usługę prostych, którą przenajświętszemi rękami swemi
poświęcił. Jeżeli wielkiemu Apostołowi narodów chwalimy exercitium rzemiosła
około namiotów i ja się przyganą nie obrażę, że rzemieślnicze obiectum traktuję«.

Przełamując tym sposobem przesąd wieku okazuje Solski wielką o język oj-
czysty dbałość. »Sądziłem — dodaje — za rzecz niesłuszną, aby język polski nie
miał tej nauki, którą insze języki zdołają. W tej książce wiele takowych materij
zachodzi, którychby łacinnicy mianować nie potrafili, wolałem więc polskim ję-
zykiem z rzemieślnikami rzecz moją traktować«.

Govliwemu patryocie przyświeca cel społeczny. Mechanikę uważa on za naukę
ulżenia w s z e l k i c h ciężarów. Pierwszą zabawę — tak nazywa rozdziały książki —
temi rozpoczyna słowy: »Na dźwiganie lżejsze wszelkich ciężarów różne inżenie-
rowie wynaleźli maszyny, których że prości rzemieślnicy i robotnicy nie wiedzą
(znają), dźwigają jako bydłęta, zdrowie swoje z chorobą i kalectwem, życie z śmie-
cią zamieniają. Czegom się z słusznem politowaniem nieraz upatrzył, zwłaszcza
przy dozorach niebacznych, którzy ludzie słabe i chore zwykli naglić do dźwiga-
nia ciężarów srogich, nie dołożywszy słusznej liczby dźwigających, albo nie po-
dawszy sposobu, jakby ciężaru mogli zelżyć«. Aby tej nagłej potrzebie zaradzić,
podaje sposoby na zmniejszenie ciężarów.

W owych czasach, kiedy szlachcic, który się poświęcił rzemiosłu, tracił swój
klejnot, jał się nasz autor do dźwignięcia tej gałęzi podupadającego przemysłu,
w przekonaniu, że »stan kwitnący rzemiosł i sztuk technicznych jest podstawą
pomyślności kraju«. W tej technicznej części książki, tłómacząc sposoby używania
machin ziemnych i wodnych, daje wcale praktyczne wskazówki rzemieślnikom
około budowy młynów, przytacza nawet przykłady własnej przebudowy młyna
w Krakowie.

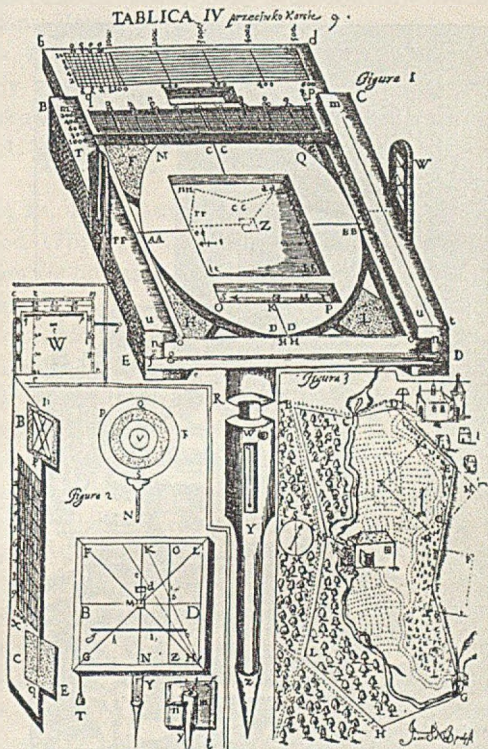
Ulega jednak i nasz poczciwy Jezuita przesądom czasu. Uczy między innemi
różnych »dowcipnych« sztuczek mechanicznych, więcej zabawnych niż pożytecz-
nych. (Opisuje np. długo i szeroko kłódkę zamykaną na pewne słowo zwane
kluczem; uczy jak przebywać w wodzie, nie zamaczawszy się). W wieku, w któ-
rym Galileusz był prześladowany za obronę nauki Kopernika, sili się na »obale-
nie najprzedniejszego fundamentu astronoma sławnego«. Nieznane mu są prawa
spadku pionowego ciała, odkryte przez Galileusza, ani wynalazki Toricellego.

Tłómaczy się z tej niewiadomości swojej jak i z tego, że przerwał dzieło swe

na księdze pierwszej, gdyż »wiekiem przyciśniony, na zdrowiu upadły, w dostatkii niezamożny« — nie mógł już wygotować następnych ksiąg, właściwej architektury poświęconych.

Oddawał się też ks. Solski rozwiązaniu owej nierozwiązalnej zagadki, która podobnie jak kwadratura koła w geometrii, zaprzętała najlepsze siły mechaników: kusił się o wynalezienie maszyny, utrzymującej bieg wieczysty (Perpetuum mobile). I kiedy inni wynajdywali zegary bez nakręcania wiecznie idące, on wynalazł i opisał maszynę, którą się nawet przed Janem Kazimierzem w Warszawie produkował, że »wiadro wodą napełniane i wypróżniane z kolei wiecznie opadało i wiecznie się wznosiło».

Do uczonych polskich, z którymi wielki filozof niemiecki Leibnitz w żywej zostawał korespondencji, należy znakomity matematyk polski Adam Amandy Kochański. Pochodził on z ziemi Dobrzyńskiej i w młodym wieku wstąpił do zakonu Jezuitów, a poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu, powołany został na dwór Jana III. jako profesor matematyki królewiczów. Zajmował katedry matematyki w Moguncyi (1659), Florencyi (1667), następnie w Pradze i Ołomuńcu (1677). Za powrotem do ojczyzny, pełnił obowiązki kustosa biblioteki królewskiej w Warszawie, umieszczając prace swe z dziedziny matematyki, techniki, fizyki i astronomii w sławnych rocznikach lipskich *Acta eruditorum* (1682—1696), gdzie ogniskował się ruch literacki w dziedzinie nauk ścisłych. Z prac jego, obfitujących w nowe pomysły, zasługuje na wyszczególnienie drobna rozprawa p. t. *Observacye cyclometryczne, rozwiązujące zadanie: »jak okrąg koła zamienić na prostą«*, nie zapomocą rachunku, lecz drogą wykreślenia. Ksiądz matematyk, Jezuita, jako człowiek w poglądach filozoficznych nadzwyczaj postępowy, cieszył się uznaniem współczesnych uczonych. Wielce odczytany w literaturze naukowej i obdarzony badawczym umysłem, pozostawał w stosunkach listowych z najwybitniejszymi swego czasu uczonymi: Heweliuszem, Solskim, Burattinim i in. Szczególniejszy szacunek żywił dlań znakomity uczyony niemiecki Leibnitz, z którym korespondował w latach 1670 — 1698 o najważniejszych kwestyach, poruszających umysły uczonych w epoce odkrycia analizy wyższej i ogłoszenia *Pryncypiów* Newtona. Choroba i wiek sędziwy Kochańskiego, niemniej żmudna praca nad maszynami rachunkowymi i nad nieziszczalnym ruchem wieczystym (*perpetuum mobile*) pochłaniały jego siły do tego stopnia, że nie wnikał w głąb rachunku różniczkowego i całkowego.



Nr. 120. Tablica z dzieła St. Solskiego p. t. *Geometra* polski. Kraków 1683.

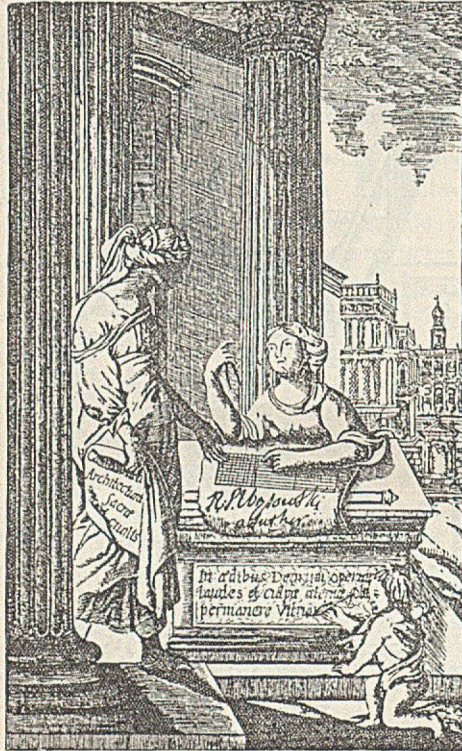
Wszelako był to pierwszy uczony polski, który zapoznał się z nową analizą u samego jej źródła, bo u jednego z twórców wyższego rachunku, Leibniza.

Ks. Jezuita do tego stopnia był wolnomysłnym, że w listach do wielkiego filozofa niemieckiego zaprzeczał uznanym przez objawione religie własnościom Stwórcy. Jako przeciwnik inkwizycji św. i torturowania pisał w latach 1691—3 przeciw »Młotowi na czarownice« poleconemu bulą papieża Innocentego VIII.

Do literatury polskiej zaliczyć można prace Włocha, Tytusa Burattiniego. W młodym wieku przybywszy do Polski, mieszkał tu lat z górą czterdzieści († 1682), władał dobrze polskim językiem, podpisywał się zwykle Boratyni, przyjął

indygenat, ożenił się z Polką (Opacką) i córki za Polaków powydawał. W ciężkich potrzebach lat 1655—6 uformował własnym sumptem oddział piechoty, którym dowodząc, mężnie ze Szwedem się potykał, wreszcie, choć doszedł do znaczniejszej zamożności, nie myślał nigdy o porzuceniu swej przybranej ojczyzny, lecz dotrzymał zapewnienia: »tu żyć i umierać pragnę«. Był to jeden z licznych przykładów siły asymilacyjnej narodu polskiego, która żywo obce w pierwszym już pokoleniu w ogniu szlacheckim przetapiała. Rodziny Montelupich, Tyzenhauzów, Weissenhofów odegrały też społeczną i cywilizacyjną rolę w naszych dziejach. Szlachta polska cudzoziemców nie lubiała, niechętna Boratyniemu, że na dziedziawie mennicy koronnej i litewskiej, wybijając sławne »boratynki«, dorobił się znaczniejszego majątku, zarzucała mu nadużycia, z których musiał się oczyszczać w broszurze zatytułowanej: Informacja o mennicy szelągowej (Warszawa 1664).

Nie ograniczając się pracą administracyjną, oddaje się Boratyni z zamiłowaniem badaniom hydrauliczki, optyki



Nr. 121. Pierwsza ksiątka polska o architekturze.

i architektury; »urządza w Ujazdowie pod Warszawą warsztaty mechaniki precyzyjnej i szlifiernię soczewek, buduje lunety« itp. W dziełku p. t. »Miara powszechna« (Wilno 1676) projektuje na sto lat przed naszym układem metrycznym użycie »długości wahadła sekundowego za powszechną jednostkę długości i ciężaru«. Zachętą do tej pracy była mu rozprawa o wadze Galileusza, przyjaciela ówczesnego profesora akademii krakowskiej Pułdowskiego, z którym nasz autor w ścisłej zstawał zażyłości.

Najmilszym zakątkiem astrologii i jej średniowiecznych towarzyszek były od dawna kalendarze. Aż do schyłku XVIII. wieku ogniskowała się ich produkcja w przesławnej akademii Jagiellońskiej i jej młodszej siostrzycy w Zamościu. Kalendarze wydawane przez zakonników nie różniły się pod względem poziomu wia-

domości przyrodniczych od kalendarzy układanych przez profesorów i doktorów uniwersytetu, szerzących zabobon i przesady.

Pierwszą reformę kalendarzy podjął Jezuita Jan Poszakowski, Litwin, prefekt szkół w Kownie, następnie w Nieświeżu, gdzie też 1757 r. umarł. W pismach swych ścigał innowierców, zapędzając ich do owczarni swojej, fabrykował różne lekarstwa d u s z n e przeciw odstępstwom — ale zbożne te prace utonęły w falach niepamięci. Na kartach piśmiennictwa polskiego świeci imię jego jako twórcy zreformowanego kalendarza. W wydawanym przez się w Wilnie »Kalendarzu politycznym« od 1737 r., nie schodząc z teologicznego stanowiska, zrywa z prognostykami i astrologicznem wieszczbiarstwem. Oznaczając w »Kalendarzu dla dam« z 1741 r. wielkość planet według obliczenia Tychona Brahe, uważa wiarę »jakoby rok klimateryczny wiódł za sobą nieszczęścia« za przesąd i tłómaczy go jako przeżytek (superstycya) z czasów pogańskich, kiedy to wierzono, że nierówna liczba oznacza nieszczęście. Za przykładem ks. Poszakowskiego poszli wydawcy kalendarzy jezuickich w Poznaniu, Wilnie, Lublinie, i t. d., zrywając powoli z wiarą we wpływ planet na losy człowieka i narodu.

Po tej drodze postępując, stara się ks. Pijar Antoni Wiśniewski udoskonalić swoją »Kolędę warszawską, wydawaną od 1752 r., gdzie popularyzacyą zdobywszy naukowych tępił przesady wieku. On sam — odważył się stanąć w obronie teoryi Kopernika przeciw wyraźnemu brzmieniu pisma św. »Zaszczyt narodu polskiego — powiada w swej Kolędzie na rok 1754 — nieśmiertelny Mikołaj Kopernicki, pracą lat trzydzieści i księgami swemi jaśnie oświecił i mocno utwierdził, że słońce jest w środku świata itd. Wierzyć mamy, iż Jozue i insi studzy boscy byli święci i przyjemni Bogu, lecz możemy nie wierzyć, iż astronomię umieli«...

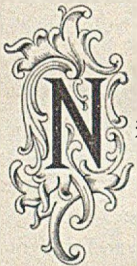
Kolędzie Wiśniewskiego dorównywały pod każdym względem kalendarze polityczne, wydawane przez ks. Paprockiego w Wilnie od 1759 r. Uczony ten Jezuita, profesor filozofii, regens konwiktów szlacheckich, zarządzał drukarnią akademii wileńskiej i redagował od 1760 r. »Wiadomości literackie« jako dodatek do Kurjera litewskiego, zasłużył się zaś zwalczaniem przesądów wieszczbiarskich i rozpowszechnianiem wyników z pola geografii, fizyki, wogóle nauk przyrodniczych. Szydził ks. Paprocki z »ludzkiego imienia niegodnych prognostyków« astrologii, a wysławiał astronomię Kopernika i Newtona, że »nas oswobodziła od panowania Jowisza, Saturna i innych gwiazd, które życiem, zdrowiem i szczęściem naszym władali. Żaden nas już nie straszy kometa, by był najkosmatszy i z najdłuższym ogonem«. Kończy zaś następującym niezawodnym prognostykiem: »O swoim uszczęśliwieniu, nie z światel i fenomenów niebieskich, ale z oświecenia rozumu, z dobroci spraw swoich promować należy«.

Nie tak rychło jednak pierzchły mgły ciemnoty i zabobonów. Bo kiedy Łazowski w swej »Praktyce astronomicznej« piętnował astrologów jako szalbierzy, oskarżając ich o bałamucenie prostaków — bronił jeszcze wieszczbiarstwa profesor akademii Zamojskiej filozof i obojga prawa doktor, Stanisław Duńczewski, słynny autor »Kalendarza polskiego i ruskiego« wydawanego przez lat czterdzieści (od 1725). Nawet Jan Śniadecki, z obowiązku, jako profesor matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim, układający kalendarze z przepowiedniami, natrafił na silny opór swoich kolegów na wydziale filozoficznym, gdy się odważył w latach 1776—7 »prognostyki« zastąpić »domysłami astrologicznymi«. Dopiero komisya edukacyjna wypłoszyła z murów akademii »naukę« wieszczbiarską.



ROZDZIAŁ ÓSMY.

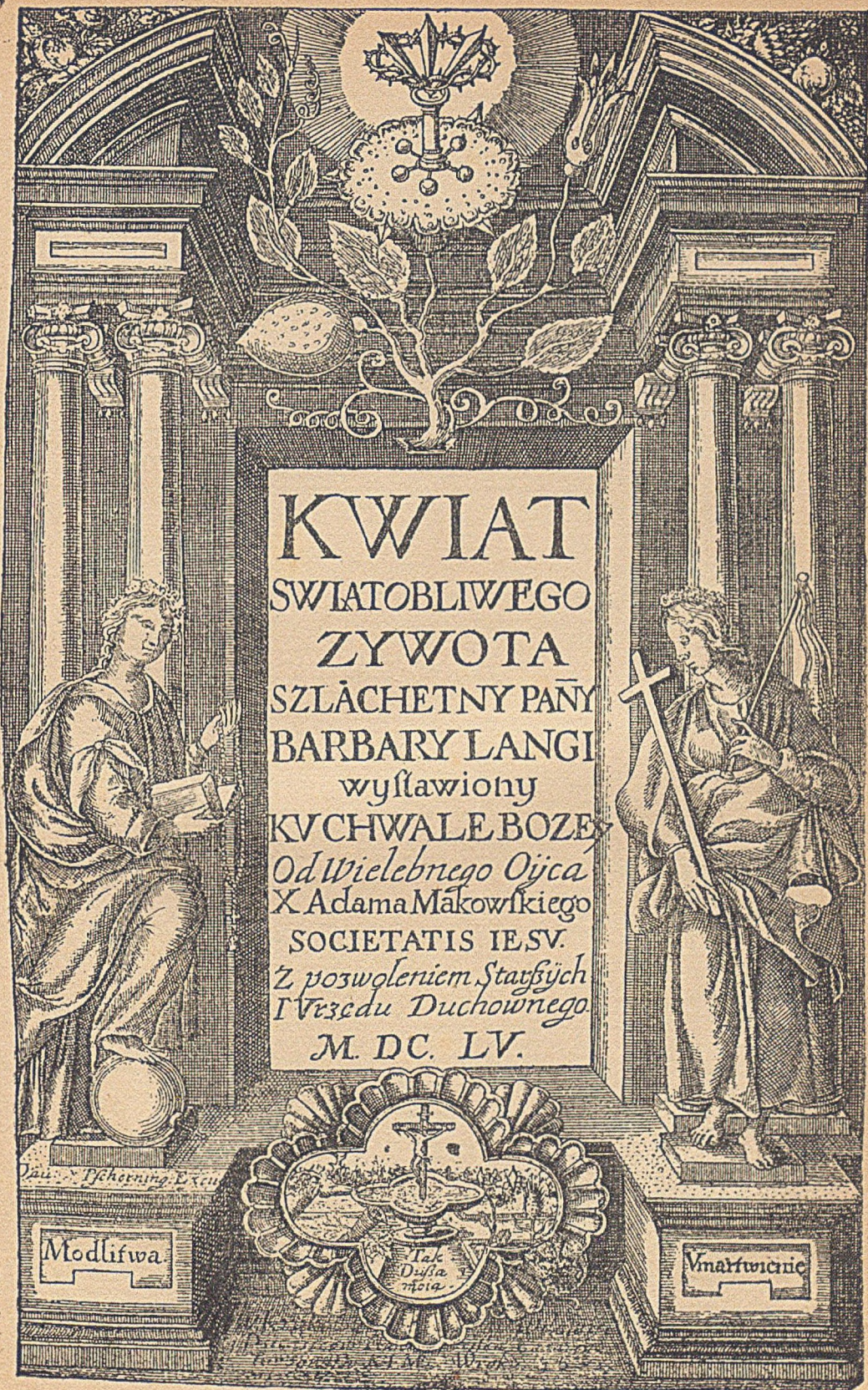
WYCHOWANIE.



niwa wychowania w Polsce, słabo uprawiana w złotym wieku piśmiennictwa, porastała od 17 stulecia do środka 18 chwastem ciemnoty i barbarzyństwa wieków średnich. A wyrazem tego obniżenia jej poziomu jest stan wyższych zakładów naukowych w Koronie, na Litwie i Rusi.

Całe — bez wyjątku — wychowanie spoczywało w ręku duchowieństwa, ono też wycisnęło na niem wyłącznie religijny charakter. Nasze akademie były instytucjami duchownymi, a od nich rozchodził się ten kierunek po wszystkich szkołach średnich i niższych, jako swej macierzy podległych.

Już w epoce odrodzenia panował w akademii Jagiellońskiej, tej kolebce nauki i ogniska wychowania, karygodny zastój. Z obawy przed »skażeniem wiary i pobożności, zamykała sobie alma mater drogę do rzetelnego rozwoju i postępu«, odpierając z godną lepszej sprawy stałością wszelkie starania profesorów i biskupów, wszelkie dążenia królów i sejmów, wszelkie wołania szlachty o jakąkolwiek reformę. Gdy Piotr Tylicki, biskup i kanclerz akademii, fundator katedry wymowy, na wniosek profesora Romera, dążył do reformy w tym skromnym zakresie, aby posiadających tłuste chleby duchowne i trudniących się gospodarką na wsi, a nie nauką — z akademii usunąć, powstała na wszechnicy taka burza, że wykluczono wnioskodawcę »z grona kolegów większych«, a reformie oparto się stanowczo, podając następujące motywa: »Na co — pytają się profesorowie — poco ta reforma? Czy to akademie nasze nie zachowuje wyroków koncyliów i postanowień ojców kościoła? Wiadomo jest całemu światu, że akademie krakowska jest i była katolicką i nie splamiła się nigdy żadną herezyą, gromiąc różnowierstwo, ile w jej



KWIAT
SWIATOBLIWEGO
ZYWOTA
SZLACHETNY PAŃY
BARBARY LANGI
wystawiony
KVCHWALE BOZE
Od Wielebnego Ojca
X Adama Makowskiego
SOCIETATIS IESV.
Z pozwoleniem Starzyszych
I Urzedu Duchownego
M. DC. LV.

Pauc. Pshorning. Excu.

Modlitwa



Vmarzwienie

Ks. A. Makowskiego Kwiat świętobliwego żywota. 1655.

mocy było językiem, piórem i ręką. Na wzór innych zagranicznych uniwersytetów naszej reformować nie można, boby cała aż do fundamentów runęła«. Uprasa też akademia kanclerza, »aby zaniechał swego zamiaru wizytowania jej — nawet tego się obawiała — bo to rzecz nowa i niezwykła, a wszelkimi nowościami prawa boskie i ludzkie brzydzą się«.

Dla osłonięcia swego umysłowego ubóstwa, sadziła się wszechnica Jagiellońska na teatralną wystawność, płodząc na cześć swoich dobrodziejów, profesorów, biskupów, senatorów i laureatów niezliczone panegiryki, pełne napuszystych bredni. W tem znikczemieniu zatracala zupełnie wiadomość o nowszych odkryciach, odsuwała wszelkie zdobycze wiedzy, chlubiąc się natomiast tem, że »siła zakonów i klasztorów ludźmi swymi napełniła«, jak gdyby zapełnianie przeludnionych mnichami klasztorów, było zadaniem uniwersytetu.

Epoka wielkich odkryć i wynalazków z dziedziny nauk przyrodniczych i matematycznych w ciągu 17 wieku nie zdołała obudzić jej z naukowej drzemki, wiekopomne dzieła Bakona, Kartezjusza, Locka, tworzące przełom w dziejach filozofii, nie mąciły jej scholastycznego majaczenia. Mówcy Tylicyjańscy (tak nazywano profesorów zajmujących katedrę wymowy, założoną przez biskupa Tylickiego), »prawili corocznie panegiryki na cześć św. Stanisława«, lub innych świętych. Matematycy i astrologowie zajmowali się układaniem kalendarzy i przepowiedni, a cała akademia pałała gorliwością, lepszej sprawy godną, kanonizowania swego profesora, Bogu winnego ducha: Jana Kantego. Uważano za punkt honoru wobec kanonizacji przez Jezuitów Stanisława Kostki, podnieść błogosławionego do rzędu świętych. Pochłonęła ta sprawa dużo sił i zabiegów, gdyż stolica apostolska po przejrzaniu przysłanych jej wypisów Kantego, pocztywanych za jego oryginalne dzieła, wzbraniała się uznać go doktorem kościoła, a nawet postanowiła wykreślić go z grona błogosławionych. Z trudem i mozołem zdołała akademia nagiąć stolicę do kanonizacji Kantego, uzyskano nawet dla profesorów akademii prawo »błogosławienia kronik, medalików i krzyżyków« z mocą udzielania wiernym odpustów za grzechy, ale sprawa uroczystego obchodu tej kanonizacji przeciągała się i mogła się odbyć dopiero przy bagnietach wojska, zajmującego po pierwszym podziale tę dzielnicę Rzeczypospolitej.

Do jakiego stopnia dochodziła ciemnota mistrzów akademii, o tem świadczą żywoty Jana Kantego, kute na urząd w czasie jego kanonizacji. Jeden z najwybitniejszych owego świętego żywotopisarzy, ksiądz Adam Opatowski, słynny profesor uniwersytetu, pisma św. doktor, taki o nim w dobrej wierze cud opowiada: Jednego dnia, kiedy ten mąż świątobliwy przenajświętszą ofiarę Bogu oddawał, wąż piekielny (szatan) w jaskółkę przemieniwszy się, począł w koło latać i głosem jaskółki śpiewać, chcąc tem słudze Bożemu w nabożeństwie rozerwanie uczynić. (Po prostu jaskółka wleciała do kościoła). Poznał to mąż święty wiadomością z nieba, że to chytróść była nieprzyjaciela chwały Bożej i skończywszy mszę św. stanął u drzwi kościoła i kiedy niemy (szatan) chciał wypaść i na powietrze wylecieć — ułapił go. I gdy rękę swą wyniósłszy, chciał go o ziemię rozbić (biedna jaskółka!), ludzie, którzy się do Kantego garnęli, poczęli go prosić, aby niewinnemu ptakowi przebaczył. »Wnet obaczycie — odpowiedział — co to za rodzaj tego ptaka«. I ledwie do ziemi rzucona, ona to kłamiwa jaskółka dopadła, zaraz w postać straszliwego smoka obróciła się, który jad swój piekielny gniewem oświadczywszy, zniknął«...

O upadku akademii świadczy zupełne zaniedbanie wydziału nauk lekarskich.

Przez lata całe nie odbywały się wykłady medycyny, ani promocje, a »ku końcowi tego okresu musiano upraszać lekarzy w mieście praktykujących, aby czytali z medycyny prelekcje«. Nauki przyrodnicze leżały zupełnie odłogiem z braku zbiorów i gabinetów, a wydział prawniczy nachylał się — ku teologii.

Profesorzy razem z uczniami prowadzili życie zakonne, trawiąc czas, na naukę przeznaczony, na modlitwie, procesyi, nabożnym śpiewie i tym podobnych praktykach duchownych.

Nawet szala marnej zresztą administracyi wszechnicy przechylała się na stronę potrzeb religijnych. Na przeprowadzenie kanonizacyi Jana Kantego wydano w przeciągu półtora wieku (1605—1756) przeszło milion złp., a biedni mistrzowie filozofii, przeważnie mieszczańskiego pochodzenia, przymierali z głodu i chłodu. Kiedy w tłuste chleby zaopatrzeni kolegiaci św. teologii miewali po kilkadziesiąt tysięcy złp. rocznego dochodu, profesorowie medycyny żyli z marnych podarków uczniów, albo raczej ze swej praktyki. To też znakomitszych rodzin młodzież omijała akademię, odwiedzając uniwersytety zagraniczne, a słynna wszechnica Jagiellonów, ściągająca niegdyś do swych murów z różnych stron cudzoziemców, spadła do rządu szkoły średniej dla plebejuszów. W pierwszej połowie tego wieku miewała ona jeszcze około 5000 studentów — licząc w to uczniów szkół od akademii zależnych — i chlubiła się profesorami tej miary co znakomity matematyk Brożek, co St. Temberski, nieugięty obrońca praw akademii wobec przemóżnej panów władzy lub Marcin Radyński, dziejopis i dobroczyńca akademii, mąż niezłomnej stateczności wobec przemocy króla najezdcy — przez całe jednak następne stulecie trudnoby było wykazać na katedrze Jagiellońskiej męża nauki, a na kartach historii dążenie do podźwignięcia stanu oświaty.

Profesor akademii krakowskiej Stanisław Jurkowski, będąc 1660 r. rektorem, stwierdził przed kanclerzem jej, biskupem krakowskim Trzebickim, że »nie było już w akademii żadnego mówcy, żadnego filozofa, żadnego prawnika, żadnego teologa« i że »profesorowie jej zaledwie warci byli być mistrzami szkół niższych«.

Do jakiego nieuctwa dochodził uniwersytet Jagielloński w pierwszej połowie 18 wieku, tego dowodzi zapiska pod rokiem 1730 w Liber rationum, z której dowiadujemy się, że żaden z profesorów uniwersytetu nie umiał czytać pisma goetyckiego.

Miała jednak ta, w stanie nieruchomości i odrętwienia pogrążona szkoła powszechna królestwa polskiego swoje jasne chwile. Oto w czasie największego Rzeczypospolitej nieszczęścia, kiedy stolica jej zajęta była przez wojska szwedzkie, dała ona przykład niezwyklej wśród uczonych odwagi i patriotyzmu. Nie będąc przekonaną o nieodzownej konieczności poddania się najezdcy, wezwana do złożenia przysięgi wierności Karolowi Gustawowi, po wytrzymaniu pogroźek komendanta szwedzkiego, »na żadne przysięgi ani stypulacje nie przystała, woląc ponieść wygnanie, niż dopuścić się przyniewierstwa«. Tłómaczyła się zaś tem, że »byłoby przeciwko roztropności wymagać (przysięgi wierności dla króla szwedzkiego od tych, którzy ją wprzód dobrowolnie królowi polskiemu zaprzysięgli«.

Marnująca swoje wątłe siły w zatargach z władzą biskupią i wzajemnych sporach, małostkowa akademia zdobyła się w epoce »upadku na wszystkich prawie polach narodowego życia« na czyn piękny, przekazania potomnym dziejów spółczesnych. Oto Sebastyan Petrycy, doktor filozofii i medycyny, utworzył przy uniwersytecie krakowskim fundacyę, mającą na celu utrzymanie historyografa akademii.

Pierwszym takim historykiem był syn fundatora Jan Innocenty Petrycy,

siąt anagramatycznych wierszy (*Messis liliorum quinaria*. Kraków 1688). W kalectwie pracując na chwałę swej starzejącej się jak on *almae matris*, napisał w sześćdziesiątym roku życia (†1693) *Roczniki akademii z lat 1666—88*.

Sławę upadającej szkoły królestwa ratował też jak mógł mąż cichej pracy, lubo nie wielkich zdolności, Marcin Radyński. Urodzony 1610 w Samborze, po otrzymaniu stopni nauk wyzwolonych mistrza i doktora teologii, wyjechał za granicę, zwiedził Niemcy i Włochy, a wróciwszy do kraju, został profesorem tej akademii, której był wychowankiem i którą całym sercem ukochał. Gdziekolwiek — powiada o nim jej apologeta — potrzebowała akademii mocnego i do serc przenikającego pióra w praw swoich obronie, tam w pierwszym szeregu stawał Radyński. Z pism jego i mów, których kilkanaście znamy ogłoszonych drukiem, zasługują na wyszczególnienie »*Fasti*« i »*Annales*«, obejmujące dzieje akademii Jagiellońskiej od jej założenia do r. 1660. Pierwsza to na taką skalę podjęta praca około zebrania rozproszonych materyałów w jedną całość. A celem jej było — jak się wyraża autor w przedmowie: podać do powszechnej wiadomości zasługi tej znakomitej niegdyś i sławnej macierzy Jagiellońskiej, wobec której dotychczasowi synowie należącego jej długu wdzięczności nie wypłacili. Oba dzieła napisane w języku łacińskim — pierwsze złożone przeważnie z prac obcego pióra — to jeno okruchy cegiełek do budowy, którą dopiero wystawi dłoń uczonego, uzbrojona w narzędzia nowoczesnej metody. Radyński zostawił jeszcze dziełko w ojczystym języku O rzeczy menniczej, zbijające szkodliwe krajowi rady senatu, wydane z powodu bicia nieprawej monety. Na kilka lat przed śmiercią (†1664) stał się nasz profesor »celem prześladowania za swe najlepsze dla akademii chęci i usługi i za nieustraszoną miłość prawdy«, a przyczyną tego było oskarżenie go przez jednego z niechętnych mu profesorów akademii, że w czasie gdy zarządzał biblioteką, wydał Szwedom wielką ilość książek. Lecz zarzuty te rozbiły się o znaczny charakter niesprawiedliwie obwinionego, który sprawę tę tak mniej więcej przedstawia: Kiedy podczas napadu Szwedów na stolicę Polski, nałożono na profesorów akademii kontrybucję, »ubodzy i ledwie na wyżywienie swoje wystarczyć mogący profesorowie« wysłali deputację do generała szwedzkiego z prośbą, aby ten cios od nich odwrócił. Dla ujęcia zaś sobie kapelana i lekarza, ludzi nauki, bawiących przy boku owego generała, »ofiarowali im kilka dzieł z biblioteki, o które ci, w tak krytycznym położeniu nie mogących odmówić profesorów, upraszali«. Środek ten był skuteczny, akademii bowiem została od daniny zwolniona, ale w tem pośrednictwie nie brał Radyński żadnego udziału.

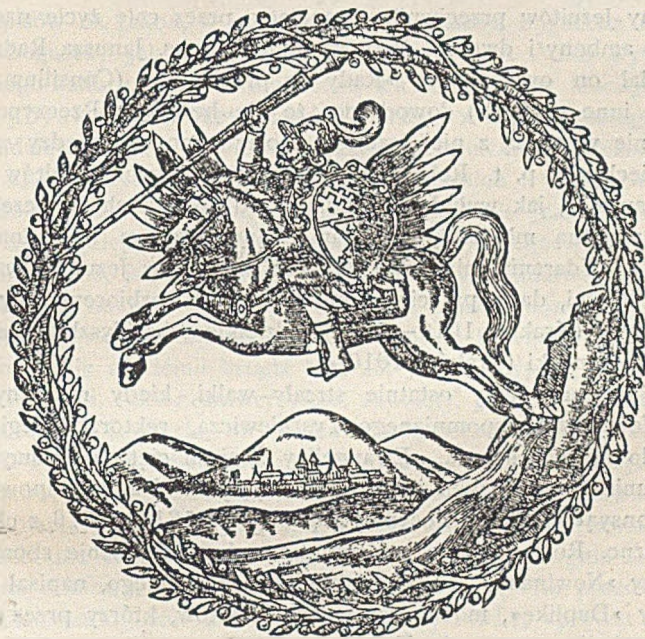
W wojnie z Jezuitami bronili akademii słowem, piórem i czynem: Brożek, Janidłowski, Uścicki, Krzysztof i Jakób Najmanowicz. Zwłaszcza ten ostatni, autor licznych, uszczypliwych pisemek, przez lat kilkanaście w najkłopotliwszych i najtrudniejszych czasach dzierżący berło akademii, stał w zatargach z zakonem niezachwiany po jej stronie. »Był czas — powiada ks. Piotrowicki, profesor tejże szkoły w mowie pogrzebowej p. t. Korona akademii krakowskiej — był ten czas, kiedy mu siła obiecywano, jeżeliby się tak bardzo nie opiekował akademią i grożono potem niełaską nawet i prywacyami. A on stanął jako słup, którego żadne dary nie ruszyły«...

Szkoda jeno, że tyle sił umysłowych i energii marnowano na bezcelowej, wieki trwającej walce.

Po za kilkoma wyjątkami nie wydała akademii wybitniejszych pisarzy, kiedy rywalizujący z nią zakon Jezuitów pochłubić się może sławnymi na swój czas

uczonymi jak poeta Sarbiewski, historyk Kojałowicz, matematyk Kochański, autor słowników polsko-łacińsko-greckich i łacińsko-niemiecko-polskich Grzegorz Knapski († 1638) i inni.

Przygasającemu ognisku nauki, zasypanemu literaturą teologiczną, wyrósł niebezpieczny współzawodnik w młodym, ruchliwym zakonie Jezuitów, z niezwykłą szybkością zakładającym bezpłatne szkoły. Garnęła się do nich młodzież uboższa, nie mogąca opłacić czesnego, pobieranego w uczelniach akademickich. Akademia krakowska, widząc się w swem istnieniu zagrożoną, rozpoczęła z rywalem walkę na śmierć i życie. Wiekowa z Jezuitami wojna, prowadzona nie o naukę i oświatę, ale o przywileje zakładania szkół, nie rozwinęła sił naukowych akademii, ani nie podniosła poziomu wychowania. Przeciwnie, długoletnie procesy z zakonem wycieńczyły i tak już szczupłe fundusze akademii, której powagę pod-



Nr. 124. A. Burski — Stemata Samosciorum. Zamość 1609.

kopywały bójki uliczne i tym podobne zatargi demoralizujące młodzież obu kategorii szkół.

Myliłby się, kto by sądził, że w tych nieustających zatargach z zakonem chodziło starzejącej się macierzy o system wychowania albo o tendencję nauki. O szkodliwości szkół jezuickich, nie miała ona wyobrażenia, przeciwnie, starała się je naśladować, zmierzając razem z nimi do ociemnienia narodu. Spór toczy się najpierw (1611 do 1616) o akademię Jezuitów w Poznaniu, do czego akademicy nie dopuszczają, opierając się na rzekomem prawie wyłączności nauczania. A najwaleczniejszą w tej walce bronią jest literatura broszurowa. — Już na schyłku 16 stulecia padły pierwsze strzały, w kuźnicy zagranicznej ukute, wymierzone w samo serce zakonu.

Do najcelniejszych należała *Actio equitis Poloni in Jesuitas* (Akcyja pierw-

sza szlachcica polskiego przeciw Jezuitom), wydana bezimiennie 1590 r., a przetłómaczona na kilka języków obiegała całą Europę. Po polsku wyszła p. t. Konterfekt Jezuitów, przypisywano ją Klonowiczowi. Przedstawia ona Jezuitów, jako źródło upadku akademii i szkodników, którzy złym systemem nauczania Rzeczypospolitą niszczą. Na atak ten odpowiedział przyjaciel Jezuitów ks. Stanisław Reszka, dziekan warszawski, odprawą łacińską Spongia czyli gąbka dla otarcia obelg i złorzeczeń szlachcica polskiego. (Kraków 1590). Po nim profesor retoryki w Poznaniu i znany prawnik, Ojciec Lans, ujmował się w »Mowie pierwszej szlachcica polskiego za Jezuitami«, podobnie jak poprzednia broszura w trzech wydaniach rozrzuconej przez Jezuitów po całej Europie. Przeciw »Konterfektowi« wystąpił ks. Łaszcz z Towarzystwa Jezusowego »Rozsądkiem o Konterfekcie«. — Po tej wstępnej tyralierce następuje przygotowanie do walnej bitwy, którą dowodzi książę Jerzy Zbaraski, kasztelan krakowski, pan milionowej fortuny na Rusi, gorliwy katolik, ale nieubłagany Jezuitów przeciwnik, pracujący przez całe życie nad usunięciem ich ze szkoły, ambony i dworu. Przy współudziale ks. Janusza Radziwiłła i akademików wydał on owe słynne »Rady do przyjaciela« (Consilium 1607, Rathschlag 1632 i inne wydania) dowodzące, że nie będzie w Rzeczypospolitej spokoju, dopóki nie wypędzą z niej Jezuitów. Rozrzucano też między szlachtą przeróbkę z niemieckiego p. t. Relacya o skrytych sztuczках Jezuitów (w Toruniu 1607) przedstawiając, jak wyłudniają fundacje od pobożnych owieczek i wabią do swych szkół majątną młodzież. Nie zaniedbano przytem uświadomić Niemców w ich języku o »Udaremnieniu krwiożerczych zamachów Jezuitów w Polsce«. Nie przemilczeli i Jezuici, dając przeciwnikom odprawę »Rozbiorem rady« w polskim i łacińskim języku (Kraków 1610—1611) i dziełkiem ks. Tyszkiewicza p. t. »Responsio Nicolai Ziemecki (Kraków 1610)«.

Jeszcze nie przycichły ostatnie strzały walki, kiedy rozruchy w Toruniu, opisane w »Nowinach« wspomnianego Tyszkiewicza, rektora kolegium Jezuitów, dały powód do nowego starcia. Ewangelicy napisali ciętką »Obronę przeciw Nowinom z Torunia« w łacińskim i niemieckim języku. Na co odpowiedzieli znów Jezuici »Responsyą« łacińską. Posypały się więc od 1614—1616 z obu stron broszury polemiczne. Równocześnie zaś toczono spór o zburzenie zborów w Poznaniu, rozpoczęty »Nowinami«. Na »Replikę« Ojca Sawickiego, napisał minister zborowej drużyny »Duplikę«, mocno szczypiącą Jezuitów, którzy przez swego rzeczownika nie omieszkali wygotować »Triplikę«. Kłótnie i bójki o szkoły mieszały się z walkami ulicznymi o zbory i kościoły, a na tem pobojuwisku wyrastały jak grzyby po deszczu paszkwile i pamflety. Przeciw Jezuitom występowało duchowieństwo tak świeckie jak zakonne, przeważna część szlachty, przedewszystkiem zaś członkowie i wielbiciel akademii krakowskiej. Niechęć ta do zakonu, odznaczającego się niezwykłą energią, ale też — jak to przyznaje najdzielniejszy ich obrońca — dumą korporacyjną i lekceważeniem innych duchownych, wybuchła jasnym płomieniem w dziełku »Monita privata« czyli Skryte rady Jezuitów, obiegujące całą niemal Europę. Napisał je Hieronim Zahorowski, krewny ks. Zbaraskiego, kapłanem jeszcze będąc, ogłosił je jednak dopiero po złożeniu sukni zakonnej.

Ciekawa to postać Jezuity. Pochodził z rodziny senatorskiej, osiadłej na Wołyniu, odbył święcenia w zakonie, a niedopuszczany na katedrę teologii, zawrzał ukrytą nienawiścią do zgromadzenia. Rozpisał listy do wpływowych panów z zażaleniami, że »Jezuici podstępem wciągają młodzież do swego zakonu, że czyhają

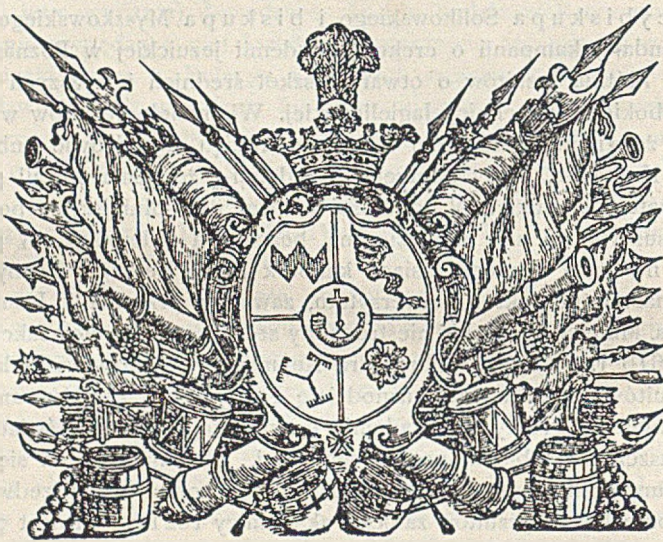
tylko na jej majątek, że inne zakony nauczają nierównie lepiej i dlatego potrzeba koniecznie przyzwać ich do szkół, a Jezuitów oddalić«. Za to wystąpienie z zakonu usunięty, wygotował przy pomocy ks. Zbaraskiego owe Rady sekretne, które kilkakrotnie wydane i przełożone na języki: niemiecki, francuski, angielski, rosyjski, hiszpański, portugalski i włoski, rozniosły po świecie grzechy tego zakonu. Ale czy z własnej słabości, czy pod wpływem przeciwników, ugłaskany probostwem w Gwoźdźcu, pozostał do śmierci (1634) »przyjacielem i obrońcą zakonu«. Wszelako dzieło jego zrobiło swoje. Pomimo dekretów i zakazów władz duchownych, pomimo potwarzy i obelg miotanych na autora, pomimo refutacyj Bem-busa i ks. Leszczyńskiego (1615), Contzena i Gretsera (1617), Argentego (1618—20), Forera (1634) i innych, chwymano książkę chciwie, czytano ją łakomie. Publiczność szersza dowiedziała się z niej: »w jaki sposób wciskają się Jezuici do przyjaźni królów i magnatów, jak jedną sobie bogate wdowy, jak nakłaniają do znacznych zapisów na zakon, w jaki sposób powiększają bogactwa kolegów, udając pogardę bogactw, jak pochlebiają zakonnikom« itp. Autor wytoczył przeciw nim najcięższego kalibru broń — świadectwa k a r d y n a ł ó w Maciejowskiego i Radziwiłła, a r c y b i s k u p a Solikowskiego i b i s k u p a Myszkowskiego.

Po nieudanej kampanii o erekcyę akademii jezuickiej w Poznaniu, poczyna się zawzięta kłótnia Jezuitów o otwarcie szkół średnich i wyższych w Krakowie, pod samym bokiem wszechnicy Jagiellońskiej. Wielbiciele Jezuitów w Polsce przyznać muszą, że »najniepotrzebniej w świecie uwzięli się Ojcowie publiczne szkoły otworzyć w Krakowie, jakby naprzekór akademii«, że »zmarnowali przez to czas ze szkodą rzetelnej nauki«. W ogólności »mózgi najzdolniejszych po obojej stronie mężów suszyły się nad niewdzięczną, bezcelową polemiką«. W pierwszym jej okresie stał na czele akademii ksiądz kanonik Jakób Neyman, zwany Najmanowiczem, kilkunastoletni rektor uniwersytetu, zawzięty przeciwnik Jezuitów, którymi przewodził ks. Mikołaj Łęczycki, niestrudzony szermierz i obrońca zakonu. Spór rozpoczął się 1616 r. »Katedrą«, broszurą Neymana, w której wyszydzone i napiętnowano Jezuitów, a zwłaszcza kaznodzieję Fabrycego. Zaatakowany, bronił się z ambony, miotając gromy na akademię krakowską, gasicielkę światła, za nieprawne przywłaszczanie sobie monopolu mądrości. Kłótnia zaognia się przez otworenie studium domowego dla nowicyuszów w zakonie. Na przedwczesne z powodu tego przechwałki Jezuitów zanieśli akademicy 1621 r. »protest przeciw przysłzłym szkołom jezuickim« i starali się przeszkodzić odbyciu dysputy filozoficznej. Przeciw temu założyli ojcowie »Reprotestacyę«, rozrzuciwszy ją po kraju, na co otrzymali ciętą »Odpowiedź« (ks. Neymana), przedstawiającą Jezuitów jako oszczerców i »szczwanych lisów, nachodzących podstępnie akademię«. Ujął się za nimi wychowanek Jezuitów, ks. biskup krakowski Marcin Szyszkowski i rzucił ekskomunikę na bezimiennego autora, drukarza i księgarzy, sprzedających ów bezbożny i heretycki pamflet, za nim potępili odpowiedź inni biskupi, a król Zygmunt III kazał go »spalić ręką kata na rynku warszawskim, czytania go surowo zabraniając«.

Aby poruszyć szlachtę przeciw Jezuitom, rozrzucił sędziwy rektor akademii ksiądz Bazyli Goliniusz do postów na sejmikach małopolskich list otwarty, w którym miota w twarz zarzut Jezuitom, że tam, »gdzie pod postawą pokorną wniść nie mogą, gwałtem na armatę się zdobywają«, że przez te swoje szkoły, »niebo ludziom palcem ukazując, sami obiema rękami świeckie dobra łapają«. W końcu wzywa przeciw »chytrym a łakomym intrygom« władzę sejmową na po-

moc: »żeby ci ojcowie sposobami swymi arcy mistycznemi akademii gubić zaniechali«. A że autor — w sprawie kościelnej, za jaką podówczas uważano szkołę — odniósł się przed forum świeckie, zgromił go za to biskup krakowski i rzucił nań klątwę bullae Coenae. W obronie osławionych ojców stanął sekretarz i bibliotekarz królewski Jerzy Borastus w swej Wentylacyi czyli roztrząsaniu listu, tudzież ks. kanonik Zakrzewski, panegirysta Jezuitów, który wypuścił na paszkwiłarza »Procę Dawidową, pięcią kamieni uzbrojoną« (na sejmie 1623). Rzucili się nań aż czterej akademicy, zanosząc w tymże samym jeszcze roku repliki do stanów sejmujących. Pierwszy z nich, bakałarz św. teologii Jan Przeclawowicz tak rozumował: Jak pięknie jest Jezuitom mieć swoje szkoły, tak brzydko dla Rzeczypospolitej nie mieć swoich. Szkoły Jezuitów mają głównie na celu dobro zakonu, akade-

NA HERBOWNY ZASZCZYT
Jásnie Wielmożnego Domu Ich M Cio w Państwa
MIĄCZYNSKICH.



Nr. 125. Klejnot z kalendarza Duńczewskiego.

mia zaś jest instytucją państwową, nad którą Rzeczpospolita (a nie kościół) ma władzę zwierzchniczą. W tym spokojnym tonie trzymaną jest także Konfutacya mistrza filozofii Witeliusza Ciołka: »Tarcza obrony profesorów akademii«. Dopiero ostatni z wojujących rycerzy akademii przypuścił gwałtowny szturm »Obżałowania przeciwko OO. Jezuitom za akademię krakowską«. Zarzuca im, że »następują na honor akademii, potwarzami sławę jej mazać usiłując«, że walą na nią wozy całe oszczerstw i rozpisują grube, zakowskie kartelusze. Obracając biczykiem ironii owe kamienie z procy Zakrzewskiego, godzi przedewszystkiem w »chciwość, bigoterję i faryzeizm Jezuitów«. Unię uniwersytetu z Jezuitami, tak gorąco propagowaną przez prowincyała Łęczyckiego, przyrównywa do przymierza liszki z jeżem: »Ten włazszy do jej nory, tak się tam kolcami swemi rozpierał, że wkrótce liszkę stamtąd wyforował«.

Pismo to, alumna akademii, z humorem wytykające grzeszki zakonu, wywołało wśród Jezuitów konsternację. Miał odparcia zarzutów, wyjednali u władzy duchownej ich potępienie. Nuncyusz napiętnował dekretem z 1623 r. »Obżalowanie« zarówno z »Odpowiedzią« jako »pisma bezbożne, uwłaczające, zgubne, bezecne, kłamliwe, obelżywe, goniące za faworem heretyckim, skandaliczne, pełne oszczerstw, gniewu i nienawiści przeciw pobożnemu i uczonemu Towarzystwu Jezusowemu« i zakazał je pod karą ekskomuniki »czytać, przechowywać, drukować, sprzedawać, oprawiać« itd. Śnać trafiały strzały akademików w samo sedno rzeczy, kiedy sprawiły taki rozlew żółci. Podniesione w potępionych pismach zarzuty zebrali akademicy w dwóch memoriałach, przedłożonych w tymże roku na sejm. Błagając posłów, aby powściągnęli zapędy Jezuitów, dążących do zagarnięcia w swe ręce całego królestwa nauk, »bo to ich taka zawsze praktyka: naprzód o kapliczkę proszą, wnet okazały kościół postawią, a włazłszy jedną nogą, tłoczą się całym ciałem«. Na oba memoriały przedłożyli Jezuici odpowiedź, rozwijając w niej ponownie plan unii, wypracowany przez Fryderyka Szembeka S. J.

Z utarczek podjazdowych, gęsim piórem toczonych, przychodzi do walki na szczerem polu. Rozzuchwalona przez swych mistrzów młodzież, wychowana w atmosferze samowoli swych ojców i zaprawiona w burdach i napaściach innowierców, ima się najgwałtowniejszych środków. W roku 1625 spisują uczniowie akademii Jagiellońskiej akt konfederacji p. t. Puncta convocationis, których jeden dosłownie przytaczam: »Postanawiamy przeciw Jezuitom, jako wrogom naszym, działać, szkoły ich wszelkimi godziwymi lub niegodziwymi sposobami i tumultami rozganiać, uczniów ich rozpędzać namowami i siłą zbrojną napadać, mniejszych batami, starszych grubymi kijami okładając. Tymże karom chcemy, aby podlegali ich magisterkowie (Jezuici)«. Dalszy punkt odnoszący się do kolegów, opiewa: »Neutralistów (t. j. obojętnych), których wielka jest liczba, jako buntowników z naszego uczestnictwa wykluczamy«. Od słów przyszło do czynów. Młodzież skonfederowana rzuciła się z kijami i bronią palną na żaków jezuickich. Na czele rozruchu stanął Bartłomiej Przepiórka, syn włościanina z Piątku (na Mazowszu) i w bójce tej poległ (13 czerwca 1625). A śmierć jego dała hasło do wspaniałej manifestacji: Okrzyknęli go — opowiada społeczny pisarz — męczennikiem wolności akademickiej i na herb się onemu złożywszy, Ptaszkowskim z Przepiórki nazwali. Zwłoki jego wystawione przez kilka dni przed kolegium jurystów, obnoszono po ulicach. W okazałym pogrzebie wzięły udział wszystkie wydziały: profesorowie akademii, zakony, kler świecki; nadworna milicya konwojowała żałobny orszak przed możliwym ze strony Jezuitów napadem. Umilkły dzwony, zahuczały trąby, a herold wyćwiczony w gestach i intonacji przez akademików, głosił proklamację, że Jezuici wbrew prawom koronnym i swej wokacyi zakonnej zabili, zamordowali szlachetnego Bartłomieja Ptaszkowskiego, studenta akademii krakowskiej. Kiedy składano zwłoki jego do grobowca w pobliżu bł. Jana Kantego, przemówił akademik Ninicki, odzywając się do Jezuitów temi słowy: »Oto ci — wołał — którzy zakon miłości publicznie wyznają, a stali się przyczyną niezgód krwawych. Oto, którzy grzechy ludzkie zjadają, a jałmużny nie na ubogich, ale na żołąd dla hajduków do mordy gotowych obracają. Oto sprawcy bitew i klęsk, w których zwycięzca gorszy od zwyciężonego. Bodajby nigdy to zgromadzenie światła dziennego nie ujrzało«.

Wytoczono wprawdzie całą sprawę »niesfornych« uczni akademii przed sądem królewskim, a ten winnym zagroził surową karą, ale na tem się skoń-

czyło. Na dobitkę ułożył jakiś akademik »wierszowany pamflet na Jezuitów«, który śpiewała młodzież akademicka. Nadaremnie protestował przeciw temu wicerektor kolegium Jezuitów Szembek, wierszyk rozszedł się w okamgnieniu po całym Krakowie.

Z broszur polemicznych, na plac boju wytoczonych przez akademię krakowską, jak *Recepta*, *Przywilej*, *Konsens*, *Profetia*, *Ezop*, *Cicero* itp. zasługuje na wyszczególnienie »*Gratis plebański*«. Wypuścił ten ciężki grot mistrz akademii, Jan Brożek, mierząc nim w samo sedno listu rektora Jezuitów Łęczyckiego: »*gratis uczą Jezuci*«. Zbiorowa ta praca akademików pod redakcją Brożka stara się wykazać, że »*Jezuici uczą bardzo drogo*«, otrzymują bowiem dla kolegiów swych »*sute prezenta*« i fundacye, a przytem »*uczą dla siebie*« »z wielką stratą czasu i umęczenia uczni«. Z wychowanków sobie zatrzymują najlepszych, a »na świat błaznów puszczają, aby z błaznów mieli niewolników«. Książeczka ta dokuczyła do żywego Jezuitom i poczyniła w ich szeregach niemałe spustoszenia. Nadto wydobyl Brożek jakieś Proroctwo św. Hildegardy, zmarłej jeszcze w 12 wieku, rzekomo potępiające »*przewrotny zakon*«. Dyabeł — powiedziano tam — zakorzenił w nim cztery występki: pochlebstwo, aby Jezuitom hojniej dawano jałmużny, niecniawieść, gdy składają je innym a nie im, obłudę, aby się podobali udawaniem i obmową, siebie zalecając a innych ganiąc, wreszcie niepomierną chciwość. Andrzej Piotrkowczyk, znany drukarz »*heretyk*«, ogłosił tę wiązanekę kwiatów z listem Brożka, ale Jezuci dowiedziawszy się o tem wcześniej, wnieśli skargę do grodu i użytkali konfiskatę broszury, spalonej ręką kata na czterech rogach rynku; drukarza uwięziono i skazano na »*chłostę u pręgierza* oraz wyświecenie z miasta«. Staroście, domagającemu się ukarania mistrza Zbrożka za napisanie *Gratis plebańskiego* odpowiedział z godnością rektor akademii Neyman: »*Co w *Gratisie* przeciw Jezuitom, to on i akademicy aprobuja i nietylko mocno przytem stoją, ale też dotąd przeciw Jezuitom pisać nie przestana, azby im szyje i ręce poucinano*«.

Odwzajemniając zaś krzywdę wyrządzoną Piotrkowczykowi, wpadli studenci akademii krakowskiej do drukarni Wojszeńskiego, gdzie się składała »*Krótką sprawą*« Ojca Bembusa z powodu otwarcia kolegium Jezuitów u św. Piotra, obili służbę i uwięzili broniącego drukarni, a broszurę spalili na czterech rogach rynku. Ujął się też za kolegą swym Piotrkowczykiem drukarz akademicki Franciszek Cezary, sarkając głośno na niesprawiedliwość kary, wymierzonej przez rotmistrza piechoty zamkowej, za co znów tenże napadł na dom Cezarego, porwał go i kazał mu »*sporo plag odliczyć*«. Pomścili tę zniewagę drukarze akademicy, obrzuciwszy kamieniami wracających z egzekucyi żołnierzy. A tak napadom i gwałtom nie było końca.

Z poła sejmów i sejmików, informowanych przez paszkwile i pamflety obu stron walczących, przenosi się spór do najwyższego trybunału sprawiedliwości w kościele, do roty rzymskiej. Walka przybiera charakter nużącego procesu prawniczego, urozmaica ją tylko swawola uczniów, dochodząca do formalnego terroryzmu.

Jezuici, opierając się na korzystnym dla nich wyroku roty, ogłosili »*Obronę kolegium*« i podali ją na sejm (1627). Dowodził w niej Ojciec Bembus, że akademia wyłącznego przywileju zakładania szkół nie posiada, bo go nikt nie wydał i że taki monopol nauczania jest »*niezbożny i nierozumny, a źródło swoje ma w chciwości*«. Lecz słuszne te wywody Bembusa nie przekonały akademików

ani cnej braci, biorącej ich w opiekę. Wystąpił przeto wicerektor kolegium Jezuیتów w Krakowie Fryderyk Szembek z broszurą zatytułowaną »Gratis plebański, wyćwiczony w jezuickich szkołach« z przejrzystą aluzją do Brożka. Nie pomagał ton poważny, z lekka jeno zaprawiony ironią, »z widoczną starannością oszczędzenia dobrej sławy akademii« — rozjuszona młodzież akademicka wydała wyrok potępienia na książkę przez spalenie jej ręką podkacika na rynku pod pręgierzem wśród okrzyku tłumu: Gratis jezuicki leci do piekła! Mistrze zaś akademii wypuścili w świat p. t. Zniesienie obrony collegium Soc. Jezu w Krakowie, broszurę, która pomimo figurowania na indeksie, wydaną została powtórnie przez Neymana, »z przydatkiem niektórych punktów do nowego Gratis«, na co znów Bembus oddał do druku swoją »Odpowiedź na zniesienie obrony Neymana«. Biskup Szyszkowski, dowiedziawszy się o wybuchu nowej polemiki, starał się stłumić ją w zarodku. Dość już było czczej i bezpłodnej wojny papierowej. Tymczasem rota rzymska wydała 1630 r. Litterae executoriales, czyli list wykonawczy, na mocy którego utrzymali się Jezuici przy swojej szkole krakowskiej. Akademia, stojąca na ciasnym stanowisku monopolu nauki, poniosła zasłużoną klęskę. Nie dała jednak za wygraną. Niestrudzony jej rektor Neyman, korzystając ze śmierci Zygmunta III i biskupa krakowskiego, obrońców Towarzystwa Jezusowego, podniósł ubitą już sprawę na nowo na sejmie konwokacyjnym 1632 r. »Memoryałem eksorbitancyi«, domagał się rewizyi procesu, na co odpowiedział Jezuita Družbicki »Deklaracją memoriału« do sejmujących stanów z żądaniem zatwierdzenia dekretu roty.

Na osłabienie więc argumentacyi przeciwników wydał Neyman aż trzy dziełka: w Eksaminie pretensyi Jezuیتów zarzucił im »podstępne uzyskanie przywilejów i dekretów w Rzymie«, w Dowodzie memoriału wykazywał ponownie urojone prawa akademii do wyłącznego nauczania, Krótką informacją zaś starał się zwalić przyczynę burd i tumultów młodzieży na uczni szkół jezuickich.

Nie zostali dłużni odpowiedzi Jezuici i wygotowali Sąd (Judicium) o Egzaminie akademików oraz Informację wyroku i listu wykonawczego Roty rzymskiej, a o burdach studenckich ogłosili Memoriał. Między szlachtą sejmikującą zaś pchnęły dwie broszury popularne, wykazujące, że »Ojcowie Jezuici słusznie swe szkoły otworzyli w Krakowie«, tudzież że »Szkoły OO. Jezuیتów nie są przeciwne przywilejom Królestwa« (wszystko 1632). Ale pisma te minęły bez wrażenia, nie miały bowiem czytelników, z wyjątkiem chyba samych towarzyszy. Brać szlachecka Ignęła do swej akademii, uważając jej kłótnię za sprawę Rzeczypospolitej. Od otwarcia Kolegium Jezuیتów w Krakowie fale nienawiści przeciw nim do tego stopnia wezbrały, że akademicy z roli biernej przejść mogli w czynną i zamienić stanowisko odporne na zaczepne. Nawet kurya rzymska, patronka zakonu, licząc się z rządem szlacheckim w Polsce, przechylać się poczęła na stronę przeciwników.

Ze śmiercią opiekuna Jezuیتów, Zygmunta III, a nastaniem rządów niechętnego im Władysława IV., przyszło do »opresyi« szkół Jezuickich w Krakowie. I kiedy Jezuici, skrepowani zakazem nuncjusza prowadzenia polemiki, umilkli, akademicy podnoszą »Pierwszą setkę powodów, w której jeden z Towarzystwa Jezusowego (w istocie akademik) wykazuje, że z korzyścią będzie zakonu, jeżeli szkoły krakowskie zostaną zniesione«. Powody te tak były trafnie wywiedzione, że Jezuici sami przypisywali autorstwo dziełka swemu towarzyszowi Adamowi Makowskiemu, znanemu z pochlebstw, intryg i dzieł ascetycznych, ale i z mów w »wy-

bornej polszczyźnie« pisanych. Nie dość tego — na walnym sejmie koronnym 1633 puścił w obieg jeden z mistrzów akademii pisemko w polskim i łacińskim języku, jakoby od błogosławionego Jana Kantego, najwyższego akademii patrona, wystosowane do zmarłego króla polskiego, podające »Przyczyny, dla których Jesuitarum socii nie mają się porywać na to, aby w Krakowie szkół uczyli«. Zadał im cios śmiertelny wyrok komisji sejmowej, orzekający jako trybunał rozjemczy, zamknięcie szkół w Krakowie ze względu, że »Jezuici przywileje swoje na ich otwarcie podstępnie uzyskali w Rzymie fakcyjami, intercesyjami i innymi subtelnyimi sposobami«. Wreszcie uzyskano 1634 przez kanclerza Ossolińskiego, bawiącego właśnie w roli oratora króla w Rzymie, brewe papieskie, zamykające raz na zawsze szkoły Jezuitów w Krakowie. Akademy, na całej linii zwycięscy, widząc u stóp swych powalonego przeciwnika, nie oszczędzili mu dotkliwego upokorzenia. Nągrywali się zeń w satyrach łacińskich: Łagodne zwycięstwo Władysława IV., Poufne rady itp. Po usunięciu niebezpiecznego rywala z widowni, pozostała akademia na placu samowładną panią, ale panią biedną na duchu.



Nr. 126. Gotfr. Lengnicka Historia Polska Lipsk 1740.

Jezuici przegrawszy sprawę w Krakowie — podnieśli ją we Lwowie. Wobec wyraźnej konstytucji z 1635, przyznającej akademii krakowskiej monopol nauczania, czynili oni zabiegi o podniesienie swego Kolegium lwowskiego do akademii za Jana Kazimierza (1661), Jana III. (1678) i Augusta III. (1758), zawsze bezskutecznie i nie bez sromotnego upokorzenia.

Przychodziło do gorszących zatargów — na pióra. Z ramienia Krakowian ogłoszona broszura dowodziła po łacinie — bo tego języka używano jeszcze w polemice: »że nie wypada nowej akademii we Lwowie O. O. Jezuitom otwierać«. Poparł jej wywody mistrz krakowski Jan Michalski w dziele p. t. Rationes, wyliczając aż 60 racyj czyli powodów przeciw założeniu uniwersytetu jezuickiego we Lwowie. Nie omieszkali odpowiedzieć na nie Jezuici »Refutacją«, wyłuszczyli swoje »Rationes«, iż nie-

tylko wypada, ale koniecznem jest otworzyć akademię we Lwowie, wreszcie wydali krótką w tej sprawie »Informację« na sejm do swoich byłych uczniów, zasiadających gęsto na krzesłach w senacie i izbie poselskiej.

Sprawa wytoczona w Rzymie przybrała charakter przewlekłej choroby i skończyła się dopiero za Jana III. przegraną Jezuitów. Ponowili ją jeszcze za Augusta III. puszczeniem w świat broszury p. t. »Dyskurs dwóch ziemianów« (1759), gdzie z upartością, godną lepszej sprawy, dowodzili praw swych za akademią lwowską. Przeciwnicy odpowiedzieli ostro »Responsem na Dyskurs dwóch ziemianów« (1760), a autorstwo tego pisma przypisywano wielkiemu reformatorowi wychowania Konarskiemu. W lot puścili Jezuici pod imieniem Piotra Potockiego »Objaśnienie prawdy, jako akademia lwowska sprawiedliwie i potrzebnie otwarta«

i drugie podobne »Oświadczenie« (obie broszury wydane we Lwowie 1760). Na co odezwali się nawet akademicy zamojscy. I znowu posypały się nowe repliki i dupliki czy nawet trypliki w »Listach«, »Skryptach« itp. Po tej tyralierce wystąpiła akademia krakowska z poważnym i ściśle naukowym zbiorem praw i przywilejów swoich od czasów Kazimierza Wielkiego p. t. Propugnatio iurium (Obrona praw) przeciw nieprawnej erekcyi akademii lwowskiej (1759), wykrywając równocześnie w broszurze »Attentata« zamachy Ojców Jezuitów na prawa wszechnicy Jagiellońskiej. Na sejm zaś następnego roku przygotowała dwie »Informacje«: jedną obszerniejszą do najjaśniejszych trzech stanów Rzeczypospolitej, drugą krótszą dla biskupów, a dla sądów asesorskich ogłosiła »Sumaryusz powodów«. Ale i Jezuiti nie spoczywali. Ułożyli swoje »Rationes« czyli powody za uniwersytem lwowskim, rozrzučili też między szlachtę lżejsze broszury. Posypały się więc na »Memoryały«: »Deklaracye«, po nich dupliki, repliki, trypliki i kwadrypliki. Polemika — prowadzona za Zygmunta III, po literacku — przybrała za jego następców charakter prawniczy, a zakończyła się — klęską Jezuitów.

Akademia, odtąd samowładczyni na nieprzejrzanych obszarach wychowania w Polsce, pozbywszy się współzawodnictwa, które ją bądź co bądź do czujności pobudzało, popadła w sen duchowy. Zużywszy resztki swych sił w swarach z Jezuitami o przywileje i monopole, nie miała już władzy do podźwignięcia się z upadku i znikczemnienia. Na kartach broszurowej literatury tego okresu przewijają się obok walki Jezuitów z Akademią swary tego zakonu z duchowieństwem świeckiem.

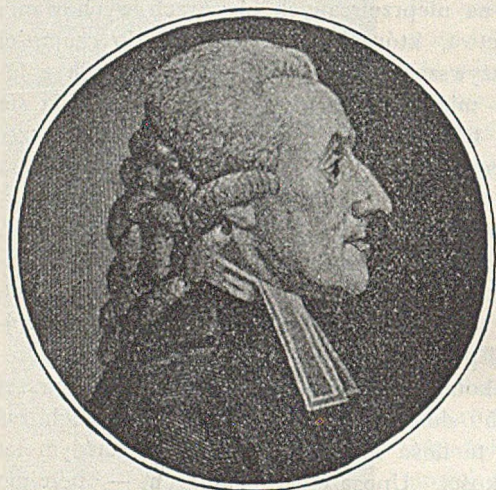
Wogóle namnożyła się w owym wieku ciemnoty, od Wazów począwszy, przerażająca ilość klasztorów i duchowieństwa, powoduje to między innymi plagami także i kłótnie. Za Sasów liczono samych zakonników i zakonnicek, zapisanych w Bractwach Jezuickich i akademickich zwyż 50.000, kiedy wojska nie było nawet połowy tej liczby. Episkopat patrzył niechętnem okiem przedewszystkiem na niesłychany rozrost zakonu Jezuitów w Polsce. Już w pierwszej połowie 17 wieku liczyli Jezuiti około 50 domów-profesów, 35 szkół, w nich zaś około 15.000 uczniów. A niepomierna ta ilość klasztorów wzrasta z każdym lat dziesiątkiem do iście monstrualnej wielkości. Uposażenie niektórych — pomimo ślubowania ubóstwa — było prawdziwie książęce. Swawola i rozpasanie, zakorzenione wśród szlachty, szerzyły się też wśród mnichów, a nie wolni od nich byli »pańskiej fantazyi« biskupi i »zaciekli« Jezuiti. Wszczęły się więc między nimi spory — głównie powstające wskutek niepłacenia dziesięcin. Jezuiti, posiadający znaczne w Rzeczypospolitej dobra, nie składali wogóle żadnych danin, powołując się na przywileje papieskie exemptionis t. j. wolności od wszelkich podatków.

Spory te o dziesięciny zużywają nie mało czernidła drukarskiego. W obronie duchowieństwa świeckiego przeciw Jezuitom napisał ksiądz kanonik poznański Jan Markiewicz dziełko łacińskie p. t. Dziesięcina kleru (Paryż 1644), w którym dowodzi, że »Jezuiti pomimo egzempcyi obowiązani są do dziesięcin«, przyczem chlostał biczykiem ironii chciwość i zachłanność braci w Chrystusie. Sprawę wytoczoną w Rzymie zastępowali dzielnie zaatakowani, tak że ks. Markiewicz zniewolony był wydać nową broszurę p. t. »Dziesięcina kleru świeckiego« przed sądem w. kongregacyi (Kraków 1647). Nie zostali mu dłużni Ojcowie Jezuiti. Ks. Jan Naldus napisał dziełko łacińskie »Polska narada o dziesięcinach w obronie Jezuitów i innych zakonów« (Rzym 1647), na co replikował ks. Markiewicz »Dziesięciną — po trzeci raz przeciw wnioskom ks. Nalda przedstawioną«

(Kraków 1648), przyczem tak rozpuścił wodze swemu pióru, smagając prepotencyę i pychę powszechnie znienawidzonego zakonu, że nuncyusz papieski książeczkę jego jako »ohydny paszkwil« pod karą ekskomunikacji zakazał »przechowywać, rozszerzać i czytać«. Nie przepuścił mu też i Jezuita Mikołaj Cichocki w »Odpowiedzi teologicznej na potrójne pismo« (aż w dwu wydaniach: 1649 i 1650). Odparł jednak stanowczo te zarzuty ks. Markiewicz »Repliką kanoniczną«, ogłoszoną po łacinie w Krakowie 1650 roku. Pokonani Jezuita zamilkli, zniewoleni do płacenia dziesięcin.

Zaledwie przygasły zgliszcza tej bezkrwawej wojny, kiedy nasz nieubłagany przeciwnik Jezuitów rozpoczął z nimi nowe harce broszurą łacińską »O odłączeniu sześciu wsi od kapituły poznańskiej« (1641), stając w procesie Jezuitów z kapitułą po stronie tej ostatniej. Wyrzucał tu towarzyszom Lojoli »chciwość bogactw, niedozwolony handel«, wogóle »odstępstwo od litery i ducha pierwotnej reguły«.

Całą zaś zółć wylał na nich w piśmie p. t. Scandalum expurgatum czyli Zgorszenie oczyszczone. Wykazuje w niem, że »Jezuici zaniechawszy instytutu św. Ignacego, powszechnie żyją ze zgorszeniem heretyków i całego chrześcijaństwa«, podnosi ich nieograniczoną ambycję (»chcieliby wszystkie świeckie i kościelne sprawy opanować«), ich zdróżną, niegodziwą politykę wyłudzenia majątków rodzinnych. Miasto odpowiedzi zaskarżyli Ojcowie ks. Markiewicza przed biskupem i nuncyuszem, a ci »autora paszkwila surowo upomnieli, aby na przyszłość nic nie ogłaszał drukiem bez cenzury biskupiej«. Nie dość tego, jakiś usłużny przyjaciel zakonu postarał się o to, że oskarżono autora przed Rotą rzymską, najwyższym trybunałem duchownym, a ten wydał nań wyrok



Nr. 127. Popiersie Karola Benj. Lengniicha.

potępienia i obłożył go klątwą. Gdy się nadto pokłócił z kapitułą warmińską i zapozwał prokuratora Jezuitów przed izbę sprawiedliwości w Rzymie, uderzył grom w jego głowę. Radzono mu ratować się ucieczką, ale »nie jemu kanonikowi i szlachcicowi uciekać«.

Pozostał, uwięziono tedy śmiałka. Dopiero za wstawieniem się magnatów polskich a podobno i króla, wypuszczono go, po półrocznem więzieniu w zamku Anioła, na wolność, pod warunkiem jednak, że przeciw zakonowi nigdy występować nie będzie. Pisząc swą obronę niewinności w broszurze łacińskiej p. t. Więzienie rzymskie, oszczędzał w istocie Jezuitów. W chwili jednak, kiedy się zakon gotował do otwierania szkoły w stolicy Rzeczypospolitej — puścił w świat pod anagramem Simona a nave Kayrecius (Joannes Markevicius) zatruty strzał na towarzystwo Jezusowe. Zarzuca mu chciwość, pieczeniarnstwo, nieczystość, wyzysk i tym podobne grzechy. Nie spoczął potem, dopóki w dwóch broszurach łacińskich: Prawda dobrego życia Ojcom Jezuitom wykazana (1671),

O podwójnym instytucie Jezuitów (1672), nie dowiódł im grabieży dóbr, intryg, w ogólności odstępstwa od reguły zakonnej. I znów przeciwnicy zamiast odpowiedzi oskarżyli go przed nuncyuszem, wskutek czego popadł Markiewicz w ekskomunikę, a »pamflety« jego zostały publicznie na rynku warszawskim spalone. W tem szamotaniu się z możliwym przeciwnikiem, zaskoczyła go starość. Złamany przeciwnościami, upokorzył się i pojednawszy się z wrogami, zakończył swój wojowniczy żywot 1687 r. jako 85-letni starzec.

Takie ciosy, jak owe ks. Markiewicza, spadały z różnych stron na głowy Jezuitów. Widocznie zaczynało się coś psuć w państwie duńskim...

Główna ich twierdza wychowawcza — ognisko nauk i umiejętności Jezuitów — założona za króla Stefana akademja wileńska, której rozkwit przypadał na schyłek 16-go i pierwsze dziesiątki 17-go stulecia, szczytując się takim rektorem jak złotousty Skarga, i profesorami tej miary co słynny na całą Europę poeta Sarbiewski, liczącą jeszcze w 1627 r. około 700 uczniów, zaczęła w tym okresie okwitać i więdnąć.

Kłęski wojen, pożarów i epidemii zdziesiątkowały szeregi mistrzów i uczni. Od środka 17-go wieku w głąb drugiej połowy 18-go przedstawia ona smutny obraz niedołęstwa i ciemnoty. Celem jej było wytępienie »kacerstwa«, po spełnieniu tego zadania, nie zastosowawszy się do zmienionych warunków, ani do potrzeb narodu, ugrzęzła w martwocie.

Jako instytucja duchowna, wyłącznie zależna od Kościoła a w szczególności od generała zakonu w Rzymie, miała ona na celu przygotowanie do zawodu kapłańskiego lub kształcenie uczniów świeckich na bojowników za rzym.-katolicką wiarę. Była zaś organizacją kosmopolityczną, taką samą w Paryżu lub Madrycie, co w Wilnie. — O uwzględnieniu więc potrzeb ludności krajowej nie było mowy. Nadto nie liczyła się z wzrastającą specjalizacją nauk. »Profesor wykładający dziś astronomię, jutro teologię, po jutrze mógł być delegowany do lania świec woskowych albo wysłany do zamorskich krajów, a powróciwszy z misji do Wilna, mógł objąć katedrę poetyki w jakiej szkółce jezuickiej«.

Wykłady filozofii odbywały się w duchu metody scholastycznej podług dzieł Arystotelesa w przeróbce i objaśnieniach św. Tomasza, do dziś stanowiących urzędową naukę Kościoła katolickiego. Dopiero kiedy zasady Kartezjusza i Locke'a, prowadzące do negacyi nieśmiertelności duszy ludzkiej i istnienia Boga, niemniej filozofia Wolfa, ucznia Leibnitza, również »ateusza«, przenikać zaczęły górne warstwy społeczeństwa, zniewoleni byli i nasi akademicy liczyć się z postępowymi dążeniami. Jeden z pierwszych jezuita polski, profesor Benedykt Dobszewicz, w pismach: *Placita recentiorum philosophorum* (Wilno 1740) i *Prelectiones logicae* (tamże 1761), zrobił wyłom w ówczesnych pojęciach naukowych. Uwzględnił już Bakona, Kartezjusza, Locke'a, lubo tkwi jeszcze w formalistyce i sofisteryi dyalektyków średniowiecznych.

Mistrzowie akademii wileńskiej, odrywając młodzież od życia, nie przysposabiając jej na przyszłych obywateli kraju, posługiwali się nią do dekoracyi przy uroczystych widowiskach, najczęściej do wygłaszania przeróżnej kategorii wierszy i mów panegirycznych. Zaswędziły one atmosferę akademicką dymem pochlebstwa, ale miały ten praktyczny skutek, że jednały zakładowi łaskę opiekunów. Jałowe pod względem myśli, puszające się przesadą i nadętością słowa, utwory te układane były przez profesorów w imieniu młodzieży, zwanej palestrą oratorską lub poetyczną — stosownie do tego, czy uczęszczała do klasy retoryki albo poe-

zyi — na cześć, czyli jak się wyrażano, »pod zaszczytem« króla, wysokich dygnitarzy, wogóle dobrodziejów zakonu. Pisano je najczęściej w języku łacińskim, albo w języku polskim ale zeszepeconym makaroniczną pstrociną.

Jeżeli chodziło o uczczenie dobrodzieja, wywodzono parantelę jego z zamierzchłych czasów, gdzieś z Rzymu lub nawet z Persyi. — Osnowy dostarczały też dzieje minione lub współczesne zwycięstwa oręża polskiego. Przypominam *Karolomachię*, opiewającą zwycięstwo Karola Chodkiewicza nad Karolem Sudermańskim (Wilno 1611), *Szturm Smoleńska* (Wilno 1611) i gorsze *Pienia dziatek* na przyjazd króla, magnatów. Chcąc w sercach młodzieży i ludu rozpalic płomień żarliwości religijnej, urządzali Jezuici uroczystości publiczne i tym podobne obchody i przyjęcia z nadzwyczajną okazałością. Do tego celu służyły procesye, przedstawienia teatralne, dyalogi i znowu panegiryki.

Kanonizację św. Kazimierza obchodzono z niebывалą pompą: widowiska, obrazy, tryumfalne łuki, mowy pochwalne, śpiewy głosiły cześć królewicza i opiekuna Litwy. Opiewało go ośmdziesięciu czterech autorów — przeważnie mistrzów i uczni z Towarzystwa Jezusowego — w przeszło dziewięćdziesięciu większych lub mniejszych wierszach p. t. *Pompa Casimiriana* — wszystko umieszczone w dziele zatytułowanem *Theatrum s. Casimiri*. (Wilno w typografii Akademii Soc. Jezu. 1604). Z niemięszą okazałością obchodzono stuletnią rocznicę założenia zakonu, a opisem tej uroczystości z podaniem wierszy, mów, panegiryków i utworów sztuki zajął się profesor retoryki ks. Wojciech Kojalowicz w dwóch pismach łacińskich p. t. *Graciae saeculares* i *Primus Soc. Jesu saecularis* (Wilno 1640).

Uroczyste te obchody i przyjęcia miały tę ujemną stronę, że odrywały młodzież od nauki, zajmując ją przedwcześnie rzeczami, przechodzącymi jej widokrąg umysłowy i zaszczipiając w niej zarazki pochlebstwa i obskurancyi, które w epoce saskiej rozwinęły się w groźną chorobę.

Żarliwość religijna, zaostrzona w polemice i dysputach z innowiercami, wydała takich dyalektyków jak ks. Marcin Szmiglecki, profesor teologii, autor książki »O lichwie« i znakomitej na swój wiek *Logiki* (Ingolsztad 1618), napisanej w duchu szkoły perypatetyków, ale wyradzała się w uliczne burdy i bójki, staczane przez studentów akademii jezuickiej z uczniami szkół różnowierczych i pijarskich pod egidą mistrzów. Pod koniec panowania Władysława IV. zajaśniała wszechnica wileńska ostatnim blaskiem gasnącej lampy. Oto pod naporem wymagań szlachty litewskiej utworzyli Jezuici 1644 r. z fundacyi podkanclerzego Lwa Sapiehy wydział prawniczy, który wywołał nieco żywszy ruch umysłowy. Zażywający rozgłośniej w świecie uczonych sławy profesor prawa kanonicznego ks. Olizarowski napisał między innymi dzieło p. t. *De politica hominum societate* (Gdańsk 1651), przemawiając odważnie w imię praw boskich i ludzkich w obronie ucześnionego ludu i szerząc niektóre prawdziwie postępowe zasady. A uczniowie jego rozwijali myśli swego mistrza w rozprawach prawniczych (O spadkach testamentowych Andrzeja Markarta i Kontrowersyach o małżeństwie Józefa Konstantynowicza).

Wśród klęsk wojennych, zewsząd walących się na głowę nieszczęśliwej Rzeczypospolitej za Jana Kazimierza, chyli się uczelnia wileńska ku upadkowi. Po zgnębieniu swoich przeciwników, kiedy gorliwi w winnicy Pańskiej pracownicy porośli w pierze, zapanowała w szeregach ich obojętność, wyradzająca się w lenistwo. Pogasty na horyzoncie Towarzystwa Jezusowego jaśniejące gwiazdy, nie stało mężów nauki ani pedagogów. Akademia wileńska ugrzęzła na mieliźnie, a mi-

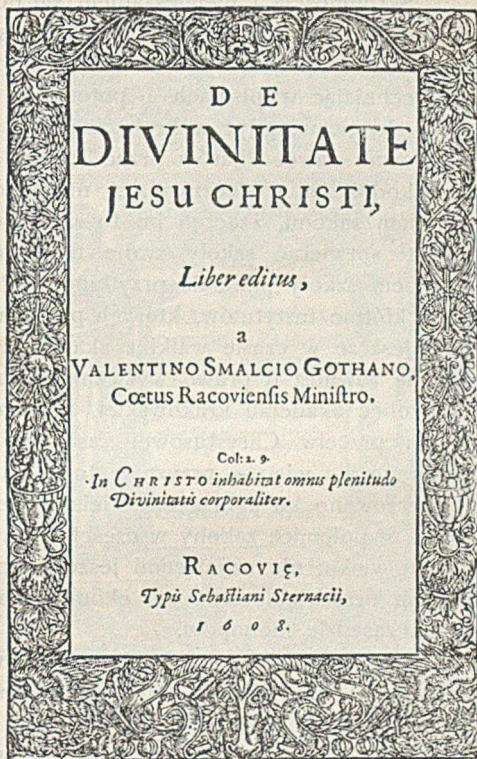
strzowie jej, posuwając się po relsach rutyny, bronili zazdrośnie przystępu każdej świeższej myśli. Wszelkie zmiany kanonu jezuickiego — jako istotnej części ustawy zakonnej, zawisłej od generała w Rzymie — wielce były utrudnione. Nie pragnęli jej też pogrążeni w odrętwieniu akademicy czasów saskich. »Uczono na wszechnicy wileńskiej — jak powiada nieuprzedzony jej badacz — oswiałej filozofii scholastycznej, mącej jeno młode umysły, albo podobnego rodzaju logiki, czczyimi wykrętami krzywiącej pojęcia uczniów«. Głównem ćwiczeniem pozostały nadal panegiryki.

W murach akademii rozsiała się »jałowość myśli i nadętość słowa«, zagarniając pod swe panowanie zarówno tych, którzy owe piśmidła układali, jak owych, którzy je za dobrą monetę przyjmowali.

Anarchia i rozprężenie narodu za panowania Augustów, tudzież rabunki wojsk cudzoziemskich, nieopuszczających już ziem polskich, niemniej pożary i epidemie przywiodły tę najwyższą księstwa litewskiego szkołę do zupełnego upadku. Dopiero współzawodnictwo z zakonem Pijarów obudziło pogrążoną w letargu »almę« do życia.

Władysław IV., jeden z najświetlejszych królów polskich, widząc »opłakane skutki wychowania młodzieży w szkołach krajowych«, spodziewał się w przygasających ogniskach nauki rozniecić światło przez wprowadzenie do Polski świeżo założonego zakonu Scholae Piae (szkół pobożnych), zajmującego się początkowem nauczaniem ludu. Osiedleni kosztem tego monarchy w Warszawie 1642, a w następnym roku w Podolińcu na Spizu, rozkrzewili się Pijarzy w drugiej połowie tego wieku po różnych okolicach Polski i Litwy.

Szkoły ich nie były pod względem planu nauk lepszymi od jezuickich. Tu i tam marnowano czas na różnego rodzaju nabożeństwach, na popisywaniu się oracyami i panegirykami, w których panowała przesada w rzeczy i formie. Ale już przed reformą Konarskiego znać było w szkołach pijarskich pewne zabarwienie obywatelskie, przebijało nieznacznie tło narodowe. Oto np. w Kolegium piotrkowskiem Pijarów odbywały się raz w rok sejmiki szkolne. »Uczniowie retoryki wotowali naprzód na marszałka, następnie na posła, poczem każdy z sejmikujących uczniów podawał posłowi instrukcję, za czem miał ów poseł na sejmie obstawać. Mowy instrukcyjne uczniów obejmowały najważniejsze przedmioty polityczne: o potrzebie powiększenia wojska i o sposobach utrzymania go w Koronie



Nr. 128. Wał. Smalcjusza O boskości Jezusa Chrystusa.

i Litwie, o tolerancji, o zdolności dysydentów do piastowania urzędów publicznych, o umiarkowaniu i określeniu wolnego niepozwalam, o ustanowieniu szpitali wojskowych, o naprawie fortec itp. W tym samym mniej więcej czasie młodzież u Jezuitów, mających w swem gronie o wiele ucześniejszych ludzi od Pijarów, prawiła o uwolnieniu dóbr duchownych od ciężarów publicznych, o zakładaniu klasztorów, których już było nadto, o nieprzyzwalaniu na podatki i t. p. Świadectwem »Fama polska publiczne stany i młodź szlachetną informująca«, podana uczniom za wzór przez nauczyciela ks. Jezuitę Kazimierza Wieruszewskiego. Poza tem naśladowali Ojcowie Pijarzy w najdrobniejszych szczegółach Jezuitów, o ile szkoły obu zakonów nie były na tych samych zasadach zorganizowane.

Skromnością i niemieszaniem się do polityki ściągał Pijarzy do swych szkółek coraz liczniejszą młodzież, przez co stali się niebezpiecznymi spółzawodnikami Jezuitów. Zaczęli więc ci ostatni »podkopywać wziętość« w narodzie Pijarów, rozpowszechniając w pismach i potocznej mowie: że szkoła pijarskie są niepotrzebne i zbędne, gdyż w kraju znajduje się pod dostatkiem szkół jezuitskich, denuncywali nawet Pijarów przed stolicą, że »mniej są w wierze gorliwi«, mieniąc ich szkodnikami społecznymi. A nie zadowalali się pokątnem i publicznem skalowaniem zakonu, »zaczęli im to samo robić, co dawniej akademii krakowskiej«, to jest: »otwierać szkoły swoje tam, gdzie je Pijarzy od dawna mieli, aby tym sposobem szkoły pijarskie przytłumić«. Powstały stąd »nowe zgorszenia, pieniactwa i kłótnie instytutów, których powołaniem było uczyć naród zgody i jedności«.

Jeszcze w czasie walki z akademią wybuchł spór Jezuitów z Pijarami a toczył się również o prawo wyłączności nauczania, którego zakon Lojoli nie uznawał wobec akademii krakowskiej, a które stosował wobec Pijarów, grzesząc tem samem przeciw Chrystusowej zasadzie: Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło. »Spierano się więc — przyznaje to jeden z najrozumniejszych Jezuitów polskich — i procesowano ku zgorszeniu wielu, a bez korzyści dla szkół i nauk«. Zaciętrzewione w polemice zakony w części tylko usprawiedliwiłby można pojęciami społecznymi wieku, nie uznającemi jeszcze wolnego spółzawodnictwa, w owym czasie bowiem przedsiębiorstwa tak ekonomiczne jak naukowe powstawały i rozwijały się na zasadzie monopolu.

Nie w Wilnie, pod boki akademii jezuickiej, mającej taki monopol nauczania na Litwie, jak akademii Jagiellońska w Koronie, odważyli się Pijarzy na założenie szkoły publicznej. Otwarli ją najpierw w Warszawie, natrafili jednak i tutaj na opór Jezuitów. Wszczęła się więc od 1671 r. długoletnia walka, przechodząca przez otwarcie szkół Pijarów w Wilnie i Lwowie, rozmaite fazy, zakończona dopiero kasatą Jezuitów 1772 r.

W ogólności zaś ma ten spór charakter procesu prawniczego, jak to wskazują same tytuły głównych tej polemiki źródeł, obejmujących zbiory praw i przywilei obu stron walczących. Jezuici wydali je p. t. *Academia Vilmensis privilegiis, constitutionibus, decretis erecta* (Warszawa 1738), Pijarzy p. t. *Summaryusz przywilejów, dekretów itd.* (tamże 1738). Nie brak wszakże i tutaj podjazdowych harców broszurowej literatury, czego przykładem choćby pisma spowodowane ogłoszeniem powyższych zbiorów praw, a rozrzucone w czasie sejmu 1738 roku. Jezuici napisali: *Decyzye Augusta II. w sporach między akademią wileńską a szkołami pijarskimi i Apologię przeciw tymże szkołom*. Pijarzy odpierali zarzuty *Responsem na skrypt wydany p. t. Academia Vilmensis, Odpowiedzią na suplikę Jezuitów, tudzież Pismem na obronę kolegium pijarskiego*. Na co znów odpowie-

dzieli Jezuici: Repliką na dwojaką kategorię itd. W sporze tym, prowadzonym przy pomocy burd i tumultów studenckich, brał żywy udział Stanisław Konarski, z pod którego pióra wyszły niektóre z powyżej wymienionych broszur pijarskich.

Akademia krakowska do tych walk się nie miesza, ubocznie tylko pomaga do zgniecenia swego wroga. Kopał on sam sobie grób, nie dotrzymując kroku postępowym szkołom, utrzymywanym przez zreformowany zakon Pijarów.

Kwitające pod koniec XVI-go w. szkoły jezuickie słynne doborem uczonych mistrzów, przeważnie cudzoziemców, chyliły się już od pierwszych dziesiątków 17 stulecia ku upadkowi. Z wytępieniem herezyi znikła potrzeba spółzawodnicstwa w nauczaniu, miejsce mieszczan, celujących nauką, bo ta im mogła znośniejszy byt zapewnić, zajęła wyłącznie szlachta. Zawierucha wojenna, zniszczenie kraju i wynikające stąd mrowe powietrze dziesiątkowało szkoły. Nauka stała się rozrywką raczej niż pracą, nie wymagano jej do najwyższych urzędów, nie wiedza bowiem lecz pochodzenie, protekcya lub majątek torowały drogę do dygnitarstw i zaszczytów. Synowie rodzin pańskich wyjeżdżali wprawdzie na uniwersytety zagraniczne — ale nie dla nabycia gruntownej wiedzy, lecz dla nabrania tam poluru, aby móc swoim zaimponować. Kiedy w 16 wieku piastowali nasi studenci najwyższe godności akademickie i jako rektorowie lub profesorzy zasiadali na katedrach najznakomitszych uniwersytetów, obecnie zadowalały się panicze kilkumiesięczną bytnością na wykładach, nie zdobywając nawet stopni akademickich. Reakcya religijna i powszechny zastój narodu, konserwującego swoje przywileje i tradycje, wpływały zabójczo na stan szkół, opierających się wszelkiej zmianie, wszelkim reformom. Do obniżenia poziomu wychowania przyczyniła się też centralistyczna i bardziej monarchicznym państwom odpowiadająca metoda wychowawcza, złożona w Ratio studiorum.

Językiem wykładowym w szkołach jezuickich był niestety język łaciński. Ojczystym posługiwano się tylko ubocznie i to mając na oku przedewszystkiem cele wyznaniowe. Chodziło Jezuitom głównie o pokonanie heretyków, wykładających i piszących po polsku. Ale gdy nieprzyjaciela zgnieciono, a naukę jego w samym korzeniu podcięto, t. j. w drugiej połowie 17-go wieku, język gminu poszedł w zaniedbanie, ustępując znowu miejsca skoszlawionej mieszaninie, panującej już niepodzielnie aż do środka 18-go wieku.



Nr. 129: Pismo św. ewangelików.

Od końca 16 wieku kanonu we wszystkich szkołach jezuickich z całą ścisłością przestrzegano. Podstawą nauki był język łaciński, którego uczono według gramatyki Jezuita Emanuela Alwara, wydanej po raz pierwszy 1574, a przez dwa wieki następne wielokrotnie przerabianej i ogłaszanej w Polsce. Był to zbyt ciężki do strawienia dla młodzieży pokarm, a przytem grzeszący rozwlekłością. Na wykucie tej gramatyki tracono trzy najpiękniejsze lata życia. Z opierania całego systemu nauki szkolnej na języku łacińskim szydził jeszcze ks. Jezuita Franciszek Zabłocki w wierszu Zabobonnika:

Sama tylko z Alwara nabyta łacina,
Nie uczyni dobrego dla ojczyzny syna.

Dopiero gramatyka Konarskiego wytrąciła z rąk młodzieży Alwara.

Plan nauk w szkołach jezuickich skierowany był głównie ku kształceniu uczni na mówców i poetów. W poetyce czyli klasie IV-tej pisali już malcy chryje, proemie i powieści, prozą i wierszem, w następnej klasie zwanej retoryką, układali samodzielnie: epigramata, ody, elegie, epitafia i tym podobne wiersze; ćwiczyli się w wypowiedaniu mów i dyalogów. Najlepsze przez uczniów napisane wiersze przybijano na ścianach, zawieszano też na nich piękniejsze opisy z rysunkami — a wszystkie elukubracye najeżone były stekiem alegoryi i puszyły się bombastem zwrotów retorycznych tudzież sylogizmami z rozmaitych dyalektyk. W tym wieku bowiem zasadzano wszystko na formie a nie na rzeczy. Płynąc tedy z prądem odkwitającego humanizmu, zaszczepiały szkoły jezuickie w umysły młodzieży oratorstwo, upstrzone conceptami lub szumny panegiryzm, wychwalający miernotę a nawet występki. Zaprawiano uczniów do pisania wierszy, osnutych na grze wyrazów i aluzyach, do układania rozpraw w barbarzyńskiej mieszaninie językowej, lub do zatapiania się w subtelnosciach scholastycznych przez czcze dysputy.

Nauka sama odbywała się zaledwie przez dni kilkadziesiąt w roku, cały zaś czas spędzano na dewocyi i czcnych ceremoniach. Gorąca krew pacholąt szlacheckich, pozbawiona moralnego wędzidła, wybuchała w tej tresurze z całą gwałtownością. »Sam interes zakonu — powiada bezstronny świadek — kazał mu nieraz patrzeć przez szpary na największe bezprawia i zdrożności uczniów, owszem zachęcać ich do bezpraw, w których nieraz krew płynęła. Chodziło-li bowiem Jezuitom o dokuczenie któremu z różnowierców lub żydów, poduszczali na nich natychmiast swoich uczniów, którzy śmiało, bez obawy najmniejszej kary, targali się na chudoby, zdrowie a nawet i życie niemiłych Jezuitom osób. Stąd bijałyki, rozruchy, procesy długoletnie. Akta wszystkich grodów w Koronie i Litwie napełnione są skargami i protestacyami przeciw gwałtom przez uczniów jezuickich popełnionym«.

Groźne te rozruchy młodzieży, powtarzające się nieustannie niemal przez dwa wieki, zawarunkowane były powszechną anarchią i swawolą szlachty, ale i przykład mistrzów dolewał oliwy do ognia. Sami Jezuiti przyznawali spółcześnie, że ta niesforność młodzieży — przeważnie pod wąsem — wzmagając się z dniem każdym, ściągą na nich »wielką niesławę, nienawiść dworu królewskiego i Rzeczypospolitej, a samym szkołom grozi niebezpieczeństwem«. Nic dziwnego, że uczniowie, przywykli do swawoli i bezprawia, przenosili je w późniejszym życiu na sejmy i sejmiki, do trybunałów i senatu. Ci, co grasowali z młodości po cudzych sadach i piekarniach, nie umieli w wieku dojrzałym uszanować cudzej własności.

Do upadku szkół jezuickich, poczynającego się już pod koniec Zygmunta III, przyczyniło się niemało nadmierne ich przepełnienie, tudzież brak odpowiednio wykształconych mistrzów. Młodzi magistrowie, którym powierzano naukę w wyższych klasach, przed ukończeniem własnych studiów zatrudnieni w szkole i kościele, zagwaźdzali mózgi młodzieży mechaniczną nauką. Skarżą się na obniżenie się poziomu nauk w szkołach jezuickich wizytacye generała zarówno jak memoriały prowincyałów.

Szkoły te, pozostające w tyle za pijarskimi, upadały coraz głębiej, wlokąc swój marny żywot aż do zniesienia zakonu, zgruchotanego brewem Klemensa XIV.

Nie sami tu jednak Jezuiaci ponoszą winę. Jeżeli system ich wychowania nie odpowiadał celowi, to dlaczego Rzeczpospolita nie dążyła do ich reformy, albo nie zakładała nowych, lepszych szkół. Zawinił cały naród, zdobywający się jeszcze na czyny bohaterskie, niezdolny jednak pojąć doniosłości wychowania młodych pokoleń.

Jezuici położyli nawet pewne zasługi w Polsce, przez zakładanie szkół średnich w najciemniejszych zakątkach na Litwie, Podolu, Ukrainie, gdzie na kilkadziesiąt mil nie było żadnego zakładu, przyczyniali się więc do rozniecenia wśród ciemnych warstw bodaj nikłego światła. A nadto, przyjmując w swych kolegiach paniczów wraz z ich chłopcami (synami ekonomów, podstarościch a nawet włościan), umozębniali i najbiedniejszym nabywanie wykształcenia.

Zresztą szkoły założone i zasilane przez akademię krakowską, nie były lepsze — owszem nieraz i gorsze. Kolonie akademickie naśladowały ślepo kolegia jezuickie, ujmując sobie szumnemi pochwałami w mowach i wierszach możnych panów, tylko z mniejszym od Jezuitów skutkiem, bo ci ściągnęli do swych szkół młodzież szlachecką i wyjednali dla swoich zakładów zasobne fundacye, a od tamtych stroniła szlachta i oligarchia. Najwybitniejsza z tych kolonii szkoła poznańska uprawiała razem z innymi rzemiosło retoryki w związanej i niewiązanej mowie, albo przysposabiała młodzież do życia duchownego — narzekając jeszcze, że jej w tym członkowie Towarzystwa Jezusowego bruźdzą. »Jeżeli tylko taki miał być pożytek ze szkół akademickich — powiada w szlachetnem oburzeniu jeden z największych znawców ówczesnego wychowania — to niemasz czego żałować, że je Jezuici szkołami swemi zupełnie przyćmili i do upadku przywiedli; albowiem narodowi było rzeczą obojętną, czy młodzież uczyła się służyć do mszy, śpiewać w chórze, chodzić na procesye u Jezuitów czy też w koloniach akademickich«. Karność młodzieży była we wszystkich szkołach ówczesnych pożałowania godną: napady na żydów za Kazubalec — daninę na przybory szkolne dla biednych żaków — i judaikę, — podobną opłatę — bójki z uczniami spółzawodniczącymi z nimi szkół jezuickich, rozboje innowierców, targnięcie się świętokradzką ręką na domy boże — te lub tym podobne gwałty należały do ulubionych rozrywek. Jeżeli pod tym względem mniej grzechów miały na sumieniu szkoły akademickie, to jedynie dlatego, że »młodzież ich mniej liczna i zwykle uboga, nie mogła mieć tyle skłonności i podnieć do burd i swawoli, co zamożna po większej części młodzież szkół jezuickich«.

Na swawolę młodzieży patrzano wówczas przez palce. Uniewinnia ją Sebastian Koczucki — pono pseudonim rektora akademii Najmanowicza — w »Krótkiej informacyi« (Kraków 1632) temi oto słowy: »Zapomnieli ojcowie, jakimi byli. Niechaj na się teraz wejrzą czyli też niemasz między nimi samymi, ludźmi dojrzałymi, na coby się słusznie sprawiedliwość i prawo miały ostrzyć. Biją się

studenci, a legislatorowie się zabijają. Wydzierają sobie książki dzieci, a ci wsi i majętności. Pokrzyka sobie żaczek trochę, a ten ledwo nie wywraca świata». Wedle tego rozumowania należy synom ze względu na złych ojców pobożać w mniejszych zdrożnościach, żeby w późniejszym wieku dorównywali ojcom w bezprawiaach.

Założona na samym schyłku 16-go stulecia akademія zamojska nosiła już w zarodku znamiona dekadencji. Światło odkwitającego odrodzenia, rzucone na nią przez jej twórcę, wielkiego hetmana i kanclerza, autora dzieła O senacie rzymskim, ugasiły zawrotne fale przeciwreformacyi. Ducha umiarkowanego liberalizmu, którym ją natchnął założyciel, zgnióttł w samym zarodku wiek obskurancyi i zamierchłej średniowieczyny. Nie odniosły pożądanego skutku starania Zamojskiego o nadanie akademii świeckiego charakteru, skoro los jej profesorów, rekrutowanych wyłącznie niemal ze stanu duchownego, zespolono nierozzerwalnie z kapi-

BIBLIA ŚWIĘTA

To jest

KSIEGI PISMA ŚWIĘTEGO STA- REGO Y NOWEGO PRZYMIERZA

Nr. 130. Biblia święta starego i nowego przymierza.
Amsterdam 1660.

tułą kolegiaty zamojskiej i oddano pod władzę biskupa chełmskiego. Zniżyło to poziom duchowy akademii do rzędu »scholastycznej uczelni, bezwzględnie zawisłej od kościoła«, tłumiącej wszelkie z kleszcz prawowierności wyrwywające się dążenia. Świadczy o tem zakaz czytania dzieł »choćby całkiem prawowiernych, ale nie posiadających specjalnej sankcyi kościoła«, a zaliczono do nich pisma Frycza Modrzewskiego i Marcina Bielskiego, poezye Reja i Kochanowskiego! Dręcząc umysły młodzieży »balastem scholastycznym, szczepionym sztucznie na pogańskich tekstach«, krzewiono ciemnotę i zabobony. Jeżeli w zaraniu zrywa się akademія jeszcze czasem do walki z przeciwnym prądem klerykałnym, to w dalszym jej rozwoju, a raczej co-

faniu, stwierdzono »brak bezwzględny wszelkich objawów reformy i walki w imię najumiarkowańszych choćby dążeń postępowych«. Popadła ona od drugiej połowy 17 w. w stan odrętwienia, z którego nie zdołały jej już wydobyć skromne reformy Laskarysa w połowie 18 wieku podjęte, natrafiły bowiem na groźny opór całego grona pogrążonych w nieuctwie i lenistwie nauczycieli. Z niezliczonych przykładów tego wstecznictwa przytaczam przyznawanie stopni doktora filozofii, a nawet katedr na akademii za »złożenie dowodów wytrwałości w postach i modlitwie«.

Na usprawiedliwienie upadku wszechnicy przytoczyć można nie o wiele wyższy poziom starszych jej siostrzyc akademii krakowskiej i wileńskiej, tudzież brak odpowiedniego utrzymania profesorów, którzy wskutek złej gospodarki ordynatów cierpieli niedostatek albo zniewoleni byli oddawać się ubocznym zajęciom zawodowym. Szara ta masa nauczycieli i księży w jednej osobie, która w literaturze prawie żadnego po sobie nie zostawiła śladu, to wyłącznie niemal »dzieci miast i miasteczek, szukający chleba i zaspokojenia szlachetnej ambicyi na bardzo już

wówczas zacieśnionem dla siebie polu pracy«. Akademia zamojska nie przygarnęła owych plebejuszów z miłości, zniewalała ją do tego kroku konieczność, lepsze bowiem miejsca zasiedzieli uprzywilejowani — na niższe nie można było zwabić szlachty, dla której stały otworem wszystkie zaszczyty i urzędy. »Mieszczankowie« przybierający jeszcze zrazu imiona od swoich miejsc urodzenia, »nie pewnymi później będąc zasłużonego chleba akademickiego, wskutek ciężącej na nich plamy plebejuszowskiego pochodzenia, stracili poczucie własnej godności i zaniedbywali się w nauce i pełnieniu swych obowiązków.

Miarą niskiego poziomu ich inteligencji są wypracowania uczniów pod nadzorem mistrzów wykonywane, a mające na celu składanie hołdów Zamojskim i innym dygnitarzom miejscowym. Panegiryzm ten, powszechny w wieku 17 w Europie, przenika zarówno utwory wierszowane, jak elukubracje prozą. Starano się w nich przysłonić goliżną myślą i pustkowiem uczuć chwastem barokowych ozdób.

Akademia Jagiellońska, wierna zasadom filozofii scholastycznej, przetrwała ruch odrodzenia i reformacji, trzymając się oburącz filozofii Arystotelesa. Wielki kanclerz Zamojski, zgodnie z duchem czasu, uważał również tego największego myśliciela starożytności za przewodnika, starał się jednak, zakładając akademię w Zamościu, rozszerzyć zacieśniony zakres wiedzy i ożywić ją znajomością innych szkół filozoficznych. Podjął się tego zadania Adam Burski, profesor filozofii i wymowy najpierw Akademii krakowskiej a potem Zamojskiej, wykładając tu filozofię stoików. On pierwszy w systematycznym obrazie wyłożył prawa i pojęcia szkoły stoickiej, a w komentarzach do filozofii starożytnej (*Dialectica Ciceronis*, Zamość 1604) rozświetlił widnokrąg nauki Tomistów. Zresztą, jako nauczyciel, szedł Burski torami myśli przez poprzedników utartymi. Opierał, zgodnie z duchem czasu, całe wychowanie na kształceniu formalnym, na retoryce i wymowie.

Do zalet akademii Zamojskiej zaliczają zawiązanie stosunków z mieszczaństwem. Profesorowie jak np. Rudomicz, przyrodnik i rektor akademii Zamojskiej, dobija się o godność burmistrza, zarówno ze zwykłymi mieszczanami i jest pośrednikiem między gronem profesorów a wybitniejszymi mieszczanami lwowskimi.

Na czele wychowania Rusinów stała wyższa szkoła kijowska, wyniesiona za Władysława IV przez metropolitę Piotra Mohiłę do rządu akademii. Literatura, grupująca się około owej akademii, zorganizowanej na wzór kolegów katolicko-polskich i mającej pierwotnie łańcisko-polski charakter, świadczy o wybitnym wpływie społecznienia polskiego i przewagi cywilizacji zachodnio-europejskiej nad wschodnią, a zarazem służy jako wymowne świadectwo dość ścisłej na owe czasy łączności dwu bratnich narodów: Rusinów z Polakami. Symbolem owego połączenia były unie: polityczna w 1569 r. i religijna z 1596, prowadzące do zadzierżgnięcia społecznych i towarzyskich stosunków między obu narodami. Z początku brał górę żywioł polski na Ukrainie, Wołyniu, a nawet w Moskwie. Wpływ polszczyzny przeważał tam w pomnikach prawa i historii, w utworach teologicznych i filozofii, w powieściopisarstwie i poezji, w całej literaturze ruskiej.

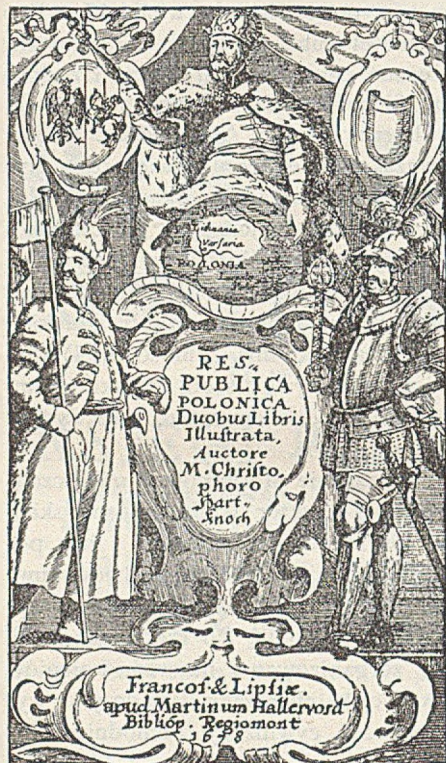
Język ruski uginał się pod ciężarem żywiołu polskiego. Statut litewski wygląda na transskrypcję tekstu polskiego. Ewangelię, psalterz, postyle ruskie od drugiej połowy 16 wieku uważano za książki polskie. Księga korespondencji bractwa stauropigii we Lwowie z 1592 r. pisaną jest po polsku. Wyrazem tego podboju polszczyzny w piśmiennictwie ruskiem była polemika, wywołana unią religijną.

Jak to sztuczne zjednoczenie nie zgmiotło dysunii, ani cerkwi grecko-ka-

tolickiej nie podniosło, tak ta literatura polemiczna prawie bezskuteczna: »nikogo nie nawróciła, ani pogodziła«. Ale że chodziło w niej o najżywotniejsze sprawy dwu narodów: polskiego i ruskiego, dwu wyznań: kościoła i cerkwi, dwu kultur: zachodniej i wschodniej — zasługuje przeto na wyszczególnienie. Pomijając rzeczko błędy wiary greckiej, wydobyte z komory średniowiecznej przez Jana z Oświęcimia, a odparte już przez Orzechowskiego, wypadł pierwszy strzał, godzący w samo serce greckiej ortodoksji, z kończana złotoustego kaznodziei. Przypominam dzieło Skargi O rządzie i jedności kościoła (1577). Po nim natarł również Jezuita Benedykt Herbest »Wiary Kościoła rzymskiego wywodami« na »greckiego

niewolnictwa historye« (1586). Jak ten gente Ruthenus natione Polonus, tak nasz wielki patriota okazali się wobec narodu i wyznania Rusinów niesprawdliwymi. Pomimo zapewnień o chrześcijańskiej ku braci swej miłości, wzywali oni ramienia władzy świeckiej, by wystąpiła z całą mocą i surowością praw przeciw heretykom, odsądzając język »słowieński« od czci i znaczenia nie tylko w cerkwi, ale wogóle w życiu i nauce, uważając małżeństwo kapłanów za grzech, a udział świeckich w kościele za samowolę. Na te i tym podobne pisma nie odpowiadali zrazu prawowierni wprost, ale puścili na pierwsze strzały wprawnych szermierzy — arian, którzy znalazłszy na dworach najwybitniejszych Rusinów gościnne przyjęcie, stali w pogotowiu do walki z Antychrystem, tj. rzymsko-katolickim kościołem.

Pierwszym bojownikiem prawosławnym, który podjął rzuconą przez Jezuitów rękawicę, był Stefan Zyzani, dydaskał i matematolog, kaznodzieja lwowski a następnie wileński, jeden z fanatycznych obrońców starej wiary i tradycji ruskiej, a nieprzejednany wróg unii cerkwi z kościołem. Dzieło jego pt. Kazanie św. Cyryla, patriarchy jerozolimskiego, o antychryście i znakach jego



Nr. 131. M. Chr. Hartknocha Rzeczpospolita Polska, 1678.

(Wilno 1596), lubo naciągało wywody Cyryla do stosunków zupełnie mu obcych, głównie przeciw papieżowi, cieszyło się niezwykłym powodzeniem. Inne jego pisma i kazania porwały starowierców, zwłaszcza że tchnęły duchem postępowym, szerzonym przez protestantów na Rusi. Jeden z przeciwników zgorszony tem woła: »Jego bałamutnym książkom lepiej niż ewangelii wierzą, o bydlę!« Wymierzone przeciw niemu piśmidła jak Szczęsnego Zebrowskiego, profesora akademii wileńskiej »Plewy Stefanka heretyka, z cerkwi ruskiej wyklętego« (Wilno 1596), zarówno jak bezimiennie wydany Kąkol, który rozsiewa Zizania (wyrzeczony grecki Zizania znaczy kąkol) szermują tylko frazesami, wyrzucając niegodnie autorowi pochodzenie

plebejskie (»Lepiej było garców i prasy pilnować, niż chłopem będąc piąć się na kaznodziejstwo«).

Mimo protestu prawowierców przyszło do skutku dzieło unii, które naród ruski na wieki rozerwało. Rozdzielone na dwa obozy: bractwa świętoduskie (prawosławni) i świętotrojeckie (uniaci), ścierają się przez lat kilkadziesiąt, a główną areną polemiki jest gród Giedymina: Wilno. Rozpoczyna walkę żywe, lubo stroniczo zabarwione, sprawozdanie ks. Piotra Skargi o »Synodzie brzeskim« (1597), na co przedłożyli przeciwnicy opis aktu samowoli p. t. Ektezis abo krótkie zebranie spraw (Kraków 1597). W samo serce unii i jej złotoustego obrońcy ugodził znakomity pisarz, zwyczajem ówczesnym ukrywający się pod greckim imieniem Krzysztofora Filaleta (= Przyjaciela prawdy) — jak się domyślają Kalwin, Broński. W dziele »Apokryzys abo odpowiedź na książki o synodzie brzeskim«, wydanem 1597 po polsku, a następnie w przekładzie na język ruski, uderzył on całą siłą reformacyi w głowę kościoła. Wśród najwyższych dygnitarzy duchownych przytacza autor biskupa kijowskiego Paca i prymasa Uchańskiego, wyklinających papieża. Z goryczą powiada, że stolica apostolska »za nowy ołów do bul przykładany, codzień stare złoto od ludzi zawiedzionych łupi«, a co gorsza daje darmo rozgrzeszenia, ale tak niecne, jak np. Władysławowi za złamanie przysięgi Muzułmanom pod Warną, Henrykowi V przeciw ojcu itp. Jeden z papieży wyznał na łożu śmiertelnem grzechy świętokupstwa słowami: Coelum aliis vendidi — mihi perdidit. (Sprzedawałem drugim niebios, siebie zgubiłem). Wyliczając nadużycia kościoła (rzymsko-katolickiego), nie zapomina o dziesięcinach. Oto późnem wytykaniem snopów powodują księża »zgnojenie zboża na polu, czem niedostatek pod ten czas od głodu zdychających ludzi prawie umyślnie przymnażają«. Ktoby zaś zatrzymał dziesięcinę, albo zalegał z wypłatą jakichkolwiek danin, bywał wyklętym i oddawanym w ręce szatana, ale »mężobójstwa, wszeteczeństwa, cudzołostwa do społeczności kościelnej żadnemu z ich owieczek nie wadziły«. Filalet przytacza dowody, że Hipacy Pociiej, niegdyś senator i kasztelan brzeski, później władyka czyli biskup włodzimierski, a w końcu metropolita Rusi, twórca dzieła zjednoczenia cerkwi z kościołem, miał się gwałtów w nakłanianiu Rusinów do unii, składając się słowy pisma św.: »przymus wniść« (compelle intrare). Oto wróciwszy z Rzymu, gdzie wraz z Cyrylim Terleckim, eksarchą łuckim, przystąpił do jedności z kościołem, »naszedł gwałtem na dwór księżnej Zbaraskiej, kasztelanowej braclawskiej, drzwi do cerkwi wybił, rzeczy do nabożeństwa służące jedne pobrał, drugie porzucił«, a gdy o to księżna protestacyę zanieść chciała, powiedział, że to na nic się nie przyda, bo on jest tutaj panem.

Trafnie oceniając skutki unii brzeskiej, zbijał Filalet argumenty przytaczane przez jej zwolenników, przyrzekających biskupom unickim krzesła w senacie Rzeczypospolitej. »Żeby władyka greckiej religii — powiada autor Apokryzy — w senacie miejsce mieć miał, to są w Polsce podobno nigdy nie doczekane rzeczy — Tak pospolicie bałamutom kurka na kościele pokazują«. Żali się, że za unią »miasto przyczynienia, naruszenie starożytnej zgody i miłości nastąpiło«. Nie może mieć wiary w robotę, na której czele stoją albo księża »bez rodzin, więc nie potrzebujący się na co oglądać«, albo cudzoziemcy obojętni, a nawet krajowi nieżyczliwi. W końcu przytaczając przykłady bezprawia szlachty wobec Rusinów, przestrzega ją »by tą dziurą, która się w prawach nam służących dzieje, wszystkie się waszych mości swobody nie wyszliźnęły«...

Autor tych słów, który za swą Apokryzys otrzymać miał od księcia Kon-

stantego Ostrońskiego, magnata, uważanego za filar cerkwi prawowiernej, »miateczko z kilką wsi jako dożywocie«, poświęcił swą pracę Janowi Zamoyskiemu, powołując się na jego zdanie, iż »w wierze nikomu gwałtu czynić nie należy« nie tuszył sobie bowiem, »aby w tem zdaniu kanclerz, ubiegając się o łaskę rzymskich prałatów, miał się odmienić«. Zamoyski wyparł się naturalnie wszelkiej z autorem styczności. Nasz polemista, który niezawisłość cerkwi uważał za najwyższe dobro, bronił jej ognistym mieczem dyalektyki, zjadliwemi nieraz wycieczkami, przedewszystkiem zdrową, przekonywającą argumentacją. Odpierał te ciosy Pocię ręką dydaskała Piotra Arkadyusza, Greka, rodem z wyspy Korcyry, w książce

zatytułowanej Antirisis abo apologia przeciw Krzysztofovi Filaletovi. (Wilno 1600). Ofiarny, zapobiegliwy w nawracaniu prawosławnych na unię, niestrudzony metropolita, stara się tu wykazać, że unia brzeska »nie była krokiem samowoli kilku biskupów«, ale tylko powrotem do unii przygotowanej na św. synodzie florenckim — o ten sobór powszechny toczy się zacięta walka — ogłasza przytem w celu skompromitowania przeciwników społeczną korespondencję, nie gardzi broszurami, drażniąc swą uszczypliwą, ale ciętą i zamaszystą dykcją. Wyznawców wiary wschodniej, połączonych węzłami przyjaźni z ewangelikami i arianami, a coraz bardziej wrogich kościołowi rzymskiemu i unitom, stara się przekonać książka zatytułowana »Harmonia abo konkordancya wiary cerkwi św. z kościołem«



*B. Martyr JosAPHAS Archieppus Poloczn Ord.
S. Basily M. pro Fide Catholica maximo vero pro
Unione cum S. R. E. crudeliter a Schismaticis caesus.*

Nr. 132. Jakób Susza: Cursus vitae martyrii Josaphati
Kuncewicz. Romae 1645.

(1608), wykazując, że różnice między rzymskim a greckim wyznaniem są nieznaczne i dadzą się przy dobrej woli z obu stron wyrównać.

Z odpowiedzią na tę rusko-polską »Harmonię« występuje na plac walki jeden z najdzielniejszych polemistów ruskich, siłą słowa i temperamentu dorównujący Orzechowskiemu, rektor akademii kijowskiej, pisarz niepospolitych zdolności, ale jako człowiek miękki i chwiejny: Smotrycki. Urodzony około 1578 r. w Smotrycy, na Podolu, z ojca Herasyma Daniłowicza, rektora szkoły brackiej w Ostrogu, autora dziełka p. t. Klucz do niebios, nacierającego z całej siły na monarchiczny ustrój kościoła z ojcem św. na czele, wychowywał się nasz Melecycusz w rodzinnem mieście pod opieką wielkiego księcia Ostrońskiego, którego imię przez wyznawców prawosławnej cerkwi czczone było na równi z imieniem

Wielkiego Konstantyna. Ówczesne szkoły ruskie leżały ugiem. »Dymi się tam, a nie gore — pisze o nich Smotrycki — a dzieci tyle pożytku odnoszą, że z cięłąt wyrastają na woły«. Rwącego się do światła młodzieńca oddał więc książę Bazyli Ostrogski do wrogiego mu kolegium OO. Jezuitów w Wilnie, gdzie umysł Melecyusza nasiąkł łaćnińsko-polską kulturą. Jako nauczyciel domowy księcia Sotomereckiego, zwiedził głośne uniwersytety w Lipsku i Witemberdze, gdzie się przejął zasadami wielkich reformatorów. Za powrotem do kraju, przywdziawszy »ryzę« zakonną, wybrany archimandrytą bractwa św. Ducha w Wilnie, ujął za pióro i napisał dzieło uchodzące za »szczyt polemiki prawosławnej przeciw unii i Rzymowi«.

Trenos t. j. Lament jedynej powszechnej św. cerkwie, wydany 1610 pod kryptonimem Teofila Ortologa (Prostomówce), rozszedł się w okamgnieniu po całej Rusi, tak, że w chwili, kiedy od króla Zygmunta III wyszedł nakaz zniszczenia książki, zastano w drukarni ledwie kilkadziesiąt egzemplarzy. Od pierwszego rozdziału, zaczynającego się »lamentem abo narzekaniem cerkwie św. na syny wyrodne« aż do ostatniej karty, porywają czytelnika »wybuchy rozżalonego uczucia«. W swej »wymownej skardze«, poruszył autor wszystkie klawisze od lekkiej ironii aż do groźby, aby zakończyć krzykiem rozpacz: »Wolimy raczej do meczetów tatarskich, niż z kościołem rzymskim do jedności!« Smotrycki przekonywał, że pożyteczniejsza jest rzecz w »zewnątrz zniewolonej, a duchem swobodnej cerkwi, żyć pod tureckimi pany, aniżeli ciałem i duszą papieżowi służyć i pić z kubka nierządu Babilonu«. Za tę żarliwą obronę błahoczysty wyświęcił go 1620 r. patriarcha jerozolimski na arcybiskupa płockiego, a najwybitniejsi patronowie unii — od Skargi począwszy — skupili się do odparcia dotkliwego ciosu.

Przypominam Skargi: Na treny i lament Ortologa do Rusi przestrogę (Kra-ków 1610). W dwa lata po niej wyszła w Wilnie Paregoria albo utulenie uszczypliwego lamentu przez Joachima Morochowskiego, władcy włodzimierskiego. Natomiast wśród prawosławnych wywołał Lament formalny entuzjazm i uwielbienie. »Nie byliby — opowiada Smotrycki — i proszku na mnie upuścić dali. Kładli Lament — jak Damian Nalewajko — na równi z pismami św. Chryzostoma, za który krew swoją nam wylewać godzi się«. Nie zasypiali też sprawy krzewiciele unii. Z polecenia Weljamina Ruckiego, metropolity ruskiego, przy pomocy Józafata Kuncewicza, archiepiskopa połockiego, wydał Lew Kreuza Rzewuski, archimandryta wileński, późniejszy biskup smoleński, »Obronę jedności cerkiewnej« (Wilno 1617), napisaną w duchu zgody i z taką jasnością, że wszyscy późniejsi pisarze uniaccy z niej jako z głównego czerpali źródła. Świeżej oliwy do ognia przygasającej walki dodało pismo Smotryckiego p. t. Weryfikacja niewinności, w kilku miesiącach 1626 r. dwa razy wydane, a odsłaniające w całej grozie ucisk i prześladowanie prawosławnych przez kościół rzymski i unitów. Opisano tu ową wielkanocną tragedję wileńską z uwięzieniem mieszczan prawosławnych, wymieniono gwałty tego rodzaju jak »napastowanie i męczenie dysunitów, podkładanie ognia, strzelanie« itp. niewolenie sumień z przytoczeniem nazwisk ofiar. W odpowiedzi na to oskarżenie napisał Tymoteusz Symonowicz, Bazylianin: Pro bę weryfikacyej omylnej (Zamość 1621), wykazując przykłady niesłuchanej swawoli czerńców, a bezimienny autor, z polecenia Weljamina Ruckiego, Sowitą winę, jako wtóre Weryfikacyi sprostowanie. Nie dał za wygraną Smotrycki i ciętą Obroną weryfikacyej wystawił »marnemu szpargaliście i mędreli«, (z ruskiego wyrazu mudrahel) w drastycznej paraboli, wstrętą unię: »Pochłubił

się chrzan, że z miodem smaczny, ale posłyszał: ja i bez ciebie, smerde, (= smrodzie) smaczny«... »Zostanie ten otęchły kęs (owa unia nieszczęsna), niepołknięty w prześmiardłem waszem gardle! Łykacie? Krztuście się tym womitem na Ruś!« Oplakując »rozdarlinę« swego narodu, woła do swoich przeciwników: »Chlubicie się waszą setnicą uczącej się młodzi, co ją przeciw was, albo raczej przeciw waszemu narodowi wychowujecie — Ale wszystko to jeszcze słoma, nie chleb, a naród nasz ruski zdycha już od głodu, truje się chwytając się miasto karmi za truciznę«... Na tę ostrą Obronę wyszła jeszcze tego samego roku ze strony unitów replika p. t. Egzamen obrony, gdzie zauważono już apostasyę a raczej przechylenie się Smotryckiego na stronę unii. Na ową powiastkę o chrzanie z miodem odpowiada autor szydzący z rybałtowskiej polszczyzny przeciwnika: »Pochlubił się dziegieć, że z smołą czyni maź dobrą, ale posłyszał: ja i bez ciebie, śmierdzie, dobra«. Rozpawił się nasz preceptor ruski z Próbą i Egzaminem w dziełku p. t. Elenchus pism uszczypliwych przez zakonniki św. Trójce wydanych (Wilno 1622), upewniając, że Ruś prawowierną chwyta kościół błyskotkami w rodzaju organów, kołysek (żłóbków), grzechotek, wyganiania Judasza i tym podobnych łotrów. Odpisał Smotryickiemu przełożony monasteru trojeckiego skryptem Antelenchus (Wilno 1622), godząc przedewszystkiem w zakonników cerkwi św. Ducha. Przyłączyli się do tej walki na pióra władcy sami — a gdy to nie skutkowało, rozpoczęły się argumenty na pięści: tragedia witebska, egzekucye kijowskie i tym podobne gwałty. Znakomity autor gramatyki języka ruskiego, używający w polemice niemal wyłącznie języka polskiego, przeświadczony »o przygnębiającej tegoż języka wyższości«, zaczyna się w swej ortodoksyi wahać. Właśnie w owym czasie wysadzony przez Józefata Kuncewieza, gorliwego unii propagatora, z biskupstwa płockiego, podburzył Smotrycki Połoczan przeciw swemu przeciwnikowi, a ci go w roku 1623 zamordowali. Zamoczywszy ręce we krwi późniejszego świętego, pragnąc uwolnić się od wyrzutów sumienia, odbył pielgrzymkę do ziemi świętej, skąd wrócił przemieniony z nieprzejednanego wroga unii w jej protektora i obrońcę.

W książce Apologia peregrynacyej do krajów wschodnich (Lwów 1628) potępia już Smotrycki dotychczasową swą działalność, zbijając własne pisma przeciw unii wydane. Z odstępstwa swego tłumaczy się temi oto słowy: »Żem pod lata moje stare, gdy już jedną nogą stoję w grobie, poniosłem odmianę, uczyniłem to z miłości Boga i z pożądania objawienia mego, kiedy mi to moje złe, które mnie o zatracenie duszy mej przywiodło, wszystko widzące oko obaczyć zdarzyło«. Czy słowa te były szczerze? Przyjaciele jego zarzucali mu, że to dopiero tłuste opactwo dermańskie otworzyło mu oczy na unię. »Apologię« zaś, która wywołała wśród spółwyznawców oburzenie, niemiłosiernie niszczyli. Odstępce błahoczystya spotykały co krok upokorzenia i dotkliwie ciosy. Autor »Lamentu« zachwiał się po raz wtóry, kiedy natarł nań sam metropolita Rusi, Piotr Mohiła i na soborze kijowskim pod groźbą rozlewu krwi w cerkwi do zrzeczenia się unii zniewolił. Smotrycki wobec duchownych poszarpał w kawałki swą Apologię i w ogień rzucił. Wnet jednak opaniętawszy się, żałował tej słabości. — Powinien był pozostać wiernym starej wierze, albo w obronie nowej położyć duszę. Za ten powtórnny krok apostazyi wyklęty został na soborze kijowskim, a papież mianował go arcybiskupem hieropolitańskim. Widział jednak jak z dniem każdym rosą go przeciw niemu fale rozjątrzenia tłumu. Obrzucono renegata gradem zarzutów: »Apollią Apollogii« »Antydotum« (1629) i tym podobnemi

broszurami, przypisującemi »przejściu jego wyłącznie materialne widoki«. Zaatakowany Smotrycki odpowiedział aż w dwu broszurach p. t. *Parænesis* czyli napomnienie do tej strony (unitów) narodu ruskiego (w Krakowie 1629) i *Eksetesis* do obojej strony (unii i prawosławia) narodu ruskiego (Lwów 1629). W tej ostatniej lży bez opamiętania swoich przeciwników, nie przebijając w słowach: »głupi, durin, ślepin, prześmierdła głowa, fałszerstwo udajesz za częstą bielkę« itp. Wogóle pisze językiem jędrnym, mocnym, nie wolnym wprawdzie od zwrotów ruskich i nowotworów (w guście: chrystonośce, poczostka (cześć) bogolubce, rupi (gryzie) krzywosłowce itp.), ale energicznym i wypukłym. Cięty w polemice dyalektyk — lubo czasem nieco zawył — uchodzić może za przedniejszego stylistę polskiego.

Odstępstwo Melecjusza Smotryckiego (zmarłego 1633 jak podejrzewali unicy z zadanej trucizny) nie przyniosło unii — jak to przyznaje bezstronny krytyk polski — żadnych korzyści. Przeciwnie, »szeregi prawosławne ściślej się zwały i zagłębiła się przepaść dzieląca dwa bratnie narody«. Rozlewa się spór o unię w niezliczonych pismach przeważnie w języku polskim, nie dorzucają one jednak nowych argumentów. Obie strony wylewają morze obelg w obronie jedynie prawdziwej wiary. »Niech nas Lachowie zaniechają — woła prawosławny — samych siebie i swych w rozpuście żyjących księży niech patrzają«. Odpowiada unita: »Waszy popi, choć popadye mają, do cudzych żon z kropidłem chodzą«. Oba obozy malują smutny stan rozprzężenia, a zwłaszcza upadek szkolnictwa, które naprzemian bywa polszczone i odpolszczane, to znów latynizowane lub grecyzowane.

Pomijamy tę ciekawą literaturę polemiczną, sięgającą w głąb 18 wieku, aby się zatrzymać na chwilę bodaj nad jedną typową postacią, wyrosłą na tej gałęzi rusko-polskiego piśmiennictwa.

W epoce zaognionych stosunków polsko-ruskich, kiedy to powstała owa piosnka:

Nie będzie jako świat światem
Rusin Polakowi bratem,

nie należał do rzadkości pisarz taki jak Łazarz Baranowicz, prawosławny archiepiskop czernichowski, piszący po polsku »Pochwałę carów Jana i Piotra Aleksiewiczów, z których Jan dobroć, a Piotr prawdę oznaczają« (1680) a nawołujący zwaśnionych braci do zgody. Wychowanek Jezuitów w Haliczu, został mnichem peczerskim, profesorował w szkołach brackich na Rusi południowej, poczem był rektorem akademii kijowsko-mohilańskiej, a jako władyka nowogrodzko siewierski, spanoszony na chlebach cerkiewnych, marzył o stolcu metropolity, kiedy śmierć przerwała pasmo długiego żywota (umarł 1694 niemal w setnym roku życia). Umysł to był pełen sprzeczności: Kochał gorąco swoją ojczyznę (Ukrainę), której był przybrany synem, a jako wyznawca prawosławia, przechylał się ku Moskwie; przejęty kulturą i obyczajami polskimi, mówił i pisał po polsku, a »brocił do upadłego niezależności cerkwi« i ortodoksji wschodniej; wróg połączenia cerkwi z kościołem modlił się w swych wierszach o zgodę obu narodów:

Boże! pomnażaj miłość między nimi (Rusinami i Polakami),
Zgaś iskrę w nich gniewu sposoby Twemi...
Pożal się Boże, nieszczęsnej godziny,
Że się sarmackie z sobą tłukli syny.

W swej półwiekowej (1642—1694) działalności publicznej przypominał, niby drogoskaz, zbłąkanej, na bezdrożu stojącej Ukrainie, drogę do Moskwy lub Warszawy, a wstydliwie wskazywał na ślad ścieżyny do wsi, pod strzechę ludu. Jedynie w sprawach wyznania odrzucał wszelką połowiczność. W swej »Lutni Apollinowej« — wydanej 1671 po polsku ale »gockiem i typami« — uginającej się pod ciężarem napuszonych ozdób przeróżnych konceptów i grymasów w stylu baroka, czytamy wyraźnie:

Albo się trzymać jednego wschodu (cerkwi wschodniej).

Albo się trzymać jednego zachodu (kościół rzym. kat.).

Na dwóch gałęziach (unia) trudno ptaku siedzieć. Tej wyznaniowej jedności broni zacięcie w dziełach pisanych najczęściej w języku polskim jak np. w piśmie p. t. Nocyj (cech boskich) Chrystusowych pięć (1680), książce pełnej kalamburów i alegoryj niesmacznych, rozdzielającej wspaniałomyślnie Tróję św. w ten sposób: Ojca, niby orła, dla Wielkiej Rusi, Syna, w rodzaju kokoszy, dla Małej, a Ducha św., jak gołąbka, dla Białej Rusi.

W ruskich książkach bronił błachocestya lub wychwalał dostojników świeckich i duchownych, przypochlebając się dzisiaj tym, których wczoraj poczytywał za szkodników.

Uczniem i wychowankiem Łazarza Baranowicza był Joannicy Galatowski, jak opiekun jego, teolog i polemista, należący z powodu języka swoich pism raczej do polskiej, aniżeli do ruskiej literatury, zarówno jak on rektor akademii kijowsko-mohylańskiej i wysoki dygnitarz duchownej cerkwi nieuńskiej, kulturą i ideałami o tyle zbliżony do Polski, o ile wyznaniem i politycznymi węzły zaliczał się do Rosyi. Walczył z Pawłem Boimem, Jezuitą, o pochodzenie Ducha św. od Ojca samego, nie zaś od Syna (t. z. filioque, przedmiot zaciekłych sporów.)

Słówko o szkołach ewangelików. Były one na wskrós wyznaniowemi. Nie wychowywały przyszłych obywateli kraju, ale sekciarzy religijnych. Jak kolegia jezuickie szczuły uczniów na »heretyków«, tak szkoły ewangelików wyprawiały burdy »papieźnikom«. W epoce przemożnego fanatyzmu i nictolerancji, kiedy wszystkie żywioły w Polsce sprzęły się na wytępienie herezy, nie mogła się ostać najradykałniejsza w Polsce szkoła socyańska w Rakowie, zwana Atenami polskimi. Nie długo trzeba było szukać kija, aby psa uderzyć. Pewien szlachetka postawił figurę Bożej męki na gruncie swego sąsiada socyanina Siemińskiego; oburzona tem małżonka owego arianina podburzyła żaków rakowskich, że ci figurę Chrystusa lżąc porąbali. Obie strony zawiniły. Studenci arijańscy, że targnęli się na godło religii chrześcijańskiej, szlachcic, że postawił krzyż na obcym gruncie dla zniewagi innowiercy, nie oddającego czci boskiej Chrystusowi. W wytoczeniu sprawy żaków na sejmie warszawskim (1638) skończyło się na zniesieniu szkoły i zboru rakowskiego. Miejsce ich zajęła szkoła socyańska w Łucławicach, ale i ta nie długo istniała — zmiotła ją burza reakcji religijnej, która wszystkich Aryan wygnała z Polski. W szkołach tych uczyli przeważnie Niemcy i to najczęściej młodzieńcy bez doświadczenia — w literaturze polskiej nie zostawili trwalszych śladów, zasłynęli natomiast zagranicą.

Wyżej stały szkoły kalwińskie w Litwie, cieszące się opieką ks. Radziwiłłów, a prawdziwie kwitła szkoła Braci czeskich w Lesznie, podniesiona 1626 roku do instytutu akademickiego przez Rafała Leszczyńskiego, wojewodę bełzkiego. Pierwszymi jej rektorami byli: uczony i poeta Jan Rybiński, sumienny historyk reforma-

cyi Andrzej Węgierski i twórca wychowania nowożytnego Komeński. Z nauczycieli zasłynął przyrodnik Jan Johnston i matematyk Jan Dekan, tłumacz na język polski dzieła strategicznego Uffana p. t. Archelia. Do szkoły tej chodzili uczniowie z całej Polski a nawet Czech, Szląska i Węgier. Fale kontrreformacji uderzały silnie o jej mury, a wojna szwedzka zadała jej cios śmiertelny. — Gdy ją po sześćoletniej przerwie na nowo otworzono, nie stało już nauczycieli, rozproszonych zawieruchą wojenną, a młodzi ich następcy ulegli powszechnemu skażeniu, karmiąc uczeni błyskotkami w stylu baroka lub schlebając panom. Nawet wychowanie kobiet wyznania Braci czeskich, lubo nie było wolnem od sekciarstwa, wyróżniało się korzystnie od wychowania niewiast polskich. Tak np. córka ministra Braci czeskich w Lesznie Anna Memorata, otrzymawszy staranne wychowanie w domu ojcowskim, władała prócz polskim i niemieckim językiem, także łacińskim i greckim, słynęła zaś w swoim czasie jako poetka. Wiersze jej łacińskie, pod którymi dodawała do imienia swego słowa: Virgo polona (dziewica polska), wyróżniają się w antologii poetów Schossera, (wydanej w typografii gimnazjum lesznieńskiego).

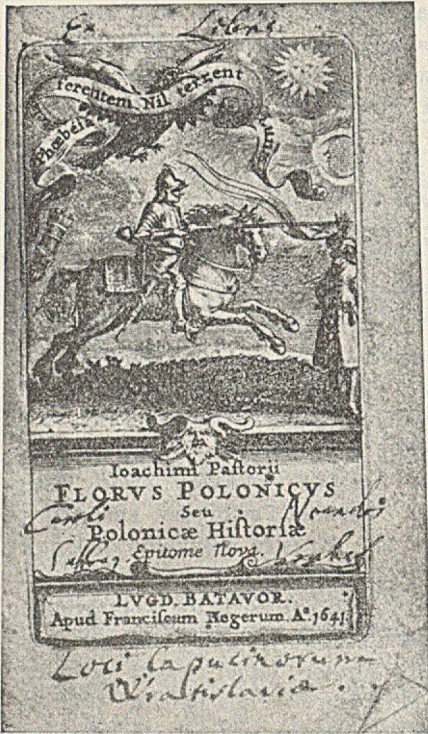
Ze szkół luterskich — najbardziej niemieckich — pierwsze miejsce zajmuje gimnazjum toruńskie, którego profesorami byli : słynny historyk polski Krzysztof Hartknoch, rodem z Jabłonki, bibliograf i wydawca pieśni polskich Efraim Oloff, Hoffman, Lauterbach i inni, którzy wznieśli w Polakach miłość rzeczy ojczystych, a liczyli między swymi uczniami synów znakomitych domów Leszczyńskich, Go-rajskich itp. Nie ustępowało tej szkole gimnazjum akademickie w Gdańsku, gdzie profesorowali: wielce zasłużony około dziejów i prawa polskiego uczony Krzysztof Lengnich, Piotr Krüger, sławny matematyk i Joachim Pastoryusz, znany autor Florusów polskich, tudzież książki o wychowaniu p. t. Palestra nobilium, znakomity historyk polski, ale jako człowiek chwiejny — był Socyaninem, Lutrem, a skończył na tłustym chlebie katolickim — wreszcie Jan Schulz, rodem z Grudziądza, po otrzymaniu szlachectwa zwany Szuleckim, historyograf nadworny króla Jana III. i inni. W szkołach tych protestanckich, lubo były niemieckie, uczono lepiej języka polskiego niż w Jezuitów lub w koloniach akademickich. Profesorowie ich układali podręczniki do nauki tego przedmiotu, zastosowane do potrzeb uczącej się młodzieży i czytali z nią dzieła klasyczne Jana Kochanowskiego, Górnickiego i t. p., kiedy w szkołach polskich wtłaczano uczniom wiatrem podsyte mowy łacińsko-polskich Swad.

Podobnie jak akademie, tudzież szkoły wyższe i średnie, miało i wychowanie elementarne w Polsce charakter religijny. »Czytać nawet uczono na większą chwałę Bożą«, aby móc odprawiać godzinki, śpiewać litanie i modlić się na książce do nabożeństwa, jakich bez liku płodziło duchowieństwo. Natomiast zarzucono nauki niezbędne w życiu codziennem jak np. arytmetykę, uczoną jeszcze w zeszłym wieku z podręcznika Jana Łancuta. Katechizm, nie zastosowany do poziomu ani do potrzeb uczeni, jako przyszłych obywateli kraju, obracał się w sferze niedostępnej rozumowi. Chłopców używano do posług duchownych, »towarzyszyli oni księdzu chodzącemu po kolendzie, śpiewając niedorzeczne częstokroć a nieraz i gorszące pieśni z kantyczek i zebrząc kolendy«. W święta chodzili z jasełkami lub sprawiali sobie dyngusy, odbywali nawet służbę kleryków, czytając nad łożem chorych ewanielię. W szkołkach parafialnych uczono przyciężkiego Alwara albo i filozofii dzieci, nieumiejących jeszcze dobrze czytać. Bakałarz lub sam rektor,

napisawszy szumny panegiryk czy oracyę na uroczystość, kazał go się żakom uczyć na pamięć.

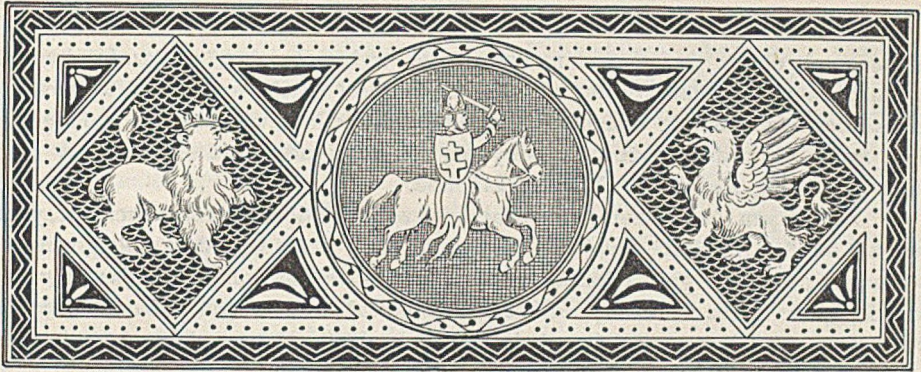
Utrzymanie nauczycieli stanowiły: posługa kościelna (kolendy, pogrzeby, anniwersarze itp.), »suchodniówki« tj. płace pobierane od magistratów, »kozubalec« itp.

Szkółki elementarne rozsiane były po miastach i miasteczkach, bardzo rzadko po wsiach, a gdy wojny domowe za Jana Kazimierza ludność miejską zdziesiątkowały — ubyło wówczas trzy przeszło miliony mieszkańców — nie stawało i szkółek, które dopiero w połowie XVIII wieku dźwigać się poczęły. Uczono z elementarza łacińskiego p. t. Elementa puerilis, zawierającego prócz wokabuł łacińsko-polskich, same modlitwy. Na wyższym stopniu nauki początkowej używano Donata w wykładzie łacińsko-polskim, jak np. Partes orationis sunt octo, części mowy mamy ośm: nomen, imię; pronomen, zaimek itp. Obejmowała zaś ta książeczka wiązanek przysłów »do mówienia przy stołach i do różnych dyskursów«.



Nr. 133. Joachima Pastoriusza podręcznik historii polskiej. 1641.

I wychowanie dziewcząt, przeważnie domowe, prowadziło do dewocyi. »Zaprawiała je matka — powiada Jezuita Susliga w żywocie Elżbiety Sieniawskiej — przykładem swoim z młodu w postach, w dyscyplinach i modlitwie. Gdy się czytać nauczyła, czytywała żywoty świętych i inne książki duchowne. Trapiła się srogo biczowaniem; spać idąc, świecę woskową topiła na ciele swoim«. W dzień własnym służebnicom »w gębę kazała się bić mocno i sama się też bardzo często policzkowała«. W tym duchu wychowała Sieniawska swoje dwie córki, które wypchnęła do klasztoru, aby się »stopiły na chwałę Bożą«, a cały swój olbrzymi majątek zapisała Jezuitom i Benedyktynom. Sprowadzone przez Ludwikę Maryę Wizytki, a przez Marysienkę Sakramentki uczyły już w swoich pensyonatach robot kobiecych i języka francuskiego, ale cały kierunek wychowania był klasztorny. »Wychowanie dziewcząt po tych klasztorach — powiada najlepszy ówczesnego wieku znawca — było najgorsze. Nie uczyły się one w nich dobrego rzędu domowego, nie sposobiły się na przyszłe rozumne gospodynie, matki i obywatelki, ale na zabobonne dewotki lub mniszki«. Kroniczka spisana przez Benedyktynki poznańskie z pierwszej połowy 17 wieku, napełniona bajdami o czarach, dyabłach i upiorach, daje wyobrażenie, czego to się panienki do zakonnic oddane, nauczyć mogły.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

NA PRZEŁOMIE WIEKU.



od koniec panowania Sasów, kiedy fale reakcyi katolickiej wzbity się do najwyższego punktu, w piątym 18-go stulecia dziesiątku, poczyna się ruch w postępowym kierunku. Opanowany przez ducha scholastyki naród wyłamuje się z więzów niewoli i pod wpływem ożywczych promieni, spływających nań z wyżyn odkryć astronomii i fizyki doświadczalnej, budzi się do nowego życia.

Na czele tego ruchu umysłowego, przeprowadzającego Rzeczpospolitą z martwoty i przesądów średniowiecza na próg zdrowszych pojęć nowożytnych, stoi zakonnik, streszczający w sobie wszystkie dążenia postępowe tej przełomowej epoki w dziedzinie wychowania i prawoznawstwa, w literaturze i polityce: St. Konarski.

Wielki społeczeństwa polskiego reformator, pochodził z rodziny szlacheckiej, oddanej stanowi zakonnemu, ale będącej w jednej gałęzi wyznania reformowanego, z rodziny zagnieżdżonej w województwie sandomierskiem, gdzie też (w wiosce Żarczyce, w powiecie checińskim), urodził się 1700 r. nasz Stanisław, przed wstąpieniem do zakonu znany pod imieniem Hieronima. Ojciec, kasztelan drażkowy, mający sześciu synów i dwie córki, tudzież matka, z domem Tarłów spokrewniona, wczesnie odumarli chłopca, który oddany został przez wuja na naukę do OO. Pijarów w Piotrkowie.

Szkoły pijarskie nie różniły się podówczas niczem od zakładów jezuickich i kolonii akademii Jagiellońskiej.

Z gorliwością godną lepszej sprawy uczono się pod przewodnictwem profesora retoryki wygłaszać w pocie czoła wypracowane mowy sążniste, zwane perorami lub pod kierunkiem profesora poetyki pięć hymny pochwalne na cześć dobrodziejów i potentatów z aluzjami do herbów lub paranteli.

Młody Konarski szedł ubitym przez szkarłatnym torem, wygłaszając razem

z kolegami długie przemowy na powitanie trybunału, czy na cześć świętych, a clukubracje owe służyły mu później, kiedy pisał dzieło o błędach wymowy, za cel szyderstwa. Pacholeł szlacheckie, zaledwie opuściło ławę szkolną, w 15-cj wiosnie życia, przywdziało habit, a odbywszy dwuletni nowicyat u Pijarów w Podolińcu na Spiżu, złożyło 1717 śluby zakonne.

Zwyczajem ówczesnym, słuchając jeszcze wykładów filozoficznych, przygotowywał młody Konarski żaków z niższych klas, a że się odznaczał gorliwością w nauce, powołano go na katedrę poezji i wymowy do kolegium Pijarów w Warszawie, gdzie przez lat cztery od 1721 r. zajmował się z urzędu układaniem i aranżowaniem mów i panegiryków okolicznościowych. Próbką owej produkcji w spaczonym stylu barokowym jest pierwszy zbiorek jego pieśni na cześć Maryi Panny p. t. *Decas Lyrica* (Warszawa u Pijarów 1724).

Mowy miane w owym czasie na cześć swoich krewnych Tarłów i tym podobne chryje, skrętnie przez przełożonych zakonu ogłaszane drukiem, obracały się w zaczarowanym kole niezliczonych przepisów wymowy szkolarskiej. W ogóle w pierwszym okresie rozwoju Konarskiego nie widać jeszcze przeblysków myśli, zapowiadających przyszłego reformatora wychowania i wymowy ani wielkiego polityka, godzącego w samą źrenicę »wolności« szlacheckich. Dopiero podróż zagranicę, odbyta kosztem wuja poety, biskupa poznańskiego, Jana Tarły, zwłaszcza pobyt w wiecznym mieście, otworzył mu oczy na wadliwy kierunek wychowania.

Przybywszy 1725 r. do Rzymu, zapisał się Konarski w 25 roku życia jako uczeń do słynnego na on czas Collegium Nazarenum. »Bawił tu lat cztery — powiada bliski tych czasów świadek — i przykładał się do matematyki, ale szczególniejsze zwracał usiłowania do wydoskonalenia się w krasomównstwie. W obu tych przedmiotach był mu wyborynym nauczycielem Paulin Chelucci, którego imię pierwsze prawie zajmuje miejsce między wielkimi Włoch krasomówncami i pisarzami w języku łacińskim. O postępach Stanisława w krasomównstwie można stąd sądzić, że w ostatnich dwóch latach pobytu swojego w Rzymie, miał poruczone dawanie lekcyi wymowy łacińskiej dla szlachetnej młodzi w kolegium nazareńskim, zostającym pod rządem księży Pijarów«.

Porównyując naukę w tym zakładzie z błędnym sposobem wychowania w Polsce, powziął Konarski myśl reformy szkół pijarskich. Rozwijał ją podczas dwuletniego (od 1729 r.) pobytu we Włoszech i Francyi, gdzie badał szczególnie plan nauk i organizację t. z. *Collège de quatre nations* i zapoznał się z historykiem pedagogii Rollinem.

Nie mogąc jednak zrealizować swych myśli na polu wychowania, zwrócił się w inną stronę — podjął wydawnictwo zbioru ustaw i konstytucyj polskich.

Po wielkich z 16 wieku zbiorach i kompendyach prawnych Łaskiego, Herburt, Przyłuskiego i Januszowskiego, występuje Mikołaj Żalaszowski, archidyakon poznański z dziełem p. t. *Jus regni Poloniae* (dwa tomy 1699—1700), będącem ostatnim wyrazem prawoznawstwa 17 wieku.

Czasy saskie zdobyły się już tylko na księgę praw Stanisława Kożuchowskiego, cześnika wieluńskiego, który z polecenia sejmu grodzieńskiego (1726) zebrał rozproszone pomniki prawa i konstytucyi koronnych i drukował je własnym kosztem. Atoli dobrym chęciom wydawcy nie odpowiadały jego w tym kierunku zdolności. Ograniczając się prawami z lat 1550—1726, daje Kożuchowski tylko w streszczeniu niektóre konstytucye, nie układa ich systematycznie, lecz abecadłowo.

Braki te miał dopełnić zbiór zainicjowany przez Andrzeja Żaluszkiego,

strzygnięcia jakiego sporu w sprawach przez się sądzonych potrzebowali uciekać się do dawnego jakiego prawa, radzili się wydań oryginalnych, a Konarskiego wydaniu wierzyć nie chcieli«. Mimo to opierali się na niem przez dwa wieki niemal wszyscy prawa polskiego badacze, jako na materyale źródłowym.

Pierwsza ta próba pełnego pomników rodzimego prawa zbioru, nie toruje nauce staropolskiego prawa nowej drogi, ale zdumiewa wielkością pomysłu i śmiałością wykonania. Stanowi ona największy zasób ustaw polskich, a przez ostatnie pół wieku istnienia Rzeczypospolitej, uważana była niemal za księgę urzędową; do dziś używa u niektórych rządów powagi autentycznego tekstu. Korzystał tu Konarski nie tylko z drukowanych zbiorów ustaw, ale także z kompendyów prawnych. Okazał przytem trafne zrozumienie celów wydawcy, zajmując niejednokrotnie krytyczne wobec poprzedników swych stanowisko. Bo kiedy poprzednicy jego jak np. Łaski, układali ustawy rzeczowo, systematycznie, albo jak np. Herbut alfabetycznie, on zgrupował materyał swój chronologicznie, tj. według następstwa lat. Nie zadawał się materyałem drukowanym, ale sięgnął do źródeł rękopiśmiennych, które przechowywała zasobna ksiąźnica Załuskich w Warszawie. Umiał też z rozrzuconych w kompendyach urywków postanowień prawnych odtworzyć i nie bez powodzenia zestawić całość ustawy w pełnem brzmieniu tekstu.

Nie ustrzegł się jednak znacznych uchybień, które policzyć należy na karb nieznajomości prawa i ówczesnych warunków wydawnictwa. Inne pochodzą ze stanowiska przeważnie praktycznego. Chodziło mu o zaspokojenie naglącej potrzeby władz i społeczeństwa, domagających się pełnego zbioru ustaw Rzeczypospolitej. Pierwszych sześć woluminów, od 1732 r. począwszy, wyszło staraniem Konarskiego, resztę ogłaszali jego następcy. Ognistego bowiem mnicha porywały wzburzone fale wojny sukcesyjnej w inną stronę.

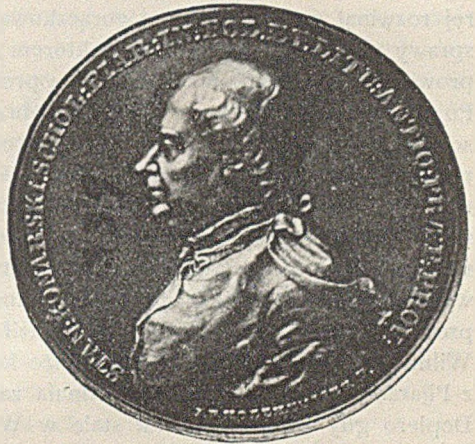
Jako guwerner ks. Lubomirskiego, a potem towarzysz podróży ks. Jabłonowskiego, miał sposobność otarcia się o najznakomitsze osobistości w Polsce. Śmierć króla Augusta II i zabiegi syna o tron wobec koronowanego królem Stanisława Leszczyńskiego, otworzyły rzutkiemu Pijarowi furtkę do polityki. Pozналиśmy w jednym z poprzednich rozdziałów tę chwiejną jego działalność polityczną. Owoce jej leżą w dwu broszurach, z których pierwsza kruszy kopię za Augustem III, a druga przychyła się na stronę Stanisława I. Odtąd popiera ze wszystkich sił »króla wyгнаńca«, jako jedynie prawego dziedzica tronu Jagiellonów.

Ostatnim aktem natury politycznej Pijara był udział jego w poselstwie konfederacji dzikowskiej do Paryża. W celu wyjednania pomocy u króla francuskiego, teścia Stanisława I, wysłano jako posła Jerzego Ożarowskiego, oboźnego koronnego, przydając mu do boku jako sekretarza poselstwa Konarskiego, który też dnia 30 kwietnia 1735 r. wyruszył do Paryża. Od przybycia na dwór Wersalski aż do wyjazdu 16 kwietnia 1736, zajmuje się nasz Pijar gorliwie sprawą, nie mającą żadnych widoków powodzenia. Przyczynia się jednak podczas obłożnej choroby posła Ożarowskiego do zawarcia traktatu zaczepno-odpornego obu sprzymierzonych mocarstw (28 września 1735). Kiedy poza plecyma ambasady polskiej stanął preliminarz wiedeński, na mocy którego król Stanisław abdykując, miał otrzymać księstwo Lotaryngii i Baru, Konarski z bracią królewiecką dokładał starań, aby ta abdykacja odbyła się z honorem dla Stanisława i jego stronników.

Po niepowodzeniach na polu dyplomatycznym zwrócił się nasz pogodzony z Sasem polityk na właściwe sobie pole działalności — do pierwotnej myśli dźwignięcia odłogiem leżącej niwy wychowania w Polsce. W latach 1736 do 1738

pełni obowiązki profesora i rektora Pijarów w Warszawie i Rzeszowie, wykładając oprócz humaniorów, nowsze języki (francuski i niemiecki) i politykę. W tym samym czasie bierze gorący udział w walce ze spółzawodniczącym zakonem.

Od 17 stulecia toczyły się gorszące spory Jezuitów z Pijarami o wyłączny przywilej nauczania, od 1661 o szkołę warszawską, od 1677 o szkołę w Piotrkowie; zaostrzyły się zaś w 18 wieku, o prawo zakładania szkół w Wilnie (1722—1753) i we Lwowie (1724—1773). Która z procesujących stron miała słuszność? W zasadzie żadna, obie bowiem wychodziły z fałszywego założenia konkurencji tam, gdzie mogło być jedynie słusznem współdziałanie. Nas tu zajmuje bliżej spór obu nauczających zakonów na Litwie, którym ze strony Pijarów kierował Konarski. Akademia wileńska Towarzystwa Jezusowego, odwołując się na zwyczajowe prawo wyłączności, którego uniwersytetowi krakowskiemu zaprzeczała, czyli stając wobec bratniego zakonu na tem samym ciasnym i egoistycznym stanowisku, co akademia Jagiellońska wobec Jezuitów, wzbraniała Pijarom otwarcia szkół w Wilnie. Podstępnie, wbrew woli stolicy św. i głowy kościoła, wyjednali Ojcowie Jezuiti u króla Augusta III zawezwanie Pijarów przed sąd królewski. Instygator wicl. litew. Stanisław Burzyński, wielbiciel Jezuitów, z polecenia króla oskarżył Pijarów, że przywileje królewskie (Augusta II z 1726 i 1729), zakazujące im otwierania szkół w Wilnie, jawnie i świadomie przekroczyli. Pijarzy nie stawili się na termin i dlatego skazani zostali zaocznie na zamknięcie szkół, Jezuiti zaś ogłosili zbiór swoich praw i przywilei p. t. »Academia Vilensis«, oraz kilka broszur na usprawiedliwienie swego postępowania.



Nr. 136. Medal St. Konarskiego.

Wówczas wystąpił St. Konarski z walną obroną szkół Pijarskich w response »Na skrypt (Jezuitów) wydany p. t. Academia Vilnensis, dowodzący dwóch kategorii: pierwszą, dlaczego akademia wileńska przegrała sprawę z księżami Scholarum Piarum w Rzymie, drugą, kto wciągnął tę sprawę in forum ecclesiasticum (przed sąd stolicy św.)«. Konarski zarzuca tu Jezuitom, że wpływami swymi i protekcyą »mocą, obrotem i pieniędzmi« wyłudzały różne, przeciwne prawu przywileje, a nawet apokryficzne listy i dokumenta zmyślali, aby egzystencyę szkół Pijarskich zachwiać i obalić.

Odpowiedzieli Jezuiti pod imieniem instygatora Burzyńskiego pismem p. t. Repliką na dwojaką kategorię, dowodząc scholastycznie, że akademia wileńska ma prawo wyłączające inne szkoły (ius privativum czyli incompatibilitatis) i że je uzyskała legalnie, nie »subreptitie«. Nie pozostał dłużnym Jezuitom Konarski i ogłosił aż dwa pisma, jedno było »Sumaryuszem przywilejów, dekrétów, świadectw, odnoszących się do fundacyi szkół pijarskich w Wilnie« i służyć miało jako dowód przyznanych Pijarom przez stolicę apostolską i koronę praw, drugie »Pismo na obronę nowozałożonego kolegium pijarskiego w Wilnie« (oba 1738 r.), przeznaczone było na zabicie wywodów strony przeciwnej. Argumenta te i wyroki władz, niemniej osobiste wpływy Konarskiego, nie zdołały odwrócić ciosu zadanego

Pijarom przez przeciwników. On, »dusza kampanii pijarskiej przeciw Jezuitom«, służący swemu zgromadzeniu słowem i czynem, piórem i radą — wyczerpany i znużony, dowiedziawszy się o ostatnim przeciw Pijarom wyroku, pisze 1739 r. do Ojca Łukasza Rosoleckiego, dając swoim uciśnionym towarzyszom teje treści radę: Zaniechać na razie szkół publicznych, a otworzyć konwikt prywatny, na wzór nazareńskiego urządzony, uważa bowiem taki zakład za komórkę zarodkową przyszłej wielkości swego zakonu, w końcu dorzuca gorzkie słowa: »Ja już ręce umyłam i z Warszawy w przeciągu kilku dni ustępuję... Uchodźmy z ojczyzny, niechaj żyją Asturius i Catullus (Jezuici), którzy z czarnego robią białe i prawo naturalnej obrony uważają za zbrodnię«. Nie umywał jednak rąk, lecz jak mógł wspierał nadal swoich braci wileńskich. Staraniem jego przyszło 1753 r. do kompromisu czyli do ugody obu zwaśnionych stron, na mocy której: »Pijarzy zrzekają się raz na zawsze wszelkich szkół publicznych w Wilnie«, a Jezuici dopuszczają im mieć konwikt na 24 uczni ze szlachty i 6 ubogich.

Tak się zakończyła długoletnia i zaciekła walka Pijarów z Jezuitami, w której rozwinął nasz reformator gorączkową czynność. Zajmowały go przytem żywo sprawy zawodowe. Był bowiem rektorem szkoły pijarskiej w Warszawie i asystentem prowincyi przy boku starzejącego się prowincyała Zgromadzenia ks. Jastrzębskiego. Po zgonie tego ostatniego (1741 r.) obrany prowincyałem Pijarów w Koronie, wysoką tę godność piastował zaledwie półtora roku. Posłużyła ona mu jednak, a może miała wyłącznie na celu przeprowadzenie reorganizacji szkół pijarskich. Z planem reformy, wzorowanym na kolegium Nazareńskim, wystąpił był już 1731 r. Konarski za pierwszym powrotem do kraju, przedkładając go prowincyałowi Zgromadzenia Pijarów w Warszawie. Niestety brak funduszków stanął na przeszkodzie wprowadzeniu w życie zbawiennego zamiaru. Zapukał więc do świeżo otworzonej prowincyi litewskiej OO. Pijarów, jeździł nawet 1735 r. umyślnie w tym celu do Wilna i był już bliski otwarcia tamże kolegium, kiedy zawiść spółzawodniczących z Pijarami zakonu Jezuitów wyjednała zakaz zamknięcia szkół pijarskich w Wilnie. Dopiero gdy Konarski osiadł stale w Warszawie, »mając wolne ręce«, zabrał się z »zapałem i wytrwałością« do dzieła reformy szkół. Kładąc podwaliny nowożytnego szkolnictwa w Polsce, rozwinął Konarski wszystkie znamienne cechy swego niepospolitego charakteru: odwagę, z jaką wypowiedział wojnę stokroć mocniejszemu nieprzyjacielowi, energię w przedsięwzięciu wymagającym nadzwyczajnych wysiłków woli, wytrwałość w działaniu, nie dającą się żadnymi zaporami przełamać, a przede wszystkim zupełnie bezinteresowną, osobistej ambicji pozbawioną, chęć służenia najżywotniejszej sprawie swego narodu. Tymi przymiotami serca i woli, nie mniej zaletami rozumu, jak niezwykłą jasnością i trzeźwością myślenia, nieprzeparłą mocą przekonywania i wielostronnem wykształceniem, dokonał w krótkim czasie wielkiego dzieła reformy szkół polskich, czem zaskarbił sobie wdzięczność narodu i zdobył stanowisko w annałach literatury, z ciężą wymawiającej jego imię.

Nie podobna wszakże zamilczeć sprzyjających warunków, wśród jakich przyszło działać naszemu reformatorowi. »Stosunki familijne — powiada głęboki znawca jego duszy — dozwoliły mu zbliżyć się do ludzi wykształconych, wpływowych, a nade wszystko obywateli kraju, odczuwających stan rozpaczliwy narodu i pragnących jego poprawy. Wcześniej bardzo wstępnie do zgromadzenia, mającego za główny cel wychowanie młodzieży, skłonnego wskutek emulacji do wydania walki tym, którzy kierowali wychowaniem i sumieniem narodów. W 25 roku wysłany do Rzymu dla dalszego kształcenia, wchodzi w stosunki z najwybitniej-

szemi osobistościami świata naukowego. Nie małe musiał wynieść stąd korzyści, skoro w obczyźnie, w stolicy świata katolickiego, poruczono mu w Collegium Nasarenum katedrę literatury. Odznaczenie takie musiało zjednać Konarskiemu poważanie w kraju i ułatwić potem działalność reformatora. Obowiązki nauczycielskie zniewalały go do studyowania metod nauczania i dały sposobność poznania opłakanego stanu wychowania w Polsce, a to go pobudzać musiało do przedsięwzięcia na tem polu reformy.

Mając przed oczyma smutny stan uczącej się młodzieży, »zagwałdzanej dziwactwami myśli« i »słów igraszką«, albo trapionej subtelnościami filozofii scholastycznej, widząc naród cały »wysły z takich szkół, podobny do człowieka, odurzonego napojem«, postanowił wykorzenieć zło w samym zarodzie. Zaczął zaś od reformy wychowania w swoim zakonie, aby przez młodzież z tej szkoły wychodzącą, działać na cały naród. Świadom wszakże, że »kolegia pijarskie w porównaniu do jezuickich były i nieliczne i tylko od ubogiej młodzieży uczęszczane«, przytem posiadające gorsze siły nauczycielskie od szkół jezuickich, a zatem gdyby się nawet dały najgruntowniej zreformować, »nie prędkoby i nie powszechnie wpłynąć mogły na podniesienie oświaty w kraju, w którym wszystko od przykładu z góry zawisło było«, dążył do założenia osobnego zakładu wychowawczego dla synów zamożniejszych rodzin szlacheckich, mających w przyszłości zająć wpływowe w państwie lub społeczeństwie stanowiska.

Zanim jednak przy pomocy czcigodnych obywateli, pragnących dźwignąć naród z upadku, mógł do dzieła reformy przystąpić, należało przysposobić przyszłych nauczycieli zakładu, którzyby zerawszy z przyjętą rutyną, przyswoili sobie nową metodę i przejęci byli obywatelskim duchem założyciela. W tym kierunku rozwija ks. Pijar gorliwą działalność jako nauczyciel kleryków w kolegium pijarskiem w Rzeszowie, obznajamiając ich z lepszym sposobem wykładu i zaszczepiając w nich zdrowszy smak literacki. Tak przygotowanych młodych Pijarów dawał paniczom z możniejszych rodzin polskich na towarzyszy, innym udzielał zasiłków na wyjazd w podróży dla przytarcia ich w naukach i importowania z zagranicy szlachetniejszych owoców wychowania. Przy pomocy fundusów, zebranych przez brata ks. Ignacego Konarskiego i Pijara Wysockiego, wysyłał też sam po dwóch towarzyszy zakonu szkół pobożnych w naukową podróż, polecając im, »aby uwagę zwracali na sposób wychowania młodzieży tak w szkołach publicznych, jakoteż po domach prywatnych« i żądając od swoich stypendystów za powrotem do kraju dokładnego zdania sprawy ze swego w zakładach cudzoziemskich pobytu.

Świadom znaczenia w naszym społeczeństwie pisanego słowa, w przeświadczeniu, że droga nawoływania do poprawy przez literaturę nie prowadzi do celu, a przynajmniej bardzo jest długą, postanowił wybrać najkrótszą, założył sześcioklasowy instytut z pensjonatem, mający być wzorem dla szkół krajowych. Wynająwszy dom przy ul. Długiej w Warszawie, zaopatrzył go w najniezbędniejsze sprzęty i przybory, a mianowany przez zwierzchność regensem szkoły, otwiera 1740 słynne Collegium nobilium, czyli zakład wychowawczy dla młodzieży szlacheckiej.

Puściwszy w świat prospekt »dla wiadomości obywateli«, oczekiwał wyniku. »Przez kilka pierwszych miesięcy — powiada znany autor Historii szkół w Polsce — prócz Świdzińskiego, wojewodzica rawskiego, żaden młodzieniec nie był oddany do konwiktu. Krewni i przyjaciele Konarskiego ubolewali nad nim,

że próżno dom wynajął i wiele kosztów na urządzenie go poniósł. Ale Konarski znając dobrze ludzi, a szczególnie swój naród, zapewniał rozpaczających o jego dziele, że najęte mieszkanie wkrótce będzie za szczupłe. Jakoż w drugim już roku liczył konwikt dwudziestu z pierwszych domów młodzieńców, a Konarski zajął się całą myślą o nowej dla sześciudziesiąt kilku uczniów budowie«. Jako prowincyał Pijarów nie szczędził trudu i zabiegów w celu zebrania poważnej sumy około 300.000 złp. na wystawienie nowego gmachu, w czym największą ofiarność okazał wuj reformatora Jan Tarło, wojewoda sandomierski, złożyłwszy na ten cel trzecią część funduszu. Dorota Tarłowa, wojewodzina lubelska i inne miłośniczki oświecenia publicznego składały drobniejsze sumy na wzniesienie murów konwikt. Na początku roku szkolnego 1754 r. przeniesiono czterdziestu uczniów z dozorcami i całym gronem nauczycielskiem do nowego, jak na onczas wspaniałego gmachu.

W przytomności senatu i posłów, właśnie na sejm walny zebranych, otworzył Konarski wiekopomny zakład, rozwijając w mowie łacińskiej »o zacnym i dobrym obywatelu«, ogłoszonej niebawem drukiem, poglądy na wychowanie, wysuwając na plan pierwszy: dobro ojczyzny.

Widząc zbawienne owoce wychowania w Collegium nobilium, zwrócił się niestrudzony działacz w stronę, skąd się roztaczał widok na cały zakon Pijarów. Przystępował do wielkiego, nieocenionego dzieła reorganizacji u samych podstaw zgromadzenia w Polsce i zreformowania wszystkich szkół pijarskich. Pod osłoną brewe papieskiego, przy pomocy starszych Pijarów, poddał dokładnej rewizji konstytucje zakonne i uchwały kapituł »stosując je do podstępu nauk i ulepszanego w Europie dawania ich sposobu, do formy rządu i potrzeb kraju«. Wcielił do tak zreformowanych ustaw przepisy nie dawno dla łmci panów konwiktów ułożone i przedłożył je 1753 r. zebranej na kapitułę starszyźnie Pijarskiej, która je z drobnymi zmianami uchwaliła. Księga ta ustaw, przez kuryę potwierdzona, nosi tytuł: Ordinationes visitationis apostolicae pro provincia Polona 1754. Rozwijając regułę pierwotną św. Józefa Kalasantego, wyjmuje ona domy pijarskie z pod kontroli generała zakonu w Rzymie i poddaje je głównie pod rząd prowincyała polskiego.

Na czem polega postęp szkół przez Konarskiego zreformowanych? Oto przedewszystkiem na zbliżeniu nauki do życia, do społeczeństwa, do narodu, wśród którego istnieje. Kiedy dotychczasowe wychowywały uczniów na księży i ludzi pobożnych, szkoły pijarskie wychowywały ich wedle przepisów religii katolickiej na ludzi uczciwych i dobrych obywateli. Nauczyciele zazszczepiali w młodzieży cnoty i obowiązki społeczne, kształcili na przyszłych posłów, żołnierzy i urzędników. Na dowód przytoczyć można: »Rozmowę, na czem dobro i szczęście Rzeczypospolitej zaległo«, mianą w warszawskim Collegium nobilium roku Pańskiego 1757. Zalecali tu Pijarzy swym uczniom jako główny warunek szczęścia narodu: ustanowienie i wykonywanie dobrych praw, pomnożenie siły zbrojnej, ścisły wymiar sprawiedliwości, dobre wychowanie młodzieży itp. zasady. Wszystkie nauki mają, zdaniem Konarskiego, przedstawiać wzory, którymi kierować się będzie uczeń jako przyszły obywatel polski. Niech cała mądrość starego i nowego świata uczy, jak ten obywatel wypełniać ma swoje obowiązki względem ojczyzny. Jako polityk i patriota, przykładający siekiere do rdzenia ustroju społecznego, pragnął uczynić ze swej szkoły instytucję narodową. Miała ona »wychowywać obywateli, miłujących kraj, znających wszystko, co jest

- Wi. Bartynowski.** Wiadomości numizmat.-archeologiczne. Kraków T. I. i nast. 1899—1902.
- E. Bączalski.** W. Potockiego Wojna chocimska. Lwów 1898.
- Kl. Bąkowski.** Dzieje Wszechnicy Krakowskiej. Bibl. krakowska. Nr. 16. Kraków 1900.
- K. Bartoszewicz.** Rzeczpospolita babińska. Przedruk z „Przedświtu”. Lwów 1902. — Rzeczpospolita babińska. Ateneum, Warszawa. 1895. T. II.
- J. Bartoszewicz.** Dzieła wyd. K. Bartoszewicza. Kraków 1877. T. I—X.
- Adam Kisiel, wojewoda kijowski. Tyg. ilustr. Warszawa 1860. T. II.
- St. Koniecpolski. Tyg. ilustr. 1863. T. VII.
- Jerzy Seb, Lubomirski, marszałek W. Koronny, hetman Polny. Tyg. ilustr. Warszawa 1863. T. VIII.
- Jan Fryderyk Sapieha. Tyg. ilustr. 1861. T. III.
- Ant. St. Szczuka. Tyg. ilustr. 1862. T. VI.
- Józef Jędrzej Załuski. Tyg. ilustr. 1862. T. V.
- Jana Sobieskiego, Pamiętniki wojny chocimskiej. Książ troje w przekładzie Wl. Syrokomli, Bibl. warsz. 1856. T. III.
- Pamiętniki Łosia, towarzysza chorągwi pancерnej (od 1646—1667). Bibl. warsz. 1859. T. II.
- Roczników Polski, Kochowskiego. Klimakter IV. Bibl. warsz. 1854. T. III.
- Rozbiór St. Paca. Obraz dworów europ. Bibl. warsz. 1855. T. IV.
- Rudawskiego, Historia polska od śmierci Władysława IV. rozbiór. Bibl. warsz. 1855. T. IV.
- Listy Władysława IV. do Krzysz. Radziwiłła (1612—1632). Bibl. warsz. 1868. T. III.
- J. St. Jabłonowski. Encyklopedia powszechna. Warszawa 1863. T. XII.
- A. Grabowskiego Dawne zabytki miasta Krakowa i Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Bibl. warsz. 1851. T. I. i II. i 1852. T. II.
- Szkice z czasów saskich. (Dzieła t. VII).
- Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej. Przegląd polski. Kraków 1868 (styczeń) i 1869 T. III—IV.
- O woluminach legum. Studya historyczne i literackie. Kraków 1880. T. I.
- M. Matuszewicz jako poeta. Studya historyczne i literackie. T. II. Kraków 1881.
- Paweł Piasecki, w przekładzie polskim jego Kroniki. Kraków 1870.
- Znakomici mężowie polscy w 18 w. Petersburg 1856. T. I—III.
- Studya historyczne i literackie. T. III. Dzieła, Kraków 1881. T. X.
- Książd W. Dembołęcki. Bibl. warsz. 1854. T. I.
- J. Bartoszewicz.** Pamiętnik Jana Cedrowskiego, zabytek 17 w. Bibl. warsz. 1856. T. III.
- Michał Mniszek, marszałek W. K. Tyg. ilustr. Warszawa 1863. T. VIII.
- Ks. Ancuta. Encyklopedia powszechna, Orgelbranda. Warszawa 1859. T. I.
- St. Wierzbowskiego. Konnotata wypadków od 1634—1689. Bibl. warsz. 1859. T. III.
- U. Bretholz.** Über unbekante polnische Dichter des 17 Jahrhunderts. I. Th. Krakau 1897.
- J. Bolte.** Das Danziger Theater im XVI. und XVII. Jhr. Theatergeschichtliche Forschungen XII. Hamburg 1895.
- Drei Königsberger Zwischenspiele 1644. Altpreussische Monatschrift. Królewiec 1890.
- P. Budik.** Leben und Wirken der vorzüglichsten Dichter des XVI—XVIII. Jhr. Wien 1827. T. I.
- O. Balzer.** Księga kryminalna sanocka 1554—1638. Przewodnik nauk. i liter. 1890. T. III.
- Przyczynki do historii źródeł prawa polskiego. (Volum. legum St. Konarskiego. T. I.). Rozprawy Akademii Umiejętn. wyd. histor.-filozof. Kraków 1903.
- Przyczynki do hist. źródeł. prawa pol. Sprawozdania Akad. Umiej. Kraków 1902. Czerwiec.
- A. Bełcikowski.** A. Morsztyn. Tyg. ilustr. 1871. T. VIII.
- E. Drużbacka. Ze studyów nad literaturą polską. Warszawa 1886.
- Okruchy literackie. Bibl. warsz. 1884. T. II.
- Ze studyów nad literaturą polską, z życiorysem P. Chmielowskiego. Warszawa 1886.
- W. Potocki, studjum literackie. Przegl. polsk. Kraków 1868/9. T. I.
- F. Bentkowski.** O nowem wydaniu herbarza ks. Niesieckiego. Bibl. warsz. 1842. T. III.
- O bractwie Niepok. Poczęcia i Wniebowzięcia N. Panny, przez Władysława IV. założonem. Bibliot. warszaw. 1841. T. IV.
- L. Bernacki.** Dwa najstarsze jezuickie intermedya szkolne. Pamiętnik literacki. Lwów 1903. Rok II.
- M. Bersohn.** Studenci Polacy na uniwersytecie bolońskim w 16 i 17 w. Część I—II. Kraków 1894.
- O rytownikach gdańskich. Warszawa 1887.
- Teophilus Polak, ein Maler des 17 Jhr. Frankfurt 1891.
- Marcin Teofil Polak, malarz polski z pierwszej połowy 17 w. Kraków 1888.
- Kilka słów o J. Heweliuszu i jego korespondencyi. Warszawa 1898.

- M. Bersohn.** O iluminowanych rękopisach polskich. Warszawa 1900.
— Modlitewnik Maryi Kazimierzy Sobieskiej. Kraków 1896.
- Biblioteka Ordynacji Krasieńskich.** Warszawa 1875. T. I. 1876. T. II. 1877. T. III. 1879. T. IV.
- J. Bianu.** Psalteria in versuri de Dosofteiu mitropolitului Moldovei 1671—1686. Bucuresci 1887. (Naśladowanie psalterza Jana Kochanowskiego, wydane 1673. w Uniowie pode Lwowem).
- A. Bielowski.** Dwaj Zimorowicze. Tygodnik literacki red. A. Woykowskiego. Poznań 1839. T. II.
— Pisma St. Żółkiewskiego, kanclerza koronnego i hetmana. Lwów 1861.
- J. Bieliński.** Uniwersytet wileński. (Fontes hist. scholarum. Polon). Kraków 1899—1900. T. I—III.
- K. Biechoński.** Pamiątki z czasów Sobieskiego. Bibl. warsz. 1882. T. IV.
- C. Biernacki.** Jezuita w Kaliszu. (1581—1773). Bibl. warsz. 1857. T. I—IV. (Przyczynek. Tamże 1859. T. II).
- L. Birkenmajer.** T. L. Burattiniego Miara powszechna. Kraków 1897.
- A. Blumenstok-Halban.** Wiadomość o rękopisach prawno-historycznych bibl. w Petersburgu. Archiwum komisji historycznej Akademii Umiej. T. VI. Kraków 1891.
- M. Bobowskiego.** Wychowanie panicy polskiego za granicą w wieku 17. (1639—1641). Bibl. warsz. 1886. T. III.
- W. Bojarski.** Elżbieta Drużbacka. Sprawozdanie gimnazjum w Przemyślu 1895.
- L. Boratyński.** Dary Dymitra dla Maryny Mniszchówny. Sprawozdanie komisji do hist. sztuki. Kraków. Akademii Umiej. 1896.
- J. H. Bormans.** Comparatio Horatii et Sarmebii. Leyden 1824.
- F. Bostel.** Opis malowań Zamku Dobromilskiego, przedstawiających rokokoz Zebrzydowskiego. Sprawozdanie komisji do badania sztuki, wyd. Akad. Umiej.
— Rachunek skarbu koronnego z 1629. Archiwum komisji hist. Akademii Umiej. Kraków 1891 T. VI.
— Przyczynki do dziejów złotnictwa lwońskiego w 16—17 w. Sprawozdanie komisji sztuki Akad. Umiej. Kraków 1891. T. V.
— Contribution à l'étude de l'orfèvrerie des XVI. et XVII. siècles. Bulletin de l'Académie des sciences. Cracovie 1891.
- P. Boyé.** St. Leszczyński et le troisième traité de Vienne. Paris 1898.
- J. C. Block.** Jeremias Falck, sein Leben und seine Werke. Danzig 1890.
— Das Kupferstichwerk des Wilhelm Hondius. Danzig 1891.
- Ks. J. Bukowski.** Przyczynek do dziejów rokokoz Zebrzydowskiego. Kwartalnik historyczny. Lwów 1894. T. VIII.
- T. L. Burattiniego.** Miara powszechna. Traktat wydany 1675 w Wilnie. Wyd. mat. przyr. Akademii Umiej. Kraków 1897.
- A. Brückner.** Skarby dawnej poezji polskiej. Biblioteka warszawska 1900. T. II.
— Z dziejów polskiego różnowierstwa. Ateneum. Warszawa 1896. T. II—III.
— Przysłowia, z dziejów literatury i kultury polskiej. Ateneum. Warsz. 1895. T. III.
— Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. Bibl. warsz. 1891, 1893 i 1895.
— Ostatnie lata W. Potockiego. Biblioteka warszawska 1896. T. III.
— Tragedya moskiewska. Przegląd polski. Kraków 1900. T. 137 i 138.
— Polnisch-russische Intermedien des XVII. Jhr. Archiv für slavische Philologie her. V. Jagiś. Berlin 1891. Band XIII.
— Znakomitsi pisarze wieku XVII. Pamięt. liter. Lwów 1902—1903. R. I—II.
— Z dziejów daw. teatr. Tamże.
— Der handschriftliche Nachlass des W. Potocki. Bulletin de l'Académie des sciences. Cracovie 1899.
— Taniec Rzeczypospolitej Przegląd polski 1899. Rok XXXIV. T. 133.
— Powieści ludowe. Biblioteka warszawska 1900. T. IV. Dawne powieści i romanse. Tamże 1901. T. II.
— Cywilizacya i język. Warszawa 1901.
— Najnowsze wydawnictwa Akademii Krakowskiej. Ateneum. Warsz. 1901. T. II.
— Spory o unię. Kwartalnik historyczny. Lwów 1896. T. X.
— Geschichte der polnischen Litteratur. Leipzig 1901.
— Język W. Potockiego. Rozprawy wyd. filolog. Akademii Umiej. Kraków 1900. T. XXXI.
— Ze staropolskich anegdot i przypowieści. Ateneum. Warszawa 1896. T. IV.
— Obrazki staroszlacheckie. Bibl. warsz. 1896. T. IV.
— Bericht über seine von der Akademie subven. Reise. Berlin 1890.
— Polnisch-russische Intermedien des XVII. Jhr. Archiv für slavische Philologie. Berlin 1890. B. XIII.
— Najnowsze studia nad polskimi autorami 16 i 17 w. Przegląd polski. Kraków 1902 (maj).
— Dzieje literatury polskiej w zarysie. Warszawa 1903.
— Ezopy polskie. Odbitka z Rozpraw wydziału filolog. Akademii Umiej. Kraków 1902.
— Ezopy polskie. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności. Kraków 1901.
— Początki teatru i dramatu średniowieczny. Bibl. warsz. 1894. T. II.
- M. Błażewski.** Setnik przypowieści uczonych 1608. Wyd. W. Bruchnański. Biblioteka pisarzy polskich. Kraków Akad. Umiej. 1897.

- M. Bobrzyński.** Abbreviatio processus iuridici a 1641. Pomniki prawa polskiego. Kraków 1882—5. T. VII.
- A. B.** W sprawie przedruku Voluminów legum. »Czas«. Kraków 1859. N 260—1.
- Ks. St. Biegański.** Wybrane poezye Duriego o St. Konarskim. Tekst łaciński i przekład. Kraków 1885.
- Konarszciana. Zbiór dokumentów odnoszących się do życia i działalności St. Konarskiego. Mikołów 1897.
- Szkoły pijarskie w Polsce. Muzeum. Lwów 1897. R. XIII.
- Poczet autorów, którzy o St. Konarskim pisali. Kraków 1900.
- Korespondencya. W sprawie spuścizny rękopism. St. Konarskiego. Muzeum. Lwów 1897.
- P. Chmielowski.** A. M. Fredro. Wielka Encyklopedia. Warszawa 1899. T. XXIII.
- Salomon Polski XVII. wieku. Pogląd na świat. Red. Wł. M. Kozłowski. Kraków 1902. III. N. 5.
- Sobieski w eposie z czasów saskich. Ateneum. Warszawa 1883 (i w Studjach).
- Historia literatury polskiej. z przedmową B. Chlebowskiego. Warszawa 1900. T. I—VI.
- J. A. Morsztyn. Poezyc, pierwsze wydanie zbiorowe. Bibl. najcel utworów literatury. Warszawa 1883.
- A. M. Fredro. Encyklopedia wychowawcza. Warszawa 1890. T. IV.
- O St. Grochowskim. Ateneum. Warszawa 1892. T. II.
- A. Czołowski.** Relacya o oblężeniu Lwowa przez B. Chmielnickiego 1648. Kwartalnik historyczny 1892. T. VI.
- Dwa dyaryusze najazdów tatarskich na Ruś. Kwartalnik historyczny. Lwów 1892. T. VI.
- Wojna polsko-turecka 1675. Kwartalnik hist. Lwów 1894. T. VIII.
- Najazd Tatarów na Lwów 1695. Nowe Słowo Polskie. Lwów 1902.
- J. Czubek.** Wspazyan z Kochowa Kochoński. Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydż. filolog. Serya II. T. XVII. Kraków 1901.
- Wacław Potocki. Nowe szczegóły. Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Kraków 1895.
- J. Chr. Pasek w oświeceniu archiwalnem (1667—1701). Rozprawy Akademii Umiejętności, wydział filologiczny. Kraków 1900. Serya II. T. XIII. Ogól. Zbioru T. 28.
- Józ. Czernecki.** Kaligrafia albo kancelarya S. S. Jagodyńskiego z 1695. Lwów 1903.
- Br. Chlebowski i E. Porębowicz.** Polemika. Kwartalnik historyczny. Lwów 1894. T. VIII.
- Br. Chlebowski.** Jan Chr. Pasek. Tygodnik ilustrowany. T. VII. Serya III. Warszawa 1879 II.
- Br. Chlebowski.** Wacław Potocki jako autor Wojny Chocimskiej. Ateneum 1882. T. II.
- Nadobna Paskwalina Twardowskiego. Tygodnik ilustrowany 1884. T. IV.
- Samuel ze Skrzypna Twardowski. Tygodnik ilustrowany. Warszawa 1872. T. X. N. 251 i n.
- Dafnis sielanka miłosna z wieku XVII. Tygodnik ilustrowany 1882. T. XIII.
- Przekład Jerolimy Tassa. Ateneum. Warszawa 1890. T. II.
- Pamiętniki husarza z pierwszych lat 17 wieku. (Samuel Maszkiewicz). Ateneum, Warszawa 1883. T. II.
- Znaczenie różnic terytoryalnych dla dziejów literatury polskiej. Archiwum do dziejów literatury i oświaty. Kraków 1886. T. V.
- Ks. M. Czerwiński.** Życie ks. W. Męcińskiego, umęczonego za wiarę w Japonii. Kraków 1895.
- Wyrok banicyjny na ks. Wojciecha Męcińskiego. Przegląd powszechny 1894. T. 41.
- Ad. Chmiel.** Ustawy cen dla miasta Warszawy 1607—27. Archiwum komisji histor. wyd. Akademii Umiej. Kraków 1894. T. VII.
- J. K. Chodkiewicz.** Do syna Hieronima z radami o naukach i prowadzeniu się młodzieńca. Bibl. warsz. 1852. T. I.
- L. Chrzanowski.** Odsiecz Wiednia 1683. Bibl. warsz. 1884. T. 1—IV.
- Ben. Csaplar.** List do Redakcyi Biblioteki warszawskiej o St. Konarskim. Bibl. warsz. 1877. T. II.
- Em. Czapski-Hutten.** Spis rycin przedstawiających osobistości polskie. Wyd. F. Kopera. Kraków 1901.
- M. i S. Cerchowie.** Pomniki Krakowa z tekstem F. Kopery. Kraków 1900—3.
- St. Ciszewski.** O Zamku Ojcowskim oblęganym przez Szwedów. Wisła. Warszawa 1890. T. IV.
- J. A. Chrapowicki.** Dyaryusz wyd. J. Rusiecki. Warszawa 1845.
- J. Baudouin de Courtenay.** Strona językowa oryginału polskiego listu Dymitra Samozwańca do papieża Klemensa VIII. Rozprawy Akademii Umiej. wydż. filolog. T. XXIX. Kraków 1899. I.
- Sprawozdanie Wydziału filolog. Akademii Umiej. Kraków 1899.
- Ks. Wł. Chołkowski.** Szkoły jezueckie w Poznaniu 1573—1653 wedle dyaryusza kolegium poznańskiego. Przegląd powszechny. Kraków 1893 (maj i czerwiec).
- J. Wielewicki. Dziennik spraw domu Jezuitów. Scriptorum rerum Polon. Kraków. Akademia Umiej. 1899. T. I—V.
- Z dziejów unii, niedrukowany dotąd pamiętnik Grzegorza Micewicza. Poznań 1888.
- Z. Celichowski.** Trzy nieznanne dyalogi wieku XVI. Poznań 1899.

- Z. Celichowski.** O autorze i wydaniach dzieła Ustawy prawa polskiego. Rozprawę wyd. filolog. A. kademię Umiejętn. Kraków 1877. T. V.
- Polskie indeksy książek zakazanych. Archiwum dla historii, literatury i oświaty. Kraków. Akad. Umiej. 1899. T. X.
- Pamiętnik podróży 1661—3. Poznań 1863.
- W. Czajewski.** Warszawa ilustrowana. (Stara) Warszawa. T. I—IV. 1895.
- W. Creizenach.** Zur gesch. der Weihnachts-spiele nach Handsch. Krakauer Universitätsbibliothek. Germanistische Ab-handlungen XII. Breslau 1896.
- Wl. Chomętowski.** Rodzina hetmana Jabło-nowskiego. Bibl. warsz. 1880. T. II.
- Jan Ostroróg, wojewoda poznański, mó-wca i pisarz z czasów Zygmunta III. Bibl. warsz. 1864. T. III.
- Dzieje teatru Polskiego do 1750 roku. Warszawa 1870.
- Ks. Krzysztof Zbarawski, koniuszy ko-ronny. Bibl. warsz. 1865. T. IV.
- Ks. J. Caputa.** Chryzostom Gołębiowski. Kaznodzieja Jana III. Kraków 1901.
- A. Czechowski.** Miscellanea selecta S. Twar-dowskiego. Rocznik Towarzystwa przy-jaciół nauk. Poznań 1896. T. XXII.
- Samuël Twardowski Wojna Domowa. Inaugural-Dissertation. Posen 1894.
- W. Czermak.** Szczęśliwy rok, dzieje wojny moskiewsko-polskiej z 1660 r. Przegląd polski 1886, 1889 i 1893.
- Polska wobec wyniku wojny trzydzie-stoletniej. Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1895.
- Jan Kazimierz. Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1889.
- Ostatnie lata życia Jana Kazimierza. Bibl. warsz. 1892. T. I—IV.
- Bellum polono-moschicum ad Cudnów 1660. Archiwum komisji historycznej Akademii Umiejętności. Kraków 1892. T. VII.
- Francja a Polska w 17 i 18 w. Kwart. hist. 1889. T. III.
- Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616—36). Kwart. hist. Lwów 1894. T. VIII.
- Koniec Jerzego Lubomirskiego. Tamże 1890. T. IV.
- Sprawa Lubomirskiego 1664 r. Atene-um. Warszawa 1885—6.
- Wojna smoleńska 1633—4 w świetle nowych źródeł. Kwart. hist. Lwów 1896. T. X.
- Nieznana satyra polska z 17 w. Prze-wodnik nauk. i liter. Lwów 1888.
- Jan Kazimierz. Próba charakterystyki. Kwart. hist. Lwów 1889. T. III.
- Listy Jana Kazimierza do Ludwika Ma-ryi z lat 1663—5. Kwart. hist. Lwów 1891. T. V.
- Uniwersytet Jagielloński w czterech ostatnich wiekach. Przegląd polski 1900. (Czerwiec).
- W. Czermak.** Z powodu książki K. Waliszewskiego. Polsko-francuskie stosunki w 17 w. Kwart. hist. Lwów 1890. T. IV.
- Maryja Kazimiera Sobieska z powodu książki K. Waliszewskiego. Przegląd polski. Kraków 1899. T. I—II.
- O. Waleryan Magni i jego rola polityczna w Polsce. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademii Umiej. Kra-ków 1899.
- Potrójne śluby Jana Sobieskiego i Ma-rysienki. Przewodnik nauk. i liter. 1890. T. IV.
- Studya historyczne. Kraków 1901.
- St. Temberskiego Roczniki. Scriptores rerum polonicarum. Kraków 1897. T. XVI.
- St. Temberskiego Annales 1647—56. Bulletin de l'Academie des sciences. Kraków 1897.
- O Morsztynie. »Kraj«. Dodatek litera-cki. Petersburg 1890. N. 6.
- Z czasów Jana Kazimierza. Studya hi-storyczne. Lwów 1893.
- Handel zbożowy gdański w 17 wieku. Sprawozdania z czynności Akademii Umiej. Kraków 1898.
- O studyach nad dziejami unii za Wła-dysława IV. Sprawozdania z czynności Akademii Umiej. Kraków 1896.
- Stanowisko Wenecji wobec planów Władysława IV. — Stosunek Władysława IV. do Kozaczyzny. — O planach wojny tureckiej Władysława IV. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1894.
- Plany wojny tureckiej Władysława IV. Rozprawy wydz. hist. filof. Akademii Umiej. Kraków 1895. T. XXXI.
- Poszukiwania w archiwum watykań-skim. Sprawozdania z posiedzeń ko-misji Akademii Umiej. Kraków 1891.
- E. Chłopicki.** Pomnik Żółkiewskiego w Be-sarabii. Tyg. ilustr. 1860. T. I.
- A. Chodźko.** Pieśń bułgarska o Sobieskim pod Wiedniem. Rozprawy wyd. filolog. Akademii Umiejętn. Kraków 1880. T. VIII.
- T. Chromecki S. P.** Odpowiedź na artykuł. Pogląd na stosunki religijne za St. Au-gusta. Gazeta narodowa. Lwów 1875. Nr. 24.
- Jeszcze kilka słów w sprawie Stan. Konarskiego. Gazeta narodowa 1875. Nr. 34.
- Krótki rys dziejów Zgromadzenia szkół pobożnych w Polsce. Kraków 1880.
- Mowa na nabożeństwie z powodu po-chowania serca St. Konarskiego. Kra-ków 1882.
- Pijarzy w Polsce. Encyklopedia ko-ścielna. Warszawa 1893. T. XIX.
- A. Darowski.** Zatargi o starostw pograni-cznych 1618—1654. Bibl. warsz. 1894. T. IV.

- A. Darowski.** Elekcyja Władysława IV. na tron carski. Niwa. Warszawa 1892.
- Misya dyplomatyczna 17 w. Bibl. warsz. 1892. T. I.
- Spory dyplomatyczne o Samozwańców. Biblioteka warsz. 1894. T. I—II.
- Posłem do cara. Opowiadanie historyczne z 17 w. Przegląd polski. Kraków 1886.
- Polacy w Kremlu 1610—2. Przegląd polski. Kraków 1895. (Maj).
- Szkice historyczne. Serya I—II. Petersburg 1894—1895.
- S. Dickstein.** Korespondencyja Kochańskiego i Leibniza. Prace matematyczno-fizyczne. Warszawa 1902.
- Zur Geschichte der Mathematik in XVII. Jhr. Bibliotheca mathematica. Berlin 1894.
- Wiadomość bibl. o badaniach histor. matem. w Polsce. Prace matem.-fizyczne. Warszawa 1890. T. II.
- J. Broscius. Encyklopedia wychowawcza. Warszawa 1882. T. II.
- Geometrya, w Encyklopedyi wychowawczej. Warszawa 1890. T. IV.
- Wiadomość o korespondencyi Kochańskiego z Leibnizem. Rozprawy Akademii Umiejętności. Wyd. matem.-przyrod. Serya II. T. XIII. Kraków 1898.
- M. Dubiecki.** Obrazy i studia historyczne. Kraków 1901—1902. Wyd. 2-gie.
- Pole bitwy u Żółtych wód, stoczonyj 1648 r. Rozprawy wydz. filozof.-histor. Akademii Umiej. Kraków 1880. T. XII.
- Kudak, twierdza kresowa i jej okres. Przegląd polski. Kraków 1878—9.
- Car Aleksy Michalowicz na Litwie. Fragm. dziejowy z 17 w. Przegl. powsz. 1892. T. 28.
- Dwie chwile z dziejów polskiej kolonizacyi na Niżu (1638 i 48). Przegląd powszechny. Kraków 1890. T. 27.
- Zarysy instytucyi Zaporozża. Przegląd powsz. 1888 XVIII. (Por. Zawiązki Sicy. Tamże 1887 XVI).
- Ant. Danysz.** Pamiętnik Krzysztofa Arciszewskiego. Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk. Poznań 1895. T. XXI.
- Instrukcyje wychowawcze Jakuba Sobieskiego. Poznań 1899.
- Die katholische Pfarrkirche und der Magistrat Meseritz von der Reformation bis 1744. Program des Gymn. zu Meseritz 1886.
- Jezuicki kanon lektury starożytnej. Muzeum. Lwów 1902.
- Br. Dembiński.** Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibl. rzymskich. Materiały do dziejów polskich 16 i 17 w. Archiwum komisji historycznej. Wyd. Akademii Umiejętności. T. IV. Kraków 1888.
- W. Dzieduszycki.** Horacy polski. Kronika rodzinna. Warszawa 1880. Tom VIII. Serya III.
- Z. Doliwa.** Szkice historyczno-społeczne. (Wyd. Zjednoczenia tow. młodzieży polskiej). Zurych 1898.
- A. Dolleczek.** Die Lisowczyken. Ein Beitrag zur Geschichte des öster. Heerwesens. Österr. militär. Zeitschrift. Wien 1893. T. III.
- M. Dogiel.** Codex diplomaticus Poloniae et Lith. Informacya o drukowaniu księgi. Bibl. warsz. 1861. T. III.
- S. Duchiińska.** Rękopisma króla St. Leszczyńskiego. Bibl. warsz. 1866. T. IV.
- St. Dobrzycki.** Sprawy wschodnie w pismach politycznych Szymona Starowolskiego, w Sprawozdaniach Akademii Umiejętności St. Smolki. Kraków 1902. T. XII. Nr. 1.
- K. Opaliński. Biblioteka warsz. 1898. T. IV.
- L. M. Dziama.** W. Kochowskiego. Psalmodya polska. Sprawozdanie gimnazjum św. Jacka. Kraków 1896.
- Zapatrywania religijne Kochowskiego. Przegląd powszechny. Kraków 1894. T. 42.
- B. Erzepki.** Próbki gwary mazowieckiej z końca 17 i pocz. 18 w. Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk. Poznań 1895. T. XXI.
- W. Potockiego. Merkuryusz nowy. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1889. T. XVI.
- W. Potockiego, dwa nieznanne poemata. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1889. T. XVI.
- Wacława z Potoka Potockiego. Nieznane pisma. (Zgoda i Do żalostnej korony). Poznań 1890.
- W. St. Chrościńskiego. Lament strapionej ojczyzny po zerwanej konwokacyi, sub tempus interregni i związanym wojskach koronnych W. ks. Lit. nieszczęście swoje oplakującej. Rocznik Towarzystwa przyj. nauk. Poznań 1895. T. XXI.
- K. Estreicher.** Bibliografia Polska. Wyd. Akademii Umiej. Stulecie XV—XVIII. Tomy 8—13. Kraków 1882—1902.
- Teatra w Polsce. T. I—III. Kraków 1860.
- Jan Daniel Andrzej Janocki (Jünisch-Janocki). Kraków 1869.
- Encyklopedia** wychowawcza. Warsz. 1902. T. I—IX.
- J. N. Franke.** Jan Brożek, akademik krakowski. Kraków 1884.
- J. N. Franke i A. Jakubowski. Maciej Głogowski, matematyk polski XVII. w. Rozprawy Akademii Umiejętności. Wyd. przyrod.-matem. Kraków 1878.
- Wi. Folkierski.** Pamiętnik nauk ścisłych w Paryżu. 1873. T. II. (Dzieje Astronomii w Polsce).
- L. Finkel.** Napad Tatarów na Lwów. Kwart. hist. Lwów 1890. T. IV.

- L. Finkel.** Dyaryusz napadu tatars. z 1692 przez St. Jabłonowskiego. Kwartalnik historyczny. Lwów 1890. T. IV.
- Inwentarz zamku żółkiewskiego z 1726. Sprawozdania komisji do badania historii sztuki w Polsce. Kraków 1891. T. V.
- Bibliografia historii polskiej. Wyd. Akademii Umiej. Kraków 1891. T. I. i nast.
- Miasto Tarnopol 1672 r. Rocznik kółka naukowego. Tarnopol 1892/3.
- Historia uniwersytetu lwow. Lwów 1894.
- Okopy św. Trójcy. Lwów 1889.
- Dodatek do historii napadu tatarów w 1695. Kwartalnik hist. Lwów 1892. T. VI.
- Ks. J. Fijałek.** Zamierzona osada zakonu kapuc. w pałacu spiskim w Krakowie 1683—5. Kwart. hist. Lwów 1896. T. X.
- J. Franko.** Z dziejów synodu brzeskiego. Kwart. hist. Lwów 1895. T. IX.
- Charakterystyka literatury ruskiej 16—18 w. Kwart. hist. Lwów 1892. T. VI.
- Iwan Wyszynskij i jego twory. Bibl. literaturno-naukowa. Lwów 1895.
- H. Feldmanowski.** Władysław IV. stosunki literackie z Włochami. Biblioteka Ossolińskich. Lwów 1868. T. XI.
- Z. Gargas.** Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII w. Przegląd prawa i administracji. Lwów 1897.
- Fr. Gawroński-Rawita.** Studya i szkice historyczne. Lwów 1900—2. T. I—II.
- Seb. Gawarecki.** Dziennik podróży po Europie Jana i Marka Sobieskich. Warszawa 1883. Bibl. warsz. 1885.
- Ks. J. Gacki.** Obraz elekcyi króla Michała. Bibl. warsz. 1846. T. IV.
- A. Grabowski.** Ojczyste spominki. Kraków 1845. T. I—II.
- Nazwiska księgarzy krakowskich z 16 i 17 w. z aktów radzieckich. Bibl. warsz. 1849. T. III.
- Przyczynek do wiadomości o Jeremiaszu Falku, rytmowniku polskim. Bibl. warsz. 1852. T. IV.
- L. Glatman (Ludomir).** Opowieści i wspominki historyczne. Kraków 1895. Serja I. i nast.
- Spór dwóch kościołów 17 w. Przewodnik nauk. i literacki. Lwów 1898. T. I.
- R. Gerba.** Polnischer Thronfolge-krieg Feldzug 1733—4. Wien 1891.
- K. Górski.** O wyprawie i klęsce cecorskiej. Bibl. warsz. 1886. T. III.
- Trzydniowa bitwa pod Warszawą 1656. Bibl. warsz. 1887. T. I.
- Bitwa pod Beresteczkiem. Bibl. warsz. 1887. T. II—III.
- Przyczynek do historii klęski cecorskiej. O placu boju u Żółtych wód 1648. Z powodu studyum M. Dubieckiego, przez N—i. Bibl. warsz. 1886. T. IV.
- Obłączenie Smoleńska w 1609/11 i bitwa pod Kłuszynem. Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1895. T. I.
- K. Górski.** Obrona granic Rzeczypospolitej od Tatarów. Bibl. warsz. 1891.
- Wojna Rzeczypospolitej ze Szwecyą (1621—9). Bibl. warsz. od 1887 IV., do 1888 II.
- Bitwa pod Wiedniem 1683. Ateneum. Warszawa 1893. T. II.
- Historia artylerji polskiej, wyd. T. Korzon. Warszawa 1902.
- Wojna Rzeczypospolitej z Turcyą, z planem zwycięstwa pod Chocimem. Bibl. warsz. 1890. T. I—II.
- W sprawie wojny polsko-tureckiej 1675. Kwart. hist. Lwów 1895. T. IX.
- O wyprawie i klęsce cecorskiej 1620. O pobojuwisku u Żółtych wód. Kwart. hist. Lwów 1887. T. I.
- W. Grochowski.** Ks. Maciej Sarbiewski. Tygodnik ilustrowany. Warszawa 1863. T. VII. Nr. 171.
- Krzysztof Opaliński. Tyg. ilustr. Warszawa 1863. T. VIII. Nr. 199—200.
- Kilka szczegółów o pochodzeniu i rodzinie Stan. Grochowskiego. Muzeum. Lwów 1893. (Maj).
- A. Goldberg.** Włóścianie w literaturze XV. do XVIII w. Poradnik dla czytających książki. Warszawa 1902. Nr. 7.
- S. Gołębiowski.** Aleksander Lisowski. Bibl. warsz. 1854. T. II.
- Pamiętnik o St. Koniecpolskim. Bibl. warsz. 1854. T. II.
- Strona moralna Jana Karola Chodkiewicza z jego listów. Bibl. warsz. 1854. T. III.
- Hetman Żółkiewski. Bibl. warsz. 1852. T. IV.
- Pamiętnik o Tomaszu Zamojskim, kanclerzu W. K. Bibl. warsz. 1853. T. IV.
- Z. Gloger.** Encyklopedia staropolska ilustrowana. Warszawa 1900. T. I. i nast.
- Br. Gubrynowicz.** Pamiętniki J. Chr. Paska. Wyd. krytyczne. Lwów 1898.
- Malarze na dworze Jana III. Sprawozdanie Zakładu Ossolińskich. Lwów 1895.
- K. J. Heck.** Ih. Pirawski. Relatio status archidoeccesii Leopoliensis. Materyaly historyczne wyd. Tow. hist. Lwów 1893. T. II.
- Źródła do dziejów literatury i cywilizacji polskiej w 16 i 17 wieku. Sprawozdanie gimnazyum. Stryj. 1899.
- Życie i dzieła B. Zimorowicza. Kraków 1894.
- Prof. Brückner o Wacławie Potockim. Przegląd powsz. Kraków 1901. T. I.
- J. Chr. Pasek, w sprawie jego pamiętników i charakterystyki. Kraków 1902.
- Kto jest autorem Roksolanek wydanych pod imieniem Szymona Zimorowicza. Extrait du Bulletin de l'Academie des sciences de Cracovie 1901. (Mars).
- Szymon Szymonowicz, Jego życie i dzieła. Część I. i II. Sprawozdania Akademii Umiejętnej. Kraków 1901. (Kwiecień i lipiec).

- K. J. Heck.** Listy Szymonowicza i Zimorowicza. Przewodnik naukowy i literacki. Lwów 1884. T. XII.
- Inwentarz rzeczy i dzieł należących niegdyś do J. B. Zimorowicza. Lwów 1886.
- Pomniejsze źródła do dziejów literatury i cywilizacji polskiej w 16 i 17 w. Odbitka ze Sprawozdania gimnazjum w Stryju 1889—1891. T. I—III. (Trzy dziełka J. B. Zimorowicza).
- J. B. Zimorowicza. Testament luterski. Przewod. nauk. i liter. Lwów 1900. T. XVIII.
- Pirawski T. Relatio archiv. Leopold. Materyały historyczne. Lwów 1893.
- Z działalności literackiej Piotra Cieklińskiego. Księga pamiątkowa dla prof. L. Cwiklińskiego. Lwów 1902.
- J. B. Zimorowicz, burmistrz, poeta i kronikarz lwowski. Lwów 1897.
- J. B. Zimorowicz. Opera, quibus res gestae urbis Leopoldis illust. Leopoli 1899.
- Materyały do biografii J. Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimek). Archiwum do dziejów literatury. Kraków 1895. T. VIII.
- Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów. Rozprawy Akad. Umiej. wydział filozof. Kraków 1894. T. XXIII.
- Vox leonis Zimorowicza. Sprawozdanie gimn. lwow. im. Franciszka Józefa. Lwów 1887.
- Żywot kozaków Lisowskich. Odbitka ze Sprawozdania Zakładu Ossolińskich. Lwów 1886.
- Najnowsze publikacje o Pasku. Przegląd powszechny. Kraków 1900. T. 65.
- Fr. Herzig.** Katedra w Tarnowie. Szkic historyczny. Tarnów 1900.
- A. Hirschberg.** Dymitr Samozwaniec. Lwów 1898.
- Pamiętnik St. Niemojewskiego. Lwów 1899.
- Polska a Moskwa w pierwszej połowie 17 w. Lwów 1901.
- W. Hahn.** Zapomniane utwory łacińskie. Szym. Szymonowicza. Lwów 1902.
- A. Z. Helzel.** Odpór zarzutów przeciwko wydaniu J. Michałowskiego księgi pamiątkowej, wyd. Tow. nauk. Kraków 1865.
- O dwukrotnem zamęściu L. K. Radziwiłłówny i wynikłych stąd zamieszkałach. Kraków 1857.
- Listy Jana Sobieskiego do żony. Bibl. Ordynacyi Myszkowskiej. Warszawa 1860.
- Z. Hordyński.** Obraz piśmiennictwa polskiego 15—19 w. Kwart. histor. Lwów 1893. T. VII.
- L. Hubert.** Zatargi Polski z Turcyą 1667. i poselstwo Hier. Radziejowskiego. Bibl. warsz. 1858. T. II.
- St. Leszczyński i Polska w 18 w. Bibl. warsz. 1858. T. III.
- L. Hubert.** Adam Tarło, ustęp z czasów Augusta III. Bibl. warsz. 1859. T. I.
- Pisma St. Żółkiewskiego. Bibl. warsz. 1862. T. IV.
- Tomasz Zamojski. Tyg. ilustr. 1864. T. IX.
- K. Jarochowski.** Z czasów saskich. Poznań 1886.
- Dzieje panowania Augusta II. Poznań 1856—74.
- Opowiadania i studia historyczne. Poznań i Kraków 1860—84. 4 tomy.
- Koniec Radziejowskiego 1704—5. Ateneum 1879. T. III.
- Sprawa Kalksteina 1670—1672. Ateneum. Warszawa 1877. T. I. i 1880. T. I. (Polemika z X. Liskem).
- Jan Stanisław Jabłonowski i zatarg jego z królem Augustem II. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1876. T. IX.
- Dwie misye Fr. Ponińskiego do Piotra I. 1717—8. Ateneum. Warszawa 1885. T. III.
- Dzieje panowania Augusta II. z późniejszego rękopisu. Roczniki Towarz. przyj. nauk. Poznań 1890. T. XVII.
- St. Leszczyński po Puławie. Ateneum. Warszawa 1883. T. I.
- Stosunek Brandenburgii do kościoła katolickiego w ziemiach polskich od 1640 do 1740. Przegl. polski. Kraków 1880—1. T. II—III.
- Polityka saska i austriacka po traktacie Altransztadzkiem. Przegląd polski. Kraków 1881. T. IV.
- Car Piotr i August II. po sejmie niemym 1717. Przegląd polski. Kraków 1886—7. T. IV. i I.
- Napad Brandenburczyków na klasztor paradyski w Wielkopolsce 1740. Przegl. polski. Kraków 1866—7. T. II.
- Ant. J. (Rolle)** Zameczki podolskie na kresach. Przegląd polski. Kraków 1870—1. (i osobno).
- Polonica, materyały do dziejów Polski w pismach rosyjskich 1700—1862. Rozprawy wyd. hist. filozof. Akad. Umiej. Kraków 1878. T. IX. 1881 XIII.
- Kozacy na Polesiu w 17 w. Bibl. warsz. 1881. T. IV.
- Sylwetki historyczne. Serya 1—8. Kraków 1892.
- J. St. Jabłonowski.** Hetman W. koronny, Informacya St. Rzewuskiemu, staroście chełm. jadącemu do cudzych krajów (1662). Tyg. ilustr. 1864. T. IX.
- A. Jabłonowski.** Stefana Fr. Medeksy księga pamiątkowa. Ateneum. Warszawa 1876. T. II.
- Akademia kijowsko-mohylańska. Kraków 1899—1900.
- Krzysztof Grzymułtowski wojewoda poznański, szkic hist. Ateneum. Warszawa 1876. T. I.
- Ks. A. Jougan.** Znaczenie Birkowskiego w Homiletyce. Lwów 1901.

- Fr. Jacobi.** Das liebeiche Religionsgespräch zu Thorn 1645. Zeitschrift für Kirchengeschichte. Gota 1895.
- M. Jeżeniecki.** Cenniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego. Lwów 1898—1900. C. I—III.
- S. Jaszowski.** O życiu i dziełach Urszuli Radziwiłłowej. Pszczoła Polska. Lwów 1820. T. III.
- F. Jeżierski, A. Zipper i Br. Grabowski.** Dzieje literatury powszechnej. Warszawa 1891. T. III. Czasy humanizmu i reformacji.
- L. Jenike.** Jan Stan. Jabłonowski, wojewoda ruski. Tyg. ilustr. 1863. T. VII.
— Stefan Czarnecki. Urywek historyczny. Warszawa 1891. (Rec. W. Czermaka w kwart. hist. Lwów 1892. T. VI).
- J. Jerlicz.** Latopisiec wyd. K. Wł. Wójcicki. Warszawa 1853.
- A. Iwanowski.** Kilka rymów i pamiątek. Poznań, 1860.
- A. Kraushar.** Nowe epizody z ostatnich lat życia J. Paska. Petersburg 1893.
— Stryj Imci Pana Paska. Ateneum. Warszawa 1896. T. I.
— Starościna rawska, nowy przyczynek do życiorysu Teresy Żaluskiej, oratorki polskiej. Ateneum 1890. T. II.
— Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego. Petersburg 1893. T. I—II.
— Drobiazgi historyczne. Kraków 1891. T. I. i nast.
— Francya i Polska w pierw. połowie 18 w. Bibl. warsz. 1882. T. II.
— Sprawa Zyg. Unruga, epizod historyczny z czasów saskich (1715—40). T. II. Kraków 1890.
— Kartki historyczne i literackie. Kraków 1894.
— Barbara Brezianka, obrazek z 17 w. Warszawa 1892.
— Samozwaniec J. F. Łuba, kartka z dziejów Władysława IV. (1643—6). Warszawa 1892.
— Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego do Bohd. Chmielnickiego pod oblężony Zamość w 1648. Kwart. hist. Lwów 1891. T. V.
— Relacya rezydenta polskiego w Moskwie o wypadkach z 1682 r. »Świat«. Kraków 1894.
- St. Krzywzowski.** Zakładka na sprzężaj w Pabranicach. Przyczynek do dziejów kredytu włościan XVIII w. Rozprawy Akademii Umiej. wyd. hist. filozof. Kraków 1897. T. 34.
— Stan. Dunin Karwicki. De ordinanda Republica anno domini 1709 conscriptum typis publicis 1746 datum. Kraków 1871.
— O sejmikowaniu mieszczaństwa krakowskiego. Rocznik krakowski 1899.
- A. Krzyżanowski.** O życiu uczonem St. Solskiego. Posiedzenie publiczne Uniwersytetu, odbyte 1822 r. Warszawa 1822.
- A. Krzyżanowski.** Jeszcze w sprawie Logiki Śmigleckiego. Bibl. warsz. 1876. T. IV.
- W. Kętrzyński.** Biblioteka Wiktora hr. Baworowskiego. Teka konserwatorska. Lwów 1892.
— Zbigniew Ossoliński. Sprawozdanie Zakładu Ossolińskich. Lwów 1878.
— Pamiętnik Zbig. Ossolińskiego. Bibl. Ossolińskich. Zeszyt V. Lwów 1879.
— Zbigniew Ossoliński woj. sand. Ateneum. Warszawa 1878. T. IV.
— Katalog rękopisów. Lwów 1881—1898 T. I—III.
- J. Kallenbach.** Pamiętnik J. Golliusza, mieszczanina polskiego (1650—1653). Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. T. VII. Kraków 1892.
— O nowych materyałach do historii dramatu w Polsce. (Morozowa). Sprawozdania z czynności wyd. filolog. Akademii Umiej. Kraków 1889.
— Polacy w Kolonii. Archiwum do dziejów liter. i oświaty wyd. Akad. Umiej. Kraków 1890. T. VI.
- A. Karbowski.** Ubiory profesorów i uczniów w Uniw. Jag. Przegl. pow. Kraków 1890.
— Ułamek pamiętnika profesora Uniwersytetu krakowskiego z pocz. XVII. w. Kwart. historyczny red. A. Semkowicz. Lwów 1900. T. XIV.
— Ustawy bursy krakowskiej. Jeruzalem 1453—1841. Archiwum do dziejów lit. i oświaty w Polsce. Kraków 1890. T. VI.
- Kl. Kantecki.** F. M. Ossoliński, podskarbi. Bibl. warsz. 1879. T. IV. wyd. II. pomnożone. Lwów 1880.
— Z podróży Oświęcima. Turcy — Francya — Niemcy — Włochy. Lwów 1875.
— Ojciec St. Augusta. Ateneum 1876. T. III—IV.
- J. I. Kraszewski.** Polska w połowie 18 w. Ateneum. Warszawa 1876. T. I.
— Pomniki do historii obyczajów w Polsce XVI—XVII w. Warszawa 1843.
— Pamiętnik Poczobuta Odlanickiego. Warszawa 1875. Biblioteka Krasieńskich. Muzeum Świdzińskiego. T. III.
— Studya literackie. Wilno 1842.
- K. Kaszewski.** Poeta barokowy. Bibl. warsz. 1894. T. II.
- Kaj. Kraszewski.** Poturzeńczy 1685—4. Opowiadanie. Petersburg 1895.
— Raptularzyk rodziny Korycińskich (od 1541 do 1649). Bibl. warsz. 1886. T. III.
- St. Kaczkowski.** Dzieła T. III. O klimakterach Kochowskiego. Kraków 1883.
- Ferd. Kudelka.** Bitwa pod Kircholmem 1605. Ateneum. Warszawa 1883. T. III.
- K. Kamiński.** Proces, wytoczony przeciw niemu 1728 za zapisanie się dyabłu. Bibl. warsz. 1844. T. II.
- K. Kwiatkowski.** O nagrobku w Sarbiewie. Bibl. warsz. 1851. T. II.
- J. Korytkowski.** Arcybiskupi gnieźnieńscy, prymasowie i metropolici polscy. Poznań 1892.

- St. Kozłowski.** Elekcyja królewicza Władysława Wazy na tron moskiewski 1609—1611. Przegląd powszechny. Kraków 1889.
- J. Kvacala.** Des Comenius Aufenthalt in Lissa. Zeitschrift der histor. Gesellschaft. Posen 1893. B. VIII.
- J. Kieszkowski.** Malarz Czechowicz. Przgl. powszechny. Kraków 1898. T. II.
- A. Kleczyński.** Dzieje biblioteki Załuskich, na podstawie obrazu życia i działalności jej fundatora. Sprawozdanie I. gimnazjum w Przemyślu 1902.
- J. Kleczyński.** O spisach pogłównego generalnego z 17 w. i ich wydania. Sprawozdania z czynności Akademii Umiej. Kraków 1898.
- O pogłównem generalnem w 17 w. i rejestrach ludności. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1891.
- T. Korzon.** Romans Sobieskiego z Marysienką. Bibl. warsz. 1896. T. II.
- Elekcyja za życia króla. Bibl. warsz. 1895. T. IV.
- O Chmielnickim sądy Kulisza i Karpowa. Kwart. hist. 1892. T. VI.
- Dola i niedola J. Sobieskiego (1629—1674). Wyd. Akademii Umiej. Kraków 1898. T. I—III.
- Rodowody Jana III. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1895.
- T. Korzon i I. K. Kryński.** Andrzej Maksymilian Fredro. Wielka Encyklopedia powszechna. Warszawa 1898. T. XXIII.
- L. Kubala.** O wydawnictwie źródeł historycznych 17 w. Pamiętnik drugiego zjazdu historyków. Lwów 1890. T. I.
- Jerzy Ossoliński. Lwów 1880. T. I—II.
- Medekszy księga Pamiętnicza. Przegląd krytyczny. Kraków 1876. T. II.
- Szkice historyczne wyd. 4. Serya I—II. Warszawa 1901.
- Zajęcie Kijowa przez Moskwę 1654 r. i zatarg cerkwi ruskiej z patriarchatem. Rocznik Akademii Umiej. Kraków 1901.
- J. Kothe.** Verzeichnis der Kunstdenkmäler der Provinz Posen. Berlin 1893. T. I. i nast.
- L. Kulczyński.** Kilka słów o Sarbiewskim. Sprawozdanie gimn. Nowodworskiego czyli św. Anny. Kraków 1875. (Rec. Przegląd lwowski, red. X. Podolski. Lwów 1876. T. XI).
- Ks. St. Kujot.** Dokumenta odnoszące się do sprawy toruńskiej z 1724 r. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1895. T. XXI.
- Visitationes archidiacon. Pomer. Hier. Rozrażewski. Towarz. naukowe Toruń 1897—1899. T. I—III.
- Sprawa toruńska 1724. Roczniki Towarzystwa przyj. nauk. Poznań 1893. T. XX.
- F. Koneczny.** Z zakamarków 17 w. Przegląd polski. Kraków 1899. (Wrzesień).
- F. Koneczny.** Z młodości Zygmunta III. Sprawozdanie z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1893.
- F. Kucharzewski.** Bibliografia polska techniczno-przemysłowa. Przegląd techniczny. Warszawa 1894.
- H. Kleinwächle.** Die evangelische Gemeinde in Posen XVII—XVIII. Zeitschrift der histor. Gesellschaft Posen 1897. B. XII.
- Ks. J. Krukowski.** Kryt. rozbiór kazań i homilij Hip. Pocięja. Odb. Gaz. kościel. Lwów 1899.
- Rozbiór krytyczny kazań F. Birkowskiego. Kraków 1898.
- Pogląd krytyczny na lepszych kaznodziejów 18 w. (Odbitka z »Homiletyki«) Włocławek 1898.
- F. Kopera, Max. i St. Cerchowie.** Pomniki Krakowa. Kraków 1900. T. I. i nast.
- Wł. Kryczyński.** Zaunek w Podhorcach. Złoczów 1894. (Bibl. powsz. T. 135—6).
- St. Kutrzeba.** Studya do historyi sądownictwa w Polsce. Przegląd prawa i administracyi. Lwów 1902—3.
- Studya do historyi sądownictwa w Polsce. Lwów 1901. Serya I. i nast.
- Geografia sądów ziemskich od XVI—XVIII w. Przegląd prawa i administracyi. Lwów 1901. T. XXVI.
- J. K. Kochanowski.** Dzieje Akademii Zamojskiej. Kraków 1900. (Fontes hist. schol. T. VII).
- J. Korzeniowski.** Catalogus codicum manuscripti musei Czartoryski Kraków 1887 do 1893). T. I—II.
- Catalogus actorum et documentorum Poloniae ex codicibus Roman. wyd. Akad. Umiej. Kraków 1889.
- R. Koppens.** T. J. Anecdota Sarbieviana. Spraw. Zakładu O. Jezuitów w Bąkowiecach. Przemyśl 1900.
- M. K.** O sielankach Szymonowicza i Zimorowicza B. Warta. Poznań 1876. Nr. 141—2.
- B. Kalicki.** Przyczynek do historyi dziejopisarstwa polskiego 17 w. Rozprawy i sprawozdania wyd. hist. filozof. Akademii Umiej. Kraków 1874. T. I.
- Władysław IV. królem chłopów. Przgl. polski. Kraków 1867/8. T. I.
- Swaty w roku 1637, szkic historyczny. Przegląd polski. Kraków 1866/7 T. III.
- O pomysłach emancypacyi kobiet w Polsce 16 i 17 w. Przegląd polski 1873/4. T. I.
- O niektórych projektach reformy sejmowej z w. 17. Przegląd polski. Kraków 1873/4. T. I.
- J. Kołaczkowski.** Słownik rytowników polskich, przyczynek do hist. sztuk pięknych. Lwów 1874.
- R. Koehler.** Druki kościańskie W. Funcka z 17 w. w Lesznie. Roczniki Towarzystwa przyj. nauk. Poznań 1895. T. XXI.

- Katalog literatury naukowej polskiej** wyd. przez komisję wyd. matem.-przyrod. Akademii Umiej. Kraków 1901. T. I. i nast.
- Ks. Raf. Kalinowski.** Klasztor karmelitanek bosych. Kraków 1902.
- I. Kowalczyk.** Astronomia, w Encyklopedyi wychowawczej. Warszawa 1881. T. I.
- Wł. Tad. Kisielewski.** Polscy pisarze polityczni w w. 18. Sprawozdanie gimnazjum w Drohobyczu. Lwów 1879.
- J. Krystyniak.** Fasti Sarbiewiani, czyli o chronologicznym porządku pieśni Sarbiewskiego. Sprawozdanie gimn. IV. we Lwowie 1886.
- Fr. Krzeczek.** Jaselka krośnieńskie z 1661 r. Odb. z Przeglądu powszechnego. Kraków 1900. (Grudzień).
- F. Kucharzewski.** O astronomii w Polsce. Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych. Paryż 1872. T. II.
- A. H. Kirkor.** Gdzie spoczywają szczęty St. Leszczyńskiego. Przegląd powszechny. Kraków 1884. T. II.
- St. Kozłowski.** Elekcyja królewicza Władysława Wazy na tron moskiewski 1609—1611. Przegląd powszechny 1889. T. XXII—XXIII.
- St. Krzemiński.** Biogr. Konarskiego. Złota przęda poetów i prozaików. Warszawa 1887. T. IV. (Kłosa 1887).
- E. Kierski.** Jan Brosciusz. Tyg. ilustr. Warszawa 1865. T. XI.
— J. Stan. Bieżanowski. Tyg. ilustr. Warszawa 1864. T. X.
- F. Kluczycki.** Dyaryusz sejmu warszawskiego z 1673, wyd. Akademii Umiej. Kraków 1881.
— Dyaryusz sejmu warszawskiego 1672 r. pierwszego.
— Dyaryusz sejmu warszawskiego 1672 r. drugiego. Oba wyd. Akademii Umiej. Kraków 1880.
— Dwa dyaryusze sejmów warsz. z 1674, wyd. Akademii Umiej. Kraków 1881.
— Lauda sejm. ziemi dobrzyńskiej. Acta historica Poloniae. Kraków 1887. T. X.
— Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego. Acta historica Poloniae. Wyd. Akad. Umiej. Kraków 1880—1. T. II. Części 1—2.
— Akta do dziejów króla Jana III, sprawy roku 1683. Acta historica Poloniae. Kraków 1883. T. VI.
- St. Konarskiego.** Wiersze wszystkie z łac. na pol. przełożone. Warsz. 1778. (Życie Konarskiego p. W. Jakubowskiego).
— Korespondencya z wujem Janem Tarłą, wojewodą sandomirskim z lat 1738—1746. Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1883. T. XI.
— Nieznane pismo polityczne p. t. Suum cuique podał i objaśnił R. Pilat. Przegląd polski. Kraków 1869. Rok IV. T. II.
— Listy w sprawie Jezuitów z Pijarami. Muzeum. Lwów 1896.
- K. Larisch.** O podskarbach Wielkich, ich obowiązkach do roku 1764. Bibl. warsz. 1845. T. IV.
- L. Lacroix.** Opuscales inedites du Roi Stanislas, Nancy 1866.
- A. Lange.** Elźb. Drużbacka. Pisma nieznanne. Wędrowiec. Warszawa 1903. Nr. 5.
- Ks. A. Langer.** Św. Tomasz i dzisiejsza filozofia. Przegl. powsz. Kraków 1884. T. II—III.
- Wi. Lenkiewicz.** Udział Rosyi w pokoju Karłowickim 1699. Lwów 1901.
- J. E. Lewicki.** Hałycko-ruskaja Bibliografia Lwów 1888 T. I. 1895 t. II.
- L. P. Leliwa.** Historia konfederacyi tyszowieckiej. Kraków 1886.
- X. Liske.** Ulryka Werduma dyaryusz wyprawy Jana Sobieskiego z 1671. Archiwum kom. histor. Kraków 1878. T. I.
— Cudzoziemcy w Polsce. Lwów 1876.
— Król zastępca. (Jarochońskiego Dzieje Augusta II). Ateneum. Warszawa 1876. T. II.
- Ks. E. Likowski.** Stanowisko ks. Ostrogskiego wobec unii brzeskiej. Przegląd polski 1896. (Czerwiec).
— Unia brzeska 1596. Poznań 1896.
— Rokowania poprzedzające unię brzeską. Przegląd polski. Kraków 1885/6. T. IV.
— Le prince Ostrogski et l'Union de Brześć. Bulletin de l'Academie des sciences. Cracovie 1896.
- T. Lipiński.** Napisy alegoryczne w czasie egzekwji Jędrz. Głębockiego 1735. Bibl. warsz. 1843. T. III.
— Czasy Augusta III. w piśmiennych z owej epoki zabytkach. Bibl. warsz. 1846. T. I. (Przyczynek tamże 1849. T. I).
— Życiorys Józefa Aleksandra Jabłonowskiego. Bibl. warsz. 1842. T. II.
— Wiadomości hist.-numizm. o koronacyi obrazów Matki Boskiej w dawnej Polsce. Bibl. warsz. 1849. T. IV.
- St. Lisowski.** Wiadomości hist. o księgarniach i drukarniach warszawskich do 1793 r. Bibl. warsz. 1851. T. III.
- K. Lohmeyer.** Geschichte des Buchdruckes und Buchhandels in Preussen XVI—XVII. Archiv für Geschichte des deutsch. Buchhandels. B. XVIII. Leipzig 1896.
- J. T. Lubomirski.** Listy Teresy Sobieskiej. Bibl. warsz. 1877. T. II.
— O bibliotekach w Polsce. Bibl. warsz. 1877. T. I.
- E. Luckfiel.** Der Socianismus und seine Entwicklung in Grosspolen. Inaugural-dissertation. Zeitschrift der histor. Gesellschaft für Posen. Halle 1892.
- Lubowicz.** Nacząło katolickiej reakcyi i upadek reformacyi w Polsce. Warszawa 1889.
- St. Lukas.** Dyplomacya Sobieskiego. Ateneum. Warszawa 1881. T. III.

- L. Lepszy.** Emaliarstwo krakowskie 16 i 17 w., przyczynek do historii sztuki. Sprawozdania komisji do badania sztuki, wyd. Akad. Umiej. Kraków 1891. T. IV.
- Fl. Łagowski.** Wychowanie moralne w szkole. Przegląd pedagogiczny. Warszawa 1883. R. II.
- Konarski jako reformator szkół publicznych. Przegl. ped. Warszawa 1884. T. III.
- Collegium nobilium. Przegl. ped. Warszawa 1887—1888. (W obszerniejszej odbitce Warszawa 1888).
- Stanisław Konarski. Encyklopedia wychowawcza. Warszawa 1903 lit. K.
- J. Łoś.** Historia bardzo ucieśniona z 1665 r. Pomniki piśmiennictwa polskiego wyd. J. Zakrzewskiego. Petersburg 1895.
- Winc. hr. Łoś.** Wład. Łoś. Przewodnik naukowy i literacki. Lwów 1890. T. I.
- Pamiętniki St. Małachowskiego, posła do Stambułu za Jana III. Poznań 1885. Bibl. warsz. 1885. T. II.
- Wi. Łoziński.** Spór drukarza z księgarzem w 1616 r. Kwart. hist. Lwów 1889. T. III.
- Dyaryszek moskiewski Lwowianina z 1606 r. Kwart. histor. Lwów 1894. T. VIII.
- Lwów starożytny. Kartki z historii sztuki i obyczajów. Lwów 1889.
- Zięć poety. Kwart. hist. Lwów 1890. T. IV.
- Sztuka lwowska XVI. i XVII. wieku. Lwów 1898.
- Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI. i XVII. w. Wyd. drugie. Lwów 1892.
- J. Łukaszewicz.** Zakłady naukowe w Koronie i Litwie. Poznań 1851. T. II.
- Wiek St. Augusta w porównaniu z wiekiem Wazów i Sobieskiego, jako odpowiedź M. Dzieduszyckiemu na Rzut oka na stan rel. obycz. Polski 18 w. Bibl. warsz. 1858. T. IV.
- Dzieje kościołów wyznania helweckiego na Litwie. Poznań 1842. (Rec. M. Bałińskiego w Bibl. warsz. 1842 III).
- Historia szkół w Koronie i Litwie. T. I—IV. Poznań 1850.
- Jerzy Niemierzyca, podkomorzy kijowski. Przyczynek do historii Jana Kazimierza. Bibl. warsz. 1860. T. II.
- E. Łuniński.** Koniec Morstina. »Świat« Kraków 1893. T. VI. 1894. T. VII.
- Na stos. Kartka hist. z czasów Jana III. Petersburg 1901.
- Wi. Łuszczkiewicz.** Reszty zamku Herburt pod Dobromilem. Studium architektoniczne, wyd. Akademii Umiej. Kraków 1893.
- K. Łaski.** Spostrzeżenia nad rozbiorem książki Stan. Wierzbowskiego Konnotata wypadków od 1634—1689. Bibl. warsz. 1859. T. III.
- H. Łabęcki.** Wiadomości bibl. o górnictwie w Polsce i naukach przyrodniczych związek z niem mających. Bibl. warsz. 1841. T. IV. i w dalszych latach.
- Górnictwo polskie. T. I—II. Warszawa 1841.
- J. Łoski.** Genealogia portretowa Sapiehów w kościele parafialnym w Kodniu. Bibl. warsz. 1856. T. II. (Dodatek także 1857. T. IV).
- H. Łopaciński.** Najdawniejszy widok Lublina z 1618 r. Warszawa 1901.
- J. Łepkowski.** Z powodu jubileuszu 500-letniego Akademii krakowskiej. Tyg. ilustr. 1864. T. IX—X.
- M. Morz.** Łabędź żałośnie śpiewający nad grobem Mik. Dunina Modliszowskiego przez ks. Jacynta Przetockiego. Bibl. warsz. 1851. T. III.
- J. Muczkowski.** J. Załuskiego. Bibliot. hist., praw, pol. Kraków 1832.
- Rękopisma M. Radywińskiego. Kraków 1840.
- T. Mandybur.** Krzysztof Opaliński jako pisarz satyryczny. Sprawozdanie szkoły realnej i gimn. w Jarosławiu 1889.
- Ślady wpływu satyryków rzymskich na polskich. Sprawozdanie szkoły realnej w Jarosławiu 1888.
- A. Małecki.** Andrzej Morsztyn. Pismo zbiorowe, wyd. J. Ohryzko. Petersburg 1859. T. I.
- Z dziejów i literatury, pisma pomniejsze. Lwów 1896. (Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy i in.).
- W. i J. Marconi.** Album architektoniczne zabytów od XI. do XIX w. Warsz. 1895.
- E. Majewski.** Słownik nazwisk zoolog. i bot. polskich od 15 w. do chwili obecnej. T. I—II. Warszawa 1898.
- St. Makowiecki.** Relacya o upadku Kamieńca 1672 r. i o ostatnich czynach Jerzego Wołodyjowskiego. Przegl. powsz. Kraków 1886.
- W. Al. Maciejowski.** Historia włościan w Polsce. Warszawa 1874.
- Dzieje Piśmiennictwa T. I—III. i dodatki 1852.
- L. P. Michel.** Vie de S. St. Kostka. Lille 1900.
- K. Milewski.** Krzysztof Arciszewski. Bibl. warsz. 1842. T. IV.
- J. Magiera.** Stanisław Herakliusz Lubomirski jako pisarz i mówca. Sprawozdanie Akad. Umiej. Kraków 1902. (Maj). Nr. 5.
- J. Michałowski.** Księga pamiątnicza wyd. staraniem Towarzystwa nauk. krakowskiego. A. Z. Helcel. Kraków 1864.
- K. Mecherzyński.** O poezjach Morsztynów. Bibl. warsz. 1859. T. II.
- Historia wymowy w Polsce. Kraków 1860. T. I—III.
- Historia języka łacińskiego w Polsce. Kraków 1833.
- Rękopism Biezanowskiego historyografa Akademii krakowskiej z 17 w. Bibl. warsz. 1870. T. I.

- K. Mecherzyński.** O pobycie w Polsce Marcina Opitza. Bibl. warsz. 1876. T. I.
- Wiadomość o wetach parnaskich W. Potockiego. Rocznik Tow. nauk. krak. Kraków 1869. T. XXXVIII.
- Wojna Chocimska W. Potockiego. Bibl. warsz. 1861. T. I.
- J. Mycielski.** Matka ks. Panie Kochanku. Przegl. polski. Kraków 1882. Rok XVI. Kwartał III. ogóln. Zbioru tom 63.
- Cztery portrety królowej Marysieńki. — Przegląd polski. Kraków 1883/4. T. I. Wystawa pamiątek i zabytków z epoki Jana III. w Krakowie. Przegląd polski 1884. T. II.
- Porwana z klasztoru. Kartka z dziejów obyczajowych Polski XVII w. Przegląd polski 1886.
- St. Morawiecki.** St. H. Lubomirski (1661—7). Sprawozdanie gimn. III. Kraków 1901.
- J. Muczkowski.** Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich. Kraków 1842.
- O. Morozow.** Historia ruskawo teatru. Petersburg 1889. T. I. i nast.
- K. Morawski.** Wiersze makaroniczne łacińsko-polskie utworu autora hiszpańskiego. Rozprawy wydz. filolog. Akad. Umiej. Kraków 1887. T. XII.
- Wł. Maleszewski.** Siciński, poseł upicki. Tyg. ilustr. 1860. T. I.
- Ks. A. Moszyński.** Kronika kolegium Lubieszowskiego. Kraków 1876.
- Maciej Dogiel. Wizerunki i roztrząsania naukowe. Poczet nowy drugi, tomik drugi. Wilno 1838.
- Wiadomość o sporze Pijarów wileńskich z Jezuitami wil. (1723—1753). Tamże.
- Słowo o dawnym konwikcie szlacheckim Konarskiego. Kronika rodzinna. Warszawa 1875.
- P. de Nollhac.** Marie Leszczyńska et la guerre de succession de Pologne. Bulletin polonais litteraire. Paris 1902.
- J. Nogaj.** Wpływy poetów łacińskich na sielanki J. B. Zimorowicza. Rozprawy wydz. filolog. Akademii Umiej. Kraków 1886. T. XI.
- Rozbiór krytyczny sielanek J. B. Zimorowicza. Sprawozdanie gimn. IV. we Lwowie 1887.
- K. Niesiecki.** Herbarz polski, wyd. Bobrowicza. Lipsk 1839—45. T. I—X.
- Wł. Nehring.** Studya literackie. (Wesp. Kochowski i jego liryki). Poznań 1884.
- Psyche Andr. Morsztyna. Bibl. warsz. 1876. T. II.
- St. Konarski. Allg. Encyclopädie von Ersch und Gruber. Lipsk 1885.
- Beiträge zur Geschichte der dram. Lit. in Polen. Archiv für slavische Philologie. V. Jagi. Berlin 1895. B. XVII.
- Początki poezji dramatycznej w Polsce. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1887. T. XV.
- I. Nitowski.** Pierwsze wydanie uwag ks. Baki. Pamiętnik liter. Lwów 1902. T. I.
- L. Nabelak.** W. Potocki i jego Argenida XVII. w. (Bibl. Ossol. Poczet nowy. Lwów 1863).
- Poeci polscy XVII w. Bibliot. Ossol. Lwów 1864. T. IV.
- Ks. J. Nowodworski.** Baudouin Gabryel i szpital Dzieciątka Jezusa w Warszawie. Tyg. ilustr. Warszawa 1860. T. I.
- T. Nacher.** Dwa dzieła St. Konarskiego. O religii poczciwych ludzi, i De religione honestorum hominum. Sprawozdanie szkoły realnej i gimnazjum w Stryju 1883.
- Fr. Nowakowski.** St. Konarskiego Tragedya Epaminondy w 5 aktach, z rękopisu bibl. suskiej Braniczkiej. Archiwum do dziejów liter. i oświaty w Polsce. Kraków 1878. T. II.
- Śl. Morawiecki.** Renesans w Polsce, zabytki sztuki 16 i 17 w. Kraków 1899.
- R. Ottman.** Adam Kisiel, woj. kijow. Kartka z lat 1648—9. Przegląd powszechny 1886. T. XI.
- J. Maks. Ossoliński.** Paweł Piasecki. Wiadomości hist.-kryt. Kraków 1819. T. II.
- J. Oettinger.** Rys dziejów wydz. lekar. uniw. Jagiel. od 1364 do 1780. Rozprawy wydz. filolog. Akademii Umiej. Kraków 1878. T. VI.
- Z. Pazdro.** Statut czeladzi kupieckiej w 17 w. Przegląd prawa i administ. Lwów 1899.
- Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od XIV—XVII. Lwów 1900.
- Sądy konfederacyjne (1672—3). Kwart. hist. Lwów 1900. T. XIV.
- Ks. A. Petruszewicz.** Modlitewnik córki Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego, żony Stefana Niemierzyca, wojewody kijowskiego z końca 17 w. Teka konserwatorska. Lwów 1892.
- E. Porębowicz.** J. A. Święcicki i F. Jezierski. Dzieje literatury powszechnej. Warszawa 1894. T. IV. Czasy reakcji.
- E. Porębowicz.** Notatki do biografii J. A. Morsztyna. Kwart. hist. Lwów 1894. T. VIII.
- Deichesa koniec Morstina i Zawilińskiego Notatka do biogr. Morsztyna. Tamże T. VIII.
- Seb. Grabowiecki i jego wzory. Ate-neum. Warszawa 1894.
- Wpływ poety włoskiego Giambatt. Mariniego na utwory Andrzeja Morsztyna. Sprawozdania z posiedzeń Akad. Umiej. Kraków 1892.
- Źródła starego romansu polskiego. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1892.
- Ign. Polkowski.** Katedra Gnieźnieńska Gniezno 1874.
- A. Połujański.** Pobyt Lissowczyków w Rosyi 1613 r. Bibl. warsz. 1853. T. III.
- A. Prochaska.** Protest kupców wileńskich 1621. Kwart. hist. Lwów 1893. T. VII.
- Uposażenie nauczyciela w Rohatynie 1602—3. Muzeum. Lwów 1895.

- A. Prochaska.** Z dziejów unii brzeskiej. Kwart. hist. Lwów 1896. T. X.
- J. Pagaczewski.** Jasełka w Polsce. Rocznik Krakowski. Kraków 1902. T. V.
- A. Pawiński.** Teki t. VI. Warszawa 1900.
— Pamiętniki Matuszewicza. Warszawa 1876. T. I—IV.
- Fr. Próchnicki.** Mściciel Karola Szajnochy. Bibl. dla młodzieży. Lwów 1892.
- J. Przyborowski.** Listy Ad. Burskiego, prof. Akademii Zamojskiej. Bibl. warsz. 1884. T. II.
— Kilka szczegółów do życiorysu S. Starowolskiego. Bibl. warsz. 1889. T. I.
- W. Przyborowski.** Z przeszłości Warszawy, szkice hist. z 17 i 18 w. Warsz. 1899.
- S. L. Ptaszycki.** Pismo pierwawo Samozwańca. (Odbitka z Izwiestij imperator, Akademii). Petersburg 1899.
- F. Papée.** Ostatnie chwile Dyabła Stadnickiego. Ateneum. Warszawa 1889.
— O hetmanie Żółkiewskim. Wyd. Macierzy polskiej. T. 41. Lwów 1892.
— Najnowsze dzieło o Sobieskim. Przewodnik nauk, i liter. 1899. T. II.
- Ż. Pauli.** Pamiętniki Łosia (1646—1667). Kraków 1858, egzemplarz bibl. Ossol. z uwagami Maryana z Grodkowa Łosia 1890.
— Psalmi pokutne W. Rzewuskiego i życiorys tegoż. Poznań 1860.
— Poezye J. z Wielomowic Gawińskiego. We Lwowie 1843.
— Pamiętniki o wyprawie Chocimskiej z 1621, Jana hr. Ostroroga, Prokopa Zbigniewskiego, St. Lubomirskiego i J. Sobieskiego. Kraków 1853.
- R. Piłat.** Początek publicystyki literackiej w Polsce. Przew. nauk. i lit. Lwów 1882.
- E. Piotrowski.** Pamiętnik W. Rakowskiego, rotmistrza ziemi wiskiej Żytomierz 1861.
- A. Przeździecki.** Podole, Wołyń, Ukraina. Wilno 1841. T. I—II.
— E. Rastawiecki. Wzory sztuki średniowiecznej w Polsce po koniec 17 w. Serya I. 1853. Serya II. 1858.
— Krzysztof Urbanowicz, z listów króla St. Leszczyńskiego. Bibl. warsz. 1856. T. III.
— Zdobycie Warszawy przez Szwedów 1656 r. w listach królowej Ludwika Maryi. Bibl. warsz. 1851. T. II. (Dodatek tamże. T. IV).
— Korespondencya Władysława IV, z Galileuszem. Bibl. warsz. 1849. T. III.
— Wiadomości bibliograficzne o rękopismach. Bibl. warsz. 1847. T. III—IV. 1850. T. I.
- St. Przyłęcki.** Pamiętniki o Koniczpolnych. Lwów 1842.
- Lud. Powidaj.** Jan Mazepa. Przegl. polski. Kraków 1867. T. IV.
— Wojna domowa Sapiechów z szlachtą litewską w ostatnich latach 17 w. i na początku 18 w. Przegląd polski. Kraków 1872/3. T. II.
- K. Puławski.** Szkice i poszukiwania historyczne. Kraków 1887. T. I. i nast.
- J. Pagaczewski.** Jasełka krakowskie. Rocznik krakowski red. St. Krzyżanowski. Kraków 1902. T. V.
- P. Paczowski.** Die sogenannte Chrylińskische Bibel (1663). Centralblatt für Bibliothekswesen. Leipzig 1895.
- M. P.** Z korespondencyi Maryi Leszczyńskiej. Przegląd polski. Kraków 1887/8. T. II.
- J. K. Plebański.** Olbr. Karmanowskiego, poety w. XVII., wiersze różne. Warszawa 1890.
— Pieśni Wacława Potockiego. Bibliot. warsz. 1890. T. IV.
— Obraz dworów europejskich na p. 17 w. w Dzienniku podróży królewicza Władysława, spisany przez St. Paca. Wrocław 1854.
— Filologia, w Encyklopedyi wychowawczej. Warszawa 1890. T. IV.
— Pogrom Turków pod Chocimem z 1673, opisany wierszem przez Zbig. Morsztyna. Bibl. warsz. 1889. T. IV.
— Przyczynek do wiadomości o wierszach Olbr. Karmanowskiego i wiersze tegoż poety w. 17. Bibl. warsz. 1890. T. II. Str. 1 i 309.
— Recepta na to, abyśmy się długo w ojczyźnej ziemi osiedzieli. Anno 1682. Bibl. warsz. 1887. T. II.
— Obraz historyi literaty polskiej w w. 17. Bibl. warsz. 1887. T. I.
— Odpowiedź na uwagi «Ateneum» w sprawie programu konkursowego. Obraz hist. liter. polskiej 17 w. Bibl. warsz. 1884. T. II.
— Pogrom Turków pod Chocimem, przez Zb. Morsztyna. Bibl. warsz. 1889. T. IV.
- Ks. Wł. Piątkiewicz S. J.** Rękopisy Sarbiewskiego. Przegl. powsz. 1891. T. 29.
— Kaznodziejska działalność Sarbiewskiego. Przegl. powsz. 1891. T. 30.
— Tłumaczenia z Sarbiewskiego. Przegl. powsz. 1891. T. 30. 1893. T. 39 1895. T. 47.
— Echa wiosenne z Sarbiewskiego. Przegl. powsz. 1893. T. 39.
— K. Sarbiewskiego Poemata. Przegląd powszechny 1892. T. IV.
- Fr. Piekosiński.** Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa. T. II. od 1587—1696. Acta historica Poloniae. Kraków 1890. T. XII. a, 1892. T. XII. b.
— Akta sądu kryminalnego, Kresu muszyńskiego 1647—1765. Pomniki prawa polskiego. Kraków 1889. T. IX.
- St. Ptaszycki.** Iwan Fedorowicz, drukarz ruski we Lwowie z końca 16 w., ustęp z dziejów drukarstwa w Polsce. Rozprawy wyd. filolog. Akademii Umiej. Kraków 1886. T. XI.
- Ks. Ign. Polkowski.** Katalog rękopisów kapituły krakowskiej. Archiwum do dziejów lit. i ośw. Kraków 1884. T. III.

- Ks. Ign. Polkowski.** Sprawozdanie o drugim dziale ksiąg Archiw. kap. Katedr. krak. Rozprawy wyd. histor.-filozof. Akademii Umiej. Kraków 1885. T. XVIII.
- S. Pruszkowa.** Elżbieta Drużbacka. Tyg. ilustr. Warszawa 1862. T. V.
- Wł. Rabski.** Über die Satiren des Chr. Opaliński, Inauguraldissertation. Berlin 1892.
- E. hr. Raczyński.** Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła. Poznań 1839. T. I—II.
— Gabinet medalów polskich. Paryż 1844.
- E. Rastawiecki.** Słownik malarzy polskich 1850.
— Słownik rytowników polskich. Poznań 1886.
- K. Radziwiłł.** Sprawy wojenne i polityczne 1621—32. Wyd. Bibl. Polskiej. Paryż 1859.
- Fr. Rawita (Gawroński).** Ruchy hajdamackie w wojew. braclaw. w pierw. poł. 18 w. Przewod. nauk i liter. Lwów 1893. T. III—IV.
- A. Rembowski.** Stanisław Leszczyński jako statysta. Niwa, Warszawa 1878. T. XIV.
— Reprezentacya stanowa od 15—18 w. Ateneum, Warszawa 1892. T. III—IV.
— Studya nad sejmem Rzeczypospolitej. Bibl. warsz. 1893. T. III.
— Rokosz Zebrzydowskiego. Bibl. Ordyn. Krasińskich. Warsz. 1893. T. IX—XII.
— Konfederacya i rokosz w dawnem prawie państwowem polskiem. Tamże.
— Pisma. T. I—II. Kraków 1901.
— Monarchizm elekcyjny i konfederacye w Polsce. Bibl. warsz. 1893. T. I.
— Hasła i plany wojenne przeciw Turcyi. Bibl. warsz. 1895. T. IV.
— Dyaryusz wojny moskiewskiej. Bibl. Ord. Krasińskich. Muzeum K. Świdzińskiego. T. XIII. Warszawa 1895.
- S. W. Ringeltaube.** Gründl. Nachricht von polnischen Bibeln. Danzig 1744.
— Beitrag zur Ausburg'schen Confessionsgeschichte in Polen nebst St. Lutomirski's Glaubensbekänntnisse. Danzig 1746.
- Rocznik krakowski,** wyd. Towarzystwo miłośników historyi i zabytków. Kraków 1898. T. I. i nast.
- A. J. (Rolle).** Kobiety na dworze czehryńskim w 17 w. Bibl. warsz. 1893. T. III.
- J. Rostafiński.** T. Zawackiego Pamięć robot i dozoru gospodarskiego 1616 r., omówiona krytycznie. Kraków 1891.
— St. Słupskiego. Zabawy orackie 1618 i Wł. St. Jeżowskiego. Oekonomia 1638. Bibl. pisarzy polskich, wyd. Akad. Umiej. Kraków 1891.
— Przewodnik po Krakowie i okolicy. Kraków 1896.
- J. Rozwadowski.** Universitas linguarum Lithuaniae. Vilnae 1737. Wyd. Akademii Umiej. Kraków 1896.
- R. Roepfel.** Polen um die Mitte des 18 Jahrhunderts. Gotha 1876.
- R. Roepfel.** Potoccy i Czartoryscy. Kwart. histor. Lwów 1888. T. II.
— Das Interregnum, Wahl und Krönung St. Aug. Poniatowski, Posen 1892.
- Ks. F. Rożański.** Listy Piotra Ronquillo, pośła hiszpańskiego, pisane z Polski 1674. Przegl. pol. Kraków 1878/9. T. II.
- K. Różycki.** Die Kupferstecher Danzigs. Ein Beitrag zur Geschichte des Kupferstichs. Danzig 1893.
- O. Rubb.** Die dramatische Kunst in Danzig seit 1615. Danzig 1893.
- F. Rybarski.** Nowe dokumenta odnoszące się do J. Chr. Paska. Ateneum, Warszawa 1878. T. III.
— Przyczynek do życiorysu W. Kochońskiego i jego rodziny. Ateneum, Warszawa 1897. (Listopad).
- J. L. Rychter.** Rzadkości bibliograficzne i uwagi bibliogr. innych autorów. Bibl. warsz. 1841—2.
— Polska aż do połowy 17 w. W. A. Maciejowski. Bibl. warsz. 1842. T. IV. 169. (Dodat. tamże na str. 384, 399 i 601).
- L. Rydel.** O przekładzie Ariostowego Orlando szalonego, przez P. Kochanowskiego. Sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiej. Kraków 1895.
- J. Rzepecki.** O nieznanym poczycach Zbig. Morsztyna. Bibl. warsz. 1885. T. I.
- St. Rzepiński.** Kilka słów o życiu i pismach Alberta Ineza (ur. 1620 um. 1658), tudzież rozbiór jego panegiryku pod tyt. Wanda. Spraw. gimn. Wadowice 1895.
- A. Rządewski.** Stosunki i wzajemna korespondencya W. Kochowskiego z J. Gawińskim. Bibl. warsz. 1873. T. IV.
— Studya nad literaturą polską 17—18 w. (I. Hieronim Wespazjan Kochowski). Warszawa 1871.
- Wł. Siarkowski.** Wyciąg procedury karnej z księgi wójtowskiej 1528—1772. Wiśła. Warszawa 1890 T. IV.
- Ign. Skrochowski.** Rys dziejów unii na Litwie i Rusi. Przegl. pol. 1874. T. II.
- M. Siwak.** Karnkowskiego Eksorbitancye i naprawa koła poselskiego z 1596 r. Sprawozdanie gimn. Kołomyja 1900.
- Ks. J. Sygański.** Nowy Sącz w epoce Wazów. Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1899—1900.
- M. Szydłowski.** Stosunek Liryków W. Kochowskiego do Ód Horacego. Spraw. gimn. Bochnia 1900.
- J. K. Sembrzycki.** Przegląd literatury ewangelicko-polskiej Mazurów i Szlązaków od 1670. Na wsi 1888.
- H. Struve.** Rzut oka na pierwszy okres historyi filozofii w Polsce. Ateneum, Warszawa 1877. T. II.
- J. Surzyński.** Muzyka figuralna w kościołach polskich od 15 do 18 w. Rocznik Tow. przyj. nauk. Poznań 1889.
- Ks. Fr. Siarczyński.** Obraz wieku panowania Zygmunta III. (egz. z przyp. rękop. w bibl. Ossolińskich).

- L. Scherman.** Gründung einer Jesuiten Universität in Posen. Zeitschrift hist. Gesell. Posen 1888.
- M. Stankiewicz.** Bibliografia litewska 1547—1701. Kraków 1889.
- E. Stawiski.** O stosunkach handlow. w Polsce w związku z rolnictwem. Bibliot. warsz. 1859. T. IV.
- A. Świętkiewicz.** Ostatni szturm na Smoleńsk 1611 r. Kwart. hist. Lwów 1892. T. VI.
- M. K. Sarbiewski.** Do Kaz. Leona Sapiehy, pisarza W. Ks. Lit. Bibl. warsz. 1859. T. IV.
— Poemata omnia, editio omnium, z przedmową T. Walla S. J. Starawieś 1892.
- J. Sobieskiego** pisma w języku polskim. Bibl. warsz. 1852. T. II.
- A. Sozański.** Wykład politycznej geografii, rządu i administracyi Polski 1648—1772. Kraków 1890.
- A. Szarlowski.** Początek reakcyi katolickiej i upadek reformacyi w Polsce. Przegl. powsz. Kraków 1890. T. 28.
— Przyczynek do dziejów unii kościelnej. Przegl. powsz. Kraków 1891. T. XXXI.
- F. Sulimierski.** Szkatułka roboty Heweliusza. Tyg. ilustr. 1870. T. V.
- Ks. A. Szelewski.** St. Konarski. Tyg. ilustr. Warszawa 1861. T. III.
- E. Schumann.** Geschichte der naturforschenden Gesellschaft in Danzig 1743—1892. (Schriften der naturforschenden Gesellschaft in Danzig 1892).
- P. Schimmelpfenig.** Die Jesuiten in Breslau. Zeitschrift f. Gesch. in Alterthum Schlesiens. Breslau 1891. B. XXV.
- J. Sygański T. J.** Historia Nowego Sącza od Wazów. Lwów 1901.
- Wł. Smoleński.** Przewrót umysłowy. Warszawa 1896.
— Pisma historyczne. Kraków 1900—1. T. I—II.
- J. Soltykowicz.** O stanie Akademii krakowskiej. Kraków 1810.
- F. M. Sobieszczański.** W. Kojalłowicz. Encyklopedia powszechna. Orgelbranda. Warszawa 1864. T. XV.
— Krzysztof Arciszewski. Tyg. ilustr. Warszawa 1860. T. I.
— Jan Mazepa. Tyg. ilustr. Warszawa 1871. T. VII. Str. 140. (Tamże na str. 251. »Wyjaśnienie niektórych szczegółów z życia«).
— Paweł Piasecki. Tyg. ilustr. 1862. T. VI.
— Albr. St. Radziwiłł, Kanclerz W. Lit. Tyg. ilustr. 1863. T. VIII.
— Pomnik Jana Tarły w kościele Pijarów w Warszawie. Tyg. ilustr. 1865. T. XI.
— Pomnik Piotra Kochanowskiego. Tyg. ilustr. 1868. T. I.
— Krzysztof Hartknoch. Tyg. ilustr. Warszawa 1861. T. III.
— Grzegorz Knapski. Tyg. ilustr. Warszawa 1861. T. IV.
- F. M. Sobieszczański.** Uroczystość Jowisza na dworze Augusta II. Tyg. ilustr. 1872. T. IX.
— Widoki Warszawy od 16—18 w. Tyg. ilustr. 1876. T. II.
— O najdawniejszej szkole t. z. kolonii akademickiej w Warszawie. Tyg. ilustr. 1864. T. X. 1865. T. XI. 1866. T. XII. i 1866. T. XIII.
— Lissowczyki. Tyg. ilustr. 1867. T. XV.
— Ubiór kobiet w 17 w. Tyg. ilustr. 1868. T. II.
— Nowe źródła do pierwszych lat 18 w. Tyg. ilustr. 1872. T. X.
— Nota własnoręczna Żaluskiego. Informacja ks. Jędrzeja Żaluskiego, bisk. kijow., o fundacyi biblioteki. Bibl. warsz. 1848. T. II. 560 i 570.
- A. Sienicki.** Reformy Stan. Konarskiego w szkolnictwie. Sprawozd. gimn. IV. Lwów 1898.
— Przyczynek do biografii A. Morsztyna. Ateneum. Warszawa 1889. T. III.
- St. Siennicki.** Dawna drukarnia Jasnej Góry Częstochowskiej 1628—1864. Warszawa 1887.
— De typographia in Claro Monte Czenstochoviensi (1628—1864). Warszawa 1873.
- A. Szelagowski.** Paweł Piasecki. Odbitka z Przewodnika nauk. i liter. Lwów 1899.
— Układy Władysława i dysydentów z Gust. Adolfem 1632. Kwart. hist. Lwów 1899. T. XIII.
— Pieniądz i przewrót cen w 16 i 17 w. w Polsce. Lwów 1902.
- Ks. A. Szlagowski.** Mowy pogrzebowe i przygodne Birkowskiego, z krytyczną oceną mówcy. (Bibl. dzieł chrześcijańskich. Warszawa 1901).
- W. Sobieski.** Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III. Warszawa 1902.
— Rola Jezuitów w dziejach polskich. Ateneum. Warszawa 1901. T. II.
- C. Studziński.** Pierwszy występ literacki Hip. Pocięja. Lwów 1902.
- K. Studyński.** Przyczynki do historyi unii (w odpowiedzi na studjum J. Franki Z dziej. synodu brzeskiego). Lwów 1895.
— Chto buw awtorom Antirresis? Lwów 1900.
- F. Suryn.** Erazm Otwinowski. Studium literackie. Tyg. ilustr. Warszawa 1880. T. X. Serya III.
— Sielanki. Pisarze polscy. Tyg. powsz. Warszawa 1884. Nr. 1.
- T. Sternal.** Obłężenie Kamieńca w powieści i historyi. Przegl. polski. Kraków 1889/1890. T. II.
— O autorze dyaryusza z 1696—7. Przew. nauk. i liter. 1891. T. II.
- H. Schmitt.** Kilka uwag w sprawie rokoszu Zebrzydowskiego. Roczniki Tow. przyj. nauk. Poznań 1865.
— Rokosz Zebrzydowskiego. Lwów Dziennik literacki 1857.

- J. Szujski.** Nieznany poemat satyryczny XVII. w. Rozprawy i sprawozdania wyd. histor.-filozof. Akademii Umiej. Kraków 1874. T. I.
- Maryna Mniszchówna i obaj Samozwańce. Przegląd pol. Kraków 1868. T. II.
- Dzieła. Kraków. T. I—X.
- Statuta Uniwersytetu krakowskiego. Archiwum do dziejów liter. i ośw. Kraków 1878—82.
- Cecora i Chocim. Przegl. polski. Kraków 1871. R. V. Kwartał III. T. I.
- Historji polskiej ksiąg dwanaście. Warszawa 1880.
- Ks. J. Sas.** T. Młodzianowski i jego kazania. Przegląd powszechny. Kraków 1896. T. 51—2.
- Aleksander Lorencowicz S. J. Przegląd powsz. Kraków 1893. T. XXXIX.
- M. Sas.** O miarach M. K. Sarbiewskiego. Rozprawy wyd. filolog. Akad. Umiej. Kraków 1889. T. XIII.
- W. Sereżyński.** A. Morsztyna niewydane poezye. Rozprawy wyd. filolog. Akad. Umiej. Kraków 1875. T. II.
- St. Fr. z Prószcza Medekszy Księga pamiętnicza z lat od 1654—1668 r. Scriptores rerum polonicarum. Kraków 1875. T. III.
- Jana Gawińskiego pisma pozostałe. Archiwum do dziejów liter. i ośw. w Polsce. Kraków 1882. T. II.
- Niedrukowane poezye Gawińskiego. Bibl. warsz. 1882. T. IV.
- W. Spasowicz.** Historia polska W. J. Rudawskiego. Petersburg 1859. T. I—II.
- Dzieje literatury polskiej, wyd. trzecie Bema. Kraków 1891.
- Pisma. Petersburg 1892. T. I. i nast.
- Marcin Matuszewicz jako pamiętnikarz. Ateneum. Warszawa 1876. T. IV.
- H. Sawczyński.** Sprawa reformy sejmowania za Jana Kazimierza (1658—1661). Kwart. hist. Lwów 1893. T. VII.
- L. Siemiński.** Portrety literackie. (Wesp. Kochowski). Dzieła. Warsz. 1881. T. III.
- Jan Jonston. Tyg. ilustr. Warszawa 1860. T. I.
- Jan Jędrzej Morsztyn. Tyg. ilustr. 1861. T. III.
- Wł. Syrokomla (L. Kondratowicz).** Jak. Sobieskiego Pamiętnik wojny Chocimskiej. Petersburg 1854.
- Dzieje narodu polskiego A. M. Fredry. Petersburg 1855.
- Poezye księdza M. K. Sarbiewskiego. Przekłady poetów polskich łacińskich. Wilno 1851—2. T. 4—6.
- T. Świdorski.** Adam Burski. Encyklopedia wychowawcza. Warszawa 1882. T. II.
- Jędrzej Morsztyn. Przew. nauk. i liter. Lwów 1878. T. II.
- A. Sokołowski.** Kartka z dziejów wychowania w Polsce 17 i 18 w. Muzeum. Lwów 1886.
- A. Sokołowski.** Jan S. Herbut, wydawca kroniki Długoszowej. Bibl. warsz. 1883. T. II—III.
- Dyabeł Stadnicki. Ateneum. Warszawa 1883. T. IV.
- Przed rokoszem, studjum historyczne z czasów Zygmunta III. Rozprawy wyd. histor.-filozof. Akad. Krak. 1882. T. XV.
- Archiwum domu Radziwiłłów. Listy ks. Krzysztofa Radziwiłła, Jana Zamojskiego i Lwa Sapiehy. Archiwum komisji histor. Kraków 1885. T. VIII.
- Listy ks. Jerzego Zbaraskiego, kasztelana krakowskiego z lat 1621—31. Archiwum komisji historycznej. Kraków 1880. T. II.
- W sprawie rokoszu Zbrzydowskiego. Ateneum. Warszawa 1893. T. IV.
- M. Sokołowski.** O znaczeniu badań nad historją handlu w Polsce. Pamiętnik drugiego zjazdu histor. Lwów 1890. T. I.
- Źródła do historii sztuki w Polsce 17 i pierw. pol. 18 w. Sprawozdania komisji do badania sztuki. Wyd. Akad. Umiej. Kraków 1893. T. V.
- K. Szajnocha.** K. Opaliński, szkic historyczny wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Fr. Próchnicki. Bibl. dla młodzieży Nr. 13. Lwów 1895.
- K. Opaliński. Szkice histor. Lwów 1854. T. III.
- Szkice hist. wyd. drugie. Lwów 1858. (W. Potocki, autor wojny Chocimskiej).
- Opowiadania o królu Janie, Mściciel. Wydał i objaśnił Fr. Próchnicki. Lwów 1892.
- Dwa lata dziejów naszych 1646—8. Lwów 1865—9.
- Zwycięstwo J. Sobieskiego nad Turkami i Tatarami w 1675 r. pod Lwowem. Bibl. warsz. 1856. T. IV.
- Polska w 1646 a 1648 r. Bibl. warsz. 1862—3.
- J. Szlachtowski.** O piśmie polit. Suum cuique i jego autorze. Przegląd polski. Kraków 1871. Rok V. Zeszyt XII. (Miesiąc czerwiec). Str. 464.
- Prof. Ż. Skarzewski.** Słowo o nowem wyd. Voluminów legum. Czas. Kraków 1859.
- Kilka słów odpierających zaprzeczenie istnienia w pierwodynkach konstytucyj polskich suffragia, danych 1632 i 1669, przez elektorów króla Władysława IV. i króla Michała Korybuta. Czas. Kraków 1859.
- Jeszcze w sprawie przedruku Vol. legum. Czas 1859. Nr. 281.
- W sprawie uzupełnienia obu wyd. Vol. legum. Przegl. polski. Kraków 1870/1. T. I.
- St. Tarnowski.** Tajemnica roku 1688. Rocznik zarządu Akademii Umiej. Kraków 1882/3.
- Garczyńskiego Stefana, Anatomia Rzeczypospolitej. Kronika Rodzinna. Warszawa. Serya II. T. IV.

- St. Tarnowski.** Kochowski. Kronika rodzi-
na. Warszawa 1877. Nr. 1—3.
- Stan i charakter literatury politycznej
Polskiej w 17 w. Pamiętnik drugiego
zjazdu hist. polskich, Lwów 1890.
- A. M. Fredro, charakterystyka litera-
cka. Rozprawy i Spraw. wyd. filolog.
Akademii Umiej. Kraków 1876. T. IV.
- Rzeczpospolita Babińska. Przegl. pol.
Rok XVI. T. 64. Kraków 1882.
- Tajemnica 1688 r. Przegl. pol. Kraków
1884. T. I.
- O listach króla Jana z wyprawy wie-
deńskiej. Przegląd pol. Kraków 1883.
T. IV.
- Historia literatury polskiej. Kraków
1900—1. T. I—IV.
- K. hr. Tarnowski.** Adam Śmigieński (1703—
1716). Bibl. warsz. 1850. T. I.
- W. Tarnowski.** Pamiętnik damy polskiej
z 17 w. (Urszuli Tarnowskiej). Bibl.
warsz. 1876. T. II.
- L. Tatomir.** Dziennik podróży. Bibl. Ossol.
Lwów 1864. Poczet nowy. T. V.
- J. Talko.** Maryna Mniszcz w Jarosławiu
nad Wołgą 1607—8. Kwart. hist. Lwów
1890. T. IV.
- W. Trybuński.** Arytmetyka w Encyklopedyi
wychowawczej. Warszawa 1881. T. I.
- K. Thieberger.** Samuel von Skrzywna Twar-
dowski. Inaugural-Dissertation. Breslau
1898.
- Über unbekannte Dichter des 17 Jhr.
Krakau 1897.
- A. Tyszyński.** Wizerunki polskie. (Bibl. najcel.
utwor. lit. europ. T. XI). Warsz. 1875.
- Komedya polska w 18 w. Bibl. warsz.
1870. T. III.
- Szymon Starowolski. Bibliot. warsz.
1871. T. III.
- O Wojnie Chocimskiej. (Bibl. najcel.
utworów liter. europ. Warszawa 1880).
- Pamiętniki Medekszy i Matuszewicza.
Bibl. warsz. 1877. T. II.
- T. Trokolewski.** A. Zebrzydowski. Przew.
nauk. i liter. Lwów 1898. T. I—II.
- St. Tomkowicz.** Krzyżtopór, twierdza ma-
gnacka 17 w. Sprawozdania komisji
do badania sztuki w Polsce. T. I. ze-
szyt IV.
- Z dziejów obyczajów mieszczaństwa
krakowskiego 17 w. Bibl. warsz. 1898.
T. II.
- K. J. Turowski.** Poezye Samuela ze Skrzy-
wny Twardowskiego. Kraków 1861.
- Kazania Birkowskiego. Dodatek o ży-
ciu i pismach jego. Kraków 1858.
- J. Tretiak.** Historia wojny chocimskiej. Prze-
wodnik nauk. i liter. Lwów 1889.
- Poszukiwania w bibliotekach wielko-
polskich i w Warszawie. Spraw. z po-
siedzeń Akad. Umiej. Kraków 1891.
- Piotr Skarga wobec Rusi. — Piotr
Skarga i Iwan Wiszeński. Sprawozd.
z czynności Akademii Umiej. Kraków
1897.
- J. Tretiak.** O nieznanym rękopiśmiennym
zabytku poezyi polskiej z 16/17 w., p.
t. Duma Ukrainna. Spraw. z czynno-
ści Akad. Umiej. Kraków 1898.
- Pieśń żołnierska z 17 w. Ateneum.
Warszawa 1899. T. I.
- O głosie wolnym St. Leszczyńskiego.
Kwestya genezy. Spraw. z czynności
i posiedzeń Akad. Umiej. Kraków 1900.
- B. Ulanowski.** Wieś polska pod względem
prawnym od 16 do 18 w. Przegl. pol.
Kraków 1894.
- Trzy broszury prawne z 1607 i 1612 r.
(Ks. K. Podkańskiego, J. Suskiego
i szlachcica polskiego). Bibl. pisarzy
polskich, wyd. Akademii Umiej. Kra-
ków 1893.
- Rękopis kapituły gnieźnieńskiej z 17 w.
Sprawozdania z posiedzeń Akad. Umiej.
Kraków 1893.
- T. Wierzbowski.** Sim. Starowolscii elenchus
operum. Warszawa 1894.
- J. Radziwiłł. Pamiętnik z lat 1556—75.
Bibl. zapom. poetów i proz. Warszawa
1899. T. XII.
- Smutnoje wremia. (Materiały histor.
XVI—XVII). Warszawa 1900.
- Zdanie wolnego szlachcica z 1608 r.
Bibl. zapom. poetów i proz. XIII. War-
szawa 1900.
- Materiały do dziejów piśmiennictwa
polskiego. Warszawa 1900.
- Rozmowa Janasza Knutla magistra
z 1642 r. Bibl. zapom. poetów i proz.
XVI—XVIII. Zeszyt XV. Warszawa
1901.
- Kiermasz wieśniacki, utwór z pierwszej
pol. 17 w. Bibl. zapom. poetów i proz.
pol. Zeszyt 17. Warszawa 1902.
- A. Wejner.** Wjazd króla Sobieskiego do
Warszawy 1677 r. Bibl. warsz. 1877.
T. III—IV.
- Ostateczne rozwiązanie co do wpro-
wadzenia kalendarza Gregoriańskiego
w Polsce. Bibl. warsz. 1878. T. III.
- Opis hist. zaślubin Jakóba Sobieskiego.
Bibl. warsz. 1851. T. IV.
- Wiadomość hist. o morowem powietrzu
w Warszawie 1624—5 r. Bibl. warsz.
1852. T. III.
- Wiadomość o księgarniach najdawn.
w Warszawie. Bibl. warsz. 1874. T. IV.
- Obchód uroczyst. Bożego Ciała w War-
szawie 17—18 w. Bibl. warsz. 1853.
T. I.
- Starożytności Warszawy. T. I—VI.
- Powody zerwania umów małżeńskich
Jak. Sobieskiego z ks. Radziwiłłową
Brandenburską. Bibl. warsz. 1855. T. III.
- Wykryty rękopism (Hist. sejmów) Ję-
drzeja Żaluskiego, biskupa kijowskiego.
Bibl. warsz. 1867. T. II.
- Z. Węcławski.** Studya w Polsce nad litera-
turą grecką w czterech wiekach. Bibl.
warsz. 1861. T. IV.

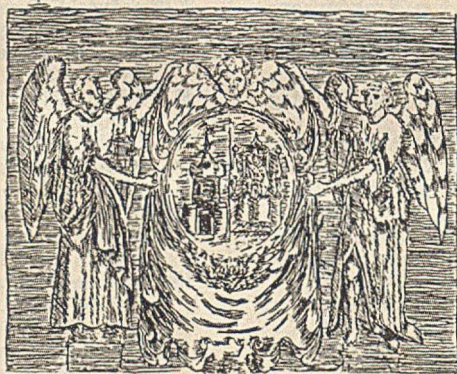
- K. Wł. Wójcicki.** J. Jerlicz i latopisiec jego (od 1620 do 1673 r.). Bibl. warsz. 1852. T. II. (Recenzya W. Wiczcorkowskiego w Bibl. warsz. 1853. T. III).
- **Wojna Chocimska** poemat bohaterski **A. Lipskiego.** Bibl. warsz. 1851. T. III.
- **Lissowczyki.** Tyg. ilustr. 1860. T. I.
- **Blogosław. Jana III.** córce z 1694 r. Tyg. ilustr. 1861. T. IV.
- **Dyngus, bankiet 1684, kalendarz dla dam 1741.** Tyg. ilustr. 1864. T. IX.
- **Ks. A. Rudomina, misyonarz polski w Chinach.** Tyg. ilustr. 1863. T. VIII.
- **Ubior niewiast polskich.** Tyg. ilustr. 1860. T. I. 1861. T. III.
- **Kostyummy polskie w 17 w.** Tyg. ilustr. 1861. T. III.
- **Morsztyn pod Chocimem.** Tyg. ilustr. 1861. T. IV.
- **Latopisiec Joachima Jerlicza.** Warszawa 1853. T. I—II.
- **Pomniki do historyi obyczajów w Polsce 16—17 w.** Bibl. warsz. 1843. T. IV.
- **Dzieje teatru polskiego przez Wł. Chomętowskiego.** Bibl. warsz. 1870. T. II.
- **Pieśni historyczne z 1605 r.** Bibl. warsz. 1879. T. II.
- **Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik.** Warszawa 1852.
- **Teatr starożytny w Polsce.** Warszawa 1841. T. I—II.
- **J. St. Wydźga i jego pamiętnik (1655—1660).** Bibl. warsz. 1852. T. I. (Recenzya S. Gołębiowskiego. Tamże. T. IV).
- **Dyaryusz J. A. Chrapowickiego.** Bibl. warsz. 1845. T. I.
- **Biblioteka starożytnych pisarzy polskich.** Warszawa 1840. T. VI.
- **Łukasz Opaliński.** Tyg. ilustr. 1860. T. II.
- **Stan. Konarski.** Tyg. ilustr. Warszawa 1862. T. VI.
- **Bartłomiej Nowodworski.** Tyg. ilustr. 1862. T. VI.
- **Wyjętek z poematu Merkuryusz nowy 1662, wygranej Sobieskiego hetmana.** Bibl. warsz. 1843. T. I.
- K. Wojciechowski.** Młodość St. Konarskiego. Czasopismo akademickie. Lwów 1895.
- Br. Wojciechowski.** Fragment z dziejów szkół kaliskich. Archiwum do dziejów liter. i oświaty, wyd. Akademii Umiej. Kraków 1895. T. VIII.
- T. Wojciechowski.** O powtórnej elekcyi Stanisława. Rocznik Akademii Umiej. Kraków 1888.
- P. W. Wolumina legum Pijarów od 1732—82,** przez P. Bibl. warsz. 1866. T. IV.
- A. Wieniarski.** Wesp. Kochowski. Tyg. ilustr. Warszawa 1861. T. III.
- J. Wydźga.** Do redakcyi Bibl. warsz. w sprawie pamiętnika Wydźgi. Bibl. warsz. 1852. T. II.
- A. Waga.** Przydatek do potwierdzenia autentyczności Pamiętników Paska. Bibl. warsz. 1841. T. II.
- Ks. T. Wall S. J. M. C. Sarbiewski.** Poemata omnia. Staraviesiae 1892.
- A. Walewski.** Historia wyzwolonej Rzeczypospolitej za Jana Kazimierza (1655—1660). Kraków 1870. (Por. Historia wyzwolenia, tegoż autora).
- **Dumanie Polaka nad pięcioletniemi (1655—1660) dziejami narodu.** Przgl. polski. Kraków 1872. T. IV.
- C. Walewski.** W. Kochowskiego. Rubus incombustus. Bibl. warsz. 1873. T. II.
- Ant. Wodziński.** Nieznany rymopis polski z pierwszej połowy przeszłego wieku. Ateneum. Warszawa 1899. T. IV.
- T. W. Relacya o upadku Kamieńca 1672 r. i ostatnich czynach Jerzego Wołodyjowskiego,** przez St. Makowieckiego, stolnika Latyczeńskiego. Przgl. powsz. Kraków 1886. T. IX—X.
- H. Wierciński.** Pobór z województwa lubelskiego. Ekonomista. Warszawa 1902. T. IV.
- L. Wegner.** Stefan Garczyński i dzieło jego Anatomia Rzeczypospolitej 1706—1755. Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk. Poznań 1871. T. VI.
- K. Waliszewski.** Potoccy i Czartoryscy. Walka stronnictw i programów 1734—1763. Kraków 1887.
- **Marya Mantuańska, królowa polska (1644—8).** Bibl. warsz. 1885. T. III—IV.
- **Marysienka, Marie de La Grange d'Arquien, (1641—1716).** Paris 1898.
- **Archiwum spraw zagranicznych francuskich, do dziejów Jana III. (od 1674 do 1683).** Acta historica Polonica. Kraków 1879. T. III. 1881. T. V. i 1884. T. VII.
- Wizerunki i roztrząsania.** Wilno Pocz. nowy drugi. Wilno 1839 i nast.
- F. Ant. Wölke.** De Sarbieviana poesi. Warszawa 1825.
- A. Wodziński.** Nieznany rymopis polski z połowy pierwszej zeszłego wieku. Ateneum. Warszawa 1899. T. IV.
- J. Wierzbicki.** Żywot Kaspra Melchiora Leliw. Miaskowskiego. Spraw. gimn. w Wadowicach 1893.
- D. Wierzbicki.** Żywot i działalność Jana Heweliusza. Pamiętnik Akademii Umiej. Wyd. filolog. i hist.-filozof. Kraków 1889. T. VII.
- L. Wierzbicki.** Zamek w Olesku. Teka konserwatorska. Lwów 1892.
- Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne.** Kwartal. Towarz. num. Red. Wł. Bartynowski. Kraków 1902. T. I. i nast.
- A. Winiarz.** Zawiszy Skrócenie prawnego procesu koronnego z 1613 r. Bibl. pis. pol. Akad. Umiej. Kraków 1899.
- A. Weichselmann.** Balde und Sarbiewski. Jahres Bericht des Obergymnas. zu Laibach 1864.
- St. Windakiewicz.** Dramat liturgiczny w Polsce średniowiecznej. Rozprawy wyd. filolog. Akad. Umiej. Kraków 1903.

- St. Windakiewicz.** *Bolonia i Polska.* Przegl. pol. Kraków 1887/8. T. IV.
- *Nacya polska w Padwie (1592—1745).* Przegl. pol. 1887/8. T. I.
- *Padwa, studyum z dziejów cywilizacji polskiej.* Przegl. pol. 1890—1. T. III.
- *Metryka nacyi polskiej w Padwie.*
- *Protokoły zgromadzeń nacyi polskiej w Padwie.*
- *Statuta nacyi polskiej w Padwie, w Archiwum do dziejów liter. i oświaty.* Wyd. Akad. Umiej. Kraków 1890. T. VI.
- *Les premiers acteurs comique en Pologne.* Tamże 1893.
- *Le premiers troupes d'acteurs en Pologne.* Tamże 1893.
- *Le drame dévotieux en Pologne.* Bulletin de l'Académie des sciences. Kraków 1892.
- *L'opéra italien à la cour de Ladislas IV.* 1633—1648. Bulletin de l'Académie des sciences. Tamże 1893.
- *Informacye o aktach uniwersytetu bolońskiego.* Materyały do hist. Polaków w Padwie. Archiwum do dziejów liter. i ośw. w Polsce. T. VII. Kraków 1892.
- *Materyały do historyi Polaków w Padwie.* Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce. Kraków 1893. T. VII.
- *Pierwsze kompanie aktorów w Polsce.* O frantach polskich. — *Teatr Władysławowski.* — *O dramacie dewocyjnym.* Spraw. z pos. Akad. Um. Kraków 1903.
- *Admetus rex, tragedia pol.* z 16/17 w. Spraw. z pos. Ak. Um. Kraków 1891.
- *Pierwsze kompanie aktorów w Polsce.* *Rozprawy Akad. Umiej.* Wyd. filolog. T. XVIII. Kraków 1893.
- *Teatr Władysława IV.* Przegl. polski. Kraków 1893. Rok XXVIII. T. 109.
- *Teatr ludowy w dawnej Polsce.* Kraków 1902.
- *Akta Rzeczypospolitej babińskiej.* Archiwum do dziejów literatury. Kraków 1895. T. VIII.
- *Liryka Sarbiewskiego.* *Rozprawy wyd. filol.* Akad. Umiej. Kraków 1891. T. XV.
- M. Wiszniewski.** *Historia literatury polskiej.* Kraków 1851. T. I—X.
- M. Rawicz Witanowski.** *Maciejowskiego Historia miast. Rocznik Tow. przyj. nauk.* Poznań 1890. T. XVII.
- Z. Wolski.** *Pieśni dziadowskie o bitwie pod Wiedniem 1683.* Wisła. Warsz. 1890. T. IV.
- M. Wehrmann.** *Studenci Polacy w Pedagogium szczecińskim 1576—1665.* Kwart. hist. Lwów 1892. T. VI.
- Ks J. Wielewickiego S. J.** *Diennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie od 1579—1599 r.* Wydał J. Szujski in *Scriptores rerum Polon.*, wyd. Akad. Umiej. Kraków 1881. T. VII. T. II. do IV. wydał Wł. Chotkowski (od 1600—1629). *Scriptores rerum Polon.* T. X. XIV. i XVII. (Dalsze nieogłoszone).
- A. Wołyński.** *Ks. Jabłonowscy w literaturze.* Tyg. ilustr. Warszawa 1880. T. X.
- *Kopernik i przygody jego systemu w Italii.* Bibl. warsz. 1878. T. IV. i 1879. T. II.
- Wł. Wisłocki.** *B. Zimorowicza. Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy.* Kraków 1876.
- *Jan z Kęty Wacięga (św. Kanty). Sprawozdanie z posiedzeń Akademii Umiej.* Kraków 1890. (Posiedzenie z 14 marca, 2 maja, 13 czerwca i 1 lipca 1890 r. Dodatek M. J. Bukowskiego na str. 57—65).
- *Katalog rękopisów.* Kraków 1877—1881.
- *Sobieszciana bibliografia jubileuszowa potrzeby wiedeńskiej 1683.* Kraków 1884.
- *Urszula Ochmistrzyni Łabędzianka i jej korespondencya z P. Gembickim 1627 r.* Przegl. pol. 1878. T. II. str. 94.
- *Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim.* *Spraw. gimn. Franciszka Józefa.* Lwów 1868.
- *Krótka wiadomość o towarzystwie literackim 18 w.* Szkoła 1869.
- *Rozjaśnienie w sprawie Towarzystwa liter.* Tamże 1869.
- *W. Kochowskiego. Rubus incombustus.* *Spraw. Zakładu Ossol.* Lwów 1873.
- *Dyaryusz komisji Bydgoskiej z 1614 r., z rękopisu J. Zadzika.* Archiwum kom. hist. Kraków 1880. T. V.
- J. Wardyński.** *Czwartek staropolski 1699 r.* Tyg. ilustr. 1864. T. IX.
- *Zagadki arytmetyczne z 1699 r.* Tyg. ilustr. 1864. T. IX.
- K. Woltke.** *Die ältesten piaristen Schulen Mährens.* Wien 1900.
- H. Wernic.** *St. Konarski, jego życie i działalność wychowawcza. Życiorysy sławnych Polaków.* Peters. 1900. Nr. 11.
- Ks. A. Załęski.** *Wiadomość o życiu i pismach J. Ostroroga, wojewody poznań.* Bibl. warsz. 1844. T. I.
- Ks. St. Załęski.** *Trzechsetletni Jubileusz Sodalistów Maryi.* Przegl. powsz. Kraków 1884. T. IV. i 1885. T. V.
- *Przegląd powszechny.* Kraków 1898. T. 1—II.
- *Jezuici w Polsce.* Lwów 1900—3. T. I—IV.
- *Pogląd na stosunki relig. za St. Augusta.* *Przegląd lwowski* 1875. R. V.
- *O St. Konarskim, w odpowiedzi Gazece narodow.* *Przegl. lwow.* 1875. R. V.
- *Recenzya Chromeckiego S. P. Krótki rys zgromadzenia Pijarów.* *Przegląd lwow.* 1880. R. XI.
- *Polemika w sprawie sporu Jezuitów z Pijarami.* *Muzeum.* Lwów 1896. R. XII.
- J. K. Załuski.** *Notnata wypadków 1634—1689 St. Wierzbowskiego.* Lipsk 1858.
- Z. Logika Śmiglewskiego. *Bibl. warsz.* 1876. T. I.**
- L. Zarewicz.** *Podkomorzy koronny Zygmunta III.* Lwów 1878.

- S. Zarzycki. Stosunek Jerzego Rakoczege do Rzeczypospolitej 1655—60. Spraw gimn. Kołomyja 1890.
- Stosunek ks. siedm. J. Rakoczege II. do Rzeczypospol. od 1657 do końca wojny szwedz. Spraw. gimn. Kołomyja 1890.
- K. Zawiszy Pamiętniki. Wyd. K. Bartoszewicz Warszawa 1862.
- Wl. Zawadzki. Jakób i Konstanty Sobiescy, wspomnienie hist. z powodu odkrycia ich grobowca w Żółkwi. Lwów 1862.
- T. Ziemia (Ziembicki). Filozof dobroczynny. (Stan. Leszczyński), Lwów 1888.
- R. Zawiliński Notatki do biografii J. A. Morsztyna. Bibl. warsz. 1893. T. I.
- T. Ziemięcki. Wystawa historyczna wiedeńska w zestawieniu z Wystawą zabytków z czasów Jana III. i jego wieku. Przegl. pol. Kraków 1884. T. II.
- T. Żebrawski. Dodatki do bibliografii pism. pol. matem. i fizyki. Kraków 1886.
- Bibliografia piśmiennictwa pol. matem. i fizyki, oraz ich zastosowań. Kraków 1873.
- Wiadomość o Adamie Kochańskim. Pocz. III. T. VII., ogóln. zb. t. XXX. Roczniki Tow. nauk, Kraków 1862.
- M. Żmigrodzki. Akademia Zamojska. Wielka Encyklopedia ilustrowana. Warszawa 1890. T. III.
- H. Zeissberg. Denkschrift der Türkenbelagerung Wiens 1683. Wien 1895.
- Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. Poznań 1902. T. I—XVII.
- Zeitschrift des Vereins für Geschichte Schlesiens. Wrocław 1902. T. I—XXXIV.

Koniec tomu czwartego.

INSIGNIA CIVITATVM
Coltenfis & Grodzilcenfis.



Magistratus una speculum est, in quo contemplantur Civet; Exemplar est ad quod vitam conformant; Norma est, secundum quam mores derogant; Unde ad id aca dum imperia ipsi, postquam exemplo. Plinius in peregrina.



1997-01-20

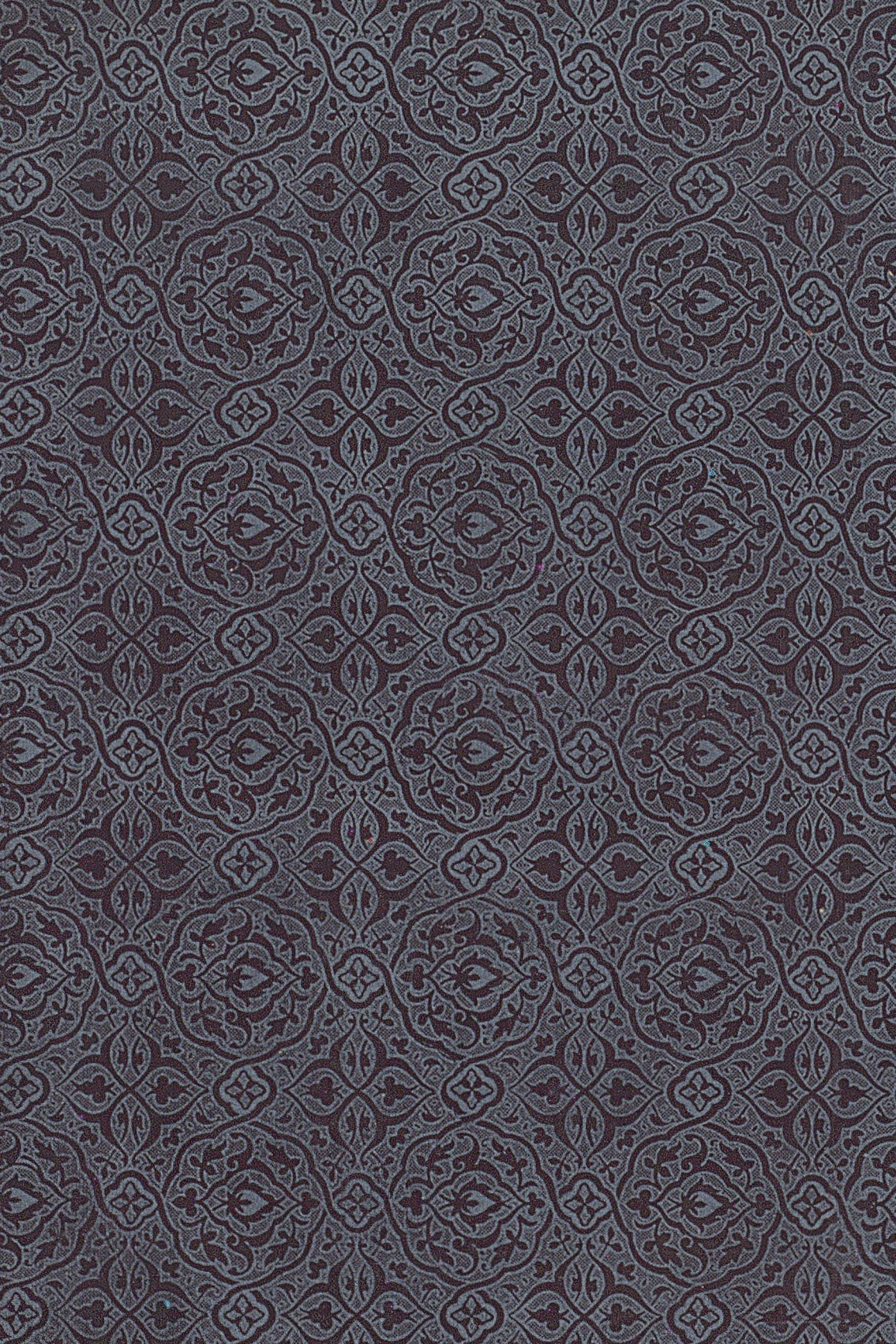
02.06.1999

2009-04-03

2011-11-28

2013-09-11





STL

19806